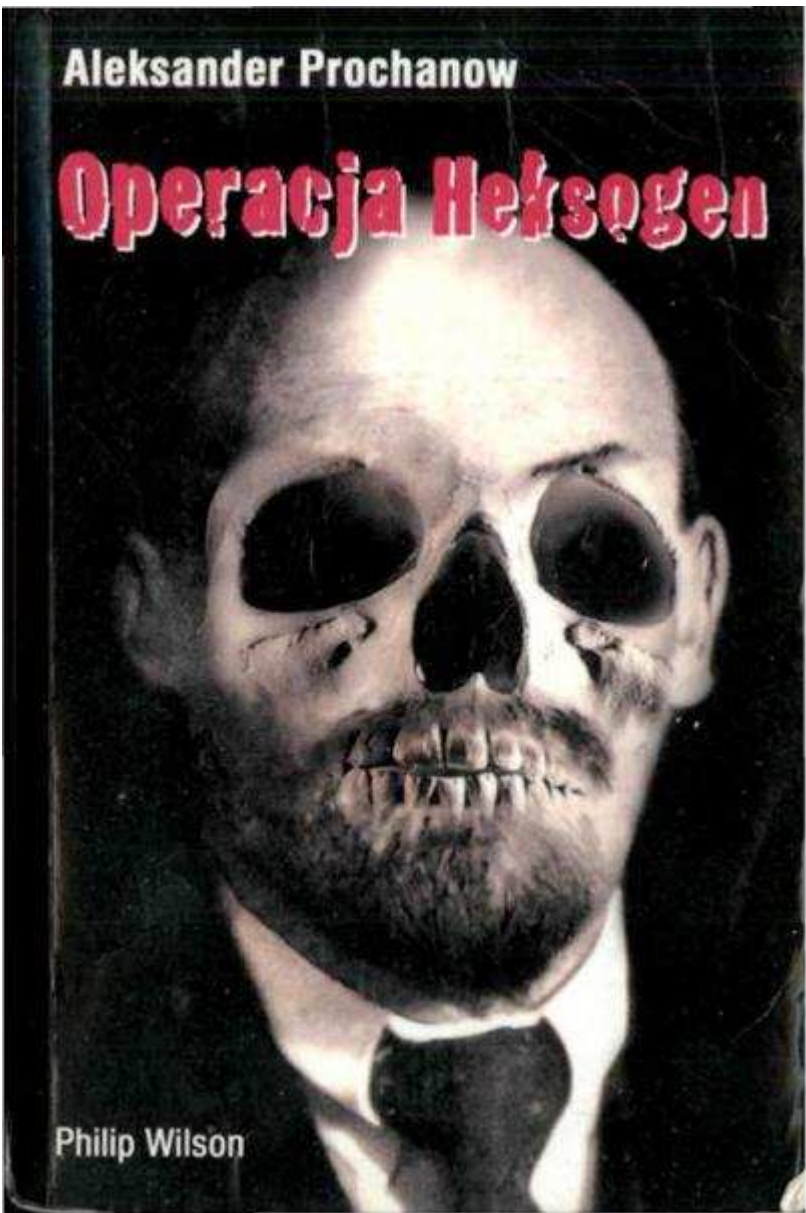


Aleksander Prochanow

Operacja Heksogen

Philip Wilson





Aleksander Prochanow

rosyjski
Indiana Jones

komandor, pisarz, dziennikarz i kolekcjoner
motyli był korespondentem wojennym
w Mozambiku, Kampuczy, Afganistanie,
Nikaragui, Czeczenii, Przdniestrzu.

RAJ DLA WYBRANCÓW, PIEKŁO DLA WSZYSTKICH

**Znakomita powieść sensacyjna o Putinie,
wybuchach w Moskwie, spisku KGB**

Główny bohater, emerytowany generał wywiadu, zostaje wciągnięty w działania polityczne przez byłych kolegów z KGB. Nadchodzi czas wyborów nowego prezydenta. O wpływy walczą dwie organizacje wywiadowcze i dwaj oligarchowie, wykorzystując wszelkie środki, bez względu na ofiary. To powieść o brudnej polityce, o wojnie w Czeczenii, o handlu narkotykami, o zwich bezdomnych i prostytutce dzieci.

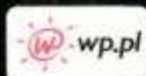
Otrzymała nagrodę „Narodowy bestseller”

Trzymający w napięciu thriller polityczny rosyjskiego Ludluma

„Kilka scen tej powieści godne jest najlepszych mistrzów pióra, choćby opis wizyty bohatera w laboratorium konserwującym mumie Lenina, czy też przypominające *Mistrza i Małgorzatę* Bulhakowa klimaty w opisach Moskwy. I nie da się także uniknąć skojarzeń z wędrówką Dantego po piekło, jakim jawi się Prochanowowi współczesna Rosja, w której wszakże występują rajskie wyspy dla wybranców, ale mają one dużą łatwość zamieniania się w miraż”.

Henryk Urbanowski
Publicysta, tłumacz, pisarz

Patronat medialny



Cena: 29,90 zł

ISBN 83-7236-179-7



9 788372 361790

Aleksander Prochanow

OPERACJA
HEKSOGEN

Philip Wilson

Tytuł oryginału: *Господин Гексоген*

Copyright © 2002 by Ad Marginem Press, Moskwa

Copyright © na polskie wydanie Philip Wilson 2005

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część ani całość nie może być reprodukowana

bez wcześniejszej zgody Wydawcy.

Tłumaczenie:

Elżbieta Zych

Projekt okładki:

A. Bondarienko

Redakcja:

Barbara Wiśniewska

Korekta:

Małgorzata Pośnik

Redakcja techniczna:

Aleksandra Napiórkowska

CIP - Biblioteka Narodowa

Prohanov, Aleksandr Andreevic

Operacja Heksogen / Aleksander Prochanow ;

[tł. Elżbieta Zych]. - Warszawa : Philip

Wilson, cop. 2005

ISBN 83-7236-179-7

Philip Wilson

e-mail: pwilson@p.pl.pl

<http://www.philipwilson.pl>

Skład i łamanie: Jacek Świdorski

Druk i oprawa: Zakłady Graficzne im. KEN S.A, w Bydgoszczy

CZEŚĆ PIERWSZA

OPERACJA «PROKURATOR»

Rozdział pierwszy

Dymisjonowany general wywiadu Wiktor Andriejewicz Biełosielcew czuł nadchodzącą jesień w delikatnej żółci, płynącej w bladym powietrzu moskiewskiego poranka, jakby gdzieś wpuszczono niewidoczną kropelkę jodiny, a ona rozpyłała się między fasadami i dachami domów, przesączała się strumyczkami w lufcik, pływała w plamie wodnistej słońca, dając wrażenie niewidzialnej choroby, która poraziła miasto. Mgła na szybie była złocistozielona, taka jak Twerski Bulwar, gdzie pod lipami, wokół czarnych pni, zaczęły się gromadzić sterty opadłych liści. Gorzki smak przekwitania wyczuwało się w ikonie, z której opadła wyblakła pozłota aureol. W pudełkach z motylami, z których opadał żółty suchy pyłek. W szklance cienkiej herbaty, w której przełamywała się srebrna łyżeczka z na wpółzatartym monogramem. On siedział nieruchomo, czując jak gorzkie jady jesieni przenikają do jego krwi i oddechu, wywołując lekki zawrót głowy jak od rozgryzionej łodyżki osikowego liścia, żółtego, z plamką bladego lazuru. Zaczynający się dzień nie zapowiadał spotkań i wydarzeń, podobny był do bladej świetlistej plamy, z wolną płynącej nad głową. „O tobie, moja Afryko, szeptem w niebiosach mówią serafiny...” - powtarzał strofę wiersza, która przypadkiem

wpadła mu do głowy i trzepotała tam, nie mogąc odlecieć, jak motyl uwięziony w pajęczynie.

Dzwonek telefonu w salonie dotarł do gabinetu i wywołał wrażenie zgrzytu noża po szkle:

- Wiktorze Andriejewiczu, wybacz, że tak wcześniej niepokoję... Tu Grieczysznikow... Taka smutna okoliczność... Zmarł generał Awdiejew, któremu, zdaje się, właśnie ty nadałeś przydomek „Suahili”... Dziś pogrzeb... Przyjdź, pożegnamy się z komendantem... Msza o jedenastej... Chcę się z tobą zobaczyć...

Jeszcze kilka słów wypowiedzianych znajomym głosem, lekko drżącym, jak szklanka na spodku w jadącym pociągu. Rysa pozostawiona przez dzwonek telefonu. I bolesne zdumienie - strofa wiersza o Afryce i niebieskich serafinach, przypadkiem wspomniana, przekształciła się w wiadomość o śmierci starego generała wywiadu, który wysłał jego, Biełosielcewa, do Mozambiku i Angoli, a teraz leży w ruskiej cerkwi pod wyblakłym freskiem z sześciokrzydłym niebiańskim duchem.

Suahili był pierwszorzędnym agentem, entomologiem, etnografem. Swoją erudycją przypominał oficerów carskiego Sztabu Generalnego, którzy przed przemarszem wojsk oznaczali na mapach rzeczne brody, górskie ścieżki, studnie na pustyniach. Jednocześnie opisywali zwyczaje tubylczych plemion, tworzyli zieleńniki, kolekcjonowali minerały, pozostawiając po sobie dzieła, będące ozdobą uniwersyteckich i akademickich bibliotek.

Suahili łowił motyle w belgijskim Kongu w pobliżu wyrzutni rakiet w dżunglach, skąd startowały francuskie rakiety średniego zasięgu. Chwytał w przezroczysty muślin rzadkie egzemplarze afrykańskich nimfalid i satyrów, a przy tym robił zdjęcia startujących rakiet, pobierał próbki gruntu, notował czas odpadu silników. Ostrzelano go, schwytał go francuski kontrwywiad, od tortur postradał w połowie zmysły, a po pięciu latach więzienia wymieniono go na francuskiego agenta, szpiega w marynarce wojennej Jugosławii. On, Suahili, wyprawiał Biełosielcewa w

afrykańską podróż, kierował jego działaniami na pustyni Namib i w ujściu rzeki Limpopo. Odszedł z wywiadu w przekłęte dni klęski, kiedy to w świetle niebieskich reflektorów dźwigi zdejmowały z cokołu brązo-
wy posąg Dzierżyńskiego, który jak ogromny wisielec huśtał się na tle nocnego nieba przed oświetlonymi oknami Łubianki.

Od tamtej pory się nie widzieli, jak i wielu z byłych towarzyszy, którzy odeszli z okazałego budynku bezpieczeństwa narodowego, gdzie zagnieździli się zdrajcy i agenci obcych wywiadów, otworzyli sekretne sejfy i akta agentury, zawładnęli tajemnicami państwowymi, wstrzymali bicie serca Czerwonego Imperium. Mówiono, że Suahili założył jakąś fundację, pomaga weteranom wywiadu. Że zabrał ze sobą listę agentów, działających w krajach Afryki i Ameryki Łacińskiej. Że pisze ezoteryczne wiersze. Że jego kolekcja motyli zawiera kody agenturalnych sieci. Że się ochrzczył. Że widziano go w rezydencji prawosławnego patriarchy. Że do niego po radę przyjeżdżają dyrektorzy banków i wielkich kompanii naftowych. Biełosielcew nie sprawdzał tych pogłosek. Sierpniowy udar mózgu zamroził go na wiele lat. Żył jak człowiek kontuzjowany po wybuchu bomby. Kończyny całe, narządy wewnętrzne dalej sprawne, ale w psychice zostały zerwane cieniusięńkie włókienka nerwowe, które łączyły go ze światem. Odsunawszy się od dawnych kolegów, żył jak pustelnik, w ciągłym odrętwieniu.

Telefon Grieczysznikowa, byłego towarzysza, z którym razem otrzymali generalskie szlify i którego prawie nie wspominał przez te lata, jego drżący jak szkło na spodku głos, spłoszyły go. Myśl błędziła nad Afryką i wiadomość o śmierci Suahili świadczyła o działaniu ulotnych jak obłoki zjawisk, w które Biełosielcew był bezwolnie włączony. Owiało go lodowate poczucie niebezpieczeństwa. Rozglądał się, starając się zrozumieć, z jakiego szczytu zerwał się zimny podmuch. Ale las zjawisk w zasięgu wzroku stał nieruchomo, w przedjesiennej żółci, i ani jedna ze złotych, wplecionych w brzozy girland, nie poruszyła się od wiatru.

Podniósł się, by wyjąć z szafy czarny garnitur i pójść na nabożeństwo do cerkwi.

Znowu rozległ się dzwonek. Jeszcze zanim podniósł słuchawkę, Biełosielcew poczuł, że ta rozmowa wydłuży ciąg przypadków.

Mówił Prokurator miękkim grasejącym głosem, jakby mu w gardle drgał groszek, powodując wibrację strun:

- Przepraszam, Wiktorze Andriejewiczu, za wczesny telefon... Zdaje się, że dziś mieliśmy się spotkać, ale, niestety, u mnie wariacki dzień... Z rana idę na Kreml, na spotkanie z Prezydentem... A potem kolegium... Chciałem przeprosić i przenieść nasze spotkanie na inny termin... - groszek delikatnie brzęczał w gardle Prokuratora. Biełosielcew słuchając go, odczuwał błogość, podobną do ciepła rozchodzącego się po ciele od łyka gorącej herbaty. Prokurator, kolekcjoner motyli, wiedząc o jego unikatowym zbiorze, proponował wymianę - motyla z Południowej Afryki, złapanego przez Biełosielcewa na granicy z Namibią, na motyla z Filipin, którego Prokurator kupił na targu w Manili. - Może spotkamy się w sobotę?... U mnie na daczynie?... Przyślę po pana samochód...

Śmierć Suahili, który go wysłał do Angoli, do strefy walk. Telefon Greczysznikowa, który go zapraszał na pożegnanie z Awdiejewem. Telefon Prokuratora, który pragnął dodać do kolekcji motyla z Kunene. Serafiny, sześcioskrzydłe duchy, nad trumną staruszka-generała. Strofa wiersza Gumilowa, trzepocząca jak niebieski motyl. Wszystko się wiązało ze sobą. Jakby to były drogie fragmenty układanki, które wypadły z ogromnej, niedostępnej dla oka, mozaiki. W migotliwych kawałkach szkła nie można zobaczyć całej mozaiki, ukrytej w ciemnościach wysokiej kopuły. Trzeba czekać na zachód słońca i ostatni promyk, który z dołu do góry, na moment oświetli kopułę świątyni. I wtedy ukaze się oblicze.

- Takie szalone dni!... Taka szarpanina nerwów!... Ludzie nie mają czasu na ulubione zajęcia!... - skarżył się Prokurator w zaufaniu, jak bliskiemu człowiekowi. Biełosielcew słuchał inteligentnego, miętko

grasejującego głosu, wyobrażał sobie łysawą głowę, ostrożne, ukradkowe spojrzenie, usta, starannie dobierające słowa. Błada, bez wyrazu twarz Prokuratora często pojawiała się na ekranie telewizora, gdzie dużo i pokrętnie mówił o korupcji władzy, czyniąc aluzje do najwyższej postawionych osób. Z tego potoku słów nie można było zrozumieć, o jakich osobach jest mowa, jaka jest istota ich przewinień. Gazety efekciarsko i odważnie pisały o „kremlofskich złodziejach”, wymieniały nazwiska Prezydenta, jego lubieżnych i energicznych córek i powszechnie nielubianych urzędników i bankierów. To wszystko wywoływało dręczące uczucie wstrętu. Jakby w kremlofskich komnatach, pośród malachitu i marmuru, stał zbiornik z nieczystościami i stamtąd, spoza zamkowych fasad, kamiennych tynków i sztukatorskich zdobników, po zardzewiających rurach ściekała śmierdząca gnojówka.

- Nasłuchałem się o pana kolekcji - ciągnął Prokurator. - Kiedy my, zwykli śmiertelnicy, kupujemy motyle w sklepach zoologicznych San Paulo czy Lagos, to pan, jak słyszałem, zebrał kolekcję na polach bitew, trzymając w jednej ręce siatkę, a w drugiej automat... Marzę o obejrzeniu pana trofeów!

- Z przyjemnością przyjmę pana u siebie. - Biełosielcew zerknął na nieposprzątaną salon, obliczając z grubszą, ile czasu potrzeba na to, by poupychać na półki nagromadzone na stole i szafce książki, wrzucić do szafy zalegające na krzesłach marynarki i krawaty, zamieść lekkie kłębki kurzu, zebrane w kątach.

- Proszę wyznaczyć dzień i wtedy na pewno się spotkamy.

- Zadzwoń do pana trochę później, Wiktorze Andriejewiczu, kiedy minie ta nerwówka... Motyle - jedyna przyjemność!... Jakie to piękne słowo - motyle!... - Lekko i wesoło zaśmiał się, i w tym śmiechu dało się słyszeć subtelną namiętność, skrywaną pod dobrotliwym wyrazem twarzy, granatowo-srebrnymi galonami prokuratorskiego munduru, zawołowanym sensem starannie dobieranych fraz.

Odłożywszy słuchawkę, wrócił do gabinetu i oglądał pudełko angolskich motyli, spośród których duże, popielato-czerwone z perłowymi

plamkami nimfalidy schwytał na drodze, gdzie palił się czołg, leżały spalone trupy, a do ciepłego fetoru w lejach, do trujących gazów eksplozji, zlatywały się motyle. Siadały w spalonych zagłębieniach, a on brał rękoma ich kosmate ciała, namiętnie ściśnięte błonki. Chwytał je za czerwone końce skrzydełek.

Prawo przypadku nie dawało się wytłumaczyć według klasycznej logiki związków przyczynowo-skutkowych. Tu potrzebna była wiedza o innych kategoriach, gdyż w ogromnych, wielowymiarowych zakresach miały miejsce wydarzenia na podobieństwo kosmicznych wybuchów, od których na życie na ziemi padał zaledwie nikły cień. Nagle usychał kwiatek. Zmieniała koryto rzeka. Staruszkowi śniła się jego młoda matka.

Bielosielcew czuł, jak owiewa go przejrzyste tchnienie jesieni, roztańczającej przed burzami i nocnymi deszczami bolesne piękno zamierania. I trzeba zamrzeć, nie opierać się wiatrowi, a lecieć jak lekkie pierzaste ziarenko - z suchego kwiatostanu - ponad płotem, ponad dachem, w zamglone pole.

Pomylił czas mszy i przyszedł do cerkwi godzinę wcześniej, kiedy tam trwało nabożeństwo dla niewielu osób. W powietrzu, wśród bladych świec, przyćmionych lampek rozlewała się ta sama ledwie uchwytna żółć bliskiej jesieni. Niewyraźny monotonny śpiew, wypłowiałe chusty kobiet, spokojne twarze, siwa, powiewająca broda kapłana, spod której matowym złotym strumieniem spływała stuła, zdobiony płatkami złota ikonostas zwinnych gron i liści, mieniący się, ociekający, napęczniały jak przepełnione miodowe plastry - wszystko było spowite niebiesko-żółtą mgiełką.

Staął z boku, pod niewysokim sklepieniem, gdzie były namalowane drzewa, kwiaty, a pośród nich, podobni do źdźbeł trawy i lodyżek kwiatów, pochowali się aniołowie, prorocy, apostołowie, z głowami jak słoneczniki, w odzieży koloru zwiędłych liści. Przed nim wznosił się miedziany świecznik, w którym odbijały się okrągłe płomyki świec. Tu również

stał duży drewniany stół ze stosami jabłek - czerwonych, żółtych, zielonych, które pojawiły się tu z niebiańskich sadów, przyniesione w plecionych koszach przez ogrodników. Sami ogrodnicy, w aureolach, spoglądali z rajskich ogrodów i wyciągając ręce proponowali dary. Owoce na stole wydzielaly aromat, wokół każdego jabłka roztaczał się świetlisty blask, a osy, które wleciały do cerkwi zwabione zapachem jabłek, leniwie pełzały po brązowym blacie stołu.

Bielosielcew odczuwał rozrzewnienie i smutek. Świątynia była sadem, dokąd wczesnym rankiem pod kwitnącą biel jabłoni przynoszono różowe niemowlęta. Gdzie w rozjarzone słoneczne lato pod gęstym lśniącym listowiem ślubowali narzeczeni, obdarowywani aromatycznymi owocami. Gdzie zimowym chłodnym świtem, pośród nagich pni, na skrzypiący śnieg stawiano trumnę, a zamieć szeleściła papierową szarfą na białym czole nieboszczyka.

Obejrzał się. Na ścianie, nad wejściem, zobaczył fresk Sądu Ostatecznego. Ogromny żylasty robak przegryzał Wszechświat jak przejrzałe jabłko. Zaległ w dziurze, wyginając pofałdowane ciało. Przedziurawiony gmach światagnił, podjadany przez żylastą gąsienicę. Wokół ginącego, gotowego odłamać się i spaść jabłka latały duchy światła i ciemności. Uderzały na siebie z cichym szelestem czarnobiałych błoniastych skrzydeł. Biły się o zdobycz, o duszę zmarłego, podobną do mączno-białej poczwarki. Tą poczwarką była dusza generała Awdiejewa, którego wiozła na mszę przez moskiewskie poranne ulice. Albo dusza Bielosiłcewa, która jeszcze drzemie w dziupli znużonego ciała.

Dziwił się naiwności malarza, który przedstawił życie człowieka, jego namiętności i żądze, miłość i walkę, przenikliwość i pogrążanie się w mrok jako potyczkę istot, spadających z nagrzanego słońcem kopca termitów. Kolumna batalionu „Buffalo”, wznosząca tumany kurzu na kamienistej drodze. Noc w hotelu „Polana” z afrykańską kobietą, której liliowe sutki były słodkie od poziomkowego soku. Egzekucja na pokrytym kurzem placu, gdzie poganiacze pędzili jeńca, póki ten nie padł i z

ust nie chlusnęła mu krew. Dusza na fresku podobna była do szmacianej kukły z namalowanymi oczami i ustami. Duchy światła i ciemności były się o nią jak rozzłoszczone dzieci, a dusza milcząco i obojętnie patrzyła.

- Smok do Moskwy metrem przelazł. Tak zatem wiedz, metro - gniazdo Smoka. Najpierw pod Moskwą tunel wykopali. Potem tędy Smok przeszedł. A dopiero potem we wnętrzu Smoka metro puścili. Jedziesz metrem - patrz uważnie. Za oknem kieszki Smoka i służ kopie. Jeśli chcesz zabić Smoka, wysadź metro. Tylko rób to z głową, nocą, kiedy ludzie wyjdą i pociągi staną. Wtedy Smok się budzi i do Kremla drogę kopie. Wtedy go rozwal. Pozakładaj miny w trzech miejscach - na „Teatralnej”, na „Kutuzowskiej” i na „Wołkowskiej”, i wysadź jedną iskrą wszystkie naraz. Wtedy zabijesz. A inaczej nawet nie próbuj. Jest sprytniejszy od ciebie.

Te słowa wypowiedział za plecami Biełosielcewa cichy głos, należący do niewysokiego człowieka w wyszarzałej wytartej marynarce. Jego twarz była blada, bez kropli krwi, włosy siwiejące, mały nos i nieduże usta. I ogromne, spokojne oczy szarej ciepłej barwy, jaką miewa letnie niebo, z którego sączy się ciepły deszczyk i jednostajne grzejące światło. Sens słów był dziwaczny i szalony, ale twarz spokojna i dobra, i oczy patrzyły tak, jakby on znał Biełosielcewa wcześniej i teraz cieszył się ze spotkania.

- Którzy jeżdżą metrem, są przez Smoka ukąszeni. W mózgach jad. Chcą Mauzoleum zburzyć za namową Smoka. Lenin pilnuje Kremla, stanął na drodze Smoka, nie daje przepelznąć. Jak Lenina sprzątną, to Smok Kreml owinie, ogon z głową zwiąże, i koniec Rosji. Którzy ukąszeni przez Smoka chcą ze ściany bohaterów wyjąć, co za Ojczyznę ponieśli ofiarę. Oni nie puszczają Smoka. Jak tylko ich usuną i Lenina wywożą, to Rosji koniec. Ty rozliczaj tych, co namówieni przez Smoka, którzy płaczą, a Smoka nie puszczają.

Człowiek mówił cicho i przekonująco, jakby dawał wskazówki, jak posługiwać się prostym narzędziem, dłutem albo łopatą, żeby je było

wygodniej trzymać i podczas pracy nie tracić wielu sił. Biełosielcew wpatrywał się w jego spokojną bladą twarz, z początku pomyślał, że ma przed sobą łagodnego wariata, którego należy unikać. Ale oczy człowieka były rozumne, dobre, odgadywały w Biełosielcewie jego smutek i zagubienie. I Biełosielcew doszedł do wniosku, że stoi przed nim jeden z ludowych mędrców i proroków, którzy od wieków pojawiają się na schodach cerkwi, jakby ich rodziła jedna i ta sama niewidzialna, cicha kobieta.

- Żeby Smok wokół Kremla się opasał, stu kroków brakuje. Idź, sam zmierz. Mauzoleum od rogu do rogu ma akurat sto kroków. Mierzyłem. Wcześniej wartownicy stali, bagnetem straszili. Teraz pusto. Ja pilnuję. Kiedyś Rosji żołnierz potrzebny był, generał, kosmonauta. Inżynierowie i pisarze byli potrzebni. A teraz strażnik potrzebny. Jednemu ciężko. Przyjdź, podmienisz mnie. Będziesz strażnikiem. Będziemy na dwie zmiany dyżurować. Inaczej przepelźnie.

Biełosielcew nagle poczuł, jak go wciąga bezszelestna otchłań, dokąd, wirując, pędziły przestrzeń i czas, i on, bezwolnie, czując zawrót głowy i męczącą rozkosz, leci w tę otchłań, tracąc cielesność, przeistaczając się w długi, świetlisty strumień. Zrozumiał, że lepiej będzie odejść, opuścić świątynię, zostawić nawiedzonego przed freskiem, stosem jabłek, brązowym, wyciosanym z jodłowego pnia krucyfiksem. Ale nie miał sił. Jego wola, jak słupek rtęci, spadała w dół, i on, doznając rozkoszy upadku, wciąż słuchał niezrozumiałej mowy.

- Poznaj tajemnicę Smoka, wtedy go zabijesz. Bez tajemnicy zabić nie zdołasz, tylko życie stracisz. Bohater, który Smoka chce zabić, to męczennik. Modlitwą go nie weźmiesz. Automatem kałasznikowa, systemem „Grad” i relikwiami Serafima Sarowskiego. Wtedy spróbuj. Obrońcy Domu Rad chcieli zabić Smoka, ale tajemnicy nie znali, i on ich zabił. Jednego spalił, drugiemu rozum pomieszał, a innego Smokiem uczynił. Klócili się, kto Chrystus, a kto Stalin, a Smok ich rozpoznał. W tym tajemnica.

Bielosielcew pragnął słuchać, nie dociekając mądrości nawiedzonego, chodzić razem z nim po drogach, po cerkwiach, po wiejskich cmentarzach, słuchając szeleszczącego brzmienia jego słów. Nocować w stogach, żywić się u litościwych ludzi, stać u wrót cerkwi z miedzianym kubkiem, słuchając mamrotania staruch, zawinąwszy się w dziurawe gałgany. Zapomnieć, skąd jest rodem, jak się nazywa, jakich grzechów i przestępstw dopuścił się w swoim życiu. Bez pamięci, bez imienia, brnąć po niekończącym się trakcie, gdzie zamaznięte błoto w koleinie i łopuch na zaśnieżonym skrajaju.

- Cara Żydzi zamęczyli, a Stalin zamęczył Żydów. Znał tajemnicę Smoka. On wygrał wojnę i uratował Rosjan. On złożył ofiarę, syna rodzonego poświęcił, a o sobie nie pomyślał. Stalin święty, i Zwycięstwo jego święte. Od jego Zwycięstwa w nowym wieku nowa Rosja powstanie, a starej Rosji też nie koniec. Rozumem nie obejmiesz.

Bielosielcew doświadczał rozkoszy, związanej z utratą woli i uspokojeniem umysłu, który nagle zamilkł, jak milknie przed zachodem słońca krzak, który obsiadły gęsto ptaki. Chciał patrzeć w oczy nawiedzonemu człowiekowi i płakać cichymi łzami nie bólu, nie wzruszenia, a cichego współczucia każdemu, kto przyszedł na ten świat, przybrał imię i ciało, przedziera się przez ocean życia, żeby nieuchronnie zniknąć, zostawiając po sobie ledwie słyszalny, zanikający dźwięk.

- Ofiara jest konieczna, żeby Smoka zabić. Wszyscy na Chrystusa czekamy, żeby on znowu za nas życie oddał, a sami zapomnieliśmy, jak się poświęcać. Ty się poświęć jak kapitan Gastello, a pokonasz Smoka. A ty z czerwonym sztandarem po mieście chodzisz na pociechę Smokowi, a ofiarować się nie myślisz. Weź jabłko - wyjął zza pleców i wyciągnął do Bielosielcewa duże rumiane jabłko, trzymając je w czarnych zatłuszczonych palcach, jakie miewają ślusarze i mechanicy samochodowi. - Nie obawiaj się, ono jest czyste, bez robaka. Nazywam się Nikołaj Nikołajewicz. A ty nie bój się, płacz, jeśli chcesz. - I zostawiwszy jabłko w ręku Bielosielcewa, wyszedł przez otwarte drzwi cerkwi i znikł, jakby się

roztopił w słońcu. Bielosielcew został, trzymał lśniący owoc, czuł napływające łzy, dziwiąc się tajemniczemu biegowi wydarzeń, w który został wciągnięty.

Na zewnątrz, na placu cerkiewnym, rozległ się szum. Drzwi przesłoniли dwaj silni, nie cerkiewni młodzi mężczyźni niosący wieko trumny. Przeszli obok Bielosielcewa, przejęci, skupieni, oparli wieko o ścianę. Bielosielcew, patrząc na wieko, dziwił się jego podobieństwu do ciężkiego roboczego stołu, przy którym siedział generał, odprawiając go w afrykańskie wojaże; do drewnianej, stalinowskiej boazerii, ciemniejszej za plecami generała, gdzie wisiał portret chudego, z wywiniętą bródką Dzierżyńskiego; do podobnej do wieloryba kanapy z ciemnej skóry, na której było wytłoczone godło państwowe. Pojawiła się dziwna myśl, że generał nie życzył sobie rozstać się z drogim mu umeblowaniem, zapisał w testamencie, aby trumnę zrobić z płyt stołu i kanapy, a resztę dębowego drewna przeznaczyć na urządzenie nowego, przeznaczonego dla niego, gabinetu.

Wniesiono wieniec z żywych kwiatów z czarnymi i czerwonymi szarfami - od krewnych, od weteranów wywiadu, od Akademii Nauk. Jeden wieniec przyciągnął uwagę Bielosielcewa. Pośród czerwonych róż leżała wiotka czarna szarfa ze srebrnym napisem: „Od towarzyszy broni we wspólnej walce”. W tych słowach krył się tajemniczy sygnał, który uraził Bielosielcewa, gdyż on nigdy nie nazywał swojej pracy w wywiadzie walką, a swoich dowódców i podwładnych - towarzyszami broni.

Głośno stękając, szurając nogami, sześciu mężczyzn wniosło trumnę, podobną do cennej staromodnej komody z mnóstwem uchwyków i szuflad, w których, gdyby je wyciągnąć, leżą stare wykrochmalone obrusy z koronkowymi frędzlami, mundurowe surduty i kamizele, przesypane śnieżnymi płatkami naftaliny, rodzinne srebra z pociemniałymi monogramami. Trumnę postawiono na drewnianych ławach przy ścianie, na której wysoko, nadymając policzki i wydmuchując strumienie światła, unosił się sześcioskrzydły duch.

„O tobie, moja Afryko, szeptem w niebiosach mówią serafiny...” - bezdźwięcznie wymówił Biełosielcew, póki ustawiano żebrowaną, z okuciami i spiżem trumnę. Generał Awdiejew, Suahili, jak go niegdyś przeważał Biełosielcew, leżał pod białym całunem, ze wzgórkami rozsuniętych stóp i złożonymi na piersi dłońmi. Głowa z ostrym jak dzióbek nosem i rzadkim siwym puchem upodabniała go do martwego ptaka, którego w dzieciństwie pochowali w zacisznym kącie podwórka, wyłożyli moglikę kawałkami porcelany i szkielek, zawinęli zimną grudkę z podwinętymi pazurkami w liście babki. I to podobieństwo, i małe żałośnie zaciśnięte wargi, i brązowe wypukłe powieki, pod którymi chowały się białe gałki oczu, i zarysowane pod przykryciem kosteczki palców wywoływały u Biełosielcewa ostry żal, i nie tylko do nieboszczyka, że po śmierci stracił ludzkie oblicze, że przeobraził się w ptaka, ale do samego siebie, bezradnego i pokornego, biorącego udział w pochówku ptaka.

Do cerkwi wchodziłi krewni i przyjaciele. Wdowę, pulchną, bezsilną staruchę, prowadziły pod ręce podstarzałe dzieci, bezbarwna chuda córka i ponury blady syn z fioletowymi sińcami pod oczami. Towarzyszyli im smutni staruszkowie obojga płci, przestraszone podrostki i dzieci, i jeszcze jacyś ponurzy domownicy.

Wtem wśród nieznanych osób Biełosielcew dostrzegł znajomego. Generał Burawkow, naczelnik wydziału, służył z Awdiejewem. Wszedł wysoki, przygarbiony, z szerokimi, jakby wytoczonymi z desek ramionami, odziany w drogą marynarkę z czarnego atłasu. Prawie nie zmienił się przez te lata - mocna, gburowata twarz, zwisający nos, przedłużający linię czoła, srogie, nieprzyjazne oczy pod na poły opuszczonymi starczymi powiekami. On, jak i nieboszczyk, podobny był do ptaka, ale żywego, zakłopotanego, może pelikana, który krył pod jedwabną koszulą swoje skórzane różowe wole. Biełosielcew nie widział go dziesięć lat. Wiedział, że Burawkow dowodził ochroną znanego telewizyjnego potentata, przekształcił tę ochronę w doskonały aparat wywiadu, budzący

strach w przeciwnikach owego potentata wszechwiedzą, czynnymi akcjami, zawilými kombinacjami, za pomocą których budowano lub niszczone reputację najwyższych osób w państwie. Burawkow stanął opodal trumny, smutnie zwiesił ciężki nos, jak pelikan na płyciźnie.

Wśród wchodzących Bielosielcew poznał Kopiejkę, innego generała wywiadu, który odszedł z organizacji niedługo przed krachem, jakby wyczuł nieuniknioną hańbę i zniknął, nie czekając na katastrofę. Później, kiedy jak grzyby po deszczu zaczęły mnożyć się koncerty, korporacje, banki, podjadając swoimi grzybniami co lepsze kąski kraju, Kopiejko pojawił się jako doradca króla nafty. Pomagał mu połykać firmy rywali, przejmować rurociągi, zakłady i zbiorniki ropy naftowej, likwidować konkurentów, przy czym jedni bankrutowali, a inni płonęli w wysadzanych dziuplach lub leżeli w kostnicach z postrzałowymi ranami w głowach. Jego ogolona okrągła, z siwym puszkciem, głowa, która pojawiła się w cerkwi, rozszerzone rudawe oczy, mały mocny nos, dziobem opuszczony na wargi, czyniły go podobnym do dużej sowy. To podobieństwo wstrząsnęło Bielosielcewem, tak jakby wszyscy oni, wchodzący na pokrytych łuskami długich nogach albo wlatujący na miękkich skrzydłach, byli przedstawicielami skrzydlatych, którzy zlecieli się na pogrzeb przewodnika ptasiego stada.

I już bez zdziwienia poznał Grieczysznikowa, przypominającego dziokiego gołębia wypukłą piersią, małą główką ze sterzącym czubkiem i okrągłymi, różnej barwy oczami, a także narowami zadbanego opasłego ciała, które poruszało się jednocześnie i w prawo, i w lewo, jakby chciało i nie mogło pofrunąć.

Grieczysznikow w tej samej chwili spostrzegł Bielosielcewa. Podszedł, wyciągnął rękę, swoją białą dużą dłonią nakrył rękę Bielosielcewa. Smutnie uroczyście, w długiej, podobnej do smokinga marynarce, odpowiedniej na żałobną ceremonię, jakby Grieczysznikow tak często grzebał znajomych, że zaopatrzył się z tego powodu w rytualny strój.

- Jak dobrze, że pan przyszedł, Wiktorze Andriejewiczu... Wielu naszych przyszło... Trzeba odprowadzić komendanta... - podszedł bliżej trumny i stamtąd, z półmroku, popatrywały na Bielosielcewa jego różnobarwne, jak szklane guziczki, oczy.

Cerkiew się zapełniała. Pomiędzy ludźmi, skupionymi wokół trumny, Bielosielcew dostrzegał byłych współpracowników, z którymi wymieniał się ukłonami, spojrzeniem lub przelotnym uściskiem dłoni. Tych, których nie znał osobiście, bezbłędnie oddzielał od innych podobieństwem do jakiegokolwiek ptaka - bażanta, birkuta, gila. On sam był przecież jakimś ptakiem, być może osowiałym, bez perłowych plamek szpakiem, z obtłuczonym dziobem i postrzępionymi piórami. Wszystkie się zleciały, żeby wyprawić w ostatni lot przewodnika, który jak egipski bóg z ptasią głową i ludzkim ciałem spoczywa w trumnie, do której kładziono wilgotne pachnące wiązanki.

Sarkofag, w którym umieszczono boga, był łodzią, i ona odpływała, roztrącając główki białych lotosów, po żółtym nurcie Nilu, po brązowym mętym Nigrze, po mosiężnej fali Mekongu, po czerwonej Rio-Coco, po liliowej strudze rzeki Kabul, po przejrzystym błękitcie Wielikiej, z białymi cerkwiami i dzwonicami. I wszyscy oni, zebrani przy trumnie, byli wiosłarzami, zgodnie wiosłującymi na tamtą stronę, pozostawiając na wodzie delikatne fale i wiry. Batuszka w wyblakłym ornacie, na pół ślepo czytający otwartą księgę, był przewoźnikiem. Bielosielcew słyszał ciche szmery, okrzyki radości, skargi, nie starając się wnikać w sens poszczególnych słów i wyrażeń, wypowiedzianych przez kapłana. Patrzył na wodę, w której pogrążyły się wiosła zgodnych wiosłarzy. Duży martwy ptak leżał w łodzi, oni przepływali obok osady, stojącej na brzegu Limpopo, a czarnolicy rybak pokazywał im jasną dużą rybę z długim ogonem.

Bielosielcew patrzył na czoło generała Awdiejewa, przykryte papierową cerkiewną opaską, i przykro mu było widzieć to żółtawe czoło, niegdyś gorące i mocne, teraz poskromione strzępkiem nic nie ważącego papierka.

Patrząc na ludzi wokół trumny, Bielosielcew rozpoznawał wśród nich współpracowników. Postarzeni się, zmienili postawę i wygląd zewnętrzny. Niektórzy wyglądali jak stateczni urzędnicy bankowi. Inni przyjęli profesjonalną solidność. Jeszcze inni swobodnie zawiązanymi krawatami i siwiejącymi włosami do ramion, upodobnili się do artystów i aktorów. I tylko ledwie widoczne podobieństwo do ptaków czyniło z nich członków jednej społeczności.

Ten otyły ponury pan z pulchnymi palcami, na których pysznił się ciężki sygnet, dowodził wojskowym kontrwywiadem, a ostatnia rzecz, jaką się zajmował, była związana ze zniknięciem zasobników z atomową amunicją. Stojący nieopodal młodo wyglądający staruszek z artystyczną fryzurą i złotą spinką w jedwabnym krawacie, zajmował się wysyłaniem z kraju wolnomyślicieli, na krótko sadzając ich do więzienia, a potem w samoloty do Niemiec, Francji i Izraela. Rumiany i poczciwy grubasek, który nie zdołał wywołać na drapieżnej twarzy żalobnego smutku, specjalizował się w ujawnianiu przestępstw gospodarczych, doprowadził do rozstrzelania kilku sprytnych waluciarzy, a w ostatnich miesiącach dożywającego swojego czasu kraju przelewał do szwajcarskich banków partyjne pieniądze. Był tu też mały, ciemny jak Indianin pułkownik, szkolący bojowników dla „Frontu Farabundo Marti” i kolumbijskich powstańców; niektórzy z, nich, zachowując wierność marksizmowi, zajmowali się handlem narkotykami, zatruwając kokainą znieawidzoną Amerykę. Obecny był tu również chorowity rezydent obcego wywiadu z Beneluksu, wyrzucony z Brukseli jako *persona non grata*, który pozostawił w Europie Środkowej rozgałęzioną sieć agentów, ukrytą pod szyldem handlowych firm i agencji reklamowych. Tutaj, do prawosławnej świątyni, jak na hasło, stawiał się kwiat sowieckiego wywiadu po instrukcje, wypisane cerkiewnosłowiańskim alfabetem na papierowej opasce, przykrywającej czoło zmarłego.

Bielosielcew z roztargnieniem słuchał litanii za zbawienie duszy, rozglądał się po cerkwi, a poprzez siwy pachnący dym, chwiejność świec,

czarne chusty i żałobne narzutki patrzyły na niego bystre pomarańczowe oczka dzikiego gołębia. Grecyzschnikow obserwował go. Jego poranny telefon, ich spotkanie przy trumnie, nie były przypadkowe. Zapowiadały ciąg dalszy. Wchłaniały w siebie mnóstwo większych i mniejszych wydarzeń: tych, co już się zdarzyły, i tych, które miały się zdarzyć. Opisane były w Światowym Prawie Przypadków, tak fundamentalnym, jak Prawo Ciężenia.

Zapach cieplarnianych kwiatów i słodkiego dymu, długotrwałe modły, odbłask świec w wypolerowanej miedzi, ikona Wszystkich Świętych, przypominająca różnokolorowymi płaszczami i aureolami, równymi szeregami i kształtami pudełko z motylami, w którym czerwieniła się afrykańska nimfalida, działały na Bielosielcewa jak narkoza. Miał wrażenie, jakby powoli to odrywał się od posadzki, wznosząc się aż do sześcioskrzydłego ducha, to unosił się poziomo nad trumną w smugach niebieskawego dymu.

Wydawało mu się, że jest wtopiony w ogromną kulę ze szkła. Szklanymi oczami widzi kamienistą gorącą górę z wydeptaną ścieżką; po płaskich płytach piaskowca stąpa bosa stopa - zakurzone brudne palce, nabrzmiała żyła, zadrapanie od przydrożnych cierni. Wychudzony człowiek niesie na ramionach krzyż, chwytą otwartymi ustami parzące powietrze, patrzy na zamglone słońce. Za nim znużeni żołnierze niosą długie włócznie, pogięte tarcze, wiaderko z octem, skrzynkę z gwoździami. I zwinna jaszczurka w popłochu uskoczyła pod kamień.

Bielosielcew doznał widzenia, które pojawiło się jak oderwana od przeszłości cząsteczka czasu. W niej, jak w kruchym zwierciadle, odbiła się góra, mgliste słońce, łyk żaru, który sparzył krtań człowieka, szczęk włócznie o wiadro i delikatna płochliwa jaszczurka, skrywająca się pod szarym kamieniem.

Przeżył chwilę jasnowidzenia, jakby ziarnko piasku przebiło skroń na wyłot, uniosło z sobą w przeszłość część jego istnienia. Powracał do świątyni w opary słodkawego dymu, w którym leżał zmarły. Duchowny

drżącym zaśpiewem obwieszczał: „Gdzie nie ma chorób, żalów, skarg...”

„Co tu robić w pozostałe na ziemi dni? - myślał Biełosielcew, patrząc w martwą twarz Suahili. - Jakiego czynu dokonać, aby stać się godnym Stwórcy? Jakimi czynami zakończyć upływający wiek? Jak poznać, że wysłuchano cię? Że czyn twój jest słuszny, przebaczenie otrzymane, odpuszczenie grzechów dane?”

Tymi słowami zwracał się do zmarłego generała Awdiejewa, który wyprawiał go na niebezpieczne wędrówki, a teraz sam odpływał w drogę bez powrotu, pozostawiając na ziemi swoich uczniów i współpracowników. Kapłan kołysał kadzidłem, rozwiewając w powietrzu zwiewny dym. Ludzie bili pokłony w kadzidlany dymie, czynili znaki krzyża. Biełosielcew podniósł rękę do czoła. Powoli, nie przestając stawiać pytań generałowi, przeżegnał się, przykładając palce do brzucha i obu ramion. I w tych miejscach poczuł oparzenie. Jakby na krzyż, po gołym ciele smagnięto go pokrzywą. Krzyż palił pod ubraniem i to była odpowiedź generała, przekazana z trumny. Pożegnalne pouczenie przesłane z tamtego świata.

Trumnę uniesiono i ruszono do drzwi. Na posadzce leżał zrzucony z trumny kwiatek.

Na cmentarzu Wagańkowskim żałobne zapachy rozkładu i rdzy unosiły się pośród ponurych drzew. Rozkopany na obie strony grób był podobny do rozwartych ust o brązowych wargach. Zwinni, podobni do marynarzy grabarze opuszczali na linach trumnę. Głucho stukały grudy ziemi o wieko. Jego, Biełosielcewa, palce pobrudzone były czerwoną ziemią, podobną do ziemi Afryki. W wilgotny, z grubsza uklepany pagórek wetknięto łodygi wiązanek, położono wilgotne wieńce. Z wolna rozchodzili się zebrani przy grobie ludzie - wielu z nich nie było sądzone spotkać się już nigdy.

- Wiktorze Andriejewiczu, my tu w wąskim gronie postanowiliśmy uczcić pamięć komendanta. - Grecyzsznikow zatrzymał go na cmentarnej alejce, wskazawszy na stojących opodal Burawkowa i Kopiejkę. - Przyłącz się... Wypijemy po kieliszku za Suahili... - I, nie doczekawszy

się odpowiedzi, ujął Bielosielcewa pod rękę i poprowadził wzdłuż granitowych nagrobków i żelaznych krzyży.

Rozdział drugi

Wsiedli do masywnego obszernego mercedesa z niemłodym milczącym kierowcą w czapce i szoferskich rękawiczkach. Sądząc po tym, jak Kopiejko otwierał przed pozostałymi drzwi z cichym plaśnięciem, a sam usiadł z przodu, przy kierowcy, i coś tam niezbyt głośno mu przykazał, samochód należał do niego. Zapadłszy w głębokie miękkie siedzenie, Bielosielcew po smutnej, pełnej wonnego dymu i jabłkowego aromatu cerkwi, po wilgotnym, pełnym butwiejących wieńców cmentarzu, znalazł się w przyjemnym cieple skórzanego wnętrza, pachnącego wodą kolońską, dobrym tytoniem, wśród wskaźników, cichej aksamitnej muzyki, zlewającej się z równym warkotem silnika dużej mocy, dzięki któremu samochód płynnie włączył się w szumiący potok ulicy.

- Rodzina zapraszała do domu, na wypominki, ale postanowiliśmy oddzielnie, w wąskim gronie tych, których szczególnie lubił komendant. - Grieczysznikow, odpoczywając od tłumy, rozkoszował się komfortem limuzyny, cieszył się ich zażyłością, był łączącym ogniwem ich małej wspólnoty. - A ciebie on wyjątkowo lubił, Wiktorze Andriejewiczu, wyróżniał. I niedawno, na kilka dni przed śmiercią, pytał o ciebie.

- On tylko nielicznych lubił, tylko nielicznym pozwolił zbliżyć się do siebie - Burawkow wyjął papierosnicę i wziął papierosa. Szperał w kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki i Kopiejko z przedniego siedzenia podał mu złotą zapalniczkę; w jej płomyku zajarzył się, zadymił koniusek aromatycznego papierosa. - Uszczypliwy był, ironiczny. Kiedy przedstawiał mnie do Orderu Czerwonej Gwiazdy, powiedział: „Pilnujcie,

Burawkow, żeby po waszych kontaktach z europejskimi dysydentami - w czerwonej pięcioramiennej gwiazdce nie wyrosło szóste, żółte ramie”.

- On rzeczywiście pana lubił, Wiktorze Andriejewiczu.

- Kopiejko odwrócił siwą, okrągłą głowę, sięgając ręką do papierosnicy Burawkowa. - Nawet byłem zazdrosny, kiedy nam stawał za wzór pańskie analizy. - I odwróciwszy się, wypuścił nad ostrzyżoną głową delikatny aromat tytoniu.

Biełosielcew dziwił się poufnej, prawie czulej bliskości, jaką wyczuwało się w stosunkach Kopiejki i Burawkowa. Obaj byli w różnych obozach. Służyli u dwóch wojowniczych wszechwładnych potentatów, którzy prowadzili ze sobą bezlitosną, na śmierć i życie, wojnę. Potentaci władali nieprzebranymi bogactwami, posiadali własne telewizje, podporządkowywali sobie partie polityczne, siły specjalne, komitety i ministerstwa w rządzie. Prowadzili walkę o najwyższą władzę w kraju, imając się najokrutniejszych i wymyślnych metod, które opracowywali dla nich Burawkow i Kopiejko. W ciągu tej walki dzieliło się społeczeństwo, rozpadały się korporacje, wybuchały strajki, dokonywano kryminalnych przestępstw, ludzie znikali bez śladu, wylatywały w powietrze limuzyny, a kraj, przylgnąwszy do telewizyjnych ekranów, widział odbicie starcia w nieustającej intrydze, skierowanej przeciwko choremu Prezydentowi, który okopał się na Kremlu, a którego szczuli i wykurzali niedawni przyjaciele i sojusznicy. Burawkow i Kopiejko byli strategami, którzy prowadzili wielopłaszczyznową bitwę ze zmiennym szczęściem. Stwarzali technologię nienawiści. Pograżali w nienawiści rozdarty na dwoje, rozgniewany naród. Sami zaś usadowili się wygodnie w mercedesie, gościnnie częstowali się drogimi papierosami, wzajemnie przypalając je złotą zapalniczką.

- Bardzo dobrze, że cię spotkaliśmy, Wiktorze Andriejewiczu. - Grieczysznikow był szczerze rad z nawiązanego z Biełosielcewem kontaktu po wielu latach wyobcowania. - Awdiejew cieszyłby się, widząc nas razem...

Za oknami płynnie jadącego auta migąła, złociła się Moskwa. Przejechali, jakby przelecieli na miękkich skrzydłach, Biegową z końmi i rydwanami, przypominającymi cesarski Rzym. Prospekt Leningradzki był zatłoczony samochodami, które zakorkowały ulicę, prawie ocierały się o siebie, jak ryby spieszące na tarło. Mercedes wynurzył się spod ich lśniących boków, włączył syrenę, wyrwał do przodu, omijając powolny strumień. Twerska, odświętna, przedwieczorna, tryskała reklamami, wystawami, wizerunkami urzekających kobiet w brylantowych koliach, pewnych siebie, znających cenę drogich papierosów i wody kolońskiej mężczyzn. Biełosielcewowi przyjemnie było mocnym bezgłośnym samochodem przejechać obok swego domu, obejrzawszy się na Puszkina z pochyloną głową, zieloną od patyny we włosach i fałdach płaszcza. Malinowy, triumfalny pałac i kniaź z brązu naprzeciw zrodziły chwilowe wspomnienie dzieciństwa, kiedy z mamą przechodził opustoszałą, niebieską od wody ulicą Gorkiego...

Na stoku wyrwali na czerwonym świetle, tygrysim rykiem klaksonu ogłaszając się wartownikowi. Wślizgnęli się w drogą mu, jedyną na ziemi przestrzeń, gdzie zawsze cieszył się zmieniającymi się widokami Maneżu, różowej ściany Kremla z biało-żółtym pałacem, Teatru Wielkiego z czarną kwadrygą, która przypominała nabrzmiały pączek, gotowy rozwinąć się w ciemnoczerwona różę.

Wyniosłe budynki na Łubiance, wieńczące wzgórze, ciągle jeszcze czymś do niego należały - proporcjami, regularnością wysokich okien i tymi wzruszającymi wrażeniami, kiedy wychodził przez ciężkie drzwi i od razu, na progu, na wilgotnym asfalcie, po którym spieszyli moskwiczanie, zaczynały się jego niebezpieczne wyprawy. Do Afganistanu, do Kampuczy, do Angoli, do Nikaragui - na inne kontynenty, połączone niewidzialnymi stropami z tym placem, na którym w deszczu, w śniegu, w rozpalonym moskiewskim żarze stał stożkowaty pomnik z brązu, dokładny i dźwięczny, jak metronom, zachowujący w swoim metalowym sercu groźny dźwięk paradnego czerwonego marsza. Plac był pusty,

pomnik zniesiony, i ta pustka wywoływała chore dławiące uczucie, podobne do winy i nienawiści, od których chciałoby się jak najszybciej uwolnić, minąć wytrzebiony plac.

Zjechali ze śliskiej, lśniącej nawierzchni, skoczyli w zaułek pomimo znaku zakazu. Niewzruszony kierowca prowadził auto w ciasnocie handlowych budynków, roztrzając sztukatorskie fasady chromowanym radiatorem, jak lodolamacz. Przejechali z tyłu GUM-u, gdzie wyładowywano towary, zwalając paki i skrzynie w nienasyconą czeluść piwnic. Wskoczyli na plac Czerwony, obok wartownika, który prześlizgnął się wzrokiem po numerach i oddał honory. Pomknęli po chrzęszczącej kostce wzdłuż ząbkowanej ściany i niebieskich stożków jodeł tak, jakby mieli zamiar wjechać w Spasską Bramę, co wzbudziło w Bielosielcewie uczucie trwogi, jakby go wbrew woli ciągnięto w niebezpieczną stronę, do różowo-siwego masywu. Sama baszta wyglądała jak wysoka kamienna jodła, obsypana śniegiem, z mroźnymi lokami i łuskowatymi szyszkami, między którymi złoć się, przeświecało zamglone słońce zegara.

- Na przyjęcie do Prezydenta? - uśmiechnął się Bielosielcew, patrząc przez otwór bramy w głąb, gdzie w oddali już było widać kopuły soborów.

- Niezupełnie - Grieczysznikow wesoło się roześmiał, gdy z zadowoleniem zauważył niepokój Bielosielcewa.

Mercedes prześlizgnął się w cień Miejsca Straceń, prawie dotykając stukolorowej kamiennej cerkwi Wasyla Błogosławionego, na której, jak na jesiennym oście, grzały się w ostatnich promieniach słońca ogromne motyle w czerwonych odcieniach - „pawie”, „admiralty”, „perłówki”.

- Przyjechaliśmy! - różnym głosem oznajmił Grieczysznikow, kiedy samochód stanął przy budynku, tuż przy Miejscu Straceń, parkując przy starym kamiennym ogrodzeniu. - Proszę do rezydencji „Fundacji”!

W ślad za Grieczysznikowem weszli w ledwie widoczne drzwi, za którymi spotkali ich ochroniarze. Krótco ostrzyżeni młodzieńcy, w lekko

wypchanych marynarkach, uśmiechnęli się do Grieczysznikowa, na Bielosielcewa popatrzyli oczami niemieckich owczarków. Przezroczysta jak górski kryształ winda uniosła się na piętro, gdzie czekał na nich milczący służący. Poprowadził ich zgiełkliwym korytarzem obok zamkniętych drzwi ze złożonymi galkami klamek. Otworzył skrzydłowe drzwi, i znaleźli się w obszernej sali, oślepiająco świecącej lakierem i kryształami.

Z boku na małym stoliku stały jeden przy drugim telefony - czerwone, białe, zielone, z tarczami, z guzikami albo całkiem gładkie, do jednego tajemniczego abonenta. Wydawało się, że gospodarz korzysta ze wszystkich rodzajów łączności, włącznie z kosmiczną i kablową, przełożoną po dnie oceanu.

Pośrodku sali stał nakryty na cztery osoby stół, jaśniejący porcelaną, szkłem, srebrnymi widelcami i łyżkami, z mnóstwem zakąsek z ryb i mięsa, które delikatnie różowiały i białą pod przezroczystymi pokrywami. Między półmiskami mieściła się bateria butelek. Od każdej padał na obrus złoty lub niebieskawy blask. Przy brzegu stołu stała duża fotografia Awdiejewa w mundurze generała, przed nią kieliszek wódki, nakryty skórką ciemnego chleba. W skromnym lichtarzu paliła się świeca.

- Proszę, koledzy, siadajcie, gdzie kto chce - Grieczysznikow zaprosił smutnym głosem, odpowiednim do żałobnej chwili. Bielosielcew usiadł przodem do ogromnego, sięgającego sufitu okna, i zobaczył sobór. Przez przezroczyste szyby przybliżyły się kopuły i dzwonnice. Zagłądały srogimi, milczącymi obliczami, nieruchomymi uważnymi oczami. Jakby duża rodzina zjawiała się na stypę i czekała, kiedy ją zaproszą. Dziadkowie, ojcowie i dzieci. Bracia, siostry, kuzyni. Zięciowie, synowie i bratowe. Rozwiane siwowłose brody. Wykładane kołnierze w różnych kolorach. Perłowe naszyjniki i koleczyki. Patrzyli na generała Awdiejewa, na płonąca świecę, na kieliszek, przykryty skórką chleba.

Otwierali butelki, nalewali wódkę, kładli na talerze soczyste czerwone płatki łososia, delikatne, białe, ze złocistym tłuszczem kawałki jesiotra.

- Pozwólcie... - Grieczysznikow wstał, trzymając w jednej ręce kieliszek, drugą ze zdenerwowania wygładzając krawat - Uczcijmy naszego komendanta, naszego towarzysza walki, naszego starego przyjaciela!... - Grieczysznikow skłonił się przed żalobną fotografią, z której chłodno i spokojnie obserwował go generał Awdiejew. - Niech mu ziemia lekką będzie i, jak to się mówi, królestwo Niebieskie... Dlatego że niedługo przed śmiercią komendant żegnał się krzyżem, i w domu był u niego mnich z klasztoru św. Trójcy i św. Siergieja, z którym on w tajemnicy gawędził... - Grieczysznikow zwracał się obecnie do zebranych twardym, mocnym głosem, świadczącym o przełamaniu bólu po stracie. - Komendant był człowiekiem rzadkich zalet. Jego wiedzy z różnych dziedzin mogli mu pozazdrościć akademicy. Był geniuszem wywiadu, święcie kochał naszą organizację. Jej nakazy, duch i prawa były dla niego religią. Ale najbardziej kochał Ojczyznę. Dla niej zniósł straszne tortury, będąc w niewoli, w rękach francuskiego kontrwywiadu, który, jak wiecie, wypróbowywał na nim psychotropowe preparaty... - Grieczysznikow był srogi i wzburzony, i to wzburzenie, udzieliło się pozostałym. - Będzie go nam brakować. Jego główne dzieło to nie to, czym się zajmował, siedząc w swoim gabinecie, wtedy, gdy kraj był kwitnący i potężny, a my, działając każdy w swojej specjalności, wierzyliśmy, że stoimy na straży jego interesów... Główne jego dzieło zaczęło się po rozpadzie kraju, kiedy do władzy doszli zdrajcy, a on znalazł w sobie siłę i rozum, by się nie poddać... - Głos Grieczysznikowa był metaliczny, wibrował od wewnętrznej pasji, aż chwiał się płomień świecy. Pomarańczowe oczka pały bezlitosnym okrutnym ogniem. - Jego nauki są w naszych sercach. Jego dzieło będzie kontynuowane. Zwycięzimy i w godzinie zwycięstwa przyjdziemy na twój grób... - Grieczysznikow znowu zwrócił się do portretu, stanął na baczność, przycisnął kieliszek do serca, wysoko

unosząc łokieć. - Staniemy przy twoim grobie i wypijemy za nasze Zwycięstwo!... - Przechylił kieliszek do ust, odsłoniwszy suchą szyję z silnie wystającą grdyką. Wszyscy wstali. Nie trącając się, patrząc na fotografię, wypili wódkę. Nie siadali, szanując tę jednoczącą ich minutę ciszy.

Bielosielcewa wzruszyła wspomnieniowa mowa Grecyzsznikowa. Znowu był wśród swoich, w kręgu towarzyszy boju. Znów odnalazł utraconą na wiele lat wspólnotę interesów. Rozumiał przyjaciół w pół słowa. Był członkiem zamkniętej kasty, związanej ideą służenia. Odznaczony nagrodami Ojczyzny. W bliznach i szramach, dla świata niewidocznych, otrzymanych na polach bitew całego świata w walce o godność i bezpieczeństwo kraju. Jednak w przemówieniu były słowa, których sensu nie zrozumiał. Zagadki pozostające nieodgadnionymi. Czując, jak wódka ciepło i przyjemnie rozjaśniła umysł, rozpamiętywał usłyszane słowa, zwracając uwagę na niedomówienia i aluzje.

Przełodzeni, wszyscy łapczywie, z apetytem jedli. Sięgali do półmisek po różowe plastry mięsa, srebrnymi łopatkami nakładali na talerze galarety, wbijali widelce w wołowe ozory, polewali sosami, doprawiali chrzanem i musztardą.

Świątynia za oknem zmieniła wygląd. Była podobna do olbrzymiego naczynia, na którym leżały czarowne owoce, wyhodowane w niebiańskich sadach. Wielkie miękkie jagody, kosmate łuskowate ananasy, soczyste grusze i jabłka, z dymnym nalotem kiście winogron. Podzielone na cząstki arbuzy kuśiły czerwonym miąższem, naszpikowanym czarnymi błyszczącymi ziarnami. Dynie, jak złote księżycy, roztaczały poświatę. Naczynie pływało za oknem i miało się ochotę wyciągnąć widelce, nadziać kruchą cząstkę arbuza, schwytać czepliwymi palcami ciężką kiść winogron. Ktoś niewidzialny sprawiał im poczęstunek. Przesyłał dary błogosławionych niebiańskich ogrodów.

- Pamiętam tę zgrozę w końcu sierpnia - na czole Burawkowa pojawiły się zmarszczki cierpienia, które obciążyły i przedłużyły jego gruby zwisający nos - na całym placu, na dole, wyjący tłum... Narkomani,

pijacy, pederasci... Machają trójkolorowymi szmatkami... Dźwig zacze-
pił pomnik żelazną pętlą za szyję, oderwał od piedestału... Reflektory
nakierowali na niego, rozhuścili jak na szubienicy... Patrzeć nie moż-
na... Pułkownik z kontrwywiadu wbiega, trzyma strzelbę: „Zaraz ich,
sukinsynów, zastrzelę!”. Opiera na parapecie łokieć, celuje przez szybę...
Podszedł do niego Awdiejew: „Zostawcie... Teraz nie pora... Oszczędźcie
się dla przyszłości...” Pułkownik do dziś dnia jest mu wdzięczny. Pracuje
dla wspólnej sprawy... - Burawkow od wypitej wódki i bolesnego wspo-
mnienia lekko się spocił. Poluzował jedwabny krawat, rozpiął oblamo-
waną koronką koszulę, obnażywszy siwy twardy zarost na piersi. Jego
silna ręka, otoczona śnieżnobiałym mankietem z malachitową spinką,
oparła się łokciem o stół. Poruszał tłustymi palcami jakby głaskał spust
strzelby.

- Pamiętam... - Kopiejko nalał wódki do kieliszków tak pełno, że
nad każdym utworzył się wypukły menisk. - Pamiętam, jak Bakatin,
śmierdzący zdrajca, wydał Amerykanom ambasadę, a nasi technicy
płakali, dlatego że w każdej cegielce było ukryte urządzenie za milion
rubli, i jeden saper, spec od pułapek minowych, chciał zaminować jego
stół, żeby mu jaja urwało i wyleciały przez okno jak rakietą z niebie-
skim płomieniem, Awdiejew mu zabronił: „Doczekamy się chwili, kiedy
wszystkich zdrajców zbierzemy na jedną barkę i wtedy ich wysadzicie
jednym ładunkiem...”. Wiecie, o kim mówię. To on w Pitrze w zeszłym
miesiącu sprzątnął dżipa cherokee'a tak, że tłumik leciał od Fontanki do
Mojki!... - Kopiejko złośliwie zachichotał, jego okrągła, ostrzyżona, po-
dobna do rzepa głowa, ubodła powietrze, i szybko opróżnił kieliszek.
Bielosielcew jednym haustem wysuszył małą, gorzką czarzę, która we-
wnątrz rozlała się równym ciepłem.

Wspomniane wydarzenia nie były mu znane. Wówczas pracował w
Dagestanie, kończąc obszerną analityczną pracę o wywrotowej działal-
ności na Kaukazie, gdzie siłami tureckiego i amerykańskiego wywiadu
cierpliwie zasiewano ziarno muzułmańskiego ekstremizmu, wyrastała

agentura wpływów, powstawał wzdłuż południowych granic „łuk niestabilności”. Po upadku kraju, po pogromie Łubianki napisał podanie i od razu podał się do dymisji, ratując się przed zwariowaniem.

Teraz chciwie słuchał swoich dawnych towarzyszy, poznając gorzką prawdę tamtych dni, prawdę, w której zgadywało się coś przemilczanego, roilo się od niedomówień. Wyczuwał w rozmowach ledwie zauważalne pauzy i opuszczenia. Pił wódkę, czuł przyjemny rausz, rozkoszował się smacznym jedzeniem i pięknym nakryciem stołu. Jednocześnie starał się rozszyfrować leżący przed oczami kryptogram.

Świątynia za oknem wydawała się wielką, różnokolorową maszyną. Wiertła, frezy, śruby. Wytoczone, zahartowane krawędzie. Najtrwalsze ryłce i nasadki zaczynały się obracać, warkotały, wbijały się w twardość, wiercąc, borując, drażąc, wykuwając. Leciwały niebieskie iskry. Skręcały się ogniste strużki. Sypała się przemielona kasza. Świat był detalem, w którym wytaczano nieznanne formy i kształty. Majster wyjmie detal, ciśnię do skwierczącej wody, a on, stygnąc, zaświeci, jak niebieski bruk na placu.

- Pamiętam, jak przyszedłem do jego gabinetu zdać raport. - Burakow poróżwiał od wypitej wódki. Syty, rozleniwiony, mówił powoli, podobny do ociężałego pelikana, którego żółtawe wole pełne było złowionej ryby. - Poprosił mnie bliżej stołu, otworzył ciekawą teczkę i pokazał schemat narysowany przez niego kolorowymi mazakami. „Oto metodyka przekazania władzy od Gorbaczowa do Jelcyna. Metoda Równoległego Centrum. Bardzo szybko powinno wydarzyć się coś, co rozbije główne Centrum i usunie Gorbaczowa. I jednocześnie zgubi kraj. Muszę zrozumieć, kto tu gra kluczową rolę. Być może ktoś, kto znajduje się w naszym budynku”. On polecił mi, bez wiedzy kierownictwa, rozpracować kilku wyższych urzędników państwowych, nie przebieając w środkach. Z dokładnością do tygodnia przepowiedział przewrót. Wiedział, że wśród członków GKChP jest zdrajca...

- To był geniusz, wizjoner... - dziwny cmokający dźwięk wydał Kopyjko, pochylił puszystą głowę i przez to upodobił się do leśnego szarego puchacza. - Tuż przed pogromem zdążył zabrać tajne akta agentury. Uratował siatkę, która teraz żyje i pracuje. Zdążył przelać pieniądze do komercyjnych firm, do fundacji, na osobiste konta w zagranicznych bankach. Pamiętacie, co mówił w czerwcu, miesiąc przed krachem? „Zadanie dla wszystkich na teraz - rozejść się i rozproszyć. Idźcie do biznesów, do organizacji społecznych, do cerkwi. Ukryjcie się i przeczekajcie klęskę. Przyjdzie czas, dam znak i wyjdziecie na powierzchnię...” Był geniuszem konspiracji. Działał szybko i dokładnie, jakby łowił siatką motyla. - Kopyjko popatrzył na Bielosielcewa, pragnąc tym porównaniem podkreślić, że zna jego zamiłowanie. Że pamięta o nieformalnej bliskości, łączącej Bielosielcewa i Awdiejewa dzięki entomologii.

- On cię bardzo cenil, Wiktorze Andriejewiczu. - Grieczysznikow wycelował pomarańczowe okrągłe oczka wystraszonego gołębia. - Mówił: „Strzeżcie Bielosielcewa. Nie wyciągajcie go za wcześnie. Tylko wtedy, kiedy przyjdzie pora...”, czuł do ciebie szczególną sympatię... Uczcijmy komendanta...

Znowu wypili, rzucając na obrus zajączki świetlne. W głowie Bielosielcewa zabłysła gwiazda, otoczona ognistą zorzą. Świątynia za oknem unosiła się we wszechświecie. Kolorowe promieniste słońca. Niebieskie mgliste księżyce. Planety, otoczone pierścieniami. Srebrne spirale galaktyk. Dyszały, płynęły, roztaczały tęczę w błysku komet i meteorów. Nieznany świat wypłynął z czarnej dziury, zbliżył się do szyb, chybotał się w bezwietrznej przestrzeni, rozsiewając kolorowe pióra promieni.

- Czy pan chce powiedzieć... - Bielosielcew czuł, jak w jego głowie zza ciemnego horyzontu pojawia się gwiazda w mglistej zorzy - chce pan powiedzieć, że istnieje tajna organizacja?... Że wy wszyscy należycie do związku?... Że działa założona w poprzednich latach sieć?... Że Suahili stał na czele organizacji?... I zaprosiliście mnie, żeby mi o tym powiedzieć?...

Grieczysznikow wstał. Na jego różowej podnieconej twarzy pojawiły się białe plamy, jakby na te miejsca ktoś nacisnął palcami i wycisnął krew. Czoło było różowe, a nasada nosa biała, twarda, jak odmrożona. Szczęki różowiały, pokryte ledwie widoczną siecią sklerotycznych żyłek, a kości policzkowe pozostały białe, koloru kuli bilardowej.

- Istnieje organizacja, Tajny Związek. Zdradzamy ci tę tajemnicę. Suahili prosił, żeby nie ruszać ciebie do czasu i nie ruszaliśmy. Obserwowaliśmy, jak się miotasz, miejsca sobie nie znajdujesz. Chcesz odnaleźć się w polityce, idziesz to do komunistów to do monarchistów. Bywasz na ich mityngach, demonstracjach i rozczarowany, nie znajdując godnych liderów, nie dostrzegając zrozumiałej polityki, uciekasz od nich. Obserwowaliśmy twoją nieudaną operację z dostawami technologii raketowej do Iranu, w wyniku której zginął odważny człowiek, „afganiec”, generał Iwlew, który przygotowywał przewrót wojskowy. Może dobrze się stało, że zginął, bo inaczej zawaliłby naszą strategię. Ze współczuciem obserwowaliśmy twój krótki i bolesny romans, kiedy ty, jak anioł, latałeś po Moskwie, a potem, pozbawiony sił, stałeś nocą pod lipami na terenie domu wariatów, patrzyłeś w okna sali, gdzie leżała twoja ukochana. Chcieliśmy ci pomóc, ale generał Awdiejew prosił, by cię nie ruszać. Czekać, kiedy się przydasz...

Bielosielcew doznał wrażenia bezbronności i bezradności. Mnóstwo niewidzialnych oczu obserwuje go, depczą mu po piętach, zagląдают do jego sypialni, czytają w myślach, podglądają sny, śledzą skryte popędy. Wszystko to wyciągają z niego i starannie przenoszą do przezroczystej probówki, w której, jak lekki dym, jest utrzymywana wiedza o jego życiu.

- Kto jest w Tajnym Stowarzyszeniu? - zapytał cicho, czując się motylem, którego wyjmują spod wilgotnej przezroczystej pokrywy i przenoszą na lipową deseczkę, pod silne światło lampy, odbijające się w nierdzewnej stali pincety. - Kto wchodzi w skład Związku?

- Opuściliśmy budynek na Łubiance, naszą sprofanowaną i wykłętą „alma mater”, dokąd skierowali się zdrajcy i szubrawcy - ryli w naszych archiwach, przetrząsali nasze dossier, zasiedli w naszych gabinetach. Rozeszliśmy się, żeby znowu się zejść. Suahili został sercem i mózgiem Związku. Nasi ludzie schronili się w armii, w milicji, we wszystkich służbach specjalnych. W większych bankach i ministerstwach, w społecznych organizacjach i ośrodkach kultury jesteśmy obecni nie rzucając się w oczy, na drugim planie. Jesteśmy w cerkwi, w międzynarodowych organizacjach, na Kremlu, w Administracji Prezydenta, we wszystkich, nawet najmniejszych, partiach politycznych. Za każdym znaczącym politykiem, fartownym biznesmenem, ostrym dziennikarzem stoi nasz człowiek. Wszyscy oni myślą, że są samodzielni, niepowtarzalni, mistrzowscy. Rozgrywają zawrotne kombinacje, olśniewające polityczne spektakle, chodzą na demonstracje, grzebią carów, organizują różne teleshows. Ale w każdej ich inicjatywie - w budowie cerkwi czy operacji bojowej, w nominacji na ministra czy owianej skandalem dymisji - jest skrycie obecna nasza wola, nasz umysł. Oni mogą być wrogami między sobą, kompromitować się nawzajem, zamawiać kilerów, ale my zawsze jesteśmy zgrani i nierozłączni... - Grieczysznikow popatrzył na Burawkowa i Kopiejkę, którzy należeli do dwóch bezlitośnie zwalczających się klanów, gotowych zniszczyć się wzajemnie. Obaj siedzieli razem. Ich łokcie stykały się. U obu w śnieżnobiałych mankietach były jednakowe malachitowe spinki.

Bielosielcew był motylem, którego trzymali metalową pincetą. Opuszczali na lipowe suche deseczki. Zagłębiali w długie ciało cieniutką szpilkę z oksydowanej stali. Rozkładali skrzydełka, ukazując drogocenny wzór. Napięte blaszki o różnych kolorach kładły się na drewnianą płaszczyznę. A nieruchome, ogromne, z niebieską rogówką oko patrzyło na wzory, z lubości rozszerzając źrenicę.

- Cel? - zapytał Bielosielcew prawie obojętnie, prawie nie interesując się odpowiedzią. - Jaki jest cel Związku?

- Rekonstrukcja państwa... W pełnym zakresie... Terytorialna całość... Od Kuszki do bieguna, od Brześcia do Władywostoku... Uchronienie narodu i odnowienie liczebności zaludnienia... Połączenie zerwanych euroazjatyckich linii komunikacyjnych, potencjałów przemysłowych, zapasów ropy naftowej, uranu, metali kolorowych... Odnowa wielkich przestrzeni... Wykorzystamy potencjał rozwojowy, nagromadzony przez Związek Radziecki, na szczęście wszystkie sekrety nauki, przemysł wojskowy i energetyczny znajdują się w naszych rękach... Odnowimy rolę Wielkiego Mocarstwa w światowej społeczności, tym bardziej że wszyscy dawni związkowcy są cali i czekają na nasz powrót do świata... Usuniemy z polityki i kultury zdrajców, wszystkich pasożytów, którzy ostali się z ówczesnego partyjnego systemu... wszędzie - w armii, w ideologii, w ekonomii - znajdują się nasze kadry... Kraj przywróci sobie przyszłość, ale już bez przegniłej partii, która sprzedała naród, bez zgniłej biurokracji i liberalnej wynaturzonej inteligencji... Takie jest krótko sformułowane zadanie, stojące przed członkami Związku...

On był motylem, rozpiętym na lipowym krzyżu. Jego głowa była przyciśnięta do deski, a skrzydełka w kolorowe wzory przyszpilone wyostrzoną stalą. Jego pierś była przebita stalową szpilką, i czuł, jak ostrze łączy przekłute plecy z włóknami suchego drewna. Jeszcze był żywy, ale do ust długą pincetą przytknięto mu watę, nasączoną eterem, i on dusił się w rozweselających oparach. Wielkie uważne oko z niebieską rogówką, z różowawą siatką źylek obserwowało go i czuł padający z góry oddech, poruszający włosy na jego piersiach i w kroku.

- Jak chcecie osiągnąć cel?... - zapytał Biełosielcew. Walcząc z eterowym odurzeniem, usiłował pojąć sens nieprawdopodobnych słów, jakie usłyszał. - Jak chcecie przejąć władzę?...

- Zrobimy to bez pospolitych urn wyborczych, do których od dziesięciu lat Ziuganow prowadzi naród pod czerwonym sztandarem. Jakby nie wiedział, że w każdej urnie siedzi ogromny szczur, którego tam wsadziła

Administracja Prezydenta, i który pożera wszystkie karty, głosujące na komunistów... - Grecyzsznikow pogardliwie wydał dolną wargę. - My to zrobimy bez narodowego buntu, nie powtarzając romantycznych i krwawych spektakli przy „Ostankino” i Domu Rad, zorganizowanych przez Anpiłowa i Makaszowa, po których przez trzy dni wynoszono trupy i palono je w krematoriach, a OMON, nachlawszy się darmowej wódki, gwałcił uwięzione studentki i przebijał wyciorami błony bębnekowe tym, którzy byli na barykadach... I, oczywiście, nie zrobimy przewrotu wojskowego Rochlina czy pańskiego przyjaciela Iwlewa, który nieuchronnie doprowadziłby do czołowego zderzenia dywizji bojowych i na całym terytorium rozpoczęłyby się walki, które przeszłyby w Drugą Domową z wybuchami jądrowymi w Woroneżu, Twerze, Petersburgu... Generał Awdiejew opracował inną strategię. Inną metodę...

- Na czym polega strategia Suahili?

- Tego się możesz dowiedzieć tylko wtedy, gdy staniesz się częścią planu. Nie możesz poznać planu i pozostawać poza nim. Jeśli zgadzasz się przystąpić do naszego Związku, pracować z nami w imię Ojczyzny, ja przedstawię ci strategię... Zgadzasz się?...

Wszystko było nieprawdopodobne, przypadkowe. Był w całej swojej pełni dokonywał się w stuwymiarowej przestrzeni świata, do której nie miało dostępu jego ograniczone życie, i pozostawało jedynie wierzyć w pozytywny sens bytu. Sześćskrzydły duch nad martwą głową Suahili. Jabłko w ręce nawiedzonego przed freskiem Sądu Ostatecznego. Cerkiw Wasyla Błogosławionego za wysokim oknem. Motyl schwytyany przez Awdiejewa przy francuskim poligonie w Kongo. Prokurator, kolekcjoner motyli, i jego pożądlivy śmiech z rana. Podobni do skrzydlatych towarzysze, którzy zlecieli się, aby pożegnać małego martwego ptaszka. Żywy Suahili, wysyłający go na afrykańską wyprawę. I martwy, po śmierci wzywający go do tajnego Związku. Wszystko układało się w tajemnicze Prawo Przypadkowości, które odkrył generał Awdiejew.

- Zgadzasz się? - pomarańczowe oczka Grieczyszniukowa świdrowały go. Płatki jego uszu były czerwone jak przezroczyste chińskie lampiony, a górne części były martwiczo białe, odmrożone, i można je było z chrzęstem odłamać. - Zgadzasz się przystąpić do Związku?...

- Tak - cicho odpowiedział Biełosielcew, jakby za niego odpowiedział ktoś inny, kto wszedł w jego nieżywe ciało.

- Wspaniale! Jeszcze jeden towarzysz wrócił! Wypijmy za nasz Związek!

Wstali i stuknęli się kieliszkami, aż wódka rozlała się na obrus. Zaparło im dech od gorąca. Burawkow obtarł sparzone usta mankietem, zostawiając na nim mokry ślad. Kopiejko z rozmachem postawił kieliszek na stół, aż płomień świecy zachybotał, prawie liznąwszy fotografię. Za oknem był rozpięty kolorowy - czerwony, złoty, zielony - motyl. Pokrywał niebo drogocennym pyłkiem.

- Tak więc, jak to się czyni w podobnych wypadkach, dokonamy obrzędu wtajemniczenia. - Grieczyszniukow objął Biełosielcewa, leciutko popychając go do drzwi. - Zrobimy mały spacer. Tak nakazywał Suahili...

Zjechali kryształową windą, przeszli obok milczącej ochrony i wyszli na plac Czerwony, gdzie czekał na nich mercedes.

Nie pytał, dokąd jadą. Patrzył, jak płynie obok nich czerwony niekończący się Kreml. Barka na rzece-Moskwie zostawiała wspaniałe grzywacze piany. Jak żywe srebro przelewał się potok aut z przeciwnika.

Zostawili z boku ulicę Sadowoje Kolco, podobną do sieci, szczególnie nabitej rybami. Wlecieli na Most Krymski, jakby ich wyrzuciło z katapulty. Na moment zahaczyli o Jakimankę z białymi pałacami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podjechali do Domu Artysty na Wale Krymskim. Opustoszały budynek, przy którym się zatrzymali i wyszli, zrodził w Biełosielcewie smutny i zarazem przyjemny niepokój. Tam, w chłodnych, pustych salach, w cichym świetle, wisiały ulubione obrazy. Czerwony koń ze złotym jeźdźcem w lazurowym jeziorze - Pietrowa-

Wodkina. Nocna, oleiście czarna Moskwa z żółtymi, cytrynowymi latarniami - Lentułowa. Niebieskozielone jesienne sady, obciążone rajskimi owocami, po które wyciągają się pomarańczowe kobiece ręce - Gonczarowej. I wśród tych obrazów - jego ulubiony, z bosymi stopami, stąpającymi po ciepłych deskach podłogi, przyzywa go do portretu przesłicznej kobiety w porannym stroju, siedzącej przed srebrnym lustrem toaletki pośród flakonów, spinek, grzebieni.

Grieczsznikow, Burawkow i Kopiejko poprowadzili go obok budynku w głąb alei twardym, ciężkim krokiem ludzi, znających swój cel.

Szli obok zielonej, przystrzyżonej łąki, na której stały rzeźby z brązu i kamienia. Kołchoźnicy w skamieniałych pozach podnosili nad głowami pszeniczne snopy. Kosmonauci wznosili muskularnymi rękami satelity Ziemi. Mocarni, nadzy do pasa kowale przekuwali wojenne miecze na lemieszce. Fizylierzy w hełmach i pelerynach szli do ataku. Przystojny uczonec i niezbyt młody inżynier rozwijali rulon ze szkicami.

Pomniki ozdabiały niegdyś portale i łuki okazałych sowieckich budynków, stały na postumentach w instytutach, uniwersytetach i ministerstwach. Po rozpadzie Czerwonego Imperium były zwiezione na to zielone pustkowie, postawione jak cmentarne nagrobki. Biełosielcew patrzył na nie z bolesnym uczuciem, jakby mu pokazano miejsce, gdzie były zakopane szczątki kochanego kraju, w którym się urodził i któremu ofiarnie służył. Rozkrojony na części kraj, jak wielka nieżywa istota, był pogrzebany na pustkowiu, a pod każdym pomnikiem, pod każdym rzeźbionym nagrobkiem ukryte były na zawsze jego kości, mięśnie, rozczłonkowane narządy, wprowadzające w ruch potężne ciało Imperium. Jego atomowe reaktory i cyklotrony. Łodzie podwodne i raketowe bunkry. Niezliczone miasta i zakłady. Symbole i ikony Czerwonej Religii. Wielorakie postacie Czerwonego Bożyszczka, które wzywało naród do wielkich bitew i które podarowało krajowi wielkie zwycięstwa. Teraz wszystko to, rozczłonkowane na martwe kawałki,gniło w ziemi. I nad

każdą mogiłą, jak skamieniali tancerze baletu, zastygli żołnierze, kosmonauci, hutnicy.

Przewodnicy milcząco, ciężko krocząc po chrzęszczącym żwirze, prowadzili go w głąb alei, podobni do zmiany warty, trzymającej równy krok. I on, Bielosielcew, był włączony w tę uroczyste poważną wartę.

Druga połowa obszernej zielonej łąki była obstawiona małymi kamiennymi potworkami z galerii rzeźby abstrakcyjnej, które były podobne do karłów z gołymi tyłkami, do psów z ludzkimi głowami, do jaszczurek z wilczymi karkami, zębatych ryb z kobiecymi piersiami, żab z męskimi członkami w wzwodzie. Małe utuczone cudaki, jakby zeszyły z paryskiej katedry Notre Dame, dokazywały w kałuży. Pieprzyły się, biły, wypróżniały, radośnie dogryzały jakąś padlinę, rozrzucały zadnimi łapami soczystą trawę, zakopując ekskrementy. I przy tym popatrywały wszystkie w jedną stronę czujnymi okrutnymi oczkami, jakby kogoś broniły, czujnie strzegły, gotowe rzucić się nagle całą zgrają, gryźć i szarpać.

Bielosielcew z obawą i obrzydzeniem przechodził obok kamiennych złośliwych potworków i, wszedłszy pod wysokie drzewa alei, zobaczył tego, kogo one strzegły.

Na wysokim cokole, pod gęstwą liści, stał brązowy Dzierżyński, prawie dotykając głową gałęzi, w wojskowym szynelu, poważny, dumnie wypinając pierś, jak wypinają ją przed rozstrzelaniem postawieni pod ścianą żołnierze, lekceważący śmierć. Cokół, z którym zlewał się szynel w kształcie dzwonu, nosił ślady znęcania się, w resztkach farby, kleksach i wyzwiskach tych, co dziesięć lat temu doprowadzili do strącenia pomnika. Na pokrytym patyną brązie zachował się ślad uderzenia, kiedy Okręt Czerwonego Imperium zderzył się z podwodną górą lodową i poszedł na dno, a postać z brązu na dziobie okrętu, pordzewiała, zniszczona, zgnieciona przez burzę, była wyrzucona na ciche moskiewskie pustkowie, pod jesienne drzewa.

Bielosielcew wpatrywał się w na pół starte wyzwiska, w zabrudzoną i wyszczerbioną tarczę i miecz, przymocowane do postumentu. A między

obelgami, bluźnierstwami, piatami łuszczącej się farby, w otworze po wyrwanych śrubach wstawiona była żywa czerwona róża.

Grieczysznikow, Burawkow i Kopiejko, zwalniając krok, powoli podnosząc i opuszczając nogi, jak warta honorowa, zbliżyli się do pomnika, zamarli, skłoniwszy głowy. Bielosielcew stał między nimi, czuł nieśmiałość, niepokój, narastające podniecenie, jakby pomnik wlewał w niego cudowną ożywczą energię.

- Wybacz, że nie uchroniliśmy... - kłaniając się pomnikowi, wypowiedział Grieczysznikow. W ślad za nim Burawkow i Kopiejko pochylili głowy. - Dzieło twoje żyje... Czekał cię nie zapomnieli.

Bielosielcewowi wydawało się, że pomnik ucieszył się z ich przybycia. Promieniowało od niego ledwie wyczuwalne ciepło, jakby pod metalowym odlewem zostało żywe, niewystygłe ciało. On był obaloną bożyszczem, zrzuconym z rozbitego, zbezczeszczonego ołtarza. A oni czterej, którzy przybyli do niego, byli jego tajnymi kapłanami, wiernymi sługami, zachowującymi nauki i przykazania odrzuconej religii.

- Przywrócimy cię na plac. Postawimy na prawowite miejsce... A ci, którzy cię obsmarowali, nakładali pętlę, powiozą cię z powrotem na swoich garbach. Wprzęgniemy ich do wozu i oni z wydętymi z wysiłku pępkami i przepuklinami powiozą cię na Łubiankę...

- Pójdziemy, Wiktorze Andriejewiczu... Teraz jesteś znowu z nami - powiedział Grieczysznikow, kiedy wracali od pomnika.

Małomówny szofer czekał na nich w mercedesie. Bielosielcew odmówił jazdy, pragnąc przejść się piechotą.

- Jutro zadzwonię, dokończymy rozmowę - Grieczysznikow ścisnął mu dłoń. Kopiejko i Burawkow w milczeniu wyciągnęły ręce.

- Jak się będziemy zwracać przez telefon? Wszyscy po imieniu? - Zapytał Bielosielcew, ściskając ręce towarzyszy.

- Tak w ogóle, to u nas każdy nosi imię ptaka. Burawkow - pelikan. Kopiejko - puchacz. Ja - dziki gołąb.

- A czym ja będę? - bez zdziwienia, zgadując wcześniej, jaka będzie odpowiedź, zapytał Biełosielcew.

- Ty? - Grieczysznikow uważnie przyglądał się Biełosielcewowi, jakby starał się w jego ludzkim wyglądzie odgadnąć wizerunek zwierzęcia na totem. - Ty będziesz szpakiem... Jutro zadzwonię...

Wsiedli do auta i masywny mercedes ruszył z cichnącym wyciem syreny na Most Krymski, rozpryskując liliowe światła.

Biełosielcew powoli wchodził na Most Krymski, przedzierając się między ogromnymi, padającymi z nieba, sinusoidami. Most przypominał naszkicowany w niebie wykres, przedstawiający puls żelaznego serca, jego uderzenia, przedzawałowe ścisiki, chorobliwe zamierania. Kardiogram miasta w liliowych dymach benzynowych spalin, w złocie soborów, w szumie lśniących, bez ustanku mknących samochodów.

Doszedł do połowy mostu. Zatrzymał się, dotknął rękami grubej żelaznej balustrady. Ręce czuły silne drgania, kołysania, głuche łaskoty i huki, przebiegające po metalowych dźwawkach. Był w środku olbrzymiego fortepianu, w którym dźwięczała groźna, hucząca muzyka. Rzeka w dole była niebieska, przedwieczorna, z połyskliwymi falami, jakby skrzydłem o wodę uderzał wielki ptak. Tam, gdzie rzeka skręcała do Kremla, kołysało się złote odbicie cerkwi Chrystusa Zbawiciela, jakby z kopuły prosto do rzeki ściekała płynna pozłota, a po tym przelewającym się, uderzającym o brzegi odbiciu płynęła czarna barka.

Widział Afrykę, która pojawiła mu się na rzece-Moskwie. On płynie w oceanie, bawi się zieloną gałązką, nurkuje pod mokre liście, całuje, obejmują ją. Biegnie po suchym zboczu za motylem, za jego szmaragdowym migotaniem, a na niebie zastygła nieruchoma, przepełniona wrzątkiem i ręciovym, trującym blaskiem, chmura. Maleńki, podobny do ważki samolot toczy się po płowej trawie, niesie na śmigle przezroczyste iskrzące słońce, zamienia się w czerwony wybuch. Piechota morska w pasie przyływu przeskakuje białą pianę, wychodzi na rudy skłon,

a daleko, w parnym powietrzu, łopocze wojenny sztandar. Afrykanka wychodzi z wody, ubranie przylgnęło do ciała, a przez mokry materiał przebijają jej sutki i gęste, kędzierzawe łono. MacWillen, wesoły, bystry, patrzy na niego, jak z lustra, uśmiecha się, obserwuje go z przeszłości.

Bielosielcew poczuł pieczenie na piersi. Stojąc na moście, patrząc na żółtą plamę odbicia, rozpiął koszulę i zobaczył na piersi długie, sięgające brzucha oparzenie, jakby chlaśnięto go pokrzywą, pozostawiając na skórze wodniste pęcherzyki. Druga rozpalona linia przecięła pierś od ramienia do ramienia. Krzyż palił jego skórę pod koszulą.

Wszystko miało sens. Miało wyjaśnienie w stuwymiarowej przestrzeni świata, gdzie istniał prawdziwy byt, ukryty przed ludzkimi oczami. A tu, na ziemi, w trójwymiarowej przestrzeni, na Moście Krymskim, ten byt ujawniał się jako oparzenie w kształcie krzyża, jako jabłko w kieszeni marynarki, подарowane przez nieznanego proroka.

Rozdział trzeci

Następnego dnia Bielosielcew, ledwie się obudził, zobaczył na ścianie znajomą plamę wodnistego słońca, pudełka ciemnofioletowych, perłowopierlistych nigeryjskich motyli. Natychmiast wypełniło go uczucie rzeźkości, gotowości, niecierpliwego oczekiwania. Zaczęło się jego nowe życie, przerywając senną, pozbawioną celu wegetację. Znowu był w szeregu, był wojskowym. Był częścią świadomej kolektywnej całości. Oczekiwał bojowego rozkazu. Podnosił się z łóżka jednocześnie z dzwięcącym sygnałem telefonu, podobnym do szalonego jerzyka, który wpadł do pokoju.

- Dzień dobry, szpaku! To ja, leśny gołąb! - usłyszał Bielosielcew dźwięki przypominające gruchanie dzikiego gołębia na czubku dębu. - Wiktorze Andriejewiczu, to ja, Grecyzsznikow! - rozległ się dobroduszny,

wesoły śmiech. - Odpocząłeś? Moglibyśmy się teraz zobaczyć?

- Przyjeżdżaj do mnie. - Bielosielcew z niepokojem obejrzał swój niesprzątnięty gabinet.

- Spotkajmy się w neutralnym miejscu. Przyjeźdź na taras widokowy, na Wróblowe Wzgórza, do Uniwersytetu. Stąd daleko widać. Pogadamy szczerze. Czekam na ciebie za godzinę... - I znowu gruchające gołębie dźwięki, szare, w perlistych trelach wole, ognistorude koraliki oczu.

Wyprowadził z garażu swoją czarną, podniszczoną wołgę. Potoczył się na miejsce spotkania, przygotował się duchowo do mającej nastąpić rozmowy, w czasie której miał poznać plan, w jakim będzie uczestniczyć. Zaparkował samochód na wilgotnym asfalcie przy różowo-szarym Uniwersytecie, który skosem ulatywał w wietrzną pustkę, samotny i piękny, jak pomysł wodza, który zostawił narodowi swój pożegnalny dar.

Już z daleka, przy balustradzie, między straganami i pojedynczymi handlarzami, Bielosielcew dostrzegł Grieczysznikowa. Ten się przecha-dzał, zaglądał do kramików z błazeńskimi matryoszkami z podobiznami Gorbaczowa i Jelcyna, przebierał w pamiątkowych chusteczkach z dwugłowymi orłami. Za jego głową, w mglistym błękitcie mierzwiły się zbocza, lśniła rzeka ze statkiem, okrągliła się arena Łuźnik. Moskwa, wśród obłoków i świetlistych promieni, migotała jak ogromna muszla perłowa, z perłami świątyń, klasztorów i pałaców, omglona leciutką zólcą nadchodzącej jesieni.

- Cieszę się, Wiktorze Andriejewiczu. - Twarz Grieczysznikowa była różowa. Świeży wiatr wydusił z pomarańczowych oczu dwie łezki, w których delikatnymi perłowymi pasemkami odbijała się Moskwa. Odziany był zwyczajnie, prawie biednie, jak mający dużo wolnego czasu emeryt w dzień świąteczny.

- Wypijemy po kuflu piwa, tam gdzie nie ma wiatru - kiwnął w stronę widniejącej na zboczu szklanej ściany z napisem Heineken. Przez przezroczystą ścianę widać było wymyślny porcelanowy kran, z którego barman wyciskał gęstą strugę piwa.

- Co nieco ci wyjawię, bo tu nie podsłucha nas żadne ucho.

Siedzieli w oszklonej piwiarni przy ciężkich kufiach.

Ostrożnie moczyli usta w białej, jak bita śmietana, pianie, by dostać się do cierpkiej goryczy. Na talerzach leżały lekko parujące różowe krewetki, podobne do malutkich rozgrzanych kobiet, które tylko co wyszły z parnej sauny.

Moskwa za szybą przelewała się, pstrzyła, rozbłyskiwała złotymi rozsypanymi cerkwiami, pasiastymi kominami, stalowymi koronkami mostów i baszt. Chram Chrystusa Zbawiciela wyglądał jak olbrzymia złota dynia, dojrzała w środku miasta pod padającymi niebiańskimi deszczami. Bielosielcew, patrząc na Moskwę, zachwycał się jej urodą, ale ani na chwilę nie zapomniał, że w mieście króluje wróg. Zajął Kreml, zasiadł w ministerstwach i sztabach wojskowych. Niewidoczny robak toczył złociste jabłko stolicy, umieścił swój tułów między jej placami i prospektami, wetknął łeb w Spasską Basztę, otoczył mocnym ogonem okolice.

- Mówiłem ci, że wszystkie znane metody przejęcia Kremla i odsunięcia Bałwana od władzy są nieskuteczne... Na wyborach ogłupiały, podzielony naród, jak stado baranów gna do urn, słuchając wrzasków telewizyjnych pastuchów, poganiany razami elektronicznych batów. Uroczyście stawia na listach kulfony, a komputer rechocze z łatwomiernych staruszek, wyświetlając na ekranie zaprogramowany wcześniej wynik... Przewrót wojskowy wykluczony przy zamroczonej świadomości oficerów, którzy w dzień w Sztabie Generalnym planują zwycięstwa w nieistniejących wojnach, a nocą idą na stację towarową rozładowywać ziemniaki, żeby zarobić na chleb. Tym oficerom, żeby przywrócić szacunek do samych siebie, konieczne jest malutkie zwycięstwo w malutkiej górskiej wojnie, a to, jak wiesz, w Czeczenii się nic wydarzyło... Powstanie narodowe jest niemożliwe, gdyż nasz naród woli wymierać po cichu przy śpiewie grupy „Na-Na”, niż chwycić łańcuchy czy widły i iść palić pałace żydowskich bankierów... Postawienie w stan oskarżenia nie może mieć miejsca, ponieważ do każdego ludowego deputowanego jest przylepiony tajny doradca, który w odpowiednim momencie wsuwa mu do

kieszeni kopertę z zielonymi wizytówkami George'a Washingtona... Pozostaje jedno - Grieczysznikow silnie dmuchnął w pianę, odsłaniając czarne lustro piwa, które natychmiast znowu się skryło pod puszystymi białymi płatkami. - Bałwan powinien dobrowolnie odejść z Kremla, przekazać władzę komu innemu, komu by wierzył jak synowi, pokochał jak siebie samego... Niezbędny jest człowiek - nazwijmy go umownie „Wybrańcem” - któremu, nie obawiając się kary za grzech śmiertelny, Bałwan wręczy walizeczkę i kluczyk... Taki człowiek istnieje... przesuwanie go na szczyt władzy stanowi istotę „Planu Suahili”, który opracował nieboszczyk generał Awdiejew...

Bielosielcew patrzył na Moskwę, którą oni, spiskowcy, mają odebrać wrogowi.

Tłumy, przerywając rzędy łańcuchów, przedzierając się przez kordony żołnierzy, wylewają się jak kipiąca smoła. Po Nowym Arbacie, mijając Maneż, do Kremla, natykają się na różowe pionowe ściany. Z czerwonymi i carskimi sztandarami, wystawiając ikony, padając pod ogniem karabinów, biegną do Bramy Borowickiej. Łamią szlabany, wrywają trzeszczące szczapki bramy, wdzierają się na Kreml. Obok soborów, pałaców, wściekły tupot tysięcy nóg. Arsenal, Dzwonnica Iwana Wielkiego, pałacowe skrzydło Białokamiennego. W budynku Senatu, w pustym gabinecie, wśród złota i jaspisu - Bałwan, chory i obłąkany. Za nogi, po schodach, głową o stopnie wloką na bruk, ciągną, zostawiając lepki ślad śluzu. Zszarganego, nieżywego, z wywalonym językiem ładują w lufę Car-armaty. Z hukiem ognia, w długim kosmatym płomieniu wystrzelują przez ścianę, do rzeki. Leci jak wielka wrona osmalony tłumok. Wpada do rzeki przy Ambasadzie Angielskiej, kołysze się, jak kawał szmaty, dymiąc, rozlewając na powierzchni warstwę ropy naftowej.

- Nasi wrogowie są mądrzy, ostrożni i niebezpieczni. Umieścili Bałwana w szczelnym kokonie z tysiąca warstw. Chronią go z bliska i na dalekich przedpolach. W jego kremlowskich komnatach i na granicach

kraju. Zajęli wszystkie szczeble władzy, obsadzili swoimi zausznikami. Ochroniarz i lekarz, kucharz i drapacz pięt, komendant dywizji i naczelnik Sztabu Generalnego, minister spraw wewnętrznych i minister kultury, telewizyjny potentat i ostatni redaktorek w zakichanej prowincjonalnej gazetce. Wszyscy, którzy zbliżają się do władzy, kontrolowani są skrupulatnie, pod lupą, prześwietlani rentgenem, badani wykrywaczem kłamstw. Sto pierścieni ochrony, jak wokół Saturna. Sto warstw obrony, jak na stacji atomowej. Nie przejdiesz, nie przenikniesz do przybytku. Ale Suahili znalazł przejście. Policzył szczeliny w ich obronie. Narysował jedyny możliwy labirynt, jak w grach komputerowych, którym można podejść do Bałwana, nie wylatując w powietrze, nie zahaczając o promień lasera, nie włączając systemu alarmowego. Geniusz planu polega na znajomości praw, według których działa władza. Na znajomości instynktów nowych ludzi żądnych władzy, którzy wyszli, jak robactwo, z najbardziej zepsutych warstw, zgromadzonych w głębi kraju. Nasi towarzysze, nasze ptaki, jak ich nazywamy, rozsiadły się na wszystkich gałęziach zaczarowanego lasu. Na każdej suchej gałęzi, w każdej głuchej dziupli, na każdym osmalonym wierzchołku siedzi nasz milczący ptak. Na ramieniu każdego zdrajcy, przy jego uchu, przy jego skroni, siedzi nasz sokół. Oni go wykorzystują do polowań na dzikie rosyjskie zwierzęta i nie zdają sobie sprawy, że w godzinie ich zabawy sokół wzięci, ale nie uderzy na lisa czy zającą, a na myśliwego, prosto w czoło, w skroń, w ciemię... Przeczytaj bajkę Puszkina o „Złotym koguciku...” - Grieczysz-nikow zaśmiał się tak, że w pianie w jego kuflu powstały wgłębenia.

Bielosielcew patrzył na Moskwę, na jej różowo-białe i cieliste odcienie, w których można było uchwycić technienie życia. Wśród białawych mgieł i ruchomych cieni świeciła wąska szpila wieży telewizyjnej Ostan-kino, zaostzona jak końcówka strzykawki. Już przygotowana ampulka trucizny. Bije w niebo cienka fontanna kropelek. Podstawiona skłuta, o

skręconych żyłach, ręka. Czerwony gumowy wąż wpił się w zwiotczającą skórę. W ciemnoniebieską żyłę wkłuwa się ostrze, powoli wpływa żółtawy roztwór. Na znużonej wycieńczonej twarzy narkomana, w niebieskawych jak księżyc białkach, pojawia się obłęd. Wielka, włochata, z czerwonymi wargami i różowymi kłami, chichocze twarz Swanidze.

Okrutne dni października. Tłum otoczył „Ostankino”. Generał Makaszow przez megafon zagrzewa ludzi do walki. Ciężarówka rozbija drzwi. Ryk, tłum triumfuje. Ze wszystkich pięt, przylepiwszy do szyb tłuste usta, rozpląszczywszy twarze o garbatych nosach, patrzy siła nieczysta. Rumiane rusalki o płaskich piersiach. Kosmate, porośnięte mchem diabły. Wymalowane dzikie wiedźmy. Rozpustne staruchy w bieliźnie. Zdeflorowani, zmanierowani chłopcy. Wszyscy czekają na zemstę. Patrzą, jak rozjarza się płomień, liże kondygnacje. Kozak ze złotą brodą grozi automatem. Robotnik w plastikowym kasku trzyma butelkę z benzyną. Z czarnych strzelnic BTR-ów, z otworów okiennych - krzyżowy ogień karabinów, stos dymiących trupów. Ucieczka tłumu, w który wwiercają się kule. Po plecach, po głowach, po karkach, drąc ubrania, zakrywają dłońmi rany, biegną, przeklinają i krzyczą. Z góry okrutnymi oczami żmii, jak ogromna żelazna kobra, patrzy wieża. Syczy, wypływa niebieskie płomienie, rzuca rtęciowe błyskawice. Krwawy marsz na „Ostankino”. Nieudany szturm Makaszowa.

- Jest Wybraniec. On jest niewidoczny. Nie zobaczysz go w tłumie nadętych gadatliwych polityków. Nie dojrzysz na kłamliwych konferencjach prasowych, pompacyjnych jubileuszach czy śmiesznych paradach wojskowych. Jest ukryty, zaszyfrowany. Jak wschodnia kobieta ukryta pod czarczafem. Zrzuci nakrycie w odpowiednim momencie, którego nikt się nie spodziewa. Nie zdążą go zniszczyć oszczerstwem, skompromitować, znieważać tanim publicznym spektaklem, czyniącym z polityka karykaturę. Pojawi się nagle, jak starożytny bohater-wybawca, na tle groźnych wydarzeń wstrząsających krajem, i naród uwierzy w niego jak

w zbawiciela. Wybierze go, jednego z tysięcy, poniesie na rękach. Długo go szukaliśmy. Przeglądaliśmy mnóstwo innych kandydatów. Badaliśmy każdy szczegół - od rodowodu do grupy krwi. Znaleźliśmy w końcu kruchą makową drobinę i zaczęliśmy hodować. Kiełek za kiełkiem, listek za listkiem. Przenosiliśmy z miejsca na miejsce, jeśli groziło niebezpieczeństwo. Przesadzaliśmy z grządki na grządkę. Pieliliśmy wokół niego chwasty. Teraz jest już wyhodowany. Z cieplarni będzie wysadzony do gruntu. On sam nie domyśla się roli, jaką mu przygotowaliśmy. Jest cennym owocem naszych zespołowych wysiłków. Nasz syn pułku. Wyhodowany w oranżerii naszego tajnego ruchu przez wielkiego ogrodnika Suahili. Jemu Bałwan odda klucz do kremłowskiego gabinetu i kluczyk od tajnej walizeczki z kodami jądrowymi...

Moskwa przelewała się szklanymi błyskami okien, białymi łuskami budynków, nerwami prospektów i ulic. Przypominała skrzydełko białego motyla z delikatnym kolorowym wzorem. Biełosielcew wpatrywał się w rozległą panoramę, rozróżniając włókna nerwowe i linie, prężne podpory, łączące miasto. Wieżowce swoimi szpicami umacniały Moskwę na ziemi, nie dawały jej odlecieć. Klasztory i świątynie łączyły ją z niebiosami, pchały w górę. Prospekty rozbiegały się w różne strony i - jak napięte liny - rozciągały ją na równinie.

Oddziały powstańców wychodziły z Domu Rad, atakowały ministerstwa i sztaby, przejmowały centra dowodzenia i łączności. Strzelanina przy obiekcie wojskowym w rejonie stacji metra „Dynamo”. Starcie w budynku agencji TASS. Próba przebicia się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zryw na drapacz chmur Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wydawało się, że jeszcze jeden wysiłek - i wróg będzie wygnany z miasta, wojsko poprze powstańców, ścigacze obrony przeciwniczej dogonią samoloty ze zdrajcami i wylądują na wojskowych lotniskach. Słaba wola wodzów pozbawiła powstańców zwycięstwa. Czołgi generała Orazowa waliły po Domu Rad, wrywając z białego budynku kłęby

ognia i sadzy. Pod ścianą stadionu oddział egzekucyjny generała Romanowa rozstrzeliwał pojmanych powstańców.

- Cel, jaki sobie postawiliśmy, jest wielki i święty. Rosja, tysiącletnia, wielka, ginie na naszych oczach na zawsze, jak Atlantyda, jak Majowie. My, tylko my, tajni patrioci Rosji, możemy ją uratować. Utrzymać na powierzchni, nie dać się pograżyć. Te dni, tygodnie i miesiące pokażą światu, czy Rosja i zamieszkujący ją lud uchroni się, czy też po Rosjanach zostanie mit Dostojewskiego, rulon kronik, przedwojenne wydanie Puszkina, znajdujące się w bibliotece Kongresu. Cel święty.

Środki do jego osiągnięcia nie mają ograniczeń. Wysadzenie stacji atomowej czy spalenie wieży Ostankino jest dopuszczalne dla osiągnięcia celu. Etyka członków naszego towarzystwa sprowadza się do absolutnego podporządkowania, do bezwarunkowego wypełnienia rozkazu. To nie ślepa tępota automatu, a swobodny wybór oficera, który złożył przysięgę na wierność Ojczyźnie i w dalszym ciągu ją wypełnia w warunkach okupacji. Powtarzam, święty cel usprawiedliwia wszelkie, prowadzące do zwycięstwa środki...

Biełosielcow był podniecony. Z radością słuchał uważnie Grieczysznikowa. Z góry się z nim zgadzał. Gotów był podporządkować się bractwu. Ryzykować, umierać, likwidować nienawistnych wrogów. Znowu nie był samotny, był z przyjaciółmi. Nagrodzony ich zaufaniem. Przyjęty do tajnego kręgu. Jego doświadczenie wywiadowcy, jego nienawiść i miłość, namiętne pragnienie służyć, zakończyć swoje długie życie przemyślanym wielkim czynem - wszystko to znajdowało teraz kształt. Moskwa w szlachetnym migotaniu kremlowskich soborów, spowita liliową mgiełką, w leciutkiej pozłocie jesieni, przyzywała go. Do swojej nagiej piersi, pulsującego serca, kochającego i nienawidzącego, przytulał Moskwę, skrapiał swoją krwią, otaczał opiekuńczym oddechem.

- Zgodnie z nakazem Suahili nie ruszaliśmy ciebie do czasu. Widzieliśmy, jak się przebijasz pod ziemią do okrążonego Domu Rad. Jak uciekasz w lasy od diabłów w czarnych maskach, kiedy po Moskwie

przetaczały się pogromy. Widzieliśmy twoją apatię, tęsknotę, miotanie. Obserwowaliśmy twoją wzruszającą miłość do obłąkanej piękności. Ale teraz czas nadszedł, jesteś nam potrzebny. Jesteś afrykanistą i ulubionym uczniem Suahili, a dzisiejsze rosyjskie życie przypomina Afrykę. „Rosyjska Afryka” - tak mówił Suahili. Jesteś specjalistą od muzulmańskich problemów, znawcą Wschodu, Kaukazu. Masz dawne kontakty z islamskimi przywódcami z Dagestanu, którzy wyznają wahhabizm. I jesteś entomologiem, posiadaczem unikalnej kolekcji, którą chce zobaczyć Prokurator, otrzymać od ciebie w prezencie kilka afrykańskich motyli. Jesteś nam potrzebny. Czy jesteś gotów, ryzykując życiem, zrzec się własnych ideałów i celów, służyć wspólnej sprawie uratowania kochanej Rosji?

Bielosielcew miał zawroty głowy. Ze szczytu Wróblowych Wzgórz widział Moskwę leżącą przed nim w całej jej kobiecej urodzie. Modliła się o obronę, ratunek. Siedzący przed nim człowiek, stary towarzysz, szef świętego bractwa, proponował mu władzę nad światem. Nad Kremlem, nad chramem Chrystusa, nad milionami niewidocznych istnień. Ze sfery tajemniczych zbieżności, niedostępnej umysłowi, odkryły się przed nim złote krople cerkwi, dachy białych pałaców, czterospadzi-
ste dachy dzwonnicy i wież. Bardzo dawna przypowieść, kiedy babcia, otworzywszy małą o złoconym brzegu Ewangelię, czytała mu o kuszeniu w pustyni, o dachu wysokiej świątyni, o królestwach świata, proponowanych do oddania we władanie. On był kuszony. Był wzięty z pustyni swojej samotności, z gorących piasków duchowej niemocy, gdzie mar-
niała i usychała jego dusza. Był postawiony na Wróblowych Wzgórzach przed obliczem ukochanego miasta, wzywającego pomocy. I tylko on jeden mógł je ochronić i uratować.

- Zgadzam się - powiedział Bielosielcew, patrząc w pytające oczy Grecyzsznikowa - rozporządzajcie mną do końca.

- No to pięknie, drogi szpaku! - wesoło, po prostacku roześmiał się Grecyzsznikow. - Trochę się zasiedzieliśmy... Żeby tylko ktoś nie zwrócił

uwagi... Chodź, na wszelki wypadek pojeździmy po mieście, oderwiemy się od ogona, jeśli się przyczepił...

Zostawili na stole niedopite kufle i mijając dwoje milczących ludzi, którzy odwrócili się od nich do balustrady, poszli do samochodu, na który spadł złocisty liść.

Bielosielcew prowadził samochód, starając się oderwać od „ogona”, który okazywał się a to małym skromnym żiguli, który przyczepił się jak natrętna mucha, a to wspaniałym volkswagenem, równo zachowującym dystans, toczącym się ich śladem. To pękającym ciężkim dżipem, niezdarnie depczącym po piętach. Usiłując zgubić ogon, Bielosielcew zagłębiał się w szumiący gąszcz ulicy Sadowoje Koko, wypychając się w lśniący potok aut, jak w gęste listowie. I wtedy wydawało mu się, że wszystkie auta go gonią, a on zrzucił je z siebie, jak pstry natrętny stos, nurkując w boczną uliczkę, przebijając się między willami ambasad i wiotkimi flagami, ciesząc się, że oszukał prześladowcę. Ale nagle malinowe volvo spod bramy siadało na ogon, zaczynało go prześladować między cerkiewkami i pałacami w stylu empire, i on znowu rzucił się w strumień Sadowej.

- Tu się zatrzymamy - powiedział Grecyzschnikow, wskazując na stary dom z białymi kolumnami, empirowym frontem ze sztukaterią, żeliwnym balkonem. Nad drewnianymi, starej roboty drzwiami czerniało oko kamery, w kamiennym fundamencie widniał żółty guzik dzwonka.

Milczący ochroniarze z pistoletami i radiostacjami wprowadzili ich w głąb willi, jaśniejszej nowością, kryształowymi żyrandolami, drogimi parkietami, meblami z czasów Puszkina, kominkowymi zegarami o kształtach antycznych bohaterów, obrazami starych mistrzów w złotych ramach. I wszystko to nagle znikło, przekształciło się w matowobiałą salę bez okien, gdzie równymi rzędami ustawione były śnieżnobiałe skrzynki maszyn liczących, stoły zastawione komputerami, na ekranach błyskały kolorowe tablice i wykresy, a dziesiątka operatorów w białych fartuchach bezszelestnie uderzała w klawisze, tworząc dziwaczną grę niebieskiego, zielonego, czerwonego.

- Pomyślnie? Bez przygód? - powitał ich Kopiejko, odziany w białe fartuch, z popielatoszarą okrągłą głową podobny do polarnej sowy. - Z radością was witam w naszej świątyni.

Kopiejko, który w tamtych czasach kierował wojskowym kontrwywiadem, po rozpadzie i odejściu z Łubianki poszedł na służbę do potentata Zarieckiego. Zorganizował mu rozbudowaną sieć ochrony, zbudował wywiad, zorganizował centrum analityczne. Przyczynił się do jego wzbogacenia i potęgi. Niezauważalnie śledził go, deptając mu po piętach i tworząc projekty, dzięki którym Zariecki wygrywał z konkurentami, przejmując ropę naftową i aluminium, rurociągi i koleje, kanały telewizyjne i banki. Przeniknął do najbliższego kręgu Prezydenta, stał się przyjacielem prezydenckiej rodziny. Oczarował i wciągnął w swoje sieci prezydenckie córki i zięciów. Wykorzystywał te stosunki do umocnienia swojego imperium, do usunięcia wrogów i przeciwników.

- Wszystko, co pan widzi - Kopiejko wodził białym rękawem po śnieżnobiałych, świecących ekranami komputerów, ścianach - wszystko to udało się uratować przed szubrawcami, kiedy gromili Łubiankę. Najlepsza technika obliczeniowa, najlepsi programiści, najlepsi analitycy. Nie daliśmy im zginąć, zebraliśmy do kupy, zapewniliśmy pracę i płace. Bez przerwy doskonalimy analityczne możliwości Centrum, kupujemy maszyny najnowszych generacji, zapraszamy najlepszych absolwentów uczelni. Możemy przeprowadzać globalną analizę, jak to kiedyś robiły nasze służby, prognozując światowe kryzysy, zmianę formacji politycznych w różnych częściach świata. Nic nie zginęło, ani jedna genialna metoda, ani jeden futurolog.

I wszystko pod płaszczykiem Zarieckiego. On finansuje Centrum, on daje mu zadania i zamówienia. Cała informacja, jaką wydobywamy, służy jego potędze. Ale w każdym momencie może być wykorzystana przeciwko niemu. Rozwali jego imperium. A sztuczny mózg w całości będzie zwrócony państwu...

Bielosielcew był zachwycony. Z uwielbieniem patrzył na Kopiejkę. W czasie gdy on, Bielosielcew, wiódł bezużyteczne życie, pogrążony w

przygnębieniu i bezczynności, chodził na próżno na mityngi, wpadał w depresję, chwycił ulotne miłosne szczęście, jego byli towarzysze działali. Walczyli. Oszukiwali wroga. Jak za czasów Wielkiej Wojny, kiedy Niemcy szli na Wschód, a spod nosa wywożono im towarowymi pociągami fabryki, instytuty naukowe, politechniki. Na Syberię, za Ural. I tam, w pustym polu, zaczynały pracować warsztaty, wytapiano lufy i naboje. Na tyłach przeciwnika tworzyła się podziemna sieć, składowano broń, pracowały radiostacje, a na wysadzonych szynach rdzewiały pociągi z czołgami, płonęły cysterny z paliwem. Patrzył na Kopiejkę, człowieka - sowę, zachwycając się jego genialnością.

- W naszych komputerach są informacje o wszystkich znanych osobach w kraju. O politykach, bankierach, przemysłowcach. O pisarzach i bandytach. O kapłanach i liderach partii. Ich ukrywane i jawne związki. Ich wady i zalety. Kompromitujące informacje. Kto przekazywał tajemnice agentom zagranicznych mocarstw. Kto brał udział w opłaconych zabójstwach. Kto jest pogrążony w grzechu rozpusty. - Kopiejko zatrzymał się przy operatorze, niemłodym mężczyźnie, którego suche żółtawe palce biegały po klawiszach, wybierając na ekranie skomplikowane schematy i wykresy. Migwały nazwiska oligarchów, nazwy zagranicznych firm, lobbowani w Dumie deputowani, członkowie prezydenckiej rodziny. I nieskończone ilości cyfr, podobne do niekończących się łańcuchów, na których siedzieli ludzie, podstępnie przez wywiad zamienieni w łańcuchowe zwierzęta.

- Przed zwróceniem się, na przykład, do jakiegokolwiek biskupa z prośbą o wstawiennictwo u gubernatora za przedstawicielem naszego regionalnego banku, zaglądamy do komputera i dowiadujemy się, jaki ten biskup posiada udział w handlu ropą i papierosami, jak jest powiązany z homoseksualnym skandalem w podległym mu klasztorze, jakie usługi świadczył naszemu resortowi w sowieckich czasach i jaka suma znajduje się na kontach jego świeckich siostrzeńców i sióstr. Prowadzimy

z nim rozmowy, czynimy aluzje do tych danych, czasem pokazujemy film z nagraniem zabaw mnichów w celi, ofiarujemy dary dla nowo wybudowanej cerkwi, i biskup ze wszystkich sił domaga się u gubernatora, by ten skierował pieniądze budżetowe do naszego banku... - Kopiejko lekko się uśmiechał, przechodząc do drugiego komputera, przy którym siedział młody człowiek z przepaską na czole i małym kolczykiem w uchu.

- Jest specjalny display, na którym ujawnione są potencjały wszystkich istniejących sił politycznych. Ich rywalizacja, ich tajne działania wzajemne, wzrost aktywności i okresy spadku. Ich wpływy w parlamencie i rządzie. Polityczna agentura w tych lub innych krajach. Źródła finansowania, w tym ze środowisk kryminalnych. Ich udział w ważniejszych państwowych wydarzeniach, socjalnych zamieszkach, ekonomicznych i wojskowych kryzysach... - Młody człowiek przy komputerze wysłał ekran różnobarwnymi polami, przypominającymi kwitnącą tundrę - białe, złote, ognistoczerwone, szmaragdowozielone, oślepiająco niebieskie, jakby kwitły mchy i porosty, pachniało bagno, chwiały się na wietrze jaskry, drgało słońce na powierzchni jezior i bagien. Wszystko ruszało się, zamieniało miejscami, zaciskało i rozszerzało, mieszały się kolory i odcienie. Tak były przedstawione wpływy i intensywność grup i partii politycznych, ich narodziny i rozpad.

- Możemy, na przykład, prześledzić historię choroby pod nazwą „Czernomyrdin”, jej powstanie, przekształcenie w epidemię, szczyt jej zgubnego wpływu i stopniowe wygaszanie i zwyrodnienie. W chwili jego rozmów z Basajewem, kiedy przerwał operację służb specjalnych w Budionowsku, a potem zdradziecko zatrzymał wojsko w Czeczenii na progu zwycięstwa. W porze jego „pokojoywej” misji w Jugosławii, kiedy on, żeby się przypodobać amerykańskim przyjaciółom, ustalił z Miloszewiczem pozorny pokój, sprzedając rosyjskie interesy na Bałkanach. Tu są nagrane jego tajne rozmowy w Nowym Jorku i Bonn, kiedy ogłosił zamiar kandydowania na Prezydenta. Jego żalodne odejście, gdy służby

specjalne przygroziły wyśledzeniem kradzieży gazu i ropy na wielką skalę... - Kopiejko mówił i, jakby odpowiadając na jego słowa, brudno-brązowa plama na ekranie, przedstawiająca wpływy Czernomyrdina, chwiała się, rozpełzała i zwęźała, jak wylana na wodę ropa.

Bielosielcew chciwie słuchał. To był jego świat, jego żywioł. Chaos, jaki go otaczał przez te lata, był sterowany. Pośród niszczących szaleńcych żywiołów znajdowało się ukryte, świadomie działające Centrum. Jego samotny, pozbawiony bodźców umysł, znalazł w końcu swoje podobieństwo. Jakby w ogromnym pozbawionym życia Kosmosie, między spalonymi martwymi galaktykami, czarnymi dziurami, krucha żywa planeta, przerażona swoją samotnością, przyjmowała list z innej oddalonej planety, na której jest życie i rozum, list potwierdzający sens istnienia, jego nieprzypadkowość.

- Jest program, który pokazuje główne tendencje w społeczeństwie. - Kopiejko zatrzymał się przy stole komputerowym, przy którym pracowała piękna kobieta, jej twarz wydawała się ciemna od delikatnego makijażu, a we włosach odbijał się blask ekranu. Ledwie wyczuwalnie pachniała perfumami, a upierścienione palce płynnie biegały po bezszumnych klawiszach. - Możemy prześledzić tempo spadku produkcji, krzywą umierania ludności, zużycie urządzeń stacji atomowych, wzrost wywożonych za granicę kapitałów. Możemy przepowiedzieć możliwość technogennych katastrof we flocie i lotnictwie, prawdopodobieństwo zamieszek na tle narodowym i „szynowych wojen”, narastanie konfliktów zbrojnych w Czeczenii i Dagestanie, gdzie szerzy się wahhabizm i dojrzewa bunt ekstremistów.

Kobieta przebierała palcami, spod których wybiegały różnokolorowe wykresy. Splatały się, wznosiły, opadały Odtwarzały umieranie ogromnego kraju, dotkniętego katastrofą, znajdującego się pod kroplówką na stole operacyjnym.

Bielosielcew wnikliwie patrzył, pojmując w pół słowa, odczytując wzory wykresów, jak muzyk odczytuje partyturę z zapisu nutowego.

Odnajdywał wśród mnóstwa linii tę sinusoide, która przedstawiała jego miotającą się myśl, przyływy jego nadziei, załamania jego tęsknoty.

Opuścili salę komputerową i siedzieli teraz w przytulnym empirycznym salonie przy owalnym stoliku z orzecha, wykończonym brązem, przed płonącym kominkiem, na którym stał porcelanowy zegar z kupidydami. Przyniesiono im kawę w filigranowych filiżankach ze starego pałacowego serwisu z wizerunkami Napoleona i Aleksandra I, dzbanuszek z mlekiem i cukiernicę ze złotymi obrzeżami. Biełosielcew z rozkoszą pił kawę drobnymi łyżkami, patrząc na płonące smoliste polano. O nic nie pytał. Zadowolony był ze sprawy, dla której go poświęcano. Powinien jeszcze wiele dowiedzieć się o projekcie, zanim wskażą mu jego zadanie.

Podstawą „Projektu Suahili” jest „teoria konfliktów”. - Kopiejko jako gospodarz gościnnie nalewał mleko z porcelanowego dzbanuszka do filiżanek Grieczysznikowa i Biełosielcewa. - Nasza umiejętność sztucznego stwarzania konfliktów i kierowania nimi, „kierowanie konfliktami” to sposób przeniknięcia do władzy i likwidacji przyczyn stojących na przeszkodzie. Robimy w monolitycznej obronie przeciwnika serię wyłomów i szczelin, prowadzących na Kreml, przez które ostrożnie, krok za krokiem, przesuujemy się do centrum władzy. W tym salonie, podczas tajnych dyskusji rodzą się „aktywne przedsięwzięcia”, które wpływają na Dumę, na członków gabinetu, na samego Prezydenta, a każda taka „aktywka” przybliżyła nas do zwycięstwa. „Teoria zwycięstwa oparta na konfliktach” - to główny instrument opanowania władzy, opracowany przez generała Awdiejewa...

Biełosielcew upajał się, wsłuchując się w sformułowania, od których odwykł wśród niedorzecznych fałszywych haseł, obłudnych modlitw, kłamliwych deklaracji. To był język jego plemienia, którym porozumiewał się jego naród, rozproszony, zhańbiony, wygnany z domu, pozbawiony swoich wodzów i proroków. Rozpoznawał swoich współplemieńców

po niepowtarzalnym języku, jaki zachowali po upadku Babilońskiej Wieży. Odnajdywał współwynawców dzięki ich wyrażeniom, zachowanym między wymieszanymi językami i narodami. „Teorię konfliktów” studiował pod Kandaharem, przeczesując z oddziałem specnazu pustynię Registan, gdzie atak śmigłowców rozgromił karawanę mudżahedinów; śmiertelnie ranne wielbłądy podrywały z piasku płaczące głowy, żołnierze rozpruwali nożami pasiaste toboły, wywalając automaty i miny, ocalałemu poganiaczowi krępowali sznurem ręce. „Teorię konfliktów” poznawał w dolinie rzeki Kunene, gdzie przemieszczały się bataliony RPA, płonęły trzciniowe chaty, oddział angolskiej piechoty porzucający broń uciekał, a śmigłowce koszącym lotem rozdmuchiwały trawę, strzelając do żołnierzy z karabinów. Tę „teorię kierowanych lokalnych konfliktów” zrozumiał na brzegu Rio-Coco, gdzie sandiniści w wilgotnym okopie kierowali działą na brązowy błyszczący potok, po którym na kanoe Indianie Meskitos uciekali przed pogonią, a pocisk podnosił na wodzie wysoką szumiącą fontannę. Tę „teorię tłących się konfliktów” sprawdzał w kampuczańskiej świątyni Angkor przed złoconym Buddą, którego drewniany tułów był przestrzelony serią, za oknem powoli posuwała się w kurzu wietnamska piechota, grzechotały zdobyczne amerykańskie czołgi i ciągnęły umęczone szeregi pogorzalców i uchodźców.

Teraz, słuchając starego towarzysza, rozkoszował się jego twardym, metalicznym słownictwem, które jak papier ścierny zdzierало z duszy rdzę pustosłowa.

- Publiczność, obserwując Zarickiego, jego wpływ na rodzinę Prezydenta, nieustanne działania, które powiększają jego miliardowy majątek, mistrzowskie polityczne kombinacje, od których trzęsie się kraj, padają rządy, zaczynają się przygraniczne wojny - nasza krótkowzroczna publika myśli, że ja jestem jego sługą i niewolnikiem, posłusznym wykonawcą jego woli, włóczęgą, przedłużającą jego rękę. - Kopiejko obrzucił wesołymi oczami salon, z lubością oglądając każdy kryształek żyrandola, każdy załamek na sztukatorskim gzymsie, każde złocenie porcelanowego zegara

ze śmiesznymi kupidynami, rozkoszował się wykończeniem staromodnego wnętrza, jego muzealną oryginalnością. - Ale nikt się nie domyśla, że wszystkie operacje finansowe i polityczne projekty, które uczyniły Zarickiego miliarderem, zostały dokonane z naszą pomocą, przy wykorzystaniu naszych kontaktów, naszego wywiadu, analityków i wykonawców, których pan, Wiktorze Andriejewiczu, mógł spotkać w Afganistanie, w grupach specjalnych naszego resortu. - Kopiajko rozkoszował się komfortem wokół siebie. Grubym polanem w kominku, nad którym unosił się złocisto-niebieski płomień. Politurowanym stolikiem z orzecha, w którym, jak w tafli lodu, odbijały się filiżanki i dzbanek. Wysokim półokrągłym oknem, pełnym srebrzystego drgającego słońca. Nasłuchiwał, jakby za drzwiami, w sąsiedniej tanecznej sali, lada chwila miały się rozleć dźwięki fortepianu.

- To my przeniknęliśmy do państwowych banków i, złamawszy kody, za pomocą fałszywych awizo wykradliśmy ogromne pieniądze, przetrzucając je na zagraniczne konta Zarickiego, i zwaliliśmy tę kradzież na Czezeńców. My, wykorzystując kontakty między połowymi komendantami Afganistanu, wojskowymi Tadżykami, rosyjskimi pogranicznikami i celnikami, zorganizowaliśmy przerzut narkotyków z Laszkargachu przez Rosję do Europy Zachodniej, a następnie wypraliśmy pieniądze w kasynach Warszawy i Budapesztu, które są kontrolowane przez Zarickiego. Stworzyliśmy przemyślny łańcuch podstawionych firm i niepodlegających regulacji państwa stref, i tam przetrucane są przydzielane Rosji kredyty Międzynarodowego Funduszu Walutowego - wyciekają do nowojorskich banków, powiększając bogactwo Zarickiego o miliard dolarów rocznie. Pomogliśmy mu zawładnąć największym kanałem telewizji, usuwając niebezpiecznego konkurenta, po którym do dzisiaj płaczą liberalni dziennikarze, obchodząc co roku dzień tragicznego morderstwa, kiedy to bożyszcze tłumu i sprytny handlowiec został znaleziony na klatce schodowej z zakrwawionymi rękami. I to

nasi specjaliści, pracujący z izotopami, umieścili kapsułkę z kalifornem w oparciu krzesła, na którym lubił siedzieć jeden z fartownych przeciwników Zarieckiego, i tamten umarł na galopującego raka mózgu. - Koję ostrożnie dotknął porcelanowej filiżanki, tak cienkiej, że przeświecała w słońcu jak różowy płatek kobiecego ucha. Cesarz Napoleon w wojskowym mundurze był co nieco zatarty od wielu dotknięć, jak zmatowiały wzór na skrzydełku motyla, którego wymięły deszcze i wiatry.

- Może wydawać się, że tym wszystkim włada Zariecki. Ale to iluzja. Jego bogactwo jest przez nas tak skonstruowane, że wisi na cienkim włosku. Odcina się Zarieckiego i wszystko przechodzi w nasze ręce. Gromadziliśmy to bogactwo tylko wykorzystując jego nazwisko, nie dla niego, a dla nas. Zaoszczędzone, skoncentrowane, istniejące, ono będzie pracowało nie na potentata Zarieckiego, którego pochowają w nieznanym grobie gdziekolwiek w Ameryce Łacińskiej, a na rosyjskie państwo, któremu przysięgaliśmy wierność...

Bielosielcew czuł, że policzki palą go jak młodzika. Oczy, powleczone wilgotną błoną, patrzyły bystro, rozróżniając maleńkie zagłębienia w marmurowej płycie kominka. Nozdrza delikatnie chwytały zapachy jodłowego dymu i gorzkawej brazylijskiej kawy. Słuch wyławiał ciche potrzaskiwania płonącego polana, w którym gotowały się żywiczne soki. To, co usłyszał, nie odstraszało, a zachwycalo. W walce z odrażającym złem, które zabijało naród, były dozwolone wszelkie metody i środki, jeśli służyły walce i zwycięstwu. On, wywiadowca, był gotów bić się według reguł bezlitosnej wojny, do której go przygotowano, w której poniósł porażkę, a teraz, kiedy odnalazł ocalałych współtowarzyszy, był szczęśliwy, mogąc kontynuować bitwę.

- Razem z Zarieckim wciągnęliśmy w nielegalny biznes wielu wysokich urzędników, ministrów rządu, czynnych generałów, oficerów bezpieczeństwa. Ostrożnie i niezauważalnie włączyliśmy w jego dochodowe kryminalne sprawy Administrację Prezydenta, córki i krewnych Bałwana, samego Bałwana, którego umazaliśmy kleksami ropy naftowej,

krwawymi bryzgami, obsypaliśmy brylantami paluszki jego czarujących pożądliwych córeczek, wybudowaliśmy w Austriackich Alpach, na Lazurowym Wybrzeżu, na wybrzeżach Hiszpanii pałacyki i wille, zapisane na Sierpniową rodzinę. A kiedy wszyscy zaplątali się w przestępczy kłębek z łapówek, nielegalnych sprzeniewierzeń, niewyjaśnionych zabójstw, zrobiliśmy przeciek. Najpierw do francuskich gazet - o rosyjskich kontaktach w oddziałach banku „Barklay”. Potem do amerykańskich - o nielegalnym praniu pieniędzy w „Bank of New York”. Potem zamieściliśmy w angielskich czasopismach zdjęcie willi w Bawarii, подарowanej prezydenckiej córce przez bogatego bankiera. Potem dostarczyliśmy szwajcarskiej prokuraturze trochę informacji o łapówkach i operacjach z dolarami za narkotyki. I skandal zaczął się rozrastać, jak kwitnąca georginia z pełnymi płatkami. Mówiono o nim w amerykańskim Kongresie, o nim szeptano na międzynarodowych zjazdach, zaczęli się nim zajmować prokuratorzy kilku krajów. I co najważniejsze - zaczął się nim zajmować nasz Prokurator, zaczęły pisać nasze gazety. Stopniowo Kreml zaczął wydawać się miejscem, dokąd zwozi się kradzione łupy, gdzie zagnieżdżyła się brudna mafia, gdzie przechowuje się narkotyki, magazynuje fałszywe dolary, gdzie odbywają się orgie jak w Sodomie. Prezydent ze swoją świtą stał się celem bezlitosnej krytyki ze strony konkurentów. Łysego Mera, marzącego, by wjechać na Kreml, mnóstwa żarłocznych jak piranie dziennikarzy, kupionych przez Mera, i głównie - Prokuratora, który założył sprawę karną „o korupcję na kremlowskich szczytach”. Powstał konflikt, w który włączają się coraz to nowe siły, dzieląc klasę rządzącą na dwie frakcje. Dzielą armię, bezpieczeństwo, rząd, wspólnotę oligarchów. Jako że przeciwnik Zarieckiego, którym niezauważalnie kieruje nasz mądry towarzysz Burawkow, utalentowany Astros, włączył się w konflikt po stronie Prokuratora i Mera z, całą mocą swojego telewizyjnego imperium, swoich kapitałów, międzynarodowych żydowskich kontaktów, przekształcając to starcie w preludium wojny domowej. W monolitycznym lodowcu powstała szczelina, pojawił się prześwit wolnej

wody, i tam skierowaliśmy nasze maleńkie zwinne czółno - „Pirogę Suahili”. - Kopiejko rozchichotał się, pokazując równe sztuczne zęby, które sprawiały, że wyglądał wiecznie młodo.

Bielosielcew odczuwał delikatną rozkosz, jak od dźwięków ulubionej muzyki albo oglądania ulubionych obrazów. Wyrafinowana sztuka kierowania ludzkimi wadami, namiętnościami i żądzami, rozpracowana w judejskich domach modlitw, udoskonalona w przybytkach egipskich kapłanów, sprawdzona w rzymskich pałacach i łaźniach, olśniewająco wykorzystywana przez watykańskich nuncjuszy, weszła do polityki Stalina, który umiejętnie szczuł i skłócał swoich najgorszych wrogów. Rękami jednych likwidować drugich, a ostatnich, co stracili siły w krwawym konflikcie, przykuć do swojego politycznego rydwanu, włócząc po bruku pięciolatek, kolektywizacji i czystek. Po czym został jedynym władcą Czerwonego Imperium, któremu nadał rangę światowego i kosmicznego. Ta metoda, wypróbowana od czasów biblijnych, w doskonalszej formie stosowana przez Dzierżyńskiego i Berię, była teraz jedynym środkiem walki, którą prowadzili tajni agenci. I on, Bielosielcew, nie miał wyrzutów sumienia. Mając opanowaną metodę, był gotów włączyć się do walki.

- W tę szczelinę, stopniowo ją poszerzając, nie pozwalając, by się zamknęła, wprowadziliśmy Wybrańca. Prowadzimy go w niezauważalny dla oka sposób. Ja mam zadanie opiekować się Zariieckim. Kierować jego działaniami. Jego rękoma torować drogę Wybrańcowi do władzy. A potem zlikwidować potentata. Wykorzystałem tysiące sposobów, żeby uczynić go potężnym. I znam tysiące sposobów, żeby go zetrzeć na proch. Znamy jego nawyki, jeden z nich skłania go do zamykania się w łazience, i tam, wśród pianistych szamponów i luster, zajmuje się miłosnymi igraszkami z samym sobą. Znane nam są wiersze Baudelaire'a, których nauczył się na pamięć i w których widzi odzwierciedlenie swojego masochizmu i swojej patologicznej ambicji. Mamy pełną historię jego chorób od wczesnego dzieciństwa, włącznie z zaburzeniami

psychicznymi i wenerycznymi infekcjami. Mamy odciski jego palców, szczęk, zdjęcia rentgenowskie szkieletu, próbki włosów, dane kodu genetycznego. Mamy wykresy jego zachowań w przypadku sukcesu, niepowodzenia, śmiertelnego zagrożenia, ataków mizantropii. Kiedy zamknie się koło wokół niego i ucieknie z Rosji, zrobi sobie operację plastyczną, nałoży perukę, zapuści wąsy, to my i tak go rozpoznamy. Znajdziemy w jakiegokolwiek, choćby najmniejszej, portorykańskiej osadzie na brzegu oceanu, a nasz snajper puści kulkę przez otwarte okno, przy którym tamten będzie drzemał w wyplatany fotelu z tomikiem Baudelaire'a w ręku. Zakopimy go w rudej glinie nasypu, pod transamerykańską szosą, a nad jego kośćmi będą przemykać niezliczone auta tych, którym chciał się przypodobać, z którymi pragnął rządzić, którymi gardził i których bał się, i którzy nigdy więcej o nim nie wspomną.

Grieczysznikow cały ten czas milczał, pomarańczowe oczy nieco przysłonił suchymi powiekami koloru popiołu, sądząc, że z ust Kopiejki Bielosielcew otrzymuje wyczerpujące informacje, niezbędne na początek. Ale właśnie powieki jego podniosły się, okrągłe oczka wbiły się w zegar z kupidynami.

- Czas na nas - powiedział, wstając - czekają na nas na Kremlu.

Bielosielcew, nie dopytując się, niczemu się nie dziwiąc, wyszedł z gościnnego pokoju.

Rozdział czwarty

Załadowali się do znajomego mercedesa z milczącym szoferem w kepi. Przecieli most Kamienny, z którego Kreml wydawał się znikającą w błękicie górą z czerwonymi, białymi i złotymi schodami. Skręcili przy Baszcie Troickiej, gdzie dyżurny milicjant, dostrzegłszy numery ich wyglansowanej limuzyny, zapalił zielone światło semafora. Auto

zachręściło na brukowanej kostce i znalazło się na terenie Kremla. Samochód zatrzymał się na placu Iwanowskim, na którym już stało kilka drogich ciężkich aut. Wysiedli i ruszyli przez plac do Pałacu, obok dzwonu i armaty, należących niegdyś do plemienia olbrzymów - dzwonników i artylerzystów - którzy odeszli z Moskwy za Wołgę, za Ural, na Syberię, nad Jenisej, gdzie skamienieli, zamieniając się w Słupy Krasnojarskie.

Dla Biełosielcewa Kreml był tajemniczym, rodzimym, najcieplejszym i dobrym miejscem na ziemi, które go karmiło jak matczyna pierś. Dziecięce rysunki z ząbkowaną ścianą i basztami, nad którymi świeciły ogromne pięcioramienne gwiazdy i wlatywały różnokolorowe fajerwerki salutów. Noworoczna choinka na Kremlu, dokąd przyprowadziła go babcia, a on zadarł głowę i patrzył na żywiczne pachnące cudzo, obwieszane zabawkami i bombkami pośród kryształów i białego marmuru. Georgijewska Komnata ze złotą heraldyką pułków gwardyjskich, dokąd go zapraszano na wręczanie nagród, a on przyjmował bojowe orderzy za wyprawę afgańską, za Kampuczę i Afrykę, za operację wywiadowczą w dżungli nad Rio-Coco.

Na paradnym skrzydle powitali ich ochroniarze, którzy przyjaźnie i z poważaniem uklonili się Grecyzownikowi i Kopiejce, jak dobrze znanym i szanowanym gościom. Szerokimi pustymi schodami wchodzili na górę. Biełosielcew patrzył na coraz bliższy olbrzymi obraz w złoczonej ramie, na którym mrocznymi ciemnymi farbami była przedstawiona krwawa bitwa na Kulikowym Polu. Przypomniawszy sobie, jak patrzył na ten obraz wiele lat temu, wchodząc uroczyście po schodach razem z wieloma delegatami do kremłowskiej sali, w której odbywała się sesja i omawiano plany i osiągnięcia kraju. Przeszli po drogim parkiecie, pod wysokim rześniętym oświetlonym plafonem. Przez biało-złote uchylone skrzydła drzwi, jak oślepiająca bryła lodu z refleksami kryształowego słońca, mignęła Georgijewska Komnata. Zbliżyli się do drzwi, za którymi Biełosielcew ze wzruszeniem oczekiwał znajomej przestronności głównej sali

kraju, z rzędami dębowych krzeseł, ze stopniowanym podwyższeniem prezydium, z rzeźbionym godłem na masywnej drewnianej trybunie. Z tej trybuny, przed czarnymi siatkami mikrofonów, przez pół wieku, zmieniając się, czytali referaty wodzowie. Sala, klaszcząc w dłonie, wstawiała, patrzyła z uwielbieniem na wąsatą twarz, na szczelnie zapięty frencz. Lenin z białego marmuru, wyrzeźbiony z kamienia księżycowego, słabo poblaskiwał we wnęce.

Drzwi otworzyły się, Bielosielcew jęknął, zacisnął na chwilę powieki. Nie było równych rzędów, mglistego półmroku nisz, drewnianej trybuny z godłem, posągu z księżycowego kamienia. Oślepiająco jaśniała sala z marmuru, malachitu i jaspisu. Skrzył się kosztowny żyrandol. Złoto biło w oczy. Ze ścian zwieszały się jedwabne sztandary i flagi, niebieskie atlasowe szarfy. Freski, obrazy ozdabiały wysokie ściany. Wznosiły się wysoko modelowane sufity i plafony.

Bielosielcew stanął wstrząśnięty. Wydawało się, że połowę Kremla, surową, mroczną, przesiąkniętą żelaznym duchem epoki, odpilowano i dokądś zabrano. A w jej miejsce przystawiono nową, stworzoną przez mistrzów kosztownych dekoracji, kostiumologów, muzealnych zbieraczy herbów i starych sztandarów. Sala, błyszcząc pozłotą i farbą, wyglądała jak sklejona z papier-mâche, i miało się ochotę podejść i dotknąć palcem malachitu czy jaspisu, żeby poczuć miękkość kartonu i lepkość niedoschniętej farby.

- W nowych bukłakach świeże wino - uśmiechnął się Grieczysznikow, zauważywszy zdziwienie Bielosielcewa - cara jeszcze nie ma, a komnaty gotowe...

Przeszli wspaniałą pustą przestrzeń. Dwaj ochroniarze otworzyli przed nimi nowe drzwi i znaleźli się w innej olśniewającej sali, jeszcze bogatszej i wspanialszej. Bielosielcew okrągłymi ze zdumienia i lęku oczami zdążył dostrzec podium z carskim tronem i wielką kotarę z gro-nostajów, przestronne, pełne słońca okna i, pośrodku próżni, oblany blaskiem, owalny stół, zastawiony potrawami. Siedzący za stołem ludzie,

z łatwością rozpoznawalni, zaszokowali Bielosielcewa, i patrzył teraz tylko na nich, chcąc się upewnić, że to nie aktorzy, odgrywający role pierwszych osobistości w państwie, a prawdziwi notable.

Zariecki zasiadał pośrodku stołu jako gospodarz i wodzirej, gestykułując ściągał na siebie uwagę, i Bielosielcew zdumiał się jego podobieństwem do dużej czarniawej wiewiórki. Jego wąską czaszkę pokrywał wyleniały, z plackami łysiny, włos, wąskie ramiona przechodziły w długie ruchliwe ręce, trzymające jakiś owoc, czy to olbrzymi orzech, czy też pomarszczony grzyb, duże siekacze w rozwartych ustach gotowe były gryźć i pożerać, a wypukłe, czarno-wiśniowe, prawie bez białek oczy patrzyły czujnie i często mrugały.

Obok niego siedział Premier o różowej rozpalonej twarzy, podobnej do zgniecionej rozparzonej bulwy, bez podbródka, z pucołowatymi policzkami i małymi, zimnymi oczkami.

Po drugiej ręce potentata siedziała młoda kobieta o mocnych męskich rysach twarzy. Zaróżowiona od wypitego wina, napierała całym ciałem na stół, świadoma, że na jej piersi ze sterczącymi sutkami patrzają uczestnicy biesiady. Pobłażliwie, wesoło zmrużywszy oczy, słuchała Zarieckiego, wysunąwszy koniuszek języka, wodziła nim po górnej wardze. Bielosielcew rozpoznał w niej młodszą córkę Prezydenta, która tu, podczas uczy, wydała się bardziej kobieca i pociągająca.

Tutaj też siedział szczupły, przygarbiony, podobny do modliszki człowiek, zwiesiwszy na chudej szyi rudawą głowę z łysym czołem i ślepawymi oczkami. Cierpiętniczo się uśmiechał, jakby słuchał nieznośnych dla siebie wypowiedzi i tylko zasady dobrego wychowania nie pozwalały mu wstać i wyjść. W tym zmęczonym, mizernej postury człowieku, Bielosielcew rozpoznał potężnego szefa prezydenckiej Administracji.

Swobodnie rozwalony na krześle, jedną ręką podparłszy się pod bok, śledząc uważnie rozmowy przy stole, siedział naczelny majordomus Prezydenta. Na jego dużej, przystojnej, zaczynającej zaokrąglać się twarzy żywo błyszczały małe cwaniackie oczka. Wesoło przenosiły się z Zarieckiego na Premiera, z szefa Administracji na prezydencką córkę,

jakby ich widok, a także potrawy, które spożywali, wino, które pili, sprawiały mu rozkosz. Wyglądało, że to jego pomysł, by postawić stół na środku urządzonej z przepychem sali, zapalić pośrodku stołu świece w srebrnych lichtarzach, postawić przy drzwiach służących w staromodnych kamizelkach z galonami, w białych pończochach i napudrowanych, ondulowanych perukach.

Jeszcze jeden gość oparł na stole łokieć w drogim garniturze, podpierając trzema palcami dużą szlachetną głowę. W białym mankiecie jarzyła się brylantowa spinka. Ręka ze szczupłymi palcami, o różowych wypielęgnowanych paznokciach, niedbale dotykała policzka. Mądre bystre oczy uważnie obserwowały biesiadników. Zaciśnięte wargi, które utraciły świeżość, złożyły się w ledwie zauważalny pogardliwy uśmiech. Był to znany artysta, którego wystawy w Maneżu przyciągały pół Moskwy, podziwiającej ogromne malowidła, na których, jak we wrzących kotłach, smażyli się komisarze i biali oficerowie, duchowni i czerwonoarmiści, męczennicy carskiej rodziny i okrutni wodzowie. Teraz ten autor misterium spoglądał na biesiadników, jakby chciał zapamiętać siedzących, żeby umieścić ich na swoim, jeszcze nieskończonym płótnie o królestwie Antychrysta. Siedzący pozowali, nie domyślając się, że wkrótce zostaną namalowani jako szkaradni i lubieżni jeźdźcy, którzy osiodłali pośladki i plecy babilońskiej nierządnic.

Oprócz tych, których Bielosielcew poznał od razu, byli obecni jeszcze dwaj, których nie znał. Generał w nowym mundurze, z gęstą czupryną, głośno śmiejący się, wskutek czego w jego ustach błyskały złote zęby. I chudy, bardzo blady brunet, milcząco spojierający na hałaśliwe towarzystwo, który białą serwetką zasłonił jedwabny krawat i czarny atłasowy garnitur. Wszyscy oni nie od razu zwrócili uwagę na przybyłych i jeszcze chwilę pili i jedli, widocznie kończąc winem i zakąskami wzniesiony toast.

- A oto i moja bezpieka! - wykrzyknął Zariecki, unosząc ręce jak konferansjer, wskazujący wejście artystów. - Bies z piekła! - zamierzał ułożyć

kalambur, ale czując, że nie udało się, machnął ręką, odrzucając niefortunny żart. - Siadajcie! - wskazał ręką wolne jeszcze miejsca. Pstryknął palcami, przywołał kamerdynera, wskazał na przybyszy i w tej samej chwili o nich zapomniał. I kiedy nad kielichem nachylała się czarna francuska butelka, owinięta białą serwetką, i złościły się galony na malinowej kamizelce, Bielosielcew, wykorzystując brak zainteresowania swoją osobą, zaczął obserwować i słuchać.

- Tak więc, wielce szanowni panowie i pani, nasza olśniewająca damo - Zariecki skłonił łysawą, z żółtymi plamami głowę w stronę Córki, zerkając na nią figlarnie wesołymi czarnymi oczyma. - Nie przypadkiem wybraliśmy na naszą uroczystość ten imperatorski pałac, jako że urodziny Tatiany Borysowny, które świętujemy tu, w najbardziej dostojnej sali Rosji, jeśli pozwolicie, są swego rodzaju koronacją! Rosyjska państwowość w przełomowych okresach cechowała się wynoszeniem na najwyższe urzędy kobiet, które potrafiły zebrać wokół siebie wspaniałych mężczyzn, wiernych synów Ojczyzny, i skierować ich talenty i cnoty na służbę Matuszce-Rosji. Nie chcę przesadzić, ale znajduję bezpośrednie podobieństwo między carycą Katarzyną a naszą Tatianą Borysowną. Praktyczny umysł, śmiałość, umiejętność skupiania talentów, widzenie bliższej i dalszej perspektywy - wszystko to czyni naszą carycę córką swego ojca, kontynuatorką wielkich reform. W takich czasach jak nasze, jedni ludzie spalają się doszczętnie, stając się garstką bezwartościowego popiołu. Innym, rzadko spotykanym, udaje się węgiel swego spalającego się życia zamienić w diament. Tatiana Borysowną należy do tych ostatnich. Ona jest brylantem naszej politycznej elity, i jestem szczęśliwy, że moim prezentem mogę potwierdzić to porównanie. - Zariecki wsunął rękę do kieszeni marynarki, wyciągnął safianowy futerał. Otworzył go i na czarnym aksamicie zaślniło, jak czarownicy złoty wężyk w słonecznej łusce na ciemnym kamieniu, pasemko brylantów. - Poproszę pani rączkę, sierpniowa Tatiano Borysowną! - Zariecki, trochę błaznując, lecz z

najgłębszym szacunkiem, zapiał na przegubie jubilatki drogocenną bransoletę, głaszcząc przy tym jej palce. Przycisnął do swoich malinowych warg jej dłoń, przeciągając cmoknięcie dłużej niż wypadało, pozwalając zebranym zauważyć tę wiele mówiącą zwłokę.

Wszyscy podnieśli się, trącając się kieliszkami z szampanem. Córka trzymała nad stołem kryształowy puchar, przyjazna, miłościwa, pozwalająca się kochać i uwielbiać.

Prawie natychmiast, nie dając zgasnąć panującemu przy stole entuzjzmowi, wstał Premier. Opanowany i subtelny, obejmujący swoją godność i znaczenie, a jednocześnie doskonale znający swoje miejsce wśród wpływowych osób, zaczął mówić:

- Ja, osobiście, nie mogę nic dodać do wypowiedzi przedmówcy. Jako rosyjski oficer muszę zaznaczyć, że służba jest dla mnie naturalną potrzebą, popartą przysięgą wojskową. Służba pod przywództwem naszego Prezydenta to dla mnie najwyższy zaszczyt, a przychylność Tatiany Borysowny - największą nagrodą. Tak sobie myślę, że, jeśli poprą mnie moi szanowni koledzy i przyjaciele, moglibyśmy opracować projekt ustawy o dziedziczności władzy, odpowiednik aktu o dziedziczeniu tronu, i doprowadzić do przyjęcia ustawy przez Dumę. Powtarzam, dla mnie nie ma większego zaszczytu i nagrody niż możliwość służenia pod przywództwem Tatiany Borysowny. I za to proponuję wznieść nasze dźwięczne puchary! - obrzucił wszystkich bystrym czujnym wzrokiem, sprawdzając, czy nie chlapnął czegoś niepotrzebnego, czy właściwie były zrozumiane jego przypochlebne żarty. Przed podniesieniem kielicha do wiotkich ust, dał znak stojącemu przy drzwiach służącemu. Ten na moment znikł i powrócił, niosąc do stołu szykowną złoconą szkatułkę. Premier odebrał szkatułkę, nacisnął jakiś guziczek i pudełeczko z melodyjnym dźwiękiem się otworzyło, z niego wyskoczyła malusienka baletnica z kości słoniowej i przy kryształowych brzmieniach muzyki zaczęła się obracać, wykręcając na wszystkie strony delikatną nóżkę. Premier z ukłonem przekazał prezent jubilatce, a ta z ciekawością, z zadowolenia otworzywszy wilgotne usta, przyglądała się zabawnej szkatułce. W podzięce

dotknęła ramienia Premiera. Wszyscy pili szampana, sięgali do półmisek po płatki jesiota, różowe plasterki ozora, przecięte na pół jajka z odrobiną czerwonego kawioru. Baletnica w szkatulce cały czas tańczyła i wirowała.

Podniósł się Naczelnny Administrator, tak słabej postury, że wydawało się, iż jego mizerna szyja i wątłe ramiona ledwie mogą utrzymać ciężką lysą głowę z resztkami rudych krzaczków. Trzymał nóżkę kielicha obiema rękami, jakby się bał, że nie utrzyma ciężkiego kryształu, i, zanim zaczął mówić, przez pewien czas poruszał wargami, jakby przypominał sobie, jak brzmią zapomniane słowa.

- Obok wszystkich wymienionych zalet, jakimi natura szcudrze obdarowała naszą drogą jubilatkę, ja bym szczególnie podkreślił jeszcze jedną, być może zbędną u pięknej kobiety, ale absolutnie konieczną działaczowi państwowemu. To śmiałość, umiejętność podejmowania ryzyka i osiągania celu. Przeżyliśmy wiele tragicznych chwil, kiedy rozstrzygał się los kraju, los władzy, nasze własne losy. Krwawy komunistyczno-faszystowski pucz. Wojna czeczeńska. Ostatnie wybory prezydenckie, które zbiegły się z ciężką chorobą Prezydenta, zakończoną operacją serca. We wszystkich wymienionych przypadkach władza chwiała się na niepewnej szali, groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo. I zawsze Tatiana Borysowna wykazywała się odwagą, ofiarnością, wytrzymałością i często dzięki jej silnej woli i optymizmowi wychodziliśmy z beznadziejnej sytuacji. Za naszą wojowniczkę, za rosyjską Joannę d'Arc! - Wzniósł obiema rękami kielich, jak ksiądz monstrancję. Dał kamerdynerowi znak wypukłymi, smutnie zwilgotniałymi oczami, a ten przyniósł do stołu starodawny kokosznik, haftowany złotymi nićmi, przybrany rzeczными perłami. - Proszę pozwolić, Tatiano Borysowna, że nałożę pani ten stary rosyjski stroik. - Upił szampana, ostrożnie odstawił kielich i wyszedłszy zza stołu, delikatnie umieścił kokosznik na głowie jubilatki. Ona wyprostowała ramiona, uniosła brodę, świeża, władcza, pełna życia i, sił, wodząc wokół oczyma, oddychała głęboko pólnagą piersią.

Wszyscy stojąc bili brawo, a Naczelnny Administrator, zadowolony, powrócił na miejsce, nadział na widelec śliski grzybek.

Majordomus Prezydenta, którego za plecami wielu nazywało pieszcotliwie Szelma, podniósł swoje okazałe spasione ciało, obleczone w cienki drogi garnitur. Gestem doświadczonego biesiadnego mówcy uniósł rękę, przyciągając ku sobie uwagę:

- To wszystko - rozpostarł rękę, obejmując wystawną salę z herbami, sztandarami, złożoną heraldyką, z rzeźbionym tronem i gronostajową kotarą - to wszystko przygotowałem dla was, dla narodu, dla Rosji. Ktoś może powie, że to zbyt kosztowne, nie stać nas na to, kiedy wokół takie zniszczenie i głód.

Ale to, mówię wam, zwyczajna hipokryzja. Ludzie, żyjący w ubóstwie i nędzy, przyjdą tu i z radości zawołają: „Oto nasza Rosja! Żywa, silna, carska! Znaczy się, można pocierpieć, kiedyś tam i ja będę się radować!” - Szelma poprawił rozpiętą na brzuchu koszulę, spod której wyłaził opasły brzuch z wielkim pępkiem. Bez żenady, wiedząc, że jest lubiany, ceniony, że na jego machlojki patrzono przez palce, wznosił kielich. - Szanowna Tatiano Borysowna, Bóg świadkiem, kiedy spieszyłem się z wystrojem tej imperatorskiej komnaty i zapraszałem tu najlepszych jubilerów, stolarzy, rzeźbiarzy, marzyłem, że zdążę przed pani urodzinami. Wznoszę kielich w samym sercu Kremla, życzę pani szczęścia i powtarzam słowa Zaporozców pod adresem Katarzyny Wielkiej: „Bądź zdrowa jak krowa, płodna jak świnia, i bogata jak ziemia! - Męskim zmysłowym wzrokiem objął jubilatkę, jej odkrytą białą szyję, okrągłe jak kule piersi, odznaczające się pod tkaniną sutki. Ta uśmiechała się łaskawie, migocąc perłowym kokosznikiem na głowie, a jej sutki jeszcze mocniej nabrzmiały pod jedwabiem.

Kamerdyner w białych pończochach i ondulowanej peruce wniósł prezent - starą ikonę Paraskiewy Piatnicy.

- Patronka handlu i budownictwa. - Szelma przekazał ikonę jubilatce, uprzednio pocałowawszy stare drzewo tłustymi od jedzenia listami. -

Będziemy handlować, będziemy budować, będziemy się modlić.

Córka przyjęła prezent, przeżegnała się, ucałowała ikonę i kamerdyner odniósł ją na stolik, starannie położył obok innych подарunków.

Jako następny głos zabrał Artysta ze znużoną twarzą mądrego dworzanina. On, który namalował wielu panujących i władców, którzy zniknęli z życia bez śladu, ale trwali na jego galowych portretach, teraz przebywał wśród nowych panów życia, którzy zaprosili go na ucztę. Kiedyś umieści tę biesiadę na swoim wielkim płótnie, położy na stół przed uczującymi ogromną odrażającą jaszczurkę, na głowie jubilatki zamiast kokosznika zawiąże czarnego grzechotnika, Administratorowi w rozdziawionej gębie namaluje dwa okrwawione kły, kieszenie Szelmy będą szczelnie nabite skradzionymi banknotami o najwyższych nominacjach, ZariECKI będzie trzymał na kolanach nagiego trupka dziecka, które udusił, Premier będzie odziany w generalski mundur na gołe ciało, a uda pod stołem będą damskie, pulchne, z widocznym złocistym łonem. Ale wszystko to będzie później, kiedy obecni stracą władzę i wpływy. Teraz właśnie jego bezbarwne usta ułożyły się w cienki, pełen szacunku uśmiech, i z ukłonem zwrócił się do jubilatki:

- Wielkie kobiety Rosji zawsze były mecenasami sztuk. Pani, szanowna Tatiano Borysowna, przysłużą się Rosji w tamtym gronie i w tej dziedzinie. Kiedy mer, czując do mnie niechęć, odmówił mi Maneżu i tysiące moskwan, oczekujących otwarcia mojej wystawy, były gorzko rozczarowane, pani, Tatiano Borysowna, wstawiła się do Prezydenta za skromnym artystą, i w Moskwie przez dwa tygodnie przed Maneżem ustawiała się wielotysięczna kolejka. Pani miłość do Rosji jest niewątpliwa i rosyjscy artyści oczekują od pani dalszych dobrodziejstw. - Kiwnął na służących i ci, otworzywszy szeroko rzeźbione drzwi, wnieśli portret w ciężkiej złoczonej ramie. Córka Prezydenta była przedstawiona w aksamitnej granatowej sukni, z wysoko ułożonymi włosami. Jej sroga wyniosła twarz wyrażała żądzę władzy i skrywaną namiętność, a na

białej rece, na nadgarstku pyszniła się brylantowa bransoleta, dokładnie taka, jaką niedawno podarował jej Zariecki. Wszyscy wydali okrzyk podziwu, zachwycając się portretem, porównywali namalowane brylanty z prawdziwymi. Córka wstała zza stołu, podeszła do Artysty, pocałowała go w błądy, z lekka obwisły policzek. Ten skłonił się, ostrożnie przycisnął do ust jej palce.

Uczta trwała. Złotozęby generał podarował Córce kaukaski srebrny wazon z wąską szyjką i czerniejącym wzorem. Bładolicy brunet, z długimi jak u artysty włosami, okazał się francuskim architektem, który projektował na Lazurowym Wybrzeżu willę dla jubilatki. Podarował jej mazak, który podobno należał do Corbusiera, łamanym rosyjskim zaprosił ją wiosną nad Morze Śródziemne, żeby wyprawić osiedliny.

Biełosielcewa dręczyło zdziwienie, nie rozumienie swojej obecności w tym gronie: dlaczego przywieziono go do tej sali i zrobiono świadkiem tajnego spotkania? Jemu, obcemu, pokazano zakulisową stronę władzy, gdzie nie przenikał wzrok postronnych. Dano mu zobaczyć dworską scenę, z której jedno tylko ujęcie warte było olbrzymiego majątku. Dla kogo z obecnych ważne było jego przybycie? Kto z siedzących za owalnym stołem z jaspisu i giętymi złożonymi nogami poręczył za niego? Przybyli razem z nim Greczysznikow i Kopiejko czuli się jak wśród swoich, włączali się w rozmowy, śmiali się, nalewali szampana do kryształowych kieliszków. Biełosielcew wstawał ze wszystkimi, wyciągał nad stołem ciężki, w złotych i liliowych odbłaskach kielich, słyszał, jak delikatnie pobrzękują od stuknięć dźwięczne ścianki.

Stał teraz z napełnionym kielichem, wśród płonących świec, odświętnych talerzy, chichoczących podnieconych ludzi, nad którymi nachylali się uniżeni służby w kamizelkach, i wspominał, jak w surowym wystroju sali zjazdów wstawał razem z tysiącem innych delegatów, witając oklaskami zasiadających w prezydium rządowych i partyjnych przywódców. Ich ciemne marynarki i sztywne jednakowe krawaty. Powolny

sepleniący starzec, ruszając ciężkimi kamiennymi ustami, czytał z zadyszką referat, gdzie mówiło się o budowie nowych miast za kołem polarnym, o stworzeniu floty wojennej i łodziach podwodnych, o produkcji uranu i aluminium, o zwycięstwie wyzwolńczych ruchów na kontynentach Afryki i Ameryki Łacińskiej, skąd właśnie powrócił on, Biełosielcew, opalony, ale z niezagojoną raną pod koszulą, z orderem na piersi. Stał teraz w tym samym punkcie przestrzeni, w którym uległa spopieleeniu cała ogromna era, zwinęła się jak struga pyłu i uniesiona była hen historia jego życia. Jakby szydlerczy i złośliwy reżyser z wyobraźnią Meyerholda postawił go w kolorowej sali pełnej rekwizytów, przed atrapami herbów, przed pomalowanym na brązowo tronem z plastiku, nad którym zwieszało się sztuczne futro, pomalowane na gronostaja. Komu potrzebny ten okrutny teatr, w którym on gra rolę cierpiętnika z pomieszanyimi zmysłami?

- Wydaje mi się, i proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, że powinniśmy trochę przystopować finansowe dotacje na Kubań, do Kondratienki. - Premier wytarł wykrochmaloną serwetką małe, jak u ślimaka usta, przygotowując tłuste od jedzenia wargi do poważnej rozmowy. - Tato Kondrat ze swoimi antysemitycznymi wypowiedziami, głośnymi na całą Rosję oświadczeniami o „Żydach”, staje się niebezpieczny. Jego wpływ rośnie i kozackie południe Rosji kreuje go na wodza, szykującego denikinowski marsz na Moskwę. Moim zdaniem, nie można się dalej na to godzić. Należy go ukarać rublem. Niech do jego rezydencji przyjdą głodni emeryci, biedni nauczyciele i samotne matki, a on niech opowie im o „Żydach”. - Premier zwycięsko uśmiechnął się, zadowolony ze swojej wyobraźni i wyostrzonego wyczucia, dzięki czemu odgadywał panujące przy stole nastroje. Jednakże jego oczka biegały od Zarięckiego do Administratora, zatrzymując się na sekundę na Córce, od której oczekiwał aprobaty.

Córka ostrożnie zdjęła z głowy kokosznik, wręczyła go służce, który zdążył podbiec, i tym samym dała do zrozumienia, że świąteczny program

zakończył się i można przystąpić do omawiania spraw państwowych, z powodu których zebrali się właśnie w sali tronowej Kremla.

- Myślę, że jest to ryzykowne i nie jest to właściwy czas - powiedziała zamyślona. - W odpowiedzi na to krnąbrny Tatko może wstrzymać kubańską pszenicę, co spowoduje groźbę głodu w innych regionach. Do tego Kondratienko zacznie bruździć przy budowie naftociągu do nowych rosyjskich terminali, a to silnie uderzy w nasze kompanie naftowe. - Wieloznacznie popatrzyła na Zarieckiego, który przechwycił jej spojrzenie i kiwnął głową na znak zgody. - Ja na miejscu rządu wypłacałabym mu pieniądze w pełnym zakresie, ale przy tym poprosiłabym służby bezpieczeństwa, by śledziły ich celowe wykorzystanie. W przypadku naruszenia przepisów, co nieuniknione, założyłabym sprawę karną. Kontrolę finansową zamieniłabym na kontrolę służb specjalnych, które wywrą na Tatkę-antysemitę lekkie ale skuteczne naciski. - Zakończyła wypowiedź i zaczęła oglądać brylantową bransoletę, rozkoszując się refleksami światła.

- Chciałem się poradzić - Administrator zacisnął przy piersi długie suche dłonie. - W przeddzień głosowania w Dumie, jak zwykle, przeprowadziliśmy „profilaktykę” deputowanych, nie wychodząc poza granice ustalonych sum. Ale Żyrinowski, rozumie się, wziął wszystkie pieniądze od razu, w jednej kopercie, nie dzieląc się ze swoją trzodą. Komuniści zawsze biorą wstydliwie, z obiekcjami, mniej niż im przydzielono, nie znając swojej wartości, jednak konieczną liczbę głosów od nich zbierzemy. Ale „Jabłoko” jak dawniej zachowuje dziewiczość, bierze nie pieniądze, a wyłącznie ministerialne teki. Może, zastanawiam się, przyobiecąć Jawlińskiemu urząd Premiera w następnym gabinecie i trzymać go na tym haczyku aż do głosowania za budżetem? - Administrator zerknął w stronę Premiera, którego wymięta babska twarz pokryła się malinowymi plamami wzburzenia. - To tylko kruczek!... Przynęta na Jawlińskiego!...

U Córki wzburzenie Premiera wywołało ledwie widoczny uśmiech zadowolenia.

- To, co robicie z biednym Jawlińskim przez ostatnie kilka lat, powinno zakończyć się dla niego kliniką psychiatryczną - powiedziała, trącając Premiera w łokieć, uspokajając, dając mu do zrozumienia, że dalej jest w łaskach. - Biedak, on tak bardzo pragnie zostać Premierem, a potem Prezydentem, tak gorąco o tym marzy, powtarzając przed lustrem przysięgę na Konstytucję, że kiedy kolejny raz przegrywa, załamuje się, płacze, ma tiki, rozdwojenie jaźni, i znika z polityki na długi czas.

Roześmiała się ze swego żartu, a pozostali zawtórowali jej.

- Proszę mi wybaczyć, że ja znowu o swoim. - Gęstowłosa generał przeżuł i połknął kęs jakiegoś przysmaku. - Możliwe, że nie mam racji, ale słuchy o komendancie Okręgu Dalekowschodniego potwierdzają się. Utajniony komunista, prowadzi w wojsku propagandę. Wypowiada się w obronie Serbów, chce stanąć na czele rosyjskiego korpusu ekspedycyjnego na Bałkanach. Niebezpiecznie go trzymać na takim stanowisku. Przecież u nas na Wschodzie jest jedno z największych zgrupowań. Ja bym go jeszcze raz dokładnie sprawdził i dał dymisję, żeby nie mącił wody. - Twarz generała jeszcze chwilę wcześniej głupkowata i rechocząca, przybrała mściwy i okrutny wyraz, jakby buntowniczo myślący dowódca był jego osobistym wrogiem i generał miał z nim jakieś zadawnione porachunki.

Córka rozmyślała nad oskarżeniem generała i widać było, że sprawiała jej przyjemność myśl, że jest zdolna podejmować decyzje w najbardziej ważkich i subtelnych sprawach wagi państwowej. Jednakże wymagało to przemyślenia. Nie można walić na odlew.

- Jemu nie można dać dymisji - powiedziała, gdy już miała wyważoną decyzję. - On ma zbyt duże wpływy w środowiskach wojskowych. Jego dymisja wywoła różne komentarze nie tylko u nas, ale i w Chinach, i w Japonii. Słyszałam, że zwalnia się stanowisko naczelnika Akademii Sztabu Generalnego. Tam go pošlemy. Od wojska dalej, bliżej nas. Przecież pan sam mówił, że Akademia przy zmniejszającej się liczbie wojska

przygotowuje komendantów dywizji i armii dla nieistniejących dywizji i armii. Niech więc formuje ochotniczy pułk z bezrobotnych generałów, jedzie z nimi zdobywać Miloszewiczowi Kosowo.

- Tatiano Borysowna, pani powinna zostać ministrem obrony, słowo honoru! - zachwycił się generał, znowu coś pogryzając. - Bo obecny jest bardzo kiepski, na jedno ucho nie słyszy, na jedną nogę nie chodził i zarechotał, wciągając innych do strojenia żartów z sędziwego głuchawego marszałka, którego w armii nazywano „Dziadzio”.

- Skoro już tracimy czas przeznaczony na świętowanie i zajmujemy jubilatkę decyzjami o sprawach państwowych... - Administrator zwiesił głowę. - Chciałbym omówić kandydaturę do państwowej nagrody literackiej. Wczoraj byłem w moskiewskim Pen-Clubie i tam jednogłośnie wybrano znakomitą książkę naszego sławnego pisarza. - Administrator zamilkł, cmokał wydatnymi ustami, jakby trenował przed wypowiedzeniem trudnego wyrazu, a potem podał nazwisko pisarza, którego książkę o losie homoseksualisty, cierpiącego z powodu niezrozumienia i samotności, z zapalem omawiały gazety i czasopisma, i według której już kręcono film ze znaną gwiazdą rocka w głównej roli. - Odnoszę wrażenie, że jeśli przyznamy tę nagrodę, to naprawimy niesprawiedliwość wobec mniejszości seksualnych, potępianych przez społeczeństwo i Cerkiew. Przeciagniemy na swoją stronę wielu utalentowanych reżyserów, artystów, projektantów mody, oczekujących od nas podobnych gestów zainteresowania.

- Dlaczego tylko artystów i projektantów? - Zariecki roześmiał się złośliwie, stuknąwszy zębami o kryształowy kielich. - Według mnie, wielu w Administracji Prezydenta poczyta tę nagrodę za osobisty sukces! - I, ujrawszy w ślepanych oczach Administratora zielonkawę ogniki nienawiści, złożył usta w ciup i zaczął poruszać ramionami, naśladując zalotną kobietę, czyniąc aluzje do znanej wszystkim anomalii Administratora.

Córka z wesołą miną obserwowała tę komiczną, trwającą kilka sekund scenkę.

- Myślę, że poczekamy z przyznaniem nagrody. Powinniśmy szanować nasze stosunki z Cerkwią. Chociaż, jak wiemy, niektórzy cerkiewni duchowni nie ustępują swoimi romantycznymi skłonnościami samemu Versace. Proponuję innego pisarza. - Wymieniła nazwisko prozaika, uważanego za naśladowcę Jurija Trifonowa. Polecam jego książkę o bohaterze współczesnego duchowego podziemia, w którym każdy z nas, w mniejszym lub większym stopniu, rozpozna siebie. - Uśmiechała się, patrząc nieruchomymi oczami w jeden punkt, na kryształowy świecznik.

Biełosielcew bał się uwierzyć, że dopuszczono go do samego jądra władzy, gdzie błyszczącymi od tłuszczu ustami, przy niesmacznych aluzjach i niktzemnych żarcikach, podejmowano decyzje, od których rosną i padają kariery, znikają potężne armie i kończą się uczelnie, ropa naftowa wielką czarną rurą, mijając nieogrzone miasta i głodne osady, wypływa za morze, a na tej rurze, jak na grzbiecie ogromnego smoka, rozsiała się goła rozpustnica w perłowym kokoszniku.

Chciał zrozumieć, czego chcą współbojownicy, którzy przywiedli go do tej pompatycznej sali, przypominającej pozłożoną maskę na twarzy nieboszczyka. Ale Grieczysznikow i Kopiejko, zapomniawszy o nim, z zadowoleniem przelykali smaczne jedzenie, z ożywieniem rozmawiali z sąsiadami. Biełosielcew zauważył, jak z różowej kuropatwy, którą nakładał na swój talerz Kopiejko, spadła na malachitowy stół tłusta kropla.

- Korzystając z okazji, Tatiano Borysowna, jak to się mówi, we właściwym momencie - Szelma zmrużywszy oczy, rozsyłał na wszystkie strony błękitne wesołe promyczki - czy nie czas, żeby pani szanowny ojczulek podpisał prezydencki dekret o budowie zimowej rezydencji pod sławnym miastem Klin? Miejsce czarujące - pagórki, lasy, skocznia, szlak narciarski. Zaraz obok gospodarstwo łowieckie, wędkarstwo podlodowe. Sam jeździłem, oglądałem. Projekt rezydencji jest gotowy. Czyż

nie tak, panie Duran? - Szelma zwrócił się do Francuza-architekta. - Kosztorys sporządzony. Firma wykonawcza sprawdzona. Może wykonać kremłowską komnatę lub, jeśli sobie pani zażyczy, synagogę, albo piramidę egipską, albo willę na Riwierze. Ja, muszę przyznać, pomyślałem, po co jeździć gdzieś w szwajcarskie Alpy, kiedy obok, prawie pod Moskwą, jest rodzima Szwajcaria, tylko lepsza. Tu można mieć i slalom, i polowanie na łosia, i ciepły basen, i sześciogwiazdkowe apartamenty. Zacznijmy budowę, Tatiano Borysowna! Każda władza ma własną architekturę i pomniki! Możliwe, że ktoś burzył czasami Moskwę, ale już my, w naszym resorcie, budowaliśmy jak nikt. Jak za Piotra i Katarzyny Wielkiej, pałace i dwory.

Szelma spoglądał na gości, oczekując pochwały od dobrodusznej jubilatki. Ale ta raptem poczerwieniała, gniewnie spojrzała, a na jej czole wystąpiła głęboka zmarszczka.

- Chyba dosyć tych sprawdzonych firm wykonawczych, od których nie można uwolnić się jak od zarazy! Może pora ograniczyć apetyty, żeby nie pęknąć. Aleczek Mieńszykow i pałace budował, i państwową kiesę okradał, ale przecież dostawał od cara po gębie! Wciągnął pan mnie i ojca w te szwajcarskie spory, od czego szumią wszystkie światowe gazety. Nie ma co, dał pan doskonały atut wrogom ojca i wrogom Rosji, kiedy mnie pan wplątał w te swoje machlojki. Wczoraj, kiedy ojcu przedstawiano raport o przebiegu skandali, związanych z tymi kremłowskimi komnatami - pełnym nienawiści wzrokiem obrzuciła żyrandol, herby i sztandary - kiedy mu czytano wycinki z prasy - „Le Monde”, „Der Spiegel”, „New York Times” - miał atak i musieliśmy znowu go wieźć do Centralnego Szpitala Klinicznego! To ty - gwałtownie odwróciła się do Zarieckiego, rzucając ordynarne uliczne przekleństwo - ty wciągnąłeś mnie i ojca w swoje gówniane machinacje, żeby nas związać jedną linką i żebyśmy poszli na dno razem z tobą. Nie uda się! Linkę przetniemy, top się sam! Wielu i u nas, i za granicą ucieszy się, jak zobaczą, że twoim ciałem żywią się raki! Tylko bieda z tym - Córka krzywo uśmiechnęła się, mlasnęła i ostrym paznokciem wydostała spomiędzy

żebów rybią ość - że ty mimo wszystko nie toniesz, bo jesteś lżejszy od wody!...

Zariecki zatrząsł się od zniewagi. Z ruchliwej wiewiórki przeistoczył się w różową plamistą kałamarnicę o fioletowych wytrzeszczonych oczach. Siedział, lekko podrygując, przetrawiając atramentową truciznę. Z okrutnego mięczaka znowu zmienił się w złą, rozsierzoną wiewiórkę.

- Nie mogę pojąć, w jaki sposób mogło dojść do przecieku - zwrócił się do Kopiejki. - Ukryliśmy wszystkie końce w pozapaństwowych, zagranicznych strefach, utajniłiśmy banki, zrobiliśmy przelewy na podstawione firmy. Nigdzie nie figurowały nazwiska, obiekty i sumy. Czyżby przeciwko nam pracowała Federalna Służba Bezpieczeństwa? Czy możliwe, że pieprzona służba pracuje przeciwko samemu Prezydentowi? Czyżby pieniądze, które ja pompuję w tych podłych agentów, obracały się przeciwko mnie? Jak długo jeszcze będziemy znosić tego zaślinionego dyrektora FSB? Przecież to wróg, wróg! Najwyższa pora go wyrzucić razem z Prokuratorem i Merem, póki jeszcze nie sprowokowali oskarżenia!... - w ostatnich słowach Zarieckiego zabrzmiał cienki żalorny okrzyk. - I żeby opanować się, wypił duszkiem szampana, pokazując służącemu, że ma pusty kielich.

- Omawialiśmy ten problem - pokornym głosem odezwał się Kopiejko. - Sprowadza się on do tego, żeby w FSB wymienić dyrektora.

- Nie tylko dyrektora! - Zadowolony z tego, że gniew jubilatki tylko powierzchownie go dotknął, a cały atak spadł na wąską łysiejącą głowę Zarieckiego, Szelma udał najwyższy stopień oburzenia, jego pełne mięsiste policzki stały się podobne do dwóch flaszek z winem. - Nie tylko pieprzonego dyrektora, ale i pieprzonego Prokuratora, i pieprzonego Mera, i pieprzonego Astrosa, pańskiego, proszę wybaczyć, niedawnego przyjaciela. - Szelma zjadliwie popatrzył na Zarieckiego, pragnąc mu dopiec. - Prezydent tyle dobrego im zrobił, tyle razy wybaczał, z ręki karmił, a oni, jak niewdzięczne psy, zaczęli go gryźć.

- Nienawidzę zdrajców! - Zaciśnięte szczęki Córki zbieleły, twarz stała się ordynarna, ocieźżała, prawie męska, o nabrzmiałych zmarszczkach i liniach, z małymi śladami po ospie i plamami pigmentu. Po tych nieoczekiwanych ujawnionych cechach, można było domyślić się, jaka będzie na starość, kiedy zniknie młoda jędrność policzków i soczysta kobiecość warg. Wszyscy przy stole przerazili się tego, jak bardzo stała się podobna do swego ojca. - Nienawidzę! - powtórzyła. - Kiedy ojciec był zdrowy i w pełni sił, pełzali przed nim po ziemi, całowali jego kapcie... Pamiętam, Mer przyjechał do ojca z noworocznymi życzeniami. Gościła wtedy u nas siostrzenica, zupełnie małeństwo. Mer stanął na czworakach, udawał psa, szczekał, łapał zębami ojca za spodnie... Ojciec, znacie jego żarciki, chcąc rozbawić dziewczuszkę, rzucił Merowi na podłogę wołową kość, a ten, wyobraźcie sobie, złapał ją jak pies i zaczął ogryzać!... Teraz, kiedy ojciec jest słaby, choruje i wszyscy boimy się, że umrze, stanęli przeciwko niemu! Szczują, podjudzają naród, obrażają przy ludziach. Ten skryty łajdak Prokurator, ten wyuzdany podły rozpustnik, gotów wytoczyć ojcu sprawę karną. Ten obmierzły Astros, któremu podarowaliśmy kanał telewizyjny, bo sprzedaliśmy za symboliczne grosze, z wdzięczności oblewa nas pomyjami. Oni pragną jednego - odsunąć ojca od władzy, wydać nas tłumowi, żeby zrywano z nas ubranie, deptano nogami jak Ceausescu! Albo posadzić całą rodzinę w klatce i trzymać tam do rozstrzelenia!... Straszne, straszne! - Zakryła twarz dłońmi i wszyscy myśleli, że zacznie szlochać. Ale łzy nie dotarły do oczu, rozplynęły się po żyłach. Odjęła rękę od twarzy, siedziała wyprostowana, z zaczerwienionymi powiekami, z pulsującą żyłą na szyi.

Bielosielcewowi nie było jej żal. Czuł obrzydzenie do niej, wyczuwając jej nieświeże, przekwitające ciało, ukryte pod drogą sukienką i szykowną bielizną zapachy, chorobliwe wydzieliny, pokryte śluzem powłoki, wymagające stałego podniecenia i zaspokojenia. Jej lęki, rodzinne biedy, szloch wśród imperialnych chorągwi i sztandarów, kryształów i

uralskich kamieni szlachetnych były śmiechu warte na tle umierającego ogromnego kraju.

Wysokie drzwi, ozdobione herbami, złotymi tarczami, greckim wzorem, otworzyły się i do sali wszedł człowiek. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Był niewysoki, zgrabny, w skromnym szarym garniturze. Twarz miał spokojną, miłą. Jasne oczy uważnie, bez zdziwienia obejrzały uczujących przy stole, do którego ruszył po parkiecie lekkim krokiem, wymachując prawą ręką trochę mocniej niż lewą. Zbliżył się do zasepio-nego, ociężałego od wypitego szampana Szelmy, nachylił się i coś tam mu szeptnął do ucha. Szelma skinął głową, wskazał palcem na stojące obok puste krzesło i przybyły posłusznie siadł. Milcząco, z lekkim uśmiechem, zaczął przysłuchiwać się rozmowie, starając się zrozumieć, w czym tkwi sedno rozdrażnienia, które owładnęło wszystkich, czym zadraśnięto ambicję i uczucia obecnych.

Bielosielcew zauważył, że przybyły rażąco odróżnia się od pożądl-
wych, kochających władzę osób, z których każda porównywała swoją
wielkość i znaczenie z wpływami i znaczeniem sąsiada, czujnie śledząc,
by nieopatrzonym słowem czy gestem nie naruszyć niewidocznej tabeli
rang. Przybyły nie był włączony w tę niewidzialną hierarchię. Był po-
stronny, asymetryczny. Z innego układu stosunków. I tym właśnie zain-
teresował Bielosielcewa.

- Kto to? - zapytał siedzącego obok Greczysznikowa.

Ten przemilczał, podając architektowi Duranowi półmisek z ciem-
nymi winogronami.

- Kim jest ten mały człowiek, wyglądający jak szachowy hetman? -
powtórzył pytanie Bielosielcew.

Greczysznikow poczekał, aż Francuz położy na talerz ciężką kiść.
Odstawił na miejsce szklane naczynie. Odwrócił się do Bielosielcewa i
cicho powiedział:

- To Wybraniec.

Rozdział piąty

Biełosielcew był zaszokowany. Wybraniec zjawił się bez słowa, bez bicia dzwonów, bez gońca i zwiastuna, obwieszczającego jego nadejście. Przeszedł po błyszczącym parkiecie jak po cienkim lodzie. Łód wytrzymał jego lekki chód, nie ugiął się, nie zatrzeszczał, jakby przybyły nic nie ważył. Siedział za stołem na ucztie niegodziwców, a ohyda biesiady, podłość wygłaszanych mów, nie docierały do niego. On siedział cichy i niepozorny, jak ziarno, skrywające w sobie przyszły urodzaj. Przyszłość, zawarta w nim, mogła przejawić się w buntach i wojnach, w bliskim zwycięstwie lub nieodwracalnej klęsce. Biełosielcew starał się wychwycić u Wybrańca drobny gest lub przypadkiem wypowiedziane słowo, żeby odgadnąć, jaka będzie przyszłość.

Był szczęśliwy, że Wybraniec, znajdując się między wrogami, niczym się nie zdradził. Pozostał nierozpoznany przez nich. Był otoczony niewidzialnym kokonem, który go chronił. Gdyby strachliwe źrenice Premiera albo zmijowate, schowane w kościstej czaszce szkiełka Administratora, albo podejrzliwe i ostro świdrujące oczka Zarieckiego, albo wołooki mętawy wzrok Córci, albo przenikliwe spojrzenie Artysty rozszyfrowały go, groziłaby mu niechybna śmierć. Biełosielcew zachwycał się jego opanowaniem i spokojem.

Przestał spoglądać na niego, żeby swoją baczną uwagą nie zdradzić go. I znowu mimo woli zerkał, starając się uchwycić istotę tego człowieka, któremu już zaczął służyć, już złożył przysięgę na wierność, i za którego, jeśli zajdzie potrzeba, dobrowolnie zginie.

Wybraniec siedział prosto, w swobodnej pozie, położywszy na brzeg stołu nieduże piękne ręce. Biesiadnicy w dalszym ciągu hałasowali, oburzali się, niepowstrzymanie wymyślali Prokuratorowi i Merowi, dostrzegając w nich zagrożenie dla swojego dobrobytu i władzy. Nie wiedzieli,

że do nich, do stołu, cicho przysiadła się śmierć. Tę śmierć Biełosielcew winien chronić i strzec, jak swojego życia, a także życia tych, którzy jeszcze nie zdążyli umrzeć.

- Czy on wie o naszym planie? - cicho spytał Grieczysznikowa. - Jest wprowadzony w „Projekt Suahili”?

- A czy musi wiedzieć?

Szelma zdenerwował się, zaczął się wiercić. Zaczął się nerwowo rozglądać.

- Słuchaj, zapomniałem swojej komórki w przedpokoju - zwrócił się do siedzącego obok Wybrańca. - Idź, przynieś.

Ten posłusznie wstał. Wyszedł z sali. Powrócił niosąc telefon. Uprzejmie, z lekkim ukłonem podał gospodarzowi. Szelma, nie podziękowawszy, wylał zza stołu. Odszedł w daleki kąt sali i tam, pod carskim trójkolorowym sztandarem, zaczął naciskać świecące guziki.

- Zdumiewasz mnie, ty, mądra, odważna, dalekowzroczna! - ZariECKI nakrył swoją żółtą, malaryczną ręką pulchną rękę jubilatki. - Boisz się narodu? Boisz się gniewu narodu? Rosyjskiego bezmyślnego i bezwzględnego buntu? Boisz się, że twoim popiołem załadują Cararmatę i wystrzelą przez kremlowską ścianę? Że cię zaduszą jedwabnym szalikiem w korytarzach Teremnego pałacu? Wyszadzą bombą twojego mercedesa na szosie Uspieńskiej? Że do waszego domu przyjdą bezwzględni strzelcy i zastrzelą cię, twoją siostrę, twojego ojca i matkę, cały wasz sierpniowy ród? Ty się tego wszystkiego boisz? - Śmiał się, ukazując żółtawe siekacze. Skóra na jego twarzy, na łysej głowie, na owłosionej ręce szybko żółkła, podchodziła tajemniczym pigmentem, jakby był kameleonem i zmieniał kolor odpowiednio do przeżyć i emocji. Żółty wątrobiany kolor był wyrazem sarkazmu i ironii. - Chcesz powiedzieć, że dziś naród rosyjski jest zdolny, podobnie jak Serbowie, zorganizować czystki etniczne i że Rosjanie mają swojego Karadicza? Sądzisz, że Rosjanie, jak Palestyńczycy, są zdolni pójść na czołgi z kamieniami i butelkami i zacząć swoją świętą wojnę, i że mają swojego wodza-Beduina Arafata? Nie bój się, tu tego nie ma i nie będzie! Słońce

rosyjskiej poezji, rosyjskiej literatury, rosyjskiej rewolucji zgasło, a my żyjemy pod złudnym światłem martwego rosyjskiego księżycy! - Jego twarz zaczęła martwieć, stawała się niebieskawa, niewidoczne naczynka i żyły napępniały się fioletowymi sokami. - Rosyjski naród jest martwy, to właściwie nie naród, a malejąca suma osobników, których populację wnikliwie obserwujemy, regulujemy jej liczebność, mając na uwadze jej przydatność jako siły roboczej i koszty jej utrzymania!

Ta myśl wywołała u niego przyływ gorąca i zaczął czerwienieć, purpurowieć jak papierek lakmusowy zanurzony w kwasie.

- Wyrwaliśmy narodowi jego wolę, język, oczy, odcięliśmy komory nasienne, nałożyliśmy mu rzemienną uprząż i teraz jest to naród-wałach, niezdolny dalej skakać, a tylko żałośnie włóczyć po zmarzniętym poboczu swoje puste sanie, przyjmując od nas jak łaskę wiązkę zgnitego siana!

Wszyscy go słuchali, wstrzymując oddech, śledząc nie tyle tok jego myśli, ile przeobrażenia jego ciała, w którym zachodziły magiczne reakcje chemiczne, powstawały różnokolorowe roztwory, przelewały się fale barw, rozpromieniały się tęczowe kręgi, i on był częścią czarnoksięskiej muzyki kolorów. Jedna jego połowa była malinowoczerwona i szybko ciemniała jak lampa w pracowni fotograficznej, a druga stawała się zło-cista, jak łuska ryby, która prześlizguje się za szkłem akwarium.

- Zabraliśmy narodowi jego kraj, on oddał go nam bez walki, a my rozlamaliśmy go na części jak tabliczkę czekolady i połykamy powoli te słodkie kawałki. Zabraliśmy robotnikom i inżynierom wspaniałe zakłady, gdzie budowali reaktory atomowe i statki kosmiczne, zmusiliśmy ich do produkcji plastikowych butelek do pepsi-coli, a oni posłusznie zaczęli je wytłaczać na potokowych liniach, na których jeszcze niedawno produkowano najlepsze na świecie samoloty myśliwskie. Odebraliśmy uczonym cyklotrony i obserwatoria, centra komputerowe i naukowe laboratoria, a fizycy atomiści w łachmanach pokornie stoją na bazarach, sprzedają tureckie rajstopy i pluszowe chińskie zabawki. Skończyliśmy z rosyjską siłą wojskową, przed którą drżała Ameryka, doprowadziliśmy

do niezdatności pancerną i lotniczą armię, rozwaliliśmy flotę atomową, wysadziliśmy podziemne wyrzutnie raketowe. Zlikwidowaliśmy wojskową naukę i Sztab Generalny, poróżniliśmy generałów, a resztki bezradnych kontyngentów rzuciliśmy do Czeczenii pod granatniki Basajewa, wypełniając trupiarnie nierozpoznanymi ciałami żołnierzy. Zatrzymaliśmy, cofnęliśmy, zrzuciliśmy do dołu, zawaliliśmy śmieciami, zalaliśmy betonem rosyjską kulturę, a w jej miejsce zorganizowaliśmy dancing z bezpłatną marihuaną, gdzie niecnotliwe dziewczyny tańczą przy muzyce Coopera, nie wiedząc, że pod nimi, głęboko zakopane, gniją ikony Rublowa, książki Tolstoja, rzeźby Candra.

Zariecki zaczął tracić rysy, potem kształt i kolor, rozpływał się jak galareta, chwiał się jak ogromna pływająca meduza. W jego przezroczystym niebieskawym wnętrzu, między śluzem i wilgotnymi błonami, ledwie widoczne ciemniało niewyraźne jądro, tajemnicza szczelina, łącząca tę rzeczywistość z drugą, krańcową, z której wyleciał zagadkowy wodnisty pęcherz, żeby znowu do niej wlecieć i wessać się.

Bielosielcewowi wydawało się, że reżyser idiota przedłuża absurdalny spektakl. Aktor ucharakteryzowany na Zarieckiego, z charakterystycznym nosem i mimiką, gra rolę rusofoba, zebrawszy w całość wszystkie podziemne strachy, wszystkie ponure dyskusje o „spiskach”, wszystkie chore wiadomości i domysły, wydrukowane niewyraźną czcionką w niezliczonych broszurach i książkach, gazetkach i na drobnych kartkach. I wszyscy, siedzący za stołem, słuchali jego słów, które rozpływały się i odbijały od sklepienia.

- Jeśli zechcemy, wygonimy ich z terytorium i wciśniemy do żelaznej rury, przeprowadzonej od Uralu do Europy, którą płynie rosyjska ropa i gaz. Będą się gnieść w tej rurze jak szczury, zamarać na mrozie, a ocaleją tylko ci spośród nich, którzy potrafią przystosować się do naftowej magistrali. Jeśli oni nagle zaczną się rozmnażać, zakażemy ich kobietom rodzić, zaproponujemy mężczyznom bezbolesną sterylizację.

Gdy to nie pomoże, wznecimy wojnę domową, niech się zabijają nawzajem. Rosjanie niech rzną Tatarów, Tatarzy strzelają do Baszkirów, a Jakuci przy bębnach szamanów zaczną palić pierwotną fajkę pokoju w tym czasie, gdy my zajmiemy się ich diamentową fajką. Chorych na AIDS, gruźlicę i syfilis, alkoholików i narkomanów wyślemy za Koło Polarne, gdzie spokojnie usną z wychłodzenia, ku radości szakali i rosomaków. A od zdrowych będziemy brać krew i narządy, i sprzedawać do centrów medycznych Izraela, zaspokajając nostalgiczne uczucia Żydów-wychodźców, żeby nie stracili kontaktu z ich drugą ojczyzną.

Zariecki nalał sobie pełny puchar szampana i wypił jednym haustem, zamoczywszy suche usta w szumiącym płynie i kryształowych tęczach. Odmłodził natychmiast, na jego łysiejącej żółtej czaszce utworzyła się granatowoczarna falista czupryna, twarz zbladła i wyładniała jak u aktora w niemym filmie, a na tej czarno-białej pałającej twarzy czerwieniały jaskrawo pełne usta.

- Nie powinnaś się bać - mocno ścisnął nadgarstek Córki. - Jesteś pod naszą ochroną i niestraszni są tobie przebrani chłopcy z filmów o Pugaczowie i Jermaku, zrobionych za nasze pieniądze na pokaz tubylczym widzom. Zrobiliśmy twego ojca Prezydentem, kiedy to nie było zbyt skomplikowane, a rosyjski naród liżał jednego dla wszystkich karmelka pod nazwą „wartości demokratyczne”. Zrobiliśmy go Prezydentem, kiedy to było prawie niemożliwe, kiedy naród go nienawdził, a on sam umierał na zawał serca. Trzymałem go za zimny nadgarstek bez tętna, z malinowymi trupimi plamami, kiedy przyrządy centrum kardiologicznego pokazywały śmierć kliniczną. Posłałem do Ameryki samolot po staruszka Debejkę i w czasie gdy on leciał nad Atlantykiem - pojechałem do banku organów, gdzie trzymano na sztuczny krążeniu żołnierzyka z Wologdy z postrzałem w głowę i wspaniałym zdrowym sercem patrioty. Obserwowałem, jak mu wyjmują z piersi serce, kładą do chromowanego naczynia z ciekłym azotem, sam wiozęłem przez Moskwę to drogocenne naczynie rosyjskiej państwowości, spiesząc dowieźć do kliniki przed przyjazdem Debejki. Ten wielki czarownik, podobny do

pomarszczonej małpki, przeszczepiał twemu martwemu ojcu serce młodzieńca, widziałem, jak ono zagłębia się w pustą, wyglądającą jak niebieski kufer, pierś i na oscylografie pojawia się pierwsza oznaka życia zmartwychwstałego Prezydenta. Teraz, kiedy widzisz, że twój ojciec wywraca oczami i z ust pachnie mu grobem, wyjaśnij to tym, że był na tamtym świecie. A kiedy on zaczyna tańczyć przy „Kalince-malince” czy „Wzdłuż po Pitierskiej”, to tańczy w nim serce młokosa, które nie dotarło w innym, młodym ciele.

Córka, którą Zariecki nadal trzymał za nadgarstek, zdębiała - oczy stały w ślup, zrobiły się szklane, na wpół otwarte usta ledwie oddychały. Była w hipnozie, w całkowitej władzy przystojniaka czarodzieja.

- Nie bój się, droga, potulnego rosyjskiego narodu, za który dzień i noc modli się jego Patriarcha. Rosyjski lud w duszy jest monarchistą, niech mnie poprawi nasz wielki malarz. - Zariecki przez stół skłonił się Artyście, który pisakiem Corbusiera robił szkic na serwetce. - Przy dźwiękach dzwonów i wnoszeniu cudownych ikon ogłosimy twojego ojca carem Borysem Drugim, a potem nasz zmęczony rządzeniem car, ssąc odświętny smoczek, wykonany z naturalnego sutka piosenkarki Madonny, zrzeknie się tronu na korzyść ukochanej córki. Na twoją korzyść, moja droga...

Bielosielcew pojmował, że to farsa, utalentowana i okrutna gra doskonałego aktora, który grał nieustannie - na giełdzie, na napiętych nerwach historycznej publiki, na finansowych nieporozumieniach konkurentów, w kasynie, przy karcianym stoliku, na słabościach niedomagającego Prezydenta, na skrzypcach, na saksofonie. On i teraz grał, improwizując, strasząc garstkę bojaźliwych ludzi, którzy zależni byli od jego woli i kaprysu.

Bielosielcewowi było duszno i strasznie. Miał ochotę wstać, podejść do przystojniaka i uderzyć go z całej siły w twarz. Już się podnosił, ale zdążył spojrzeć na Wybrańca. Ten siedział spokojny, ze spuszczoneym wzrokiem, z lekkim uśmiechem na ustach.

- Urządzimy twoją koronację w tej sali, przy wielkim spędzie narodu. Będą nasi generałowie, komendanci armii i okręgów w pióropuszach, spodniach z łosiowej skóry i wyglansowanych botfortach. Po rzece Moskwie w całej swojej krasie przepłynie nasza flota, składająca się ze stu Piotrowych łodzi i dwustu weselnych najnowocześniejszych galer. Nad Kremlem popłyną nasze powietrzne armie z pomalowanych papierowych smoków latających i skrzydlatych chińskich latarni. Przybędą, aby ci gratulować przedstawiciele wszystkich sił politycznych. Komuniści w uszytych kaftanach, monarchiści w krymkach, demokraci w hełmach konnych gwardzistów, słowiańscy śmiałkowie w jarmułkach. I wszyscy jednym głosem zawołają: „Rządź nami, caryco Tatiano!”. A ty, przyjazna, miłociwa, w aksamitnej niebieskiej sukni, przejdziesz przez salę i siądziesz na tronie.

Zariecki wstał, wyprowadził zza stołu jubilatkę i lekkim tanecznym krokiem poprowadził ją do tronu, posadził pod gronostajową kotarą, a ona, oczarowana, doznając rozkoszy, z głupawym uśmiechem, posłusznie usiadła, a Zariecki padł przed nią na kolana:

- Niech żyje jej imperatorska wysokość, łaskawa pani cesarzowa Tatiana Wielka!

Wszyscy wstali zza stołu, podnieśli puchary z szampanem, tręcali się.

Zza drzwi pałacowej komnaty zaczął dochodzić cichy szum, drzwi się otworzyły i przy biało-złoty futrynach pojawili się dwaj młodzieńcy z antenami sterczącymi przy uszach. Na progu powoli, ciężko ukazał się Prezydent. Prawdopodobnie wracał z kremłowskiego gabinetu, gdzie pod trójkolorowym sztandarem, wśród luksusu i drogocennego blasku opieszale i sennie kartkował państwowe pisma, stawiając gdziegdzie, na chybił trafił, niewyraźny podpis. Albo chciał zerknąć jeszcze raz na wspaniałość carskich komnat, które zwracał Rosji, przeganiając z Kremła ostatnie symptomy bolszewickiej epoki. Stał na progu, mętным wzrokiem spoglądając na wesołą zabawę, na Córkę, rozsiadłą na tronie pod

gronostajową kotarą, na Zarieckiego, który padł przed nią na kolana. Miał na sobie zapięty płaszcz, opadający jak dzwon prawie do ziemi, skrywający nabrzmiały, ciężki tułów, który ciągle marzył z powodu słabego krążenia krwi i dlatego Prezydent nosił pod płaszczem mnóstwo ciepłych rzeczy.

Premier z przestachu upuścił serwetkę. Szelma z zaskoczenia rozbił kielich i szampan rozlewał się po jaspisowym stole. Administrator chciał odskoczyć w bok, pragnąc odłączyć się od frywolnej kompanii, ale zastął na miejscu pod ołowianym wzrokiem gospodarza. Generał przybrał postawę „baczość” i wydawało się, że już-już pójdzie marszowym krokiem na spotkanie Najwyższego. Zariecki wstał, otrzepał kolana, zmienił się z demonicznego aktora filmowego w przygarbionego degenerata o wąskich ramionach, z łusą czaszką i oczami wystraszonej wieiórki. Jubilatka jakby się zbudziła, ze skrucną opuściła tron i, poprawiając fryzurę, speszona powróciła do stołu.

Prezydent widział panujące zgorzenie, zło przyniesione do carskiej komnaty. Opanowywał go gniew, ale chłodna krew, powolnie tłoczona chorym i niedomagającym sercem, nie roznosiła fali gniewu po opasłym nieruchawym ciele i zamiast złości, ślepego szału, rodziła tępy ból głowy, łamanie w kościach, rzewną tęsknotę, od której na czole utworzyła się pojedyncza zmarszczka cierpienia.

Bielosielcew patrzył na tego, którego nienawidził przez wszystkie te lata tak mocno, że ta nienawiść stała się źródłem życiowych sił. Ten, co kopnięciem nogi dokonał przewrotu w kraju, zawadiaka, sam jeden pokonał potężną partię i wywiad, mówca, który przeczytał z czołgu wyrok śmierci na komunizm, bezlitosny oprawca, który spalił Parlament i wybił z karabinu tysiące bezbronnych ludzi, tyran, który przemienił kwitnący Grozny w zwęglony wykop - ten człowiek stał teraz bezsilny i sflaczały. Bielosielcew ze zdziwieniem stwierdził, że czuje do niego coś w rodzaju współczucia.

- Bawicie się? - spytał Prezydent z progu, nie wchodząc do sali. - Chcecie mnie spisać na straty?... Przecież beze mnie od razu was powieśz, tak obrzydliście narodowi... Niedługo sam odejdę, nie mam już sił... Chcecie żyć, szukajcie następcy...

Szukajcie dobrze, bo inaczej traficie na takiego, co was żywcem zakopie... Jeszcze macie kilka miesięcy, a potem będzie późno - zamilkł, zatoczył się, jakby do głowy uderzyła mu zła krew i wszystko znikło w czerwonej mgle. Odwrócił się i zniknął w drzwiach, a za nim zniknęli młodzieńcy ze sterzącymi antenkami przy uszach.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Premier schylił się, podnosząc serwetkę. Szelma nalał szampana do cudzego kieliszka i łapczywie wypił. Generał głośno chichotał, opowiadając anegdotę. Administrator capnął widelcem kawałek ryby i starannie żuł. Bielosielcew stał obok Grecyzysznikowa i Kopiejki, rozglądał się po sali, szukając oczami Wybrańca. Ale tamtego nie było. Nie wiadomo kiedy zniknął.

Podszedł do nich Zariecki, wzburzony i zły. Zwrócił się do Kopiejki:

- Trzeba skończyć z Prokuratorem! Ja trzymam służbę bezpieczeństwa, porównywalną do państwowych służb specjalnych... Posiadając środki, które wam udostępniłem, chyba możecie w końcu powstrzymać Prokuratora?

- Niech pan uważa, że jest odstawiony. Za kilka dni zmusimy go do złożenia dymisji. Ale to za mało.

- Co jeszcze? - Zariecki nerwowo wyłamywał żółtawe palce, wydając przy tym nieprzyjemne chrzęsty.

- Powinniśmy zmienić dyrektora Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Słusznie pan powiedział, że ten typ jest kupiony z korzeniami przez Astrosa i pracuje przeciwko nam. Koniecznie musimy postawić tam odpowiedniego człowieka.

- Wybierzcie kandydata. Porozmawiam z Tatianą. Prezydent podpisze nakaz. Ale wcześniej wy odstawicie tego pieprzonego Prokuratora.

- Proszę uważać, że jest odstawiony.

Zariecki odszedł do stołu, gdzie znowu jedli i pili.

- Możemy iść - powiedział Grieczysznikow do Biełosielcewa. - Połowa sprawy załatwiona.

Nie żegnając się, wyszli z paradnej komnaty.

Przy wyjściu z Borowickiej Bramy wartownik mechanicznym ruchem oddał im honory. Szli po Kamiennym Moście od strony Kremla, nad rzeką, po której wiatr wodził lekką srebrną miotełką. Z przeciwka pędziły samochody. „Przodownik”, jakby zmęczony tikiem, szarpał bladą reklamą „Renault”. „Dom na wybrzeżu” patrzył smutnymi oczami rozstrzelanych komisarzy.

- Pokazałeś mi ohydę - Biełosielcew kiwnął głową w stronę Kremla, gdzie za różowymi ścianami, wśród złotych kopuł czyjeś żółte zęby w dalszym ciągu rwały mięsne włókna, płat tłustej ryby padał na kosztowny parkiet, mokre usta głośno wciągały szampana. - Czy ja musiałem to zobaczyć? Po co?

- Widzieć, żeby nienawidzieć - zaśmiał się Grieczysznikow. - Po tym spotkaniu łatwiej nam będzie zrealizować operację „Prokurator”, w której odgrywasz kluczową rolę.

Komisarze w czerwonych naszywkach i rombach patrzyli z okien dużego domu. Nad strumieniem lśniących lakierem aut wznosił się budynek z czasów stalinowskich. Na dachu trzepotała reklama o kształcie czerwonego motyla, wykonanego ze szklanych rurek, wypełnionych gazem. Biełosielcew patrzył na motyla, jak na symbol swego przeżytego życia, towarzyszący mu na wszystkich kontynentach, na polach walk, w płonących miastach i wioskach. Starał się przypomnieć sobie, na jakim kwiatku - czy w zalewanym przez Mekong miejscu, czy na grząskim brzegu Rio-Coco albo też na afrykańskiej sawannie - on widział tego czerwonego motyla.

- Na czym polega operacja „Prokurator”?

- Prokurator jest ostrożny i czujny. Jest bronią Mera i Astrosa w ich śmiertelnej walce z Bałwanem. On czuje się jak rakieta, która ma być zestrzelona. Mnóstwo oczu i radarów śledzi jego lot. Nie domyśla się, że

to my przez szwajcarskich prawników zarzucamy go informacjami. Nazwy zagranicznych bezpodatkowych firm i kryminalnych banków, przez które kremlowscy złodzieje wyciągają z Rosji ogromne majątki. Jest przesadnie ostrożny w wypowiedziach, samotnik, nie chce wejść w układy. Chce wszcząć głośne procesy przeciwko Bałwanowi i jego środowisku podczas wyborów prezydenckich. Ma dwie słabości. Jest skrycie lubieżny i od czasu do czasu chwyta łakome kąski. I kolekcjonuje motyle, które kupuje w czasie zagranicznych wyjazdów. Chełpi się swoją wspaniałą kolekcją. Te słabości właśnie go zgubią, jeśli się nimi umiejętnie posłużyć... Biełosielcew przypomniał sobie afrykański błyszczący krzew z różowym kwiatostanem, na którym siedziała czerwona, przypominająca halabardę, nimfalida.

- Ty wywabisz go na spotkanie. On domaga się spotkania z tobą, marzy, by zobaczyć twoją wspaniałą kolekcję. Chce wymienić angolskie motyle, które schwytałeś w dolinie Kunene, na swoje, brazylijskie, kupione na targu w São Paulo. Wyznaczysz mu spotkanie w mieszkaniu, które znajduje się w tym domu. - Grieczysznikow wskazał na stalinowską budowlę, zwieńczoną szklanym gazowym aniołem. - Rozwiesimy na ścianach twoją kolekcję. Zaczнешь mu opowiadać o swoich bojowych trofeach, zdobytych nie automatem Kałasznikowa, a muślinową siatką. Twoja sekretarka, w rzeczywistości walutowa prostytutka z hotelu Metropol, będzie częstować was koniakiem i czarować Prokuratora. „Elik-sir miłości”, który należy do kieliszków, uśpi jego czujność, uczyni go sentymentalnym i namiętym...

Czerwona nimfalida siedziała na kwiatku w eterycznych oparach, a on wyciągał w jej stronę siatkę, szykując się do zamachu, nakreślając kątem oka trajektorię. Zbliżał się z siatką, błagając niewidocznego leśnego bożka, władającego afrykańskim lasem, rozkazującego motylom, antylopom, ptakom, żeby darował mu tę zdobycz. Wiedział, że jeśli nie trafi, to motyl odleci.

- Prokurator zostanie sam na sam z walutową pięknoscią, a ta uwiedzie go. Na szerokim łożu on wytoczy nie sprawę karną, a coś innego, na co będą nakierowane dwie kamery, ukryte w ścianie i suficie. Kiedy on na koniec zapnie się na wszystkie swoje prokuratorskie guziki i opuści mieszkanie, my już będziemy oglądać unikalne scenki, które wejdą do historii ojczyzno-prawodawstwa. Kopiesko zmontuje wspañiałą taśmę z muzyką z filmu „Mężczyzna i kobieta”. I możliwe, że tego samego wieczoru, zaraz po wieczornych wiadomościach, na kanale Zarickiego zdziwieni widzowie zobaczą tego, kto wojuje z kremlowskim złodziejem. Co prawda, dzieciom do lat szesnastu oglądanie tego nie jest zalecane...

Machnął siatką, łamiąc pusty kwiatek, zaczepiwszy muślinem o kolce. Wiedział, że chybił i motyl odleciał...

- Te scenki podburzą społeczeństwo i dadzą podstawę do usunięcia Prokuratora z funkcji. Będą zamrożone wszystkie sprawy karne, skierowane przeciw Bałwanowi. Merowi wytrąci się broń. Na znak wdzięczności za wspañiałą operację zostanie zmieniony dyrektor FSB, a jego miejsce zajmie nasz człowiek...

Motyl, którego wiele lat temu nie złapał w afrykańskiej sawannie, teraz, wykonany ze szkła i wypełniony świecącym gazem, przysiadł na dachu moskiewskiego domu, do którego musi wejść. Stał, dziwiąc się tajemniczym zbieżnościami, w których kryła się tajemnica wielowymiarowego świata.

- Czy rozumiesz swoją rolę? - spytał Grieczysznikow. - Wiesz, co masz robić?

- Nie będę w tym uczestniczyć - odpowiedział Biełosielcew.

- Dlaczego?

- Wstrętne. To wbrew moim zasadom.

- Czyżby? - Pomarańczowe oczka, jak kuleczki jarzębiny, zamrożone w lodowych kulach, zbliżyły się do twarzy Biełosielcewa. - Twoja etyka nie pozwala ci być „wabiącą kaczką”? A czyżby ci nie było wiadomo, że w atlasie wywiadowców „wabiąca kaczka” to najbardziej rozpowszechniony ptak? Że w każdym momencie może nią zostać pelikan albo sowa,

albo dziki gołąb? To zaszczyt dla agenta przyoblec się w kacze piórka i trochę pokwakać, mając kaczo.

- Budzi we mnie odrazę wabienie do łóżka z prostytutką podpitego mężczyzny. Nie chcę być „wabiącą kaczką”.

- A czyżbyś nie był nią pewnego razu w barze hotelu „Don Carlos”, dokąd zwabiono MacWillena?

Półmroczny bar hotelu. Wypolerowany czerwony bar, w którym odbijały się kolorowe butelki. Telefoniczna słuchawka we wzory. Rekwizytowy rycerz w kącie. Z odległych drzwi naprzeciw idzie MacWillen, jasnowłosey, wesoły, coś tam z daleka mówi do niego, przyjacielsko macha. Z obu stron, z ciemnych kątów wyskakują i rzucają się na niego czarnolicy agenci, wykręcają ręce, wloką. MacWillen obejrzał się przez ramię i rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie.

- Jeśli uważnie studiowałeś moje afrykańskie dossier, powinieneś wiedzieć, że MacWillen zwabiał mnie w pułapkę. To było pod Lubango po drodze do Porto Alexandre, gdzie mnie próbował zabić. MacWillen to wróg i w barze „Don Carlos” postąpiłem z nim jak z wrogiem.

- Ci, z którymi my walczyliśmy, też są wrogami. W stosunku do nich nie można kierować się etyką. Wykończenie ich - to miła Bogu przysługa. Nie ma takiej ceny, której by naród nie zapłacił, żeby ich zniszczyć. Wykończenie ich wymaga nie wystrzału, nie wybuchu, nie zwycięstwa w wyborach, a skomplikowanej intelektualnej gry. Od ciebie wymagamy znikomego wysiłku, a rezultat okaże się ogromny. Ty nie możesz odmówić...

Stali u podnóża mostu. Wiatr kładł na rzece srebrzyste puszyste paprocie. Trzepotał na dachu ogromny szklany motyl. To był generał Awdiejew, który położył ręce na szklanych rurkach, gotów wystrzelić w niebiosy.

- Zgadzasz się? - spytał Grieczysznikow.

- Tak - powiedział Biełosielcew. - Kto zostanie dyrektorem FSB?

- Wybraniec.

Zbliżyli się do domu z motylem, zaszli od podwórza. Pod drzewami stały samochody przypominające kolekcję różnobarwnych żuków. W jednym z nich za zaciemnionymi szybami mógł być ukryty aparat, odbierający sygnał z kamery. Podczas gdy Grieczysznikow wystukiwał na guzikach szpiczastym palcem kod, Bielosielcew przyglądał się, czy nie wystają spod karoserii auta wąsy anten odbiorczych, czy nie mignie za ciemnymi szybami czerwony ogień papierosa? Bezszumna winda wyniosła ich na górne piętro. Zatrzymali się przed szarymi drzwiami, na których był wybity wymyślny gotycki numer. Grieczysznikow otworzył zamek tajnego mieszkania.

Powiało na nich ciepłem i przytulnością, jakby mieszkanie było zamieszkałe i gdzieś obok w przestronnych pokojach, wśród swobodnie wiszących firanek, znajdował się gospodarz, amator dobrego tytoniu, drogich perfum, a także starych foliałów, roztańczających sandałowy zapach starego kleju.

- Twój dom - szerokim gestem serdecznego gospodarza domu Grieczysznikow zaprosił Bielosielcewa. - Wszystko tu urządzone pod twoje przyzwyczajenia i gusty.

Bielosielcewa zdziwiło podobieństwo tego sfabrykowanego mieszkania do jego własnego domu. Jakby ktoś studiował jego życie i przyzwyczajenia, robił opis jego drobiazgów i książek. Czarne afrykańskie maski z Angoli i Mozambiku. Etiopskie kolorowe łubki, wytłoczone na pergaminie. Gliniane bożki meksykańskich piramid i nagrobków. Dźwięczny spiż Wschodu z figurkami latających panien. Szkło z Gery podobne do niebieskich soplek. Pasztańskie naszyjniki i korale między czerwono-czarnymi kandaharskimi dywanami. To był dom podróżnika, który w ciągu długiego życia zebrał fetysze swoich namiętności, talizmany swoich walk i wojen.

- Tu jest bar, gdzie stoją ulubione alkohole Prokuratora - whisky, koniaki i francuskie wina... Tu lodówka, w której są już gotowe kostki lodu... Tu półka z serwisem do kawy i brazylijską kawą... Kieliszki, puchary, popielniczki... - Grieczysznikow wprowadził Bielosielcewa do

gabinetu, gdzie stało antyczne biurko z granitowym kałamarzem i szklanymi pustymi pojemnikami, niedbale leżały kartki i książki, i jarzył się biały, jakby wyrzeźbiony w śniegu, komputer. Na półkach pstrzyły się łąkowe ramki z fotografiami i stare skórzane grzbiety czasopism naukowych, atlasów geograficznych, etnograficznych przewodników i albumów malarstwa. Na stoliku leżał zapomniany entomologiczny atlas z wieloma kolorowymi afrykańskimi nimfolidami i album z buddyjskimi świątyniami, gdzie czarno-białe, jakby z meteorytu, płaskorzeźby z Angkoru przyjmowały zmysłowe pozy wschodniej miłości. - Tu wszystko mówi o samotnej pracy starego wojownika, który opisuje odyseję swoich długich wędrówek... Praca, którą rozpocząłeś i w której pomaga ci młoda cudowna pomocnica, nazywa się „Życie generała Biełosielcewa”. - Grieczysznikow uśmiechnął się ciepło. - A to sypialnia, gdzie Prokurator będzie walczył z kusicielskim demonem i padnie w nierównej walce...

Weszli do sypialni, gdzie stało wielkie łóżko zasłane pasiastą wschodnią kapą z długimi frędzlami, obszytymi kwiecistym jedwabiem.

- Ściany, jak widzisz, puste. Na nich powiesimy twoją kolekcję, a potyczka Prokuratora i demona odbędzie się na tej arenie, w otoczeniu tysięcy milczących skrzydlatych aniołów, pragnących porażki demona. - Grieczysznikow zaśmiał się. Podniósł palec w górę, do sufitu, wskazując na piękny żyrandol z cienkich listew brązu. Przeniósł palec na okno, na ozdobny karnisz, na którym wisiała przezroczysta firanka. - Tam są kamery... Wariant czarno-biały i kolorowy...

Biełosielcew oglądał sterylnie czyste ściany, które na kilka dni ubarwi jego kolekcja. Olbrzymie, bez jednej fałdki łóżko, na którym polegnie naiwny pijany kochanek. Ten pokój to była sala operacyjna, dokąd przywiozą pacjenta, ułożą pod chirurgiczną zapaloną lampą, podadzą środki przeciwbólowe, nałożą na twarz maskę z gazem rozweselającym...

W korytarzu rozległ się dzwonek, przypominający dźwięki klawesynu.

- A oto i bohaterka romansu. Ta, której dyktujesz swoje wojenne opowieści. - Greczysznikow pospieszył do korytarza, żeby otworzyć.

Weszła młoda kobieta, piękna i sympatyczna, od początku, od progu promieniająca urodą, oczarowaniem, obliczonym na szybkie poznanie i wzbudzenie pożądania. Wszystko w niej emanowało świeżością i kobiecością: jasne, uczesane z prostym przedziałkiem, włosy, złociste, wysoko podniesione, jakby ze zdziwienia, brwi, śmiejące się, pełne blasku oczy, świeże usta uśmiechnięte, delikatny, lekko uniesiony podbródek. Była podobna do szlacheckiej dziedziczki, która wstąpiła na kursy Bestużewa. Takie było pierwsze wrażenie, które wstrząsnęło Biełosielcewem. Ale drugim, które bystrym i doświadczoneym okiem rozpoznał, była niemalże nieuchwytna nienaturalność tego przyjemnego i prosto-dusznego obrazu. Cały ten wygląd był wypracowany, skonstruowany, nałożony na nią i szczelnie dopasowany. Jej ubranie - żakiet, bluzka, krótka spódnica, pantofle - było naszkicowane na delikatnych szablonach, odtwarzających kształt ciała, wymierzone i wyliczone co do mikrona, łącząc nieco odkrytą wypukłość piersi z delikatną bielą szyi, wystające owale kolan ze szczupłymi delikatnymi kostkami. Każdy guzik, haftka i spinka, metalowe i plastikowe suwaki były wygodne i naturalne, jak na pokrowcu mechanizmu, pozwalając szybko i zręcznie oswobodzić drogę urządzenie z chroniącej go otoczki.

Jej mała skórzana torebeczka z kieszonkami i zapięciami, trochę podniszczona od ciągłego używania, przypominała torbę majstra z kompletem narzędzi roboczych, gdzie każda rzecz miała swoją przegródkę. W tej szczelnie zapiętej torebeczce, w każdej oddzielnej kieszonce kryły się środki uwodzenia i higieny, notatnik z adresami klientów, kluczyki do samochodu, a w skórzanej wąskiej przegródce - długie, matowo-zielone banknoty, otrzymane za wykonaną pracę.

Biełosielcew patrzył na młodą, piękną kobietę, starającą się oczarować go, zyskać sympatię okrągłymi wesołymi oczami, miłym uśmiechem,

złotym łańcuszkiem na białej, pulsującej szyi, i wiedział, że ogląda pięknie zaprojektowaną, nienagannie wykonaną „maszynę miłości”.

- Dzień dobry, Weroniko, dzień dobry, ślicznotko! - po ojcowsku pieszczotliwie przywitał ją Greczysznikow. - To jest Wiktor Andriejewicz, któremu pomagasz pisać pamiętniki... Wiktorze Andriejewiczu, to Weronika, twoja sekretarka, której dyktujesz historię swego pracowitego życia... Jak to się mówi, kochajcie się i miłujcie. - Zadowolony popatrywał na obydwójce. A Biełosielcewowi wydawało się, że jego wzrok jest przenikliwy, zimny, dokładny, jak u mechanika, oglądającego złożone mechanizmy przed uruchomieniem ich. W jego oczach Biełosielcew też był „maszyną”, którą po długim postoju wyprowadzono z hangaru, wypróbowywano podczas pracy, po cichu wątpiąc, czy ruszą zastale wały i koła, czy zimny silnik zassie gorące paliwo.

- Bardzo mi przyjemnie - odezwała się kobieta. - Wiem, że pan dużo podróżował po Afryce. Bywał pan w Angoli i Mozambiku. Który epizod ze swoich podróży będzie mi pan dyktował?

- Nie wiem - zmieszał się Biełosielcew, wyczuwając pływający od kobiety delikatny zapach perfum, przyrównując go do prawie niewyczuwalnych zapachów eteru, który czarno-zielony motyl, świecący machaon, pozostawia w powietrzu, kreśląc wśród wiatru, słońca, liści drzew i duszących oparów błot niewidzialną trasę, po której lecą odurzane samce w poszukiwaniu czarno-zielonej samiczki, a on stał na brzegu oceanu, podniósł wysoko siatkę, chwytając w nią wraz ze słonymi bryzgami i ziarenkami kwarcu puszystego machaona, podobnego do zerwanego przez wiatr kwiatka. - Nie wiem - powtórzył - może epizod z nocnej Luandy, na brzegu laguny, w hotelu „Panorama”, gdzie zebrała się cała śmietanka angielskiego towarzystwa...

- A pan, oczywiście, tańczył z piękną czarną kobietą... - wypowiedziała to uprzejmie, bez cienia zainteresowania, z tym celuloidowym

uśmiechem, za który jej zapłacono, ale te przypadkiem rzucone słowa poruszyły go.

Aksamitna afrykańska noc. Czarna laguna ze złotymi odbiciami światła w wodzie, tam, gdzie w dzień wyskakiwały w powietrze ciężkie tuńczyki, zawisały na chwilę, skrząc się w słońcu, i opadały z pluskiem do wody. Chrypliwy, hałaśliwy saksofon, podobny do wygiętego morskiego zwierzęcia, całowanego miękkimi zamszowymi ustami. On obejmuje w talii Marię, wyczuwając palcami giętkie kręgi pod jej nagą skórą, przyciska do siebie jej piersi, za jej gołym karkiem widzi wirującą białą balustradę, przepływający czarny frak dyplomaty i plamisty mundur wojskowego.

- Pan chce zrobić Prokuratorowi prezent? - zapytała. - Chce mu pan podarować motyla?

- Ty jesteś tym motylem, którego podarujemy Prokuratorowi - zaśmiał się Grieczysznikow. - Ten podarek zapamięta na całe życie.

Zaprowadził Weronikę do salonu, stuknął drzwiczkami barku, pokazując butelki z napojami, kryształowe kieliszki, naczynie na kostki lodu. Coś tam niegłęboko tłumaczył, a ona, jak grzeczna uczennica, stawiała pytania. Biełosielcew bał się przepłoszyć nierozsądną, niemożliwą myśl. Że zostanie w tym pięknym przytulnym mieszkaniu sam z młodą miłą kobietą, która będzie wysłuchiwać długiej opowieści jego życia. Myśl była sentymentalna, z tych, co bez słów rodzi się w głowie starego agenta w obecności młodej prostytutki.

- Wszystko rozumiem - powiedziała Weronika. - Cieszę się, że się poznaliśmy. Muszę już iść. Czekają na mnie w Metropolii, a jeszcze chcę zajść do fryzjera.

Uśmiechnęła się, machnęła torebką i wyszła, pozostawiając w powietrzu lekki aromat perfum, po którym można ją będzie odnaleźć, idąc Kamiennym Mostem, obok Kremla i Maneżu, ponurego budynku Dumy, kolumnady Teatru Wielkiego, do Metropolii, gdzie wieczorem w barze odnajdą ją pożądlive oczy bogatego arabskiego szejka.

- No więc tak, Wiktorze Andriejewiczu, pójdziemy i my pomaleńku. Miejsce już znasz. O czasie, kiedy będzie potrzebna twoja kolekcja, będziesz poinformowany. Będziemy robić kino. - Zaśmiał się gruchającym śmiechem leśnego gołębia.

Rozdział szósty

Bielosielcew opuścił dom z czerwonym szklanym motylem i ruszył piechotą wzdłuż Polanki, usiłując przypomnieć sobie, jak jeszcze niedawno nazywała się ta ulica, po której tyle razy przejeżdżał od „Przodownika” do Sadowej. Ale w pamięci, zamiast nazwy ulicy, było nierówne nacięcie, gdzie wycięto mu kawałek mózgu i w pośpiechu zaszyto nylonowymi nićmi. Jednak inna ulica, biegnąca z boku między bogatymi sklepami, pompatycznymi hotelami, biurami poselskimi i świątyniami nazywała się Jakimanka i on nie zapomniał jej poprzedniej nazwy - Georgija Dymitrowa. W tym zapomnianym nazwisku, jak w okrągłym metalowym pudełku z filmem dokumentalnym, był ukryty płonący Reichstag, marsze z pochodniami, odkryty opel z triumfującym Hitlerem. Moskwie przypadła część światowej historii w charakterze wojennego trofeum, przeniosła ją do swojego panteonu, zamurowała w ścianach domów, w nazwach placów i ulic. Teraz nieznany Jakimka w czapce błazna znowu wyskoczył z zapomnianej skrzyni, gdzie przeleżał pół wieku wśród kulek naftaliny, sparciałych kartonów i babskich butów. Zeskrobał imiona bohaterów i męczenników, skakał po dachach i drutach, robił śmieszne miny do kierowców mercedesów i volvo.

Bielosielcew szedł zmęczony, wspominając wrażenia długiego, jeszcze niezakończonego dnia. Człowiek, do którego się zbliżał, patrzył na niego spokojnymi jasnymi oczami starzejącego się moskwianina, i ten wzrok był Bielosielcewowi znajomy, jakby widział tego człowieka wczoraj.

- Dokąd zmierzamy - wiemy, a dokąd dojdziemy - nie wiemy - powiedział człowiek, kiedy Biełosielcew zrównał się z nim.

- Co pan powiedział? - zapytał Biełosielcew.

- „Na polance stanęły czołgi”, jest taka pieśń. Pójdziemy, wsadzę cię do samolotu. „My przyjaciele, przelotne ptaki”. Jest taka pieśń.

Biełosielcew nagle poznał człowieka. Nawiedzony wieszcz, jabłkowy prorok, który podarował mu w cerkwi złocisty wonny owoc, stał przed nim w tej samej wytartej marynareczce, oprószonej miękkim kurzem dróg. Twarz bez wyrazu, ale oczy, płonące, szare jak letnie pogodne niebo, z którego kropi ciepły deszczyk, patrzyły naiwnie i życzliwie.

- Smok metrem do Kremla przelazł? - zapytał Biełosielcew bez ironii, tylko dlatego, żeby mu się przypomnieć.

- Smok, który na głowie ma piętno, a serce w bagnie. Liczy się za dwóch, a znaczy jeden. Jest liczba smoka, i jest imię smoka. Imię smoka - Jakim. - Wieszcz wskazał sąsiednią ulicę z kosztownymi witrynami i drogimi salami.

To spotkanie w słonecznej, przedwieczornej Moskwie było kolejnym przypadkiem. Z liczby tych, które zdarzyły się w ostatnich dniach. Potwierdzało niewzruszone prawo przypadków. Wydawało się, że szarooki człowiek strzegł go tu, na skrzyżowaniu moskiewskich ulic. Strzegł dzień wcześniej w cerkwi wśród pachnących jabłek. Nazywał się Nikołaj Nikołajewicz. Ręce miał czarne od maszynowego smaru i ślusarskich narzędzi.

- W Moskwie skończyło się jedno cesarstwo, a drugie nastać nie może. Smok nie puszcza, leży w poprzek Moskwy. Kto smoka zabije, ten car. Ty zabijesz - ty car, ja zabiję - ja car. W kim więcej leż, ten zabije. Władyka Joann płakał trzy lata, i wyszedł pożar Moskwy. Smok czołgi przysłał i Paszka Mercedes do narodu z czołgów strzelał. Carewiczów wszystkich zabił, a carewny zostały. Smok codziennie jedną carewnę pod ziemię uprowadza. Pod ziemią, w metrze, jest martwe pole, nazywa się „Metropol”. Tam rosyjskie carewny zakopane, Piękności. Dalej sam zrozum...

Odwrócił się i poszedł, nie oglądając się, wiedząc, że Biełosielcew podąży za nim. Ten istotnie szedł śladem. Porwany gmatwaniną słów, ich przyciągającym choć niejasnym sensem, kroczył za wieszczem. Biełosielcew szedł za Nikołajem Nikołajewiczem, nie rozumiejąc jego bełkotu, jednocześnie rozkoszując się tym męczącym niezrozumieniem.

W zaułku, blisko Polanki zatrzymali się przy samochodzie, takim jak te, co kręcą się na karuzelach razem z kolorowymi końmi, malowanymi samolotami i kwiecistymi raketami. Samochód był mały, jakiejś zapomnianej sowieckiej marki, wielokrotnie przemalowywany, cały w naklejkach, wgnieceniach, kalkomaniach. Za szybą pysznił się portret generalissimusa Stalina, przymocowana była ikona Bogurodzicy, zebrany cały ikonostas widokówek, ma których prawosławni święci sąsiadowali z sowieckimi wodzami i bohaterami. Wzdłuż maszyny była przeciągnięta soczyście czerwona linia, a na bagażniku wymalowana czerwona gwiazda, co przydawało automobilowi wygląd przedwojennych tęponosych jarząbków, bez strachu ginących od stalowych „messerschmittów”.

- Siadaj na miejscu drugiego pilota. - Nikołaj Nikołajewicz otworzył przed Biełosielcewem malutkie drzwiczki, wpuszczając go do ciasnej kabiny, a ten, dziwiąc się sam sobie, posłusznie siadł i znalazł się wewnątrz pojazdu podobnego do metalowej bożej krówki. I od razu dziwnie go uderzył wyczuwalny zapach perfum. Jakby siedziała tutaj kobieta, z którą dopiero co się widział.

Potoczyli się tą kolorową mechaniczną zabawką, ściśnięci chromowanymi kiami dżipów, przyduszeni wypasionymi bokami mercedesów, wyprzedzani przez wąskie ciała nissanów. Kiedy obok nich znalazł się długi, śliski jak węgorz lincoln, Nikołaj Nikołajewicz zauważył:

- Umarlaków takim dobrze wozić, a żywi do mnie siadają - i popatrzył na Biełosielcewa spokojnymi oczami, pochwalając jego wybór.

Zaciągnęło ich w wiry i szumiące dziury Sadowej, gdzie ich automobil wydawał się zmiętym pstrym papierkiem, unoszonym przez

wzburzone fale. Taganka przypominała roladę z wymieszanymi domami, dzwoniczami, migającymi reflektorami, stalową mieszaniną aut, kipiącym wrzątkiem tłumu.

Bielosielcew nie pytał, dokąd jadą. Przestał przeciwstawiać się natłokowi zjawisk, przyjmował je jak nieuniknioną wartość, gdzie sens i znaczenie ma każdy szczegół, nawet do pewnego momentu niezrozumiały. Tak jak ten dziwny pilot, kierujący swój rekwizytowy myśliwiec na mgliste przedmieścia Moskwy.

Kilka razy Nikołaj Nikołajewicz zatrzymywał swoją limuzynę i wysiadali. Pierwszy raz - kiedy prorok wszedł do sklepu spożywczego i pomiędzy udekorowanych wystaw, plastikowych butelek z kolorowymi niezdrowymi napojami wybrał dużą ilość cukierków w różnorakich papierkach, wskazując palcem na stopy pomadek, sojowych batoników, czekoladek, sztucznych truflii, zawiniętych w strojne papierki jak choinkowe zabawki. Cały ten błyszczący cukierkowy stos zsywał do płóciennej torby, dał ją do potrzymania Bielosielcewowi, a sam długo, starannie odliczał pieniądze, płacąc wytartymi banknotami.

Drugi raz zatrzymali się przy aptece z zielonym krzyżem. Odstali w niedużej smutnej kolejce, popatrując na flakoniki i pudełeczka. Nikołaj Nikołajewicz wsunął receptę przez szklane okienko, za którym w białym fartuchu siedziała kapłanka wyglądem przypominająca postać biblijną. Kapłanka postawiła na ladzie brązowy flakon z tajemniczym płynem, a Nikołaj Nikołajewicz w milczeniu podał jej wymięte pieniądze.

Trzeci postój zrobili przy rynku, nakrytym jak cyrk betonową czaszą. Nikołaj Nikołajewicz szedł między rzędami, a Bielosielcew zatrzymał się między alkoholowymi a słodkimi zapachami. Góry jabłek, starannie ułożone piramidy gruszek, przezroczyste liliowe kiście winogron. Pomarszczone pomarańczowe suszone morele, brązowe rodzynki, śniadki greckie orzechy. Rozkrojone na długie części żółte dynie, przypominające egipskie łodzie. Czerwone jak usta śmiejącego się Murzyna, ociekające sokiem połówki arbuźów z błyszczącymi czarnymi ziarnami. Wszystkie roztaczało aromat, ociekało sokiem, mamiło i pobudzało. I wszędzie

za ladami stali krzepcy Azerowie, z czarnymi wąsami, źle ogoleni, z granatowym zarostem, przyjacielscy, nalewający z czajnika gorący czarny napój, podnoszący do wąsów wyostrzony nożyk z kawałkiem czerwonego arbuza. Oni również, przedsiębiorcze dzieci Kaukazu, pracowici i pewni siebie, stali przy stoiskach rybnych, na których leżały złociste ostronose jesiotry z kolącymi grzbietami i perłowymi płytkami skrzelii, podobne do smoków. Srebrne mrożone łososie z zębataymi drapieżnymi pyskami promieniowały niebieskim światłem zimowego poranka. Góry różowych krewetek, przesypanych kawałkami lodu, prezentowały w Moskwie niezliczonych mieszkańców ciepłych wód. Pancerne przyszczate kraby, rozłożone na płótnie, otwierały do przyjacielskich objęć kleszcze. Wąsaci handlarze, wymawiający pieśczośliwie słowa w niewiadomym języku, zachęcali klientów.

Bielosielcew poruszał się między straganami, przyglądał się kaukaskim twarzom z granatowym zarostem, migającym między kolorowymi rzędami. Złote zęby błyskające wśród ciemnopurpurowych róż i śnieżnobiałych lilii. Obserwował, jak chwytnie palce ze srebrnym pierścieniem ściskają mokry nożyk, oddzielają błony od baranich udźców, oddzielają tłuszcz od okrągłych jąder. Stawiają poręczniej odciętą głowę z okrągłymi rogami i wysuniętym przygryzionym ozorem. Czuł do tych ludzi nieprzyjazne uczucie przekłętogo szowinizmu. Rozwaliwszy „imperium zła”, obzarłszy do kości Rosję, napłakawszy się do woli nad ofiarami „rosyjskich okupantów” w Baku, krewkie plemię Kaukazu nie odstępuje Rosji. Pobiwszy się z Ormianami o Karabach, rozszarpawszy rosyjskie pograniczne oddziały i garnizony, oddawszy ropę z Baku amerykańskim kompaniom, przekupnie Giandży i Szuszy wtargnęli do Moskwy zwartą milionową orlą. Zaciekle, namiętnie targują, skupują domy i mieszkania, ziemię i fermy, obrazy i kosztowności. Trzymają w swoich rękach restauracje i kasyna, przejmują władzę w prefekturach. Wymyć i ogoleni po pracy, w drogich garniturach i krawatach siedzą za stołami, demonstrując kaukaską radość życia i dostatek wśród rosyjskich smutków.

Przebywając na Kaukazie w ostatnich miesiącach swojej pracy w wywiadzie, Bielosielcew pamiętał, jak w rejonie Gandży pojmany rosyjski major został zatłuczony prawie na śmierć i włożony do starej dętki od kamaza. Kiedy na BTR-ze dotarł pluton desantowy, z czarnej śmierdzącej gumy sterczały tylko spalone kości majora i szczyrzyła się biała czaszka.

Bielosielcew znalazł Nikołaja Nikołajewicza w dalekim rogu bazaru, kiedy ten chował słoiczek miodu, kupionego od miłego staruszka.

- Teraz i wiewiórki syte, i pszczołki zdrowe - oznajmił Nikołaj Nikołajewicz, zadowolony z zakupów. - Teraz i my w sile, i Bóg w sławie! - dodał, wiodąc Bielosielcewa do swojego pojazdu. Sadowiąc się na wytartym siedzeniu dziwnego samochodu, wdychając zapach dojrzałych owoców, benzynowy wiatr, dym niewidocznego szaszłyka, Bielosielcew, jak za diabelską sprawką - ponownie złowił ulotny aromat damskich perfum, jakby przeleciał motyl, zostawiając pachnący ślad.

Wjechali w Pieczatniki, między szarobiałe zabudowania, przypominające nie fantazyjne pierniczki, a stare suchary, poustawiane pod różnymi kątami. Krążyli trochę po bezsensownie ułożonych ulicach i nagle znaleźli się na brzegu rzeki-Moskwy, między zboczami, dźwigami, do połowy zatopionymi barkami. Na samym brzegu, na pustkowiu, stały garaże i samochód Nikołaja Nikołajewicza zatrzymał się przed jednym z nich, z otwartymi drzwiami i palącą się w głębi lampą.

- Bombowce, które bez bomb, to cel myśliwców. A pozostałe nie mają znaczenia - niezrozumiale wyjaśnił Nikołaj Nikołajewicz i opuścił samochód.

Z garażu wyszedł chudy wyrostek w chustce, przyciskającej do głowy włosy albinosa, z wymazanymi rękoma, które wycierał wysmarowaną szmatą, z wyrazistym gagarinowskim uśmiechem, z gagarinowskimi, też trochę uniesionymi w górę, kącikami ust.

- Długo jechałeś, wujku Kola! Klienta przywiozłeś? - śmiało, jak na równego, popatrzył na Bielosielcewa. - Przednie zawieszania zmieniłem. Będziesz sprawdzać czy nie? - Kiwnął w głąb garażu, gdzie pod lampą

stała wołga z podniesioną maską, klębiło się żelaziste powietrze, niewyraźnie majaczyły półki z narzędziami, gazowe butle, ławy i taborety. - Daj, wprowadzę twojego „Gastello”! - Zgrabnie umieścił się w aucie i wjechał do garażu, zasłaniając stojącą na kanale wołgę.

Nieoczekiwanie z garażu, spod ziemi, zza mizernych krzaków, wydało się, że nawet z gałązek liszajowatego drzewa, posypały się, wyskoczyły dzieciaki. Mrowie, około dziesiątki, małe dziewczynki i chłopcy, śmiesznie, różnorako odziane, w znoszonych kurtkach, w porwanych spodniach, w spłóviałych, za dużych sukienkach. Umorusane, z wielkimi oczami, hałaśliwie obstąpiły Nikołaja Nikołajewicza. Zaczęły go ciągnąć za poły marynarki, za ręce, podskakiwały, próbowały wdrapać się na niego. Podobne były do wiewiórek, czepliwie skaczących, cmokających, jazgoczących. To podobieństwo jeszcze się zwiększyło, gdy Nikołaj Nikołajewicz wyjął torebkę i zaczął wykladać na upačkane dziecięce dłonie kupione cukierki. Małe, brudne palce chwytaly słodczyce, prawie wrywały, chowały do kieszeni. Zaraz rozwijały srebrne papierki. Napelniały cukierkami buzie, wrywały sobie wzajemnie, upuszczaly, pelzały po ziemi. Tak wiewiórki chwytają grzyby i orzechy, chowają w dziupli, nasadzają na ostre leśne sęki.

Nikołaj Nikołajewicz uśmiechał się szczęśliwie, rozpostarł ręce, jakby nakrywał dzieci przykryciem, chroniąc przed niebezpieczeństwem w chwili, gdy one lasuchowały, pačkaly się czekoladą.

- Znowu wszystkie pieniądze wydał - rzekł młodzieniec w chustce, zwracając się do Biełosielcewa, bez osądzania, ale z lekkim uśmiechem, jakby usprawiedliwiał Nikołaja Nikołajewicza z jego słabości. - Za każdym razem emeryturę na cukierki wydaje.

- A ja mam arachidka! - kręciła cukierkiem ciemnooka smagła dziewczuszka, której brązowe zlociste oczy obwiedzione były granatowym cieniem. - Mam arachidka, mam arachidka!...

- A ja mam raczka i misia! - chwaliła się druga, płowowłosa i niebieskooka, podskakiwała i przytupywała znoszonymi pantofelkami. - A ja mam więcej od was!...

- A ja mam trufkę, czekoladową, z orzechem! A wy nie macie! - triumfował sympatyczny chłopczyk z jasną czupryną, w zbyt obszernej zniszczonej kurteczce z oderwanymi guzikami. - Ty, Wierka, masz karmelki lepkie, a ja mam czekolady za sto rubli!

- Chodź, Sońka, zamieśmy się. Ja ci dam dwa raczki, a ty mi misia, chcesz? - Dziewczynka z niebieskimi oczami wyciągnęła cukierki w stronę drugiej, rudowłosej, o zielonych oczach, której cienkie gołe ręce całe były w ciemnych siniakach.

- A takiego kutasa! - odpowiedziała ruda, ściskając pięść, w której trzymała drogi cukierek.

Bielosielcewa poraziło ciężkie męskie przekleństwo, okropnie brzmiące w ustach wesołej, zabawnej dziewczynki. Już się domyślał, że dzieci, otaczające Nikołaja Nikołajewicza, były bezdomne. A on obdarowywał je i podkarmiał, jak ludzie o miękkim sercu dokarmiają bezdomne psy i koty, sypią ziarno do karmników ziębnącym na mrozie ptakom.

Połknąwszy pierwszą partię cukierków, napełniwszy na zapas kieszenie, dzieci teraz rozprostowywały barwne papierki i grały w fanty. Ale nie tak, jak to robił w dzieciństwie Bielosielcew, składając papierki po cukierkach w ciasne maleńkie kopertki, po czym złożony fant kładło się na dłoń, palce silnie uderzały o kant stołu, a kolorowy papierek, wyrzucony jak z katapuły, padał na kupkę innych, rozrzuconych na stole. Nakrywał kolorową kopertkę, czyniąc ją własnością szczęśliwego gracza. A jakim bogaczem i szczęśliwcem czuł się hazardowy miotacz, jeśli jego przezroczysty, tani papierek po cytrynowych karmelkach padał na ciężki i mocny fant czekoladowego cukierka „Miś na Północy”, na którym pokryty szronem niedźwiedź stał na malowniczej krze, podnosił pysk ku srebrnej polarnej zorzy. Małym groszowym papierkiem wygrywało się wszystko, kładło do blaszanego pudełka po landrynkach.

Dzieci przy garażu grały w inne fanty. Wyglądały papierki na całej powierzchni, składały je w stertę, rozdzielały według wielkości, wartości,

godności. Puszczały do zamiany, zgrabnie przebierały małymi brudnymi palcami. Liczyły, śliniły, zaczęły nie obserwowały partnerów, podejrzewając oszustwo i podstęp. Słowa, które wypowiadały podczas gry, brzmiały: „Twoje sto baksów!” - „Jeszcze odsuń!” - „Zbijam zielone!” - „Dawaj po zmiennym kursie!” - „Ty mnie kapusty nie podsuwaj!”. Głosy ich były podniecone, pożądlive, złe. Oczy błyszczały. Małe ręce, chwytając stertę papierków, zgrabnie zmiatały je do kieszeni. Niektóre papierki wrywały ze wspólnej sterty, oglądały pod światło, jakby podejrzewały oszukaństwo, możliwość fałszywego banknotu.

Nagle w stadku grających rozległ się krzyk, pisk. Dwie dziewczynki szepiły się jak małe rozszoszczone kotki.

- Łachudra szarpana, oszukać mnie chciała! - piskliwie wykrzykiwała smagła jak Cyganećka, wściekła, gniewna, bezlitosna. - Najpierw zapracuj, a potem bierz!... Za darmość chciała! - Potrząsała papierkiem przed swoją niebieskooką koleżanką, która w odpowiedzi walila ją piąstką i twarz jej pokryła się pasowymi plamami.

- Ty mi tu będziesz mordę wydzierać! - krzyczała w odpowiedzi. - Ahmedowi powiem, on ci tak nakopie, że rakiem będziesz chodzić!...

Szepiły się, biły, szarpały wzajemnie za włosy, drapały się paznokciami, walcząc o prawo własności w postaci papierków po cukierkach. Jak zwierzątka, na razie dopiero uczyły się bić do upadłego, wykrawając sobie w twardym, okrutnym świecie małe terytorium życia.

Chłopczyk z czubkiem, sympatyczny, z delikatną nasadą nosa i niebieską żyłką na szyi, wulgarnie zaklął. Rzucił się do walczących dziewczynek, kuksańcami i razami rozdzielił je:

- Mordy sobie podrapiecie! Z podrapanymi mordami ni kutasa nie zarobicie! Ahmed tak wam obu dołoży, że rakiem będziecie chodzić!

Te słowa i przekleństwa ostudziły walczące. Dziewczynki rozeszły się. Pochlipowały, poprawiały rozchełstaną odzież, zbierały z ziemi rozsypane

fanty. Chłopiec, który doprowadził do rozejmu, chcąc go przedłużyć, wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstował przeciwniczki. Wyjął przezroczystą plastikową zapalniczkę, podał gazowy ogieniek. Obie dziewczynki, czarnowłosa i ruda, zapaliły w milczeniu jak dorosłe. Głęboko się zacięgały. Wydymając dolną wargę, wypuszczały dym.

Bielosielcew ze zdumieniem patrzył na tę bójkę. Wyrostek w chustce nie wtrącał się. Z poczuciem winy, jakby usprawiedliwiał się przed Bielosielcewem, uśmiechał się gagarinowskim uśmiechem. Chłopiec z czubkiem, najstarszy spośród dzieci, po dorosłemu, kaczym chodem, trzymając papierosa w zębach, podszedł do wyrostka w chustce:

- No co, Sierioga, dawaj, włączaj wodę! Wymyjemy „Gastello”! Przecież Nikołaj Nikołajewicz brudnym jechać nie może!

Z węża trysnęła woda. Czuby chłopiec, nie wypuszczając papierosa z ust, oblewał auto iskrzaną strugą wody, rozbijał strumień o przednią szybę z portretem generalissimusa i Bogurodzicą, o czerwoną gwiazdę, o narysowany na pogiętej karoserii statecznik samolotu. Dziewczynki, uchylając się od bryzgów, wycierały samochód gąbkami. Nikołaj Nikołajewicz, opuściwszy zmęczone ręce, stał z boku, czule i smutnie patrzył na myjących.

Chłopak w chustce, nazwany Sierioga, trzymał w ręku nakrętkę, przecierał ją szmatą, wyjaśniając Bielosielcewowi:

- Ta czarniutka, Lenka, sama nie wie, skąd się wzięła. Z Tambowa czy skądś tam. Bielutka, Wierka - jej matka pod pociąg elektryczny wpadła, a więcej nikogo nie ma, i tak się tuła... Ta ruda, Sońka - rodzice pijacy, sprzedali ją Cyganom, a ona uciekła i tu się objaja... Loszka, pacan - ojciec i matka złodzieje, w pace siedzą, a on z sierocińca uciekł...

Dzieci przekształciły mycie samochodu w zabawę. Pryskały, piszczaly, starały się maznąć białą pianą jedno drugie. Chłopaczek kierował strumień to na jedną, to na drugą dziewczynkę, a te, zadowolone, darły się, udawały, że się złością, wygrażały mokrymi piąstkami.

- Ich wszystkich, te dzieciaki, zebrał Czeczeniec Ahmed... Gnida sobacza, pasożyt, narkotykami handluje... On ich wieczorem zbiera. Pudruje, maluje i do Azerów z rynku odwozi, do hotelu na całą noc... A rankiem dziewczynki i Locha tutaj przypełzają, zsiniali, pobici, jedni pijani, inni przepaleni papierosami. W garażu na barłogach odsypiają... Wieczorem Ahmedzik znowu ich na rynek wiezie... Ludzie zgłaszali do milicji: „Aresztujcie Ahmeda, wszystkich narkotykami zatruł! Nad dziećmi się znęca! Wy co, milicjanci, nie rosyjscy ludzie?...” A jego na godzinę do komisariatu zabrali, wzięli zeznania i z powrotem wypuścili. On gliniarzy ze wszystkim kupił, dzieli się z nimi pieniędzmi. Oni jako ochrona pracują u niego...

Dzieci bawiły się, szalały. Ruda dziewczynka, cała mokra, w oblepiającej ciało sukience, z pociemniałymi od wody włosami, wyrwała węzą chłopcę, piszczała.

- Oksana, dziewczuszka, uciekinierka z Kazachstanu... Azery ją jakąś chorobą zarazili... Ahmedzik zbił, powiedział, że ją żywcem zakopie, żeby zarazy nie roznosiła... Do rzeki wskoczyła... My z Nikołajem Nikołajewiczem wyłowiliśmy, odchuchaliśmy... Teraz w szpitalu leży, lecz się. Nikołaj Nikołajewicz wozi jej lekarstwa i miód kupuje...

Świat, w którym żył Biełosielcew był niegodzien istnienia. Powinien zginąć, rozpaść się na pierwotne atomy. Żeby Bóg, utwierdziwszy się w pomyśle swego dzieła, miał możliwość stworzyć świat na nowo, według innego pomysłu i szkicu.

- Ja Ahmedzika dostanę... Ja go w dżipie dostanę... Na rynku go wezmę i w restauracji wezmę... Jeśli do Czeczenii ucieknie, ja go, czarnodupca, i tam dopadnę... Jesienią do wojska idę, do Czeczenii prosilem... Będę go po górach ganiać jak zająca, póki jego śmierzących uszu na motelki sobie nie przerobię... Za dzieciaki się zemszczę... - Wyrstek, który jeszcze kilka minut wcześniej wydawał się wesółkiem i lekko duchem, teraz miał ciemną, okrutną twarz. Kąciki warg już nie uśmiechały się gagarinowskim uśmiechem - były opuszczone, jak u bezlitosnego wojownika, gotowego uderzyć. Nakrętka w ręce błyskała jak nóż.

Dzieci odłożyły pustego węża. Odpoczywały, przyglądały mokre włosy. Doprowadzały do ładu odzież. Wymyty samochód przypominał kolorową muszelkę. Nikołaj Nikołajewicz coś mówił do czubatego chłopca, przekazywał mu torebkę z lekarstwami, słoiczek miodu, zapewne dla chorej Oksany. Dzieci jeszcze poszczębiały, poskakały i wszystkie razem, jak ptaki, zniknęły, migając na pustkowiu i na oddalonej drodze.

Słońce opuszczało się do rzeki, oświetlając trawiastą wyspę czerwonym światłem. Dźwigi portowe wydawały się czerwone. Zatopiony kadłub barki wyglądał jak świeżo powleczony minią. Ręce Nikołaja Nikołajewicza, przesączone smarem, przyprószone żelazem, były opuszczone, i mogło się wydawać, że przed chwilą mieszał w wielkiej wazie rozgniecione maliny i teraz ta waza, pełna konfitur, wisi nad rzeką, a pod nią na wodzie leży ślad przelanego soku.

Siedzieli z Biełosielcewem przy rzecznej skarpie, na starym pniu, a Nikołaj Nikołajewicz cicho mówił:

- Były Pieczatniki, a zostały Żałośniki, dlatego tacy naczelnicy... Oksana - carewna, ją smok ukąsił, a my uratowaliśmy... Ona ptaszek Boży, jej raj się śni, a smok ją do piekła wciągnął... Do rajskich ptaszków nie wolno strzelać, one są mądrością Bożą, Bóg im piórka pomalował... Smoka z ziemi nie widać, ty wzleć, wtedy zobaczysz... Ja ikonę maluję, anioł ze skrzydłami, kapitan Gastello... On smoka z wysokości zobaczył, sam wiesz, co wyszło... Dlaczego jesteś mi przyjacielem? Dlatego, że inny... Rosyjscy ludzie - inni... Oni z innej trawy, z innej ziemi, z innego kamienia... Na rosyjskim kamieniu cały świat stoi... Kiedy smok rosyjski kamień zrzuci, wtedy i świat się zawali... Nie chcę być inny, ale Bóg każe... Rosyjski kamień bardzo ciężki... Z niego Golgota złożona... Chrystus pod rosyjskim kamieniem leży, i towarzysz Stalin, i Aleksander Matrosów... Rosyjski kamień tylko na siły dzieci... Wszyscy ludzie - dzieci, a kto dla nich matka, to sam zrozum... - Zamyślił się, i po chwili ciągnął dalej:

Strzała świata leci w kierunku przeciwnym do słońca, a rosyjska strzała leci do słońca... Rzeka świata płynie z góry, a rosyjska rzeka płynie w górę... Nam Bóg ziemię dał, żebyśmy ją ponownie zlepiłi rękami i pocałunkami... Chrystus do Rosji przyjdzie i każdego w oczy pocałuje, wtedy właśnie raj zobaczymy... Krasną Presnię znasz?... Tam generał Makaszow... Jemu wierz... On powstał na Żydów, za to go zabili...

Wszystko, czego słuchał Biełosielcew, wydawało się obłąkane. Głowa wieszczka była pełna mgły, w której jawiły się rozmyte widzenia i obrazy. Ale te widzenia tłumaczyły Biełosielcewowi jego samego.

- Smok ma topór, tomahawk się nazywa, dlatego na Rosję szczeka. Smok toporem rosyjski raj do pni wyrąbie, a my znowu posadzimy... Co sto lat na nowo raj sadzimy, a jabłek nijak nie zbieramy... Rosja ma carów - ogrodników... Car Iwan ogrodnik, w Kazaniu sad posadził... Stalin ogrodnik, w Berlinie sad posadził... Teraz same pniaki... Rosyjski naród - trawa, jego koszą, głowy jak kwiatki lecą... Ale i kosa zmęczona, żelazo o kwiatek niszczy się, dlatego jak żyjemy bez wodza... Będzie wódz, imię jego Wybraniec, ale nie my wybierzemy... Żeby mógł do Kremla wejść, trzeba smoka usunąć, bo inaczej nie wejdzie... Kto smoka spod Kremla usunie, ten bohater. Szeregowiec Matrosów - bohater... Lejtnant Tałalichin - bohater... Kapitan Gastello - bohater... A my, ja z tobą, pomilczmy, jeszcze się zobaczymy...

Biełosielcew był wstrząśnięty. Wieszcz swoją dziwną mową odgadł jego, Biełosielcewa. Nazwał Wybrańca. Spotkanie z nawiedzonym nie było przypadkowe, wchodziło w zagadkowy projekt, w którym jemu, Biełosielcewowi, przypadała nieodwracalna rola. Związek icli był poplątany i niejasny, jak i same wieszczczenia, w których jak przez mgłę można było dostrzec zarysy dawnej religii...

- Rosyjski raj - to Zwycięstwo... Zwycięstwo to Bóg... Żukow jest bogiem Zwycięstwa... Ty jesteś Zwycięstwo, do ciebie się modłę... Na stacji „Barykadnaja” chodzi wielu, których wśród żywych nie ma... Pójdź i

zrozumiesz... A teraz pomilczmy... Słoneczko układa się do snu...

Bielosielcew podniósł się z pnia, pożegnał się z zamilkłym, nieodpowiadającym na ukłon Nikołajem Nikołajewiczem, machnął ręką chłopcu w chustce, i pustkowiec, mijając magazyny i garaże, już w półmroku, wyszedł na Pieczatniki.

Na rogu wielopiętrowego domu stał dżip. Drzwi były otwarte i młody wąsaty Kaukaziec, w skórzanej kurtce, podsadzał do samochodu dzieciaki, te, co niedawno bawiły się i pryskały przy garażu. Dziewczynki były w króciutkich spódniczkach, na wysokich obcasach, z gołymi cienkimi rękami. Ich twarze były pokryte makijażem, oczy podkreślone, na wargach jaskrawa szminka. Czuby chłopiec był przyczesany z przedziałkiem, włosy błyszczały od brylantyny. Odziany w ciemny surducik z muchą był podobny do małego pianisty, występującego w konkursach muzycznych. Czeczeniec podsadzał ich do samochodu, podśmiewał się, lekko poklepywał. W głębi samochodu siedziało jeszcze dwóch, w skórzanych kurtkach, także byli śniadzi i wąsaci. Przyjmowali dziewczęta na swoje kolana. Dżip potoczył się, zamigawszy tylnymi światłami. Bielosielcew patrzył w ślad, czując taki ból, jakby nadział się piersią na żelazny kołek i teraz ostro zakończona rana napelniała się chlustającą krwią. Nienawiść jego była tak wielka, że uliczne latarnie powiększyły się i stały się liliowe.

Rozdział siódmy

Rano zadzwonił Grieczysznikow i powiedział, że czas przenieść kolekcję motyli do mieszkania, gdzie, być może, już dziś wieczorem złożą wizytę Prokurator. Niedługo po telefonie u Bielosielcewa zjawili się grzeczni młodzi mężczyźni, jednakowi w swojej zwinności i uprzejmości. Zaczęli zdejmować ze ścian szklane gablotki. Ostrożnie, jak kryształowe

serwisy, znosili kolekcje na dół i układali w długim czarnym kabriolecie.

Kiedy kolekcję zabrano, znowu zadzwonił Grieczysznikow.

- Nie denerwuj się, ani jeden wąsik nie spadnie z głowy twoich grenadierów... zajrzyj do szafy, wyciągnij swój najlepszy garnitur i krawat... Za pół godziny przyjadę...

Równy pół godziny potrzebował Biełosielcew, żeby się ubrać w nowy angielski garnitur, zawiązać szeroki węzeł na francuskim jedwabnym krawacie, i oglądając w srebrzystym lustrze zmęczoną twarz, zauważyć między zmarszczkami i bruzdami spojrzenie zmrużonych oczu.

Grieczysznikow czekał na niego przy wejściu do domu w jasnej, doskonale leżącej marynarce, spodniach w kratkę i batystowym szaliku, który zawiązał na szyi, jakby był modnym artystą lub poetą z cyganerii.

- Dzisiaj jesteśmy proszonymi gośćmi. - Grieczysznikow pochwyił jego wzrok i uśmiechnął się śnieżnobiałymi, pięknie zrobionymi zębami, jak uśmiechają się na reklamach radośni użytkownicy pasty do zębów. - Sytuacja wymaga.

- Kto nas przyjmuje? - zapytał Biełosielcew.

- Cały kwiat żydowskiej inteligencji, którą zbiera Astros z okazji przyznania telewizyjnej nagrody „Gwiazdozbiór”. Postaraj się być miły, chwal Chagalla i Brodskiego, ciut-ciut grasej, parę razy popisz się znajomością teatralnych przedstawień Broadwayu, i broń cię panie Boże chwalić Makaszowa.

- Wypowiedział to tak wesoło, jak beztroski lekkoduch, dotykając swojego wspaniałego szala, że Biełosielcew uśmiechnął się.

- Ale wcześniej odwiedzimy Burawkowa w jego tajnej jaskini i zabierzemy ze sobą. - Grieczysznikow wskazał na błyszczące kryształowymi reflektorami audi, które bezgłośnie poniosło ich przez miasto.

Tajna jaskinia Burawkowa, o której wspomniał Grieczysznikow, była w samej rzeczy domem przyjęć telewizyjnego magnata Astrosa. Willa w stylu moderne, z rzeźbionym panneau, na którym pędzlem Wrubla były

namalowane fauny, fiołki, nagie nimfy. Balkony były ozdobione miedzianymi kratami w kształcie plecionych wodorostów, kwitnących lilii lotosu. Lustrzane, w rzeźbionych ramach, okna luksusowo się skrzyły. We wnętrzu wszystko stwarzało wrażenie pierwotnej oryginalności, w duchu i estetyce dekadencji, tak że wydawało się jakby za moment, podtrzymując długą atlasową suknię, miała wejść do salonu dumna i tajemnicza Gippius, albo że pojawi się z zeszycikiem nowych erotycznych wierszy przejmujący, czarny, z kościaną białą czaszką poeta Kuzmin, lub stanie w niedbalej aksamitnej kurtce znużony popularnością artysta Bakst. Ale zamiast nich pojawił się Burawkow.

- Pokaż nam swoją „Elektroniczną Husarię” - poprosił Grieczysznikow - niech Wiktor Andriejewicz pozna gospodarzy, którzy zaprosili go na bankiet.

- Witamy serdecznie w „Elektronicznej Husarii” - pogodnie, aksamitnym głosem rzekł Burawkow, prowadząc gości przez zabawne dekadentkie wnętrza do stalowych, otoczonych wideokamerami i elektronicznymi zamkami drzwi.

Burawkow przybliżył oko do półprzezroczystej szybki, wmontowanej w stalowe drzwi. Szybka wpatrzyła się w rozszerzoną źrenicę, porównała ją z elektronicznym zapisem. Stwierdziła identyczność i drzwi otworzyły się z lekkim skrzypieniem. Weszli do przestronnej sali z przytłumionym światłem i ledwie słyszalną elektroniczną muzyką, płynącą z półokrągłej ściany. Pomieszczenie przypominało dyspozytornię z dużymi wygaszonymi ekranami na ścianach.

- To, co teraz zobaczycie - mówił Burawkow, zakładając białe fartuch, jest wynikiem twórczego odkrycia naszych najlepszych cybernetyków, pracujących w czasach sowieckich nad superdisplayem. Ten ogromny ekran powinien wyświetlać obraz światowego teatru działań wojennych. Na displayu, który oni opracowali, moglibyście zobaczyć wszystkie łodzie podwodne, pływające w oceanach świata. Wszystkie kosmiczne orbitalne zgrupowania, patrolujące okołoziemską przestrzeń. Lokalne konflikty na wszystkich kontynentach z ciągle zmieniającym się

obrazem walki. Można obserwować wszystkie armie świata, raketowe wyrzutnie, przemieszczanie wojsk, zmasowany start samolotów, przemieszczanie ruchomych stanowisk raketowych na kolei i w leśnych przesiekach. W przypadku wojny światowej na tym ekranie moglibyście śledzić rozwój apokalipsy, zburzenie światowych stolic, przerzuty armii ze skażonych terytoriów, przesunięcia frontów, likwidację wojskowych zgrupowań i całych krajów. Po rozpadzie Związku Radzieckiego prace nad ekranem zostały przerwane, zespół cybernetyków zaczął się rozsyptywać. Ale Astros przechwycił najlepszych specjalistów, zapewnił nieograniczone finanse, zmusił ich do pracy nad projektem „Elektronicznej Husarii”...

Burawkow zbliżył się do pulpitu. Wcisnął guzik. Na owalnym, na całą ścianę ekranie zaświeciła się plama.

- Tu są zebrane informacje o wszystkich członkach Kongresu Żydowskiego, którego szefem jest Astros. Ich sytuacja socjalna i status. Ich kontakty towarzyskie i stan finansowy. Polityczne, kulturalne i komercyjne projekty, w których oni zaistnieli. Prognozuje się wyniki tych projektów. Obserwuje się kariery, opinie, przemieszczanie się w górę drabiny społecznej.

Specjalną uwagę poświęca się temu, żeby miejsce, które zwalnia umierający członek Kongresu czy pnący się po stopniach kariery, zajmował inny, młody członek z perspektywami...

Burawkow wcisnął drugi guzik. Cienka strzałka dotknęła na chybił trafił kropki w rozmazanej plamie. Kropka, wychwycona z plamy, powiększyła się, urosła, i każdy iskrzący się w niej pyłek stał się rozróżnialnym prosto kącikiem. W nich były nazwiska. Od każdego prostokątka poprowadzone były linie do innych. Każdy był połączony nieskończoną liczbą linii. Wszystkie one, jak pajęczyna, naprężyły się, rwały, ponownie łączyły.

- Na tym ekranie może pan ocenić całokształt potęgi Kongresu, wyrażonej w umownych jednostkach, podobnie jak kilobajty. Określa się ją stopniem obecności i poziomem wpływów Żydów w rządzie, w strukturach władzy, w prokuraturze, w biznesie, w bankowości, w nauce. Oddzielnie - w elektronice. Oddzielnie - w bioinżynierii. Oddzielnie - w

medycynie. Oddzielnie - w armii i sądownictwie. Tu śledzi się poziom kontroli prasy, oddzielnie - telewizji. Istnienie w sztuce, osobno - aktorki teatrów i artyści estrady. Szczególnym zainteresowaniem cieszy się przenikanie członków Kongresu do prawosławnej Cerkwi, nie tylko do środowiska hierarchów, ale osobno do każdej parafii...

Burawkow manipulował guzikami. Na ekranie pulsujący punkt to oddalał się, to przybliżał.

- Może pan, na przykład, dowiedzieć się - Burawkow wodził po ekranie czarodziejskim promieniem - jak jeden wpływowy członek Kongresu, zajmujący stanowisko w Rządzie, przekazuje drugiemu, grającemu na giełdzie papierów wartościowych, poufne informacje o szykującej się niższe akcji. A ten zdąży dokonać korzystnej transakcji, uzyskać ogromny dochód, przenieść go za granicę do rajy podatkowego, wyprać bez śladu w strumieniu światowych kryminalnych finansów. Przy tym wielu drobnych przedsiębiorców w rosyjskich prowincjach, straganiarzy, mrówek granicznych, po grosiku zbierających skromny majątek, bankrutuje. Zaczynają pić wódkę, strzelają sobie w łeb. A urzędnik z Rządu przesiada się do mercedesa sześćsetki, buduje wspaniałą willę przy Szosie Uspienskiej...

- Bez trudu pan zobaczy akcję obronnego lobby, na którego czele stoi wicepremier. - Burawkow nacisnął guzik, wydzielając z ogólnego obrazu fragment, który jak pod lupą powiększał się, przyjmował kształt rozgałęzionego schematu z mnóstwem nazwisk, nazw instytucji i firm, obwiedzionych zamkniętą pętlą. - Na przykład tu pan widzi, że izraelska firma, konstruuująca noktowizory dla helikopterów bojowych, otrzymała zamówienie, a rosyjskie biura konstrukcyjne pominięto, chociaż ich noktowizor przewyższa jakościowo izraelski odpowiednik. Pieniądze z wojskowego budżetu Rosji idą do Izraela, izraelską technologię montuje się w tajnym bojowym helikopterze, który staje się niewidoczny dla obcego wywiadu. A wspaniała rosyjska cybernetyka bankrutuje, marnieje

bez zamówień. Robotnicy i inżynierowie rozsypują się, zajmują się drobną spekulacją i handlem. Wynalazcy i uczeni wyjeżdżają za granicę, do Ameryki albo do tegoż Izraela, bo tam są szczerze wynagradzani...

Bielosielcewowi zrobiło się niedobrze.

- Główny spisek jest owinięty wieloma nieprzepuszczalnymi otoczkami - odwracającymi uwagę skandalami, świętami, festiwalami. Ukryty przed ludzkimi oczami. Główny cel Kongresu - usunięcie od władzy Bałwana i wsadzenie na jego miejsce Mera - zamaskowany jest setkami pozornych celów. Temu jest poświęcona ogromna praca, którą zajmuje się cały Kongres. Praca rozdzielona na ośrodki informacji, na resorty wykonawcze, na korporacje i banki, dysponujące kolosalnymi środkami pieniężnymi, wspierane przez zagraniczne oddziały Kongresu, obce wywiady, tajne stowarzyszenia i kluby, parapolityczne formacje i loże. Ta praca powinna doprowadzić w najbliższym czasie do natychmiastowej zmiany władzy. Spowoduje to ostateczne utwierdzenie w Rosji nowej rzeczywistości, którą oni sami nazywają „Nową Husarią”...

- „Nowa Husaria” - to kolosalny plan przeniesienia do Rosji centrum żydowskiej cywilizacji. Utworzenie dla niej absolutnego bezpieczeństwa. Zabezpieczenie warunków do jej maksymalnego rozkwitu i rozwoju, wykluczających wszelkie formy rosyjskiej samoświadomości, suwerennej państwowości...

Bielosielcew poczuł, jak wywraca się świat, w którym żyje. Leciał w świszczącą otchłań, tracąc przytomność. Kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą przerażoną twarz Grieczysznikowa. Ten leciutko klepał go po policzkach, doprowadzając do przytomności.

- Lepiej ci?... Wybacz... To był test... Sprawdzaliśmy, czy nie jesteś zamieszany w Spisek... Każdego, kto wchodzi do naszego Związku sadzamy pod tym elektronowym drzewem. „Drzewo poznania Dobra i Zła”... Czysty, niesplamiony człowiek z reguły nie wytrzymuje i mdleje...

- Nie wszyscy tak beznadziejnie i strasznie. - Burawkow pomógł podnieść się Biełosielcewowi. - Wszystko, co pan usłyszał, odbiera rozsądek i wywołuje omdlenie. Ale nie jest to nieuchronne. Nie Bóg hoduje we Wszechświecie to biblijne drzewo. Ja jestem jego ogrodnikiem. Znam prawa jego wzrostu, ruchy systemu korzeniowego, środowisko żywieniowe jego liści i owoców. Czyżby pan nie zauważył, że czasami jeden wpływowy członek Kongresu zabija drugiego?... Albo rozbija się samolot ze świetnym dziennikarzem. Albo znajdują na klatce domu ulubieńca telewidzów z przestrzeloną głową. Czy też osiągnący sukcesy bankier umiera na dziwną popromienną chorobę, jakby w jego gabinecie był rozsiany pył Czarnobyła... Mogę jednym naciśnięciem guzika odciąć to drzewo od środowiska odżywczego i ono uschnie. Mogę splątać w nim korzenie i gałęzie, wstrzymać ruch soków. Stworzyć w nim bałagan, chaos, tak, żeby jedna część pożerała drugą. Żeby zamiast owoców wyrastały na nim wstrętne grzyby, zżerające jego pień. Żeby rozmnażały się mchy i porosty, zjadające jego łyko. Astros myśli, że to on hoduje Spisek. Ale to ja wiem, gdzie czai się jego śmierć. Gdzie na tym elektronicznym dębnie, na jakim sęku wisi czarodziejski kufer z zającem, kaczką i czarodziejskim jajkiem, w którym ukryta jest śmiertcionośna igła Kostuchy. W odpowiednim czasie zrzucę kufer na ziemię, zatruję zającą, podstrzelę kaczkę, rozbiję jajko, wyjmę z żółtka igłę ze świecącym żądłem i przekażę ją Wybrańcowi. A on odłamie zatruty koniuszek i Astros umrze. Mer z, groźnego Czarnomora zmieni się w tchórzliwego, ugodowego człowieczka, znawcę miejskich kanalizacji i wodociągów. Podczas obchodów Święta Miasta będzie szedł na czele kolumny błaznów, i sam, w idiotycznym kołpaku z dzwoneczkiem, poniesie portret nowego Prezydenta.

Burawkow zaśmiał się i wyłączył ekran. Elektroniczne drzewo zgasło, jakby je zrąbał topór. Rozbłysło ciepłe matowe światło. Biełosielcew rozglądał się ze zdziwieniem, powoli wracając do realnego świata.

- Czas na nas - powiedział Burawkow, ubrany w stalowoszary garnitur i malinowy krawat, w którym lśniła diamentowa spinka. - Oczekują nas na festiwalu „Gwiazdozbiór”. Tam będzie Prokurator, miłośnik nocnych motyli. Patrzysz, a tu sam wpada do siatki! - Znowu się roześmiał.

Rozdział ósmy

Impreza, na którą pospieszyli, odbywała się w sali koncertowej „Rosja”. I pierwsze, co zdziwiło Bielosielcewa, to ogromny, barwny, rozświetlony lampami i neonowymi rurkami napis, informujący o uroczystości: „Gwiazdozbiór Rosja”. Na nim było mnóstwo wzlatujących gwiazd - cała plejada migocących złotych sześcioramiennych gwiazd, a litery w słowie „Rosja” miały lekkie skrzywienie i charakterystyczne pochylenie w lewo, co przypominało żydowski alfabet.

Pod wejście co chwila podpływały luksusowe limuzyny z kryształowymi reflektorami, chromowanymi zderzakami, fioletowymi odbłaskami, niektóre na dyplomatycznych numerach z małymi proporcjami na karoserii. Wysiadały z nich wspaniałe damy z gołymi ramionami, w kosztownej biżuterii, w balowych toaletach, nabytych u sławnych projektantów. Prezentowały się tłumowi reporterów i operatorów, pewne, że są zachwycające, rozpoznawane, że ich olśniewające twarze i biżuteria upiększą lakierowane strony modnych czasopism. Towarzyszyli im mężczyźni w smokingach, w wytwornych garniturach, dumni, władcy i wyniośli, tym niemniej uśmiechali się promiennie do aparatów fotograficznych i kamer telewizyjnych, wiedząc, że o każdym z nich ukażą się w kronikach towarzyskich nieprawdopodobne historie ich miłosnych przygód, osobliwych małżeństw, wraz z wykazem ról filmowych, szokujących przyzwyczajęń, dziwnych słabostek i zбочeń. Ich samochody, ubrania i biżuteria były najdroższe, zaś fryzury, makijaż, perfumy -

najwyższej jakości. Ich chód, gesty, maniera uśmiechania się i kłaniania, sztuka stąpania z lekka kręcąc kolanami i biodrami, niczym nie różniła się od zachowań hollywoodzkich gwiazd, zapraszanych na wręczanie Oscarów.

- Wszyscy, których pan widział na ekranie, tu przedstawiają się w naturze - objaśniał Burawkow, wprowadzając Bielosielcewa w olśniewający świat, zapelniony niezależnymi pyszałkami, wpływowymi politykami i wolnymi dziennikarzami. - „Nowa Husaria” pełnej krwi, ale jeszcze nie ogłaszająca swojego państwowego statusu.

Bielosielcew w półmroku sali starał się dojrzeć Prokuratora. Twarze gości były prawie niewidoczne. Tylko czasami, jak tęczowa kropelka, rozbłyskiwał brylant na obnażonej piersi. Bądź tłoczniej i ciemniej robiło się w rzędach, tam, gdzie znajdowała się szczególnie ważna persona.

Muzyka była coraz bardziej namiętna i kliwa. Na rozświetlonym niebie pojawił się i zbliżał, rozjarzony czerwonym blaskiem, ogromny lecący kogut z płomiennym grzebieniem i rozwianym puszystym ogonem. Przeplął nad salą przy okrzykach zachwytu oniemiałych widzów. W ślad za czerwonym kogutem pojawił się niebieski z otwartym dziobem i białą pulsującą aureolą. Na grzbiecie koguta siedziała naga kobieta, ruda, zielonooka, o różowych sutkach, z pęczkami włosów sterzących spod pach. Wszyscy w sali powstali, bili brawo pięknej amazonce, przesyłając jej powietrzne pocałunki na pożegnanie. Na niebie pojawiła się kobieta w białej ślubnej sukni, w wianku z kwiatów jaśminu, o granatowoczarnych lokach. Kawaler z malinową różą obejmował swoją wybrankę za pełne biodra. Płynęli po niebie, obracając się. Raz ona wisiała nad nim pełnymi, nie mieszczącymi się w sukni, piersiami, to znowu on królował nad nią, przytulając ją do swej pasiastej kamizelki, zginając z podniecenia nogę w błyszczącym lakierku. Sala w zachwycie klaskała.

Jeden z kogutów oddzielił się od nieboskłonu. Zaczął się zniżać, prowadzony światłem reflektora. Opuścił się na scenę. Podniósł skrzydło, a

spod skrzydła, spomiędzy czerwonych i zielonych piór, wyszedł jaśniejący właściciel telewizyjnego kasyna, w którym wokół swego magicznego „koła szczęścia” zbierał naiwne tłumy, wierzące w cudowną wygraną.

- Drodzy państwo - podniósł, z lekką chrypką powiedział, opuściwszy się z nieba, posłaniec - przybyłem do was z innych światów, gdzie do życia wiecznego spośród miliardów Ziemiaków wybierane są jednostki wybitne. Tego wyboru dokonano i chcę wam przedstawić nowych mieszkańców nieba, których imiona świecą jak gwiazdy, jak złote dziewięcioramiennie świeczniki!... Oto ci, którzy zyskali nasze uwielbienie i miłość!... Jedna z nich przepiękna, jak królowa Saba!... Drugi, wspaniały i mądry, jak król Salomon!... Niech żyją!...

Posłaniec machnął ręką. Kurtyna podniosła się i w ametystowych promieniach pojawili się laureaci „Gwiazdozbioru”. Kroczyli ku rozentuzjasmowanej, rozbrzmiewającej owacjami sali.

Bielosielcew w ogólnym uniesieniu wyciągał szyję w stronę ametystowych promieni, oświetlających dwoje, obdarowanych łaską boską wybrańców. Okazali się nimi malutka elegancka spikerka, znana ze swego czarującego uśmiechu, a także smutnie pięknych oczu, i kierownik analitycznego programu, którego przymrużone przenikliwe oczy, nieco powiększone przez okulary, dostrzegały najskrytsze i wymyślne kombinacje kremlowskich władców, a rudawe zadbane wąsy przydawały powagi angielskiego lorda, wiedzącego, jak należy jeść zupę z żółwia i posługiwać się srebrnymi szczypcami, rozrywając skorupę homara. Oboje błyszczeli w promieniach, jakby byli zrobieni z nieziemskiego tworzywa.

Pokaz wspaniałości trwał minutę. A następnie na scenę wyszedł żwawy, wspaniały, tryskający zdrowiem i szczęściem, szczodłą radością życia i zadziornością, Astros, główny organizator uroczystości. Miał białą twarz o rumianych policzkach i niebieskich wyłupiastych oczach. Jego pełne usta uśmiechały się z zadowoleniem. Wysportowane ciało poruszało się swobodnie i nieskrępowanie w doskonale uszytym garniturze,

wygodnych pantoflach, swobodnie zawiązanym krawacie. Całym swoim wyglądem demonstrował Zwycięstwo, przewyciężenie wiekowej niesprawiedliwości, wstrzymującej rozwój utalentowanego narodu, zmuszanego do zamykania się, skrytości, znoszenia upokorzeń od okrutnych brutalni, leniwców i nieuków. Teraz te czasy minęły. Ucisk był przeciężony. Siła i piękno żydowskiego intelektu, niestrudzona pracowitość, nieposkromiona wola ruszyły naprzód przyjazny, doświadczony, zahartowany cierpieniami, uskrzydłony wiarą, naród.

- Telewizja to nie tylko władza, za której pomocą pokonujemy ciemiężców, poskramiamy wrogów, przeganiamy zdrajców, wynosimy na szczyty najbardziej utalentowanych i oddanych! - zaczął Astros uroczyste przemówienie. - Telewizja to nie tylko informacja, która ukazuje fakty, dostrzega zjawiska, pokazuje ludzi i ich działania. Telewizja - Astros wyciągnął ręce w przód, dłońmi do góry - telewizja to religia, która obejmuje całokształt człowieczego bytu, wymagając od człowieka pokłonu, miłości i śmierci, wywołując w nim reliktowe przerażenie lub rodząc marzenie nie do spełnienia. To wielobarwny Cud, przelewający się na ekranach wielorakimi formami, obliczami i świętościami. Nieuchwytny w swojej istocie, nieodziewicziedłony w swojej piękności, niepokonany w swojej potędze, ten elektroniczny Cud znajduje się w naszych rękach, służy naszej sprawie. Oto dlaczego nagrodzeni dzisiaj laureaci są nie tylko doskonałymi mistrzami, ulubieńcami i bożyszczami publiczności, ale są także kapłanami, stojącymi między Bogiem a ludźmi. Jestem dumny, że pracuję z tymi wspaniałymi magami. Jestem szczęśliwy, że mogę publicznie, w obecności najlepszych przedstawicieli naszego kręgu wręczyć im nagrody! - Astros podniósł w górę szpiczastą rękę, na której błysnął ametystowy płomień drogocennego pierścienia.

Rozbrzmiała muzyka. Na scenę wyszli kawaler i panna, którzy dopiero co latali pod niebiosami. W rękach mieli szkatułki. Stanęli przed laureatami. Kobieta w białym welonie i uwodzicielsko obnażoną piersią - naprzeciw arystokratycznego analityka. Kawaler w pasiastej kamizelce

z purpurową różą w butonierce - przed sympatyczną spikerką.

Astros otworzył szkatułki. Wyjął z nich dwie małe, obsypane brylantami korony z ostrymi, jak na Statui Wolności, promieniami. Zręcznie włożył diademy na głowy laureatów. Odszedł na bok, zachęcając widzów do rozkoszowania się tym widokiem. Sala szalała, sławiła swoich ulubieńców, wyrażała swój zachwyt, uwielbienie, bijąc przed nimi pokłony.

Astros wziął laureatów za ręce i sprowadził ze sceny.

Pojawili się zwinni skrzypkowie wirtuozi. Za nimi wysypał się cały tłum muzyków z trąbami, saksofonami, talerzami, perkusją, kontrabasem. Zadźwięczał, zadudnił, zagrzmiął, zabębnił. Zaśnił miedzią, białym srebrem, ciemnym lakiem, jednakowymi śnieżnobiałymi uśmiechami. Mały sympatyczny dyrygent, naśladowując Leonida Utiosowa, przechadzał się przed orkiestrą, zwracał się twarzą do widowni, porozumiewawczo puszczał oczka. A sala upajała się muzyką z filmów „Świat się śmieje”, „Świniarka i pastuszek”, i ktoś z widowni w uniesieniu krzyczał: „Brawo!”.

Następnie na scenę wytoczono biały fortepian. Podniesiono pokrywę. Pulchna pianistka w aksamitnej sukni, spod której widać było krągłe różowe nogi w małych pantofelkach, głośno i z werwą grała Schnittkego.

Koncert zamknął znany zagraniczny piosenkarz rockowy w przebraaniu szatana, z kłami wampira, włochatą dymiącą piersią, w slipkach, z wyolbrzymionymi genitaliami. Pluł krwią, rzucał w publikę lepkie wnętrzności rozszarpanej ofiary, bił się łańcuchami, otwierał sobie żyły, wił się w męczącym nieustającym orgazmie, a na koniec wznosił się w biało-niebieskiej plamie księżycowego światła, rzucając na salę pełen grozy rogaty cień.

Na tym koncert zakończył się. Okazały posiadacz telewizyjnego kasyna kierował zachwyconych gości do sąsiedniej sali bankietowej, wykrzykując: „Teraz zabawimy się, drodzy państwo!”.

- Za jakiś czas odszukamy Prokuratora, a ty postarasz się go wyważyć - głuchym ze zdenerwowania głosem powiedział Grieczysznikow, puszczając przodem Biełosielcewa.

- „Jak dzisiaj przygotowuje się wieszcz Oleg...” - próbował zażartować Burawkow, krocząc za nimi, ale słysząc było, że i on się denerwuje.

Wcisnąwszy się w ruchomy potok toalet, biżuterii i fryzur, wszyscy trzej popłynęli do sali bankietowej.

Już przy wejściu Biełosielcew odczuł parzący dotyk niewidzialnych promieni. Na długich stołach była obfitość wszelkiego jedzenia, smacznych mięs, szlachetnych ryb, bujnej zieleniny. Ciasno ułożone na półmiskach leżały wędzonki i galarety. Skrzyły się marynaty i frykasy. Wzdłuż stołu, głowami skierowane w jedną stronę, stały pieczone prosięta, z podgiętymi kolanami, z przyrumienionymi skórkami na bokach, z badawczo wyciągniętymi ryjkami. Przeplatały się z nimi jesiotry z zębatego grzbietami i ostrymi, wrzecionowatymi paszczami. Dookoła stołów, wciskając się w zgrabne rzędy dań, nadziewając na widelce i chwytając rękami, krając nożami i rozrywając palcami, stali goście. Chciwie żuli, przelykali, dławili się, upuszczali tłuste kąski na marynarki i suknie. Plamili swoją odzież winem i wódką.

Biełosielcew z daleka dostrzegł Prokuratora, jego zwiotczałą jak ostudzony kisiel twarz, maślane jak jagody rokitnika oczka, płową łysiejącą głowę, podobną do kaczana kukurydzy, w potarganych jasnych włosach. Pierwszą reakcją Biełosielcewa było podejść i nawiązać kontakt. Jednak długoletnie doświadczenie agenta zmusiło go do wstrzymania się. Powoli, od jednego gościa do drugiego, zbliżał się do Prokuratora, nie bez kozery wchodząc mu w oczy, dając możliwość przywyknienia do jego, Biełosielcewa, obecności, uwierzenia w przypadkowość ich spotkania.

Goście, zaspokoiwszy pierwszy głód i pragnienie, wrzuciwszy w siebie stopy mięsa i ryb, wlawszy w płonące od przypraw gardła strumienie wina i wódki, zbierali się w oddzielne kółka i grupki. W centrum każdej znajdowała się jakaś szczególnie wyrazista znakomitość. Żeby dopchać

się do niej, należało przebijać się przez aromaty perfum i papierosowy dym.

Goście obstąpili szczęśliwych laureatów, którym na głowach w dalszym ciągu błyszcząły diamentowe wieńce. Obie znakomitości trzymały w rękach puchary z szampanem. Wąsaty arystokrata-analityk, uniesiony sukcesem i szampanem, wznosił toast na cześć Astrosa. Wspaniała spikerka calowego wzrostu czarująco się uśmiechała, pozwalając zebranym oglądać swoje urzekające rysy. Posyłała Astrosowi z czubka jasnej główki diamentowy promień wdzięczności i szczęścia.

- Pan jest Stwórcą w najwyższym religijnym sensie - to zdanie analityka usłyszał Bielosielcew, podchodząc do znakomitego towarzystwa. - Piję za pana dzieła, do których i siebie zaliczam, stworzonego na obraz i podobieństwo pańskie! - Wyciągnął puchar w kierunku Astrosa. Spikerka, uśmiechając się zniewalająco, dodała:

- W ogrodzie, który wyrósł w pańskiej telewizji, w najwonnejszym jego miejscu, rośnie wspaniała kwiatek Aster, a nad nim świeci niebieska gwiazda Astros! - Wszystkie trzy puchary stuknęły się, wydając melodyjny dźwięk. Pozostali zaczęli bić brawo.

- Pamiętam naszą rozmowę wiosną, na jachcie, na Jeziorze Genewskim - mówił analityk do Astrosa, trzymając go po przyjacielsku za jedwabny krawat. - Pan prorokował, że tej jesieni z Kremła wyniosą duże martwe ciało i powiozą obok Bramy Triumfalnej i Pokłonnej Góry do Barwichey. Podobno pana proctwo zaczyna się sprawdzać.

Swoim jasnowidzącym wzrokiem Bielosielcew stwierdził, że pod materiałem drogiego garnituru ciało analityka pozbawione jest sutków, pępka, genitaliów. Nie ma zarostu. Nic ma na nim żywej ludzkiej skóry. Całe umieszczone jest w obcisłym czarnym pokrowcu, jak telefon komórkowy, z zasznurowanymi twardymi szwami, idącymi wzdłuż rąk i nóg, obejmując krocze i podnosząc się do góry, po żebrach i po plecach. Wewnątrz skórzanego, ściągniętego sznurkami futerału coś melodyjnie

podzwaniało. Wyświetlały się cyfry. W szparach widać było guziki. Po delikatnych ekranach przebiegały sinusoidy. Laureat był elektroniczny, firmy „Philips”. Znajdował się w stałym elektronicznym kontakcie z oddalonymi centrami nadawczymi, łącząc się z nimi przez serię retranslatorów. I w czasie gdy jego wąsata ludzka twarz rozmawiała z Astrosem, jego elektroniczne ciało połączyło się z „Boeingiem-747”, który leciał teraz nad stanem Floryda i w którym znajdował się szef CIA.

W otoczeniu adoratorów i naśladowców stały trzy osoby, te, których przez długie lata przyjęto nazywać „młodymi reformatorami”, chociaż czas, spędzony przez nich na ekranach i konferencjach prasowych, w rządzie i parlamencie, nie oszczędził ich. Wszyscy troje mocno wyłysieli, przytyli, posunęli się, a poprzez opadłe mleczone barwy młodości przebiegała kościana żółć.

Jedną z nich był mężczyzna z włosami w drobnych loczkach, które starannie rozprostowywał za pomocą kompresów parowych. Jego duża twarz podobna była do miski, w której mieszano kisiel i zapomniano wyjąć łyżki. Mówił głośno i z afektacją, z pouczającą intonacją, jak profesor z katedry wbijający coś tam studentom.

- Jeśli chcecie tolerować rozpełzanie po kraju „rosyjskiego faszyzmu”, to nie moglibyście do tego znaleźć lepszego środka, jak dalej podtrzymywać całe to kremlowskie szkaradzieństwo i zbytek. Proponuję wam zgodę na pryncypialną zasadę, która będzie zrozumiała dla demokratów tak w kraju, jak i poza jego granicami...

Odpowiadał mu drugi reformator, bardzo błądy, o granatowoczarnych włosach, lśniących jak szkło, który przez pewien czas zaliczany był do ulubieńców Prezydenta, jego jakby przysposobionym synem i bezpośrednim naśladowcą. W tej roli występował kilka miesięcy, rozkazywał, groźnie zachowywał się na posiedzeniach rządu, ale potem był nagle usunięty z Kremla, wyrzucony z ciepłego przytulnego mieszkania na deszcz. Od tamtej pory obraza i nieukojoony żal zrobiły go martwiczo błądym, podejrzliwym i zasadniczym.

- Nie ma pan racji, nikt nie pragnie, żeby Gazprom karmił swoimi rurami komory gazowe dla demokratów. Pan wie, że nie jestem żadnym zaszczytów, nie dążę do osobistej władzy. Jestem gotów pracować dla wspólnej sprawy choćby jako kominiarz. Ale sądzę, że jeśli chcemy osiągnąć upragniony cel i od korzeni zmienić sytuację na Kremlu, to powinniśmy zjednoczyć się wokół jednego człowieka. A tym człowiekiem, chociaż to przykro będzie panu usłyszeć, powinien zostać Mer...

Trzecim rozmówcą była kobieta. Jej nazwisko było podobne do nazwy japońskiej wyspy. Jej figura przypominała kolczastą gałązkę uschniętej sekory. Ruchliwe, z zadbanymi paznokietkami ręce podobne były do kocich łapek, które przed chwilą rozszarpały naiwnego ptaszka. Patrzyła na obu mężczyzn jak na garnitury wiszące w szafie, wypatrywała na nich pyłków.

- Zawierzcie mojej intuicji, panowie. Teraz najlepsza pora, żeby osiągnąć rozbicie atomowego monstrum, które zostało nam jeszcze z czasów Kurczatowa i Berii. Zaczęliśmy prywatyzację atomowej energetyki, i kontakty panów, jednego - na Zachodzie, drugiego - w rządzie, powinny przyspieszyć powstanie banku, w którym będą uwzględnione i interesy naszych partii i nasze osobiste. Polegajcie na intuicji kobiety Wschodu...

Bielosielcew słyszał to wszystko, przebijając się do stołu, czyniąc wrażenie, że go interesują kawałki ryby w galarecie z cząstkami cytryny. Kątem oka, nie chcąc zwrócić na siebie uwagi, przyglądał się wszystkim trojgu swoim przenikającym wzrokiem.

Pierwszy miał tylko głowę człowieka, a w pozostałej części był rybą. Tuż pod kołnierzykiem i krawatem, wystając ledwie widocznym kawałeczkiem, szła łuska. Opuszczała się w dół po tułowiu, wydymała się na bokach z czerwonawymi twardymi płetwami, pokrytymi śluzem. Miejscami łuski nie było, jak u karpia lustrzanego, i zamiast niej była mokra zimna skóra. Tam, gdzie tułów się zwiężał, pod trójkątną płetwą był wyraźnie widoczny odbył, z którego sączyło się mleczko. Ściekało do ogona,

pod nogawki, tworzyło na podłodze maleńką kałużę wokół modnego pantofelka. Pantofel wdepnął, i od podeszwy rozciągnęły się mętne lepkie nitki.

Drugi właściwie był psem. Nierasowym kundlem ze skołtunioną sierścią na całym kościstym ciele, z łysinami na grzbiecie od częstego przełazenia pod plotami, z rzepem na ogonie i czarną nienasyconą pchłą, która wpiła się w różową pachwinę. Od niego, mimo drogiej męskiej wody kolońskiej, zalatywało psiną.

Dama, nie przestając mówić o utworzeniu banku, tylko do piersi była kobietą, poniżej małych jędrnych wypukłości z porowatymi kamyczkami sutków była jaszczurką, zwinna, szaro-srebrzystą, z zaczynającą się łuszczyć skórą. Z czułym giętkim ogonem, który w przypadku nagłego ataku i schwywania gotów był oderwać się, pozostawiając na ciele ruchomą krwawą ranę z biało-różowymi kręgami.

Prokurator o czymś dobrodusznie i ze swadą opowiadał, wznosił kieliszek z koniakiem, stukając się z jakąś wspaniałą blondynką, która usiłowała być podobna do Marilyn Monroe. Biełosielcew nie spuszczał wzroku z jego płowej, obsypanej talkiem głowy. Zbliżał się do niego niespiesznie, przechodząc od grupki do grupki, starając się, by go nie wystraszyć. Czuł się paskudnie.

Od Prokuratora oddzielała go zwarta grupa gości - operowe primadonny, gwiazdy estrady, deputowani Dumy i kilku łysiejących, niezrozumiale rozmawiających mężczyzn, z wyglądu poliglotów. W centrum tej grupy, wyróżniając się lakierowaną twardą głową, znajdował się Mer.

Biełosielcew po raz pierwszy widział Mera z tak bliska i nie był w stanie go ominąć. Wydawało się, że Mer przyciąga go zagadkowym magnetyzmem. Był w pogodnym nastroju. Krzepki i przysadzisty. Z głową jak ogromna twarda pięta, o tłustej skórze, z wiązadłami ścięgien, wśród których świeciły małe, srogie, okrutne oczy nosorożca. Pod marynarką i koszulą, a także w spodniach nie było luzu. Nie było na nich fałd, jakby

odzież była ciasno naciągnięta na żeliwny słupek, rozpierając ją od środka. Mer poprawił na głowie nieistniejącą cyklistówkę i dokończył wypowiedź, skierowaną do ubiegającego się o jego względy politologa.

- Szczerze mówię: jeśli Prezydent cierpi z powodu choroby, która nie pozwala mu pracować po dziesięć godzin na dobę, powinien, w interesie państwa, zostawić swój urząd i odejść na odpoczynek. Szczerze mówię: jeśli kremłowskie kierownictwo jest skorumpowane, o czym donosi nam szanowny Prokurator, to to kierownictwo powinno być ukarane sędownie, nie biorąc pod uwagę urzędów, bliskości, czy pokrewieństwa z Prezydentem. Otwarcie mówię: jeśli otrzymamy władzę drogą prawną, jesteśmy gotowi wziąć na siebie problemy odbudowy Wielkiej Rosji. Takie jest moje szczerze i uczciwe stanowisko...

Ta wypowiedź dotarła do przechodzącego Biełosielcewa, jakby przyciąganego przez żeliwny namagnesowany słupek. Mer był dla niego zawsze straszny przez swoją nieposkromioną ziemską energię. Ta przemożna energia zmieniała jego ukochaną Moskwę w zupełnie inne miasto. Jakby pospiesznie dekorowano je na jakąś pompacyjną koronację. Szykowano czyjaś napuszoną koronację na króla.

Mer żelaznymi pałkami tłukł weteranów wojny, nasyłając na nich zakutą w zbroje milicję, która łamała żebra obrońcom Moskwy i uczestnikom szturm na Berlin. Przy tym na górze Pokłonnej zbudował Panteon Zwycięzców, wyposażył meczet, synagogę i cerkiew, które z daleka, z niedowierzaniem obserwowały się wzajemnie, tworząc trójkąt trwogi i obcości.

Zbudował śnieżnobiałą świątynię Chrystusa ze złotą kopułą, świecą nad mglistą Moskwą, jak złote niegasnące słońce. Ale mgły, w których świeciło słońce świątyni, były oparami grzechu i chorób. Zaprosił do Moskwy hordy zasobnych w pieniądze przedsiębiorczych Kaukazców. Wsadził do prefektur Ormian. Do muzeów - krótkonogich opasłych Tatarów. Do kasyn i hoteli - Czezeńców. Do banków i trustów - Żydów. Bazary i stacje benzynowe oddał Azerom. Tuż za nim, jak nadworny

czarownik i doradca, szedł nieodstępny Koreańczyk.

Kraj, dla którego Mer pospiesznie szykował stolicę, był „Nową Husarią”. Władcą, którego Mer wybrał na króla, był olśniewającym urodą przystojniakiem o kręconych czarnych włosach, w purpurowych szatach, w rogatym, obsypanym diamentami wieńcu. Mer przystrajał Moskwę złotem i marmurem, tworzył wiszące ogrody, puszczał w niebo kryształowe fontanny, czekając na chwilę, kiedy w „Dniu Miasta” w czarnym cadillacu, w zaprzęgu tysiąca skrzydlatych gryfonów, które zeszyły z reklamy „Shell”, z towarzyszącymi nagimi chłopcami z erotycznego teatru Wiktiuka wjedzie Antychryst. A Mer, prowadzony przez Patriarchę podczas koronacyjnego oratorium Schnittkego, skomponowanego do wierszy Brodskiego, poprowadzi go do Soboru Uspieńskiego.

Taki niesamowity obraz przemknął przez zmęczoną wyobraźnię Biełosielcewa, podczas gdy on, przewyciężając magnetyczne pole Mera, przybliżał się do Prokuratora.

Prokurator dalej rozmawiał ze wspaniałą blondynką, na pół obnażoną, zrobioną na Marilyn Monroe. On delikatnie wysysał różową krewetkę, zaglądał w głęboki dekolt sukni, gdzie okrągliły się falujące wilgotne piersi.

- Będziemy działać tylko w duchu Jego Ekscelencji Prawa. Konieczne jest nam oczyszczenie, które, jak wiosenna ulewa podczas burzy, zmyje z kremlowskich wież cały brud i zło. -Prokurator z lekka grasejował, jakby mu w gardle wibrowała różowa łuska krewetki. - Ale prawo dla prokuratora jest ponad wszystkim. Czy wie pani, jak mnie nazywają za plecami? „Rycerz prawa”!... - Wyssał krewetkę, zerknął na kobiecą pierś. Ostrożnie odłożył krewetkę na brzeg talerza. W tym właśnie momencie podszedł do niego Biełosielcew.

- Mój Boże! - powiedział Biełosielcew, wyciągając dłoń ku Prokuratorowi. - Zupełnie nie spodziewałem się tu pana spotkać!

- Istotnie, to cud! Cud zbieżności! - dłoń Prokuratora była miękka jak bułka maślana, i jeśli by pogmerać w jej miękkiej głębi, to można by było znaleźć rodzyunki. - Dziś rano dzwoniłem do pana, ale nie zastałem.

I po drodze tutaj myślałem o pana kolekcji.

- Oto ona, kolekcja motyli! - Biełosielcew, wyczuwszy swobodę i wdzięk gry, wskazał ręką błyszczące toalety, biżuterię, przyklejone rzęsy i peruki. - Tyle wspaniałych egzemplarzy!

- Szkoda, że nie mamy siatek - przyjął grę Prokurator, patrząc za oddalającą się Marilyn, której srebrzysta suknia rozchyłała się podczas chodu, przywierając do pośladków.

- Ta oto - afrykańska nimfalida. - Biełosielcew oczami wskazywał znaną piosenkarkę estradową w półprzejrzystej narzutce, spod której wystawały pełne, obciążone pantalonami nogi. - A tamten - kampu-
czański satyr - teraz prowadził wzrokiem przechodzącego obok redaktora wpływowej liberalnej gazety w aksamitnej marynarce, który świecił oślepiająco łysiną. - A tam papilionida z atlantyckiego wybrzeża Nikaragui - kiwnął w stronę kobiety - deputowanej, znanej ze swojej niepomowanej propagandy prezerwatyw.

- Jakże panu zazdroszczę! Zapalił się Prokurator. - Pan zbierał swoją kolekcję w dżunglach i sawannach. A ja, niestety, tylko w dużych miastach. W kwiaciarniach, na straganach z kolonialnymi towarami. Niedawno w Hiszpanii jechałem drogą w okolicach Barcelony. Na kwiatku na poboczu siedział wspaniały żaglowiec. A ja nie zdecydowałem się zatrzymać samochodu, był ze mną prokurator Katalonii...

Podszedł do nich kelner, niosąc na tacy dwa puchary szampana. Jeden puchar był bliżej Biełosielcewa, drugi - Prokuratora. Kelner z lśnącymi nabrylantowanymi włosami błyskawicznie spojrzał na Biełosielcewa, wskazując żrenicami bliższy puchar. Z tłumu wyjrzały oczy Grieczysznikowa. Biełosielcew sięgnął po bliższy kielich, zostawiając drugi Prokuratorowi.

- Za pański początek! - podniósł skrzzące się naczynie. - Za pana męstwo! Za „rycerza prawa”, nic znającego strachu i wymówek!

- Za pańską zadziwiającą kolekcję i wielkie trudy, z jakimi pan ją zbierał!

Wypili szampana.

Prokurator trzymał w powietrzu opróżniony puchar, wstrzymywał się z postawieniem go na tacy.

- Cha, cha, cha! - beztrzesko zachichotał Prokurator, zwracając puchar. - Osobiście, ja nieźle tańczę... Kobiety lubią siłę i bogactwo... W niedzielę na dacy wypróbowałem mój pistolet... Strzelałem do brzozy i ani razu nie chybiłem, ani razu!...

Myśli roily się w głowie Prokuratora, co jedna to odważniejsza. Wypity napój podniecił go.

- Pan powiedział, że ona jest podobna do afrykańskiej nimfalidy? - Prokurator odszukał wzrokiem w tłumie gwiazdę estrady, ubraną w obcisłe pantalone. - Chciałbym umieścić ten egzemplarz w swojej kolekcji, przedtem wyswobadzając ją z tych pstrych szmatek i oglądając jej ciało. - Sądząc, że udał mu się żart, głośno zachichotał.

- Wszystko zależy od nas! - Bielosielcew roześmiał się z jego żartu, wyczuwając, że ze świadomości Prokuratora usunięte są wszystkie bariery i jest gotów popełniać nieoczekiwane szalone postęпки. - Moglibyśmy pojechać teraz do mnie, obejrzeć moją kolekcję. Czekaają na pana afrykańskie egzemplarze, które specjalnie dla pana odłożyłem... To tu, niedaleko...

- Rzeczywiście, czemu nie mielibyśmy pojechać!... Dawno marzyłem!... Trzeba wezwać samochód! Piękno przede wszystkim!... Estetyka ponad etyką!... Prawo - to etyka, bezprawie - estetyka przyrody i życia!...

Bielosielcew wyszedł z sali i znalazł się na nabrzeżu w drobnym deszczu. Prokurator kiwał ręką, przyzywając samochód.

- Proszę, Wiktorze Andriejewiczu, jedziemy oglądać motyle!...

Rozdział dziewiąty

Z hotelu „Rosja” toczyli się po nabrzeżu, patrząc na rzekę, po której płynęły przystrojone lampkami i girlandami stateczki, z których strzelano na cześć zwycięzców festiwalu. Prokurator był bardzo podniecony,

gadał bez ustanku, przeskakując z tematu na temat:

- Byłem najlepszym mówcą na wydziale i mógłbym praktykować jako adwokat!... Organizowaliśmy na pierwszym roku konkursy egzotycznych krawatów i ja zdobyłem pierwszą nagrodę!... Nawet pisałem wiersze, które dziewczynom zwracały w głowach!... Tam był taki wers: „Umierają lewkonie - lekko im. Jak bżowy opar - park...” Nieźle, prawda?...

Kremlowska ściana, obok której przejeżdżali, miała barwę soczystej maliny, jakby ją spoliczkowano.

- Nie schowają się! - prokurator ironicznie wskazywał mur, mając na myśli zasiadających na Kremlu właścicieli. - My ich zmusimy do odejścia!... Czy pan wie, jak mawiał Franco?...

„Przyjaciołom - wszystko, wrogom - prawo”. W Hiszpanii widziałem jego grób... I tam, proszę sobie wyobrazić, latały motyle - bielinki, jak małe duchy pojednania...

Wjechali na most Kamienny. „Przodownika” w dalszym ciągu męczył tik reklamy „Renault”. Bielosielcew obawiał się, żeby przed czasem nie skończyło się działanie rozweselającego napoju, żeby Prokurator nie oprzytomniał, nie skierował samochodu w stronę Prokuratury Generalnej, gdzie w sejfie leży tajemna teczka z dokumentami, mogącymi zniszczyć Prezydenta. Ale Prokurator pozostawał pod wpływem napoju i w dalszym ciągu rozprawiał:

- Prokurator powinien być nieustraszony i uczciwy... Grożą mi... Po ostatnim telewizyjnym wywiadzie grożą mi spalaniem daczy... Ja obowiązkowo zaproszę pana na daczę... U mnie jest wspaniale... Na działce wiosną kwitną konwalie, a jesienią rosną prawdziwki...

Dom z czasów stalinowskich ukazał się przy końcu mostu, a nad nim w mokrej mgłę ogromny czerwony motyl składał i rozkładał skrzydła, zwracając na siebie uwagę. Jakby wymagał od Bielosielcewa, żeby go nie ominął.

- To tu! - Bielosielcew wskazał kierowcy zakręt, dokąd należało skierować samochód, żeby podjechać pod dom.

W podwórzu panował półmrok, było zimno. Na ciężkiej fasadzie żółciły się okna. Przy chodniku stały samochody. Bielosielcew wprawnie przeglądał ich rzędy, bezbłędnie wydzielając jeden, przytający pod drzewem przy wiadomym wejściu - z antenami, z wygaszonymi światłami i zaciemnionymi szybami. W samochodzie byli niewidoczni ludzie, którzy odnotowali ich przybycie. Sprawdzili częstotliwość odbiornika. Wpatrywali się w wskaźniki, odbierając sygnały malutkiej, umieszczonej w mieszkaniu, kamery.

- Przyjechaliśmy... Możemy wysiadać... - różnym głosem powiedział Bielosielcew, wskazując Prokuratorowi wejście. Weszli na parter do drzwi z gotyckim numerem. Bielosielcew zadzwonił i w głębi mieszkania odpowiedział klawesyn, odgrywający akord średniowiecznej melodii.

Drzwi się otworzyły, i Weronika, serdeczna, radośnie zdziwiona tym, że gospodarz zjawił się nie sam, a z gościem, stanęła na progu. Prosty przedziałek na małej pięknej głowie, biała obszerna bluzka z wykładanym kołnierzykiem.

- Dzień dobry - powitała od razu obu świeżym czystym uśmiechem, pod wpływem którego Prokurator stał się trochę wyższy, wyciągając się w stronę blasku idącego od niej. - Deszczyk na ulicy?

- Jaką pan ma miłą córkę - Prokurator kłaniał się z galanterią.

- To mój sekretarz - podśmiewając się odpowiedział Bielosielcew. - Pomaga mi pisać moją nową książkę. Mam z nią romans, czysto plato-niczny. - Zdziwiony sam swoją naturalnością, Bielosielcew wziął Weronikę za rękę, delikatnie pocałował.

- Niech pani da nam coś do wypicia, miła Weroniko.

Bielosielcew zapraszał Prokuratora do pokojów, bystro zerkając na znane już dekoracje. Barek z napojami, wśród których stał ukryty flakon z podniecającą, rozweselającą nalewką. Angolskie i nigeryjskie maski. Etiopskie malunki na pergaminie przedstawiające czarnoskórych świętych. Brązowy Budda, zdobyty na rynku Kambodży. Katalog motyli, otwarty na afrykańskiej stronicy. Biała skrzynka komputera z niebieskim

ekranem, na którym miga tablica. Wszystko mówi o przyzwyczajeniach i zainteresowaniach gospodarza. O jego tułaczkach. O pracochłonnym zajęciu nad książką, w której jemu, zmęczonemu wędrowcowi pomagają młoda wielbicielka, z którą on jest na „pani”, i którą staromodnie całuje w rękę.

- Boże mój, jakie piękno! - ten okrzyk odnosił się do migocącej drogocennej wielobarwności, jaką wypełniony był drugi, półotwarty pokój. Tam, na ścianach, mieniły się wszystkimi kolorami tęczy motyle, umieszczone w wymytych szklanych gablotach.

- Oto moja kolekcja, którą obiecałem panu pokazać! - Biełosielcew wprowadził Prokuratora do pokoju, zajętego prawie w połowie przez obszerne łóżko pod kapą w paski z długimi okrągłymi frędzlami. Pościel w nim była wilczą jamą, starannie zamaskowaną, w którą powinien wpaść pozbawiony czujności Prokurator. Ten, nie podejrzewając bliskiego końca, szedł w pułapkę z wielobarwną przepaską na oczach. Dwie kamery, czarno-biała i kolorowa, ukryte w żyrandolu i nadokiennym karniszu, obserwowały go.

- Proszę opowiedzieć, jak pan ją zebrał? Jak pan to przewiózł przez granice i kontynenty? - Prokurator przybliżał twarz do gablotek, a ona odbijała się w szybie, oblepiona motylami. Weszła Weronika, niosąc niedużą srebrną tacę, na której stała butelka koniaku, dwa napelnione kieliszki i szklana miseczka z fistaszkami.

- O czym jest książka, którą pisze Wiktor Andriejewicz? - Prokurator był zachwycony kolekcją, zachwycony Weroniką. Odurzony napojem, szukał powodów do zachwyty. Wydawał się sobie wrażliwym, romantycznym, delikatnym.

- On pisze książkę o motylach - chętnie i życzliwie zaczęła objaśniać Weronika. - Każdy schwyty motyl - to stroniczka jego życia, jakieś wojenne wydarzenie, spotkanie z politykiem lub agentem. No i, oczywiście, miłosne przygody, spotkania z pięknymi kobietami. Książka - pamiętnik życia, gdzie każdy motyl - to kartka z kalendarza.

Bielosielcew był zdumiony przenikliwością młodej kobiety, która odgadła jego skryte marzenie. Był zdumiony delikatnym wesołym kłamstwem, z jakim mówiła. Podobało jej się kłamać i grać.

- Jestem rad gościć pana w moim domu. - Bielosielcew wziął z tacy kieliszek, ten, który wskazały mu śmiejące się oczy Weroniki. - Podziwiam pana męstwo. Rozumiem, na jakie ryzyko się pan naraża swoją działalnością. Życzę panu sukcesu w trudnej pracy dla dobra Rosji w imię Jego Ekscelencji Prawa!

Prokurator z wdzięcznością przyjął kieliszek z rąk Weroniki. Stuknęli się i Bielosielcew, przelękając palący pachnący koniak, widział, jak wargi Prokuratora chwytają kryształ, a on nie spuszcza oczu z Weroniki.

Działanie napoju wkrótce zaczęło się przejawiać. W głowie Prokuratora zapaliło się gorące słońce. Poczul przypływ podniecenia, pragnienie mówienia, rozsądzania. Chciał się podobać, słuchać pochwał, być w centrum uwagi. Rozpuszczony w koniaku preparat wywoływał u niego rodzaj szaleństwa, kiedy on wyraźnie, z narastającą siłą odczuwał swoją wielkość, był łaskawy dla otoczenia, dzielił się z nim swoją wielkością.

- Pan prawidłowo mnie rozpracował!... Jego Wysokość Prawo i Jej Wysokość Rosja!... Czuję dramaturgię chwili!... Ode mnie jednego zależy, w jakim kierunku pójdzie historia Rosji!... Straszna jest myśl, że od woli, uczciwości, odwagi jednego człowieka zależy los wielkiego kraju, wielkiego narodu, naszej młodej i jakże kruchej demokracji!... To straszny ciężar, straszna odpowiedzialność!... I jednocześnie szczęście!... Posiadam wielką tajemnicę!... Jeśli by pan wiedział, co znajduje się w cieniutkiej różowej teczce, leżącej w sejfie w moim gabinecie!... Jakie potworne przestępstwa władzy!... Jaka otchłań upadku!... To nie ludzie, a kłęb larw, które wpęzły do Gran owi tej Komnaty!... Nie zwykli złodzieje, którzy zagarnęli zakłady, kopalnie, kompanie lotnicze!... Nie zwykli grabieżcy, wynoszący ze skarbu państwa diamenty, złoto, drogie wyroby i carskie monety!... Oni zagarnęli samą władzę, sam święty

wybór narodu, za każdym razem, w czasie wyborów zagarniając miliony głosów wyborców, przedłużając za pomocą niesłychanego oszustwa swoją bezczelną obecność na Kremlu!... I wokół tego trupy, zabójstwa na zlecenie, rozpętywanie wojen!... W tej teczce wyrok śmierci na Prezydenta!... Wyrok śmierci na jego nienasyconą rodzinę!... Wyrok śmierci na Zarickiego!... - Prokurator mówił bez przerwy.

Biełosielcew czuł jego bezbronność. Było mu nieprzyjemnie, że bierze udział w występnej sprawie. Wiarołomnie zwabił człowieka w pułapkę. Już zbierał się przerwać Prokuratorowi, wyjawić oszustwo. Ale w przyległym pokoju rozdzwonił się telefon. Biełosielcew pospieszył do telefonu, podniósł słuchawkę i nie pomylił się - dzwonił Grieczysznikow:

- Zuch, wszystko wspaniale!... Widzę was na ekranie!... Słucham waszej rozmowy!... Wszystko idzie klasycznie, wszystko się udaje!... Robisz wielką sprawę!... Zemścij się za „Nową Chazarię”!... Zemścij się za oczerniony Kreml!... Za pięć minut wyjdź, zostaw go z dziwką!... Gdyby coś, jestem obok!... - Rozległ się sygnał w telefonie. Wrócił do pokoju w chwili, gdy Prokurator deklamował Weronice wiersze, trzymając ją za rękę.

- „Umierają lewkonie - lekko im. Wypalił się księżyc - na nic. Jak bżowy opar - park...” Ale to tak, bez sensu... Wspomnienia cudnych dni. Teraz w moim życiu króluje nie rym, a prawo... Chociaż teraz, kiedy zobaczyłem panią... - Pojawienie się Biełosielcewa zażenowało go. - W młodości zachwyciałem się Balmontem, Siewierianinem... Boska kolekcja...

- Pilne wezwanie. Muszę pana na trochę zostawić - powiedział Biełosielcew. - Weroniko, proszę zabawić drogiego gościa. Niech pani opowie mi szczegółowo o naszej kolekcji. Proszę zrobić z nim wycieczkę na inne kontynenty, w inne światy...

Weronika odprowadziła go do drzwi, przesłała na pożegnanie czarujący uśmiech, wyćwiczony w laboratorium uwodzenia. Znowu poczuł zapach jej perfum, jak strumień eteru w dusznym powietrzu Afryki, pozostawiony przez motyla.

W podwórzu było ciemno, padał deszcz. Świeciły się mętne żółte okna. Samochód z antenami stał pod mokrym drzewem bez świateł. Bielosielcewowi wydawało się, że za ciemnymi szybami zapalił się i zaraz zgasł czerwony koniuszek papierosa.

Wrócił do domu, zapalił światło i gołe ściany gabinetu, pozbawione kolekcji, przeraziły go bladymi trójkątami, odznaczającymi się na tapecie. Wrócił do salonu. Zdjął z półki książkę Turgieniewa. Położył na stoliku. Legł na kozetkę, okrył się kocem. Otworzył „Zapiski myśliwego” i zaczął czytać na chybił trafił fragment z opisem letniej łąki. I naraz szczęśliwie odetchnął pełną piersią, oślepił go słoneczny blask trawy i migotanie kwiatów. I motyle, przezroczyste w oślepiającym świetle, które obsiadły ostry kwiatek.

Jego sen był przedłużeniem łąki. Biegł po trawie, gołe nogi czuły ciepłą ziemię, czuły tnące źdźbło, utkwione między palcami, czuły pulchny kopiec kreta, suche jak pieprz mrowisko. Nie chciał się obudzić, starał się przedłużyć młodzieńczy energiczny bieg, kiedy usłyszał ostry trel telefonu.

Mówił Grieczysznikow:

- Natychmiast przyjeżdżaj do Kopiejki!... Zobaczysz coś niesamowitego!... Jesteś wielkim agentem, Wiktorze Andriejewiczu!... „Czyn agenta”, druga seria! - zachłysnął się śmiechem i słuchawka zamilkła.

W środku nocy Bielosielcew odnalazł empirowy dom z kolumnami, z żeliwną kratą balkonu, z guzikiem dzwonka, umieszczonym w białym murze. Ochroniarz, obejrawszy go przez kamerę, wpuścił go do środka. W niedużym, matowo oświetlonym pomieszczeniu spotkali go Grieczysznikow i Kopiejko.

„O tobie, moja Afryko, szeptem w niebiosach mówią serafiny...”

Grieczysznikow objął Bielosielcewa, z miłością spojrział na niego porażkowymi oczami.

- Czy tak się cieszył Korolew, kiedy otrzymał pierwsze zdjęcia z łunochodu?

Kopiejko, okrągłogłowy, puszysty, zaokrągliwszy sobie oczy, uśmiechał się małymi ustami.

- Nalegałem i będę nalegał!... Co niemożliwe do osiągnięcia przez powietrzne wojska, osiąga się z pomocą kobiecego łona, prawidłowo umieszczonego w czasie i przestrzeni!...

Trzymał w rękach kasetę. Wkładał ją w otwór magnetowidu, przy którym stała otwarta butelka wódki, mokre kieliszki i talerz z kawałkami łososa.

- Nie dręcz, tylko pokaż! - Grieczysznikow napełnił kieliszki, uroczyście patrzył na Bielosielcewa, jak na bohatera, za którego należało wypić. - Wsuń ją głębiej, bądź tak dobry!

Kopiejko wcisnął kasetę w odtwarzacz. Nacisnął klawisz. Na matowym ekranie, lekko śnieżąc, pojawiły się ujęcia.

Bielosielcew zobaczył znajome pasiaste łóżko z frędzlami, widoczne z góry, z ukosa. Prokurator przyciągał do siebie Weronikę. Ona lekko odchyłała się, a on obiema rękoma obejmował ją w pasie, przyciskał do swojego brzucha.

- Czy on może wrócić?... Jest pani pewna, że on nie wróci? - Prokurator całował Weronikę w gołą szyję, przy tym była widoczna jego łysiejąca głowa i jej śmiejąca się twarz.

- Wróci za godzinę albo i więcej. Prawdopodobnie pojechał do swojej starej chorej ciotki, której się pogorszyło. On czasami jedzie do niej na pilne wezwanie. Wtedy przerywamy redagowanie książki.

- Chodź, ja z tobą będę redagować!... - Prokurator całował ją w szyję, niezręcznie rozpinał jej bluzkę. - Niech pomaga cioci, a my będziemy redagować książkę... Wróci, a książka napisana...

Bielosielcew słyszał jej śmieszek, jego ciężki oddech. W obiektywie ukazał się fragment ściany z kolekcją motyli.

- No szybciej, szybciej, stary koźle! - wesoło komentował Grieczysznikow. - Dawno nie rozbierałeś młodych babek?... A jak żona?... A rodzina?... A moralność?... A honor munduru?... No, Prokuratorze!... No, „rycerzu prawa”!... No, sumienie narodu!... Cap lubieżny!...

Na następnych ujęciach, już po wstępnym montażu, następował epizod rozbierania. Prokurator, niezgrabnie nachylając się, złapał dół sukni, wspiął się na palce, zdejmując z Weroniki sukienkę. Podniósłszy ręce do góry, pozwałała zdejmować, troszkę przeszkadzając, kręcąc biodrami, drażniła Prokuratora. Ten uporał się z sukienką, odrzucił ją gdzieś na bok. Zaczął rozpinąć jej stanik na plecach. Uśmiechała się. Widać było jej prosty przedziałek jak u Bestużewa, dreszcze przebiegające po plecach. Prokurator, gulgocząc coś, uwolnił ją od stanika. Zakołysały się jej okrągłe piersi. Prokurator pożądliwie nachylał twarz, usiłował całować jej piersi, a ona przeszkadzała, patrzyła drwiąco na jego pochyloną drżącą łysinę.

- Kochana, jaka ty dobra, jaka cudna!... Nie bój się mnie, nie bój!...

Grieczysznikow złośliwie śmiał się:

- Przecież ona się ciebie nie boi, kutasie! Oj, żebyś to ty się jej nie bał!... Własna baba widać obrzydła!... Świeżynki się zachciało?... Jedz, jedz, z sosikiem!... Niedługo czkawki dostaniesz!...

Następnie szły ujęcia, które nie zawierały rozbierania się Prokuratora, widocznie składały się z nieciekawego ściągania marynarki, szarpnięcia krawata, odpinania dziwacznych szelek, pospiesznego ściągania spodni, wstydliwego zdjęcia długich rodzinnych gaci. Od razu pojawiło się łóżko z dwoma ciałami, które zdążyły zmiąć kołdrę i zrzucić narzutę. Weronika leżała twarzą do góry, zgięła piękny łokieć, podłożyła dłoń pod głowę. Drugą ręką trochę zasłaniała piersi, rozstawiając cienkie palce, przez które niewinnie wystawał sutek. Prokurator wbijał się w nią jak pies, chciwie całował jej nieruchome ciało, i wydawało się, że on przygotowuje się nie do stosunku, a do pospiesznego zjedzenia jej. Słychać było jego postękiwania, głuche, podobne do szlochu, słowa:

- Bogini!... Tracę zmysły!... Zrób tak, żebym umarł!...

- Ty już umarłeś, capie!... - radował się Grieczysznikow. - Ty już jesteś na Wagańkowskim!... zamówimy ci pomnik u Ernsta Nieizwiestnego!...

Fallus w mundurze prokuratora!... „Pod tym kamieniem leży prawnik, co członkiem bił o trawnik!” - On i Kopiejko podnieśli kieliszki. Nie doczekawszy się tego samego od Biełosielcewa, wypili, rękami brali różowe kawałki łososia.

Biełosielcew naraz doznał ostrego, narastającego uczucia hańby. Świadomości swojego podłego uczynku.

Prokurator leżał na wznak, twarzą do sufitu, z półotwartymi pojękującymi ustami, idiotycznymi, pobladłymi z rozkoszy oczami, brzydko rozsunawszy stopy z podgiętymi dużymi palcami. Kobieta pochyliła się nad nim, widoczne były białe plecy z ruchomą linią kręgosłupa, okrągłe biodra w kształcie dzbana. Całowała jego owłosioną pierś, poruszała się płynnie, wykonując „ósemki”. Widać było jej małe, ciasno złożone stopy. Od czasu do czasu podnosiła głowę, odrzucając do tyłu opadające na twarz włosy.

- Jak dobrze!... - jęczał Prokurator. - Jesteśmy stworzeni dla siebie!... Pojedziemy do Francji!... Będziemy mieszkać nad morzem!... Jak mi dobrze, moja radości!...

- Obiecuję, capie, za dzień to usłyszysz cała Rosja! - rechotał Grieczysznikow, nalewając wódkę. - Tylko sprecyzuj, gdzie będziecie mieszkać?... W Nicei?... Na Lazurowym Wybrzeżu?... W jakimś malutkim przytulnym hoteliku pod Marsylią?... Może powinniście się pobrać? Urządzimy wesele w „Metropolu”, zaprosimy na nie wszystkie walutowe prostytutki Moskwy!...

Prokurator leżał na kobiecie, podobny do nosorożca, z tłustymi garbatymi plecami, opasłymi ramionami, małą łysiejącą głową. Sapał, mamrotał, siąkał. Po kilku przepuszczonych kadrach wstawał z pościeli. Wstydliwie odwróciwszy się od kobiety, naciągał dziwaczne rodzinne majtki i chciał przy tym wydawać się szarmancki - dziękował jej. Ona w dalszym ciągu leżała, patrzyła na jego plecy i uśmiechała się.

- Stop-klatka!... - krzyknął Grieczysznikow. - To najlepsze, co mamy!... Do czasopism „Twarze” i „Profil”! Na pierwsze strony!... Wymiar

sprawiedliwości nakłada gacie!... Zeus opuszcza Danae, naciągając satynowe majtki o kroju z epoki pierwszych stalinowskich pięćolatek!... Po projekcji będą go rozpoznawać nie tylko po łysinie, ale i po gaciach!... Dla czegoś takiego warto żyć i pracować!...

Wyłączyli odtwarzacz. Nieoczekiwanie drzwi otworzyły się i wszedł ZariECKI, podniecony, niecierpliwy.

- Gdzie?... Udało się?... Pokażcie!... - zażądał, jękając się.

Grieczysznikow i Kopiejko ze zwycięskim wyrazem twarzy przewinęli kasetę.

Bielosielcew nie patrzył już na ekran. Obserwował twarz ZariECKIEGO. W pierwszych minutach przeglądu ta twarz wyrażała triumfującą radość i ulgę, jakby z ramion ZariECKIEGO spadł olbrzymi ciężar. Znowu był wolny. Jako że jego oprawca, jego główny wróg został rozbrojony. I ZariECKI cieszył się, klepał się po chudych udach.

Ekran zgasł. ZariECKI chciwie złapał kasetę, schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki tym specjalnym dziarskim gestem, jakim się chowa szczelnie nabity portfel.

- Dziękuję! - wypowiedział tonem, jakim dowódca pułków dziękuje żołnierzom za zwycięstwo. - Kopia zrobiona?... Zabezpieczona?... Jutro po naszym programie w „prime time” pokażemy to krajowi. Żadnych przecieków!... Bombowy plan, Los Alamos!... Dowiedzą się o naszej broni po tym, jak ona wybuchnie!... Dziękuję każdemu z, was! - zwrócił się do BielosiELCEWA. - Wtedy w Kremlu nie było możliwości poznać pana bliżej. Pańscy przyjaciele wspaniale o panu mówią. Utwierdziłem się, że mają absolutną rację. Czy chce pan pracować razem z nami? Mam wschodni, kaukaski kierunek. Czeczenia, Azerbejdżan, Gruzja, projekt ropy naftowej. Pan jest specjalistą od Wschodu... Albo jeśli pan sobie życzy, może pan wrócić do rodzimego biura w FSB. Tam są potrzebni zaufani, dzielający nasze przekonania ludzie... W każdym przypadku, ja nie zapominam przyjaciół, nie zostawiam ich bez, nagrody... - Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł.

- On dotrzymuje słowa - powiedział Grieczysznikow. - Wybraniec będzie dyrektorem FSB.

Posiedzieli jeszcze trochę, patrząc na pusty magnetowid. Biełosielcew pożegnał się i wyszedł.

Spał nieskończenie długo, i wydawało mu się, że jego kości, duże i małe, są rozdrobnione i zmiążdżone. Stały się pudrem, mączką kostną, sypane po szczypcie na dno czarnej jamy. Kiedy nastął dzień i promienie słońca zamigotały, zaświeciły przez powieki, on jeszcze czepiał się snu, pragnąc dłużej pozostawać pogrążony w zapomnieniu.

W ciągu dnia zwrócono mu kolekcję. Ci sami sympatyczni młodzi ludzie wnieśli do gabinetu pudełka, zaczęli nawet rozwieszać. Ale on powstrzymał ich gorliwość, powiedział, że robi to sam. Niektóre egzemplarze podczas przewożenia przesunęły się i były nie na swoich miejscach. Dwóm czy trzem motylom odłamały się skrzydełka i czułki, i on, uzbroiwszy się w pincetę, tubkę kleju, przystąpił do naprawy.

On sam też potrzebował odnowy. Był wypalony jak dom, w który trafił strumień miotacza ognia. Pod wieczór la obcość i zimna pustka przeszła w drażniącą niecierpliwość. Podchodził do telewizora, nie decydując się go włączyć. Doczekał wieczornych wiadomości. Z roztargnieniem wysłuchał ohydneho kompletu wydarzeń, odmalowujących życie kraju jak nieprzerwane pasmo epidemii, płatnych zabójstw, awarii przemysłowych, jubileuszy żydowskich artystów, z krótką wzmianką o święcie w Hollywood i wstrząsającego wątku z życia estońskich kolekcjonerów.

Wiadomości skończyły się, a na martwym błękitcie ekranu, bez zapowiedzi, ukazała się znajoma twarz telewizyjnego chama, z łysym łbem, niechlujnymi brwiami i wywiniętymi mokrymi wargami. Zwykle gwałtowny, dobrodusznie trywialny, teraz był strasznie zdenerwowany:

Tylko nadzwyczajne okoliczności... Małym dzieciom... Według naszego głębokiego przekonania... Honor prokuratorskiego munduru...

Obowiązek uczciwego dziennikarskiego dochodzenia...

Spiker zniknął, zamiast niego ukazały się znajome kadry, na których Prokurator zdejmował biustonosz z damskiej piersi. Półprzytomnie leżał na łóżku z otwartymi ustami. Wstawał speszony z łóżka, starając się skryć w długich rodzinnych kałesonach. Wszystkiemu temu towarzyszyły postękiwania, chichoty, sentymentalne i wstrętne wyznania. Prokurator był poznawany po grasejącym głosie, łysiejącej głowie, ustach, chociaż całe jego oblicze było trochę niewyraźne, jak bywa na ujęciach operacyjnych zdjęć.

Po chwili ukazała się wyraźna, oficjalna fotografia Prokuratora w mundurze służbowym, jakby po to, by potwierdzić oryginalność wcześniejszych kadrów. Spiker odczytał Dekret Prezydenta o czasowym odwołaniu Prokuratora od funkcji do czasu wyjaśnienia okoliczności, związanych z zademonstrowaną taśmą. Jeszcze przez minutę była pokazana inna fotografia - Wybrańca, spokojnego, subtelnego, którego jasne, trochę wylupiate oczy patrzyły obok fotografa. Spiker odczytał drugi Dekret Prezydenta - o wyznaczeniu Wybrańca na urząd dyrektora FSB.

Bielosielcew wyłączył telewizor, odczuwając ulgę. Choroba ustąpiła. On wypełnił obowiązek agenta. Przyjaciele mogli być zadowoleni. „Projekt Suahili” posunął się jeszcze o małe kroczek.

Nocą wyszedł na spacer. Ruszył nie w dół Twerskiej, dokąd sunął lśniący potok nocnych limuzyn, w których siedzieli pewni siebie mężczyźni, jedni z ogolonymi głowami, w złotych łańcuchach i bransoletach, inni w drogich krawatach, o spokojnych oczach mądrych i wielkodusznych zwycięzców. Zszedł do podziemnego przejścia. Spiesznie minął budynek kina „Rosja”, na którym kamieniami szlachetnymi skrzyło się pawie pióro, przyciągając do nocnej dyskoteki białych młodzieńców, wyrosłych bez słonecznego światła, pod reflektorami, wśród słodkich dymów. Tutaj też spieszyły strzelające oczami panny z ognikami drogich papierosów w umalowanych liliową szminką ustach. Doszedł do bulwaru

Strastnego i znalazł się w wilgotnym, aksamitno-brązowym pustkowiu pod bujnymi cichymi drzewami.

O tej porze moskiewskie bulwary były bezлюдne i puste jak las. Zatoniony w swojej kontemplacji, doszedł do Nabrzeża Kotelniczeskiego, gdzie wieżowiec wydawał się górą z biegnącymi do szczytu światłami okien. Nie chciał iść nabrzeżem, gdzie pulsowała łuna nieustannych nocnych rozrywek, a Kreml, oświetlony staraniem moskiewskiego Mera, wyglądał jak świąteczny waniliowy tort z marcepanami i kwiatami słodkiego kremu. Zostawił z boku to cukiernicze dziwo i skręcił na Jauzę.

Szedł między zakolami rzeki, u podnóży wzgórz, na których, milczące jak ściany twierdzy, wznosiły się budynki samolotowej i raketowej cybernetyki z ciemnymi oknami laboratoriów. Myślał o swoim życiu, zbliżającym się do końca, a on nie wiedział, czym się ono zakończy.

Kroczył wzdłuż Jauzy, w górę rzeki, do nieznanego źródła, bijącego w oddalonym leśnym wąwozie. W czarnej wodzie pływało długie odbicie latarni. Usłyszał niegłośny plusk, jak gdyby w wodę, miękko odbiwszy się od granitowego nabrzeża, zanurzył się pływak. Biełosielcew wyjrzał przez skraj kamiennej poręczy. Woda nadal była czarna, ale odbicie latarni zakołysało się. Czujnie wsłuchiwał się w dźwięki, wpatrywał w chybotanie światła. Nagle rozróżnił ledwie widoczny cień, jakby w rzece ruszało się gładkie czarne ciało, pokryte lakierem wodnej warstwy. Wpatrywał się, nachylił i nagle z przerażeniem i rozkosznym uczuciem, rozszerzając źrenice, spostrzegł, że to kobieta, czarna, ze lśnącymi, przylegającymi do głowy włosami. Świeciły się jej białka. Oddychały pełne wargi, wydmuchując napływającą wodę. Kiedy przepływała pod latarnią, unosząc nad wodę długą giętką rękę, z której spadały jasne krople wody i pieniał się niebieskawy grzywacz, ona zwróciła w jego stronę twarz, podobną do afrykańskiej maski, i on, na granicy omdlenia ze szczęścia, zobaczył Marię. Afrykańska królowa, nieśmiertelna czarodziejka gorących pustyń i pachnących zarośli, która uciekła przed ogniem

i śmiercią, zachowała młodzieńczy wdzięk, delikatność i wiotkość szyi, okrągłe ruchy ramion, wypukłość piersi. Cud jej pojawienia się na Jauzie zdarzył się w chwili jego rozpacz i choroby duszy. Przypominał dawniejsze jej pojawienie się w „Polanie”, kiedy wyzwolony z niewoli leżał poparzony, pobity i poraniony. A ona zjawiała się u niego jak uzdrowicielka, przykładając do złamań i ran wywar z korzeni i ziół.

Kobieta podpłynęła do kamiennych schodów. Wychodziła z rzeki, ostrożnie stąpając, wyszukując dno. Jej stopy z długimi zwinnymi palcami rozpryskiwały płytką, obmywającą schody, wodę. Pełne piersi kołysały się nad okrągłym lśniącym brzuchem. Widział jej szklisto-czarne kędzierzawe łono, ciemne czasze bioder, poznając wszystkie tajemnicze proporcje jej afrykańskiego ciała.

Podeszła i stanęła obok niego, oparła o poręcz szpiczasty łokieć. I on czuł, jak pachnie rzeką jej ciało, jak ona dyszy, oddychając po pływaniu.

I oto tańczyli na otwartej werandzie w ciepłej nocnej lagunie, a za białą balustradą nagle ukazała się brązowa twarz fizylera, a potem mignął saksofon, a on obejmował jej giętke plecy, czując, jak porusza się pod jego dłonią miękkie wgłębienie kręgosłupa, jak kolicie kołyszą się biodra i przez bluzkę naciska go wypukły twardy sutek. W małym uchu, w kształcie czarnej muszki, złocił się koleczyk z zielonym oczkiem, i on chciał go dotknąć wargami, przytulał ją, patrząc na mgliste światła, a ona ledwie wyczuwalnie odpowiadała na jego pieszczoty.

Leżeli na obszernym łożu w jego klimatyzowanym pokoju. W szklanej wazie okrągliły się dojrzałe jabłka, stroszył pióra miodowy łuskowaty ananas, zwiślały liliowe kiście winogron. Ozdabiał ją owocami. Kładł jej na czoło kiść wiśni, umieszczał na piersiach ciężkie złote grusze, na poruszany oddechem brzuch - półksiężyc soczystej dyni, na okrągłe biodra - dwa czerwone plastry arbuza, na ciepłą kądziel łona - złocistą kiść winogron, na giętke palce nóg - pachnące poziomki. Ona łaskawie przyjmowała dary, uśmiechając się do niego w półśnie.

Pluskali się w oceanie, w słonecznej zielonej solance. On nurkował pod nią, widział, jak kołysze się rozmyte zielone słońce. Pod wodą chwycił jej kolana, całował brzuch, gładkie śliskie biodra. Czuł wargami sól oceanu, śliskość wody wokół jej nóg. Wynurzał się na powierzchnię w burzę wód i światła, tu - jej śmiejąca się twarz, jasne białka, czerwony zwinnie język.

Szli w deszczu do nocnej „Polany”, krople podskakiwały na białym stoliku z zapomnianą filiżanką po kawie, owal basenu krył się w deszczowej mgle, a on, przemoknięty na wskroś, trzymał nad jej głową bezużyteczne czasopismo.

Bielosielcew stał na nabrzeżu uśmiechając się. Patrzył na wilgotną poręcz, na której przed chwilą opierał się jej łokieć, na nieruchome odbicie latarni. Myślał: „Co to było? Co podsuwa mu ten cud na Jauzie?”.

CZĘŚĆ DRUGA

OPERACJA «PREMIER»

Rozdział dziesiąty

Telefon od Grieczysznikowa, zadzwonił nad ranem. Przyjazny głos powiedział:

- Przepraszam, drogi Wiktorze Andriejewiczu, że nie zadzwoniłem, musiałem na krótko wyjechać... Stęskniłem się, chcę się spotkać... Wszyscy koledzy zatęsknili, mówią, że pora się zobaczyć... I właśnie taka szczęśliwa myśl mi wpadła - wybierzmy się na polowanie! Mamy swoje rodzime gospodarstwo łowieckie, łosia ustrzelimy, świeżym powietrzem poodychamy... Kieliszek wychylimy, daleko od postronnych oczu i uszu... Zgadzasz się?

- Przecież już dawno nie jestem myśliwym - wymawiał się Biełosielcew - motyli nawet nie łowię. A ty powiadasz - łoś...

- Przypomnij sobie dawne czasy... Las, piękno... Domek myśliwski... Posiedzimy w małym gronie... Wieczorem wyjazd, przed nocą na miejscu... Nocujemy, a rano, z jutrzemką na polowanie... Czekaj, zajedziemy po ciebie!

Z początku myśl, żeby taszczyć się za siedem mórz i rzek wydała mu się przerażająca i niemożliwa. Ale powolutku opanowało go młodzieńcze podniecenie, przypomniane ze szkolnych lat, kiedy to razem ze starszym przyjacielem wyjeżdżał na polowanie w wołokołamskie lasy. W przeddzień cały wieczór przy świetle lampy przygotowywał na stole naboje. Błyszczącym naparsteczkiem sypał do papierowej gilzy garstki

bezdymnego prochu, składającego się z kruchych szaroniebieskich kwadracików. Wcisnął kosmatą, wyciętą z walonka, przybitkę. Wsuwał w gilzę odmierzoną porcję śrutu, podobnego do czarno-srebrzystych kuleczek kawioru. Zamykał brzegi gilzy specjalnym przyrządem, który potem przypominał mu się za każdym razem, kiedy specjalnym korkociągiem otwierał butelki wytrawnego wina. I już przygotowane naboje, natarte parafiną, siedzą w kieszonkach ładownicy. Naoliwiona jednorurka spoczywała w brezentowym futerale. Spakowany stareńki plecak z prowiantem. I cała noc przed polowaniem, pełna marzeń i przeczuć, kończy się nagle porannym przebudzeniem. Pożegnalna krzątania i obawy babci, i już mroźny dworzec, chrzęszczący peron ze zmarzniętymi pasażerami, przemarznięty wagon elektrycznego pociągu, który z wizgiem zaczyna mknąć naprzeciw zamglonemu słońcu. Te wspomnienia odurzyły go i postanowił jechać.

Pod wieczór zabrał go obszerny dżip, z którego wyciągnęli do niego ręce Kopiejko i Burawkow, ubrani w stroje myśliwskie, w kurtki, jeden w tyrolskim kapeluszu, drugi w kraciastej czapce z pomponem. Grieczysznikow, w wygodnych butach i śmieszonym kołpaczku, objął Bielosielcewa, przepuszczając go do wnętrza samochodu, w którym przy kierownicy siedział młody sympatyczny szofer.

- Cała gwardia w komplecie!... Łosia po drodze kupimy!... Ruszaj, Lonia!... - raźno przykazał Grieczysznikow, spoglądając do tyłu, gdzie leżały skórzane futerały z bronią, stały skrzynki z piwem, wódką i whisky. Samochód miękko ruszył i pomknął w potoku samochodów wieczornej Moskwy.

Usadowiwszy się na tylnym siedzeniu, patrząc na wieczorne wystawy Arbatu, Bielosielcew nie żałował, że zdecydował się jechać. Przyjemnie było opuszczać wystrojone miasto tylko na jeden dzień, wiedząc, że znowu do niego się wróci. Brama triumfalna podobna była do marmurowego kominka z żeliwnymi kratami, antycznymi rydwanami, rzymskimi żołnierzami. Na szosie samochód przyspieszył.

Kompani zachowywali się tak, jakby łączyło ich jedyne zainteresowanie - polowanie. Ani słowa, ani aluzji o tym, co się niedawno zdarzyło. Tylko żarty, anegdoty, łagodne wzajemne podśmiewania - z tyrolskiego kapelusza Kopiejki, z pomponu Burawkowa, ze skórzanej teczki Bielosielcewa, podobnej do torby myśliwskiej, do której prawdopodobnie zamierzał zapakować zabitego łosia.

Po pewnym czasie Burawkow wyjął wytworną, obszytą skórą flaszkę, odkręcił srebrną nakrętkę, która okazała się maleńkim kieliszkiem i zaproponował wszystkim dla podniesienia ducha wypicie francuskiego koniaku. Puścili kieliszek w obieg, jeden, drugi, trzeci raz, przyjemnie pobudzając się rzeźwiącym napojem.

Kopiejko opowiedział jakąś śmieszną anegdotę o „nowym Rosjanie”. Burawkow podtrzymał go anegdotą o Clintonie i Monice Lewinsky. Grecyzsznikow bardzo śmiesznie opowiedział o polowaniu w Niemczech, gdzie go zaprowadzono na strzelanie do bażantów. Bielosielcew dobrze się czuł, jadąc prężnym, dużej mocy autem z dużą szybkością.

Przyjechali na leśny kordon późną nocą, oświetlając reflektorami drewnianą izbę z gankiem, podwórze z bramą z bali, stóg siana i wilgotną głębię pobliskiego lasu.

Czekał na nich łowczy, który nastawił samowar i wziął udział w posiłku, z przyjemnością pochłaniał drogą miejską żywność, wędzonki, kielbasy, nalewając wódkę do kieliszków.

- Trzeba go strzelać na pewniaka, żeby ze skóry wyleciał - uczył łowczy, osłabiony od wódki, czując przychylność gości. - Najlepiej celować w grzbiet, w kręgosłup. Sparaliżuje go i padnie. Zeszłym razem generał przyjeżdżał, trafił w serce, to on jeszcze dwieście metrów nie zwalniając, biegł.

- Przede wszystkim trzeba od razu jądra wyciąć - ze znajomością rzeczy dodał Kopiejko. - Łoś jeszcze żywy, a ty obcinaj. Inaczej mięso moczem przejdzie.

- Podczas rui, obojętnie, byk czy krowa, wszystko jedno, mięso zala-tuje - zauważył Burawkow - ale pod wódeczkę, jeszcze z przyprawami - wszystko podejdzie.

- To co, przyjaciele, po ostatnim. Jutro wczesna pobudka! - zakończył posiłek Grieczysznikow. - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje!

Przenieśli się do chłodnej sypialni z wygodnymi łóżkami i Biełosielcew, okręcając się kołdrą, pomyślał, jak to dobrze, że zgodził się pojechać na polowanie - nie na łosia, a po dawne, drogie mu wspomnienia z czasów młodości.

Rankiem obudziły go głosy, postukiwania, głośnie kroki. Za oknami było ciemno. Myśliwi, ubrani do połowy, stali pod lampą, zbierając broń, gładząc niebieskawo-czarne oksydowane lufy.

Zimna herbata, kanapki. Na progu pojawił się łowczy, w brezentowej kurtce, w czapce z daszkiem, zgrabny, zwinny i troskliwie zapobiegliwy:

- Koń zaprzężony, już czas... Dostać się do wyspy, a tam według numerów stawać... Jeśli stado pójdzie, chodź za nim cały dzień...

Jeden po drugim wychodzili na ganek, w ciemność, w cudowny wilgotny aromat bliskiego lasu, zwarteo, czarnego, nad którym niebo zaczynało ledwie widocznie błękitnieć. Pod żółtym oknem stała furmanka. W klatkach skomliły i szczeły psy. Donośnie zapiał kogut.

Żałowali się na furmankę, rzucili strzelby na siano. Ruszyli wzdłuż lasu po miękkiej, wygniecionej obręczami drodze. Wszystko owiewał ciepły zapach końskiego potu i tabaczny dymek zapalonego przez kogoś papierosa.

Rozwidniło się, kiedy wjechali w rzadki las z żółtymi, mokrymi trawami, puszystym mchem, rzadkimi czubkami sosen.

- Tutaj, na wyjściu, stanicie - powiedział łowczy, zeskakując z furmanki. - A ja pójdę naganiać... Nie mają się gdzie podziać, z błota na was wyjdą...

Poprowadził myśliwych skrajem wilgotnej przesieki, za którą czuć było bagno, roztaczające intensywny, słodko-kwaśny aromat jagód i mchów. Tam, zakończywszy nocne żerowanie, układało się stado łosi, ociężałe od obfitej karmy, czujnie przysłuchując się szelestowi osik, obudzonych porannym wiatrem.

Biełosielcewa zostawili samotnego wśród puszystych zielonych kęp i mizernych błotnych sosenek, pod żółtym porannym niebem. Dali mu dwururkę, której nie zamierzał użyć, zadowolając się jej lekkością i zgrabną kolbą, podniecającym zapachem żelaza i smaru. Pozostali myśliwi poszli naprzód, okrążając błota. Biełosielcew z daleka widział Kopejkę, który zatrzymał się w zaroślach, jego tyrolski kapelusik i białą plamę twarzy.

Zrobiło się cicho. Szybko rozwidniało się. Biełosielcew zobaczył przed sobą jasnotliowy kwiatek leśnego geranium, rzeźbione paprocie z nalotem jesiennej rdzy, suchy krzaczek maliny. Zerwał malinę i włożył do ust.

Usłyszał, jak za bagnem, wysoko i cienko, z trelami i przerwami, rozległ się gwizd i umilkł. Jeszcze i jeszcze raz. To myśliwy przyłożył do lufy pobladle z napięcia wargi, wydmuchiwał złożony motyw. W sośniaku rozległo się ujadanie i stuki. Przedzierając się przez wątle drzewka, młody szofer, towarzyszący łowczemu, walił pałką po pniach. I w tej właśnie chwili z niskiego lasu, jak z otwartej bramy, wyszły łosie, przestawiając wysokie nogi, kiwając garbatymi grzbietami. Czarny grzywiasty byk z nastroszoną sierścią popychał do przodu trzy strachliwe niskie krowy. Płynnie kiwając się, wydmuchując kłęby pary na zimne wilgotne trawy, przebiegły obok Biełosielcewa, nie zauważając go, chlupiąc i chrzęszcząc, wygniatając drogę między źdźbłami i krzakami. W zachwycie i z lekkim strachem patrzył na zwierzęta, czując ich gorące zapachy, siłę i piękno pracujących mięśni pod gładką skórą. Widział, jak znikają w zaroślach, a nad ich grzbietami zamykają się gałązki.

Ostro i czysto zagrzmiał wystrzał. W ślad za nim drugi. Krowa na przedzie dostała kulę w biegu, obróciło ją od straszego uderzenia, rzuciło na bok. Jak silna wichura łamała wokół siebie cienkie sosny, ścinała kopytami trawy, wzbijając rzadkie grudy ziemi. Las uciszał się po chrzęście uciekających łosie.

- Gotów! - rozległ się triumfujący krzyk Kopejki.

Wszyscy zbiegali się na ten okrzyk, wyskakiwali z zarośli sośniaka, rudej gęstwy bagna. Okrążali łoszę.

- Kto strzelał? - Łowczy podbiegał na żwawych krzywych nogach, z szerokim uśmiechem na ustach.

- Ja! - powiedział rozgorączkowany i podniecony Kopiejko. - Obie kule w niej!

- Zuch! - pochwalił łowczy. - Krowa trzylatka...

- Byk szedł za nią, ale ona na strzał wyszła...

- Byk mocno doświadczony, przodem krowy puszcza...

Burawkow, odtrąciwszy pozostałych, nieoczekiwanie podskoczył do łoszy, złapał ją za twardy kłak brody, podniósł ciężką głowę i, wyciągnąwszy cienki nóż, przeciągnął po gardle. Gardło się otworzyło i z rany, z bulgotem, gęsto chlupiąc na liście, pociekła krew. Ten zręczny ruch Burawkowa był gestem doświadczonego, obytego myśliwego spuszczonego zwierzęcą krew, ale także był przejawem nienasyconej pasji łowcy, któremu nie wyszedł strzał i który pragnął mieć chociaż jakikolwiek udział w zabiciu zwierzęcia.

Wszyscy głośno i z zapalem rozmawiali nad ubitą łoszą.

- Och, kurczę blade! Kotlety będą! - Młodziutki szofer, pomagający łowczemu w nagonce, chwycił łoszę za nogę.

Łowczy za uzdę podprowadził konia. Koń posłusznie szedł, obnażając żółte zęby. Zdobycz pochwycili za nogi, za uszy, z trudem wciągnęli na podwodę. Łosza nie mieściła się na niej i łowczy rzemieniem przyciągnął nogi do brzucha, przygiął głowę i usiadł jej na oczach. Koń ruszył, wszyscy poszli śladem, zostawiając czarne mokre wgłębienie, różowe na brzegach.

Furmanka przechylała się miękko w koleinach. Grzbiet łoszy tworzył pagórek przykryty zielonym sianem. Bielosielcew kroczył za furmanką, widząc kapiącą krew.

Wrócili na kordon przy ochrypłym szczekaniu i skomlaniu wpędzonych do klatek psów, które z daleka wyczuły zapach zwierzęcego mięsa. Łowczy zeskoczył z podwody, wy dostał spod siana sznurek, zręcznie zarzucił pętlę na nogę łoszy, drugi koniec zawiązał na słupie. Ruszył koniem, sznurek napiął się, łosza zsunęła się z wozu, walnęła z hukiem o ziemię. Pusty wóz potoczył się lekko dalej.

Łosza leżała na środku podwórza z jedną nogą wyciągniętą jak struna, ze sznurkiem umocowanym na słupie. Wszyscy zeszli się przy zdobyczy.

- Kto będzie rozbierać? - zapytał łowczy, zwracając się do Kopiejki jako głównego gospodarza zdobyczy. - Żeby skóry nie zepsuć. Wyjdzie z niej ładny dywan.

- Niech Burawkow rozbiera - uśmiechnął się Kopiejko - całe życie skóry zdzierał. Ani jednej nie zniszczył.

Burawkow wyjął długi błyszczący nóż i szybko, dokładnie naciął nim nogi łosia powyżej kopyt. Skóra łatwo rozstała się, spod sierści wyrzały czerwone żyły. Burawkow chwycił kawałek skóry, pociągnął, wyszczerzając z wysiłku zęby. Skóra zsuwała się z lekkim trzaskiem, obnażając kość z białymi, mocno naciągniętymi ścięgnami i perlowymi żyłami. Pchał skórę końcami krótkich palców, co chwila wycierał je o sierść. Spod skóry zwierzęcia ukazywały się wzgórki mięśni, szła para jak z otwartego garnka. Twarz Burawkowa zaróżowiła się od pary, zaciskał nozdrza, wdychając rozchodzący się zapach krwi. Wszyscy gorliwie mu pomagali, chwyтали skórę, ciągnęli, klęli, kopali łoszę nogami z żartobliwą nienawiścią.

- Dalej, przewróć ją! - przykazywał Burawkow. - Na bok, na bok wal!...

Tuszę przewrócili. Coś tam zagrało w niej, zabulgotało. Z rozwartej szyi bryznęła krew. Liznęła but Burawkowa. Z odrazą odsunął nogę, kopnął łoszę.

- Dawaj tu siekiere! - zażądał. - Skórę mocniej naciągaj!

W kilka rąk zaczęli ciągnąć skórę, oddzielając od mięśni, a Burawkow obuchem siekiery, mokrym tępym żelazem, zaczął walić w mleczone błony, perlowe sploty, odbijając skórę od czerwonych mięśni. Zdarli ją z chrzęstem i cmokaniem, wyciągnęli czerwoną muskularną tuszę jak z fartucha. Rozesłali skórę na trawie pośrodku podwórza, a ona, jak srebrnoszary dywan, zaścieliła trawę, owiana różowymi oparami.

Obracając ostrzem w kręgach z chrzęstem oddzielili głowę. Psy chrypiały, rzucały się na żelazne pręty. Myśliwi wzięli się za dzielenie tuszy.

Wbili nóż w płuca. Otworzyli brzuch, zakołysały się ogromne zwoje jelit, poprzeplatane siecią żył. Rozkroili klatkę piersiową, a tam, między bladoróżowymi płucami, zaczerniło się serce.

- Daj potrzymać!...

- Ale śliskie!...

Jelita kołysały się jak gumowa nadmuchiwana łódka. Granatowa wątroba nurkowała między nimi jak maleńka gładka foka. Chciwe ręce chwytaly i szarpały wnętrzności, ciągnęły je jak sznurki spadochronu.

Wracali do izby, hałasowali przy umywalce, zmywając z palców krew i śluz. Kroili na desce wątrobę, obierali cebulę, rzucali na skwierzczącą patelnię. Wyjęli ze skrzynki wódkę i whisky. Jedli gorącą wątrobę, raz po raz zapijając alkoholem. Błyszczała tapeta w różowe kwiatki. Padały na nią i zastygały kropelki tłuszczu. Łowczy i szofer, najedzeni i podpicci, wyszli, żeby żyłami i kośćmi nakarmić psy. Grieczysznikow, chciwie zapijając gorącą wątrobę szklanką zimnego piwa, powiedział:

- Teraz przejdźmy od naszych łosi do naszych baranów. - Wesolo i z sympatią popatrzył na Biełosielcewa. - Masz szczególną wdzięczność Wybrańca. Jest zachwycony przeprowadzoną operacją. Powiedział, że przejdzie ona do najnowszej historii rosyjskiego wywiadu.

- Czuję się usatysfakcjonowany - odpowiedział Biełosielcew, czując ociężałość po jedzeniu.

- Musimy omówić następny etap „Projekt Suahili” - mówił dalej Grieczysznikow głosem prowadzącego konferencję, odsuwając czarną patelnię z zastygłym tłuszczem. - Kopiejko krótko przeanalizuje powstałą sytuację.

- Trzeba skonstatować - zaczął Kopiejko tonem wykładowcy na operacyjnym zebraniu sztabu - że w rezultacie specjalnej operacji usunięcia Prokuratora w prezydenckim kręgu powstał wyższy stopień zaufania do Wybrańca. Córka zaprosiła go do wąskiego kręgu przyjaciół i spędzili kilka godzin razem w elitarnym nocnym klubie. Zariecki złożył mu wizytę

na Łubiance, wtajemniczył w swoje sekretne projekty, w tej liczbie i w ten dotyczący czecheńskiej ropy, prosił o współpracę, obiecał dołączyć i procenty. Sam Bałwan przyjął go w rezydencji. Wyjątkowo dużo mówił, żalił się na samotność, na zdrowie, na wiarołomstwo poddanych, na niezdarność pomocników. Poinformował, że jest zajęty poszukiwaniem następcy, któremu mógłby przekazać władzę.

Bielosielcew rozumiał, że jest uczestnikiem tajnego spotkania, jak przedtem uczestniczył w spisku. Uczciwie, chociaż z dręczącymi wyrzutami sumienia, wypełnił przypadające na niego zadanie. Cała reszta będzie się odbywać bez niego. Dawno już odszedł z wywiadu, a teraz odchodzi z polityki. Wyjedzie z Moskwy, zamknie się na jesiennej daczce i jako pustelnik będzie dożywał swoich lat. Będzie czytał ulubione wiersze, kartkował babciny tomik Ewangelii.

- Rozłam na szczytach władzy po usunięciu Prokuratora nie zmniejszył się, przyjął jednak inny charakter - ciągnął Kopiejko, jasno, po operacyjnemu, formułując myśli. - Mer i Astros są osłabieni i zamiast frontalnego ataku na Prezydenta, oskarżając go o korupcję i zarzucając mu upośledzenie umysłowe, starają się pójść na kompromis z Bałwanem. Przedmiotem targu jest urząd Premiera. Obecny słaby i bezwolny Premier powinien przejść w stan spoczynku. Jego miejsce zajmuje Mer. Dla Prezydenta oznacza to likwidację szkodliwej krytyki. Dla Mera powstaje superwygodna odskocznia do następnego kroku na Kreml...

Przedmioty konspiracji były umiejętnie rozstawione na stole. Pusta butelka wódki. Mokre połyskliwe kieliszki... Czarna, tłusta patelnia, w której jak stearyna zastygł losiowy tłuszcz.

- W ten sposób - Kopiejko kończył swoje wystąpienie - słabym ogniwem, utrzymującym równowagę sił politycznych, jest Premier. O tę pozycję rozegra się starcie. Obecny - bezwolny i niezdolny do działania - nieuchronnie będzie odstawiony, a my powinniśmy wyprzedzić Mera i przesunąć na tę pozycję Wybrańca...

- Dziękuję - tonem przewodniczącego powiedział Grieczysznikow, kierując wzrok na Biełosielcewa. Tym spojrzeniem dawał mu do zrozumienia, że wiadomości są specjalnie dla niego. Dla niego odkrywany jest kolejny etap projektu. - Niech Burawkow krótko przedstawi treść operacji „Premier”.

- Psychologiczna i moralna charakterystyka Premiera sprzyja przeprowadzeniu destrukcyjnej operacji, mającej na celu zdyskredytowanie go w oczach ludzi władzy, zwłaszcza Prezydenta i społeczeństwa razem.

Burawkow, wyrafinowany mistrz aktywnych operacji, w przeszłości niszczył dysydentów. Psuł im opinię, odcinał od poparcia społecznego, łamał pogroźkami. Teraz wykorzystywał swoje doświadczenie do likwidacji nowej ofiary.

- Premier ma słabą wolę, jest próżny, strachliwy, podejrzliwy, skłonny do manii prześladowczej. To czyni go łatwym obiektem manipulacji, co, naturalnie, należy wykorzystać...

Widzimy możliwość nakłonienia Premiera do złożenia przed kamerami telewizyjnymi szeregu oświadczeń, które następnie zostaną obalane przez rzeczywistość i obnażą w oczach społeczeństwa jego pełną polityczną bezsilność. Wydaje się także, że skuteczne będzie przedstawienie Premiera jako człowieka łamiącego oficcerski kodeks honorowy, którym on często i nie w porę się popisuje. Aby to uzyskać, trzeba go przedstawić resortowcom jako zdrajcę ich interesów, wykazać jego niezdolność i niechęć do ujęcia się za jednym z generałów, wpływowym i lubianym w środowisku decydentów. Wątpliwa równowaga na Kaukazie, pozorny rozejm w Czeczenii, wrzenie wśród wahabitów w Dagestanie - bolący odcisk Prezydenta. Odpowiedzialny za te problemy Premier może upaść w oczach Prezydenta w przypadku, jeśli pokój na Kaukazie, chociażby na krótko, będzie naruszony. Destabilizacja Północnego Kaukazu - to najbardziej radykalny środek usunięcia Premiera...

Milczeli, zwróciwszy czujne ptasie oblicza na Biełosielcewa. Duża sowa patrzyła z czubka jesiennego stogu. Ciężki pelikan z pełnym

żółtym wolem obserwował z płytkiej laguny. Bystry gołąb wpatrywał się pomarańczowymi oczkami, siedząc na sprężynującej gałązce. I sam Bielosielcew znów przekształcił się w zmęczonego, niemłodego szpaka z przyémionym zielonym odcieniem i różowym odbłaskiem czarnych postrzępionych piór. Był członkiem stada, spiskowcem.

- Pomożesz? - spytał Grieczysznikow. - Bardzo mało jest utalentowanych, zaufanych ludzi.

- Co powinienem zrobić?

- Przygotuj niedużą informację o ruchu wahabitów. Niech Premier przed kamerami zapewni społeczeństwo, że to nie jest niebezpieczna, lecz pokojowa teoria, której nie należy się obawiać. I po drugie: odśwież swoje dagestańskie kontakty. Byłeś blisko z młodym Ismailem Chodżajewem. Dzisiaj ma duże wpływy, kontroluje oddziały bojowe. Słuchają go. Potrzebne jest pewne dojsię do niego. Jesteś gotów to zrobić?

- Jestem gotów - powiedział Bielosielcew.

- No to wspaniale - potrząsnął ramionami Grieczysznikow, zrzucając upierzenie gołębia.

Wypili strzeziennego. Zaczęli się zbierać do Moskwy.

Rozdział jedenasty

Informacja o wahabitach, napisana przez Bielosielcewa, mieściła się na dwóch stroniczkach i zawierała wiadomości o mistycznym ćwiczeniu wiary, jednoczącym muzułmanów w ziemskie bractwo, gdzie równość, brak chciwości, wspólna praca i ofiarność wiodły prawowiernych do Raju. Bielosielcew, opuszczając metafizyczną istotę teorii, przydał jej cechy utopijnego, socjalnego bractwa, które, wśród nierówności współczesnego świata i niesprawiedliwości życiowej, usiłuje zbudować podobieństwo islamskiego socjalizmu. Lazur minaretów, piękno i mądrość Koranu tworzyły bohaterów i męczenników, którzy cierpiąc za bliźnich,

stawali się miłymi Bogu i oczyszczali ludzkość z rozpusty i ohydy. Pobudzały do jednoczenia się w jedynym królestwie Bożej Prawdy i Świętości...

W takim kształcie informacja była dostarczona Premierowi. Za kilka dni Bielosielcew był zaproszony przez Grieczysznikowa na Kreml, by uczestniczyć we wręczaniu odznaczeń bojowych uczestnikom kampanii czeczeńskiej. Z powodu nieobecności chorego Prezydenta wręczaniu przewodniczył Premier. Grieczysznikow, wchodzący na Kreml tak samo swobodnie, jak czynny urzędnik ochrony, zabrał ze sobą Bielosielcewa, żeby ten mógł wziąć udział w pasjonującym przedsięwzięciu. Obserwować, jak Premier udźwiękowski treść notatki, napisanej przez Bielosielcewa, pomijając jej sens. Dziennikarze telewizyjni zabiorą z Kremla kasety, w których wypowiedzi Premiera - nie teraz, a nieco później - zaczną dźwięczeć, jak ostatnie przed wyrokiem słowo.

I ponownie, w ciągu niedługiego czasu, Bielosielcew znalazł się w Georgijewskiej Komnacie, wśród marmurowych ścian ze złotymi szkiłkami gwardyjskich baterii i pułków, pod jarzącym się żyrandolem, od patrzenia na który bolały oczy. W komnacie na fotelach siedzieli wojskowi, ci, którym wręczano odznaczenia. Tu także, jako goście honorowi, siedzieli generałowie w lampasach, hierarchowie cerkiewni, sławni uczeni. Wszyscy patrzyli na pustą przestrzeń z olbrzymim koszem kwiatów i małą wytworną podstawką, na której ułożono safianowe pudełka z orderami. Oczekiwano Premiera.

Nieopodal, ciasną grupą stali dziennikarze telewizyjni z przygotowaną aparaturą. Bielosielcew wpatrywał się w małymównych obojętnych reporterów, starając się odgadnąć wśród nich tego, kto podstawia czarny zaszklony obiektyw kamery ufnemu Premierowi, i jego los zostanie wchłonięty w szklany otwór jak w czarną dziurę, ginąc bez śladu.

Po niewidocznym, ledwie odczuwalnym chybotaniu światła czuło się zbliżanie ważnej osoby. Z bocznych drzwi, poprzedzany narastającym blaskiem, wyszedł Premier. Serdeczny i zarazem wielki. Bezpośredni,

przystępny i jednocześnie wywyższony jako najwyższa władza. Wszyscy wstali i Premier uśmiechnął się. Stał przy koszu kwiatów, przy podstawie z odznaczeniami, gdzie już stała piękna kobieta w prostym angielskim kostiumie, asystentka i pomocnica.

Kamery ledwie słyszalnie zaterkotały, zamigły rubinowymi oczkami, nakierowały na Premiera niuchające czujne ryjki.

- Szanowni towarzysze i przyjaciele, mam pełnomocnictwo do przekazania wam pozdrowień Prezydenta Federacji Rosyjskiej, który z powodu lekkiego niedomagania nie mógł przyjechać na Kreml i polecił mi wypełnić ten zaszczytny obowiązek. Wręczyć odznaczenia Ojczyzny tym, którzy w niedawnych operacjach bojowych swoim męstwem i bohaterstwem obronili demokrację, zatrzymali rozszerzanie się niestabilności na południu Rosji, zrobili wszystko, żeby na naszej ziemi zaistniał mocny i długo oczekiwany pokój.

Słowa były starannie dobrane, mądrze rozstawione, przypominały sztucznie zdobioną zasłonę z dykty, za którą nie było widać zburzonego do fundamentów Groznego, spalonych szkieletów czołgów, wagonów z zamrożniętymi trupami, rozrośniętych wojskowych cmentarzy.

- Najwyższe odznaczenia Ojczyzny, tytuł „Bohatera Rosji” otrzymuje podpułkownik wojsk powietrzno-desantowych... - Premier z uroczystą miną, podwyższając intonację na wysokie śpiewne tony, upajał się swoją rolą. Nie zastępował po prostu Prezydenta, ale prawie stawał się nim, aby obecni zachwycali się nie tylko bohaterskim czynem podpułkownika, ale nim samym, będącym w tej królewskiej komnacie najważniejszą osobą w państwie.

Podpułkownik, krzepki desantowiec z oficerskimi wąsami, ze szramą w kształcie krzyża na czole, wyszedł z rzędów. Zbliżył się do Premiera. Ten wyjął z rąk pięknej asystentki safianowe pudełeczko z orderem. Otworzył je. Gestem magika, obracając się w różne strony sali, pokazał order zebrany, uśmiechając się i kłaniając, jak czarodziej, który

wyczarował gwiazdkę z powietrza. Bielosielcew patrzył na desantowca, który otrzymał gwiazdę na pierś, a krzyż ogniowy na czoło, tam, na schodach i przejściach pałacu Dudajewa, dokąd wdzierały się grupy szturmowe, niosąc strzęp sztandaru przez wybuchy serii, przez wyrwę w ścianie, zrobioną przez pocisk burzący. A potem ich pułk wycofywali z Groznego, a brodaci bojowcy złośliwie się szczyrzyli w ślad za wychodzącymi kolumnami. Podpułkownik przyjął odznaczenie z rąk Premiera, powiedział: „Służę Rosji!” i powrócił na swoje miejsce.

- Za bohaterskie zachowanie w warunkach bojowych podczas zaprowadzania konstytucyjnego porządku w Republice Czecheńskiej odznacza się orderem Męstwa komandora helikoptera wsparcia ogniowego, majora... - Premier wziął z rąk asystentki safianowe pudełko z krzyżem przypominającym cztery złożone razem halabardy. Przekazał chudemu łysemu majorowi. Ten niezgrabnie przyjął. Jąkając się wypowiedział rytualną formułę. Rozglądał się, oślepiiony żyrandolem, otoczony złotymi monogramami i marmurem.

Helikopter, grzechocząc przestrzelonymi łopatomi śmigieł, lądował w wąwozie, gdzie w zasadzkę wpadła grupa specnazu. Leżeli w śniegu zabici, jęczeli ranni, żywi wkładali ostatnie magazynki, broniąc się przed atakującą nawałą Czecheńców. Modlili się, żegnali ze sobą, kiedy z góry, jak płamisty anioł w stalowym upierzeniu, zjawił się helikopter. Wśród wybuchów, z dziurami w kadłubie, kołysał się, nie wyłączając śmigła. Załoga strzelając do Czecheńców z karabinu pokładowego, zbierała żywych i martwych, wzlatając nad wąwozem, uchylając się przed pociskami. Helikopter uciekał, zostawiając na niebie dymek spalonego paliwa.

- Za męstwo i odwagę, przejawione w warunkach bojowych, orderem „Zasługi dla Ojczyzny II stopnia” dekoruję kapitana brygady piechoty morskiej...

Kapitan piechoty morskiej w czarnym galowym mundurze pomaszewował na puste oświetlone miejsce, gdzie oczekiwał go Premier z delikatnym safianowym puderkim.

Brygada szturmowała dom w centrum Groznego. Czołgi bezpośrednim atakiem były w piwnice, niszcząc gniazda karabinów. Piechota wdzierała się do wejść, wrzucając granaty. Na schodach szła walka wręcz. Ludzie krzyczeli i ryczeli, wbijali w siebie wzajemnie klingi, rozrywali rękoma usta, bili w twarz łopatkami. Dom wzięto, a on raportował do sztabu o stratach, patrząc, jak znoszą z pięter zabitych i rannych, a twarz zastępcy komendanta brygady, na której rozerwał się granat, wyglądała jak czerwony reflektor. Po miesiącu, kiedy wrócił do floty, zobaczył w telewizji, jak na podwórze znajomego domu wraca czeczeński oddział. Wywieszają zielony sztandar, gotują jedzenie w kotłach, strzelają na wiwat, sławiąc swojego komendanta. A ten ze smolistą brodą, ukazując w uśmiechu białe zęby, podnosi pięść, woła: „Allah akbar!”. Kapitan z towarzyszami pili wódkę, nie wycierając łez goryczy.

Ceremonia zakończyła się lampką wina, którą serwowano w sąsiednich pomieszczeniach. Premier z towarzyszącą świtą skierował się tam, zatrzymując się przed kamerami, przyjaźnie i mile żartował z dziennikarzami, demonstrując prostotę i przystępność, umiejętność utrzymywania dobrych stosunków z prasą.

- Dziennikarski chleb - najczarniejszy!... Tak jak i chleb Premiera, czyż nie?... Zawsze się rozumieliśmy i w przyszłości będziemy się rozumieć! - Przyjął pozę przed kamerami, nad którymi zapaliły się naraz białe lampy.

Pierwsze pytanie, zadane przez dorodnego, żującego gumę dziennikarza, dotyczyło mających nastąpić zmian w rządzie:

- Czy to prawda, że szykuje się czystka ostatnich ministrów poprzedniego gabinetu?

- Gabinet to nie brudny but, żeby go czyścić - szorstko zażartował Premier. - A ja, jak widzicie, nie jestem podobny do czyścibuta, chociaż szanuję ten zawód. Jak pracowaliśmy, tak i będziemy pracować. - Po szerokim uśmiechu dziennikarza zrozumiał, że się spodobał, a jego gburowane wojskowe żarty dziś wieczorem pójdą w eter.

Drugie pytanie, dotyczące możliwości przeniesienia stolicy do Sankt-Petersburga, zadał czarniawy, szczupły reporter, pracujący na Kremlu od czasu sowieckich wodzów.

- Nie wydaje się panu, że Rosja jest zmęczona sytą i obojętną Moskwą i nie chce w niej widzieć stolicy? Pana rodzimy Sankt-Petersburg całkowicie mógłby przywrócić sobie status głównego miasta.

- My, petersburżanie, nigdy nie traktowaliśmy naszego miasta jako drugie. Ale Moskwa pozostanie stolicą. Ja walczę o budowę superszybkiej magistrali, a wtedy moglibyśmy odbywać posiedzenia gabinetu raz nad brzegami Newy, raz nad rzeką-Moskwą.

Trzeci był młodziutki rumiany dziennikarz, stremowany kremłowską oprawą, usiłujący wywołać wrażenie niezależnego, wyróżnić się nietuzinkowym ostrym pytaniem.

- Jak pan, panie Premierze, odnosi się do możliwości wyniesienia ciała Lenina z Mauzoleum. Dyskusja na ten temat robi się coraz ostrzejsza!...

Na sekundę twarz Premiera skamieniała, jako że wyczuł niebezpieczeństwo, kryjące się w pytaniu. Jako liberał był za wyniesieniem ciała. Jednakże jego odpowiedź nie powinna urazić „czerwonej” większości w Dumie, z którą nie należało się spierać przed zatwierdzeniem rocznego budżetu.

- Czy pan pamięta, co się stało, gdy w Samarkandzie zburzono grób Timura i wyniesiono jego kości? Tym samym wypuszczono ducha wojny, a ona poszła tańczyć po świecie. Czy chce pan, żeby rozjątrzone widmo komunizmu wróciło na ziemię? Czy nie lepiej zostawić go w Mauzoleum, pod szklaną pokrywą?

Młodzieniec pokraśniał z zadowolenia. Premier zachwycił się jego świeżością i delikatnością. Pomyślał, że dobrze byłoby mieć go bliżej i zabrać ze sobą na jakikolwiek zagraniczny wyjazd.

Czwarte pytanie, na zakończenie przeznaczonych dla prasy pięciu minut, zadał niepozorny, łysiejący, wyglądający jak buchalter, reporter w znoszonej dziennikarskiej marynarce.

- Panie Premierze, nieduży górzysty rejon Dagestanu, pod kontrolą wahabitów, ogłosił swoją niezawisłość od Rosji. Czy nie jest to nowym przejawem rozpadu kraju? Co władza zamierza zrobić? Posłać tam wojska dla uspokojenia separatystów? Czy też po prostu nie zauważyć tych górali, powtarzając nasze doświadczenia z Czeczenii, wolimy nie mówić o statusie terytorium?

Premier przybrał srogi, prawie gniewny wyraz twarzy.

- Mówić o wysłaniu wojsk - to znaczy iść po prostu na konfrontację. Problemu Kaukazu nie można rozwiązać przy pomocy wojska - mentorskim tonem oświadczył Premier, usiłując rozpoznać niezorientowanego w polityce dziennikarza. - Wahabizm nie jest tym, z czym należy walczyć za pomocą czołgów i lotnictwa szturmowego. Wahabizm to zupełnie niewinna utopijna teoria o powszechnej równości, zrodzona we współczesnym islamie. Islamska idea posiada przestarzałe średniowieczne cechy i według wahabitów potrzebuje modernizacji. - Premier prawie dosłownie powtórzył cytaty z notatki, ułożonej dla niego przez Biełosielcewa. - Dwie malutkie dagestańskie wioski, które naiwnie ogłosiły swoją niezawisłość - to kuriozum, żart, na który zareagujemy śmiechem. Bardzo szybko ci górale oprzytomnieją i na wspólnym święcie wypijemy z nimi za wielką niepodzielną Rosję!...

Premier łaskawie skinął głową dziennikarzom, dając do zrozumienia, że spotkanie zakończone. Rażno, starając się przydać sobie oficerskiej postawy, skierował się tam, gdzie już nalewano szampana do pucharów. Biełosielcew zauważył, że dziennikarz o wyglądzie buchaltera wyłączył kamerę, wyjął kasetę, troskliwie schował ją do kieszeni swojej zniszczonej marynarki.

Bankiet odbywał się w złoconej gościnnej sali z monogramami i herbami. Lustrzane ściany wielokrotnie odbijały stół. Te powtarzające się, migotliwe odbicia unosiły w dal talerze, kryształ, generalskie pagony, oficerskie wąsy i odznaczenia, tak, że wydawało się jakby bankiet ciągał się w nieskończoność, od ścian Kremla do Uralu, i dalej do Oceanu Spokojnego.

Premier, ściskając puchar szampana, podniósł łokieć zwyczajem oficerskim. Obejrząwszy stół ostrym, jak mu się zdawało, wzrokiem Suworowa, wygłosił toast.

- Armia - to najlepsze, co jest w Rosji. Wy jesteście najlepszymi przedstawicielami armii. Wypijmy za bohaterów, którzy nie mają równych sobie. Ja, od siebie, daję wam słowo rosyjskiego oficera, że zrobię dla armii wszystko, na co pozwala moje stanowisko! Wasze zdrowie! - I dziarsko, przechylając do tyłu głowę, wypił szampana do dna, a ręką z pustym pucharem zamachnął się jakby miał zamiar go rozbić. W ostatniej chwili rozmyślił się, starannie postawił go na obrusie.

Do Premiera zbliżył się biskup w płaszczu, w kłobuku, z porcelanowym złożonym krzyżem na złotym łańcuchu. Jak wszyscy pozostali, trzymał puchar z szampanem, wznosił go w stronę Premiera jak lampkę, przed swoją uczesaną, pachnącą perfumami brodą.

- Nasze rycerstwo daje przykłady niezmordowanej służby Ojczyźnie i Chrystusowi Ukrzyżowanemu. - Biskup zwrócił uwagę Premiera, skierował na niego przenikliwe, mądre, zarazem wesołe i pokorne oczy. - Bez przesady mogę powiedzieć, że rosyjskie rycerstwo coraz bardziej staje się rycerstwem prawosławnym. Nie wątpię, że czyny naszych żołnierzy, dokonane za Ojczyznę i za wiarę prawosławną, będą błyszczeć, jak ofiary świętych męczenników, pomnażając niezliczone zastępy naszych świętych! - Biskup wyciągnął do Premiera puchar, a ten pokornie uklonił się, jakby trącał się i jednocześnie przyjmował błogosławieństwo.

- Rosji są potrzebni nowi święci. Nowy okres rosyjskiej historii powinien być oświetlony bohaterami. Wasza, Eminencjo, działalność w pogłębianiu związków Cerkwi i armii znajduje głębokie zrozumienie u Prezydenta. Proszę się pomodlić, żeby mu się polepszyło i żeby opuściły go cierpienia i niemoc.

Dołączył do nich chudy, trochę roztrzepany generał, odpowiedzialny za pracę wychowawczą w armii:

- W pracy wychowawczej w wojsku musimy połączyć prawosławie i demokrację. I to nam się udaje. Są oficerowie, którzy na bazie wojny

czeczeńskiej napisali prace naukowe o pogodzeniu wartości prawosławnych i demokratycznych ideałów.

- Jedno nie przeczy drugiemu - głębką myśl wyraził Premier, zadowolony, że rozmowa przechodzi na tematy religijne i filozoficzne. - Osobiście uważam, jeśli prawidłowo spojrzeć, że Chrystus był pierwszym na ziemi demokratą. Za pozwoleniem, jego przykazania broniły praw człowieka.

Generał-wychowawca w zachwycie odchylił głowę. Biskup, przeciwnie, skłonił kłobuk, czy to na znak zgody, czy to dlatego, żeby nie zauważono iskierki wesołości w oczach.

Odnaczeni wojskowi pili przy drugim końcu stołu. Biełosielcew widział, jak włożyli do kieliszków z wódką swoje ordery, barwiące szkło na czerwono i złoto. Coś tam krótko powiedzieli do siebie. Podnieśli kieliszki, ruszając grdykami i napinając na czołach oparzenia i rany, pili czerwonozłotą wódkę. Wciągnęli w siebie gryzącą gorycz, pijaną nalewkę wojny. Nalewkę z płonących miast i wsi. Elixir wysadzonych transporterów i czołgów. Koktajl z krwi, rzygowin i łez. Wypili, łapiąc oddech. Postawili kieliszki na obrusie. Przez szkło czerwieniały i złościły się ordery jak mokre ślimaki na mieliźnie. Podpułkownik wojsk desantowych przymocował do munduru Gwiazdę Bohatera. Skierował się do Premiera miękkim krokiem zwiadowcy, ścisnąwszy pięści, aż pobiegały mu kostki, mogące rozbić cegłę, kołysząc spadzistymi ramionami bojownika. Premier z daleka usłyszał jego kroki. Po twarzy przebiegły mu białe i czerwone plamy. Desantowiec podszedł do Premiera:

- Towarzyszu Przewodniczący Rządu, pozwólcie, że się zwrócę.
- Pozwalam - odpowiedział Premier.
- Nikt nam nie wyjaśnił, czemu wycofaliśmy się z Czeczenii. Rozgromiliśmy tych pieprzonych „czechów”, zagnaliśmy Basajewa w góry, gdzie mu jaja do skał przymarzły, a nas zabrali z Czeczenii i odebrali zwycięstwo. Połowę batalionu odprawiłem do Rosji w cynkowych garniturach, i co ja teraz powiem wdowom? Jak mam szukać dowódcy kompanii, którego wzięto do niewoli pod Szatojem, a teraz wydłubują mu

oczy i ścinają po kawałeczku skórę? Kto i ile dostał za nasze kości i skórę? Co było warte nasze wyjście z Czeczenii dla bankierów i co ono było warte dla Rosji? I kiedy, towarzyszu Przewodniczący Rządu, znowu pójdziemy brać Groznyj, podstawiając nasze czoła pod granatomioty Basajewa?

Desantowiec stał bez jednej kropli krwi. Na białej twarzy, jak sopolki, jaśniały niebieskie oczy. Powoli, chrzęszcząc przemrożonymi stawami, upuszczając na parkiet kawałki lodu, zrobił w tył zwrot i wrócił na miejsce, gdzie zaniepokojeni towarzysze wiali w jego bezkrwawe usta kielišek wódki, chcąc go rozgrzać.

Wszyscy zauważyli nieprzyjemną scenę. Przestraszeni, przestając żuć, patrzyli na Premiera, nie wiedząc, czy zgromadzić się wokół niego w obronie czy też rozproszyć się.

- Nie można mówić o zwycięstwie czy porażce, kiedy idzie o naród czeczeński, który należy do rodziny narodów Rosji. - Premier przekonał się, że niebezpieczeństwo żenady minęło, i teraz mówił pouczająco, trochę gniewnie, tłumacząc zachowanie kontuzjowanego bohatera. - Armia zrobiła to, co najważniejsze - wstrzymała przelewanie krwi, zabezpieczyła przestrzeganie Konstytucji, osiągnęła pokój, choćby i kiepski, ale który jest, jak wiadomo, lepszy od wojny. - Premier ostatecznie nabrał śmiałości, zwycięsko omiół oczami stół. - Nasze ofiary nie poszły na marne, ponieważ zostały poniesione za Konstytucję, demokrację i prawa człowieka. Zawsze powtarzam, że powinniśmy być cierpliwi i pobłażliwi. Już wspomniałem, że wahabizm - to oryginalna teoria wiary, która wciążą nową energię w zmurszałe formy islamu. Uwierzcie mi, studiowałem ten problem. Wahabizm trzeba zrozumieć, oswoić, zrobić częścią naszej polityki na Kaukazie, a nie grozić z byle powodu stanowiskami ogniowymi. Trochę znam Kaukaz, czuję kaukaski charakter. Wiem, jak łatwo na Kaukazie można zmienić przyjaciela we wroga. Musimy często wspominać naszych wielkich poprzedników - Lermontowa,

Tołstoja, którzy nie tylko walczyli na Kaukazie, ale i kochali go. Powinniśmy pokochać Kaukaz, nie stracić dla Rosji jego drogiego aromatu. - Premier uspokoił się, gdyż zaczął mówić o pięknie. Tylko siłą woli powstrzymał się od tego, żeby nie zadeklamować wiersza Lermontowa, który pamiętał. Nie tylko był politykiem, nie tylko wojskowym, ale znawcą historii, znawcą poezji. Przeżyte wzruszenie okrasiało jego policzki delikatną purpurą. - Muszę was poinformować, że jutro wysyłam na Kaukaz mojego specjalnego przedstawiciela, generała Szeptuna, do Groznego. Zwykłym pasażerskim samolotem rejsowym, nie wykorzystując do tego myśliwca czy bombowca. Generał Szeptun przekaże prezydentowi Maschadowi mój osobisty list. Nie wątpię, że posłuży on dalszemu rozwijaniu dobrych stosunków między Moskwą i Groznym. - Znowu podniósł puchar, kiwając ponad głowami wysokiemu przystojnemu generałowi, który usłyszawszy swoje nazwisko, radośnie obejrzał się na głos naczelnika. - Za naszą pomyślną misję, generale! - Tamten z ożywieniem poruszył mocnym pięknym ciałem. Podszedł do Premiera, z radością trącił się pucharem, wlał szampana pod sumiaste wąsy.

Odczuwając pogardę do gaduły, Bielosielcew odszedł od Premiera na drugi koniec stołu. Teraz jego uwagę przyciągał generał Szeptun, z wyglądu bawidamek, dworak. Dama, podająca Premierowi safianowe szkatułki z orderami podczas nadawania odznaczeń, wyraźnie uśmiechała się do generała, z zachwytem i szczęściem patrzyła na niego, mimochodem poprawiając bluzkę, powiększając dekolt, na który był skierowany jego wzrok.

- Jakże bym chciał być orderem i wisieć na pani piersi - usłyszał Bielosielcew początek wypowiedzi. Kobieta zmieszała się, zaróżowiła, zaśmiała głębokim śmiechem. Szeptun, odchodząc, zdążył pocałować jej długie lakierowane paznokcie.

Już znajdował się obok biskupa, z którym widocznie się znali. Generał zalotnie przyglądał wąsy, oglądając cerkiewną szatę, kłobuk, drogi krzyż na złotym łańcuchu.

- Jesteśmy obaj, Eminencjo, w służebnym stanie. Tylko że pan służy Bogu, a ja Monarsze - powiedział z lekką nonszalancją i jednocześnie z szacunkiem. To, widać, spodobało się biskupowi, na tak wysokim zebraniu dopuszczającemu drobne żarty ponad sztywnością kanonicznych form. Powiedzieli sobie coś nieważnego i żartobliwego, i biskup, otwarcie przychylny generałowi, pobłogosławił go krzyżem na czole.

Szeptun podszedł do kręgu odznaczonych oficerów, gdzie już trwały gorące, nerwowe pijaństwo i przechodziły z trudem powstrzymywane fale rozdrażnienia. Swobodnie i odważnie pograżył się w tych falach. Kogoś tam objął, z kimś się stuknął. Zaczął opowiadać anegdotę, zapraszając wszystkich bliżej:

- Przychodzi Maschadow do magazynu wojskowego, a tam chorąży napity, zalany w trupa. „Słuchaj, daj - mówi - konserwy, ale żeby winowiny nie było!”. A chorąży zdejmuje portki... - Tu Szeptun z obawą obejrzał się na Premiera, który coś tam gniewnie wpajał chudemu przewodniczącemu protokołu.

Zniżył głos tak, że Bielosielcew nie usłyszał końca anegdoty.

Tylko widział, jak twarze oficerów robiły się coraz weselsze i potem gruchnął śmiech, tak że Premier wzdrygnął się ze zdumieniem. Oficerowie napełnili kieliszki i wszyscy po przyjacielsku trącili się z generałem.

Bielosielcewowi spodobał się Szeptun, jego zawadiacki wygląd lejbgwardzisty, silne ramiona ze złotymi pagonami, duża, dobrze osadzona głowa z wypukłymi niebieskimi oczami i obfitymi wypięłgnowanymi wąsami. Bielosielcew śledził, jak porusza się jego głowa pośród luster, firanek, złożonych ram.

- No po prostu cały porucznik Rzewski - zaśmiał się Grecyzsznikow. - Tak, zatem jutro samolotem rejsowym, bez osłony myśliwców, do przyjaciela Maschadowa?... Cha, cha, bankietowi politycy... Armia po nich będzie musiała grzebać się w gównie... No, idziemy - powiedział Grecyzsznikow. - Nie mamy tu nic więcej do roboty... Czekają na nas w innym miejscu - i ujął Bielosielcewa pod łokieć.

Rozdział dwunasty

Z Kremla wyjeżdżali w deszczu, który okrył Moskwę mieniącą się warstwą. Bielosielcewowi wydawało się, że pływa w zatopionym mieście, przedzierając się przez zielonkawe zatoki ulic, przez kanały zaułków, gdzie w zatopionych domach, w napełnionych wodą mieszkaniach wiszą abażury, stoją w bibliotekach książki, na stole są rozstawione talerze i filiżanki, a milczący ludzie, kołysani prądem, siedzą przy stołach z rozpuszczonymi, pływającymi włosami. Cudowna świątynia z rzeźbami i krzaczastymi krzyżami, a obok, zasłaniając ją, ogromna butelka piwa „Bałtyk” ze ściekającą perlistą pianą. Smutny pomnik Puszkina ze zwieszoną głową, a wokół jego szyi omotany płomienny napis, jak wielki świecący wodorost.

Miasto było jeszcze rozpoznawalne, jeszcze można było odczytać na ścianach nazwy ulic i numery domów, ale już zasiedlone mieszkańcami podwodnego świata. Plac Dworcowy z oświetloną szklaną kopułą wypełniony był różowymi meduzami, przepływającymi jak przezroczysta flotylla. Wokół wieżowca, migocząc łuskami, płynęły ławice ryb.

- Widzę, Wiktorze Andriejewiczu, jak jesteś zmęczony, jak dręczą cię wątpliwości. - Głos Greczysznikowa, miękki, ojcowski, dźwięczał poprzez szum deszczu i warkot silnika, wytwarzając uczucie hipnozy. - Gdybyś wiedział, jak dobrze cię rozumiem. Ja sam w chwili przygnębienia myślę o ucieczce, o cichym ustroniu, samotnej starości - pusta dacha, astry na klombach, płonący ogień w kominku, i tylko siedzieć z kocem na ramionach, kartkować zakurzoną książkę, Tacyta czy Plutarcha, patrzeć, jak powoli gaśnie za oknami dzień.

Ministerstwo Obrony opuściło się na dno, a w wypełnionej wodą garderobie o ciężale falowały w kierunku sufitu wiszące generalskie płaszcze, w zatopionych gabinetach przed mapami świata stali oficerowie i cicho walcowali w wodnych wirach wśród promienie i muszli,

wokół których dokazywały małe niebieskawe kraby.

- Co może być ważniejsze dla takiego filozofa, jak ty, czym uzasadnić przeżyte długie życie, dostrzec jego sens, napisać swoją „Książkę królestw”, które ujarzmiłeś przed tym, jak z pokorą zastukasz do Królestwa Niebieskiego z nadzieją, że ci otworzą.

Stadion wydawał się zarośnięty podwodnymi mchami i roślinami, rzeźby atletów zaczynały pokrywać się koralami.

- Ale, przyjacielu, nie czas nam czytać foliały i pisać o marszach Gallów. Ojczyzna w potrzebie, wzięto ją do niewoli, jak brankę. Zabijają i męczą ją, i nikt prócz nas nie jest w stanie jej pomóc.

Stary budynek banku z półokrągłymi oknami, z żeliwnymi latarniami i kolumnkami, stał się podwodną pieczarą, a nad wejściem zastygła ośmiornica.

Sen skończył się jednocześnie z deszczem. Po mokrym asfalcie szedł tłum, składając mokre różnokolorowe parasole. Miasto pływało, umyte, perliste, świeże. Podjechali do centrum telewizyjnego Ostankino.

- Dokąd mnie przywiozłeś? - zapytał Biełosielcew, wysiadając z samochodu. - W tym przeklętym miejscu zaczynają mnie boleć stare rany.

- Nic dziwnego - odpowiedział Grieczysznikow - skupienie zła w „Ostankinie” przewyższa wszystkie pozostałe miejsca w Rosji. Wrażliwcy nie mogą tu pracować. Zdarzają się im zawały i wylewy krwi do mózgu. Żeby rekultywować to miejsce, potrzeba co najmniej trzystu lat.

Ze szklanego budynku wyszedł Burawkow, wznosząc ręce do wieży, jakby się do niej modlił:

- Serdecznie witamy w elektronicznym imperium Astrosa!...

Wjechali windą na górne piętro. Przeszli korytarzami, po których snuli się wyczerpani młodzi ludzie i przepalone papierosami panny. Pomiędzy nimi, rozpoznawalny, poślizki, kulejąc na nogę z podagrą,

przeleciał, jak stara bilardowa kula, dyrektor programowy Pozner. Doszli do miejsca, gdzie błyszczały kołowroty ze stali nierdzewnej, stały detektory, migały oczka wskaźników kontrolnych, a ochroniarze w czarnych uniformach z krótkimi zagranicznymi automatami spojrzeli na nich lodowatym wzrokiem.

- To ze mną - powiedział Burawkow, przeprowadzając towarzyszy przez system kontroli.

Po tamtej stronie otwierał się inny świat, sterylny, kryształowy, kosztownie przezroczysty, pachnący ozonem, ozdobiony witrażami, inkruściami, z wiszącymi na śnieżnobiałych ścianach obrazami modnych malarzy.

Znaleźli się w holu, pustym i obszernym jak dworcowa poczekalnia. Rozsiedli się w wygodnych fotelach, skąd Biełosielcew obserwował oczekujących na przyjęcie interesantów. Byli tam lękliwi generałowie z lampasami, jakiś wymyślnie wystrojony facet w wyzywających białych skarpetkach i dwóch czarnobrodych chasydów w czarnych surdutach i kapeluszach.

Pośrodku holu, na drewnianym postumencie, przypominającym ołtarz, stała wysoka kolba, w której miała się zielona pulsująca sinusoida.

- Generałowie reprezentują Wojska Raketowe Strategicznego Przeznaczenia - szeptem wyjaśniał Burawkow. - Mamy zamiar z pomocą rakiet bojowych z poligonu Pliesieck wypuścić serię naszych sputników telewizyjnych, a dla raketowców jest to równoznaczne z uratowaniem tych wojsk... Tamten facet w białych skarpetkach - to szef wiejskiego rejonu, gdzie leży folwark Wiaziemskich. Astros wymyślił zbudowanie Disneylandu niedaleko Moskwy, właśnie w tamtym rejonie. Folwark powinien pójść do rozbiórki, a szef rejonu za dobre wynagrodzenie gotów jest załatwić problem... Ta żydowska delegacja - Burawkow wskazał pejsy, smoliste brody i czarne kapelusze - przybyła z Tel Awiwu, żeby odstąpić Astrosowi część akcji dużego izraelskiego wydawnictwa. Przez nie on będzie kontrolował społeczną opinię Żydów - emigrantów z Rosji...

Bielosielcew nie pojmował, po co go tutaj przyprowadzili. Zamierzał właśnie to powiedzieć, ale Burawkow nieoczekiwanie ocknął się:

- Czekają na nas, chodźmy - i weszli w bezszelestnie otworzone drzwi gabinetu.

To nie był gabinet w zwykłym pojęciu. Weszli do owalnego pomieszczenia z eliptyczną krzywizną ścian, na których rozmieszczono mnóstwo telewizyjnych ekranów. Każdy migał, płonął, pulsował. Astros siedział za pulpitem, sterował ekranami, powiększając ruszające się obiekty, przybliżał je lub oddalał. Na ekranie, na który patrzył, pojawił się trup młodej kobiety, leżącej na betonowej posadzce. Po obrzmiałej twarzy, w słuzie i posoce, pełzały muchy. Na nodze były widoczne ślady pętli od sznurka. Piersi były obcięte. W pachwinie, wśród zarostu sterczał jakiś przedmiot. Astros powiększył obraz i stało się widoczne, że to mokre, wbite w ciało dłuto.

Bielosielcewem wstrząsnęło, zwrócił oczy na drugi ekran, a tam, spod gruzów wysadzonego domu ratownicy w kaskach i pomarańczowych kamizelkach wyciągali zmiażdżoną dziewczynkę. Operator umiejętnie i ze szczegółami pokazał malutką rączkę z rozgniecionymi paluszkami.

Bielosielcewowi zrobiło się niedobrze, chciał się schować, uciec. Ale zewsząd, dokąd by nie zwrócił przerażonego wzroku, patrzyły na niego jaskrawe, zięjące ogniem ekrany, z których strzelały w niego obrazy umartwionych i cierpiących ciał. Rozerwane, leżące na boku pojazdy z okrwawionymi ofiarami. Obrazy wykonywania wyroków przez oprawców, strzelających z pistoletów w tył głowy. Wybuchy domów, w które bliska wała działa. Pogrzeby żołnierzy z zapłakanymi twarzami matek.

- O, przyjaciele moi, przechodźcie! - Astros podniósł się od swojego elektronicznego pulpitu naprzeciw wchodzącym. - Jestem szczęśliwy, że mogę pana poznać! - wyciągnął rękę do Bielosielcewa. - Moi przyjaciele opowiedzieli, jak się pan wspaniale spisał, jakim pan jest wytrawnym specjalistą od problemów wahabizmu. Kaseta z idiotycznymi wypowiedziami Premiera jest już u mnie, już jest opracowywana. Potrzebni mi

utalentowani kompetentni ludzie. Będę szczęśliwy, współpracując z panem! Powinniśmy wyjść od tego, że strategia zmieniła się od korzeni. - Astros wzniosł różowy palec z wypolerowanym długim paznokciem, pobłyskując niebieskawym przezroczystym brylantem. - Po wsypie Prokuratora, na którego wydaliśmy tyle pieniędzy i którego okręcił wokół jego osobistego organu płciowego jakiś operacyjny z FSB, po tym zmienia się cały schemat zastąpienia zmurszałego Bałwana naszym mocnym, jak złoty żołędź, Merem. Dla osiągnięcia naszych celów zaprzestaliśmy krytyki Prezydenta, zostawiliśmy w spokoju jego zagraniczne rachunki, zamknęliśmy oczy na austriackie wille i szwajcarskie wpłaty, zostawiliśmy na pewien czas samego Zarieckiego, obiecując mu sojusz i przyjaźń. Mer był już u Prezydenta, okazał mu pełne poparcie, wydał z kośćmi wszystkich jego nieprzyjaciół, obiecał poprzeć jego kandydaturę na trzecią kadencję. W zamian prosił dla siebie o miejsce Premiera. Z tego miejsca, kiedy nam się udaje otrzymać, zaczniemy walkę o Kreml. Urząd Premiera jest pierwszoplanowym zadaniem. Obecny, tchórzliwy i sflaczały, powinien być usunięty. Powinniśmy oczyścić pole dla naszego przyjaciela Mera. Temu pan poświęci swoje umiejętności. Znana jest panu achillesowa pięta Premiera. Dagestan gotów wybuchnąć, naszpikowany wahabitami, których ten naiwny nicpoń nazywa „dobrymi utopistami”. Jeśli Dagestan wybuchnie, to będzie prosty błąd Premiera i Bałwan zdmuchnie go jak okruch. Premiera nie mogą ścierpieć wojskowi jako parweniusza i cywilną gnidę. Bunt decydentów, którzy odmówili Premierowi zaufania, powinien postawić go na granicy upadku. Pańska analiza jest bez zarzutu i prorokuje dalsze sukcesy...

Bielosielcew rozumiał, że włączono go w delikatną intrygę, nie odkrywając jej niebezpiecznego sedna. Że uczestnicy spisku są gotowi wykorzystać moc i środki Astrosa do obalenia Premiera, wsadzić na zwolnione miejsce Wybrańca, odsunąwszy żadnego władzy Mera i zrobiwszy durnia z Astrosa. Grając za plecami Zarieckiego i Astrosa,

podjudzając ich do walki albo czasowo godząc, dążą oni do wybranego celu, realizując „Projekt Suahili”.

- Od moich przyjaciół, Wiktorze Andriejewiczu, dowiedziałem się, że poruczono panu kluczową rolę. Cenię naszą znajomość. W mojej korporacji, w moim elektronicznym imperium, ma pan honorowe miejsce. Nagrodę za zwycięstwo sam pan sobie wyznaczy. Środki na pokonanie Premiera mamy. Zróbmy małą wycieczkę, chcę pokazać nasze przedsiębiorstwo, żeby pan wiedział, czym może rozporządzać...

Zagadkowo się uśmiechnął, wyprowadził gości przez ledwie zauważalne drzwi. Przestrzeń, w której się znaleźli, wydawała się nie mieć końca, nie mieściła się w szklanym graniastostupie telecentrum. Stali przed przezroczystą ścianą, chronioną przez antyterrorystów, poprzez którą iskrzyła się, rozbłyskiwała, rozwijała się elektrycznymi tęczkami czarowna sala.

- To nasza groteka. Tu filmujemy gry telewizyjne, wychodząc od magicznej formuły: „Całe nasze życie - to gra!” - komentował Astros.

Mnóstwo kamer, obsługiwanych przez skupionych operatorów, filmowało od razu kilka gier. Jedna z nich, pod tytułem „Pojedynek umysłów”, odbywała się w szklanym przedziale i polegała na tym, że dwaj przeciwnicy w przeciwległych kątach trzymali w ustach długie, podobne do fujarki rurki. Wydmuchiwali z nich kolorowe mydlane bańki. Bańki mnożyły się, nie pękały, migotały w promieniach. Napełniały pokój do pełna, zderzały się, pchały jedna na drugą, chwytaly w swoją migocącą substancję dmuchających graczy. Gracz zaczynał się dusić, dmuchał co sił w rurkę, starając się odepchnąć przezroczystą masę. Ale tracił siły, padał bez przytomności, dusząc się, otoczony niepoliczalnymi bańkami. A szczęśliwy zwycięzca, wyzuty z sił, wyrwał się z mydlanego piekła. Przy dźwiękach zwycięskiego marsza, cały w kolorowym śluzie, otrzymywał nagrodę pieniężną.

Druga gra nazywała się „Dantes” i polegała na tym, że przeciwnicy, wychodząc na granicę strzału, z długich rurek, przypominających broń

afrykańskich Pigmejów, wydmuchiwali z siłą lekkie dzidy, które leciały przez laserowe promienie i wbijały się w duży portret Puszkina, podzielony ponumerowaną siatką, gdzie każde trafienie miało wartość punktową. Ten, kto uzyskał z Puszkina największą liczbę punktów, był Dan-tesem i otrzymywał wartościową nagrodę.

Trzecia gra „Urowadzenie kapitałów” była czysto elektroniczną grą i przedstawiała ogromny, na całą ścianę labirynt z płątaniną przejść i tras. Labirynt zaczynał się przy ścianie „Banku Moskiewskiego”, zawierał wiele przeszkód i pułapek w postaci agentów FSB, Policji podatkowej, Kontroli celnej, Interpolu, podstawionych klientów, bandyckich grup. Zwycięzcą w grze okazywał się ten, kto znajdował bezpieczną trasę, przeciągając elektroniczną, pulsującą złotem nić przez wszystkie ślepe zaułki i pułapki. Potrafił przenieść pieniądze z „Banku Moskiewskiego” do „Bank of New York” przez zagraniczne strefy i banki pośredniczące, trafiwszy na jedną jedyną chytrą kombinację. Zwycięzcę nazywano „Rosyjski Soros” i nagradzano biletem na podróż dookoła Morza Śródziemnego.

- Te gry - Astros z radością utwierdzał się w silnym wrażeniu, jakie gry wywarły na Biełosielcewa - przy swej naiwności i prostocie, modelują zachowanie, w skomplikowany sposób tłumią albo pobudzają różne ośrodki podświadomości u pojedynczych osób lub całych grup społeczeństwa. W okresie socjalnego napięcia, ogólnego niezadowolenia, w czasie masowych wybuchów szowinizmu albo przeżytków imperialnego uczucia te gry działają podobnie do preparatów. Gry oparte są na ostatnich osiągnięciach psychiatrii i opatentowane przez nas.

Drugie oszklone pomieszczenie, swoim wystrojem, owalami i okrągłościami dziwnym trafem przypominało wanny, bidet, umywalki i inne urządzenia sanitarne. Na białym ginekologicznym fotelu siedziała kobieta w średnim wieku, w prostym angielskim kostiumie, z piękną fryzurą, jaką noszą skupione na biznesie damy, i mądrze, precyzyjnie, jak to czynią poważni eksperci i analitycy, opowiadała o swojej sztuce kiero-

wania orgazmem. Tę sztukę posiadała w rezultacie długich treningów z gutaperkowymi i celuloidowymi kulkami, które nauczyła się ścisnąć mięśniami pochwy na tyle silnie, że wyskakiwały one na zewnątrz i wpadały dokładnie do podstawionego koszyka. Nazywała tę grę „Seksbol”, polecając ją uwadze dziewcząt starszych klas, które słuchały jej z zapartym tchem i rumieńcami na twarzach.

Tu także, za przezroczystą przegrodą siedziała jeszcze jedna, różowa, roześmiana kobieta, z wyglądu typowa handlarka. Owinięta białym prześcieradłem, bosonoga, z gołą ręką i nieco obnażoną piersią, raz po raz patrzyła w owalne lustro, umocowane nad toaletką. Zwraçała się do innych, zebranych wokół kobiet, opowiadając im o korzyściach z miłosego samozaspokożenia, które rozładowuje kobietą psychikę, pozabawiając męczącego „kompleksu mężczyzny”. Według jej słów, na ten kompleks cierpi wiele współczesnych kobiet, pozbawionych partnerów seksualnych, z których jedni się upijają i nie są zdolni do męskich zachowań, drudzy zginęli w licznych wojnach i katastrofach, pozostawiając samotne wdowy i narzeczone, jeszcze inni - i ich liczba nieustannie rośnie - mają skłonności do stosunków homoseksualnych, odrzucając miłość do kobiety jako przeżytek starych patriarchalnych epok. W tych warunkach kobiecie powinny wystarczać środki, które w dużym asortymencie proponuje współczesna higiena, elektronika i autotrening. Prowadząca schyliła się nad toaletką, na której znajdowały się kremy, środki zapachowe, podłużne wibratory, pędzelki z delikatnego ptasiego puchu, pompony wiewiórczych ogonków. Pokazywała audytorium, jak się nimi należy posługiwać.

- Ten program przenosi „problemy głowy”, w której nagromadziło się wiele nierozstrzygniętych problemów, na „problem kroku”. - Astros wydawał się podniecony widokiem damskiej nagości. - Wytwarzamy elektroniczne pole erotyczne nad całą Rosją. Gdziekolwiek, w jakiegokolwiek leśnej wiosce, w każdym fabrycznym baraku samotna kobieta czy niezaspokojony mężczyzna czują się szczęśliwi...

Przeszli do sąsiedniego boks z ogromnym ekranem. Przed nim przy pulpicie siedział operator chudy i rdzawy, jak stalowy gwóźdź.

- To laboratorium korekty antropologicznej - wyjaśnił Astros. - Wytworzymy produkt telewizyjny, za którego pomocą tłumimy antropologiczny szowinizm Rosjan. Oddalamy groźbę „rosyjskiego faszyzmu”, zdejmując z nacjonalistów poczucie mesjanizmu.

Astros dał lekki znak operatorowi, a ten, rozumiejąc go bez słów, włączył ogromny, zajmujący całą ścianę ekran. Pojawiła się na nim twarz, zniekształcona gniewem, z wyszczerzonymi rzadkimi żółtymi zębami, wąskim czołem, nad którym rozsypały się spocone płowe włosy. Podobna do zwierzęcia istota ubrana była w rosyjską rubaszkę z północnym ornamentem, przedstawiającym pogańskie drzewa, czarodziej-skie konie i bajkowych jeźdźców. Obraz zniknął i pojawił się kolejny - zamknięty w więzieniu, pochylony, ostrzyżony na łyso, z zapadniętymi gruczołowymi policzkami, z zaszczutymi, głęboko zapadniętymi oczami. Zaraz za tym pojawił się żołnierz w kamuflażu i kasku, z wysuniętym podbródkiem, bezmyślnymi oczami, który strzelał z automatu z poziomu brzucha. Zastąpił go pacjent w szpitalnym kitlu, bez sił siedzący na nędznej pryczy wśród kroplówek i termoforów. Ponownie pojawił się już znany bojówkarz o świńskich oczkach w rosyjskiej rubaszcze. Znowu poleciał szereg portretów. Demonstrant pod czerwonym sztandarem, bezkształtny, pełen nienawiści, ze źle ogoloną staro wyglądającą twarzą, w dziwacznych starczych łachach, z portrecikiem Stalina na piersi. Po nim debil z uśmiechniętymi śliniącymi się ustami, dłubiący brudnym palcem w nosie. Zmienił go nędzarz, podobny do pokrytego sierścią zwierzątka, opierający się na kosturze, wśród reklam damskiej bielizny, luksusowych mieszkań i włoskich mebli.

- Dobierając do wszystkich telewizyjnych wątków określony typ ludzi, hamujemy tym samym pychę Rosjan, wypełniając wizualny szereg innymi typami narodowościowymi, co jest absolutnie konieczne w naszym

wielonarodowym państwie, gdzie żyją Jakuci, Tatarzy, Kaukazy. - Astros mówił profesjonalnym tonem, jakby czytał wykład o genetyce. - Proponujemy naszym widzom inny typ antropologiczny, który może wyciszyć reliktywne impulsy narodowościowej podświadomości. Tworzymy typologiczny wizerunek, w którym łączyłyby się wszystkie narody. - Astros dał znak operatorowi.

Na ekranie pojawił się portret Alberta Einsteina, zamyślony, spokojny, z głęboką światową troską w przymrużonych dobrych oczach. Einstein zniknął, a zmienił go znany satyryk z Odessy, pulchny, miły, przechylił głowę na bok, promieniował wiśniowymi oczkami, wywołując czymś mimowolnie przyływ sympatii, być może, delikatnym kształtem uszu, podobnym do wielkiego fizyka. Tuż po nim ukazał się młody przystojniak, polityk prawicy, jeszcze niedawno marzący o zostaniu Prezydentem. Za nim pojawił się artysta lalkarz, ascetyczny, z garbkiem na nosie, z pomarszczonymi starczymi ustami, ale bardzo dobrymi, choć smutnymi oczami. Znowu pojawił się Einstein, podkreślając swoje podobieństwo do osób, które tylko co przemknęły - a więc te same smutne szlachetne wąsy, skierowany w nieeuklidesową przestrzeń wzrok, miłość do wszystkiego żywego i nieżywego. Z tego wzorca, powielając go i zmieniając wygląd, pokazywały się złożone typy. Byli to - mile wyglądający pracownik muzealny wśród starych foliów. Minister spraw zagranicznych. Znany bankier, który wspierał finansami moskiewskiego Mera. I, na koniec, sam Astros, dobroduszny, naiwnie bezbronny, w domowym ubraniu, z blaszaną konewką, podlewający klomb ogrodowych rumianków.

- Zademonstrowany typ przyczynia się do zacierania etnicznych konfliktów w Rosji - wyjaśniał Astros - łatwo rozpoznawalny w świecie, pomaga krajowi na antropologicznym poziomie wchodzić do światowej społeczności...

Bielosielcew odczuwał wstręt, obawiając się, że przenikliwy Astros to zauważy i on będzie spalony jako agent, który przeniknął do najświętszych miejsc przeciwnika.

Zatrzymali się w marmurowym holu, zmienionym w oranżerię z dzikimi orchideami, kosmatymi palmami, błyszczącymi oleandrami. Pośrodku oranżerii był basen, pływały w nim białe lilie, przemykały złote rybki i na promieniste liście papirusa siadały duże wielkookie ważki. Wydawało się, że zostały skonstruowane w optycznych laboratoriach Astrosa. Ich wypukłe, turkusowe, szmaragdowe i rubinowe oczy były miniaturowymi kamerami, śledzącymi jego, Bielosielcewa.

Wszystko, co pan widział i jeszcze wiele więcej możemy wykorzystać do zniszczenia Premiera. Wymierzmy w niego metafizyczny cios. - Astros zwracał się do Bielosielcewa, prawie nie zauważając stojących obok Greczysznikowa i Burawkowa. - Mam nadzieję, że pan pamięta, że wszystkie rozmowy o „wolności słowa”, o „niezawisłej polityce informacyjnej” to przykrywką dla parlamentarnych jełopów. My nie zajmujemy się informowaniem i rozrywką, my formujemy realność. Wraz z pojawieniem się nowych technologii nauczyliśmy się wpływać na „decyzyjne linie historii”. Zamykamy je na potrzebnej nam osobie, przekształcając ją w historycznego giganta. Albo odwrotnie, odrywamy „decyzyjne linie historii” od jakiego chcemy, znaczącego polityka, pozbawiając go pokarmu, robiąc z niego miernotę. Tak właśnie niedługo postąpimy z dziwacznym Bałwanem, który nie chce odejść z Kremla. Tak postąpimy ze śmiesznym Premierem, rozetrzemy go jak garstkę popiołu... Co pan powiedział? - odwrócił się do Greczysznikowa, chociaż ten milczał. - Premier ceni wsparcie decydentów?... Wyprawia generała Szeptuna zwykłym rejssem do Groznego?... Bez osłony lotniczej?... Czy z tym można cokolwiek zrobić?... Nie wiem, nie wiem - powiedział zamyślony. - Zobaczmy lepiej nasz teatr lalkowy!...

Rozdział trzynasty

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, strzeżone stalowymi kołowrotami i detektorami, przypominało pracownię krawiecką, atelier rzeźbiarza i laboratorium razem wzięte. Na deszczułkowatych warsztatach były rozrzucone barwne kawałki jedwabiu, aksamitu, złocistego brokatu, leżało mnóstwo nożyc, krawieckich szablonów i podusieczek, najeżonych igłami i szpilkami. Obok stały miski z gliną i gipsem, sterczały góry plasteliny, stygł elektryczny piec do wypalania. Na stołach stały kolby z roztworami w różnych kolorach, retorty z mętną cieczą i kryształkowym osadem, pincety, probówki, wymyślne aparaty, połączone krokodylkami i kielichami. Oddzielnie na półce, rozstawiony w nieprzypadkowym, specjalnie wybranym miejscu, ciągnął się szereg przedmiotów, których przeznaczenie tylko w przybliżeniu można było odgadnąć. Kilka kryształowych pryzmatów i piramid z zamkniętymi w przezroczystej głębi tęczkami. Zasuszone łapki ptaków, myszy i żab, a między nimi ludzka dłoń, obciążona czarną, wyschniętą skórą, z żółtymi paznokciami i kościstymi kłykciami. Stały lampki i świeczniki w kształcie wymyślnych hieroglifów, leżał wystrzępiony zwitek papirusa, zasmolona stara księga, w której na zatłuszczonych stronicach były kabalistyczne znaki, heraldyka tajnych związków, ciągnęły się rządki nieznanego druku, podobnego do pisma klinowego.

Pośród muzealnego chlamu ledwie widoczny, zakopany w stertach ścinków, schowany za retorty i kolby, znajdował się człowieczek, malutki, czarniawy, z wiśniowymi oczkami bystrego zwierzątka. Był karłem, siedział na krześle, nie sięgając nogami do ziemi. Zdradził go dźwięk nożyc, które wydawały się ogromne w jego kruchych, chwytliwych rękach, jednak sprawnie się nimi posługiwał, wycinając ze srebrnego brokatu zawinięty loczek.

- Poznajcie się - Maestro! - Astros zrobił gest, jakby pokazywał gościom maleńkiego tresowanego chomika. - Tworzy kukły, jak Pan Bóg

stworzył Adama, tchnąwszy w niego żywą duszę. - Człowieczek błyskał mądrymi oczkami - perełkami, pozwalając Astrosowi wychwalać się. Chociaż sam, naturalnie, wiedział o sobie znacznie więcej. - W tej skromnej pracowni szyjemy i kroimy politykę. Lepimy reputację liderów. Wypalamy w tyglu ich charaktery. Wydobywamy „kamień filozoficzny” historii. - Astros położył rękę na kryształowym pryzmacie. Drugą ręką nakrył książkę z magicznymi formułami. - Nasz kukielkowy program to nie farsa, nie polityczna satyra, nie zabawny spektakl marionetek, jak sądzą prości ludzie. To magia, misterium, tajemnica, stworzona na podstawie mistycznego porównania Obrazu i Praobrazu. Ich jednocześnie ekstrasensoryczne uderzenie łączy się z elektromagnetyczną falą telewizyjną i światu narzuca się obraz, według którego jest zmuszony działać. Jesteśmy dumni z tego, że udało się nam połączyć najnowsze osiągnięcia elektronicznej cywilizacji, przemysł rozrywkowy i starą czarnoksiężską wiedzę.

Bielosielcew i wcześniej domyślał się natury tych krótkich i ostrych przedstawień lalkowych.

- A teraz popatrzymy na kukielkowy zabawny ludek, który tak samo, jak my, rodzi się, żyje, umiera. Najpierw umiera kukła, a zaraz potem wyobrażany przez nią człowiek. - Astros smutnie uśmiechnął się, jak mędrzec, znający ziemskie początki i końce.

Bielosielcew usłyszał stuknięcie, jakby na podłogę z parapetu zeskoczył miękki kot. To karzełek zeskoczył z wysokiego krzesła i zwinnie pobiegł przed nimi na krzywych nóżkach.

Na długim warsztacie leżały rzędem lalki. Jedne miały zwrócone do góry zmartwiałe twarze, inne utknęły nosami w deskach, w wystrzępionych ubraniach, ze śladami sadzy i skałeczeń, poplamione jakimiś rdzawymi kroplami. W niektórych sterczały szpilki, inne miały naderwane nosy i uszy, jakby marionetki przebywały w zabawkowej sali tortur, gdzie je przypalano zabawkowymi lampami spawalniczymi, cięto zabawkowymi ostrzami, oblewano zabawkowym kwasem.

- To nasi nieboszczycy, których nie ma już ani na scenie, ani w polityce. Tak postanowił Maestro! - Astros opuścił rękę na kędzierzawą czuprynę karzełka, a ten w podzięcie otarł się o nogę gospodarza.

Wśród zniszczonych lalek Biełosielcew rozpoznał kilku członków Administracji Prezydenta, jeszcze niedawno błyskotliwych krasomówców, goszczących często na ekranach, a teraz już prawie zapomnianych, wrzuconych w niebyt. Tu była kukła ludowego Trybuna, który zbierał pod swoje sztandary tysiączne tłumy, wypełniał place płomiennymi przemowami przez megafon. Nad kukłą znęcano się, odcięto jej dłonie jak Che Guevarze, chluśnięto w twarz żrącym kwasem, ściągnięto z jednej nogi but, opaliwszy stopę i palce. Byli tu niedawni ministrowie, obaleni przez kryzysy rządowe. Attaché prasowy Prezydenta, sławny ze swoich sekretnych przygód miłosnych i jawnych wyjaśnień skandalicznych oświadczeń Bałwana.

Tu także, bez odzieży, całkiem goła, z maleńką kuleczką między nogami, leżała kukła Prokuratora.

Karzełek niedbale przerzucał nieboszczyków. Wybrał jedną marionetkę, przedstawiającą poprzedniego sprawozdawcę Dumy. Czarodziej obejrzał ją ze wszystkich stron. Stukając obcasikami, podbiegł do paleńska. Rzucił kukłę na nie ostygłe węgle. Zaczął co sił pracować starym miechem, rozdmuchując w węglach żar. Kukła zapłonęła i momentalnie spaliła się, zostawiając w powietrzu zapach palonych włosów i smażonego tłuszczu.

- No, a to nasz działający aktyw - powiedział Astros, odwracając się od ulatującej smużki dymu. - Dla nich jeszcze za wcześnie do pieca.

Nad warsztatem, przychepione na zgrabnych pętelkach, zwiesiwszy ręce i nogi, opuściwszy głowy na piersi, wisiały bożyszcza współczesnej polityki. Tu był obecny lider komunistów, którego twarz była wylepiona na podobieństwo kluski. Był Mer podobny do Fantomasa. Był znany młody demokrat, czarny i kędzierzawy jak pudel. Był Zariński, przypominający wyliniałą wiewiórkę. Był główny „jabłecznik” z maską

wiecznego nieudacznika. I obowiązkowo Bałwan, przedstawiony jako dobroduszny ruski dziad, głuchawy i niezłośliwy, dopuszczający pod swoim adresem żarty i kpiny. Pośród całej tej kolekcji wisiał i Premier. Ostro uchwycony przez rzeźbiarza, z napuchniętymi policzkami, bez podbródka, z babskimi, pozbawionymi woli ustami, z wystraszonymi, niedowierzającymi oczkami.

- Jaki bohater! - Astros dotknął kukły, a ona zahuśtała się na jedwabnej pętelce. - Przyjaciół wahabitów, mówisz?... Następca tronu?... Szeptuna do Czeczenii?... Bez lotniczego wsparcia?... Co powiesz, Maestro? - Zwrócił na karzełka ciężki wzrok. I ten nagle wyciągnął z mankietu długą szpilkę do krawata, ozdobioną dużym brylantem. Z siłą wbił ją w Premiera. Szpilka weszła jak w żywe ciało.

Na tej samej listwie, trochę dalej, wisiały nowe kukły, niedawno zrobione, ani razu jeszcze nie występujące w audycjach. Biełosielcew starał się poznać prototypy, ale twarze były niezbrane. Tylko w jednej niedokładnie można było odgadnąć ponownie wybranego gubernatora - prawdopodobnie tego, z którego gospodarze kukieł zamierali uczynić wpływową osobę.

Jeszcze dalej, na warsztacie, na specjalnym statywie, mieściła się świeżo ulepiona figura z plasteliny, która miała być podstawą do przyszłej lalki. Biełosielcew z roztargnieniem wpatrywał się w nią. I nagle, po łukach brwiowych, po wąskiej twarzy, po dużych ustach i twardym, trochę wysuniętym podbródku, wyraźnie poznał Wybrańca. Rzeźba była nieskończona, dookoła leżały kawałki plasteliny, dłuta i łopatka do szlifowania powierzchni.

- Ten fantom zjawiał się nie wiadomo skąd, zagadkowy, cichy. Kto nim kieruje? Dokąd prowadzi? Na jakim zakręcie drogi on zginie, tak jak i pojawił się? - Astros w zamyśleniu patrzył na Wybrańca. - Jak postąpimy, Maestro?

Karzełek podstawił wysoką ławkę. Wdrapał się na nią ze zwinnością wiewiórki. Wyciągnął po wybrańca maleńkie zręczne ręce. Zaczął wygłazdać, rozgrzewać, rozmiękczać. Przygadywał, przyśpiewywał, mamrotał niewyraźne zaklęcia.

Bielosielcew wystraszył się, że tajemnica Wybrańca zostanie odgadnięta. Ich sekretny związek i spisek wykryty. Cały doskonały „Projekt Suahili” będzie zgubiony. W impulsywnym porywie Bielosielcew zasłonił sobą Wybrańca. Przeniósł na plastelinową figurę swój wizerunek. Poczul ból w skroniach, czuł, jak ciśnienie w skroniach wysadza mu oczy, za uszami łamie, a w mózgu nabrzmiała, gotowa pęknąć, żyła. Karzelek przestał masować rzeźbę i zdziwiony spojrzal na niego.

- No cóż, panowie, na tym zakończymy wycieczkę - powiedział Astros, wyprowadzając ich z magicznej pracowni do oranżerii z orchidami i palmami. - Być może, macie rację.

- Astros spojrzal na Burawkowa, który usłużnie podał mu telefon komórkowy, jakby wiedząc, o czym magnat myśli. - Z tego można skorzystać...

Bielosielcew widział, jak poruszyły się jego różowe wargi, szepcząc numer telefonu, jak wypielegnowane palce uderzały w guziki, zmieniając je w świecące perełki.

- Arbi!... - radośnie zawołał Astros, usłyszawszy daleką odpowiedź. Kruchy aparat posłał w przestrzeń cieniusieńką igłę.

Igła przekłuła niebo nad równiną, przebiła przedgórza Kaukazu, odnalazła wśród skupiska osad i różnych głosów niezliczonych ludzi jednego jedyne go człowieka, którego potrzebował Astros. - Arbi, kochany, jak zdrowie?... Jak rodzina?... Jak biznes?... Twój ludzie przychodzili do mnie, prosili o pomoc... Pomogłem. Teraz jadę po Moskwie, widzę twoje stacje benzynowe, tylko w nich tankuję!... Twoja benzyna czysta jak łza dziecka!...

Astros zamilkł, przykładając do ucha małą słuchawkę, a daleki głos z kaukaskim akcentem coś żartobliwie odpowiadał.

- Między nami wszystko pół na pół, Arbi! Chleb po połowie, ropa po połowie, kobiety po połowie. Przecież jesteśmy braćmi, jak można inaczej?... Tu, widzisz, wykluwa się interesująca kombinacja... Tylko ty dasz radę... Prosiłem mnie o trzy miliony. Nie odmówiłem, ale nie miałem pod ręką wolnych... Teraz możesz otrzymać, a mnie przypadnie

jakiś procent z zysku. Jutro do Groznego zwykłym rejsem, bez ochrony, leci generał Szeptun... Ależ nie, on jest nieszkodliwy, ani razu do nikogo nie strzelał, on raczej na bankietach... Zdejmij go z samolotu, niech pobeǳie u ciebie w gościnie...

Bielosielcew jeszcze nie pojmował sensu tego, co usłyszał. Rozmowa, jak sądził, jego nie dotyczyła.

- Ty go, oczywiście, nie do sześciogwiazdkowego, ale i nie do ziemianki... Przyjmij według klasy biznesowej... Zażądaj okupu, około pięciu milionów... Na pewno otrzymasz. W przypadku powodzenia, dwa dla mnie za pomysł...

Nie można było zrozumieć, co odpowiada zza gór i rzek nieznanemu brodacz, siedzący na dywanach swojej sakli.

- Ja cię zawsze wesprę... W czasie wojny, kto cię wspierał, jak nie ja... I teraz pomogę, jak bratu... Przyślij kasetę z wziętym do niewoli generałem, zaraz puszcze w eter... Działaj w imię Allacha... Twoi ludzie mnie znajdą!...

Astros zgasił w telefonie garść pereł. Zwrócił aparat Burawkowowi.

- Będziemy działać, panowie!... Zawsze rad wam będę!...

Pożegnali się. Bielosielcew był wstrząśnięty. Stali przed szklaną bryłą centrum telewizyjnego.

- Czy my zajmujemy się handlem niewolnikami? - zapytał Bielosielcew.

- Szeptun nie będzie niewolnikiem - odpowiedział Burawkow. - On jest sybarytą, łakomczuchem. No, posiedzi kilka dni w areszcie domowym, bez koniaku i kobiet, a potem za wykazaną odwagę otrzyma Bohatera Rosji.

- Zatrzymanie Szeptuna przez Czeceńców rzuca cień na Premiera - przymilnie wyjaśnił Grieczysznikow, patrząc na Bielosielcewa oczami wychowawcy przedszkolaków. - To tylko małe delikatny rys w operacji jego usunięcia.

- Szeptun - nasz towarzysz, generał bojowy. Przekraczamy wszelką, również korporacyjną etykę. - Bielosielcew miał takie uczucie, jakby go z zawiązanymi oczami prowadzono po śliskiej krawędzi.

- Jaki on bojowy generał?! - zachichotał Burawkow. - Zrobił karierę, sprzedając Komitet do spraw Nadzwyczajnych i przeniósł się do Bałwana. Uczestniczył w szturmie na Dom Rad i nalegał na użycie czołgów. Siedząc w Moskwie dowodził nieudaną kampanią czeczeńską. Jest winien zagłady Majkopskiej brygady. W czasie działań bojowych ani razu nie wyjeżdżał do Czeczenii. To choć teraz niech się przespaceruje. Pozna przyrodę, ludzi. Tam, w oddziale Basajewa, są doskonali przewodnicy.

- Nie wszystkie środki są dobre do osiągnięcia celu - bezradnie powtarzał Biełosielcew, czując się złowionym w niewidzialną pajęczynę. Cała operacja, do której go wciągnięto, była osnuta niepokojącą tajemnicą. - Łamiemy niepisane prawa korporacyjnej etyki, i to nieuchronnie odbije się na rezultacie.

- Rozumiem cię, Wiktorze Andriejewiczu - miękko powiedział Grieczysznikow i na znak współczucia zamknął oczy. - Czym bliższa starość, tym dusza wrażliwsza na problemy etyki. Z wywiadowców, którzy poświęcili się służeniu Ojczyźnie, zmieniamy się w mędrców, nawiedzonych. Ale przypomnij sobie innego - Grieczysznikow gwałtownie otworzył oczy, a one, okrągłe, pomarańczowe, bezlitosne, bez zmrużenia, skierowały się na Biełosielcewa. - Wspomnij szosę transafrykańską - Kair - Capetown, resztki czerwonego forda, namibijskiego nauczyciela Piotra, tak podobnego do Sama Nuiomu, że postanowiłeś wykorzystać go jako przynętę. Wystawiłeś na atak „Miragea”, żeby potem zwabić w pułapkę batalion „Buffalo”. Cieszyłeś się, patrząc, jak dymią rozbite amerykańskie pancerniki, jak wałają się po poboczu spalone trupy autochtonów. Wtedy byłeś odważnym i zuchwałym wywiadowcą, działałeś w interesie Ojczyzny. Teraz wróg jest w naszym domu, świętuje i oddaje się rozpuście na Kremlu, a ciebie męczy sumienie jak prawdziwego mędrca i pokutnika bożego. Nie możesz pozwolić, żeby jeden z wrogów troszeczkę ucierpiał w procesie operacji specjalnej.

- Dla mnie ważne jest zrozumienie całości operacji - ze znużeniem, poddając się, powiedział Biełosielcew, nie wytrzymując wzroku

Grieczysznikowa. - Nic znam pełnego obrazu i nie rozumiem do końca swojej roli.

- Twoja rola jest kluczowa - wziął go pod rękę Grieczysznikow. - Bez ciebie operacja jest niemożliwa. W swoim czasie będziesz z nią całkowicie zapoznany. A teraz jedź do domu. Odpoczywaj, oglądaj telewizję. Oglądaj programy informacyjne.

Grieczysznikow podprowadził Biełosielcewa do samochodu. Otworzył przed nim drzwi. Pomógł wygodnie usiąść. Milcząc skinął szoferowi. I samochód powiózł Biełosielcewa obok centrum telewizyjnego, hrabiowskiego dworu i stawu, nad którym wznosi się betonowa wieża i szybują duchy spalonej historii.

Wrócił do domu, czując osłabienie, jakby z niego wypuszczono całą krew, padł bez sił na kanapę, twarzą do sufitu i zobaczył, jak z białej sztukaterii, prosto z żyrandola, patrzy na niego ciemnobrody nauczyciel Piotr - w niebieskiej rubaszce, wybranej przez oficera kubańskiego wywiadu, żeby bystre oczy obserwatorów zauważyły jego przemieszczanie się po transafrykańskiej drodze.

Biełosielcew odwrócił się od sufitu, zaczął patrzeć na szklane gabloty kolekcji. Na tamtą, gdzie były zebrane motyle Południowej Angoli, schwymane na serpentynie Lubango, w suchych zagajnikach Kunene. Spośród czerwonych nimfalid, szaroróżowych satyrów patrzyła twarz doktora Piotra. Milcząca i skupiona, utkana z kruchych skrzydełek i kolorowych ornamentów.

Biełosielcew podniósł się, poszedł do łazienki, wszedł pod prysznic, żeby zmyć diabelskie sztuczki. Stał pod szumiącym strumieniem, patrząc na chude, w wodnej błonie nogi. I z zamglonego lustra, ze zmatowiałej głębi, patrzyła brodata, brązowa twarz nauczyciela Piotra.

Nocą, we śnie mknął po gorących piaskach pustyni Namib, przedzierał się przez solniska Kalahari, tracił oddech od musztardowego pyłu, wdzierającego się do kabiny dżipa. Oglądał się, czy jedzie za nimi po leśnej drodze ciężarówka z dwulufową zenitką, broniąc ich przed atakami

z powietrza. Czy jest na miejscu automat, który upadł na żelazną podłogę. I czy jest tu Kubańczyk Aurelio, w którego manierce zachowała się ciepła, o metalicznym posmaku woda. Ale Aurelia nie było, a zamiast niego siedział nauczyciel Piotr w niebieskiej koszuli. Poprzez ażurowe liście akacji, zza słoniowych pni baobabów śledziły oczy obserwatorów.

Następnego dnia czuł się pusty i zmęczony, jakby istotnie maleńki krzywonogi czarodziej Astrosa zabrał mu duszę.

Bielosielcew wyszedł na Bulwar Twerski z uschniętymi drzewami, pod którymi przechodził niespieszny moskiewski lud, obok empirowych willi, starych koślawych dębów, niedużych rzeźb i ławek. Wśród przechodniów, zmieniających się, przenoszących obok swoje kapelusze, teczki i torebki, zapachy perfum i papierosów, fragmenty rozmów i śmiechu, ponownie pojawiał się Piotr. Majaczył w dali w niebieskiej rubaszce, założywszy za pasek szerokie dłonie, z opadającą na pierś brodą, podobny do afrykańskiego Lwa Tołstoja.

Jego pojawienie nie przstraszyło Bielosielcewa, tylko budziło niedowierzanie. Wydawało się, że Afrykańczyk istnieje w rzeczywistości. Jego wizerunek przeniósł się na Bulwar Twerski z drugiej połowy Ziemi przez system promieni, przełamujących pryzmat, obróconych powiększających szkieł. W tej przestrzeni znajduje się wielu innych ludzi, znanych Bielosielcewowi z jego wypraw i wędrówek, którzy zginęli za jego przyzwoleniem.

Tam stali poganiacze wielbłądów o ogorzałych czerwonych twarzach, chudzi, w białych chałatach, z dostojeństwem oczekujący śmierci, zanim strzelcy puścili porażającą serię i wtedy upadli, wszyscy w jedną stronę, złali się ze swoimi długimi cieniami. Tam była Włoszka, piękna kobieta, która zginęła na wietnamskim fugasie na drodze w Batambang. On stał w skwarze, przyglądając się lejowi po wybuchu, wspominając, jak dzień wcześniej wznosiła nad sobą czerpak z wodą, obnażała pachy, pierś jej falowała, a w różowej okrągłości bioder wilgotniało czarne łono. Tam

był francuski agent Winjar, z którym siedzieli w kabulskim barze, pili whisky, a potem Francuz leżał martwy w celi Puli-Czarchi. Tam był czarnoskóry żołnierz Robertu, któremu podarował długopis, on pobiegł, żeby dogonić zostającą w tyle kolumnę i po ataku leżał na zaschniętej trawie z oczami pełnymi łez, a zielona mucha pełzła po jego martwej twarzy. Tam była pielęgniarka ze szpitala wojskowego, który rozbił namioty przy zielonym wulkanie San Cristobal, bezszelestnie wchodziła do niego do namiotu, a on obejmował w ciemności chłodne ciało, czując, jak nabrzmiewają jej sutki i rozpuszczone włosy zaczynają powoli sunąć po jego twarzy, a potem, na żółtej wodzie Rio Coco wiosłował ze wszystkich sił, kierując kanoe do brzegu, gdzie jeszcze trwała strzelanina, widząc, że zdarzyło się nieszczęście i stracił ją na zawsze.

Wieczorem włączył telewizor. Na ekranie widniała spikerka, prowadząca wiadomości. Awarie, katastrofy, płatne zabójstwa, zamieszki w więzieniach, epidemie dziecięcego zapalenia mózgu, a na zakończenie - informacja o święcie w żydowskim centrum kultury. Bielosielcew miał zamiar wyłączyć telewizor, żeby resztkę wieczoru spędzić na przeglądaniu dzienników i archiwów. Nagle dziennikarka znowu pojawiła się na ekranie, zdenerwowana, z płonącymi oczami. Taki wygląd jej twarzy pojawiał się w przypadku ekstremalnej i, z reguły, tragicznej wiadomości.

- Jak donosi korespondent ITAR TASS z Groznego, dziś na lotnisku imienia szejka Mansura po przylocie samolotu, lecącego rejssem Moskwa-Groznij, bezpośrednio z pomieszczenia pasażerskiego samolotu liniowego został porwany przez niezidentyfikowanych ludzi w maskach specjalny przedstawiciel Premiera Rosji generał Szeptun, który przybył do Groznego ze specjalną rządową misją. Ochronie lotniska nie udało się zatrzymać porywaczy, którzy razem z porwanym generałem odjechali dwoma samochodami w niewiadomym kierunku. W sprawie porwania organy Republiki Iczkeria, stojące na straży prawa, rozpoczęły dochodzenie...

Cały czas, póki spikerka odczytywała informację z ostatniej chwili, na ekranie była fotografia Szeptuna w generalskim mundurze - zadbane przystojna twarz ze wspaniałymi włosami i śmiejącymi, z lekka wytrzeszczonymi oczami.

Fotografia znikła, a zdenerwowany, niespokojny głos spikerki brzmiał nadal:

- Nasz korespondent zadał pytanie Premierowi na ceremonii poświęcenia kaplicy, wzniesionej przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych na pamiątkę ofiar czeczeńskiej wojny...

Kamera pokazała znajomą nabrzmiałą twarz Premiera, na której ze zmartwienia wystąpiła nerwowa egzema.

- Ta oburzająca prowokacja nie pozostanie bez odpowiedzi... Podkreślam - bez zdecydowanej odpowiedzi... Wykorzystamy wszystkie nasze wpływy na prezydenta Maschadowa, całe doświadczenie pracy wywiadowczej, żeby uwolnić bojowego towarzysza z rąk porywaczy... Myślę, że to problem trzech-czterech dni, nie więcej... Dla mnie to problem czci oficerskiej, sprawa całej mojej politycznej i wojskowej kariery...

Twarz Premiera znikła, wiadomości zakończyły się. Ukazała się duża reklama gumy do żucia, wody toaletowej, damskich podpasek, czekoladowych batoników, pasty do zębów, piosenkarza pederasty Leontjewa, podagrycznej Ałły Pugaczowej, starowinki Gurczenko, pretensjonalnej jak dziewczyna z baletu, i jakiegoś nowego środka przeciw poceniu.

Bielosielcew siedział przed zgaszonym ekranem, starając się zrozumieć sens operacji, do której został wciągnięty. Kreślił linię wydarzeń od polowania na losia, gdzie dowiedział się o zamiarze usunięcia Premiera - do Georgijewskiej Komnaty na Kremlu, gdzie Premier, przeczytawszy jego notatkę, niepowstrzymanie chwalił wahabitów. Od bankietu, na którym Premier lekkomyślnie poinformował o podróży Szeptuna do Groznego - do telefonu Astrosa do nieznanego Czeceńca Arbiego, przekazującego informację o samolotowym rejsie Szeptuna. Linia, którą poprowadził, przechodziła przez sympatyczną spikerkę z drapieżnymi usteczkami, powiadamiającą o porwaniu generała, wbiła się w

nabrzmiałą szczękę Premiera, na której ze zmartwienia wystąpiła nerwowa wysypka.

Chodził po mieszkaniu, kreśląc wymyślne pętle między stolikami i półkami. Starał się skierować wzrok w ciemną mglistą przyszłość, czego jeszcze do niedawna nie potrafił. I przeraził się.

Umiejętnym splotem podstępów los Premiera był zależny od jeńca Szeptuna. Jeśli końcowy cel operacji miał prowadzić do usunięcia Premiera, to Szeptun nie mógł powrócić z niewoli. Był skazany na zagładę. Publiczna przysięga Premiera - uwolnić go w ciągu kilku dni - tylko przybliżyła dzień jego śmierci. Śmierć generała była tylko małym epizodem, za którym następowały inne, jeszcze okrutniejsze dla wielu niewygodnych ludzi, powodując lawinę klęsk. Pod ruinami własnych opinii ginęli silni świata tego, a w szczelinach, wśród wyrw i osuwisk, otwierała się wąska ścieżka, po której, kruchy i zgrabny, prawie nie dotykając ziemi, szedł Wybrańiec.

Bielosielcew wpadł w panikę. Nagle postanowił, że powinien niezwłocznie spotkać się z Premierem, uprzedzić go o planowanym wkrótce obaleniu, o grożącej Szeptunowi śmierci. Pomóc, jeśli jeszcze nie jest za późno, uratować generała.. Albo pójść do Grieczysznikowa i wymóc na nim przedstawienie pełnego planu operacji, gdyż nie zamierza grać na ślepo. Albo stanąć przed Wybrańcem, w jego gabinecie na Łubiance i zapytać, czy on wie, za jaką cenę prowadzą go do władzy. Czy śmierć Szeptuna nie odbije się na jego przyszłej władzy. Czy nie pojawi się krwawa plama na jego dłoni, kiedy będzie składał przysięgę na Konstytucję. Ani jedno działanie nie wydawało mu się ratunkiem, było naiwne, niegodne agenta. Przed czasem wykluczało go z gry, pozbawiało możliwości śledzenia sytuacji.

Przed nocą rozległ się dzwonek telefonu.

- Nie mogłeś nie wiedzieć, jak Premier przysięgał na honor rosyjskiego oficera. - Grieczysznikow chichotał, czy to z Premiera, czy to z Bielosielcewa, którego cierpienia i męczarnie były mu znane. - I tak jest zawsze, naczelnicy przysięgają, a dotrzymywać przysięg pomagamy my,

mali świata tego. Ja i ty musimy wyciągać pechowego Szeptuna, z czeczeńskich lochów przywrócić na bankietowe salony, do kryształowych pucharów i pięknych kobiet, na które bardzo lubi polować. - Nie widząc twarzy Grieczysznikowa, Biełosielcew wiedział, że jest ona teraz dobroduszną. Można było na niej odczytać, że kłopoty, które ich czekają, choćby i brzemiennie, ale nieuniknione, wynikają z honorowego kodeksu oficera. - Mam do ciebie prośbę, Wiktorze Andriejewiczu, odwiedź jutro jeden zakład. Oto adresik. - Podyktował ulicę i numer domu w rejonie Sadowej. - Znajdziesz tam młodego Czeczeńca, Wachida Zairbekowa, nawiasem mówiąc, on, zdaje się, skończył Oksford. Porozmawiasz z nim na interesujący nas temat. A kto, jak nie ty!... Przecież ty jesteś specjalistą od Wschodu... Potem bardzo proszę do mnie, do „Fundacji”, na plac Czerwony. Tam wszystko omówimy...

W słuchawce rozległ się sygnał. Twarz nauczyciela Piotra, zabitego na granicy z Namibią. Niebieska rubaszka, szpiczasta tołstojowska broda, fioletowe wytrzeszczone oczy.

Rozdział czternasty

Odnalazł dom w sąsiedztwie Sadowej, który, jak i wiele innych podobnych, pomalowany na błady liliowy kolor z delikatnymi liniami kolumn i frontonów, tworzył małą, dobrze wyposażoną twierdzę z elektrycznym alarmem, opancerzony kamerami, milczącymi uzbrojonymi strażnikami, którzy powitali Biełosielcewa płomiennymi, prawie nienawistnymi spojrzeniami czarnych podejrzliwych oczu. Ich kaukaskie twarze dziwnie i groźnie wyglądały w empirowym przedpokoju, gdzie niegdyś rozbierali się dobroduszni moskiewscy panowie, a teraz stali na posterunkach zgrabni smągłolicy górale, jakby z tego moskiewskiego domu podziemny korytarz prowadził prosto do wąwozu Argun.

Wachid Zairbekow, do którego został skierowany Bielosielcew, okazał się młodym Czeceńcem o delikatnych rysach, z czarnymi zrosniętymi brwiami, wesołym i mądrym spojrzeniem i wspaniałymi manierami, z którymi się nie rodzą, ale z talentem opanowują je w procesie europejskiego wykształcenia. Podał Bielosielcewowi wytworną wizytówkę z hologramem, mieniącym się jak kropla rosy. Z wizytówki wynikało, że jej właściciel jest dyrektorem jakiejś fundacji, kandydatem nauk prawnych, honorowym członkiem międzynarodowego stowarzyszenia. Uprzejmym gestem wskazał Bielosielcewowi wygodny fotel i służąca, wąska w talii, bezgłośnie stąpając ze spuszczoneymi płomiennymi oczami, podobna do lermontowskiej Beli, wniosła tacę z malowanym porcelanowym czajnikiem, z maleńkimi czarkami, miseczkami z rodzynkami, orzeszkami i cukrem. Pachniało Wschodem, pachniało klasyczną rosyjską literaturą i śmiertelnym niebezpieczeństwem. I to wszystko razem przywróciło Bielosielcewowi dawną czujność i żywą, jak u gospodarza, uprzejmość, która skrywała czujność zawodowca, znajdującego się na terenie wroga.

- Cieszę się, że mogę pana poznać, Wiktorze Andriejewiczu - z prostoduszną otwartością i szczodłą przychylnością silnego i wielkiego kombinatora powiedział Wachid. - Znam pana zaocznie, czytałem pana prace o problemach Afganistanu i Afryki, dużo słyszałem o pańskiej działalności na Kaukazie. I oto teraz mam zaszczyt osobiście wyrazić panu mój szacunek.

- Wszystko to było dawno temu - lekceważącym i zmęczonym gestem Bielosielcew odżegnał się od wspomnień przeszłości, wolał widzieć siebie jako samotnego, zmęczonego życiowymi troskami człowieka. Pomyślał przy tym: Czeceńiec przygotował się do spotkania, zbierał o nim informacje. Otwartością zachowania, swobodnymi, wytwornymi manierami całkowicie nadawał się do roli rezydenta czeceńskiego wywiadu, który uwił wygodne gniazdko pod osłoną mało znanej fundacji.

- Po raz pierwszy przeczytałem pana prace o rosyjskiej polityce w Afganistanie i Azji Środkowej studiując w Oksfordzie. Mój profesor

wysoko je cenił. - Wachid pokazał Bielosielcewowi zakres swoich intelektualnych możliwości, proponując prowadzenie rozmowy wykraczającej poza granice powodu, dla którego się spotkali.

- Wygłosiłem kilka wykładów w Oksfordzie. - Bielosielcew smutnie się uśmiechnął, jakby z zalem wspominał te czasy, kiedy był znany i zapraszany. Przy tym zauważył: Czeczeniec, który skończył Oksford, mógł być agentem angielskiego wywiadu, najlepszego i skutecznego w rejonie Kaukazu.

- Pan dawno nie był w Dagestanie? Wiem, że pan przyjaźnił się z Ismailem Chodżajewem. Teraz jest on bardzo ważną, powiedziałbym, kluczową figurą, od której, być może, zależy los regionu. - Wachid mówił otwarcie, nie odbiegając od tematu, dając Bielosielcewowi do zrozumienia, że jest przezroczysty dla mądrych obserwatorów, do których Czeczeniec zaliczał siebie. - Też jestem z nim w dobrych stosunkach.

- Dawno go nie widziałem - obojętnie odpowiedział Bielosielcew, pokazując Czeczeńcowi, że delikatny sygnał, oznaczający początek werbunku, został przyjęty i Czeczeniec może kontynuować swój niewyszukany taniec.

- Rosjanie dziwnie się zachowują w Dagestanie, jakby nie zauważali, że republika zaczyna się gotować. - Wachid wypowiedział te słowa zadumany, rozmyślając na głos, ze zdziwieniem i smutną sympatią do niemądrych Rosjan. - Premier sławi wahabitów, przy tym z republiki wyprowadza się wojska, zdejmuje się blokady na granicy z Czeczenią, jakby Basajewa i Chattaba zapraszano do wtargnięcia. Czyżby Moskwa pogodziła się z utratą Dagestanu? Z utratą Morza Kaspijskiego, Kaukazu?

- Ma pan rację, Rosja nie ma polityki kaukaskiej - ospale zgodził się Bielosielcew, maskując melancholijnym skinieniem swoje silne zainteresowanie Czeczeńcem, który, jak się wydawało, czytał w jego myślach, był wtajemniczony w jego rozmowy z przyjaciółmi, mógł być elementem tajnej gry Grecyzysznikowa, nieznaną częścią „Projektu Suahili”.

- Rosjanie zastraszająco osłabli jako nacja. Utracili wolę państwową. Mężczyźni nie chcą walczyć, kobiety nie chcą rodzić. Polityką rządzą Żydzi, których utrzymuje Ameryka. Cerkwi jest obojętny los narodu. Liderzy partii patriotycznych przypominają rośliny pokojowe. Chory Prezydent - to marionetka w rękach awanturników. Premier zrobiony z pluszu jak chińska zabawka. Ja cierpię za Rosję i Rosjan. - Po wąskiej, smagłej twarzy Czeczeńca, starającego się wyrazić współczucie, niechęcy przemknęła odraza. Natychmiast zatrwożył się, czy tego grymasu nie zauważył Biełosielcew, zakrył twarz szczupłą dłonią, pocierając giętkim palcem ze srebrnym muzułmańskim pierścieniem nasadę nosa.

- Cechą Rosji jest czasami przeżywanie upadku - powiedział Biełosielcew, czyniąc wrażenie, że nie da się wciągnąć w dyskusję, ale i nie ucieka od niej ostatecznie. Czeczeniec pragnął sporu, żeby w jego burzliwym nurcie, przy wymianie opinii, znaleźć u Biełosielcewa odsłonięte, niebronione miejsce i nawiązać z nim niewidoczny emocjonalny kontakt.

- Nie jestem zwolennikiem wojny. - Wachid położył dłoń na sercu, pragnąc absolutnego zaufania do siebie, okazując całym wyglądem, że dyskusja już się zaczęła i obaj namiętnie ją prowadzą z maksymalną szczerością i wzajemną sympatią. - Ale trzeba przyznać, że zwycięstwo Czeczeńców w wojnie z Rosją i faktyczne oddzielenie Iczkerii od Moskwy stały się możliwe dzięki pełnemu pasji zrywowi, jaki przeżywa czeczeński naród. My wreszcie poczuliśmy swój Kosmos, swój mesjanizm, swoją narodową i religijną istotę. Mamy samodzielne państwo, mamy pieniądze, mamy żołnierzy, gotowych ponieść ofiary za islam, jest młoda inteligencja, zdolna opanować ultranowoczesne osiągnięcia cywilizacji, i jest nadrzędne zadanie - stworzyć nowy wolny Kaukaz jako samodzielne centrum światowego rozwoju.

- Kaukaz nie jest centrum, a promieniem. Nie stolicą świata, a drogą do niej - nie reagując na emocjonalny wybuch Czeczeńca ostrożnie zauważył Biełosielcew.

- Znak wygasania narodu - to brak wodza. - Wachid chciał rozpalić rozmowę, podnieść ją do poziomu metafizyki, wykazać przed Biełosielcewem, że jest równym partnerem, a jednocześnie podjudzić go, by się przestał bronić, żeby zrobił nieostrożną uwagę. - Współczesne narody nie mają przywódców, a najemnych służących, którzy w rangach prezydentów decydują o rutynowej polityce, tak odległej od czynów Mahometa czy Mojżesza, którzy ratowali swoje narody od wyginięcia. Dzisiaj, być może, ostatnimi na świecie przywódcami są Arafat, Odżałan i Maschadow. Nie widzę przywódcy u Rosjan, nie widzę wybrańca.

- Rozpaczliwe położenie narodu rosyjskiego przesądza konieczność pojawienia się przywódcy - spokojnie, prawie sennie odparł Biełosielcew, chociaż serce jego przy słowie „wybrańca” drgnęło i głośno zabiło.

- Nawiasem mówiąc, jak pan ocenia obecnego dyrektora FSB? Tak niewiele o nim wiadomo?

To była bezpośrednia propozycja dla Biełosielcewa, by mu ufał. Wskazanie, że i on, Wachid, włączony jest do „Projektu Suahili”. Jest jednym z jego odgałęzień. I niejasne było tylko, czy całkowicie należy on do projektu, jako że, podobnie jak Biełosielcew, prowadzi samodzielny wywiad i poszukiwania.

- On pojawił się z mroku, gdzie wywiad trzyma swoich wybitnych. I ukryje się z powrotem w mroku, jeśli tego zechce wywiad. - Biełosielcew wykręcił się nic nie znaczącym zdaniem, nie dopuszczając blisko siebie ekspansywnego, wyrafinowanego Czeceńca. Chciał tylko wykryć linię, łączącą oksfordzkiego górala z Astrosem, który wydał Szeptuna w ręce Arbiego, i z Grieczysznikowem, któremu podobało się wysłać jego, Biełosielcewa, na rozmowy z rezydentem Czeceńców.

- Historia z generałem Szeptunem jest bardzo przykra. - Oczy Wachida stały się okrągłe, czarno-złote pod zrosniętymi brwiami, jak oczy jasnowidza, umiejącego czytać w ludzkich myślach. - Arbim Barajewem nie można kierować. Na niego nie ma sposobów nawet Szamil Basajew.

Ale my pomożemy rosyjskim kolegom, tym z nich, którzy mają zasługi dla narodu czeczeńskiego. Proszę, niech pan przekaże panu Grieczysznikowi kasetę, na której, moim zdaniem, generał Szeptun potwierdza, że jest żywy i zdrowy. Proszę się kłaniać panu Astrosowi. Czasami jego telewizja pokazuje programy wątpliwe z punktu widzenia wartości islamskich, ale jego wkład w naszą walkę jest kolosalny i odnosimy się do niego jak do brata. - Wachid odszedł do stołu, wziął wideokasetę, włożył ją do papierowej koperty. Wrócił i podał Biełosielcewowi. - Teraz zaczniemy się widywać, czyż nie tak? Mam nadzieję, że nie odmówi mi pan przyjemności zjedzenia kolacji w pana towarzystwie?

- Miło mi było poznać pana. - Biełosielcew przyjął kasetę, z przyjemnością wpatrując się w gęste brwi, przechodzące nad oczami Czeceńca ciągłą linią czarnego futra. - Wiem, jak pana znaleźć.

I opuścił małą wojskową twierdzę w centrum Moskwy, zamaskowaną empirowym domkiem. Niósł kasetę i wizytówkę, na której drogocennie mieniła się holograficzna kropelka.

Zgodnie z nakazem wybrał się do „Fundacji” na plac Czerwony i kiedy podchodził do wejścia, cerkiew Wasyla Błogosławionego, jak ciężki bukiet, nachyliła swoje głowy, sypała na niego płatki więdnących georginii, piwonii, słoneczników. W gabinecie, do którego wszedł, znajdowali się Kopiejko, Zariecki, Grieczysznikow. Wszyscy wpatrywali się niecierpliwie w niego, odstawiając kieliszki z koniakiem.

- Co przekazał nam ten wyznawca islamu z dyplomem angielskiego bakałarza? - Grieczysznikow wyciągał do Biełosielcewa rękę. - Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że on brał udział w porwaniu Anglików z misji Czerwonego Krzyża, po czym ich głowy, podobne do ściętych ananasów, były wystawione na poboczu szosy Szali-Gudermes? On potajemnie prowadzi rozmowy z państwowymi strukturami, zajmującymi się handlem bronią. Za gotówkę kupuje dla Maschadowa granatniki i automaty. Niedawno zdobył dwa działa samobieżne, nowiutkie, prosto z fabryki. Tak więc, co on nam proponuje?

Bielosielcew wyjął kopertę z kasetą, przekazał Grecyzchnikowowi, a ten, odrzuciwszy kopertę, zwinnie wsunął kasetę w otwór magnetowidu, dmuchnął na szeroki ekran telewizora, usuwając nieistniejący pył.

Z początku po mlecznym ekranie przebiegły fale i pasy. Potem mignęły czarne zygzaki. Pojawiła się rozmyta panterka przechodzącego przed kamerą człowieka. Poruszyła się niewyraźna, nie trafiająca w środek, lufa automatu. I pojawiła się twarz generała Szeptuna, nabrzmiała, obrzękła, w siniakach i zadrapaniach. Jego wąsy, zwykle puszyste, suchowate, lśniące, teraz były oklapnięte, potargane jak klaki. Oczy, jeszcze niedawno radośnie suchwałe i błyszczące, patrzyły zaszcute, a pod każdym ciemniał krwawy naciek. Rozległ się czyjś nierozpoznawalny okrzyk, wargi generała poruszyły się i zaczął mówić:

- Jestem generał Szeptun, specjalny przedstawiciel Przewodniczącego Rządu Rosji. Jak widzicie, jestem żywy i zdrowy. Przebywam w normalnych warunkach. Do uwolnienia mnie potrzeba pięć milionów dolarów amerykańskich. Te pieniądze należy przekazać w ciągu pięciu dni. W przeciwnym wypadku... - generał zamilkł i błagalnym wzrokiem patrzył w kamerę. Znów za jego plecami rozległ się gniewny, nierozpoznawalny okrzyk i Szeptun ciągnął: - W przeciwnym wypadku rozstrzelają mnie...

Zamilkł, kamera jeszcze przez pewien czas była skierowana na jego nieszczęśliwą twarz, a potem prześlizgnęła się na zapaćkaną brudną ścianę, zdeptaną podłogę, na której stała blaszana miska, z której, jak pies, jadał jeniec.

Obraz zniknął.

- Cóż za piękno!... Jakaż transakcja!... Jakiż pierwszorzędny, oszłamiający interes!... - Zariecki poruszył się, zaczął się wiercić, z oburzenia nie wiedział, gdzie podziać ręce, szurał pod krzesłem długimi wąskimi butami. - Astros, sukinsyn!... Rasowy, wspaniały sukinsyn! Chciałem go zastrzelić... Już snajper wybrał pozycję, już była ustalona godzina, kiedy on wyjedzie z kasyna, ale w ostatniej chwili wycofałem się.

Zrozumiałem, że będzie mi nudno bez niego na tym świecie! Wiem, że on zamierzał mnie wysadzić w powietrze. Już podłożyli bombę pod mojego mercedesa, już na mojej drodze z nocnego klubu na daczę stali z granatami. Ale anonimowy telefon poinformował o pułapce i bombie, i cudem się uratowałem. Wiem, że Astros dał sygnał do odwrotu, dlatego, że rozumiał, jak mu będzie pusto beze mnie na tym świecie!...

Zariecki nerwowo stroił miny, przebierał nogami, potrząsał pochyłymi ramionami, jakby chciał przeleżeć przez niewidoczną wąską szczelinę, rzucić z siebie ciasną zbroję, precyzyjnie się w otwarty przypadkiem rozstęp, który może się zamknąć, ścisnąć i nigdy nie puścić.

- To prezent od losu! Przypadek, w który musimy koniecznie ingerować! Zróbcie z kasety dwie kopie!... Jedną jak najszybciej wyślijcie do Premiera! Niech ją zaraz obejrzy!... Powiedzcie, że to mój nakaz! I niech od razu dzwoni do mnie! Drugą kopię - do Astrosa! On ją szybko puści w eter!... Rozumie się, z niedawnym wątkiem, gdzie nasz pluszowy Premier przysięga na honor rosyjskiego oficera, że uwolni generała! To po prostu dar od losu!...

Przypominał teraz dużą, krzątającą się wiewiórkę, wydającą trwożliwe odgłosy. Wszystkie te grymasy i szurania, potrząsania głową i rękami, były środkiem, by wygrać upływający czas, którym chciał zawładnąć, puścić w ruch, osiągnąć maksymalną korzyść.

- On ma nadzieję dostać duże pieniądze za skórę generała. A po drodze zwalić Premiera, pchnąć na jego miejsce krzepkiego, jak patison, moskiewskiego Mera. Ale my go ogramy w pokera. Moja służba bezpieczeństwa jest silniejsza od jego służby bezpieczeństwa. Moje centrum analityczne jest mądrzejsze od jego centrum analitycznego. - Zariecki wesoło popatrzył na Kopiejkę.

Kaseta była powielona. Dwie jej kopie poszły do adresatów, jak rakiety nakierowane na dalekie cele. Z miejsca startu, spoglądając na zegar, czekali, kiedy rakiety osiągną cel i nadejdzie sygnał trafienia.

Czekając pili koniak, nadziewając na małe widelczyki plasterki cytryny, obtoczone w cukrze. Za każdym razem przed wypiciem Zaricki podnosił kieliszek do okna, jakby trącał się z soborem, który podstawił jedną po drugiej barwne czasze, wzorzyste rzeźbione naczynia, pękate wazy i puchary, napelnione alkoholem. W miarę jak wlewał w siebie rozweselający napój, robił się coraz bardziej dobroduszny, przystępniejszy. Oczy, utraciwszy złowieszczy liliowy płomień, przyjaźnie błyszczały.

- Na czym polega sens przedsięwzięcia... - zaczynał się zdradzać, pragnąc nagrodzić wiernych pomocników pięknym genialnym pomysłem. - Niewola Szeptuna, nie daj Bóg, jeśli coś nieładnego z nim się stanie, stawia Premiera na skraju katastrofy. I niech sobie stawia - ileż można być niedojdą, pluszowym kotem, bufonem, kluską, bezwładnym balonem!... Niechże nad nim zawisnie topór, gniew Bałwana, pogarda wojskowych. Niech poczuje zgrozę dymisji... - Zaricki skierował kieliszek do okna. - Astros, ledwie wyczuje, że Premier zachwiał się, skieruje Mera z pokłonem do Bałwana. Ten patison, mający nadzieję zostać głową Rządu, przeprosi Bałwana za wcześniejszą opozycję, wyda mu na znak oddania wszystkich sprzymierzeńców i przyjaciół, decydentów, bankierów i dziennikarzy. Kiedy zostanie sam, nie otrzyma Rządu. Wywołamy małą zwycięską wojnę w Dagestanie, który jest główną bolączką Bałwana. Ten nie wie, jak uśmierzyć wahabitów, płacze, oczekuje najgorszego. Z pomocą naszych przyjaciół-Czeczeńców sprowokujemy w Dagestanie mały konflikt. Premier poskromi powstańców, osiągnie szybkie i efektywne zwycięstwo. To będzie jego Tulon, jako że w skrytości uważa się za Bonapartego. Będzie to jego Arkolski most, gdzie on znowu zbrata się z decydentami, pozwoliwszy im zwyciężyć. Będzie znowu przychylny Kremłowi, umocni się na urzędzie Premiera, bezgranicznie zwiększy szansę na to, by zostać następcą Bałwana... Mam nadzieję, że mnie rozumiecie?...

Bielosielcewa przeraziła prostota zwiariowanego pomysłu, przypominającego fantazję maniaka. Był usatysfakcjonowany jako agent, że

przypadkiem odkrył ten pomysł. I dziwił się, jak nieprzerwanie realizuje się „Projekt Suahili”, wykorzystując rozłamy i pęknięcia w monolicie przeciwnika. Wróg wykańcza wroga, pieniądze zjadają pieniądze, energia pochłania energię, a w wolną przestrzeń, pokrytą popiołem wytopionych przeciwników, młodzieńczym lekkim krokiem, wstępuje Wybraniec.

Patrzyli na zegar, zgadując, na jakim odcinku trajektorii znajduje się rakietą i ile jej zostało do celu. Przenosili wzrok na kolorowe telefony, między którymi jeden, bez tarczy, biały jakby wyrzeźbiony z kości słoniowej, przeznaczony był do kontaktu z Premierem.

Kopiejko spod ciężkich, skórzanych powiek obserwował uniesionego pomysłem Zarieckiego.

- Mnie zawsze zdumiewały śmiałość i ryzyko pańskich projektów, zda się, niemożliwych, ale zawsze udających się. Pan ryzykuje i nigdy nie przegrywa!...

- Jestem graczem z przeznaczenia i z natury! - pochlebstwo podziało na Zarieckiego jak lekki narkotyk. - Grałem w naparstki, w pokera, w gry komputerowe, w ruletkę, na loteriach, studiowałem „teorię gier” i „teorię małych wojen”, i zawsze miałem satysfakcję z przebiegu gry, a nie z wygranej. Ta skłonność do niekończącej się gry i ryzyka w pewnych granicach uczyniła mnie pierwszym graczem Rosji. Wygrałem władzę, bogactwo, popularność, historyczny czas, który zapisze się moim imieniem, i dalej gram. W puli leży Rosja i mój główny przeciwnik - Astros. On chce przekształcić Rosję z jej prawosławiem, Lwem Tołstojem, marszałkiem Żukowem, syberyjskimi rzekami i brzozaami, w centrum żydowskiej cywilizacji i przeciwstawić Rosyjską Chazarię całemu światu. Ja zaś chcę włączyć Rosję w skład światowego imperium, gdzie ona w zgodzie zjednoczy się z innymi narodami w jedno światowe królestwo. Możliwe, że w tym celu będę musiał przeprowadzić dwie wielkie wojny, trzy małe lokalne konflikty, dziesiątkę państwowych przewrotów w republikach nadbałtyckich i republikach Środkowej Azji, ale wielki cel zostanie przeze mnie osiągnięty. Ogłoszę mój projekt, kiedy zmienimy

obecnego, niedołęznego Prezydenta i zmieni go człowiek, który zdolny jest wcielić moje plany. Jeśli taki się nie znajdzie, ja sam zostanę Prezydentem. - Zariecki wyciągnął kieliszek do okna, skąd naprzeciw niego wznosiła się wzorzysta czasza, pełna gorzkiego, na korzeniach i ziołach, napoju, którego rozgrzewający i korzenny zapach otoczył jego głowę nimbem. - Nowe tysiąclecie powitamy z nowym Prezydentem. Już pomyślałem o wielkiej, wszechświatowej uroczystości. Postawię tu, na placu Czerwonym, tysiąc oślepiających reflektorów, żeby blask był widoczny w całej Rosji. Pokryję kremlowskie ściany i wieże, kopuły cerkwi i soborów przejrzystym lodem, a one będą błyszczeć jak kryształowe. Zbuduję z lodu, też tutaj, na nabrzeżu, na mostach i na placu, nowojorski Empire State Building, paryską wieżę Eiffla, berliński Reichstag, londyńską Tower, rzymskie Koloseum, egipskie piramidy, hinduski Tadž Mahal, „Pałac Zimowy” chińskiego cesarza. Zbiorę chór z prawosławnych zakonników, luterańskich psalmistów, buddyjskich mnichów, islamskich mułłów, a oni wykonają „Hymn zjednoczonej ludzkości”, napisany przez największego z żyjących poetów... - Zariecki skierował kieliszek w stronę okna, a stamtąd sobór podał mu puchar.

Kopiejko patrzył na niego badawczo, nie mrugając. Biełosielcew pomyślał, że Zarieckiego bardzo szybko znajdą w więziennej celi z ostrzem w sercu, a ochroniarz w wyczyszczonych butach, z żółtą kaburą, rozkaże kryminalistom położyć go na brezentowe nosze.

Zadzwoił telefon. Zariecki podskoczył, chwycił słuchawkę, przestawiając aparat na głośną rozmowę.

- To straszne!... - zaczął zawodzić Premier z historyczną intonacją prowincjonalnego artysty. - Nieszczęsny Szeptun!... On taki czyścioszek, że przed jedzeniem przecierał serwetką łyżki i widelce... A teraz zmuszony jeść z psiej miski!

- Tylko pięć milionów i on znowu będzie przecierać widelce serwetką. - Zariecki zrobił śmieszoną minę, zachęcając obecnych do śmiechu z paniki Premiera.

- Skąd ja wezmę tyle pieniędzy?... Co mam zrobić?... Dałem oficerskie słowo honoru!

- Spróbuj znaleźć pieniądze w budżecie.

- Budżet dawno wyczerpany! Pozabudżetowe fundusze puste! Jeśli stracę choć kopiejkę, deputowani zaczną wyć!... Prezydent nie chce spierać się z Dumą!

- Masz wspierać wyjście. Jak u rosyjskiego oficera... Wydaj swoje osobiste. Za przyjaciół swoje... O ile się orientuję, na twoich kontach jest mniej więcej taka suma...

- A co mi zostanie na starość?... Nie mogę żyć z pensji... Dymisja może się zdarzyć każdego dnia, nawet jutro...

- Kto wie, może ci pomogę - Zariecki udał, że myśli. Przedłużał pauzę, a ku uciechu słuchających, stroił grymasy. - Być może, pomogę ci znaleźć pieniądze...

- Ratuj! Ty zawsze pomagałeś! Przecież jesteśmy przyjaciółmi!

- Ale za przysługę... Przeprowadzana jest aukcja dwóch pokładów ropy naftowej w Surgucie... Porozmawiaj z ministrem paliw, żeby one przypadły mnie.

- Obiecuję, ty je dostaniesz!

- Pieniądze na wykupienie generała dostanę jutro. Sami skontaktujemy się z Czeczeńcami, nie korzystając z usług Rządu.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem!... Ratujesz mnie od dymisji!...

- Mam doskonały pomysł, jak możesz uniknąć dymisji... jak możesz wygrać Tulon... I nałożyć trójkątny kapelusz!

Premier nie zrozumiał żartu, ale na wszelki wypadek roześmiał się. Zariecki odłożył słuchawkę.

- Puście jeszcze raz kasetę - poprosił Zariecki, sadowiąc się z kieliszkiem przed ekranem. - Jakoś raz zaprosił mnie Szeptun na dacy do sauny i wygrał ode mnie w karty piękną dziewczynę, mulatkę, prawdziwą „tropikalną”. I poszedł z nią na noc tarzać się w pościeli. A ja nie lubię przegrywać - powiedział, kiedy przez ekran przemknęła panterka, niewyraźna lufa automatu i pojawiła się opuchnięta, pobita twarz generała.

Zariecki wyciągnął kieliszek do ekranu, dotknął nim ust Szeptuna. - Łyknij, przyjacielu... Tobie to się przyda, dla odwagi - i zatrzęsł się w obłęsnym czkającym rechocie.

Bielosielcew wrócił do domu i poświęcił wieczór na skupione skrupulatne rozmyślenia. Rozjaśniający się obraz składał się z kilku barwnych pociągnięć pędzlem. Astros, przekazawszy Szeptuna Czeceńcom, bije w Premiera i przy tym próbuje zarobić na wykupie. Zariecki ratuje Premiera, wykupując nieszczęsnego jeńca, a przy tym szykuje wojenny konflikt w Dagestanie. Za oboma nienawidzonymi się magnatami stoją Burawkow i Kopiejko, zręcznie kierują konfliktem, a ich cel - poszczuć na siebie oligarchów, osłabić Premiera i w otwierający się wyłom przeprchnąć Wybrańca. W tym nowym pomysłe, bardziej okrutnym niż poprzedni, majaczył wojenny konflikt w Dagestanie. „Projekt Suahili” przypominał szereg włożonych jedna w drugą matryoszek, „amfiladę zła”, coraz bardziej wyrazistą w miarę zbliżania się do celu. I porażająca, ostra myśl: kim są oni, jego współtowarzysze walki, władający kolosalnymi środkami? Ile ludzi w służbach specjalnych, w Rządzie, w koncertach prasowych i bankach uczestniczy w tajnym spisku? Jaki jest jego końcowy cel? I jaką rolę w osiągnięciu celu ma odegrać on, Bielosielcew, zanim przestanie być potrzebny i o nim zapomną albo jako świadka strasznej tajemnicy zakopią na dnie leśnego jaru?

Rankiem zadzwonił Grieczysznikow. Wydał krótki suchy rozkaz:

- Przyjeżdżaj do sztabu Kopiejki. Swoją czarną wołgą. Ona się doskonale prezentuje na swoje lata i nie wywołuje niczego, prócz dobrotliwego uśmiechu.

Poruszał się po Moskwie swoją dobrotliwą limuzyną z wytartymi fotelami, w które powbijał się kurz podmoskiewskich dróg i popiół z wypalonych przez kobiety papierosów.

Oczekiwali go niecierpliwy, podniecony Zariecki, milczący Kopiejko i przymilny Grieczysznikow, który przechadzał się po dywanie, wydeptując czerwono-czarny wzór. Na dywanie, bok przy boku, stały dwa

błyszczące aluminiowe nesesery z cyfrowymi zamkami, z jednakowym kompletem pięciu cyfr.

- Tu jest pięć milionów dolarów dla Arbiego Barajewa za duszę lekomyślnego Szeptuna. - Zariecki obiema rękami zrobił w stronę walizek niezrozumiały gest. - Pańscy przyjaciele zdecydowali, że nikomu, prócz pana, nie można zlecić przekazania pieniędzy. Generał Szeptun powinien wiedzieć, komu zawdzięcza życie. Kiedy go odstawią do Moskwy i odmyją w bani, przyjdzie do pana z bukietem kwiatów.

Zariecki podśmiewał się, mrugał oczami:

- Szeptun nie jest wart połowy tych pieniędzy. Ale przecież sprawa nie w tym śmiesznym lubieżnym kogucie, który przed każdymi damskimi cyckami rozpościera pawie ogon i opowiada jedną i tę samą dwuznaczną anegdotę? W tych walizkach, jak w puszcze Pandory, ukrytych jest tyle przyszłych wydarzeń, że jeśli byśmy je teraz otworzyli, to znaleźlibyśmy się w innym kraju, w innej historii, przy innym Prezydencie. Jednak inni ludzie je otworzą!

- Ty, Wiktorze Andriejewiczu, odwieziesz pieniądze Wachidowi. - Grieczysznikow w dalszym ciągu wydeptywał w kółko ornament na dywanie. - Tam na ciebie czekają. Za tobą, na wszelki wypadek, pojedzie samochód z ochroną. Powiedz Wachidowi, niech odstawią Szeptuna z Groznego jutrzejszym rejssem. Jutro Premier występuje przed komisją decydentów i weteranami służb specjalnych. Szeptun pojawi się w sali podczas wystąpienia. To będzie triumf Premiera.

Dwóch milczących junaków pochwyciło walizki. Załadowali do bagażnika wołgi. Bielosielcew ruszył, zauważywszy w lusterku, że za nim, w pewnej odległości, ruszył wielki dżip z zaciemnionymi szybami.

Jechał ciasnymi ulicami, oczekując, że z zaułków wyskoczą milicyjne samochody z wyjącymi syrenami. Zagrodzą mu drogę. Szturmowcy w maskach wyciągną go zza kierownicy, otworzą bagażnik, aresztują razem z aluminiowymi walizkami. Rozumiał, że dokonuje czynu, który jeszcze ciaśniej i nierozzerwalnie wiązuje go z tajemniczym ugrupowaniem, kierującym polityczną machiną. Najmniejsza niedokładność

może kosztować go życie. Jeśli teraz skręci na posterunek milicji albo zadzwoni do wydziału kryminalnego, albo poinformuje o miejscu swego pobytu kontrwywiad, to może się zdarzyć, że z milicyjnego samochodu, który zjawi się na wezwanie, wyjdzie Grieczysznikow, a z brygadą kryminalną zwali się Kopiejko, w kabinie zaś sędziego śledczego kontrwywiadu spotka go obwisły, jak u pelikana, nos Burawkowa.

Szalona i miła była myśl, żeby zostawić walizki na brzegu chodnika, wyrwać się z ogromnego miasta, przemknąć okreśną drogą, ześlizgnąć się na szosę, oddalając się od śmiertelnego niebezpieczeństwa, i lecieć wśród zagajników, osad, coraz dalej i dalej, obok cerkwi, miasteczek, dopóki nie znajdzie się w głuszy, pośród błękitnych jezior Pskowa.

„On powiedział o puszcze Pandory... Co on miał na myśli?... Jaka przyszłość kryją w sobie aluminiowe nesesery, nabite pieniędzmi?... W jaką nową przestrzeń wiedzie „amfilada zła”? Dokąd zaprowadzi „Projekt Suahili”?” - te myśli odrzuciły próbę ucieczki. Powoli poruszał się w korku pod nadzorem lakierowanego katafalku, odbijającego obrazy jak czarne lustro. Prowadził wołgę, wtopioną w lodową krę, dryfującą od Smoleńskiej do mostu Krymskiego.

Przy znajomym liliowym domu z delikatną bielą kolumn i frontonów przywitali go smagłolicy górale, wprowadzili samochód na ciasne podwórko, gdzie szlacheckie empirowe stajnie przerobiono na garaże. Wachid, elegancki, w białej koszuli z muchą, stał na tylnym ganku.

- Miło mi pana widzieć, Wiktorze Andriejewiczu. Przyjemnie załatwiać z panem sprawy. Nie wątpię w pana punktualność. Proszę wejść.

Skinął na posługaczy, którzy wyciągnęli z bagażnika walizki i nieśli przez korytarze, przytulne salki, gdzie stały komputery, sejfy z elektronicznymi zamkami, siedzieli skupieni Czeceńcy, ciemnowłose piękności - sekretarki, trwało nieprzerwanie liczenie, cicho podzwaniały telefony, dźwięczała niegłośna czeceńska mowa.

Nie będę przeliczać pieniędzy. Jestem tylko pośrednikiem - powiedział Wachid, kiedy weszli do znajomego gabinetu i ochroniarze położyli walizki płasko na stole. - Nie wątpię w rzetelność ludzi, z którymi mi polecono prowadzić rozmowy. Tylko popatrzymy na zawartość. - Skinął i ochroniarz otworzył niezamknięte szafem walizki.

- Wszystko w porządku - uśmiechnął się Wachid, zatraskując walizki i odsyłając wzrokiem ochronę. - Gdyby pan wiedział, jak bardzo w porę przyszły te pieniądze - zwracał się do Biełosielcewa przyjaźnie, nie obawiając się, że szczerota będzie wykorzystana przez Biełosielcewa na jego szkodę. - Rosjanie wyobrażają sobie, że zdobyte przez Czeceńców pieniądze idą na budowę willi, na przedmioty luksusu, na zakup ziemi w Antalyi. To pomyłka. Dzisiejsi czeceńscy politycy są ascetami i purytanami. Nie możemy sobie pozwolić na wybudowanie nawet jednego nowego meczetu. Wszystkie pieniądze idą na zakup broni.

- Czyżby to była konieczność? - Biełosielcew opanował chwilowe zamroczenie. - Czeczenia jest nabita bronią.

- Wychodzimy z założenia, że nieuchronna jest nowa wojna z Rosją. - Wachid traktował Biełosielcewa jak przyjaciela, którego nie trzeba się obawiać. - Do tej wojny szykuje się Rosja, szykujemy się i my. Kaukaz robi się coraz rozleglejszym polem walki, które potrzebuje dużo broni. Kupujemy szpitale, artylerię, formujemy swoje lotnictwo. Tworzymy wzmocnione rejony w stolicy i w górskich wąwozach. Naród jest zmobilizowany i gotów do walki. Możliwe, że po raz pierwszy w całej swojej historii przyjęliśmy ideę mesjanizmu i przygotowujemy się do jej realizacji. Przekształcimy Kaukaz, jego wiarę i ideologię, geopolitykę i system państwowy. Czeceńcy przewodzą wśród kaukaskich narodów, a pozostałe narody uznają nasze pierwszeństwo.

- Nagromadzona przez dziesięciolecia energia może się bardzo szybko wyczerpać. Maschadow nie jest ani Napoleonem, ani Hitlerem. Nie uda mu się dojść do Moskwy. - Biełosielcew mimo woli kierował

rozmową tak, jak się kieruje strumieniem, usuwając z jego drogi małe przeszkody.

- On już doszedł do Moskwy - uśmiechnął się Czeczeniec. Nasza rozmowa z wami odbywa się nie w Gudermesie. Nasza diaspora rozprzestrzeniła się do Nachodki i Archangielska. Kontrolujemy dochodowe rosyjskie branże. Tak czy inaczej, władamy rosyjską ropą, złotem, diamentami, biznesem gier i, nie ma co ukrywać, dostawami narkotyków. Pieniądze, które otrzymujemy lub też tiumeńskie kopalnie albo diamentowe jakuckie rurki, idą do Czeczenii na zakup broni. Te pieniądze pozwalają nam mieć przyjaciół w Ministerstwie Obrony, w Rządzie, w wywiadzie, w rosyjskiej telewizji. Jednakże nasze z panem osobiste stosunki, Wiktorze Andriejewiczu, nie są zbudowane na merkantylnych interesach, a na korporacyjnym zmyśle agentów. - Wachid spokojnie patrzył na niego spod zrośniętych granatowoczarnych brwi, proponując ograniczoną szczerość, co było kończącym psychologicznym chwytym werbunku.

- Chce pan powiedzieć, że w przypadku wojennego konfliktu z Rosją nie będzie tyłów, starcia będą przechodzić po całej Transsyberyjskiej i czeczeńscy strzelcy będą działać we wszystkich dużych miastach?

- I na stacjach atomowych, i w podziemnych wyrzutniach rakiet, i w zakładach chemicznych. Rosyjska władza powinna o tym wiedzieć. Te pieniądze - Wachid wskazał na aluminiowe walizki - pójdą na stworzenie baz oporu. Ale nie w wąwozie Arguńskim, a w Stawropolu, Kazaniu, Moskwie. W istocie one są już stworzone. Jest załoga, są tajne składy materiału wybuchowego, są obiekty do wysadzenia. W przypadku nowej wojny na Kaukazie Rosja powinna być przygotowana na uderzenia w swoje najczulsze centra, do których zaliczają się świątynie, takie jak Spas Pokrowa na Nerli czy drewniana cerkiew w Kiżach.

Bielosielcew przestraszył się swej umiejętności przewidywania, bojąc się uświadomić ją sobie. On, agent, był na progu odkrycia. Mógł zostać posiadaczem bezcennej informacji, ale nie wiedział, komu ją przekazać.

Dookoła byli wrogowie i zdrajcy, a spisek, do którego został wciągnięty, wydawał mu się ogólnoswiatowym.

- Teraz, kiedy pańskie warunki zostały spełnione - Bielosielcew opanował się - strona, która mnie wysłała, prosi Arbiego Barajewa o powrót generała Szeptuna jutrzejszym rejssem z Groznego. Jego powrót powinien być zgrany w czasie z ważnym politycznym przedsięwzięciem i ma za zadanie rozładować napięcie w rosyjskim społeczeństwie.

- Oczywiście - zapewnił Czeczeniec - generał wróci jutro wieczorem... ja sam przekażę. Jeśli można, Wiktorze Andriejewiczu, pana wizytówkę...

Bielosielcew przekazał mu karteczkę jedną z ostatnich, jakie zachowały się z dawniejszych czasów. Zamazał telefon instytutu, gdzie kiedyś pracował, wpisał telefon domowy.

- Na pewno do pana zadzwonię. - Wachid odprowadzał go do wyjścia, zgrabny, elegancki, w jedwabnej koszuli z muchą.

Rozdział piętnasty

Odjeżdżał wołgą z pustym bagażnikiem. Na światłach obok niego zatrzymało się wiśniowe mitsubishi, szofer opuścił szybę, strząsał popiół z papierosa, popatrzył na niego, szczerząc w wilczym uśmiechu złote zęby. Bielosielcew wpadł w panikę - śledzili go, towarzyszyli mu. Tajemnica, którą posiadał, była śmiertelnie niebezpieczna. Czarny dżip z wielkimi szybami, ukrywający miotaczy granatów i snajperów, zniknął. Przekazał go małemu niebieskiemu żiguli, w którym siedział rudawy chłopaczek, wisiał amerykański proporczyk, bujała się prawosławna ikona. Pokręciwszy się w pobliżu, żigulonek zniknął, przekazał go pikapowi w kolorze kawy, którego prowadził nieogolony mężczyzna w czapce z daszkiem. Po pikapie przyczepił się do niego czerwony ford, kierowany przez kobietę o popielatych włosach. Nerwowo prowadziła samochód,

rozmawiała przez komórkę, gniewnie poruszała wymalowanymi ustami. Rzuciła na Biełosielcewa rozdrażnione spojrzenie, które wydało ją - ona prowadziła zewnętrzną obserwację, udając cywilną osobę. Oderwał się od niej, o mało co nie uderzywszy zderzakiem niezdarną gazelę. Naruszył przepisy, przekroczył linię ciągłą, zgrabnie wymknąwszy się mercedesowi, wypełnionemu agentami FSB. Zagłębił się w tunel, oszukując pracowników Głównej Komendy Milicji, którzy udawali wesołych Azerów w zniszczonym jaguarze. Ale wyskoczywszy z tunelu, dostrzegł na domu biały talerz anteny, która śledziła go, obracając się w jego stronę, przekazywała obraz na niewidoczny ekran. Gwałtownie zwiększył prędkość, uciekł od anteny, ale w dali na wysokim budynku pyszniła się biała kula, podobna do strusiego jaja. W niej znajdowało się urządzenie śledzące, przekazujące informację o nim do centrum śledczego, obserwator widział jego wystraszoną twarz. Był namierzony, otoczony. Prowadzili go, zabawiali się nim. Dokąd on by się nie rzucił, pozostawał w polu widzenia śledzących urządzeń antenowych.

„Stać się niewidzialnym... Wykorzystać technologię kosmiczną... Pokryć samochód materiałem odbijającym fale radiowe...” - tak myślał, usiłując uwolnić się od natarczywego strachu.

Przemieszczając się obok reklamowych tablic, na których proponowano skwierczące mięso wschodniej restauracji „Tamerlan”, wygraną w kasynie „Golden Palast”, perłowe pisuary firmy „La Monti”, koncerty Kirkorowa i malutkie przyszczate szkarady korporacji „B-Line”, Biełosielcew zobaczył skromną kartkę, informującą o wystawie artysty Pozdiejewa, geniusza syberyjskiego, zmarłego cichą śmiercią pośród namalowanych aniołów, kwiatów i ciał niebieskich. I już wkrótce był na walc Krymskim, zostawił samochód przy pustym wejściu, wchodził po kamiennych ciepłych schodach.

Sale, przez które szedł w poszukiwaniu wystawy, były puste, słoneczne, z wypłowiałymi drewnianymi deskami podłogi. W suchym ciepłym powietrzu pachniało sianem, wisały ulubione obrazy. Dziwił się, dlaczego nie ma ludzi, tylko na krzesłach siedzą staruszki obserwatorki.

Wszedł do sali Pozdiejewa, gdzie duszący zapach nasilił się. Zaczął od obrazów w prostych drewnianych ramach, na których stały w wazonach duże świeże kwiaty, patrzyły milczące zwierzęta z chronionych lasów, spozierały spokojne ciemnookie lica czy to świętych, czy też pogańskich bożków. Bielosielcew chodził od obrazu do obrazu, malowidła były coraz prostsze, pozbawione podobieństwa do portretów, z trudem odgadywało się ludzi, kwiaty i zwierzęta, a wszystko zmieniało się w ruch światła. Zatrzymał się przed wysokim obrazem, na którym migotały romby, trójkąty, koła, rozmieszczone w cudownej harmonii. W niebieską głębię, jakby w bryłę przezroczystego wiosennego lodu, wpadł i zamarł zamrożony słoneczny promień. Obraz nosił tytuł „Czasza” i był przedśmiertną pracą artysty, który oddalił się od świata i w nieustannych rozmyślaniach i pracach starał się pojąć sens bytu. Byt ukazał mu się jako równowaga mnóstwa światów i przestrzeni, w których centrum znajdował się przezroczysty kryształ. Tak Pozdiejew namalował Boga, który objawił mu się przed śmiercią.

Bielosielcew stał przed obrazem, zachwycał się i jednocześnie cierpiał. Obraz nie był mu obojętny, przyzywał, pobudzał do czynu. Patrzył na niego bez mrużenia oczu, z rozszerzonymi źrenicami, wstrzymując oddech. Obraz zaczął nagle falować, jak odbicie w wodzie, poruszanej lekkim wietrzykiem. Płótno przestało być sztywne. Otworzyła się w nim szczelina, ledwie widoczna szpara. I w tę wąską szczelinę, w to ucho igielne, spiesznie zrzucając śmiertelne ciało, zmieniając się w cieniuisieńki promyk, skierowała się dusza. Prześlizgnęła się w rozstęp, zostawiając opuszczone ciało, bezwładnie stojące na suchych deskach. W pierwszym swobodnym porywie wzniosł się nad Moskwą i zamarł w zachwycie, opierając się o powietrze, oglądając różowo-białe miasto, podobne do przekroju ogromnego drzewa, w kółkach, słojach, w promienistych żyłkach i liniach. W samym środku był Kreml, purpurowy,

złoty i dyszący, i jeśli przyrzeć się Moskwie, to to był Zbawiciel, wyhaftowany kolorowym jedwabiem na zielonym ręczniku podmoskiewskich pól i lasów.

Drugim szczęśliwym porywem uniósł się na północny zachód, nad pskowskie błękitne jeziora. Patrzył na nie z wysokości, widział mgliste sośniaki, błyszczący ślad łódki, czerwonego konia na łące, szary obłoczek lecących nisko szpaków.

Trzecim silnym porywem wznosił się w Kosmos, patrząc stamtąd na daleką Ziemię, podobną do żywego jajka, w którym coś się przelewało, pulsowało. Stamtąd do czarnego, usypanego gwiazdami nieba leciały dusze zmarłych, przejrzyste, jak pęczki kolorowych promieni. Jedna dusza przeleciała blisko niego, i to była kobieta, którą kiedyś kochał. Nie poznała go, uśmiechnęła się, a on patrzył, jak ona się oddala, przelewając się jak kropla rosy.

Bielosielcew stał przed obrazem, nie pojmując, co się z nim przed chwilą stało. Obserwatorka z szarą włóczką, trzymając na kolanach robotkę na drutach, dziwnie na niego patrzyła.

Wrócił do domu szczęśliwy i wierzący. Świat, w którym przebywał, na przeciwległych krańcach był pogrążony w okrucieństwo i chaos. Ale w miarę zbliżania do środka, robił się jaśniejszy i przejrzystszy. A tam, dokąd spieszyła dusza, znajdował się niebieski boski kryształ.

Rankiem obudził go dzwonek. W półśnie chwycił słuchawkę. Usłyszał głos Czeceńca Wachida, ledwie rozpoznawalny, bez oksfordzkich miękkich tonów, z kaukaskim szorstkim akcentem:

- Fałszywe!... Pan nas oszukał!... Czeceńca nie wolno oszukiwać!... Rosjanin nie rozumie języka przyjaźni!... Rosjanin rozumie język kuli!... Arbi powiedział, że za tę obelgę zapłaci pan krwią!...

- Nie rozumiem... Co się stało? - zaniepokoił się Bielosiellew. - Niech pan wyjaśni dokładnie, Wachidzie...

- Pan nas wystawił!... Pięć milionów fałszywych dolarów!... To oszustwo, zniewaga i drwina!... Czeceńcy nie przebaczą drwiny!... Ja nie odpowiadam za następstwa!...

- Wachid, proszę poczekać, trzeba się we wszystkim zorientować...
Ale w słuchawce już było słycać sygnał.

Zrozumiał, że stało się coś strasznego. I to straszne tkwiło w tym, że on, Biełosielcew, nie rozumiał natury otaczających go niebezpieczeństw. Chodził, działał, prznosił przedmioty, wsiadał do samochodu. Cieszył się myślą, że przenikliwie odgadywał bieg wydarzeń, wyprzedzał przeciwników, uprzedzał ich perfidne plany.

Spróbował zwrócić się do Grieczysznikowa, żeby wyjaśnić sens tego, co zaszło, ale tamtego nie było ani w domu, ani w „Fundacji”. Pojechał do biura Kopiejki, ale ochrona przy wejściu oschle wyjaśniła, że Kopiejko jest nieobecny i nie wiadomo, czy będzie dzisiaj. Próbował dodzwonić się do Zarieckiego na jeden z wielu telefonów, ale wszędzie na początku pytali go, kim jest, a potem oświadczaali, że Zariecki jest nieosiągalny.

Starał się zrozumieć, co się stało. Wspominał najdrobniejsze epizody ostatnich dni, które wydawały się nic nie znaczące i niepotrzebne, ale teraz powinny one wyjaśnić prawdziwy sens wydarzeń, wyjawic skrytą linię spisku.

Astros, pragnąc osłabić Premiera, wydał Szeptuna Czeceńcom, zamawiając dla siebie dolę z wykupu. Zariecki, odwieczny przeciwnik Astrosa, chcąc pomieszać mu szyki, podsunął fałszywe dolary. Starając się popchnąć Premiera do „małej wojny” w Dagestanie, skazał Szeptuna na stracenie. Tracił się z ekranem, na którym chybotala opuchnięta twarz z obwisłymi wásami. Nazwał walizki z dolarami „puszką Pandory”, skąd wyrwie się wojna, zniszczenie, śmierć.

Wszystko się mieszało i płałało. Biełosielcew krążył po mieście, nie znajdując sobie miejsca, i zdawało mu się, że zewsząd - z mglistego, posiekanego przewodami nieba, zza siatkowej Szuchowskiej Wieży, zza uniwersyteckiej złoconej iglicy, z reklamowej tablicy „La Monti”, ze słonecznej powierzchni rzeki - zewsząd wykrzywia gębę Zariecki.

Pod wieczór, nie znajdując żadnego z wiarołomnych towarzyszy, wybrał się na Łubiankę, gdzie w Domu Oficerów odbywało się spotkanie Premiera z weteranami służb specjalnych. W korytarzu było tłoczno i hałaśliwie. Migwały generalskie lampasy, lekko zmięte na starych, sowieckiego kroju, mundurach. Dorodni, okazali dyrektorzy koncernów i firm poznawali w sobie nawzajem byłych pułkowników zagranicznego wywiadu. Poważni, w drogich garniturach i krawatach, tylko wojskową postawą zdradzali poprzednią profesję. Biełosielcew spotykał się z byłymi kolegami, obejmowali się, wymieniali uściski rąk. Szukał wśród nich wsparcia, szukał możliwych sprzymierzeńców. Być może, ten oto generał, postrach dysydentów, autor pomysłowych kampanii w prasie, po których wolnomyśliciele, naoddychawszy się wiatrem Mordowii, byli wysyłani za granicę, wymieniani na agentów w niewoli. Generał był stary, żalosny, starał się być dziarski. Wielu z tych, których on kiedyś prześladował, zasiadało teraz w Prezydenckiej radzie, było ustawodawcami, szykanowało staruszka. Albo ten pułkownik zagranicznego wywiadu, który szkolił bojowników dla „Frontu Farabundo Marti”, uczył sandinistów, teraz, z modną fryzurą, w pastelowo-liliowym krawacie, wyciągnął do niego rękę udziałowca w ropie naftowej, frachtującego liberyjskie tankowce, zaopatrującego Kubę w wenezuelską ropę.

Wielu pamiętał z twarzy. Od wielu otrzymywał wskazówki. Wielu sam odprawiał na niebezpieczne bojowe zadania. Ale żaden z nich nie był godzien zaufania. Czas zmienił wszystkich, pozmieniał barwy. I wydawało mu się, że wszyscy mają na czole tajemny znak, że są włączeni do „Projektu Suahili”.

- Wiktor Andriejewicz, co za spotkanie!... - zatrzymał go szeroko-plecy siłacz w szarym luźnym garniturze. Biełosielcew potrzebował sekundy, by przypomnieć sobie, do kogo należy ta okrągła, o wystających kościach policzkowych twarz, włosy ni to siwe, ni to wypłowiłożółte, mądre, jasnyniebieskie oczy. Kadaczkin, pułkownik wywiadu wojskowego, z którym los go zetknął w Lubango. Twarz mu się prawie nie

zmieniła od tamtej pory. Wydawało się, że zachowała afrykańską opaleniznę, w fałdach jego marynarki jeszcze pozostał pył fioletowych trujących akacji, gdzieś w włosach kryły się drobinki czerwonej afrykańskiej ziemi. - Ileż to lat, ile zim!...

Uściskali się, i Bielosielcew pojął - oto komu może zaufać, oto kto może zostać współtowarzyszem, zapobiec nieszczęściu.

Chodzili tam i z powrotem po korytarzu, nie zwracając uwagi na tłoczących się weteranów, bezładnie i radośnie wspominali.

- A pamiętasz - Bielosielcew zwracał się do Kadaczkina na „ty”, chociaż prawdopodobnie w tamtych czasach byli na „pan” - pamiętasz, jak mnie uratowałeś, kiedy to ścierwo MacWillen chciał mnie złapać? Może anioł cię zesłał na ten odcinek drogi Lubango - Port Alexandra?...

- A pamiętasz, jak łowiłeś te swoje głupie motyle, a ja cię osłaniałem automatem? - wesoło podchwycił Kadaczkin, przyjmując to poufale „ty”. - Myślę sobie, no zaraz się pojawi wywiad Burów, a ja mam tylko jeden magazynek nabojów...

- A pamiętasz, jak wyciągnąłeś nas z Aurelio spod zatopionego pnia i przedzieraliśmy się na BTR-ze suchym korytem strumienia i słuchaliśmy, jak w sąsiedztwie jęczy ranny słoń?...

- Nie było w moim życiu nic piękniejszego, niż ta droga w Kunene, gdzie czekaliśmy na „Buffalo”, a ja nigdy nie widziałem tylu płonących naraz samochodów pancernych i wozów bojowych...

- A w moim życiu nie było nic lepszego od tej łaźni, gdzie twój chorąży bił mnie miotką z eukaliptusa, wybijając ze skóry całą trującą spaleniznę i sadzę...

- A pamiętasz Kubankę, z którą tańczyłem na werandzie, a ona rozpięła bluzkę i pokazała piersi?...

Nie, tego Bielosielcew nie pamiętał, to musiało być już nie przy nim. Ale radośnie kiwał głową, wyobrażając sobie, jak Kubanka, wypiwszy o jeden za dużo, kołysz biodrami, rozpina wojskową bluzę, uwalnia smagłe, błyszczące od potu piersi.

W westybulu zadzwieczał dzwonek, zapraszając uczestników spotkania do sali.

- Gdzie się teraz obracasz? - Bielosielcew nie miał ochoty rozstawać się ze starym towarzyszem. - Jak na chleb zarabiasz?

- A tak tam, byle czym. Eksport - import, sam wiesz - opędził się Kadaczkin.

- Musimy się spotkać, posiedzieć przy kieliszku. - Bielosielcew wyciągnął wizytówkę i już po drodze, niesiony przez tłum do sali, zapisał telefon domowy. - Zadzwoń, nie zwlekaj, będę czekał... - I rozstali się, zgubili w stukach krzeseł, w przestronnej sali z oświetloną sceną, na której ustawiono stół dla prezydium i stała staromodna trybuna z dębowym sowieckim herbem.

Jeszcze kilka minut rozlegał się gwar głosów, stopniowo narastała cisza, i na scenę wyszedł Premier. Za nim Wybraniec, elegancki i skromny, prawdopodobnie po raz pierwszy pojawił się publicznie w nowej roli dyrektora FSB. Następnie kilku młodych generałów, nieznanych Bielosielcewowi, z tych, co szybko awansowali podczas niekończących się czystek i przesunięć w służbach specjalnych. Pochód zamykał Grieczysznikow.

Obecni na widowni wstali, witając kierownictwo. Bielosielcew z pierwszych rzędów wpatrywał się w Premiera, owianego jakby lekką mgłą. Wybraniec był wyraźnie opanowany, lekko uśmiechał się, ale nie do sali, a do jakiejś swojej oderwanej myśli, która go zajmowała. Grieczysznikow był poważny, skoncentrowany, jak gdyby sprawował niewidoczne kierownictwo.

Udzielono głosu Premierowi, a on popisując się wojskową postawą, raźnie, twardym krokiem podszedł do trybuny i od razu chwycił szklanekę wody, ulegając przyzwyczajeniu mówcy.

Zaczął od przekazania pozdrowień od Prezydenta, który, według jego słów, wszystkie siły oddaje wzmocnieniu służb specjalnych.

- Jestem wojskowym i jestem gotów podporządkować się każdemu rozkazowi Rady Najwyższej. Ale muszę uczciwie powiedzieć, że wszystkie rozkazy, które otrzymuję jako generał i Premier, są przepelnione troską o powodzenie i potęgę Rosji...

Kilka pojedynczych braw było nagrodą dla niego.

Następnie mówiło o reformach, o trudnościach, które spotykają na swojej drodze:

- Demokracja - to kosztowna przyjemność, ale jesteśmy gotowi płacić za nią najwyższą cenę, ponieważ poza granicami demokracji znajduje się ślepa przemoc... - Liczni zrozumieli to jako aluzję do pogromu Parlamentu, i podziwiając jego śmiałość, aprobująco zaklaskali.

Przeszedł do omówienia problemów międzynarodowych.

- Dziś Rosja nie ma wrogów zewnętrznych, ale nie powiedziałbym, że nie ma zewnętrznych długów - utworzył kalambur, wesoło patrząc na salę, która nagroziła dowcip niegłośnym akceptującym śmiechem.

Wyczerpująco mówił o problemach wewnętrznych, podkreślając wagę spokoju i zgody wśród obywateli:

- Wszyscy tu jesteśmy „państwowymi ludźmi”, gotowymi złożyć głowy za Ojczyznę, ale śmiem twierdzić, że zły pokój z Czeczenią jest lepszy od dobrej wojny, i sprawa tutaj nie leży w statusie Iczkerii i nie w słabości Moskwy, a w tym, że przestali ginąć ludzie, a to jest najważniejsze... - sala milczała, ale Grecyzsznikow uderzył w dłonie i odpowiedziało mu kilka głośnych oklasków w różnych miejscach sali.

- Na potwierdzenie tego, co powiedziałem, chcę poinformować, że wysiłkami naszych kolegów, niektórzy z nich są tu, w tej sali, obecni, generał Szeptun, zatrzymany kilka dni temu w Czeczenii, dzisiaj wróci do Moskwy. Tak jak wam obiecałem, przysięgając na honor oficera. Oczekujemy na jego przybycie w tej sali. Poinformowano mnie, że szczęśliwie zszedł z trapu samolotu Groznyj-Moskwa. Taki oto jest, towarzysze, twórczy proces pokojowy!...

Sala radośnie zaklaskała, zachwycona uwolnieniem generała. Ludzie rozglądali się, czy nie pojawi się on gdzieś na widowni, czy nie wychodzi na scenę. Bielosielcew klaskał razem z innymi. Ciężar spadł mu z serca. Jego strachy i podejrzenia okazały się manią. Niecierpliwie oczekiwał przybycia generała, zamierzając przy spotkaniu uczynić aluzję do przyczyny

jego niedoli. Wyjaśnić mu, być może przy kieliszku koniaku, jaki udział miał on, Bielosielcew, w jego uwolnieniu.

- A teraz chcę zrobić prezent naszemu Domowi Oficerów. Chcę dać w podarunku porcelanowy wazon, wykonany przez mistrzów sowieckiej porcelany na dziesiątą rocznicę Ogólnorosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji do walki z Kontrrewolucją i Sabotażem. Niech to arcydzieło zajmie swoje honorowe miejsce w naszym Domu Oficerów jako relikwia naszej walki i naszych zwycięstw...

Odwrócił się do sceny. Pojawił się oficer w mundurze pułkownika. Niósł bez wysiłku wysokie kartonowe pudło w kolorowym papierze, przewiązane srebrzystą wstęgą, w którym ukryty był prezent. Uśmiechając się ze skrucą, trzymał w powietrzu ciężkie pudło, podczas gdy Premier niespiesznie, starannie rozwiązywał kokardę. Jak lekka żmijka wstążka ześlizgnęła się na podłogę. Za nią opadł kolorowy papier. Premier obiema rękoma pociągnął do góry wysokie wieczko i zdjął je, zwycięsko się uśmiechając. W rękach oficera na podstawce ukazała się odcięta głowa Szeptuna, z wywróconymi białkami, rudymi opadniętymi wąsami, półotwartymi w cierpieniu ustami. Sala jęknęła. Oficer, przerażony, upuścił podstawkę i głowa z głuchym stukiem upadła na scenę, kilkakrotnie przetoczyła się, przewróciła na ucho, ukazując sali zakrzepnięty strzęp szyi.

Bielosielcew na pół przytomny skierował się wraz z innymi na scenę, zdążywszy zauważyć pobladłą jak mączny chlebek twarz Premiera, beznamiętne oblicze Wybrańca, i Grieczysznikowa, którego oczy zaświeciły triumfującym blaskiem.

Półowa sali wdrapywała się na scenę, druga rzuciła się do drzwi. Ludzie opuszczali miejsca. Bielosielcew widział, jak wojskowi, nakrywszy odciętą głowę zerwanym ze stołu obrusem, wynoszą ją za scenę.

Rozdział szesnasty

Odczuwał swoje opuszczenie, swoje osamotnienie. Czuł swoją przypadkowość, zagubienie w świecie, dokąd go wpuszczono dawno temu, zaopatrzywszy w pouczenia z babcinych bajek, książkowych baśni i alegorii, komendanckich rozkazów, niejasnych przykazań biblijnych, a potem zostawiono na środku pustyni.

Siedział w gabinecie pod szklanymi gablotkami, w których zastygły liczne, osadzone na szpilkach, kolorowe szkielety martwych motyli.

Rankiem nękały go telefony, ale nie podnosił słuchawki. Kilkakrotnie dzwoniono do drzwi, ale nie podchodził, żeby się nie zdradzić skrzypieniem desek. Zza zasłony wyglądał na Bulwar Twerski i wydawało mu się, że pod drzewami, zaczynającymi powoli żółknąć, na zielonych łąkach, na udeptanych czerwonych alejkach, obserwują go i czekają na niego. Chciał wymknąć się z domu, ale nie było człowieka, do którego mógłby się udać. Kochanych i bliskich nie było już na świecie. Przyjaciele odeszli, a inni stali się wrogami. Kobiety, które kiedyś kochał, od dawna należały do innych, wychowywały dzieci i wnuki. Jedynym, którego nagle zapragnął zobaczyć, usłyszeć jego bezładną mowę, podobną do gaworzenia dziecka, był Nikołaj Nikołajewicz, rosyjski prorok, który siedział na balach, na brzegu rzeki i głosił odczytane z nurtu wody proctwa.

Bielosielcew z całą ostrożnością agenta wymknął się z domu. Oszukał niewidzialną „czujkę”, wykonując kilka pętli w zaułkach i podwórkach. Zapalił swoją zakurzoną limuzynę i pojechał na Pieczatniki.

Nie kluczył na przedmieściach, między jednakowymi wielopiętrowymi budynkami, a od razu wyjechał na przybrzeżne pustkowia, gdzie płynęła rzeka z daleką zieloną wyspą i zatopioną, przeżartą rdzą, łódką. Znajomy garaż był otwarty, stał w nim wysłużony, zablocony ford bez

blotników. Dalsza część garażu była zawieszona płóciennym materiałem. W głębi ciemnego, zabrudzonego smarem, kanału, przy świetle gołych żarówek pracowali Nikołaj Nikołajewicz i jego niezmienny pomocnik Sierioğa.

Bielosielcew podszedł, przywitał się, pochylił nad kanałem, starając się pochwycić spojrzenie Nikołaja Nikołajewicza. Ale tamten był schowany pod zardzewiałym podwoziem, widać było tylko jego ręce, oświetlone lampą, ściskające klucz do nakrętek, nabrzmiałe żyły, zadrapania, czarne brudne paznokcie - ręce robotnika, nieustannie naprawiające uszkodzenia zużytych mechanizmów. Za to jego towarzysza, Sierioğa, poznał Bielosielcewa.

- Wiktorze Andriejewiczu, dawno pana nie było!... A my tu z Nikołajem Nikołajewiczem forda do rozumu doprowadzamy!... Jeśli się nie rozleci, będzie jak nowy... Azerom sprzedamy, żyć będziemy!... - Pociągnął nosem, na którym widniał ślad oleju samochodowego. - Niech pan posiedzi na słoneczku, niedługo obiad... Nadzieđa Fiodorowna obiad ugotowała. - I znowu stary i młody zazgrzytali po podwoziu, nakładając klucze na rdzawe nakrętki.

Przy garażu, za żelazną ścianą, ułożone było palenisko z cegieł, dopalały się w nim polana, nad ogniem stała patelnia, a obok, na starych skrzynkach siedziała niemłoda kobieta w wypłowiałym ubraniu, leżała miękka sterta szmat, z której kobieta wyciągała skrawki i tasiemki, zwiąjała w kłębek. Bielosielcew podszedł, przysiadł obok, wdychając przyjemny zapach dymu i ognia.

- Dzień dobry. - Bielosielcew przybliżył się do kobiety. - Czy można posiedzieć z panią, dopóki Nikołaj Nikołajewicz pracuje?

- Niech pan siada - powiedziała kobieta.

Przysiadł na pieńku, spoglądając na jej szczupłą, bladą, jak u Nikołaja Nikołajewicza, twarz.

- Dobrze tu - powiedział, sadowiac się na pieńku. - Miasto, a człowiek czuje się jak na łonie przyrody.

- Dobrze - zgodziła się kobieta. - Dziękuję Nikołajowi Nikołajewiczowi, że pozwolił mi tu żyć. Teraz to mi jest dobrze.

- A skąd pani jest?

- Z Czeczenii. Uciekinierką jestem. Biegłam, biegłam i tutaj dobiegłam. Niech Bóg da zdrowie Nikołajowi Nikołajewiczowi. - Pochyliła się nad górką tkanin, w której poskręcały się i poplątały barwne szmatki. Zaczęła równiutko zwijać miękki kłębuszek.

- To ja chodnik utkać zamyśliłam. Może sprzedam, jedzenia kupię.

Bielosielcew siedział cicho na pieńku, owiewany przyjemnym dymem. W rzece odbijały się promienie słońca, delikatne jak przezroczyste wązki, które unosił wiatr. Kobieta cichym beznamiętnym głosem opowiadała swoją historię, zwój za zwojem nawijając ją na kłębuszek.

- Mieszkaliśmy w Groznym, za Sunżą, własny domek, ogródek. Mąż w fabryce pracował, ja wychowywałam córkę. Dokoła Czeczeńcy, Tatarzy, Chochły. Żyliśmy po sąsiedzku, przyjaźnie. Pomagaliśmy sobie wzajemnie. Czego u kogo nie było - soli, kartofli, pieniędzy - pożyczaliśmy. Jakieś święto, wszyscy razem. Czy Wielkanoc, Ramadan, Nowy Rok czy ich Nowruz. - przy jednym składkowym stole, prezenty sobie dawaliśmy. Córka moja, Wieroczka, z sąsiadów Ruslanem się przyjaźniła, do jednej szkoły chodzili. Bywało, pod oknami stanie z tornistrem: „Wiera, wychodź, przyszedłem!” Taki ładny, duże oczy, mnie ciocią Nadią nazywał...

Wydostała ze sterty jasnoniebieską lamówkę. Powoli owinęła na krzyż żółty gałganek.

- A potem, kiedy Gorbaczow nastał, jakby ktoś trucizny nalał. Jakaś zaraza poszła. Czeczeńcy nasrożyli się, z Rosjanami przestali się przyjaźnić. Nie witali się. Przejdziesz obok, oni ci w ślad wilkiem patrzą. Coś tam w swoim języku mamroczą.

„Wyście nas za Stalina gnębili, a my jeszcze was za to rozliczymy!” W szkole bójki były, Czeczeńcy z Rosjanami, jednego chłopaczka na śmierć zabili, nóż mu w płuca wsadzili. Nam kamieniami dwa razy okienko wybili, mąż znowu szklili. Rusłańczyk wyrósł na młodzieńca. Z innymi Czeczeńcami stoi na ulicy, rosyjskie dziewczyny różnie wyzywają.

Do Wieroczki przyczepiają się. Mąż ją ze szkoły odbierał, żeby nie obrażali. Jakies dookoła zepsucie poszło, nie wiadomo skąd. Płaczę do męża: „Chodź, Pietia, dom sprzedamy, do Rosji pojedziemy. Tutaj się ciężko zrobiło”. A on mi: „Ułoży się, przecierpimy”.

Pociągnęła czerwoną długą szmatkę, będącą niegdyś bawełnianą flagą. Wstążeczka wyblakła, poszła do kłębka, zagłębiła się w pstre barwy spopielonego życia.

- Raz przychodzi do nas Czeczeniec Mahmud, mieszkał na drugim końcu ulicy. „Lepiej dla was, żebyście wyjechali. Ja kupię wasz dom. Dużo pieniędzy nie mam, ale coś tam dam na drogę”. I podaje cenę taką, że na bilet ledwo starczy. Mąż pognął go: „Sumienia nie masz!... Ja, mówi, ten dom za swoją pracę zbudowałem!... Każde drzewko swoimi rękoma sadziłem!... A ty mnie wyganiasz!...” A Mahmud odpowiada: „Ty swoje drzewo w mojej ziemi sadziłeś. Wykopuj i do Rosji przesadzaj. Wyjeżdżaj po dobremu, a nie, to ze łzami wyjedziesz”. Pietia mój na niego nakrzyczał, przegnał, obiecał poskarżyć się prokuratorowi. A Mahmud jemu: „To wcześniej rosyjski prokurator tu był, a teraz Czeczeniec...”

Kobieta wy dostała zielony sprany skrawek, będący kiedyś podkoszulkiem żołnierza, służącego w zlikwidowanym pułku. Namotała na kłębek.

- Raz siedzimy z mężem przy kolacji, czekamy na córkę ze szkoły. Ona kończyła szkołę, chciała iść na uczelnię. Piękna, cera biała, policzki różowe, oczy niebieskie, włosy jak słoneczko złote. Rosyjska piękność. Wieczór, ciemno, a jej wciąż nie ma.

Denerwujemy się. Mąż mówi: „Nic takiego, pewnie z koleżankami do kina poleciała”. Wtem przybiega sąsiadka, Chochołka Halina: „Oj, mówi, Nadia, nieszczęście!... Wierę twoją jacyś Czeczeńcy złapali, do samochodu wciągnęli siłą i uprowadzili.

Ja tylko krzyk usłyszałam!”. Ja - zemdlałam. Mąż biegiem na milicję. Wysłali patrol, tam, siam, nie ma. Po całym mieście biegamy, Wiery szukamy. Rankiem z milicji do nas przychodzą, zabrali ze sobą. Na kamiennej posadzce leży nasza Wieroczka, martwa, czarna. Sponiewierali

ją, całą odzież porwali, a potem zabili. My do śledczego, do prokuratora chodziliśmy, prawdy szukaliśmy. Prokurator nam tylko powiedział: „Nie znajdziemy zabójców, a moja rada dla was - wyjeżdżajcie...” - Żyliśmy z Pietią jak w koszmarnym śnie. Po nocach nie śpimy, córki głos przywi-
duje się. Po mieście Czeceńcy się rozjeżdżają, ze strzelb palą, korowody wodzą. Gdzie Rosjan zobaczą, rzucają się. Dudajew grozi Moskwę szturmem wziąć, wszystkich Rosjan z Czeceńii wysiedlić. A potem do Groznego czołgi weszły. Strzelanina, huk. Już nie wiem, kto te czołgi na pewną śmierć posłał, wszystkie je zniszczyli, a czołgistów, którzy zostali żywi, na miejscu pod ścianą rozstrzelali. Jeden chłopaczek czołgista do naszego domu się przekradł. Zaczął błagać, byśmy go schowali. Młodziutki, ogolony, głowa przewiązana, ręka jak bicz, łzy płyną. My go z Pietią w piwnicy ukryliśmy. Ale sąsiad Czeceńiec wydał. Przychodzą z bronią: „Gdzie, mówią, u was rosyjska świnia się chowa?” Pietią mój odpowiada: „Nie ma tu świni, ludzie mieszkają”. „A to my zaraz zobaczymy!” Otworzyli piwnicę, wyciągnęli chłopaczka. Razem z moim Pietią na ganku rozstrzelali. Jak zaczęli miasto bombardować, zaczęły się pożary, dniem i nocą strzelanina. Do cerkwi poszłam, batiuszki nie ma, tylko staruszek-psalmista służy. Stałam przed obrazem Bogurodzicy i modłę się: „Orędowniczko, Królowo Niebieska, zetrzyj to miasto z ziemi, żeby kamień na kamieniu nie pozostał!... Żeby w każdy czeceński dom bomba trafiła!... Żeby każdego Czeceńca kula na wylot przebiła!... A mnie za tę grzeszną modlitwę też zabij!... Ja i tak żyć nie chcę!...”. Wyszłam z cerkwi i szłam bez celu. Dookoła wszystko wybucha, pali się, dom za domem pada. „No zabijże mnie, zabij!” Ale nie, nie zabija, prowadzi wśród pożarów...

Kobieta wyciągnęła skrawki, motała duży niekończący się kłębek.

- Wyszłam poza miasto, wzdłuż Sunży, w pola, gdzie nie ma żywej duszy. Idę polną drogą całą noc, tylko brzask za plecami, pachnie

spalenizną i w śniegu wilcze oczy jak zielone iskry. Straciłam siły, upadłam. Leżę, zamrzam. Wilk do mnie podszedł, obwąchał i zaraz zniknął. Pewnie ode mnie spalenizną pachniało, zjeść mnie nie zechciał... Potem już brnęłam, cierpiałam biedę, pociągami, samochodami, żebrałam, z głodu umierałam. Dostałam się do Moskwy, przyszłam do biura, które uciekinierami się zajmuje, żeby dali jakąś byle jaką pracę, byle jaką siedzibę. Wchodzę do pokoju, a tam Czeczeniec siedzi, uśmiecha się, a ja padłam jak podcięta. Chciałam do rzeki się rzucić, ale Bóg Nikołaja Nikołajewicza na brzeg przywiódł, odgonił mnie od wody. Teraz tu, w garażu mieszkam...

Nawinęła na kłębek jedwabną białą wstążeczkę z wypłowiałej ślubnej sukni.

Przy garażu Nikołaj Nikołajewicz i Sierioğa chlupali wodą, myli zabrudzone smarem ręce, podeszli do ogniska na obiad.

Sierioğa wywłókł z garażu i postawił w słońcu kulawy stół ze śladami cięć, nadpaleniami od lutownicy, obsypany żelaznymi opiłkami. Rozłożył na nim gazetę, a żeby wiatr nie zdmuchnął, rozstawił talerze, położył bochen żytniego chleba, stos umytych ogórków i pomidorów, postawił ozdobną solniczkę, przetoczył zielony arbuz z suchym ogonkiem. Nadięzda Fiodorowna postawiła na stół zakopconą patelnię ze skwierczącymi ziemniakami i pachnącymi skwarkami, a oni usiedli wokół stołu na skrzynkach. Stół, zastawiony jadłem, stał na brzegu szerokiej rzeki, na słonecznym pustkowiu, za którym widniało biało-różowe miasto.

Nikołaj Nikołajewicz wstał, pobłogosławił jedzenie, trzymając dwie spracowane dłonie nad pomidorami, bochenkiem i czarną patelnią. Odmówił pogańską modlitwę, którą właśnie ułożył:

- Chleb i woda - prawdomównym ustom... Kwiaty życia - głoszącym prawdę... Słońce i rzeka - rosyjskiemu synowi...

Usiadł, przycisnął do piersi bochen i ostrym nożem zaczął kroić żytni bochen na równe kromki, po porcji dla każdego. Biełosielcewowi, kiedy otrzymał swoją pachnącą kromkę, wydało się, że uczestniczy w świętym

obrzędzie łamania się chlebem, a Nikołaj Nikołajewicz, jak katecheta, obdarowuje swoich uczniów i współtowarzyszy chlebem mądrości.

Jedli buchające gorącym ziemniaki, dziobali widelcami skwierczące skwarki. Sierioża rozkroił arbuza, który rozpadł się na połowy i zaśmiał się czerwona okrągłą gębą. Biełosielcewowi, jedzącemu chłodną słodycz, zdawało się, że wszyscy oni grają na fletach, a rzeką, przy ich muzyce, płynię parostatek.

Skończyli obiad i milcząc siedzieli, patrząc na Nikołaja Nikołajewicza, oczekując, kiedy ten uzna za konieczne przerwanie milczenia i znacznie swoje przepowiednie. Ale on milczał.

- Który krzyczy - krykun, który szeptem - szeptacz - wypowiedział Nikołaj Nikołajewicz cichym głosem, od którego Biełosielcewowi drgnęło serce. - Samej głowy nie można pogrzebać... Na tacy ją niosą, a tańców nikt nie tańczy... - ponownie umilkł.

- Nie wierz Smokowi, u niego skóra - puch, a pod nim - żelazo... Przebij żelazo, a pod nim mleko... Wypij mleko - i umrzesz, dlatego, że trucizna... Nie pij z sutek Smoka, bo nie wiesz, od kogo pijesz... Smoka nie można zabić, dlatego że Smok w Smoku siedzi i cię nie dopuści... Weź Smoka w siebie, wtedy zabijesz... Rosja w siebie wzięła Smoka i w niej zdechnie... Który człowiek Smoka w siebie weźmie, ten Bohater... Które miasto weźmie, to Miasto-Bohater... W Moskwie wielu ludzi, a Bohater jeden... Może ty, może ja, nie wiem... O tym nie wolno mówić... - Gastello Smoka zabił, a zaczął Gagarin, dlatego, że rosyjski Bohater... Trzeba miejsce znać, gdzie Smok ma zamek, wtedy otworzysz. W tym nieśmiertelność... Kto myśli żyć, to umrze, a kto umrze za Rosję, ten żyć będzie zawsze... Wybraniec - nie ten, kto wybrał, a ten, kogo wybrali... On musi jeszcze długo być, zanim zostanie, a inaczej nie można... Przed nim zamek, a klucz u mnie... Otworzę, on przejdzie, a nie, to stać będzie, póki ja nie przejdę... Ty mu na czoło patrz, gdzie nosi przyłbicę... Jaki w niej znak i liczba... On na dwóch drogach jednocześnie stoi, a dokąd

pójdzie - to już nasza troska... Rosja ma wiele dróg, a szlak jeden, tym idź... Dojdiesz do szóstego wejścia... Tam wielu ludzi zginęło...

Oczy piekły od łez. Biełosielcew miał wrażenie, że to już kiedyś było, na innej ziemi, gdzie niebieskie faliste góry i gorący kurz dróg, a przy długim stole siedzi prorok o przepięknej smagłej twarzy, a w dzbanach wino, przemienione ze zwykłej wody, i chleb, przemieniony z kamienia, a tak małe ich kółko, tak blisko rozstanie, że łzy płyną, a w ich gorącej mgłę nie widać, kto tam odchodzi po kamienistej drodze w obłoczku słonecznego pyłu.

- Ty całą ziemię przemierzyłeś, dlatego mierniczy ziemi...

A ty niebo zmierz, wtedy będziesz mierniczym nieba... Gastello niebo zmierzył, jemu Stalin podziękował... Rosja ma trzy głębie i trzy wysokości, a co wyżej, to nie podane... Ty przeniknąłeś do dwóch głębini, a trzeciej się strzeż, tam gniazdo Smoka... Ty do pierwszej wysokości doleciałeś, a dalej nie ma skrzydeł... Gastello w głąb wszedł, dlatego się wzniósł... Nie idź do „Ostankino”, mimo wszystko spłonie, już się tli... Ruckoj od Smoka, on do Kurska przyszedł, a miasta nie ma, spuścił do oceanu... Wybrańcowi wierz, on ciebie wezwał, a moje oczy zawsze ktoś tam zamknie...

Nikołaj Nikołajewicz wstał, powstrzymał srogim gestem kobietę i wyrostka, podnoszących się w ślad za nim. Skinieniem ręki pozwał za sobą Biełosielcewa:

- Pójdziemy, pokażę samolot... On też łzami omyty...

Zbliżyli się do garażu, weszli w głąb obok pordzewiałego forda. Nikołaj Nikołajewicz rozsunał wiszące płótno. W mrocznej głębi, pokryty lakierem i blaskiem, stał samolot niewiadomej konstrukcji. Owalny wysoki statecznik ozdobiony był czerwoną gwiazdą. Wzdłuż kadłuba biegła linia, podkreślająca długość i smukłość maszyny. Starannymi czerwonymi gwiazdkami była zaznaczona liczba powietrznych zwycięstw. Skrzydła ledwie wystawały z korpusu i w czasie lotu wznosiły się, zmieniając swoją geometrię, pozwalały maszynie dokonywać wiraży

i pikowania. Na drzwiach, z obu stron, wprawną ręką namalowano Bogurodnicę ze zlocistym niemowlęciem i Stalina w paradnym mundurze. Dziobową część, gdzie kryło się niewidoczne śmigło, ozdabiał diamentowy „Order Zwycięstwa”, mienił się kolorami na krawędziach. Pachniało lakierem, benzyną i farbą, jak w biurze konstrukcyjnym, gdzie przechowuje się prototyp samolotu, gotowy do prób.

- On zabije Smoka, który po niebie i który przy Kremlu na ziemi... Bombowy ładunek w komorach i kąś ataku bezzwłocznie... Start o dwunastej zero zero, a reszta tajna...

Bielosielcew wpatrywał się w fantastyczny aparat latający i z trudem rozpoznawał moskwicza, zamaskowanego pod postacią bojowego samolotu. Samochód Nikołaja Nikołajewicza był przystosowany do walk powietrznych. Bielosielcew wiedział, że jest świadkiem proroczego szaleństwa, które było zdolne samo objaśnić chaos rozpadającego się świata i wystąpić przeciwko złu. Prorok odkrywszy pochodzenie zła, był jednocześnie bojownikiem, gotowym zmierzyć się ze złem.

Nikołaj Nikołajewicz opuścił płótno. Zasłonił wspaniałą, gotową do walki, maszynę. Wyprowadził Bielosielcewa z garażu.

- Pierwszy lot mój, potem twój... Teraz idź, masz daleką drogę... - i powoli odszedł nad rzekę, zatrzymał się pośród świecącej wody jakby stanął w płynącym ogniu.

Bielosielcew opuścił przybrzeżne pustkowie razem z Sierioga, który miał jakieś sprawy na rynku i usiadł obok Bielosielcewa, zadowolony, że nie musi iść pieszo.

- Pan widział nasz samolot? Nikołaj Nikołajewicz pokazał panu? - Sierioga dręczony chęcią pogadania na zakazany temat, walczył z warunkiem surowego sekretu. - Teraz nie jeździmy samochodem, chodzimy na piechotę. To wcześniej mieliśmy moskwicza, teraz mamy szturmowiec. Dwa tygodnie pracowaliśmy, przerabialiśmy go na samolot. Trzymamy w hangarze w całkowitej tajemnicy, ukryty przed oczami agentów. Piękny? Spodobał się panu?

- Bajkowy.

Bielosielcew wyobraził sobie lakierowany, wyszykowany, z czerwoną gwiazdą samolot, udekorowany Bogurodzicą i generalissimusem Stalinem, z błyszczącym orderem zwycięstwa. W półmroku osłonięte płótnem dzieło przypominało tajną bojową maszynę i jednocześnie zabawkę, którą ustawia się na dziecięcych placach zabaw lub wieszka się na karuzelach w lunaparkach.

- Kiedy patrzyłem na wasz szturmowiec, to z jakiegoś powodu przypomniała mi się bajka o latającym dywanie, o Smoku Goryniczu, o śpiącej królownie.

Bielosielcew ostrożnie popatrzył na Sieriozę, czy przypadkiem nie obraził go porównaniami. Ale ten nie obraził się, a wręcz ożywił:

- Nikołaj Nikołajewicz chce Smoka Gorynicza wysadzić w powietrze. Z samolotu posłać bomby. Jak Gastello, w smoka zapikować i rozrwać na strzępy. Teraz materiał wybuchowy załatwiamy, rozmieścimy w komorach bombowych, w bagażniku i na tylnym siedzeniu.

- Jak to wysadzić? Jaki materiał wybuchowy? Po co wam materiał wybuchowy? - przestraszył się Bielosielcew, nie rozróżniając jeszcze, gdzie przechodzi niewyraźna granica między przywidzeniami a rzeczywistością. - Gdzie ten Smok Gorynicz?

- No jakże! - zdziwił się Sieriożka. - Nikołaj Nikołajewicz przecież panu mówił. Smok wokół Kremla zaległ, swój ogon połknął i pętlę zaciśnął. Jeśli w to miejsce uderzyć, to głowę i ogon zarazem wysadzisz, i Smok umrze.

- Wy co, chcecie Kreml wysadzić? Przecież on jest chroniony. Wszędzie warty, obserwatorzy. W bramach szlabany, sieci, które każdą maszynę wykryją i zatrzymają. Nie przebijecie się.

- Ależ Kremla nikt nie chce wysadzać - ze złością powiedział Sieriożka. - Kreml nasz, rosyjski. Któż na niego rękę podniesie? My Kreml od Smoka chcemy oczyścić. Nikołaj Nikołajewicz dokładnie wyliczył, gdzie głowa Smoka. Chodził krokami wymierzać, na rysunek naniósł. Jeśli pa-trzeć od Miejsca Straceń, to nieco ponad trzydzieści kroków od Spasskiej

Bramy. Tam samolot skierujemy, Smoka wysadzimy, i pierścień wokół Kremla się otworzy.

- On co, za stery chce się i siebie razem z maszyną wysadzić? Siebie zabić chce?

Bielosielcew nagle zrozumiał, że to nie gra, nie zabawa. Prorok, stworzywszy teorię o Rosyjskim Bohaterze, zamierza wcielić tę teorię w czyn. Dokonać mistycznej ofiary. Rozgromić zło. Oswobodzić zaczarowany świat. Przebić oszczepem błoniastą, skrzydlatą gadzinę. Uratować królową u wrót. Zamiast białego konia z kosztownym siodłem - zużyta maszyna, przeistoczona w samolot bojowy. Zamiast oszczepu godzącego w paszczę potwora - materiał wybuchowy w bagażniku. Dziewicą przy Spasskiej Bramie była zmęczona Rosja w niewoli. Zło, gubiące naród, było bajkowym uosobieniem Smoka. Heroicznym witeziem w purpurowym płaszczu, prowadzącym świętą bitwę, był sam Nikołaj Nikołajewicz, Prorok i Bohater, którego Bielosielcew dopiero co widział stojącego nad szeroką rzeką, z migoczącą aureolą wokół głowy.

- Nikołaj Nikołajewicz mówi, że w Rosji pojawił się Wybraniec, który ją uratuje. Ale on na razie sam siebie nie zna, jakby spał, uśpiony przez Smoka. Trzeba Smoka zabić i wtedy Wybraniec obudzi się, zobaczy, że Rosja cierpi i ją uratuje. Nikołaj Nikołajewicz chce Smoka zabić, żeby Wybraniec obudził się i na Kreml poszedł. Chce mu drogę wyrębać, otworzyć zamek. Sam siebie uważa za Zwiastuna, któremu sądzono ponieść ofiarę, zniszczyć Smoka i otworzyć drogę Wybrańcowi.

Jechali przez Pieczatniki wśród smutnych, równomiernie rozstawionych wieżowców. Migła światłami szyld restauracji. Drgało szklane powietrze nad stacją benzynową. Na tablicy reklamowej dziewczyna przy mierzała rajstopy. Przez drogę przebiegał bezdomny, podobny do jaskiniowca zarośniętego po brwi. Na przystanku autobusowym kiwało się dwóch pijanych, opartych o siebie czołami. I w tym codziennym świecie, wśród bieżącej niezliczonych tłumów, nieustannego warkotu samochodów, zamierzano dokonać cudu.

- Powiedz, Siergiej, to tylko taka gra? Wy po prostu obaj gracie? Wiesz, są takie gry, w których rozgrywa się batalie, sceny historyczne. Jedni występują w rynsztunku rosyjskich rycerzy, drudzy nakładają zbroje Teutonów. Miecze, kolczugi, hełmy. Chorągwie kniazia, sztandar krzyżacki. I gdziekolwiek na łodzi Jeziora Czudzkiego, przy Wronim Kamieniu, schodzą się, rąbią jeden drugiego, wydają bojowe okrzyki, a potem zmęczeni, siadają przy ognisku, pieką szaszłyki, wspólnie piją wódkę. Są takie historyczne gry, bardzo zajmujące.

- Co też pan mówi! - z urazą i obcością popatrzył na niego Sierioğa.
- Jakie gry! Nikołaj Nikołajewicz - to Zwiastun i Narodowy Mściciel. On otworzy drogę Wybrańcowi i zemści się za naród. Jego bliscy zginęli i on miał widzenie.

- Jakie widzenie?

- Bronił Domu Rad na barykadzie. Kiedy Jelcyn chciał zostać carem i zaczął wojska do Moskwy ściągać, Nikołaj Nikołajewicz z całą rodziną na barykady poszedł. Z żoną Ludmiłą Grigoriewną, starszą córką i synem Andriuchą, który jeszcze w szkole się uczył. Siedzieli tam dniem i nocą, żołnierzy nie puszczali. Andriuchą chorągiew trzymał, flagę zwycięstwa, nad barykadą nią wymachiwał. Ludmiła Grigoriewną ziemniaki i kaszę nad ogniskiem gotowała, karmiła obrońców. Sam Nikołaj Nikołajewicz był komisarzem, ludziom dodawał otuchy, Jesienina recytował. A córka była sanitariuszką - na wypadek, gdyby strzelać zaczęli.

Domy z balkonami, na których suszyła się bielizna, pojemniki na śmieci, w których grzebały staruchy, plakat z uśmiechniętym Kirkorowem, atrapa butelki „Bałtyk”, Kaukazi w czarnych skórzanych kurtkach. Życie zrzuciło na chwilę szary futerał codzienności, przyjęło wysokość i głębię mitu, utrwalonego na palechskiej czarodziejskiej szkatułce. Na czarnym laku ognistymi farbami cieniusieńkim pędzlem był narysowany płonący pałac, lecący w niebo strzępy ognia, walczący na barykadach obrońcy, lecący nad Moskwą groźny anioł ze złotą trąbą.

- Kiedy na barykady ruszyły czołgi, Andriuchę i Ludmiłę Grigoriewną od razu zabiło. Nikołaj Nikołajewicz córkę sobą zasłonił, a czołg nad nimi przeszedł i ich nie zaczepił. Nikołaj Nikołajewicz długo w szpitalu leżał, i tam zobaczył anioła, który powiedział, że on jest Zwiastunem i powinien służyć Wybrańcowi. A córka, która ocalała, uciekła z domu i została prostytutką. Mówią, że w „Metropolu” do cudzoziemców chodzi, czasami do Nikołaja Nikołajewicza przyjeżdża. Dobra dziewczyna, chociaż stracona.

- Jak się nazywa? - Biełosielcew widział, jak fasady domów zaczynają mięknąć i ciec, jakby były z wosku. - Jak zwą jego córkę?

- Weronika.

I delikatny zapach perfum, jak eteryczny powiew po przelocie nimfalidy. Dziewczyna o złocistej twarzy wchodzi do domu pod malinowym motylem. Twarz Prokuratora, jego rozbiegane, pożądlive oczka. Wszystko się połączyło, pozostawiając na niebie, nad dachami wyblakłych domów, intensywny purpurowy ślad, powoli opadający jak płatek zwiędniętego maku.

Podjechali do rynku, do betonowej kopuły, otoczonej czarnym tłumem.

- Tu wysiądę - powiedział Sierioga. - Trzeba przywitać się z Czeńcem Ahmedkiem. On ma materiał wybuchowy. Trzeba kupić... Ale niech pan nie myśli, że Nikołaj Nikołajewicz zginie. Mamy urządzenie, odcina sprzęgnięcie. On tylko wyprowadzi samolot na granicę ataku, nakieruje na cel, a sam zeskoczy. Samolot doleci na autopilocie i wysadzi Smoka. Dwadzieścia kroków od wieży, jak na szkicu narysowane.

Sierioga uściśnął Biełosielcewowi rękę, wysiadł z samochodu, i elastycznie stąpając, ruszył na rynek. Biełosielcew patrzył za nim. Widział, jak idzie górską ścieżką w kurtce czołgisty, w zielonej chustce, a przed nim, jak słoneczna pajęczyna, przecina ścieżkę rozciągnięte ogrodzenie.

Pod wieczór wezwano go do „Fundacji”, do Grieczysznikowa. Przechodząc obok świątyni, wyszedł na Miejsce Straceń, pragnąc zobaczyć, gdzie według wyliczeń Nikołaja Nikołajewicza znajduje się głowa Smoka, którego należy wysadzić. Widział, jak pęcznieje plac, wypychany od wewnątrz niesamowitym ciśnieniem, jak brzuch brzemiennej olbrzymki. Pod placem poruszało się niewidoczne niemowlę. Słysząc było jego konwulsje, chlipania. Zdawało się, że już-już zacznie się poród. Olbrzymka rozłoży pośrodku Moskwy nabrzmiałe ogromne nogi, napnie czarny błyszczący brzuch, przeraźliwie krzyknie i jęknie, i w służbie i posoce z otwartego czerwonego łona pojawi się płód, okręcony niebieską pępowiną. Biełosielcew zgarbił się i pospieszył do „Fundacji”, omijając kopuły i głowy cerkwi, czuł na sobie wzrok mnóstwa kamiennych oczu.

W znanym pokoju z widokiem na plac Czerwony znajdowali się Premier i Zariecki, którzy gorąco i złośliwie wymyślali sobie. Obok, w milczeniu, jak zoologowie, siedzieli Grieczysznikow i Kopiejko. Jeden dolewał do szklanek złocistą whisky, drugi szczypcami wrzucał roztopiające się kostki lodu.

- Zrobiłeś to z czystego sadyzmu!... Zboczeniec, dręczyciel!... Ty uwielbiasz, kiedy ludzie cierpią!... Podobają ci się odrąbana głowa Szeptuna!... Wysłałeś do Czeczenii walizkę fałszywych dolarów, żeby zobaczyć moją hańbę, przybliżyć moją dymisję!... - Premier był czerwony mokrą, lepką purpurą po koniuszki rzadkiego owłosienia, jakby go zawinięto w ogromny liść pokrzywy... - Obiecałem Prezydentowi, że za kilka dni Szeptun będzie w domu!... Rozmawiałem z jego rodziną przed kamerami telewizyjnymi i obiecałem, że generał nietknięty wróci do domu!... A ty, wiedząc o tym, przekazałeś Czeczeńcom fałszywe dolary!... Nie Arbi Barajew zabił Szeptuna, a ty!... Jak i wielu innych!... Nie bez powodu czerwono-brązowe gazety przedstawiają cię z toporem ociekającym krwią!...

Zariecki napawał się histerią Premiera, wciągał nozdrzami kwaśny zapach potu i cierpienia.

- A to właśnie antysemicki argument!... Czystej wody rasizm!... Tak się zaczynał holokaust!... - płytko śmiał się Zariecki. - Tacy jak ty stworzyli Majdanek!

- Zawsze uważałem, że jestem uczciwy wobec przyjaciół!... Że wypełniałem powzięte zobowiązania!... Widziałem siebie jako człowieka drużyny!... Kiedy była mowa o dostawach ciężkiego uzbrojenia do Indii i zwróciłeś się do mnie, rozwiązałem ten problem!... Kiedy były wystawiane na targach wielkie systemy łączności razem ze sputnikami, działającymi na rzecz Ministerstwa Obrony, wysłuchałem cię i majątek dostał się we właściwe ręce!... Kiedy mnie poproszono o przerzucenie finansowych dotacji z kolei i lotnictwa do zaprzyjaźnionych banków, od razu odpowiedziałem i przelewy poszły!... Dlaczego jestem niewygodny?... Znaleźliście innego?... Chcecie mnie skłócić z Prezydentem?... Szykujecie dla mnie dymisję?... Może po dymisji nastąpi proces sądowy, żeby mnie zmusić do milczenia?... Ponieważ dużo wiem!... Wiele mogę opowiedzieć korespondentowi „Forbes'a” albo „New York Times'a”! - każdy por na rozpalonej twarzy Premiera wydzielał trujący pęcherzyk potu, i cała jego twarz wydawała się sparzona.

Zariecki zacierał suche dłonie. Był podobny do diabła, który obserwuje w piekle cierpienia grzesznika, i dorzuca drewnianka do ognia.

- Już faktycznie, wpadłeś do kotła razem z głową Szeptuna!... Smaczna z was obu galareta wyjdzie!... - Zariecki podrzucał kolejne naręcze, które zaczęło wesolo trzaskać, zagotowała się woda w kotle, w którym po ramiona zanurzony był Premier i wydawał się czerwonym pomidorem, rzuconym do zupy. - Widziałem się z Tatianą Borysowną. Powiedziała o tobie tak: „Nasz kotek przestał myszy łowić. Mamy wiele innych doskonałych kotków, które są o wiele bardziej żwawe. Trzeba im się uważnie przyjrzeć”.

W oczach Premiera pojawiły się łzy:

- Chcecie, żebym się zastrzelił?... Jako oficer, który nie dotrzymał przysięgi, mogę się zastrzelić!... Potrzebny wam jest wspaniały pogrzeb,

to będziecie go mieli!... Zobaczycie, jak zachowuje się w takich przypadkach rosyjski oficer!

Plakał jak dziecko, które chce dokuczyć dorosłym krzywdzicielom i grozi im śmiercią. Zariecki to zrozumiał. Rozweselił się, doczekawszy się łez męczennika. Jeszcze się trochę pobawił, a potem przerwał żalorny bełkot Premiera. Bezceremonialnie, po przyjacielsku:

- Starczy!... Po co się strzelać.... Po co powiększać śmiertelność dzieci!... Weź się w garść!... Jesteśmy jak przedtem przyjaciółmi i nikt cię nie da skrzywdzić.... Na tobie zatrzymał się wybór tej przekłętej jesieni dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Zadzwoiłem do ciebie do Parlamentu i powiedziałem: „Zwijaj wędki, rzucaj swojego Chasbulatowa!... Przechodź do Prezydenta!” Posłuchałeś głosu przyjaciela, odszedłeś z Parlamentu, a za dzień czołgi rozwały twój gabinet... Prowadziłem cię i będę prowadził!... Uspokój się!... Masz, weź chusteczkę!

Zariecki wyjął z kieszeni chusteczkę, podał Premierowi. Tamten wziął. Pochlipując, podrygując grubymi ramionami, zaczął wycierać łzy, głośno smarkał.

- No i ładnie, i mądry, dobry, dobry, a kto nas obrazi, temu „a ty ty”!... - Zariecki zabrał chusteczkę, przemoczoną łzami Premiera. - Nie ma zła bez dobra. Polityka - to sztuka obracania kłęski w zwycięstwo. Możesz wykorzystać całą tę nikczemność na swoją korzyść. Kiedy posyłałem tym pieńkom fałszywe dolary, specjalnie zaostrzyłem sytuację, żebyśmy mogli zrobić krok do przodu. Nieoczekiwany, kolosalny, zostawiając w tyle wszystkich konkurentów, utrzyć nosa wszystkim wrogom! To będzie twój Tulon, twoje Austerlitz, twoje olśniewające zwycięstwo!..

Premier dalej pochlipywał, dotykał palcami nabrzmiały od łez, porowaty i czerwony jak truskawa, nos, ale jego oczy czujnie błysnęły.

- Prowadziłem cię i będę prowadził. Nie tylko umocnisz swoją pozycję. Nie tylko pogodzisz się z wojskowymi, mszcząc się za ulubionego generała. Ty będziesz jedyną opoką i nadzieją naszego chorego, konającego ze starości Cara. Ciebie, a nie Mera, którego mu podsuwa Astros,

ciebie on zrobi następcą. Nie miną i trzy miesiące, jak ty, wśród noworocznego śniegu i bożonarodzeniowych choinek, będziesz ogłoszony następcą!

Premier czujnie słuchał, zjadając mądrymi, strachliwymi oczkami swojego niedawnego dręczyciela, który teraz przeistaczał się w zbawcę. Jeszcze podejrzewał go o przewrotność, złośliwe żarty. Ale coraz bardziej wierzył w możliwość powodzenia śmiałej kombinacji, bo w tych Zariecki był niedoścignionym mistrzem.

- Co masz na myśli? - Premier pochylił się w jego stronę.

- Mała wojna w Dagestanie. Niewielki lokalny konflikt, trwający nie dłużej niż tydzień. Ściągniemy do Dagestanu czeczeński oddział Basajewa, w te rejony, gdzie okopali się wahabici, tak przez ciebie ulubieni. Na drodze Czeczenów zdejmujemy posterunki, zabierzemy z przełęczy nasz batalion. Dajemy Czeczeńcom gwarancje, że nie użyjemy lotnictwa. Kogokolwiek opłacamy pieniżkami, tym razem nie fałszywymi. Basajew wchodzi do Czeczenii, a my pobijemy go w śmiertelnym boju. Bombardujemy samolotami, gromimy salwami ognia, szturmujemy okrutnych wahabitów i zawieszamy nad ich twierdzą rosyjską flagę. Wojskowi będą zachwyceni zwycięstwem, nagrodami i awansami służbowymi. Prezydent obejmuje cię jak syna, ponieważ uratowałeś kraj od nowej wojny na Kaukazie. Zemściłeś się za Szeptuna, a twoje sympatie do wahabitów były tylko taktycznym wybiegiem. Jesteś zwycięzcą. Uwielbia cię armia. Błogosławią cię patrioci. Car Borys zdejmuje z siebie purpurę i uroczyście wobec zgromadzonego narodu, przed tysiącami kamer, nakładają na twoją zwycięską głowę!

- Przecież to wojna! - potrząsnął głową Premier. - Kaukaz podmienowany wielką wojną, a ty proponujesz rzucić granat na beczkę prochu. To wiele krwi i, bardzo możliwe, rozpad Rosji!

- Mowa jest o lokalnym konflikcie. Mamy specjalistów od lokalnych konfliktów. - Zariecki popatrzył na Bielosielcewa jakby go dopiero zauważył. - Są doświadczeni teoretycy od lokalnych konfliktów, którzy, jak

chirurdzy, przeprowadzają operacje na chorym organie pod znieczuleniem miejscowym. Uwierz, o wszystkim zadecyduje technologia, wojskowa, polityczna, informacyjna. Rozmawiałem z Tatianą Borysowną i ona wyraża zgodę. A co powie Córka, to Ojciec zrobi.

- Za to mogą sądzić!... Za to mogą przekląć!... - Premier denerwował się, tchórzyl, a jednocześnie ryzykował. Wierzył Zariецkiemu - i oczekiwał jego zdrady.

- Decyduj się. - Zariецki wyczuł jego rozterki. - Plan jest przygotowany w szczegółach. Zaznaczone drogi odwrotu wojsk. Zaznaczone miejsca ich tajnej koncentracji do odpowiedniego błyskawicznego ataku. Zaznaczone lotniska, skąd wystartują samoloty, by bombardować. Wydzielone są środki na podkupienie. Wydzielona kwota na generalskie odznaczenia i na tytuły „Bohaterów Rosji”. Decyduj się! Bądź Napoleonem!...

Bielosielcew miał wrażenie, że metalowe wiertło wwierca mu się w żywy ząb. Decyzja, która mogła obrócić się w katastrofalną wojnę, masowe przemieszczanie wojsk, rozpad Kaukazu, niezliczone tragedie i śmierci, podejmowana była w biadoleniach i łzach przez łajdaków, którzy powinni siedzieć w więzieniu.

- Weź pod uwagę, to jest rozstrzygające rozdroże! Albo na złamanie karku polecisz w dół i będziesz drobnym urzędnikiem w byle jakiej Izbie Rachunkowej lub Fundacji Emerytów. Albo wzlatujesz jak rakietka na szczyt władzy! Zostajesz władcą Rosji, jak Piotr, jak Stalin, w warunkach współczesnej Rosji weźmiesz na siebie ich brzemię i misję!...

Zariецki rozłożył pięć palców i wycelował je w Premiera. Było widać, że tamtemu kręci się w głowie i na ustach pojawia się coś na kształt bezmyślnego uśmiechu.

- Dagestan - to tylko część twojego triumfu. Prowadzę subtelny grę z Bałwanem, namawiam go i straszę. Opowiadałem o spiskach wśród wojskowych, o nieuniknionym powstaniu głodującego narodu. O zamiarach regionów, które chcą ogłosić wystąpienie z Rosji. O podstępnych Amerykanach, którzy układają „mapę kryminalnej Rosji”, gdzie są zaznaczone

wszystkie przestępcze ugrupowania, ich związki z gubernatorami, wiodącymi politykami, ministrami i ważnymi urzędnikami. Maluję straszny los Ceaușescu, doprowadzając Bałwana do historycznego placzu. Niedołężny, nieuleczalnie chory, marzy o odejściu na emeryturę, ale tak, by zapewnić sobie bezpieczne i ciche schronienie z dala od nieuniknionych katastrof. - Zariecki śmiał się. - Ty, kiedy tylko zostaniesz Następcą, wydasz mu etykietkę nietykalności, odgradzisz od prześladowań za Białowieską zmwę, za rozstrzelanie Parlamentu, za wywołanie wojny czecheńskiej. Wywieziemy go za granicę i pokażemy światu potulnego modlącego się starca. A potem osadzimy w zamku w Alpach, który już jest dla niego wybudowany. W plecionym tyrolskim kapelusiku będzie rozmawiać z turystami, a oni nazwą go rosyjskim „Santa Claus”. Ludzie o nim zapomną, a ty jeden będziesz w centrum światowej uwagi...

Wygrasz błyskawiczną wojnę w Dagestanie i weźmiesz do niewoli Basajewa. Obwieziemy go w klatce po całej Rosji, a ty staniesz przed narodem jako zbawca. Przylecisz myśliwcem na lotnisko Machaczkały, a wojska przejdą przed tobą zwycięskim marszem. Jak Potiomkinowi nadali przydomek „Taurydzki”, tak ciebie zaczną nazywać „Dagestański”. To wszystko zapewni ci przytłaczające zwycięstwo w wyborach, których przeprowadzenie wezmę na siebie. Już buduję wierną ci partię polityczną, która odsunie komunistów. Szukam dla niej jakiejś mocnej zwierzęcej nazwy, na przykład „Rosyjski Niedźwiedź”...

Na ustach Premiera błąkał się bezmyślny uśmiech. W oczach nie było widać źrenic, tylko niebieskawe martwe białka. Jego twarz tak zbladła od cierpienia, jakby miał atak.

- Ale tobie dla twoich wielkich czynów, dla nowych wielkich reform potrzeba czasu. Powinieneś się oczyścić z żużlu i rdzy poprzedniej epoki. Powinieneś zmyć z siebie Bałwana. I wtedy oznajmisz o wielkim oczyszczeniu. Zwołasz nowy „Dwudziesty zjazd partii”, na którym wystąpisz ze zdemaskowaniem Bałwana. Osądzisz przestępczą Białowieską umowę, likwidującą wielki Związek Radziecki. Napiętnujesz przestępcze

rozstrzelanie Parlamentu i wybicie niewinnych ludzi. Nazwiesz przestępstwem zniszczenie kwitnącego Groznego przez artylerię i lotnictwo. Wyciągniesz na światło dzienne ciekawe fakty korupcji, handlu diamentami, ropą naftową, państwowymi tajemnicami. Podasz nazwiska głównych przestępców. Osądzą ich, tłum zatriumfuje, a ty będziesz czysty jak łza, co ci pozwoli władać Rosją, przywrócić jej dawną potęgę!...

Bielosielcew spojrzał na Grieczysznikowa i Kopiejkę, którzy siedzieli milcząco z pochyłymi głowami.

- No co, zgadzasz się? - Zariecki pochylił się w stronę Premiera. - Zaczynamy operację w Dagestanie?

- Tak - słabym głosem odezwał się Premier.

- W takim razie zwołuj wojskowych ministrów. Ja udam się do Tatiany Borysowny, żeby przygotowała Prezydenta. A teraz zadzwonimy do Basajewa...

Zariecki wykonał ruch sztukmistrza i w jego ręku pojawił się, jak z powietrza, telefon komórkowy. I podczas gdy on wybierał numer, wysyłał sygnał poprzez rzeki i góry, do dalekiego wąwozu, gdzie w wieczornym sadzie, na dywanie pod jabłonią, rozwalony na jedwabnych poduszkach, drzemał zmęczony wojak, a wschodnia piękność jedwabistymi palcami masowała mu nogi, Bielosielcew przypomniał sobie niedawny telefon Astrosa.

- Szamil, salam alejkum!... - Twarz Zarieckiego wyrażała radość ze spotkania. - Obiecałem zadzwonić - i dzwonię!... Wybacz, jeśli przerwałem ci twój słodki sen!... - Póki Zariecki milczał, wysłuchując odpowiedzi z daleka, Bielosielcew wyobrażał sobie, jak marszczy się jedwab na poduszce, na której opiera się łokciem Basajew, jak na jabłoni lśnią soczyste owoce, a smagły ochroniarz za kwitnącym ogrodzeniem poruszył leżącym na kolanach kałasznikowem. - A ja ci odpowiem nie tekstem z Koranu, a słowami Ewangelii... Kiedy w Judei zaczęła się rzeź niemowląt, Józefowi, któremu urodził się Jezus, objawił się we śnie anioł i powiedział: „Nie bój się iść do Egiptu”... I ja ci mówię: „Nie bój się iść do Dagestanu!”...

- Możesz mi wierzyć, dogadałem się z wojskowymi, dogadałem się z Premierem... Nie będzie lotnictwa, nie będzie posterunków... Z przełęczą odejdzie batalion i ty przejdziesz bez przeszkód... Ta mała kołomyjka jest na rękę Baku i Tbilisi... Pokażemy, którędy powinien iść szlak ropy naftowej, a którędy nie powinien... Jeśli chcesz wiedzieć, jest to prośba samego Szewardnadze... Tym sposobem powiększysz swoją część w projekcie naftowym... Dla ciebie, Szamil, to mały spacer, ale w gruncie rzeczy to wielka polityka, wielka gra, wielkie pieniądze... Ciebie zna Europa, zna świat... Obok mnie jest Premier... On potwierdzi.

Zariecki przekazał telefon Premierowi, a ten ważnym głosem powiedział:

- Szamil, moja opinia jest taka sama... Operacja zajmie nie więcej niż tydzień... Potem odejdziesz pozostawionymi korytarzami... Gwarantuję, że lotnictwa nie będzie...

Nad daleką górską wioską skryła się w zmierzchu niebieska góra. Wiatr przebiegł po wierzchołkach drzew w sadzie. Jabłko zerwało się i pacnęło na ziemię. Pszczoła rozhuśtała kwiatek i znikła. Wartownik wstał i z trwogą wpatrywał się w sad. Basajew zabrał z rąk dziewczyny żylastą dużą stopę, rzucił na poduszkę cichy telefon, na którym jeszcze przez chwilę świeciły się mleczne guziki.

- Lecza, wołaj naczelnika sztabu i zastępcę od uzbrojenia... - rozkazał Basajew wartownikowi. - A ty - zwrócił się do kobiety - przynieś jeszcze dwie pijały...

Biełosielcew patrzył, jak odchodzą Premier i Zariecki. Jak w wieczornym oknie czerwienieje kosmaty sobór. Jak na placu lśni bruk. Gdzieś tam, za Miejscem Straceń, na czarnym kamieniu postawiony był krzyżyk, gdzie niedługo spadnie samolot.

- Według mnie, wszystko poszło wspaniale - powiedział Grieczysznikow. - Realizuje się „Projekt Suahili”... Tobie zaś, Wiktorze Andriejewiczu - surowo, ale jednocześnie po przyjacielsku zwrócił się do Biełosielcewa - pora lecieć do Dagestanu, do Ismaïła Chodżajewa, kierować

„lokalnym konfliktem”. Niech powstrzyma swoich bandytów, nie miesza się w zawieruchę... On nam podaruje neutralność, a my jemu republikę... Biełosielcew przytaknął. Był spokojny. On - agent, wprowadzony w szeregi przeciwnika. Zdobywa bezcenne informacje, szlifuje je i odsiewa.

Rozdział siedemnasty

Biełosielcew leciał do Dagestanu. Obłoki pod skrzydłem wznosiły się jak wieże. Między nimi przeświecały głębokie studnie, w których widać było wilgotną niebieską ziemię z przebłyskami rzek i jezior. On leciał na wojnę. Siedzący w samolocie ludzie, latem wyjeżdżający z Moskwy, nie wiedzieli o tym. W przedsmaku bliskości domu drzemali, pili wino, bujali dzieci, rozmawiali ze sobą w gardłowym brzęczącym języku. Samolot równo, mocno leciał w słonecznej przestrzeni. Stewardesy toczyły wózki z wodą mineralną, uśmiechały się uprzejmie perłowymi ustami, a w górach, wąwozami przemieszczały się oddziały Basajewa, pryskały kamienie spod kół zakurzonych dżipów, kolebała się podstawa karabinu maszynowego, a radiotelegrafista z czarną brodą słał sygnał wywoławczy do dalekich wiosek. Wojskowe garnizony, wycofawszy się, kryły się w zasadzkach. Zlatywały się na lotniska eskadry lotnictwa bojowego. Sztabowcy wtykali czerwone i niebieskie strzałki w środek Kadarskiej strefy. I wojna, która niebawem uderzy w góry, ta wojna, którą on niósł na Kaukaz, dokonywała się dla jednego, jedyne go celu - doprowadzenia do władzy Wybrańca.

Na lotnisku powitał go młody czarnooki przystojniak z krótką owalną bródką barwy oksydowanej stali. Przyłożył rękę do serca:

- Ismaïł prosił, żebym powitał pana, Wiktorze Andriejewiczu, i przywiózł do niego do domu, do jego rodzinnej wioski. Przeprasza, że nie

przyjechał sam. Dla niego nie jest bezpiecznie pojawiać się w Machaczkale.

Przystojniak prowadził go do srebrzystego mercedesa z szoferem, wyglądającym jak mistrz zapasów.

- Godzinę po dobrej drodze - przepuszczał go do samochodu przystojniak, obrzucając bystrym wzrokiem okolice, wypatrując zagrożenia.

Siadając w miękkim pachnącym wnętrzu mercedesa, Biełosielcew poczuł, że między cyferblatami, lakierowanymi powierzchniami, chromowanymi rączkami i guzikami, przytała się broń, lekko pachniało zimną stalą.

Jechali przez miasto, przez jego bujną południową urodę, białe cukrowe fasady, migocące fontanny, ciemnozielone rozrośnięte parki. Biełosielcew wpatrywał się w wystrojony, niespieszny tłum, przechadzający się obok wystaw, restauracji, pstrych reklam. Czuło się słodki aromat owoców, kiedy przejeżdżali przez rynek, czarny od ludzkiego mrowia. W szklanej herbaciarni pod turkusowym pomysłowym szyldem dojrzał pijących herbatę smakoszy, leniwie siedzących na dywanach. Doleciała dźwięczna żywa muzyka i zaraz znikła. I ostra, bolesna myśl - nad tym wszystkim unosi się wojna. I druga nagła myśl - tylko on, Biełosielcew, może uratować to miasto, nie dopuścić do niego wojny, zatrzymać ją za górami, przekonać Ismaïła Chodżajewa, żeby nie wspierał bojowymi oddziałami Szamila Basajewa.

Godzina minęła nie wiadomo kiedy. Skręcili z niebieskiej szosy, pokręcili się po górskiej drodze i, przejechawszy bystrą rzeczkę, znaleźli się w wiosce. Dżip powoli przedzierał się przez stado owiec. Staruszkowie w ciężkich papachach, z załzawionymi oczami wyszli na spotkanie przyjezdnych. Bystrookie kobiety w pstrokatych chustkach niosą barwne miski. A przy otwartych wrotach obszernego podwórza, w otoczeniu ochrony, wysoki postawny mężczyzna z niebieskawą siwizną w brodzie patrzy na Biełosielcewa, z daleka się uśmiecha, rozkłada ręce do objęć. Ismaïł Chodżajew, stary znajomy, z którym zetknął go los w czerwonych piaskach Registanu.

Uścisnęli się i Bielosielcew, dotykając policzkiem twardej brody Ismaïla, wyczuł zapach drogiej wody kolońskiej i sosnowego dymu.

- Jak podróż, Wiktorze Andriejewiczu? Jak samopoczucie? Jestem szczęśliwy, że mogę przyjąć pana w moim domu. Niech pan trochę odpocznie po podróży, a potem, pięknie proszę, w sady, na świeżym powietrzu posiedzimy, zjemy.

Gospodarz rzucił kilka władczych spojrzeń, poruszył czarnymi gestymi brwiami i na skinienie tych władczych oczu młodzi ochroniarze rzucili się w różne strony - do domu, do sadu, do kamiennej przestronnej szopy, na słoneczną drogę, wypełniając milczący rozkaz. Młodzieniec, przykładając dłoń do serca, poprowadził Bielosielcewa do chłodnych pachnących pomieszczeń, gęsto obwieszonych dywanami i usłanych jedwabnymi kołdrami.

I oto siedzieli już w cienistym sady, pod jabłonią, za którą widniały dwie góry, niebieska i różowa, podobne do dwóch ogromnych skamieniałych ptaków, które przyleciały tu w niepamiętnych czasach i czekają na czarodziejskie słowo, żeby ożyć i wzlecieć nad światem. Drewniany pomost, na którym się rozsiedli, był usłany twardymi czerwono-czarnymi dywanami i zasypany pstrymi, przetartymi poduszkami jedwabnymi. Pod pomostem ciekł aryk. Rozmawiali niespiesznie, przywykając do siebie po długiej rozłące, delikatnie wypytywali jeden drugiego o obecny byt. Młodzi strażnicy, ledwie widoczni za krzywymi pniami drzew strzegli ich spokoju.

- Pamiętam, jak pan przyjechał, Wiktorze Andriejewiczu, do naszego batalionu w Laszkargach. Był pan wtedy majorem. Pamiętam pierwszą naszą rozmowę w koszarach.

Ismaïl patrzył na gościa spod granatowych brwi. Bielosielcew starał się odnaleźć w tej surowej, groźnie posępnej twarzy inną, młodzieńczą, z lekkimi skrzydłami zdumiewających brwi, pokrytą ciemną opalenizną afgańskiej pustyni.

- Kiedy braliśmy tę karawanę Zakir-Szacha, cudem wyszliśmy żywi. - Milcząco uśmiechali się, kiwali głowami. - Myślałem, że nas wszystkich wybiją, ale Allah zachował mnie przy życiu.

Helikoptery lądowały na grzbiecie wydmy i grupa specnazu, trzymając w powietrzu karabiny, rozrzuciła czerwony piasek, biegnąc do rzędu wielbłądów, obładowanych tobołami, z czarnymi jak węgiel poganiaczami, owiniętymi w barwne szaty. Wyszczzerzone zęby wielbłąda, wypukłe fioletowe oko, od poganiacza pachnie gryzącym potem i dymem, podniesione sękatę ręce, i nagle z pasiastych tobołów, z zakurzonych szmat, po kosmatych zwierzęcych bokach ześlizgują się oksydowane, z perłowymi nakładkami automaty i rażą strzałami z bliska.

- Do dzisiaj pamiętam, jak mi seria przeszła tuż przy skroni, prawie ogoliła. Nawet wystrzelić nie zdążyłem...

Leżeli na szczycie wydmy, zakopując się w piasek i ostrzeliwując. Wielbłądy, kiwając garbami, uciekały na pustynię, a wycofujący się poganiacze rzucali w specnaz granaty, wyrrywając z wydmy czerwone tumany piachu.

- Dziękuję, Wiktorze Andriejewiczu, osłonił mnie pan, inaczej by kosteczki moje białe leżały teraz w pustyni i nikt by nie pamiętał Ismaïła Chodżajewa.

Helikoptery koszącym lotem doganiały uciekające wielbłądy, pociski targały i dziurawiły piasek, rozrzuciły zabite zwierzęta, karabiny ostrzeliwały karawanę.

- Wtedy, na pustyni, po raz pierwszy zobaczyłem Koran, zabrałem martwemu poganiaczowi. Do dziś jest w mojej bibliotece, a przy kartkowaniu stronc można znaleźć czerwone ziarenko pustyni Registan.

Wielbłądy, rozszarpywane wybuchami, ruszały się na gorącym piasku. Żołnierze patroszyli toboły, zrzucali broń na kupę. Ogolony poganiacz, w opadniętym miękkim turbanie, szczyrzył martwe bezzębne usta. Sierżant przystawił lufę do podniesionej głowy wielbłąda z fioletowym łzawym okiem...

Teraz oni - dwaj weterani odległej przegranej wojny - kiwali głowami, a momenty skamieniałego czasu ożywały.

Bielosielcew zobaczył, że przez otwarte wrota zagrody wjeżdżają dwaj jeźdźcy w kudłatych papachach. Ten z przodu trzymał na siodle przy pierś worek z materiału, przesiąknięty wilgotnymi ciemnymi plamami.

U drugiego z przytroczonych toreb sterczały żółte, drobno porąbane drwa. Obaj zeskoczyli, przywiązali konie do suchego drzewa. Konie zajęły się obgryzaniem kory z pnia żółtymi zębami, a ich właściciele rozłożyli na ziemi zgrzebne płótno, wyrzucili na nie różowego obdartego ze skóry barana bez głowy, z kikutami białych kości.

Dwaj dźwigici, zostawiwszy barana, przysiedli niedaleko pomostu, oczyszczali wyłożoną kamieniami jamę. Wygrzebywali garściami suche liście, zimne węgle, wygładzali dłońmi okopcone głązy. Nawrzucaли do jamy drew, podpalili. Przezroczysty dym popłynął do wierzchołków jabłoni. Konie stały cicho pod wytartymi siodłami, w dymie, jakby wdychały zapach palącej się sosny.

- Tak więc, Wiktorze Andriejewiczu, jestem gotów pana uważnie wysłuchać. Widać, sprawa, która zmusiła pana do pokonania tak dalekiej drogi, nie cierpi zwłoki. Jeśli będę mógł pomóc, może pan na mnie liczyć, jak na swojego młodszego przyjaciela. - Ismail siedział na dywanie, skrzyżowawszy nogi w wełnianych skarpetkach, położył na kolanach duże brązowe ręce, zapraszając Biełosielcewa do rozmowy.

- Drogi Ismaile, lada chwila ma się wydarzyć nieszczęście. Twoja ziemia Dagestan stała się obiektem przewrotnego zamiaru. Bezlitośni cynicy w Moskwie chcą rozpętać w Dagestanie jatkę. Za kilka dni, może jutro, może dzisiaj w nocy, oddziały Szamila Basajewa wtargną do Kaderskiej strefy, do bazy wahabitów i ogłoszą Wolny Dagestan. W odpowiedzi oddziały armii, które specjalnie otworzyły drogę Basajewowi, wabiąc go do Dagestanu, przypuszczą druzgocący atak artylerią, lotnictwem, będą walić do zniszczenia. U ciebie pewnie zjawili się gońcy od Czezeńców, podjudzając do powstania. Jeśli wesprzesz ich wejście, wybuchnie cała republika, cały Kaukaz, a powstańcza fala rozejdzie się daleko po całej Rosji, wzdłuż Wołgi, do Jakucji i Buriacji. Proszę cię, byś zachował zimną krew. Nie poddawaj się namowom. Jeśli chcesz, by Machaczkała z pałacami i parkami, z fontannami i meczetami, z pięknymi dziewczynami i kwitnącymi chłopcami, nie obróciła się w ziejący

krater, jak to się stało z Groznym, jeśli drogi ci pokój w twojej wiosce, drogi pokój w Dagestanie, uwierz mi i zachowaj zimną krew. Nie godzi się tobie, dumnemu Awarowi, umierać za interesy podleców.

W kamiennym dole tańczył rudy płomień. Góral w kędzierzawej paszasie uklęknął przy baraniej różowej tuszy, pruł nożem ścięgna, rozciął chrząstki i stawy. Wykrawał z barana wąskie czerwone kliny, ciskał je na kupę.

Bielosielcew milczał, patrzył na surową twarz Ismaïła, nie wiedząc, czy tamten go usłyszał. Dwie góry, podobne do kamiennych nastroszonych ptaków, niebieska i różowa, delikatnie świeciły na ciemniejącym niebie.

- Nie pytam, Wiktorze Andriejewiczu, kogo pan teraz, reprezentuje. Mnie wystarcza, że to pan, a nie ktoś inny. Nie wierzę przedstawicielom moskiewskiej władzy, nie wierzę przedstawicielom służb specjalnych. W Moskwie nie ma władzy i nie ma służb specjalnych. Wszystko jest w rękach bankierów. Cała Rosja jest dzisiaj jak filia Izraela. Czy jest sens, żeby narody kaukaskie wchodziły w skład takiej Rosji? Nasi bracia w Palestynie walczą z żydowskim jarzmem, a my tu, w Rosji, mamy wspierać to jarzmo? Oto w czym problem, Wiktorze Andriejewiczu, a to pytanie zadają sobie dzisiaj muzułmanie Kaukazu - Czeceńcy, Awarowie i Laktowie.

Na ziemi czerwieniła się sterta pokrojonego baraniego mięsa. Góral rozwiązał woreczek z grubą solą i zaczął sypać garściami na mięso.

- Drogi Ismaïle, Rosja posiada cechę wąskich gardeł historii, podobnie jak kra, rozłamuje się na wiele oddzielnych odłamków i przechodzi przez gardło w rozdrobnionym stanie. Potem, kiedy historia wylewa się na równinę i płynie szerokim korytem, Rosja znowu zbiera się z okrucichów i rusza jako cały kontynent. Dziś Rosja rozłamuje się, nie ma ani cara, ani wodza. Władza upadła, przechwycona przez zdrajców i złodziei, i władzą jesteśmy my, zwyczajni ludzie. Teraz, drogi Ismaïle, los Rosji w twoich rękach. Tu, w Dagestanie, w tych dniach będzie się

decydować los naszej Ojczyzny. Dagestan jest kluczowym kamieniem rosyjskiego losu. Ty możesz zostać wielkim burzycielem i rozsławić się jako bohater jednego wąwozu. Albo możesz zostać wielkim twórcą i zyskać sławę jako bohater Eurazji. Sens mojej prośby do ciebie: nie daj się skusić, powstrzymaj swoje bojowe oddziały od włączenia się.

Dwa kamienne ptaki drżały i otrząsały się. Góry słyszały czarodziej-skie słowo. Skamieniałe ptaki naprężały mocne skrzydła, były gotowe do lotu.

- Wiktorze Andriejewiczu, narody Dagestanu doznały od Rosji bardzo wiele krzywd. Do dziś w naszych wioskach śpiewają kołysanki, w których matki wyśpiewują niemowlętom o okrucieństwie rosyjskich żołnierzy Jermołowa, którzy wycięli w pień dagestańskie wioski. Nasz naród pamięta dżygitów, zabitych pod Walerykiem. W sowieckich czasach w wioskach zamykano meczety, szanowanych mułłów, patriotów Kaukazu aresztowano i rozstrzeliwano. Po wojnie niektóre nasze ludy były wysiedlone na kazachstańskie stepy. Teraz, w tych burzliwych latach, Moskwa nie potrafiła nas obronić przed złodziejami i rozbójnikami. Nasz naród obdarty, męczy się w biedzie, znieważany nadmiernymi podatkami, a Moskwa nie jest zdolna nas obronić. Po co nam taka Rosja? Po co nam taka Moskwa?

W jamie kręcił się ogień, jak lisica w norze. Górale otwierali płóciene woreczki z mielonymi górskimi ziołami, wysuszonymi latem na słońcu, utartymi w drewnianych domowych moździerzach. Konie dreptały w dymie. Głazy w ognisku rozpały się i pobieły od gorąca. Góral w papasze brał z woreczka szczypty pachnących ziół, obsypywał kawałki baraniny, jakby je błogosławił. Jego pomocnik nadziewał mięso na zaostrzone różgi, układał na płótnie.

- Drogi Ismaile, na krzywdy trzeba odpowiedzieć dobrem i wtedy krzywdy obróć się w miłość. Chcą cię wciągnąć w katastrofę. Z początku naród w natchnieniu pójdzie za tobą, jak za imamem, a potem, kiedy Dagestan zmieni się w ruinę, ktoś krzyknie: „To on wszystkiemu winien!”, i przeklną cię. Basajew, który mam cię obiecankami, podsuwa

ci udział w naftowym szlaku - oszuka cię. Jeśli zacznie się wielka wojna, nie będzie tędy przechodził naftociąg, a tylko szlak martwych. Tu będą użyte bomby lotnicze i bomby uranowe. Tu będą działały ogromne miotacze ognia i próżniowe ładunki bojowe. Tu będą wypróbowane helikoptery i czołgi najnowszych konstrukcji, a nie wykluczam, że podłecy wypróbują tu, w wąwozach Kaukazu, broń geofizyczną, wywołującą trzęsienia ziemi i obsunięcia. Jeśli cię Allah oświeci, możesz zostać wielkim synem Rosji. Kiedy Rosjanie wpadają w przygnębienie, kiedy karłowacieje arystokracja, kiedy wśród Rosjan nie można znaleźć wiernych synów Ojczyzny, takich synów przysyła Kaukaz, i oni stają się wielkimi Wodzami Rosji.

- Skąd mam wiedzieć, że Rosja mnie nie oszuka? Zostanę w domu, nie pójdę na pomoc Basajewowi, a rosyjska armia rozgromi wahabitów, wejdzie do mojej wioski i założy mi kajdanki.

Górale w papachach ostrożnie, trzymając za końce zaostzonych kijków, przenosili mięso do jamy. Układali je nad rozpalonym gniazdem. Nakrywali gałęziami rozpalonej sosny. Igliwie kurczyło się od żaru, spływało smolistymi dymami. Górale nakryli jamę kołdrą, klingami wzruszyli ziemię, nagrzebywali kopczyk nad jamą. Siwe strumyczki dymu wydostawały się na zewnątrz. Baranie mięso dojrzewało w ziemi jak korzeń. Nabierało siły i soków. Przyjmowało ogień, aromaty ziół, gorących kamieni i dymu.

- Drogi Ismaile, uwierz mi. Od tamtej pory, kiedy leżeliśmy za czerwoną wydumą w pustyni Registan i tłukliśmy wielbłądy - ja się nie zmieniłem, uwierz. W Rosji szykuje się odnowa. Zgnyły Bałwan odejdzie, jego miejsce zajmie Wybraniec. On skończy ze zdrajcami, usłyszy głos narodu. Przyjdą przemiany. Będą potrzebni patrioci Rosji, kimkolwiek by byli, gdziekolwiek by żyli. Jesteś jednym z nich. Zostaniesz liderem Dagestanu. Będą cię sławić jako twórcę pokoju, który odegnał wojnę od rodzimego progu. Dagestan czeka piękna przyszłość. Port na Morzu Kaspijskim, który zwiąże go z Iranem i Azją Mniejszą. Droga ryba,

naukowe centra, tworzące morskie ekranoplany, piękne jak ogromne wodne motyle. Tędy przejdzie szlak naftowy, łączący rozerwane przestrzenie kraju. Posiadasz wszystko, żeby zostać nie tylko Narodowym Wodzem, ale i Duchowym Liderem. Uwierz mi, posłuchaj mojej rady.

Mięso dojrzewało w ziemi, w szklanym powietrzu. Służący wynieśli z domu talerze i słodycze, rozstawili przed nimi. Okrągłe pszeniczne placiki. Malinowo-białe i złote jabłka. Kiście winogron z woskowym nalotem, jak oszronione. Pili herbatę, pojadając słodycze.

Szaszłyicznik w papasze, parząc dłonie, rozgrzebywał nasypaną ziemię. Ściągał z jamy koldrę. Owijał się dymem i żarem. Kładł na talerze patyki z brązową zapieczoną baraniną. Ismaïl wyciągnął mały nożyk ze srebrną rączką. Odciął płatki gorącej pieczeni i tłuszczu. Podał Biełosielcewowi:

- Pan jest droгим i upragnionym gościem. Dla pana pierwsza porcja.

Jedli baraninę, brudząc ręce tłuszczem, wycierali palce we włochate ręczniki. Pili z czarek mdławosłodki sok winogron. Niebo było koloru lazuru, wznosiły się w nim ciężkie stromizny, podobne do szarych kamiennych ptaków. U jednego dopalał się rubinowy grzebień.

- Muszę pomyśleć, Wiktorze Andriejewiczu. We wszystkim jest wola Allacha. Chcę odgadnąć jego wolę, nawet jeśli ta wola szykuje mi śmierć. - Ismaïl Chodżajew włożył otłuszczone palce do miski z wodą, którą przyniósł mu młody służący.

- Nastał czas wieczornej modlitwy. Muszę iść do meczetu.

Po niebieskiej, jakby wymoszczonej lazurytem, drodze szli do wiejskiego meczetu. Staruszkowie, opierając się na laskach, ledwie powłóczyli nogami w miękkich kaloszach. Krzepcy chłopci o spracowanych rękach trzymali pod pachami zwinięte modlitewne dywaniki. Młodzi, muskularni chłopcy, odziani w skórzane kurtki kroczyli sprężysto jak żołnierze. Zwinni młodzieńcy, spieszący się, speszeni, z pokłonami wyprzedzali powolnych starców. Wszyscy podążali drogą w jedną stronę,

dochodząc do szpiczastego meczetu. Zdejmowali obuwie na suchej zamiecionej ziemi. W skarpetkach albo boso, z umytymi nogami, wchodzili do góry po schodkach. Znikali w otwartych drzwiach. Biełosielcew odszedł od Ismaïła, który raptem zapomniał o gościu. Stał przed wejściem, czując, że ciągnie go do środka, gdzie o zmierzchu, pośród kolorowych ogni, kiwało się ludzkie mrowie. Przepuścił staruszka o garbatym nosie w karakułowym serdaku. Ustąpił z drogi młodzieńcowi w malutkiej ręcznej roboty czapeczce. I jakby go ktoś wziął za rękę, władczo poprowadził do drzwi. Zrzucił pantofle, które zaraz zgubiły się w stercie obuwia. Wszedł do meczetu.

W środku było mroczno, ciepło. Świeceńniki płonęły ciepłym, jak węgle, płomieniem. Migotały łyszczkiem kafle. Święte teksty, jak łodyga winorośli, oplatały meczet. Przestrzeń, w której stał Biełosielcew, była ciaśniejsza i gęstsza niż ta, co została na zewnątrz. Pod sklepieniem zgromadziły się energie, powiększające wrażenie szczelności, tworzące jej stężenie. Przybysze ścielili dywaniki, klękali. Wyglądali brody, podnosząc poważne i wzruszone twarze do wysokich wzorzystych otworów, w których ostatnim lazurem gasła wieczorna zorza. Biełosielcew stał z boku, przyłgnąwszy do ściany, na której za szkłem wisiał obraz meczetu w Medynie i na rozdwojonej klindze wypisana ciągiem sentencja Proroka. Było mu dobrze w muzułmańskim domu modlitwy. Tu było namodlone jak w prawosławnej cerkwi. Wierni, oczekujący godziny modlitwy, oddający dusze Allachowi, oddawali je Jedynemu Bogu, błogosławiącemu oceany i ziemie, narody i kraje. Jak światło wpadające w kryształowy pryzmat rozszczepia się w barwną tęczę, tak obraz Jedynego Boga, przełamując się w narodach, sławi się w meczetach i pagodach, w kościołach i prawosławnych cerkwiach. Tak czuł Biełosielcew błękit, spływający w duszę z wysokiego rzeźbionego okna, rodząc wzruszenie i tklivość.

Jeszcze niewidoczny mułła, bielejąc niewyraźnie turbanem, wygłosił pierwszy modlitewny werset. Z każdym nowym dźwiękiem, wyłaniając się z ciemności białą brodą, godny, garbatonosy, trzymając przy piersi

otwartą księgę, mułła zawodził, błagając Boga, żeby go usłyszał i wysłuchał. Wołał i z uniesieniem słał, uderzając modlitewnym dźwiękiem w monolit obumarłego świata, w którym były zamrożone ludzkie śpiące dusze. Zimny kamień i lód zaczynały tajać. Bielosielcew czujnie, namiętnie słuchał. Werset Koranu swoim ujawnionym dźwiękiem i tajemnym ukrytym sensem łączył się z jego zmęczoną, oczekującą na cud duszą. W nieruchomej przestrzeni meczetu, w gorącym mroku prawie powiało wiatrem. Modlący położyli się jak trawa, powaleni plackiem tym nagłym porywem. Odrywali od podłogi pokorne czoła, prostowali się, podnosząc twarze do lazuru, a potem naraz całym modlącym się na kolanach tłumem padali na twarz. Powtarzali niezliczoną ilość razy miękkie sprężyste kołysania, rozwiewając skostniałą, pozbawioną ducha materię. Pobudzali ją do oddychania, słuchania Boga, czucia nad sobą bezcielesnego twórczego Ducha. Ziemia i powietrze słabo drgały od tych pokłonów. Muzułmanie, oddzieleni od siebie wodami oceanów, wielkimi pustyniami, śnieżnymi szczytami gór, oddawali pokłony, wprawiając w rezonans ziemię przy śpiewnej, wzywającej Allacha modlitwie.

Bielosielcew odczuwał zbiorowy wysiłek miliardów ludzi, który wprawiał nurt rzek w modlitewny rytm.

Prawowierni modlili się w wiejskim dagestańskim meczecie. Modlili się w Karagandzie przy rynku, pod błękitną kopułą, gdzie w srebrnym ozdobnym puzderku był przechowywany włos Proroka, i on, Bielosielcew, zostawiając automat na czółgu, bezbronny i wierzący, prosił Najwyższego o łaskę. Modlili się w Me-dynie pod kamiennym śnieżnobiałym sklepieniem, z którego sterczały szpiczaste wieże, a on, onieśmielony, stąpał bosymi nogami po chłodnych wschodnich ornamentach. Modlili się w maleńkim meczecie w Latakii, stygnącej po zachodzie Sahary, a przez wąskie okna w ścianie on widział turkusowe morze i szary zmarznięty niszczyciel. Modlili się w Rawalpindi, gdzie z niebieskich minaretów przy blasku księżycy śpiewnie zawodził muezin i handlarze złotem spieszenie sprząkali kramiki.

Bielosielcew wy dostał z kieszeni chusteczkę. Rozłożył na kamiennej podłodze. Uklęknął, czując, jak zniżył się i zmałał w swojej dumie, w swoim samotnym życiu, dopominającym się uwagi Boga. Bezimienny był, pyłkiem wśród modlących się ludzi.

Uczestniczył ze wszystkimi w namazie, wdzięczny muzulmańskim wiernym za to, że przyjęli go, podróżnika, którego wieczorna modlitwa dosięgła z dala od prawosławnej świątyni. Wychodził z meczetu rozjaśniony wśród gęstego milczącego tłumu, wsuwającego nogi w kalosze i pantofle, szurającego po kamiennych płytach.

W ciemnościach wiejskiej ulicy, po której rozchodzili się ludzie, dogonił go Ismaïł Chodźajew w towarzystwie młodych ochroniarzy.

- Posłucham pana rady, Wiktorze Andriejewiczu. Nie pójdę na pomoc Basajewowi. Jeśli on napadnie na Dagestan, moi ludzie i ja zagroźdymy mu drogę. Bronią przegonimy go z powrotem do Czeczenii.

Pod zamglonymi gwiazdami wrócili do domu z pomarańczowymi oknami. Sad ciemniał i nie było widać, czy przy uschniętym drzewie stoją drzemiące konie. Ismaïł powiódł Bielosielcewa do jednej z licznych drewnianych przybudówek, suchych i czystych, z niskim tapczanem, na którym czyjeś troskliwe ręce rozesały pościel z puchatą jedwabną poduszką i stebnowaną lekką kołdrą.

- Niech pan odpoczywa, Wiktorze Andriejewiczu. Jeśli chce pan zdążyć na poranny samolot do Moskwy, trzeba się wcześniej obudzić. - Ismaïł pokłonił się, przyłożył rękę do serca i zostawił Bielosielcewa samego pośród delikatnych aromatów starego drzewa, słodkiego dymu i czegoś jeszcze, jakby ususzonych wonności.

Leżał bez światła. I było mu dobrze i spokojnie, a ostatnia myśl była o mglistych gwiazdach, płynących nad sadem, niknących za kamiennym grzbietem.

Obudził się przerażony. W domu rozlegały się głosy, za oknami błyskały światła, słychać było warkot motorów. Bielosielcew w pośpiechu

się ubrał, wsunął bosc nogi w domowe kapcie, wyszedł na boczne skrzydło. Niebo było rozświetlone gwiazdnym oślepiającym blaskiem, a w tym blasku dokonywało się szaleństwo. Gwiazdy przesuwały się i padały, porzucały zwykłe miejsca, przerywały powolny senny ruch, rozsypywały się gwiazdozbiory. Obok biegli ludzie, szczękała broń. Jaskrawe race oświetlały sad, wiszące jabłka, bezsensowne i niepotrzebne w tej godzinie światowej katastrofy. Na ganku, oświetlony reflektorami samochodu, pojawił się Ismail Chodżajew.

- Wojna - powiedział. - Basajew wszedł do Dagestanu. Ogłoszono zbiórkę pospolitego ruszenia. Pan zostanie tu, Wiktorze Andriejewiczu, czy pojedzie ze mną do Wąwozu Kadarskiego?

Gwiazdy krążyły w wirze, ginęły w czarnej dziurze, dokąd wpadał Wszechświat.

Rozdział osiemnasty

Kadarska strefa, dokąd trafił Biełosielcew, zmieniając dżipy na BTR-y, zostawiając oddziały pospolitego ruszenia i włączając się w kolumny wojska, dogadując się z operacyjnymi FSB i wykorzystując łączność z wywiadem wojskowym, sam Wąwóz Kadarski wydawał się niebieską czaszą z wysokimi kamiennymi brzegami. Po szarych kamiennych urwiskach, przemieniając się w gęste krzaki, spadały leśne zarośla. W dole zmieniały się w ciemną zieleń sadów. Kara-machi i Czaban-machi - tak nazywały się te osiedla, przypominające Biełosielcewowi sen, babcine opowiadania o Kaukazie, wiersze Puszkina i tajemniczą wiedzę o tym, że on już kiedyś tu był, być może w innym życiu. Zdawało się, że krucha niebieska planeta opuściła się na ziemię, zachowując urodę, niezemską formę życia, strzeżoną przez starożytnych bogów.

Bielosielcew patrzył na powstańcze wioski, siedząc na poboczu górskiej drogi. Słuchając niekończącego się brzęczenia konika polnego, wiedział, że niebieski obraz rajy - to tylko przekłamanie wzroku z powodu odległości. W pstrokaciźnie dolin kryją się pola minowe i pociski burzące. Na skraju pełnych, ociążałych od owoców sadów przechodzą okopy i rowy łączności. W rzeźbionych arkadach, podobnych do pałaców, urządzono punkty oporu. W winoroślach ukryto otwory strzelnicze i stanowiska snajperów. Pomiędzy patrolami, wartami, czarnobrodymi żołnierzami, pod białą kolumnadą jest Basajew, nieuchwytny Czeczeniec o zwiędłych ustach i krzywej brodzie. Kozimi ścieżkami ciągnie z Czeczenii wsparcie, objuczone osły szczękają oksydowaną stalą, małe japońskie radiostacje wysyłają sygnały wywoławcze i kody. Szklany błysk, który doleciał do oczu Bielosielcewa - zajacek światła na przedniej szybie ciężarówki, przewożącej lekkie działo. Szybko mknący słoneczny promyczek, który zamigotał u szczytu meczetu - odbłask lornetki, nakierowanej na niego, Bielosielcewa.

Pasikonik uporczywie dzwonił, utwierdzając Bielosielcewa w wierze w istnienie błękitnej planety. Tak by się chciało uwierzyć, oddalić okrutną wiedzę, obronić tajemniczy cudowny raj.

Drogą, chrzęszcząc po kamieniach, szły wojska. Kierowcy, komsandanci jednostek nie wierzyli w błękitną planetę, wpatrywali się w wąskie przejście wąwozu, szykowali się do ataku. Zgrzytały bojowe pojazdy rozminowujące, z wiszącymi gąsienicami, zamaskowanymi wieżyczkami, wysuwając do przodu wsporniki z walcami, podobne do pokranych krabów. Popelzną przed piechotą po zboczach gór, po winoroślach i arykach, wysadzając miny i fugasy, od których zrywają się walce, staje dęba stalowa maszyna, a kierowcy pękają bębenki, z uszu płynie krew.

Przeszła kolumna czołgów, kiwając lufami, z naciągniętymi jak stalowe bransolety gąsienicami, ze sterzącymi z wieżyczek głowami czołgistów, podobnymi do boksinerskich rękawic. Buczące, dźwięczące jak

piły ciągniki przetaszczyły baterię haubic. Armaty wężały lufami powietrze, podskakując na sprężystych kołach.

Poszły ciężkie miotacze ognia „Buratino”, podobne do dinozaurów, tępe, drapieżne, niosąc we wnętrzościach okrutny ogień. Zapłonnie pomarańczowa żagiew, rzuci w głąb zabudowań kulisty piorun - i próżniowy wybuch zmiecie połowę osady, przekształcając domy i drzewa, zwierzęta i trafionych żołnierzy w obłok świecących przezroczystych molekuł.

Bielosielcew patrzył na sunącą technikę, gniotącą drogę swoim wielotonowym ciężarem. W huku i warkocie maszyn pasikonik był niesłychalny. Ale kolumna, trzęsąc się i szczękając, cichła w oddali, i znowu zaczął terkotać pasikonik, przepowiadając raj.

Na BTR-ach, niskich i żwawych, podobnych do plamistych jaszczurek, szła piechota zmotoryzowana. Matowo świeciły karabiny, drgały pręty anten. Wieżyczki i pancerze oblepione przez żołnierzy. Bielosielcew dostrzegł pojedynczy BTR, doganiający kolumnę. Na pancerzu, osiodławszy karabin, siedział żołnierz, goły do pasa, białowłosy, ze sterującym czubem, zafascynowany szybkością i wiatrem. Twarde mięśnie błyszczały od potu, na piersi rozłożył skrzydła wytatuowany orzeł.

Na drodze podniósł się pył. Ukazało się czoło kolumny samochodowej. Otwarte ciężarówki wiozły żołnierzy pospolitego ruszenia. Dagestańcy w znoszonych mundurach maskujących, w czapkach, papachach i kapeluszach, trzymając przy nogach karabiny, kiwali się między zachlapanymi burtami. Nad kabiną czołowej maszyny powiewała zielona flaga. Kolumna przejechała wznosząc kurz, zamykał ją BTR starszej generacji i dżip, za którego szybą mignęła głowa Ismaïła Chodżajewa, jego szpakowata broda, zmarszczone czoło, kosmata barania papacha.

Punkt dowodzenia był położony na obrywie góry, w suchym kamiennym okopie, pod plamiastą siatką maskującą, która zmieniała okop w kłąb przykurzonej zieleni, gdzie skryli się oficerowie sztabu, lornetki,

lunety dalekiego zasięgu, przyciśnięte kamykami rozłożone mapy z zaznaczonymi na nich celami, radiostacje i telefony polowe, od których, jak wijące się rośliny, rozpełzały się we wszystkie strony przewody. Punkt dowodzenia buczał ochryplymi okrzykami, sygnałami wywoławczymi, cyfrowymi oznaczeniami, był połączony z niewidocznymi, schowanymi w załomach bateriami haubic „huraganów”, stanowiskami ogniowymi, oczekującymi rozkazu na rażenie ogniem celów. Na oddalonych lotniskach szturmowce były gotowe do ataku bombowego. Czołgi, nie wyłączając silników, stały na ukrytych pozycjach, gotowe na rozkaz wyjść wprost na cel. Piechota zesza z pancerzy i leżała na ciepłych zboczach, wyczekując, kiedy zadrży ziemia i nad głowami przeleca odrzutowe pociski.

Punkt dowodzenia przypominał brygadę chirurgów, gotowych przystąpić do operacji.

Bielosielcew patrzył na szczupłą twarz generała, na jego siwe skronie, i ten bezimienny generał, koczujący z wieku na wiek, był wykonawcą cykliczności żywej przyrody, kiedy jedna część życia zeszkrobywała z planety drugą, wypalając ją ogniem i żelazem. Widział tę beznamiętną, bez typowych cech twarz w afgańskich przedgórzach, angielskich pustyniach, nikaraguańskich subtropikach, w kamienistych wzgórzach Etiopii, w wilgotnych dżunglach Kambodży, w oliwkowych zaroślach Bekaa. Teraz ta beznamiętna twarz, jednakowa w rzymskich legionach i napoleońskich armiach, pojawiła się tu, na południu rosyjskiej ziemi, szykując się do starcia z powierzchnią powstańczych dagestańskich wiosek.

Głosy oficerów umilkły i wszystkie oczy skierowały się na generała. Ten patrzył przez lornetkę na ścieżkę, gdzie, powiększone optycznie, przechodziło stado owiec, pastuszek w czerwonej czapeczce wymachiwał gietką trzcina. Generał odłożył lornetkę, dotknął mapy, na którą szef sztabu położył dodatkowy kamień w obawie przed porywami wiatru. Bielosielcew nie dosłyszał słów generała i tylko z ruchu warg domyślił

się - „lotnictwo”. Teraz wszyscy patrzyli na celowniczego lotnictwa, który zdartym głosem pospieszał lecące w oddali samoloty:

- Ja „Kobalt”!... Rzuty dwa tysiące!... Cele „dwa zero sześć”, „dwa zero dziewięć”, „dwa zero trzy”... Fugasowe i fugasowo-odłamkowe... Cztery rakiety... Widoczność... Jak mnie rozumiałeś, „Sto czwarty”!...

Bielosielcew wpatrywał się w mglisty błękit, w którym, wyteżając oczy, dostrzegał rozkwitający srebrzysty blask. Z blasku bezdźwięcznie wyleciały białe kłębuszki na cienkich łodyżkach. Zawisły, wydłużając się, zmieniając się w siwe kędziorki. Jakby niewidoczny mędrzec kreślił w błękicie arabski napis. W loczkach i puklach, utworzonymi przez imitatory celów na podczerwień, pojawił się metaliczny, zgrzytliwy dźwięk. Iskra samolotu mknęła do ziemi, a pod nią powstawały czarne eksplozje. Na niebie pojawił się biały arabski inicjał, jakby ktoś pisał święty werset Koranu.

„Dlaczego ja muszę to wszystko widzieć?” - zapytywał się pogrążony w smutku Bielosielcew, czując się gwałtem przyprowadzony na to zboczce, gdzie go postawiono jako świadka i zmuszono nieprzerwanie patrzeć.

Pod maskującą siatką był harmider. Najgłośniejszym rozbrzmiewał pęknięty głos szefa artylerii, który wykrzykując szczerzył żółte zęby:

- Ja „Granit”!... Do dwóch baterii „tulipanów”!... Cele „sto trzy - zero cztery”, „sto sześć - zero jeden”... Fugasami, ciągłym... Ognia!...

Za górą wałnęło. Bateria „huraganów” słała ładunki za zbocza, gdzie w jaskiniach ukryły się karabiny Czeceńców. Siwe szczyty łamały się. Sypały się z nich kamienie, w tumanach pyłu spadała lawina. Zdzierała sady, przetaczała po polach głązy, upuszczając na dachy domów płonące meteoryty.

„Co mam robić?” - ze smutkiem pytał sam siebie Bielosielcew.

Podejść i ciężkim głazem uderzyć w skroń generała. Przebiec po okopie, wyrwać z rąk lornetki, podrzeć wojskową mapę. Oстрыm nożem poprzecinać sznury przewodów. Gorącą modlitwą przywołać burzę

piaskową, żeby zaproszyła oczy oficerom. Szef wojsk chemicznych, mały i piękny, naprowadzał na cele miotacze ognia:

- Ja „Fagot”!... Cel „dwa - pół setki - jeden”!... Odległość dwa tysiące metrów!... Jebnij ją, Pietrow, porządnie!...

Zdawało się, że podniósł się na pokracznych łapach przytający w górach dinozaur. Rozdwojonym czerwonym jęzorem szybko liźnął wioskę. I tam, gdzie dotknął jęzora, wybuchła kula ognia, powstała szara łysina, unosząc z ziemi część wioski razem z sadami, domami, meczetami.

Bielosielcew patrzył bezsilnie. Tak Wybraniec dążył do władzy, a on, Bielosielcew, pomagał mu w awansowaniu. Niszczył niebieską planetę.

Atak ogniowy przerwano. Wioska była płonąca stertą gruzów, z której sączyła się do nieba szara zawiesina. Generał analizował mapę ze zniszczonymi celami, do których szef sztabu przykładał przezroczystą linijkę.

- „Sto siódmy”, ja „Skała”! - Generał zbliżył usta do słuchawki radiostacji, wydając rozkaz do szturm. - Ruszaj, „Sto siódmy”!...

„Sto dziewiąty”, ja „Skała”!... Ruszaj, „Sto dziewiąty”!... „Góra”, „Góra”, ja „Skała”!... Wyprowadzaj na granicę „pudełka”!...

I znowu oficerowie oderwali się od ścian okopów, przyłgnęli do telefonów i radiostacji. Napelnili mgliste, słoneczne powietrze chrypą, kaszlem, gniewnymi krzykami, rzucając do przodu grupy szturmowe, wypychając je z ukryć na otwartą przestrzeń, smaganą ołowiem i wybuchami granatów. Bielosielcew leżał za okopem, przytknąwszy do oczu ciężką lornetkę. Wsłuchiwał się w bój, zgadując jego przebieg po zniekształconych oficerskich twarzach.

- Gdzie twoje „pudełka”, Tymonia!... U mnie dwa „dwusetne”! Wal w niebieski budynek!... Stamtąd snajper napięprza!...

Żołnierze pokonywali pustynny wygon, oddzielający wioskę od drogi. Biegli zygzakiem, rzucili się na ciepłą ziemię. Wciskali się twarzami w owce odchody, w wypaloną trawę i ciernie. Karabiny Czeczeńców kreśliły

linie pyłu, szukały na pustkowiu plamistych wzgórków, które w przypadku trafienia rozrzuciły ręce. Raniony w ramię porucznik wrzeszczał do radiostacji, kłął czołgistów, dopóki z ukrycia nie wyszedł ciężki czołg, złamał dwie jabłonie i na wprost uderzył w niebieski dom, zmiatając z fundamentu lekkie szczapki. Z lufy sączył się dym, żołnierze biegli po wygonie, porucznik, tracąc przytomność, szeptał do milczącej radiostacji:

- Rozpieprz ich, Tymonia, kochany...

Walka o punkt oporu. Na słonecznej ulicy leży martwy wahabita. W czarnej brodzie otwarte okrwawione usta. W brudnej pięści automat. Kula rosyjskiego snajpera przebiła gardło na wylot.

- Chłopaki, dajcie ognia!... Bez was ni chuja nie przejdiesz!...

Czołg uporczywie strzela w zielony płot, w blaszane ozdobne wrota. Pocisk przebija dziurę, z wizgiem leci w sad, ścinając stare grusze. Żołnierze zanurzają się w dymie. Biegną na podwórze, rzucają granaty w otwarte drzwi szopy, w okna płonącego domu. Z szopy razem z kurzymi piórami niesie się ryk rannego bydła.

- „Drugi”, nie mogę się podnieść!... Z meczetu mnie przyciskają!... Bij w górę, po kopule!... „Allah akbar”, mówię!

Haubica trzecim wystrzałem łamie minaret, gasi punkt karabinowy. Walka wręcz w meczecie. Niebieskooki, białowłosy Czeczeniec ładuje serię w biegnącego sierżanta specnazu. Tamten, padając z przedziurawionym brzuchem, rzuca desantowym nożem, trafia Czeczeńca w oko. Kosmaty wahabita obejmuje niedźwiedzim uściskiem żołnierza, łamie jego kruche kości. Oficer w marynarskiej koszulce w paski wsadza mu ostrze pod łopatkę, odrywa od wzorzystej podłogi. Mułła za rzeźbioną kolumną strzela z pistoletu w żołnierza, dziurawi mu twarz. Inny żołnierz straszliwym ciosem kolby wali na podłogę mułłę, młóci kolbą po głowie, dopóki ze zgniecionej czaszki nie chlusnęła czerwona maź. Kolorowe

odłamki szyb, porozrzucane modlitewne dywaniki, samotny kalosz z malinową zawartością.

- Dziękuję, „Dруги”!... Za mną paczka „Marlboro”!... „Allah akbar”, mówię!...

Bielosielcew przez lornetkę nie rozróżniał ludzi, nie widział przemieszczania czołgów. Powiększone soczewkami pękały eksplozje. W radiostacjach bulgotały słowa jak rżenie w poderżniętym gardle. Nagła myśl - zejść w dolinę, pograć się w dymach i eksplozjach, stanąć pośrodku między wojującymi stronami. Rozłożyć ręce na kształt krzyża, nie puszczając czołgów, wstrzymując strzelaninę karabinów, zawracając wstecz atakujące szeregi żołnierzy. Żeby przerwano rzeź, ludzie ocknęli się, położyli na ziemię broń. Milcząc zeszli do strumienia i umyli swoje pobite ręce, zalepione krwią i ropą oczy. Ale myśl była niedorzeczna i szalona.

- Palę się, „Rumianek”, palę się!... - Trafiony czołg, zgubiwszy gąsienicę, kręcił się w kółko, zmiatając rufą topolę, uderzając lufą w ceglany mostek, na ślepo walił z karabinu dokoła po pustej ulicy. Z dwóch stron, z ukryć, podniosły się granatniki, nakierowując ostre lufy w stalowego wilczka. Jednocześnie wypuściły granaty. Lepkie płomienie wgrzyły się w pancerz, przepaliły rozżarzone żądłem, rozsiekły i spaliły czołgistów. Huknęła eksplozja, wieżyczka z łomotem odskoczyła, miotając lufą, padła na klomb kwiatów. Z pustej dziury czołgu, jak z krateru, walił dym, strzelały wybuchając pociski. Przez ulicę, mijając rozbity czołg, przejechały granatniki, zmieniając pozycje.

- „Ósmy”, melduję - duże straty!... Utrzymanie pozycji niemożliwe!... Na wyłom idzie duża grupa przeciwnika!... Wzywam ogień na siebie!... Cel „dwa zero - sześć”!...

Przeskokami, gibcy, w czarnych mundurach, grzechocząc trzymanymi na wysokości brzucha karabinami, Czeceńcy zostawiali wioskę. Przerywali rzadki pierścień okrażenia. Zarzucali granatami siedzących w owczarni specnazowców. Dobijali seriami rannych żołnierzy pospolitego ruszenia, którzy ugrzęźli BTR-em w aryku. W walce wręcz, w milczeniu,

operując tasakami, wycięli baterię mózdzierzy. Uciekali w góry, czarni, zwinni, obwieszani taśmami karabinowymi, pozostawiając na zboczu słoneczne kłęby pyłu. Umierający mózdzierzowiec z rozprutym brzuchem podtrzymywał wypadające wnętrzności, ścisnął radiostację:

- „Ósmy”, u mnie duże straty!... Utrzymanie pozycji niemożliwe!... Cel „dwa zero - sześć”!... Ognia!...

Płonący helikopter spadał na wieś, czepiając się śmigłem nieba, wyrzucając welon dymu, gubiąc płynny ogień. Pierwszy pilot był rażony serią. Mechanik pokładowy z przestrzelonym płucem wił się na metalowej podłodze. Drugi pilot, nie radząc sobie z prowadzeniem, widział, jak wirując, przybliżyła się ziemia, czerwienieją dachy, bieje nadłamana iglica meczetu. Na podwórzach stali brodaci ludzie, podniósłszy w górę lufy, a z tych luf do helikoptera ciągnęły się blade punkciki ognia, łowiły maszynę w iskrzącą się pajęczynę, cmokały i zgrzytały po kadłubie. Pilot przez rozbitą wieżyczkę obserwacyjną widział podwórze, czeczeńskie działo, artylerzystów, prowadzących ogień po atakującej rosyjskiej piechocie. Ostatnim wysiłkiem pociągnął ster i skierował maszynę na działo, widząc, jak szybko rośnie ziemia, błyszczą odłamki szkła, biegnie przez podwórko wystraszona kura, a przy lawecie, zadarłszy brodatą twarz, patrzy Czeczeniec, jak pada na niego ogniowa świszcząca śmierć. I w ciągu sekund, kiedy helikopter, łamiąc łopaty śmigła, kabiną wbijał się w działo, z ogniowej strefy ostatnim sygnałem radiowym dobiegło: „Żegnajcie, chłopaki!...” - i wszystko utonęło w ogniu.

Bezwiednie wleczony jakąś siłą, zmuszającą go do krążenia po rozmieszonych oddziałach, między bateriami, punktami łączności, magazynami tyłowymi i łaźniami, Bielosielcew wyszedł na polowy szpital, rozlokowany na płaskiej nizinie. Stąd nie było widać miejsca walki, zza zbocza sterczały dwa kamienne krzywe szczyty. Szpital mieścił się w długim namiocie, połączonym z wojskowym furgonem. Zmęczony sanitariusz z

zakasanymi rękawami w poplamionym białym fartuchu palił przy wejściu papierosa, prowadząc wzrokiem dwie pary noszy, które z wysiłkiem taszczyli biegnący do helikoptera żołnierze - po czterech na każdego rannego. Piąty żołnierz biegł z boku, trzymając w powietrzu nad rannym butlę z kroplówką, podtrzymując gumową rurkę. Słońce błyszczało w szkle butli. Helikopter świszcział łopatomi. Piloci machaniem rąk popieszczali żołnierzy. Nosze załadowali w otwór helikoptera, zrzucili na ziemię puste. Drzwi się zamknęły i maszyna, podnosząc tumany kurzu, uleciała w słońce. Zmęczeni żołnierze wolno wracali, dźwigając puste nosze.

Bielosielcew nie decydował się, aby rozsunąć gumowaną płachtę namiotu, zajrzeć do środka, gdzie słychać było niewyraźne głosy. Jego reakcje były niewytłumaczalne, chorobliwe. Mogły wydać się nietaktowną ciekawością i nie wchodził, pozostając przy wejściu, gdzie wały się bandaże, opakowania po lekach, stało emaliowane wiadro. Znużeni żołnierze siedzieli na ziemi przy noszach i palili papierosy.

Na kamienistej drodze pojawił się obłok pyłu, rozległ się metaliczny warkot. Nawijając na gaśnice tumany kurzu, oślepiająco świecąc reflektorami, podjeżdżał sanitarny transporter. Zamarł przy szpitalu, zrzucając z siebie obłok pyłu, wydając gorączkowy dźwięk. Żołnierze rzucili się do transportera, otworzyli tylne stalowe drzwi, wyciągnęli nosze z rannymi. Szurając butami, biegiem ponieśli nosze do namiotu. Bielosielcew dostrzegł na wgniecionym brezencie długie zwiotczałe ciało w podartym zakrwawionym mundurze, bladą twarz o ostrym nosie z oficerskimi wąsikami i wypukłe mętne oczy.

- Na pierwszy stół!... - Niemłody lekarz w zielonkawym kombinezonie i czapeczce wyszedł z namiotu, przepuszczając nosze, patrząc, jak z transportera wynoszą drugiego rannego. - Nosze będziecie po sztuce oddawać!... Nie można nastarczyć!... - krzyknął na żołnierzy rozgrzani i rozdrażniony, z pociemniałymi od potu wąsami.

Drugie nosze przemknęły obok Bielosielcewa i on nie zobaczył twarzy, tylko ogromną zabandażowaną głowę z mokrymi rdzawymi plamami.

Transporter ruszył z powrotem. Żołnierze gęsiego wyszli ze szpitala i skryli się za ciężarówką w cieniu, i stamtąd popłynęły papierosowe dymki.

- Wiadro!... Dajcie wiadro, do diabła!... - Z namiotu wysunęła się głowa w okularach, w zielonej chirurgicznej czapeczce, nie znajdując żołnierzy, ze złością obejrzała zaśmieconą ziemię, na której stało emaliowane wiadro. - Wiadro, prędko! - rozkazał Bielosielcewowi doktor, a ten posłusznie złapał wiadro i spieszenie zanurkował do namiotu.

W przednim przedziale na ziemi rozmieszczono nosze, a na nich mamrotali, bulgotali, leżeli plackiem, ospale ruszali się ranni, w służbie, w posoce, wydzielając kwaśny zapach cierpienia, chorobliwych wydzielin, wyróciwszy nieruchome, pełne łez oczy. Nad nimi, umocowane na brezentowym dachu, wisiały kroplówki.

Drugi przedział był salą operacyjną. Stały w niej dwa stoły pod zapalonymi chromowanymi lampami. Przy obu pracowały zespoły chirurgów. Na ziemi wałała się zmięta odzież. W silnym świetle błyszcząca stal instrumentów, bryzgała krew; cukrowo biała, rozszczepiona, z różowymi ostrymi odłamkami sterczała kość. Twarz rannego była zakryta chustą. Lekko drgał zapadły brzuch z brudnym pępkiem. Owłosiona goła noga była zgięta w dwóch miejscach - w wypukłym niebieskawym kolanie i niżej, tam, gdzie na ścięgnach i skrawkach skóry wisiała zmiażdżona goleń. Tę goleń ze skrzypieniem i chrzęstem, jak rurę wodociągową, przepiłowywał ręczną piłką chirurg, szczerząc z wysiłku zęby. Jego pomocnik szukał oczami wiadra i, dostrzegłszy je w rękach Bielosielcewa, cisnął do niego nogę. Bielosielcew poczuł jej ciężar, zobaczył sterczące żółte paznokcie i atramentowej barwy stopę z odciskami. Chirurgdzy schylili się nad kikutem, wyciągali pincetami drobne kościane odłamki, smarowali ranę spirytusem i jodyną, nakładali szybko przemakające

tampony. Chusta na twarzy rannego poruszała się, wciągana w otwór ust i znowu wydmuchiwana.

„Ty powinienes to widzieć!” - dźwięczało pod sklepieniem namiotu, i Bielosielcew patrzył, nie mdlejąc, strzeżony przed pomieszaniem zmysłów czyjąś bezlitosną, karzącą wolą.

Na sąsiednim stole chirurdzy rozwijali z bandaży zlepiony toból, z którego wystawały nozdrza i otwór ust. W miarę rozwijania bandaży rdzawa i sucha plama robiła się coraz bardziej czerwona i wilgotna, póki nie pokazała się jasnobłond głowa z raną od kuli w czaszce. Z okrągłej przewierconej rany podnosił się i opadał maleńki czerwony pęcherzyk. Oko pod jasną brwią było mocno zaciśnięte, jakby z bólu. Drugie, wysadzone kulą, było szeroko otwarte, z obrzmiałym białkiem, rubinową siecią naczynek, rozszerzoną zmartwiałą źrenicą. Chirurdzy przemywali ranę, przykładali tampon, i dźwięki fletu zmieniały ton, jakby grający zamykał otwór w fujarce.

„Ty powinienes na to patrzeć!” - wymagał władczy głos, i Bielosielcew patrzył, czując, jak jego oko wypływa i w środku mózgu rozbłyska gwiazda klującego bólu.

Rannych zdjęto ze stołów w czystych bandażach, na których, jak na białych makatach, ktoś zaczynał wyszywać czerwone liście i owoce. Ich miejsca na stole zajęli dwaj inni.

- Mamy pierwszego czołgistę. - Chirurg, obserwując, jak rozbierają rannego, ściągają z niego zakopcone mokre łachmany, zwrócił się do drugiego chirurga, przecierającego spirytusem okulary. - W Groznych sami czołgiści i kierowcy BMP się trafiali.

Drugi nie odpowiedział, pił z plastikowej butelki ciepłą wodę.

Z poparzonego czołgisty ściągali przylepiony mundur, a on odklejał się od pleców razem ze skór jak plaster z gorzycy. Sanitariusze oddzielali kawałki skóry, jakby wyklejali na plecach kalkomanie - czerwoną, mokrą, z bąbelkami, wypaloną płomieniem, dotknięciem do gorącego pancerza. Ranny leżał bez czucia, zarośnięty policzek był ciemny od sadzy, a doktor wkławał w nabrzmiałą czarną żyłę pełną strzykawkę narkotyku.

Patrzenie na to było nie do wytrzymania. Na Sąd Ostateczny, na który zostanie wezwany, zebranych było dostatecznie dużo dowodów.

Biełosielcew skierował się do wyjścia, ale nagle obejrzał się. Na sąsiednim stole operacyjnym leżał nagi żołnierz, zgrabny, z wypukłymi mięśniami, jak antyczny posąg. Na jego piersi, sięgając skrzydłami do sutek, był wykluty niebieski orzeł. Jasna czupryna, która rankiem tak zawadiacko rozwiewała się na wietrze, była ciemna od lepkiego potu. Żołnierz głośno oddychał, a przy każdym oddechu z przebitego brzucha tryskała fontanna krwi.

- Mamuško, kochana, przyjdź, pomóż! - pełnym skargi głosem błagał ranny. - Mateczko kochana, boli!... Przyjdź, pomóż!

Żołnierz patrzył na Biełosielcewa niebieskimi oczami pełnymi łez i nie widział go. Nie mógł wiedzieć, że ten zgarbiony, nieszczęśliwy, niemłody człowiek, o szczupłych zaostrzonych rysach twarzy, był przyczyną jego śmiertelnej rany.

Biełosielcew wyszedł z namiotu pod wieczorne przejrzyste zielone niebo, po którym maleńką poczwarką zbliżał się helikopter po kolejną porcję rannych.

Na drodze powstała mętna chmura, paliły się w niej światła sanitarnej terenówki. Maszyna podjechała i stanęła, świecąc reflektorami. Ludzie zeskoczyli z pancerza i Biełosielcew zobaczył dagestańskich żołnierzy pospolitego ruszenia, w zakurzonych mundurach maskujących, z karabinami, w czapkach, w papachach, w panamach. Tylne drzwi otworzono, wyciągnięto z nich nosze, na których, brodą do góry, złączywszy na brzuchu duże ręce, leżał Ismaïl Chodżajew. Biełosielcew poznał jego nasępione surowo brwi, mocne usta, garbaty, jakby wyciosany z kamienia, nos.

- Jak to się stało?... - wykrzyknął Biełosielcew, spiesząc za noszami, niesionymi do namiotu.

- W Kara-machi kula w serce trafiła - odpowiedział żołnierz w papasze, ten sam, który jeszcze niedawno w starym sadzie Chodżajewa piekł w jamie barana.

Z namiotu wyszedł wojskowy lekarz. Pomacał nadgarstek Ismaila. Dostał się palcami pod potarganą brodę i poszukał tętnicy.

- Martwy... Stygnie... Nieście do helikoptera... Rozdmuchując śmieci, lądował helikopter i do niego ponieśli nosze.

On, Bielosielcew, był winien śmierci Chodźajewa. Tamten przyjął go w swoim domu jak upragnionego gościa. Ułożył na jedwabnych poduszkach w czystej sypialni pod starą górską bronią. Nie przypuszczał, że gdzieś tam w lufie już znajduje się celna kula, która przebije mu serce.

„W południowym skwarze, w dolinie Dagestanu... - mruczał zobojeźniały Bielosielcew, odchodząc od noszy, odprowadzając wzrokiem zabitego. - Z ołowiem w piersi leżałem... - Nosze oddaliły się, na nich widniała stercząca broda i duży kamienny nos. - W piersi mojej jeszcze dymiała się rana... - Z transportera wyciągano nowe nosze, i ktoś leżał na nich nieprzytomny, a kropiółka nad nim ledwie migiała. - Po kropli krew płynęła moja...”

Bielosielcew stał w wieczornych wzgórzach między startującym helikopterem i odjeżdżającym transporterem, a dwie góry zapaliły na szczytach żałobne rubinowe lampki.

Do rana opór wahabitów był złamany. Część zginęła i spaliła się na węgiel pod ruinami. Druga część razem z nieuchwytnym Basajewem przebiła się w góry i okrwawiona, unosząc na ramionach rannych, wróciła do Czeczenii. Pokojowo nastawieni wieśniacy, unosząc na rękach dzieci, rozproszyli się po okolicznych ścieżkach, chowając się w sąsiednich wąwozach, słysząc, jak grzmia eksplozje wśród spopielałych domów. Oddziały szturmowe, wykrwawione, zmęczone, odchodziły z Kara-machi. Zmieniały je w wiosce jednostki wojsk wewnętrznych. Prowadziły „czystkę”, przeczesały okaleczone sady, zburzone budowle. Zarzucały granatami piwnice. Puszczali na ślepo serie po szopach i kurnikach. Wtryskiwały rude strugi miotaczy ognia w otwory strzelnicze, gdzie jeszcze ostrzeliwali się skazani na zagładę wahabici.

Biełosielcew razem z pododdziałem wojsk wewnętrznych wchodził do wioski. Szedł w górę wiejską ulicą, koleiną, zrobioną przez czołgi. Pod nogami leżał czerwono-czarny dywan, rozjechany przez czołg. Kolorowa wełna była przetarta stalowymi ogniwami, na kaukaskim wzorze były ślady gąsienic. Oczy łzawiły od dymu, w gardle drapało od ostrego fetoru, dookoła tliły się szmaty, stygł pancierz, dymiły się resztki spalonego ciała. Pokrwawione bandaże, zmiażdżone miedziane gilzy, skorupy rozbitego wschodniego wazonu, zgnieciony trzewik, rozplaszczony trup owcy z czerwonym miałem rozdrobnionych kości, pokryty karakulem, z dziwną oskalpowaną głową, z której wystawał nabrzmiały język. Biełosielcew szedł w czołgowej koleinie, a ktoś niewidzialny w zamglonym słońcu mówił: „To ty. Twoja droga. Już nigdzie nie skręcisz”.

Przeszedł przez połamaną bramę na chłopskie podwórze, gdzie dom, rozbity bezpośrednim trafieniem bomby, był podobny do zabitego jucznego zwierzęcia, które podczas upadku rozsypało swój ładunek: kolorowe poduszki, szkiełka, przedmioty z metalu i gliny, sprzęt, naczynia, książki, abażur z materiału, kawałki łóżka, miedziany samowar.

I poczuł ogromną pustkę, której nie było czym zapełnić. Zaczął się modlić, zwracając się do Tego, który wymyślił dla niego to doświadczenie. Prowadzi przez piekło, upewniając, że to on, Biełosielcew, sam stworzył to piekło na obraz i podobieństwo swoje, urzeczywistnił obrazy prawdziwego piekła, mieszczącego się w nim od zawsze.

„Zabij mnie!” - modlił się Biełosielcew, patrząc na blade pęcherzyki lecących pocisków smugowych, pragnąc, żeby seria zmieniła kierunek, przyleciała i zabiła go, a on padnie przy słupie, żeby nie widzieć zgrozy panującej wokół.

Brnął dalej, modląc się o kulę, obchodząc dymiące głownie i ruiny.

Żołnierze w rozdętych kurtkach pancernych, w czarnych ciężkich hełmach, podobni do kosmonautów, podeszli do zielonej furtki. Dwóch

stanęło z obu stron, plecami do płotu, unosząc karabiny z podpórkami. Dwóch innych, odszedłszy kilka kroków, wycelowało lufy w furtkę. Trzeci, zgięty w pół, trzymając w wyciągniętej ręce granat, wziął rozbieg, uderzył barkiem w furtkę, rozbijając ją, wwałił się z krzykiem na podwórze. Pozostali zwinnie wemknęli się za nim. Bielosielcew samotnie wszedł za nimi.

Dom był nietknięty, na kamiennym fundamencie, z drewnianą galerią, z dachówką, spod której opadały wzorzyste rynny. Na poręczach była rozwieszona bielizna - wyprane koszule, damskie spódnice, kolorowe poszewki. Na podwórzu był kominek, na którym stały rondle, załuszczone patelnie. Na środku podwórza, na suchej ziemi leżała mała martwa dziewczynka w strojnej faldzistej sukience, z czarnymi kosmykami, smagłą nieżywą twarzą. Nad nią pochylała się oszalała kobieta z długimi włosami, nieuczesana, z ciemnymi sińcami pod dziko patrzącymi oczami. Koszulę miała rozpiętą, zwiesiła nad dziewczynką dużą fioletową pierś, wsuwała w martwe usta twardą brązową sutkę. Coś tam mruzczała, gaworzyła, podśpiewywała, nie zwracając uwagi na żołnierzy, stąpających obok zakurzonymi butami, przenoszącymi nad jej potarganą głową opuszczone lufy automatów.

Na słonecznym podwórzu stało żelazne łóżko ze sprężynami. Na nim, rozrzucając spracowane dłonie, leżała martwa kobieta, a dwóch żołnierzy gwałciło nagie stygnące zwłoki. Zrzucili pancerne kurtki i hełmy, odstawili automaty. Jeden kiwał się na kobiecie, ruszając chudymi pośladkami, drugi trzymał kobietę za bosą stopę, a jego oczy, nie widzące Bielosielcewa, były pełne bezmyślnego słonecznego blasku.

„No, zabij że mnie!” - wykrzykiwał Bielosielcew, stąpając po roztrzaskanej, pustej po horyzont planecie, na której stało oświetlone słońcem żelazne łóżko, a pod martwą kobietą i leżącym na niej żołnierzu przeciągle jęczały sprężyny.

Po drugiej stronie ulicy żołnierze okrążyli kamienny dom, opleciony po dach winoroślą. W kamiennym fundamencie domu niebieszczyły się

drzwi z desek. Żołnierze wycelowali w drzwi automaty, jeden z megafonem głośno wołał. Metaliczne dźwięki uderzały o ściany domu, o małe niebieskie drzwi:

- Wychodź bez broni!... Podnieś ręce!... Gwarantujemy zachowanie życia!... W przeciwnym wypadku dom będzie wysadzony!...

- Kto tam jest? - spytał Biełosielcew zmęczonego oficera w helmie, spod którego ściekał lepki pot.

- Przywódca wahabitów... Syna jego zabili, a on z karabinu ostrzeliwał się... Ale, widocznie, pociski mu się skończyły...

- Wychodź bez broni! - dalej buczał megafon. - Z podniesionymi rękoma!... Gwarantujemy zachowanie życia!...

Drzwi otworzyły się i w ciemnym otworze, potykając się, wyciągając na zewnątrz długie ręce, wyszedł człowiek, ciężki, gruby, z długą, spadającą na pierś brodą, w białej szydełkowej czapeczce. Ubrany był w ciąsną, niedopinającą się na piersi kurtkę, w za krótkie, jak na jego wzrost, spodnie, z których wystawały wielkie nogi w piłkarskich butach. Oczy mężczyzny, przywykające do słońca, patrzyły na żołnierzy leniwie i niewidząco.

- Bliżej!... - komenderował oficer, podchodząc do brodacza. - Ręce trzymać!... - szczekliwym krzykiem ponaglał wahabite, widząc, że tamten ręce opuszcza.

Ten powoli opuszczał ciężkie strudzone dłonie, których ze zmęczenia nie miał siły trzymać w górze. Dłonie opadły do pasa, wolno rozpięły kurtkę. Oczy zrobiły się okrągłe, groźne. W rękach pojawił się granat. Grzechoczące serie przebiły mu pierś w wielu miejscach, z których trysnęła krew, zlały się z hukiem eksplozji, kiedy on, wydawało się, rzucił granat w żołnierzy. Upadł z dymiącą wyrwą w piersi, a obok jęczyli i zwijali się pokaleczeni odłamkami żołnierze. Inni, cofając się, bili z daleka, wznosząc wokół leżącego bojownika obłoczki kurzu.

Biełosielcew wyszedł na skraj wioski, gdzie umierały rozwalone domy i podwórza, w każdy z nich trafił pocisk lub rakietą. Wioska leżała z przelamanym grzbietem, przebitą czaszką, wytoczoną krwią. Za nią zaczynały się winnice, pastwiska, pola uprawne, wydarte kamiennym

skalom motykami przez wiele pokoleń górali. Wszystko zaorala artyleria, spaliło lotnictwo, przypuszczające ogniowy atak na granicach obrony, gdzie siedzieli buntownicy, zamieniając aryki na okopy, rozmieszczając w kamiennych suszarniach armaty i stanowiska snajperów. Teraz tutaj pracowali saperzy, chodząc z wykrywaczami min po koślawych, czerwonorudych winnicach, wyciągając miny spod korzeni.

- Nie chodzić tu!... Pole minowe... Przeciwpiechotne z przeciwczołgowymi... - powiedział Biełosielcewowi mały zmęczony saper, wtykając w ziemię pręt z czerwoną chorągiewką, na której napisano: „miny”. Poszedł śladem towarzyszy, klując ziemię wykrywaczem min, ruszając popękanymi ustami, recytując wymyśloną przez niego samego modlitwę „o ratunek od min”.

Biełosielcew patrzył za odchodzącymi saperami, podnoszącymi leciutki słoneczny pył, jakby wszyscy oni, w złocistych aureolach gotowi byli wzlecieć w niebiosa.

Stał obok pręta z zakazującą wstępu chorągiewką. Niedaleko na zboczach ciemniała suszarnia, gdzie na żerdziach rozwieszano kiście winogron. Wysychały w ciepłym zmierzchu, owiewane wiatrem, zamieniając się w pomarszczone słodkie rodzynki.

Raptem z półokrągłej przesieki, ochryple krzycząc, wyrwał się jeździec. Koń stanął dęba, obrócił się wokół osi, rozpryskując kamienie. Jeździec z ogoloną głową, z rozwianą czarną brodą, opasany miedzianymi taśmami karabinowymi, dziko krzyknął, błysnął Biełosielcewowi nienawidzącymi oczyma, pognął konia w górę. W jednej ręce miał ręczny karabin i ściągnięte wodze. Drugą ręką, oderwaną, krwawiła z kikuta. Jeździec pognął konia galopem na zbocze. Spod końskich kopyt uderzył ostry, krzaczasty wybuch, rzucił konia na grzbiet. Jeszcze jedna eksplozja gruchnęła pod padającym jeźdźcem.

Biełosielcew wrócił do wsi. Bóg odmówił mu i kuli, i miny. Nie dopuścił do śmierci w dagestańskich górach. Zostawił przy życiu do nowych prób i utrapień.

Bielosielcew szedł po wsi, a naprzeciw jechał BTR. Na pancerzu, z najeżonymi lufami, siedzieli fizylierzy w zielonych, powiązanych na czeczeński sposób, chustach. W luku po pas stał generał z twardą surową twarzą jakby odbitą na rzymskiej monecie. Twarz generała była beznamiętna, jakby wiedział, że mała wojna, którą tylko co wygrał, wlokła za sobą wiele innych, jeszcze nieujawnionych, na których sądzone mu się zestarzeć. BTR oddalał się, a jego rufę pokrywał ciemnoczerwony dagestański dywan. Na dywanie siedział operator, filmując kamerą dymy i ruiny.

Rozdział dziewiętnasty

Bielosielcew wrócił do Moskwy porannym rejssem i w domu ściągnął z siebie ubranie, rzucił dwie nieświeże kupki w worki do prania. Nagi poszedł do łazienki i położył się w emaliowanej wannie, puścił z kranu równy szemrzący strumień. Wanna napełniała się, a on patrzył, jak rozbija się woda o jego podniesione kolano.

Woda, jak ją pojmował Tales z Miletu i jak pisał o boskiej przyrodzie Niemiec Windelband, którego filozoficzną książkę dawał mu do nauki dziadek - woda była przyczyną wszystkiego.

Wyszedł z wanny, nałożył szlafrok i, zostawiając na podłodze mokre ślady, wrócił do pokoju, gdzie czekała na niego kolekcja motyli, w którą zdążył obrócić większą część swoich życiowych wrażeń. Dagestańska podróż nie powiększyła jego kolekcji. Do niej nie wolno było dołączyć nowego motyla, który poderwał się nad Kara-machi po eksplozji ciężkiego miotacza ognia.

Bielosielcew w roztargnieniu włączył telewizor. I od razu z przerażeniem zaczął poznawać zarysy dagestańskich wsi u podnóża dwóch koślawych kamiennych gór. Kolumna wojskowych maszyn wzbijała kurz na górskiej drodze. Bateria haubic prowadziła ogień ciągły. W połowym

szpitalu zwijali się ranni, nad nimi błyszczały butle kroplówek. Długie, jak uchodzące w niebo drogi, ciągnęły się odrzutowe smugi, a za nimi leciały z wyciem pociski. Operator telewizyjny filmował zdobytą wioskę, zamienioną w wyrwy i ruiny. Spalony czołg z rozrzuconą przy meczecie załogą. Puste podwórze z żelaznym łóżkiem, na którym, rozrzuciwszy ręce i nogi, leżała martwa obnażona kobieta. Podarta księga Koranu pod zakurzonym trzewikiem żołnierza. Zabity, przeszyty bagnetem wahabita, wyszczerzający w czarnej brodzie bezzębne usta.

Kadry zniknęły i pojawił się Premier, wesoły, dużo mówiący, chętnie wyjaśniający:

- Wahabizm - to całkowicie nieszkodliwa utopijna teoria o powszechnej równości, braterstwie, zrodzona we współczesnym islamie... Dwie małe dagestańskie wioseczki, naiwnie ogłosiwszy swoją niezawisłość... - to żart, na który będziemy reagować śmiechem. Bardzo szybko ci górale opamiętają się i my na wspólnym święcie wypijemy za wielką i niepodzielną Rosję!...

Premier zniknął i znowu poszły ujęcia z odrzutowymi salwami, wyburzone domy, zabity wahabita z brodatą twarzą, utkwioną w ciężkim karabinie maszynowym, ziejąca wyrwa w meczecie, zmiażdżona przez czołg owca ze zniekształconą rogatą głową.

Bielosielcew wyłączył telewizor, pojmując, że operacja „Premier”, z powodu której podróżował do Dagestanu, kończy się.

Zadzwoił telefon. Grieczysznikow cieszył się z jego powrotu:

- Wspaniale zadziałałeś, Wiktorze Andriejewiczu, jak snajper, bezsprzecznie!... Ale nie należało tak ryzykować, nie należało iść na linię ognia!... Bardzo się baliśmy o ciebie... Trochę odpocząłeś?... Zapraszam na wieczór do teatru...

- Teatr wojennych akcji? - niewesoło zażartował Bielosielcew.

- W żadnym wypadku!... Teatr Wielki „Dama pikowa”... Najlepsze miejsca na parterze!...

- Jesteś pewien, że muszę iść?

- Bez wątplenia!... Będzie Prezydent, Premier i Wybraniec!... Cały moskiewski wielki świat!... Masz smoking, masz muszkę czyli motyla?

Weź jednego ze swojej kolekcji!... - Zaśmiał się i powiesił słuchawkę.

Wieczorne moskiewskie powietrze było koloru dojrzałego jabłka, kiedy Bielosielcew piechotą schodził Twerską do Teatru Wielkiego, podziwiając urodę i wypielegnowany blask miasta. Teatr Wielki z białego kamienia, pompatyczny, z czarną kwadrygą na jasnym delikatnym froncie, wpuszczał pod kolumny uroczystych teatromanów, niosących bukiety dla ulubionych śpiewaków. Coraz to podjeżdżały drogie limuzyny z zadbanymi szoferami, z towarzyszącymi im ciężkimi dżipami. Wierna ochrona uważnie obserwowała, jak wbiegają na schody mini-strowie, bankierzy, znani politycy, zagraniczni dyplomaci, przybyli z okolicznych miast gubernatorzy. Cały plac był obstawiony szpalerem milicjantów. Nierozpoznawalni agenci bezpieczeństwa zlewali się z tłumem, wałęsali przy kolumnach, niesłyszalnie rozmawiali przez małe radiostacje, jak leśne trudne do zobaczenia ptaki. Oczekiwano przyjazdu Prezydenta i Premiera. Wysoki moskiewski świat - politycy, literaci, autorzy programów telewizyjnych zapragnęli uczestniczyć w spektaklu, który nieoczekiwanie dla wszystkich zdecydował się obejrzeć chory, niepokazujący się publicznie Prezydent.

Z Greczysznikowem spotkali się w westybulu, stanąwszy w kolejce po lornetki, które rozchwytywano. Każdy chciał obejrzeć w imperatorskiej łoży Prezydenta. Sprawdzić, czy prawdziwe są plotki, według których on ledwie się porusza, otoczony nieodstępną świtą lekarzy. Bielosielcew z Greczysznikowem spacerowali po foyer, spotykając się z wieloma znakomitościami, często ukazujących się na ekranach telewizyjnych, a tu obecnych ciałem.

Mignął Mer, nie w swoim zwyczajnym przyodziewku energicznego kierownika robót i budowniczego dróg, ale w czarnym smokingu, niezbyt dobrze leżącym na jego niskiej krótkonogiej figurze, który go czynił podobnym do łysego pingwina. Z boku przeszedł Astros, ironiczny i

krewki, coś tłumaczący statecznemu ambasadorowi Izraela. Skaczącym wiewiórczym krokiem przemknął ZariECKI z brylantową spinką w jedwabnym krawacie.

- Dzisiaj będzie zadziwiający spektakl - tajemniczo powiedział Grieczysznikow. - Jeśli pamiętasz, Prezydent zaczął swoją karierę od baletu „Jezioro łabędzie”, a zakończy swą drogę operą „Dama pikowa”. Rosyjska polityka w końcu dwudziestego wieku tworzy się przy muzyce Czajkowskiego. Zajmujmy nasze miejsca, Wiktorze Andriejewiczu. Będziemy wszystko doskonale widzieć.

Weszli do sali - do ogromnej złotej muszli, barwnej, błyszczącej, wypełnionej szmerem, szelestem, tajemniczym gwarem. W górze świątecznie triumfująco lśnił diamentowy żyrandol, jak niegasnąca gwiazda Imperium.

Bielosielcew przeżył nieprawdopodobny błogostan, cudowną iluzję, zmuszającą do zapomnienia się w przedsmaku wspaniałej umowności, kiedy sztucznymi sposobami proste, naturalne życie zamierało i z muzyki, światła, nienaturalnych póz i wyrażań, tworzyło się efemeryczne odbicie bytu, jego barwny cień, złowiony w złotą pułapkę.

Z kanału orkiestrowego rozlegały się słabe dźwięki, jakby tam, w akсамitnej głębi, były posiane nasionka dźwięków.

Rzędy zapełniały się. Coraz mniej było safianowej czerwieni, coraz więcej czerni i bieli. Błyskały lornetki, migotała biżuteria na obnażonych kobiecych szyjach. Złota muszla obejmowała swoimi skrzydełkami żywe serce, będące w lekkim ruchu, w miękkich i barwnych pulsacjach.

Nagle przez teatr przebiegła fala ożywienia. Wszystkie lornetki, wszystkie twarze zwróciły się w kierunku imperatorskiej łoży, podobnej do ogromnej złotej karety. Do łoży wszedł Prezydent. Powoli, jakby z trudem zachowując równowagę, podszedł do parapetu, ciężki, w czarnym garniturze, o nalanej twarzy, z maleńkimi, zapuchniętymi oczami. Powoli obejrzał przestronną salę, zmrużył oczy, patrząc na diamentowy żyrandol.

Wszyscy obecni wstali z krzesel, zaczęli klaskać. Kilka sekund słuchał oklasków, jakby się upewniał, że jak dawniej jest lubiany i wszechwładny. Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech, z trudem pokłonił się sali. Za jego plecami pojawiła się żona w ciemnoniebieskim aksamicie i młodsza córka z obnażoną szyją, na której migotał brylantowy naszyjnik. Owacji nie przerywano i teraz odnosiły się do całej sierpniowej rodziny. Sala sławiła tę rodzinę, zwracając się w stronę łoży z dołu, z parteru, i z góry, z balkonów, z zachwytem i wiernopoddaństwem wpatrywano się w złożoną ramę, w której były zamknięte trzy blade twarze z cechami rodzinnego podobieństwa.

Następnie pojawiła się czwarta, okrągła, skromnie uśmiechająca się twarz - Premiera. Ten na początku pozostawał z tyłu, ale potem, kiedy Prezydent zaczął siadać i owacje zaczęły po trochu cichnąć, podszedł bliżej i zajął miejsce w pierwszym rzędzie łoży, trochę z boku żony Prezydenta. Prezydent siedział wyczerpany, uśmiechając się, z martwą maską mongolskiego chana o wąskich oczach. Z trudem kręcił głową na grubej szyi, nie przestając się uśmiechać, póki nie zobaczył Premiera. Twarz mu się nagle zmieniła, spurpurowiała, kąciki ust opuściły się, oczy rozszerzyły, i stamtąd, jak z głębi kamienia, błysnęła wściekłość. Coś powiedział Premierowi - niewyraźnego wśród przedłużających się oklasków. Sala dostrzegła tę zmienioną twarz i od razu umilkła. Wsłuchiwała się w głos, chrypliwie brzmiący w złożonej łoży. Premier słuchał stojąc i widać było, że się spocił i poczerwieniał.

- Pan przyszedł posłuchać opery? - Akustyka starej sali, pozwalającej śpiewać Sobinowowi, Szalapinowi i Kozłowskiemu, niosła słowa Prezydenta do najbardziej oddalonych miejsc. - Pan powinien teraz grzebać żołnierzy, którzy zginęli w Dagestanie na skutek pańskich niezręcznych i niekompetentnych posunięć. - Na sali i również w kanale orkiestrowym panowała absolutna cisza. - Pan powinien teraz znajdować się nie w operze, a w Dagestanie!

Premier miał czerwone policzki i szyję i bardzo białe czoło. Bezdźwicznie poruszał bezkrwawymi wargami.

- Niech pan idzie! - gonił go Prezydent, wybuchając purpurowym ciężkim gniewem.

Premier odwrócił się i wyszedł. W sali była taka cisza, że wydawało się, iż słycać stuk oddalających się kroków Premiera.

Żyrandol pod sufitem zaczął powoli gasnąć. Płynął z niego czarodziejski blask. W mroku nagle zabrzmiała uwertura, jakby ogniowy salut eksplodował w noc i tysiące wichrów, błysków, promienistych błyskawic popłynęło do góry.

Kurtyna podniosła się i ukazał się Sad Letni ze znaną żelazną kratą, z antycznymi posągami bogów i bohaterów. Po jego alejach petersburska arystokracja w mundurach, krynolinach, cywilnych frakach, koronkowych czepkach popłynęła jak efemeryczny rój motyli.

Kiedy zakończył się pierwszy akt, kurtyna opadła i kryształowe oślepiające słońce zapaliło się na sztukatorskim suficie, w złotej łoży Prezydenta siedział Wybraniec, cichy, spokojny, sympatyczny. Bielosielcew skierował lornetkę na łożę, prześlizgnął się po niebieskim aksamicie prezydenckiej żony, po gołej szyi wielmożnej córki, po siwowłosej głowie Prezydenta i zobaczył w powiększeniu subtelną twarz Wybrańca. I niewyraźny zagadkowy zajęczek u nasady jego nosa.

- Możemy iść, Wiktorze Andriejewiczu - z zadowoleniem powiedział Greczysznikow - oni dośpiewają bez nas. My zaś pozwolimy sobie na lekką kolację i trochę whisky. Wypijemy za spokój przyjaciela wszystkich głupców i wahabitów.

Rano, kiedy włączył telewizor, Bielosielcew usłyszał Dekret o dymisji Premiera i o wyznaczeniu Wybrańca jako czasowo pełniącego obowiązki Premiera, do czasu zatwierdzenia jego kandydatury przez Dumę.

CIĄe TRZECIA

OPERACJA «CAMUS»

Rozdział dwudziesty

Bielosielcew starał się zrozumieć, kim są ludzie, którym powierzył swoją wolę. Kim oni są, niszczący reputację ludzi władzy, doprowadzający do czołowego zderzenia potężnych polityków. Nie należeli do znanych partii, nie pracowali w rządowych instytucjach. Nie gościli na lakierowanych okładkach czasopism, nie pokazywali się na ekranach telewizorów. Jak cienie, wchodzili w najbardziej ukryte korytarze, do nieosiągalnych sekretnych gabinetów. Przyjmowali ich bogacze i ministrowie, generałowie i zagraniczni ambasadorzy, wysłuchiwała krnąbrna prezydencka Córka. Ich władza opierała się nie na pieniądzach czy sile armii. Była niewytłumaczalna, tajemnicza, z gatunku czarów, wiedzy tajemnej.

Możliwe, że byli członkami tajnej loży, której korzenie głęboko tkwiły w zbutwiałej ściółce, w której umierały drzewa-olbrzymy w epoce Breżniewa, sztucznie podlewane przez zagadkowego czekistę Andropowa. Albo byli zachowanym, doskonale zakonspirowanym politycznym wywiadem Lenina, który przetrwał kosmiczną katastrofę „pierestrojki”, masowe wyginięcie kostropatych komunistycznych jaszczurów. Lub być może stanowili część globalnego tajnego bractwa, skupiającego służby specjalne świata, niedosięgłego i wszechmocnego, o którym mimochodem, w

cieniu afrykańskiej akacji, wspomniał mu MacWillen, mistyk, entomolog, wywiadowca.

Dziwny i groźny wydał się Bielosielcewowi przybytek w zagadkowej „Fundacji” na placu Czerwonym. Z pokoju z lustrzanymi oknami, z baterią kolorowych telefonów, z milczącą załogą bez twarzy, która jak cienie przemykała po mrocznych korytarzach, z gabinetu, który kiedyś zajmował Trocki, sprawiający wrażenie niewidomego w czarnych słoneczkach okularów, a teraz ledwie słycać szum komputerów, przeglądających kolorowe stronicie - z tego schronu prowadzono rządy ogromnym krajem. Metodą igielnych nakłuć, wzbudzając i gnębiąc, trzymali w posłuszeństwie kraj, konający z bólu, jak pozbawiona sił kobieta, co leży pod światłem lamp i nie może urodzić. Ludzie w maskach wkładali preparaty w jego ogromny dyszący brzuch, w którym w konwulsjach przewracało się niewidoczne niemowlę.

Bielosielcew wyobrażał sobie, że pokój „Fundacji” w dębowej oprawie, z miedzianymi zamkami i klamkami, był tylko małą, wystającą na powierzchnię częścią podziemnego królestwa, które wykopało pod Moskwą niezliczone tunele i korytarze, podziemne chodniki i sztolnie, łączące „Fundację” z ośrodkami władzy. Jeśli wsiaść do niewidocznej windy, ukrytej w głębi korytarza, zająć miejsce w kryształowej kapsule, bezgłośnie lecącej w dół, to można znaleźć się raptem na podziemnym peronie, skąd małe niebieskie wagony z milczącymi maszynistami w wojskowych mundurach, pomkną przez podziemne tunele, nie spotykając się z pociągami metra, omijając marmury, światła, kręcący się tłum, przystając na podziemnych stacjach bez nazwy. Bezgłośnie windy uniosą cię do góry, i znajdziesz się w kremlowskim malachitowo-marmurowym gabinecie, z trójkolorowym sztandarem prezydenckim. Albo wyjdiesz z windy i wkroczysz na ołtarz ogromnej ozdobionej freskami świątyni, z szemrzającym tłumem o wielu twarzach, oczekującym na wejście Najświętszego. A Patriarcha w złotych szatach patrzy w lustro na swoje słoneczne odbicie, rozczesuje siwe miękkie pukle, skrapia je francuskimi

perfumami. Powoli podnosi przed lustrem złożony rękaw, lekkim trelem sprawdza głos, przygotowując się do kazania. Albo minąwszy strażę znajdziesz się w gabinecie wojskowego ministra z ogromnym globusem, popiersiem cara Piotra, mapą teatru działań wojennych.

Moskwa ze swoimi cerkwiemi, pałacami, prospektami, z wieżowcami i obwodnicami ma podziemne odbicie. Zwrócona w dół szczytami i iglicami. Przegląda się skamieniałym podziemnym wzrokiem w lustrze piekła.

Bielosielcew miał wrażenie, że jest połączony z „Fundacją” cieniutkim światłowodem, pozwalającym obserwować każdą jego sekundę. Czytać jego myśli. Na przykład teraz, kiedy leży na kanapie, patrzy na kolekcję motyli, na czarno-zielone uranie, schwyte na brzegu nikaraгуаńskiej Rio-Coco, ktoś tam, uśmiechając się, śledzi jego bezsensowną fantazję.

Zadzwonił telefon. Nie było wątpliwości, że to dzwoni Grecyzschnikow, a w pierwszych jego słowach będzie napomknięcie o motylach.

- Szczególnie piękne są uranie z Ameryki Środkowej, kiedy pada na nie nieostre światło moskiewskiego poranka i zapala na czarno-aksamitnych skrzydełkach szmaragdowe lampasy. - Grecyzschnikow śmiał się, wiedząc, jakie wrażenie wywrą na Bielosielcewie jego słowa. - Wyobrażam sobie, jak jesteś zmęczony... jak chcesz się wyciągnąć i podrzemać na własnej kanapie... Ale jest pilna sprawa... Przyjeżdżaj zaraz do „Fundacji”... Sprawa niecierpiąca zwłoki. - Prawie rozkazał Grecyzschnikow i przerwał rozmowę.

Oczywiście, on nigdzie nie pojedzie. Nie podporządkuje się rozkazowi mało zrozumiałego niesympatycznego człowieka, uważającego siebie za szefa Bielosielcewa. Będzie leżał na kanapie. Zapomni o wszystkim, co się stało, pojedzie na daczę, tam zacznie rozsadzać rozrośnięte pachnące floksy, wykopywać szpadlem twarde bulwy georginii, łuskowate cebulki przekwitłych tulipanów. Albo wybierze się do Posadu Siergijewskiego, gdzie cudowna, ze złotą koroną, niebieskimi kopułami święta Ławra, i kamienny stary sobór, i w aksamitnym mroku srebrny relikwiarz Świętego,

do którego przyciśnie czoło i szeptem pomodli się o przebaczenie za grzechy. Albo wsiądzie wieczorem do pociągu do Pskowa, a rankiem - słoneczne rozlewisko Wielikiej, ponury Kreml, ściana łopianów, gdzie kiedyś znajdowało się czarne wilgotne wykopalisko archeologów z resztkami zbutwiałych jezdni, spróchniałych zrębów, i dziewczyna o zielonych oczach, jego ukochana Ania.

Wiedział, że nie wsiądzie do tego pociągu, nie przyłgnie ustami do srebrnego relikwiarza, nie klęknie przy zarośniętym klombie przed wilgotnymi kępami floksów. Wstanie i pojedzie do „Fundacji”.

Grieczysznikow czekał na niego wprost na ulicy przy cokole Wasyla Błogosławionego. Wyglądał na zatroskanego, trwożliwie zerkał dokoła - na Miejsce Straceń, na Spasską Bramę, na połyskliwą przestrzeń placu Czerwonego, jakby na kogoś czekał. Biełosielcew w roztargnieniu wpatrywał się w oddaloną pastelowo-różową ścianę Kremla z granatowymi czubkami jodeł. Na lewo od Mauzoleum, na wąskiej czterokątnej kolumnie, powinno być popiersie Stalina z czerwoną kroplą żywych kwiatów. I nagle w mózgu eksplodowała myśl. Stalin nie jest zakopany w ziemi, nie obrócił się w proch, a tylko jest umieszczony w podziemnym, ukrytym przed ludzkimi oczami, mauzoleum. Leży pod szkłem w sarkofagu. Do utajonego grobowca prowadzi potajemny korytarz z pomieszczenia „Fundacji” i na życzenie można tam pójść.

W znajomym gabinecie stał stół nakryty na sześć osób. Uroczyście świeciła porcelana, rozbłyskiwał kryształ, w grubych szklanych świecznikach paliły się świece. W drzwiach pojawiał się i znikał służący w białych rękawczkach, milcząco pytając, czy nie pora już podawać.

- Bardzo na ciebie liczę, Wiktorze Andriejewiczu, chociaż rozumiem, że twoje siły są na wyczerpaniu. - Grieczysznikow przymilnie zaglądał w oczy Biełosielcewowi, prawie błagająco. - Z twoją pomocą zakończyliśmy dwa etapy projektu. Przeprowadziliśmy dwie operacje -

„Prokurator” i „Premier”. Ich realizacja była bez zarzutu. Przy czym przeciwnik nie rozpracował planów operacji, wykonawcy nie byli spaleni. Twoje doświadczenie, odwaga, twoje oryginalne podejście zapewniły zwycięstwo. Wcześniej za coś takiego nagradzano Gwiazdą Bohatera. Teraz nie miej wątpliwości, będziesz nagrodzony według wyższej kategorii. Akcjami, kontami w bankach, członkostwem w radach nadzorczych wielkich korporacji... - Grieczysznikow starał się uszczęśliwić i zachęcić Bielosielcewa, nie pozostawiając mu czasu na odmowę.

Bielosielcew uważnie słuchał, starając się przewidzieć tok rozmowy, niedomówienia, w którym kryje się błyskawiczna jasna myśl, z której wyrwie się, jak burza, następny etap projektu.

W myślach zjeżdżał staromodną windą, która zachowała estetykę powojennych lat. Plafon, umocowany w ramie z brązu z małymi gwiazdeczkami, skrzyżowanymi armatami i snopami kłosów. Zmatowiałe lustro w złoconej ramie. Ściany obite naturalną, trochę wytartą skórą. Wystrój windy przypominał rządowy pulmanowski wagon, w którym wódz samotnie w miękkim przedziale patrzył na mijane rosyjskie przestrzenie, spiesząc z Moskwy na Kaukaz, podnosił do ust kruche słodkie ciastko...

- Jednakże teraz, kiedy nastąpiło przerwanie tamy i Wybrańiec zbliżył się do samego Bałwana, zaczęły się zbierać chmury. Wrogowie ocknęli się, szykują się do rewanzu. Chcą zniszczyć Wybrańca, zrzucić go z piedestału. - Twarz Grieczysznikowa wyrażała trwogę. - Zawiazuje się spisek przeciwko Wybrańcowi. Przekupione siły specjalne zbierają na niego kompromitujące informacje. Zagraniczni ambasadorowie ślą do swoich stolic trwożne szyfrogramy. Starają się nastawić przeciwko prezydentką Córkę. Podszeptują, podgadują samego Bałwana. A głównymi spiskowcami okazali się Zariecki i Astros. Nie osiągnęli swoich strategicznych celów. Astrosowi nie udało się zrobić Mera szefem Rządu. Zariecki nie potrafił utrzymać na tym urzędzie bezwolnego, oddanego mu całkowicie Premiera. Obaj magnaci stali się wrogami Wybrańca...

Wyszedł z windy i znalazł się w długim tunelu, wyłożonym granitem i marmurem. Kroczył pod miękkim matowym światłem lamp. Na ścianach były mozaiki, przedstawiające żołnierzy i marynarzy, chłopów i robotników, armady lecących w błękitie samolotów, lawiny jadących czołgów. Migotał brylantami ogromny „Order Zwycięstwa”. Świecił wielobarwny fresk, przedstawiający „Przyjaźń narodów”. W tunelu powiewał ciepły wiatr. Nogi z cichym odgłosem stąpały po granicie. Jego cień pojawiał się i znikał przy kolejnej lampie...

- General Suahili, tworząc projekt, uczył - przeciwdziałanie w miarę przybliżania do celu będzie wzrastało niepomierne. Trudno osiągnąć zwycięstwo, ale sto razy trudniej je utrzymać. Wróg będzie jednoczył siły, będzie zadawał zdradzieckie ciosy. I należy go zniszczyć bez litości. Jeśli wróg nie poddaje się, trzeba go zlikwidować. - Twarz Greczysznikowa stała się zawzięta. - Tak mówił Suahili. Tak postępował Dzierżyński. Tak powiadał towarzysz Stalin...

Przeszedł tunel, przecinając pod ziemią plac Czerwony, po którym spacerowali gapie, a fioletowy Murzyn z Ghany w białych skarpetkach z rozkoszą lizał lody. Tunel kończył się skrzydłami zamkniętych drzwi z ciemnych dębowych desek, obitych miedzią, z ozdobnymi klamkami z brązu. Nad drzwiami była płaskorzeźba z żalobnie pochylonymi flagami i laurowymi wieńcami...

- Musimy usunąć obu magnatów, którzy stali się główną przeszkodą „Projektu Suahili”. Przypuścimy atak rewolucyjny! - Oczy Greczysznikowa błysnęły. - Trzeba pogodzić Astrosa i Zarickiego, połączyć ich i jednocześnie obu przytrzasnąć. Społeczeństwo jest nimi zmęczone. Usunięcie ich naród przyjmie z radością. Wybraniec, któremu przypiszemy chwałę ich usunięcia, będzie przyjęty jak wybawca. Zwabimy ich w pułapkę, a oni w nią wpadną. Pułapka gotowa, stół nakryty, świecą świece. Za kilka minut oni tu będą...

Bielosielcew pchnął ciężkie dębowe drzwi, które otworzyły się i wionęło na niego ciepłą gęstą ciemnością. W mroku, na postumencie, nakryty kryształowym wiekiem, oświetlony czerwonym światłem, leżał

Stalin. Złote guziki świeciły się na wojskowym mundurze. Żółtawa dłoń, wystająca z szerokiego rękawa, leżała na piersi. Siwe wąsy były przystrzyżone i rozczesane. Popielate włosy starannie ułożone. W oczodołach, na szczelnie zamkniętych powiekach zgromadziły się brązowe cienie. Wyglądał jak żywy, śpiący, z cielistą barwą ogolonych policzków, różowawych lekko rozchylonych ust. W grobowcu było chłodnawo, pracowały bezszmerowe wentylatory, powietrze cyrkulowało. Przynęty podtrzymywały temperaturę, ciśnienie, wilgotność. Mogło się wydawać, że leżący pod szklanym wiekiem wódz jest uśpiony, podłączony do sztucznego oddychania, do sztucznego krwiobiegu...

- Zgadzasz się pomóc?... - Twarz Grieczysznikowa była subtelna, natchniona...

Stalin w szklanej trumnie był żywy. Drzemał przy lekkim szumie wentylatorów, w powiewach chłodnego powietrza, lekko oświetlony rubinową lampką. Jego głowa marszczyła poduszkę. Epolety złożyły się na galowym mundurze. Nastąpi moment, kiedy zapłonie ostre elektryczne światło, ludzie w białych fartuchach podniosą szklane wieko, zrobią w żółtawą rękę zastrzyk. Stalin westchnie, otworzy oczy, zacznie się podnosić. I na plac Czerwony, na granitową budowlę Mauzoleum, witając tłumy nowych narodowych pokoleń, szeregi śnieżnobiałych sportowców, kolumny warkoczających czołgów, wyjdzie wódz, uśmiechając się i machając ręką. Niebieskie niebo napełni się srebrem gołębic stad...

Bielosielcew ocknął się. Nakryty stół. Świece w szklanych lichtarzach. Człowiek z pomarańczowymi oczami leśnego gołębia natarczywie, ze złością dopytuje:

- Zgadzasz się?... Chcesz pomóc?...

- Zgadzam się - powiedział Bielosielcew. - Przecież niedawno już byłem aniołem pokoju.

Grieczysznikow podeszedł do okna, patrzył na plac. - Jada! - triumfująco wykrzyknął, gestem przywołując Bielosielcewa do okna.

Z przeciwnych kierunków, z Wasilewskiego Zjazdu i od strony GUM-u, do „Fundacji” podjechały samochody, po dwa z każdej strony. Dwa ciężkie mercedesy z fioletowymi migaczami i wielkie z czarnymi szybami dżipy ochrony, przypominające lakierowane furgony. Z furgonów wyskoczyli ochroniarze, chłopcy na schwał z ogolonymi głowami, z rozstawionymi nogami, pękaci, wściekli. Z obu mercedesów prawie jednocześnie wyszli Burawkow i Kopiejko. Każdy z ukłonem otworzył tylne drzwi samochodu i na świetle pojawili się Astros i Zariecki. Już z daleka rozpostarli ręce do objęć, ruszyli naprzeciw, objęli się, pokleпали wzajemnie po plecach. Biełosielcew z okna widział biało-różową jaśniejącą twarz Astrosa i kościsty ostrzyżony kark Zarieckiego. Obaj weszli do domu, pozostawiając na zewnątrz część ochrony.

Po minucie goście byli w gabinecie. Szurali podszwami po parkiecie. Zacierali ręce, z ożywieniem witali się z Grieczysznikowem i Biełosielcewem.

- Tak, tak - przygadywał Astros, otwierając różowe wilgotne usta, kierując na płonące świece i kryształowe puchary swoje wypukłe błyszczące oczy - czyli spotkanie na neutralnym gruncie!... Szwajcaria, kanton Genewa!... Dwie wrogie armie ogłaszają zawieszenie broni i zasiadają do okrągłego stołu!...

- Błogosławione anioły pokoju - zachichotał Zariecki, łaskawie obejmując Grieczysznikowa - jako że one będą nazwane Specjalnymi Reprezentantami regulowania oligarchicznych sporów.

- Tylko dla dobra wspólnej sprawy - zmieszał się pochwałami Grieczysznikow. - W interesie ogólnej równowagi i rozkwitu!...

Kopiejko i Burawkow stali opodal po tym, jak sucho ucisnęli sobie dłonie, demonstrując nieprzerwaną wrogość i nieprzychyłość. Jak przystało szefom służb bezpieczeństwa dwóch wrogich oligarchów, których rywalizacja przybrała charakter bezwzględnej wojny. I Kopiejko, i Burawkow wyjęli z kieszeni elektryczne przyrządiki, przejechali nimi po suficie i ścianach, upewniając się, że pokój jest zabezpieczony przed podsłuchem, że nie ma w nim ukrytych mikrofonów.

- Proszę do stołu, panowie! - Grieczysznikow zaprosił gestem do-
brodusznego moskiewskiego dziedzica. Na jego ledwie zauważalne ski-
nienie szybko i z gracją weszli służący. Nieśli francuskie i włoskie wina,
srebrne wazy i salaterki. Zaszeleściły serwetki, zamigły malinowe sur-
duty, połało się wino do kryształowych kielichów.

Usiedli tak, jak zasiada się za stołem do pertraktacji. Astros i Zariecki
usiedli naprzeciw. Po prawej stronie każdego umieścili się Burawkow
i Kopiejko. Na szczytach zajęli miejsca Grieczysznikow i Biełosielcew,
przy czym Grieczysznikow tak postawił przed sobą świeczniki, salaterki,
półmiski z zakąskami, że wyznaczył sobie rolę przewodniczącego, pod-
kreślając ją pierwszym toastem.

- Wielce szanowni panowie! - podniósł się, trzymając ciężki rubi-
nowy kielich, mnąc w pięści krochmaloną serwetkę. - Mój przyjaciel i ja
- spojrzeniem wskazał Biełosielcewa - obaj jesteśmy wdzięczni, że przy-
jęliście nasze zaproszenie, uwierzyliście nam, doceniając naszą bezinte-
resowność i nasze dążenie dochodzenia interesów społeczeństwa, kraju
w całości, chroniąc jego kruchy delikatny wybór, czyniąc wszystko, żeby
chaos, zła wola i bezsensowna rywalizacja nie zniszczyły pierwszych
delikatnych owoców rozkwitu...

Obaj magnaci jednakowo pochyliłi głowy, wsłuchując się w intonację
wypowiedzi, jakby starali się rozpoznać fałszywe tony.

- Doskonale rozumiemy stopień waszej różnicy zdań, rozproszenie
waszych interesów, różnicę waszych temperamentów i talentów, które
pozwołyły wam stworzyć potężne i kwitnące korporacje, prawnie nazy-
wane imperiami. Każda na swój sposób jest lokomotywą naszego roz-
woju, wzorcem ekonomicznego, politycznego i osobistego postępowania...

Astros i Zariecki prawie jednocześnie dotknęły palcami nosów.

- Jednak nadchodzą czasy, kiedy różnice zdań powinny ustąpić
miejsca koordynacji i porozumieniu, spór powinien przestoczyć się w
związek, rozproszenie sił powinno zmienić się w połączenie wysiłków i

możliwości. Takie czasy nastąpiły. Szybkie i nie dla wszystkich zrozumiałe awansowanie znanej panom osoby wywołuje wiele obaw. Stawia wiele dociekliwych pytań. Omówienie tych pytań moglibyśmy połączyć z lekką kolacją, na której ja w imieniu „Fundacji” mam zaszczyt panów gości! - Trącił się z Astrosem i Zarieckim, uklonił się pozostałym, z postawy i szlchetnego pochodzenia podobny do angielskiego lorda, przyjmującego przyjaciół w rodowym zamku.

Przez jakiś czas Astros i Zariecki jedli z apetytem, zapijając smaczne jedzenie dużymi łykami wina. Burawkow i Kopiejko jako wierne strażę ledwie dotknęli kieliszków, lekceważąc jedzenie. Spode łba, w napięciu popatrywali na siebie, gotowi bić się na śmierć i życie, jeśli ich gospodarzom zagrozi niebezpieczeństwo.

- Jak rozumiem, proponuje nam pan zawrzeć „pakt o nieagresji”. - Astros kończył żuć smaczny kąsek, zwracając się do Grieczysznikowa. - Ale przecież my niejednokrotnie go zawieraliśmy. I Bóg świadkiem, nie ja go naruszałem. Nie ja posyłałem swoje dywizje do strefy zdemilitaryzowanej i dokonywałem gwałtownej agresji!

- Czyżby to ja? - Chorobliwa żółtawa twarz Zarieckiego wyrażała najwyższy stopień niedowierzania, a wąskie ramiona uniosły się ze zdziwienia. - O moim umiłowaniu pokoju opowiadają anegdoty. Ja wolę ponieść straty, niż zaczynać wojnę. Rosja jest tak wielka, ma tyle niezagospodarowanych bogactw, niewykorzystanych możliwości. Pieniądze można robić wprost z powietrza. I jeśli masz głowę na karku, zawsze znajdziesz swoją żyłę, nie włączając w drogę konkurentowi. Zrób krok za granicę Sadowoje Koko i znajdziesz swoje szczęście!

- Ty znalazłeś swoje szczęście wewnątrz kremlowskich ścian. - Niebieskie oczy Astrosa śmiały się, ale w ich wodnistej głębi zapalał się ciemny błękit stali. - Mówią, że na tyle cieszysz się sympatią Córki, że dopuszcza cię do porannej toalety. Znasz markę wody, jaką się odświeża. Mówią, że posiadasz sztukę pedikiuru, specjalnie przeszedłeś kurs we Francji.

- Tatiana Borysowna uważa, że jestem bardziej pociągający niż ty - zaśmiał się Zariecki. Jego podłużna łysiejąca głowa, pokryta ciemnymi pasmami włosów, chwiała się na cienkiej szyi, cały był cherlawy, pokręcony i żaloszny, poza namiętnymi, mądrymi oczami.

- Nie wątpię, że twój wygląd zewnętrzny przekłamuje i posiadasz jakieś wewnętrzne niezrównane wartości, bez których Córka nie może się obejść - jadowicie, z wyższością ulubieńca i przystojniaka zauważył Astros. - Jak inaczej można wyjaśnić jej zabiegi, przez które odsunięto mnie od aukcji i do ciebie za bezcen przeszła lwia część technologii łącznościowej? Czym takim szczególnym, niedostrzegalnym przez ubranie, możesz ją oczarowywać, jeśli ona przez MSZ zablokowała mi dzierzawę amerykańskiego sputnika i miałem rok opóźnienia z rozkręcaniem przekazu telewizyjnego na Syberię. I czyżbyś to nie ty podjudził jej ojczulka, który wymienił mego przyjaciela ministra finansów, na skutek czego moje banki i moje korporacje stanęły na krawędzi bankructwa. A teraz mi proponują zawrzeć kolejny pokój „na wieczne czasy”!

- Bądźmy sprawiedliwi - zdenerwował się Zariecki. - Kto po niedanej dla ciebie aukcji podłożył bombę pod moim mercedesem, a ja, cudem ocalawszy, trzymałem na kolanach oderwaną głowę mojego szofera? Kto po klęsce twojej afery z amerykańskim sputnikiem zastrzelił kierownika mojego głównego programu, po czym do ciebie przeszedł cały potok drogich reklam? Kto po dymisji skorumpowanego ministra finansów rozwinął w rosyjskich, izraelskich i amerykańskich gazetach nagonkę na mnie? Dlatego ja mam jeszcze mniej powodów, aby poważnie potraktować gałązkę pokoju, którą ty maskujesz pozycje swoich informacyjnych armat.

Siedzieli naprzeciw siebie, nienawidzący się, rozdrażnieni, a wyraz ich twarzy, zdawało się, wyklucza jakąkolwiek możliwość zgody.

Grieczysznikow cały ten czas milczał. Nie przerywał rozgorzałego sporu, pozwalając nagromadzonej wrogości wydostać się na zewnątrz.

- Panowie, wasze spory, które wielu przerażają, w rzeczy samej są formą meczu dwóch utalentowanych ludzi, których dokonaniem zgodnie z prawem może się szczycić cała Rosja. Z tego meczu, nie patrząc na jego ostre formy, powstaje dziedzina ekonomiki, typ społeczeństwa, styl polityki, które potrafią wytrzymać największe ciśnienie czasów. Wy obaj i każdy oddzielnie jesteście przykładem dla utalentowanych i odważnych ludzi, dążących do odnowy naszej Ojczyzny, dla której apatia, opieszałość, entropia - to największe zło, grożące jej wynaturzeniem. - Grecyzschnikow mówił delikatnie, ale władczo, jak sędzia, ustanawiający zasady gry dla sportowych drużyn. - Przyszedł czas przerwać zawzięty pojedynek i zespolić wysiłki. Ponieważ zagrożenie, które wisi nad naszymi wartościami, jest tak wielkie, że w najbliższym czasie, jeśli chcemy ocaleć, od nas będzie wymagana najwyższa koncentracja wysiłków.

Magnaci, jeszcze chwilę temu kipiący, wytapiający z siebie głęboką gorącą nienawiść, teraz ostygli. Uważnie słuchali Grecyzschnikowa.

- Mit o „rosyjskim faszyzmie”, którym straszono bojaźliwych inteligentów, kierując ich postępowaniem, co i raz pokazując swastykę na fladze i rękawie neonazisty, demonstrując silnych junaków z ogolonymi głowami i wyciągniętą ręką, ten mit zaczął się szybko realizować. Przyprawiający o zawrót głowy awans wiadomej osoby zakończy się tym, że z rąk zestarzałego Prezydenta, jak Hitler z rąk Hindenburga, on dostanie pełnię władzy w Rosji, a naród na rękach wniesie go na Kreml.

Już dzisiaj, po rozgromieniu dagestańskiego buntu, ludzie z uniesieniem mówią o nim. Generałowie żądają wkroczenia do Czeczenii, wiążąc z nim ideę wojennego rewanżu. W wąskim kręgu wypowiada się w duchu nienawiści do wszystkich obcych, przez których, wedle jego słów, rosyjski człowiek nie może swobodnie oddychać. Są informacje, że kiedy zostanie Prezydentem, otrzymując w spadku ogromne, trudne do rozwiązania problemy, zajmie się prześladowaniami. Żeby podtrzymać opinię narodowego przywódcy i wodza, rozpocznie nagonkę na wielkich

biznesmenów i bankierów, wśród których większość, jak wiecie, to Żydzi. Jest nam wiadomo, że istnieje spis tych, którzy będą prześladowani: sądy, wysyłka za granicę, konfiskata mienia, więzienie. Na tej liście wy, panowie, jesteście na pierwszym miejscu...

Bielosielcew patrzył na magnatów i widział, jak są wystraszeni. Wprawilo go w zdumienie, jak Grieczysznikow ustanawia swoją władzę nad nimi, umiejętnie wykorzystuje chwyt, nawiązując do odwiecznego instynktu „prześladowanego Żyda”, budząc w nich mieszaninę przerażenia i wściekłości, które czyniły ich psychikę bezbronną i uległą.

- Odnosimy wrażenie, że siły, kierujące tego człowieka na Kreml, należą do na wpół mitycznego, głęboko zakonspirowanego „Rosyjskiego zakonu”, stworzonego w przeddzień wojny przez Stalina w przeczuciu wielkich wydarzeń, jako zamkniętej ponadpartyjnej siły, która miała za zadanie przekształcenie komunistycznego międzynarodowego imperium w rosyjską możnowładczą monarchię ze wszystkimi atrybutami tradycyjnej carskiej Rosji. Śmierć Stalina, przyjsie Chruszczowa, który rozwinął całkiem inną, antystalinowską politykę, pozostawiły „Rosyjski zakon” w głębokim podziemiu, co mu pozwoliło przeżyć „pierestrojkę” i upadek komunizmu. Teraz, kiedy rosyjskie społeczeństwo osłabione jest do granic, ten „Zakon” wychodzi na powierzchnię, wynosi swojego przedstawiciela. Oni nazywają go Wybrańcem. Właśnie to zmusiło nas do zaproszenia do „Fundacji” panów, najbardziej utalentowanych i zdolnych do działania przedstawicieli nowej Rosji, żeby pobudzić was do zjednoczenia, informując o postawieniu osłon na jego drodze.

Grieczysznikow zamilkł, twardy, surowy, dając czas, aby jego słowa zapadły w pobladłe twarze magnatów. A te twarze były teraz dwoma jednakowymi białymi czaszami, napelnionymi przezroczytym zimnym strachem.

Bielosielcew rozumiał, że pułapka jest zastawiona po mistrzowsku, prowadziła do niej jedna jedyna droga, a dwa drogocenne futerkowe

zwierzęta, gonione strachem, powinny do niej trafić.

- Czułem, że ktoś się nim opiekuje i prowadzi go. - Zariecki z wielkim napięciem myślał, marszcząc czoło. - Kiedy rozmawiałem z nim, kierowałem jego działaniami, zawsze mi się wydawało, że on przepuszcza przez siebie moje wskazówki, jak szkło przepuszcza światło. Nasza kombinacja z Dagestanem wydawała się bez zarzutu, powinna była natychmiast umocnić Premiera, zabezpieczyć mu rolę następcy. Za moją namową Córka stale rozmawiała z Bałwanem, wbijała mu moje myśli. Ale widać, straciła wpływ na ojca. Ktoś niewiadomy pracuje z Bałwanem, wpływa na jego rozmiękczony mózg. Przelicytowuje nas. Ta straszna scena w teatrze, kiedy publicznie zniszczono Premiera - kto tam się krył w głębi loży? Musimy wyjaśnić, jaka siła niesie tego Wybrańca. FSB czy GRU, czy Cerkiew, czy to ten mityczny „Rosyjski zakon”, w który nigdy nie wierzyłem. Ale teraz jestem gotów uwierzyć nawet w diabła.

- Ja nie traciłem czasu na darmo. - Astros uporał się z paraliżującym strachem. Na policzkach znowu pojawił się borówkowy kolor, oznaczający, że kawałek lodu pod sercem roztajał, a napelniona adrenaliną krew znowu karmiła nieustający w pomysłach umysł. - Moi ludzie zasięgaliby o nim informacji. - Astros zerknął na Burawkowa. - Wiemy, że jest Rosjaninem, jego krewni byli połączeni ze Stalinem bliskimi nieformalnymi więziami. Cichego i skromnego usposobienia, zawsze miał wspaniałe osiągnięcia w nauce. Interesował się literaturą, historią, prawem państwowym. Studiował kulturę Niemiec, a w jego studenckim pokoju wisiała rycina Dürera i fotografia samolotu Heinkel-111. Działał w wewnętrznym wywiadzie na niemieckim kierunku. Często wyjeżdżał do Berlina i Monachium, gdzie mógł dogłębnie poznać podstawy i atmosferę hitleryzmu. Rosyjscy germanofile początku wieku, którzy nazywali siebie Euroazjatami, emigrowali do Niemiec i stworzyli dla Hitlera teorię nacjonal-socjalizmu. W zachodniej grupie wojsk, w Wunsdorfie, mógł spotykać się z przedstawicielami sowieckiego wywiadu wojskowego, znanymi ze swoich rusofilskich poglądów, zmartwionymi bliskim

upadkiem ZSRR. Tam również, jak się sądzi, zetknął się z handlarzami, zajmującymi się sprzedażą majątku wychodzącej z Niemiec armii. Tamci pomogli mu wniknąć w kręgi liberalnych polityków. Po sierpniowym puczu stał się przybocznym naszego najsławniejszego petersburzanina, przezwanego przez naród „Gramofończykiem”. Właśnie „Gramofończyk” umożliwił mu polityczny start. To wszystko, co nam dotychczas udało się wyjaśnić, ale zbieranie informacji przeciąga się. - Astros znacząco popatrzył na ciężkiego Burawkowa, który milczał, przypominając szczerze zamknięty sejf.

- Musimy zatrzymać tego człowieka, inaczej on zatrzyma nas - zarządził Zariński. - Co może zaproponować nasza bezpieka? - Wymagająco, z rozdrażnieniem spojrzął na Kopyjkę. - Mówią, że on kocha narciarstwo górskie? No to zaminujcie trasę, po której zjeżdża! Jeśli lubi wędkarstwo, wpuście, do jeziora bojowego nurka i niech strzeli spod wody. Czy to prawda, że jego bliski krewny był osobistym kucharzem Stalina? No to wrzucie mu do bulionu tabletkę trucizny na pamiątkę gastronomicznej sztuki krewnego!

- Mam świetny pomysł - wyskoczył Astros. - Gramofończyk - to jest ten, kto nam pomoże! Kiedy objął urząd Premiera, Gramofończyk zaraz przyszedł do niego i po starej przyjaźni zaczął prosić o stanowisko ministra sprawiedliwości. I dostał odmowę. Jest strasznie zły na Wybrańca. Chodzi wszędzie i opowiada „brudy” o jego działalności w okresie ich wspólnej pracy. Trzeba dojść do Gramofończyka, obiecać mu stanowisko ministra sprawiedliwości, a w zamian zażądać, żeby sporządził materiały kompromitujące Wybrańca. Cokolwiek o finansowych przekrętach w Petersburgu. Albo o kontaktach walutowych w Finlandii. Albo o przemyśle metali kolorowych na Łotwę. Albo o orgii na Przesmyku Karelskim. Albo o powiązaniach z płatnym zabójstwem! - Widać było, że Astrosa nawiedziło natchnienie. - W moim programie „Kukły” kilka wątków będzie poświęconych Wybrańcowi. Jego kukła zacznie handlować

narkotykami, zabijając ze snajperskiego karabinu, pełznąć przez granicę, przenosząc torbę z dolarami, odwiedzać rzymskie łaźnie i razem z matronami uczestniczyć w orgiach. Wiem, że za miesiąc Mer urządza wielkie święto. Prezentację mostu, który przesunął w dół Moskwy-rzeki i zmienił w wiszący „Most Semiramidy”. Tam będzie cały kwiat Moskwy. Będzie Bałwan, Córka i, oczywiście, sam Wybrańiec. Zaprosimy tam telewizję. Gramofończyk przy wszystkich, przed dziesięcioma kamerami, skompromituje go. I to będzie skandaliczny koniec Wybrańca. Koniec „Rosyjskiego zakonu”! - Astros całkowicie wyczerpany upadł na stół. Anioł-stróż nalał mu pełny kielich wina, a Astros chciwie wypił.

Wszyscy byli porażeni projektem Astrosa. Milcząc jedli i pili, razem zjedzeniem przeżuając przedłożony plan.

- No, a Córka, jaka suka zdradliwa! - wyszczerzył się Zariecki. - Przysięgała na Boga, że poprze Premiera, a sama za moimi plecami zwąchała się z tamtym! Niewdzięczna suka! I to po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem!

- Pokazano mi willę w austriackich Alpach, którą dla niej zbudowałeś - podśmiewał się Astros, triumfując nad przeciwnikiem, który ustępował mu w wyobraźni i perfidii. - Mówią, że już tam byliście razem? I jak minął wasz miodowy miesiąc?

- Znosiłem jej świńską żądę, od której drżały Alpy.

- Kiedy jest jej szczególnie dobrze, chwyta cię za pośladki i stara się rozerwać na pół.

- Chutliwa suka, mało jej dwóch i trzech, potrzebny harem mężczyzn!

- W najbardziej namiętnych chwilach ona zaczyna kląć jak szewc.

- W łóżku potrzebni jej sztangiści i atleci. A jeszcze lepiej czołgiści i buldożeryści z maszynami na gąsienicach.

- Ma na prawym biodrze znamię w kształcie dębowego liścia.

- No dobrze, skończ udawać jasnowidza. Twoje z nią stosunki są dobrze znane. Mam fotografię willi, którą zbudowałeś dla niej w Nicei - odgryzł się Zariecki.

- W porę oprzytomniałem. Być jej kochankiem - zbyt duża cena za akcje korporacji komunikacyjnych. Teraz, mam nadzieję, że i na ciebie przyszło opamiętanie.

- Sprzedajna suka - ze złością powtórzył Zariecki.

Bielosielcew pojął, że pułapka zatrzasnęła się. Dwaj magnaci, jak barwne bazyliki ze szmaragdowymi i złotymi wolami, weszli do niewidzialnej sieci. Wszystkie zniewagi, jakimi obrzucali Córkę, wszystkie groźby zniszczenia Wybrańca były skrupulatnie zapisane przez Grieczysznikowa i w odpowiednim momencie posłużą do ich likwidacji.

Zariecki, nerwowo i zły, wiercił się na krześle.

- Trzeba się pozbyć Bałwana. Stary idiota oszalał. Jego rozmiękczone mózgiem rządzą wrogowie. Nie wiadomo, co przyjdzie do głowy paranoikowi. Powinniśmy zjednoczyć się wokół Mera i zrobić go Prezydentem. Przekaż mu, Astros, że proponuję mu przyjaźń i pełne poparcie. A tego zbutwiałego Bałwana obalimy. Naród, jak Perun, wrzuci go do rzeki. Niech i po śmierci, ale będą go sądzić. Za rozstrzelanie Parlamentu, za rozkład ZSRR, za wojnę czeczeńską, za zniszczenie wielkiego mocarstwa. Już my się postaramy, żeby sąd był jawny i uczciwy!

Jeszcze trochę posiedzieli i wstali, obiecawszy wzajemnie informować się o podjętych działaniach i w najbliższych dniach odwiedzić Gramofonczyka.

Bielosielcew podszedł do okna i widział, jak Astros i Zariecki wychodzili z budynku. Obejmowali się na pożegnanie. Rozeszli się każdy do swojego samochodu. Burawkow i Kopiejko pomagali im wsiąść. Ochrona, rozglądając się w oczekiwaniu nagłego ataku, cofała się, ładowała do czarnych lakierowanych furgonów. Błyskając fioletowymi światłami maszyny skierowały się w różne strony - do Wasilewskiego Zjazdu i do GUM-u, zostawiając smugę spalin nad pustym brukiem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Grieczysznikow wrócił poważny, energiczny, nie tracący ani chwili. Naciśnięciem guzika wezwał młodego człowieka, obsługującego elektroniczny podsłuch.

- Przygotujcie mi kasetę w omówionym formacie. Fragmenty dotyczące usunięcia najwyższych osób w państwie. Fragmenty, gdzie jest mowa o krewnych Prezydenta. Dołóżcie do niej dagestańską kasetę, gdzie są zapisane rozmowy z Basajewem, plan rozkręcenia konfliktu. Materiały potrzebne za dziesięć minut.

Młody człowiek milcząco kiwnął głową, zniknął, a Grieczysznikow podniósł słuchawkę jednego aparatu bez tarczy, i, zmieniając początkową metaliczną intonację na aksamitno-przyjazną, powiedział:

- To znowu ja... No jak, szef wolny?... Pilne spotkanie... No i dobrze, że pływa, woda zmniejsza wagę ciała, dodaje lekkości problemom... Przekaż, że będę za dwadzieścia minut - położył słuchawkę, zamyślił się, zapomniał o Bielosielcewie, bezdźwięcznie poruszał ustami, jakby powtarzał przyszlą przemowę. Podniósł na Bielosielcewa mądre, spokojne oczy, w których nie było ani zapału, ani strachu, tylko pewność w niewzruszoność i nienaganność przedsięwziętych działań. - Jedziemy do Wybrańca.

Musimy otrzymać pozwolenie na usunięcie oligarchów.

Bielosielcew natychmiast zdenerwował się, zmieszał - aż do kołatania serca, do gorących, przebiegających po ciele dreszczy. Zaraz zobaczy Wybrańca, tego, dla którego cały czas dokonywał grzesznych czynów, działał podstępnie, wprowadzał w błąd, niszczył opinie, ryzykował swoim i cudzym życiem. Goły Prokurator, zawodzący lubieżnie. Odcięta głowa Szeptuna ze zlepionymi wąsami. Aluminiowa walizka, wypełniona fałszywymi dolarami. Artyleryjski ogień, zmiatający dagestańskie wioski. Krzewy i drzewa w sadzie, obwieszane rozerwanymi ciałami. Spalony czolgista, wystawiający z luku zwęgloną dłoń. Premier, spocony,

żałosny, wyganiany ze złoconej łoży. I wszystko po to, by Wybraniec wszedł na szczyty władzy.

Teraz go zobaczy i powinien zadać mu wiele pytań. Czy za jego wiedzą realizuje się „Projekt Suahili”? Czy wie, jak straszna jest cena jego kariery? Czy on sam realizuje „Projekt” wyrabując korytarze na Kreml? Czy kocha swój naród, swoją zdeptaną, nieszczęsną Ojczyznę, którym przynosi ofiary, lekceważy zwyczajną moralność, dążąc do władzy w jednym jedynym celu - ratowania państwa?

Biełosielcew denerwował się, czując, że nie jest gotów do tego spotkania, i jednocześnie bardzo go oczekuje.

- Za każdym razem zabierasz mnie ze sobą - spytał Grieczysznikowa - czy to jest konieczne?

- Robię to w naszym wspólnym interesie - z powagą zauważył Grieczysznikow. - Twoja twarz powinna być znana. Musisz być przyjęty przez elity polityczne. Niedaleka jest chwila, kiedy będziemy potrzebowali wielu przygotowanych, wiernych ludzi. Jesteś jednym z nich. Po dojściu do władzy odnowimy kadre państwowych instytucji, uformujemy kilka nowych organów kierowniczych. Możesz być szefem jednego z nich. Na przykład, Rada Bezpieczeństwa, rozpracowująca strategię rozwoju. Albo Rada Państwa, skupiająca elity i partie. Bardzo dużo zrobisz i zrobisz jeszcze więcej. Wierzymy ci i jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Przejechali przez zatłoczone samochodami Centrum, przez rozgardiasz rozpalonego miasta, wdychając spaliny i zaduch, i znaleźli się w zamkniętym sportowym kompleksie, wyglądającym jak sztuczna osada, nakryta szklanymi kopułami i taflami, przewiewna, świeża i kwitnąca - pośród zatrutej planety, na której nie można żyć.

Przechodzili przez stanowiska ochrony, przezroczyste, bezszelestnie otwierające się drzwi, obok pustych szafirowo-różowych kortów, śnieżnobiałych sportowych sal, bezludnych, przystrzyżonych jak trawniki boisk piłki nożnej. Ludzi nie było widać, a ich nieobecność tylko uwydatniała sterylne piękno tej przestrzeni.

Doszli do basenu, podobnego do perłowej muszli. W nim samotny pływak płynnym kraulem wzbudzał szklane fale. Dopłynął do ściany z kafelków, zrobił bulgoczący przewrót i popłynął żabką, sprężystymi pchnięciami przesuując się w błękitnej wodzie, w której ginęły wiązki złocistych promieni. Dopłynął do przeciwległego brzegu, znowu wykonał przewrót i, z szumem rozbryzgując wodę, popłynął motylkiem, zmieniając się w migocącego przezroczystego motyla, lecącego nad wodą. Zrzucił szklane skrzydła i znowu popłynął kraulem - miękko, silnie, czasami ukazując plecy, ślizgał się we wzburzonej wodzie.

- Jest wspaniałym pływakiem - zachwycając się Wybrańcem, rzeki Grecyzsznikow.

Wybrańiec zatrzymał się przy kafelkowej ścianie. Podniósł na przybłych mokrą niebieskooką twarz. Uśmiechnął się. Drobnymi ruchami zbliżył się do chromowanych poręczy. Uchwycił lustrzany metal, stanął giętką stopą na stopniu drabinki, wyszedł z basenu, mały, gibki, zgrabny, z proporcjonalnymi mięśniami rąk i nóg. Podszedł, zostawiając na ciemnych płytkach mokre ślady. Stał gładki, lśniący, z lekkim uśmiechem, a pod jego nogami tworzyła się kałuża z padających kropli.

- Niebezpieczeństwo, o którym mówiliśmy poprzednim razem, określiło się w pełni. - Grecyzsznikow zaczął mówić bez przywitania, bez uścisków dłoni, ceniąc czas, przedłużając niedawną niedokończoną rozmowę. - Wszystko, co się dzieje, można bez przesady nazwać spiskiem. Przeciwko panu jednoczą się oligarchowie, gubernatorzy, skorpumpowani generałowie i przedstawiciele służb specjalnych, dziennikarze telewizji, czeczeńska diaspora. Prezydentowi, który jest podejrzliwy i podatny na oszczerstwa, zaczynają sugerować, że jego wybór, dotyczący pańskiej nominacji, to strategiczny błąd, przy czym te opinie dochodzą do niego również w imieniu zagranicznych ambasadorów. W centrum spisku stoją Zariecki i Astros, zdolni dokonywać błyskawicznych politycznych kombinacji, przy ich zapleczu finansowym oraz informacyjnym i wpływie na Córkę Prezydenta. Przyszedłem prosić o pańskie zezwolenie na ich usunięcie. Są materiały, świadczące o ich kryminalnych

związkach, o aferach z ropą i diamentami, z praniem pieniędzy, a także o ich kontaktach z Basajewem w przeddzień niedawnych wydarzeń dagestańskich, co może być zaklasyfikowane jako zdrada państwa. Proszę wydać wskazówki Prokuraturze, by wszczęła sprawę karną i obu aresztowała. Zwłoka byłaby jednoznaczna z załamaniem się naszych strategicznych zamierzeń, zniszczeniem całego długoterminowego planu.

Bielosielcew przyglądał się stojącemu przed nim Wybrańcowi, jego wilgotnej skórze, prężnym szczupłym mięśniom, złocistym włoskom na nogach, różowemu pigmentowi stwardniałych sutek.

- Wspaniała woda - cicho powiedział Wybrańiec, oglądając się na basen, w którym jeszcze zachowało się słabe falowanie wody.

- Jeśli się pokaże Prezydentowi i Córce nagrania ich rozmów, gdzie omawiają plan usunięcia Prezydenta z urzędu, jak to zrobiono z południowokoreańskim Prezydentem Ro De U, jeśli pokaże się Córce te świństwa, które o niej rozpowszechniają, to dostaniemy zgodę na ich usunięcie. A wtedy pan, niewątpliwie, zostanie najbliższą Prezydentowi osobą, a on, wykończony nieuleczalną chorobą, nie czekając na termin upływu pełnomocnictw - przekaże je panu.

- Byłem wczoraj w Barwisze, rozmawiałem z Prezydentem. Dziwne, tam, w Barwisze, już jesień, drzewa zaczynają żółknąć. Siedzieliśmy z Prezydentem pod wysoką lipą, a na jego ramię spadł żółty liść.

Bielosielcew patrzył na zgrabne, elastyczne ciało i dziwna myśl nie opuszczała go. Przed nim znajdował się nie człowiek, a delfin w ludzkiej postaci, który pojawił się wśród ludzkiej zatwardziałości i głupoty, pograżających życie w nieprzeniknionej ciemności. Ta myśl wydawała się prawdopodobna. Delfin w ludzkiej postaci był posłańcem innego doskonałego świata.

- Za pomocą operatywnych przedsięwzięć wyjawiono przestępcze zamiary Astrosa i Zarieckiego - przygotowanie aktów terroru przeciwko

panu. Golowi są wykorzystać podłożenie bomby, truciznę, snajperskie zasady. - Grieczysznikow, otrzymując na swoje informacje o groźbach oderwane, nic nie znaczące odpowiedzi, zdawał się być w pełni zadowolony z uwag Wybrańca. - Szczególną rolę wyznaczono pańskiemu poprzedniemu patronowi z Petersburga. On ma skompromitować pana przed kamerami, poderwać panu opinię w oczach społeczeństwa i Prezydenta. Wszystko to pobudza nas do szybkich i zdecydowanych działań. Sądzę, że pan wyrazi zgodę na nasze metody i naszą taktykę.

- W szachach mnie zawsze interesowała współzależność logiki i przeznaczenia. Zwycięstwo jest możliwe w małej szczelinie nieokreśloności między logicznymi działaniami a fatalną nieuchronnością. Podobaly mi się nasze partie z panem w tym cichym włoskim hotelu. - Wybrańiec spokojnie i w zamyśleniu patrzył na Grieczysznikowa.

Bielosielcew widział zamglony obłoczek światła, padający na drabinkę, rudawe brwi, część wilgotnego czoła. Chciał zadać Wybrańcowi swoje rozstrzygające pytania. Obnażyć pod powierzchownością złożoną z pozorów prawdziwą istotę. Ale zajączek światła igrał, rozpraszał się na barwne promienie, a każdy promień ulatywał w swoją stronę, rozsypywał i rozrzucał odbicie mówiącego. I niejasne było, jakajestjego prawdziwa postać i czy jest ona w ogóle, i czy stojący przed nim człowiek nie jest holograficznym obrazkiem.

- Dziękuję za poparcie - rzekł Grieczysznikow, kłaniając się z szacunkiem. - Będziemy pana informować.

Wybrańiec cicho się uśmiechnął - nie do Grieczysznikowa, a do niego, Bielosielcewa, przesyłając tajny znak sympatii. Podszedł do brzegu basenu i wskoczył do wody. Wbił się w nią prawie bez plusku i płynął wśród srebrnych bąbli. Wynurzył się daleko i popłynął - nie wiadomo, czy to delfin, czy pływak, czy odbłask bladego słońca.

Ich mercedes wyrwał się z grząskiej Sadowoje Kolco, gdzie maszyny przyklejały się do miękkiego asfaltu, jak muchy. Prze lecieli most na

rzece-Moskwie, zostawiając za plecami budynek MSZ. Minęli kaplicę Dworca Kijowskiego z tłumnym rynkiem, gdzie wolna Ukraina, wierna naukom Mazepy i Bandery, sprzedawała moskalom narodowe sadło. Prospekt Kutuzowski wyglądał jak posmarowany masłem i wszystkie samochody ślizgały się, cudem nie wpadając na siebie. Brama Triumfalna wyglądała jak wielki kominek. Pokłona Góra wbijała w niebo ostrą igłę, na której poruszał łapkami nanizany skrzydlaty żuk. Mercedes odłączył się od potoku maszyn, skręcił w wąską rynną Szosy Rublowskiej i mknął teraz obok Kryłatskiego, gdzie, podobny do nuklearnego cmentarzyska przytaił się znany dom, w którym mieszkali będący w nielasce dworzanie, a wśród nich - rozżalony ochroniarz, który wygryzł swego gospodarza.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Biełosielcew.

- Do Córki. Ona czeka - odpowiedział Grieczysznikow w zamyśleniu, zwiesiwszy na pierś ciężką głowę o dużym czole.

Milczący szofer mercedesa raz po raz odpowiadał na powitania wartowników, kiwając kraciatą czapką, przykładając do daszka rękę w rękawiczce. Ten samochód znali, oddawali honory. Wiadomość o nim bezdźwięcznie niosła się wzdłuż cienistej niebieskiej szosy.

Wpuszczono ich przez ozdobną bramę ze stali, i maszyna potoczyła się grubymi oponami po różowej czystej drodze, po zadbanej alei, w głębi której świecił biało-żółty pałac. Szyby jego były umyte, odświeżone błyszcząco. Wielki wspinały klomb roztaczał zapach kwiatów. Krzepki ogrodnik ruchami karateki podlewał węzem krzaki róż. Inny pracownik, podobny do bojownika specnaz, zamiatał w pobliżu ścieżkę, na której nie było żadnego śmiecia. Uprzejmy, milczący odźwierny, z trudem schylając w ukłonie muskularną szyję, gościnnie zapraszał w otwarte drzwi silną ręką bez bokserkiej rękawicy. Wprowadził ich do jasnego pachnącego domu, napełnionego czystym słońcem, z mnóstwem pięknych przedmiotów, porcelanowych i kryształowych wazonów, w których gustownie rozmieszczono żywe bukiety.

Parter składał się z biegnących w głąb pokoi, z których jeden był gościnnym salonem z wygodnymi kanapami i fotelami, a inny jadalnią z długim, nakrytym kremowym obrusem stołem, z rozstawionymi talerzami i kryształami.

Schodami z piętra schodziła gospodyni w różowym rozpiętym sara-fanie, powolna, majestatyczna.

- Prosiłście, panowie, żeby was przyjąć... Czujcie się jak w domu. - Łaskawie wyciągnęła rękę do Greczysznikowa. Ten, z ukłonem, jak królewski dworak, przypadł ustami do pulchnych ruchliwych palców, pocałował złoty pierścień z dużym szmaragdem. Bielosielcew uściśniętą do niego rękę, ciepłą, miękką, pachnącą.

- Musicie mi wybaczyć. Czeka mnie kilka telefonów. Wykonam je i będę do waszej dyspozycji... Pójdziemy na górę do biblioteki... Nie będziecie mi przeszkadzać. - Córka odwróciła się, zaczęła wchodzić do góry, stawiając na stopniach stopy w lekkich kłapkach. Bielosielcew widział jej mocne, pełne łydki, różowe wypielegnowane pięty, odlepiające się od kłapek.

Poprowadziła ich obszerną galerią obrazów, obwieszoną dziełami moskiewskiej awangardy. Jeden przy drugim, od podłogi do sufitu wisiały fantastyczne bukiety, erotyczne kompozycje, znaki magiczne, znaki zodiaku, tęczowe abstrakcje, wymyślne pop-arty. Bielosielcew, bywający od przypadku do przypadku na modnych wernisażach, poznawał wymienionych malarzy.

Drzwi do sypialni były niedomknięte i w oczy rzuciło się obszerne niebieskie łóżko, puszyste różowe poduszki, jedwabna kołdra. Obfitość luster powtarzała wystrój sypialni, odbijała poduszki i kołdrę na suficie. Ciężkie zasłony, umocowane na jedwabnych sznurkach, gotowe były opaść i pogрузić pokój w tajemniczym mroku.

Gospodyni wprowadziła ich do biblioteki z oszklonymi szafami, gdzie było wiele starych ksiąg z tłoczonymi grzbietami, pięknych albumów Boscha, Picassa i Marca Chagalla. Na szafach stały amfory i popiersia greckich filozofów. A na ścianie, nad wygodną kanapą, wisiał

portret gospodyni, ten sam, który na Kremlu podarował jej Artysta, na którym Córka, jak caryca, była namalowana w aksamitnej, błękitnej sukni, w brylantach, z wysoko upiętymi włosami, na których widniała jakby małe diamentowa korona.

- Proszę, siadajcie panowie. - Córka wskazała na kanapę pod portretem. - Coś do picia? Wódka, whisky, wino?

- Za pani zdrowie - tylko cierpkie czerwone wino - ceremonialnie odpowiedział Grieczysznikow i widać było, że gospodyni spodobała się ta odpowiedź. Służący przyniósł kieliszki, butelkę francuskiego wina, tacę z owocami. Sama zaś gospodyni usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę, nie starając się ich całkiem zakryć. Zawiesiła na końcach palców białe lekkie kłapek. Przytknęła do ucha małą wygodną słuchawkę.

Bielosielcew mógł dobrze przyjrzeć się właścicielce. Córka była w końcowym momencie młodości, kiedy świeżość skóry, zgrabność talii, melodyjność głosu trzeba było podtrzymywać staranną pielęgnacją, ćwiczeniami, fasonem toalet, dziewczęcą manierą mówienia i zachowania. Ale w całej jej postawie już występowała nieunikniona ociężałość, okrągłość twarzy, niebieski kolor nabrzmiałych żył, żółtawy kolor wędnącej skóry, korpulentność bioder, której nie ukrywał dziewczęcy sara-fan. Ruchy rąk były silne i władcze, jakby nie tylko rozstawiała nimi stołowe serwisy albo brała słuchawkę, ale również dźwigała półki, kierowała pociągami wojskowymi, zmieniała gabinety ministrów. Podbródek mięsisty i zaokrąglony, mówił o wyniosłości, naśladował cechy oj-cowskiej nieposkromionej ambicji i przebojowego dążenia do celu. Usta - drapieżne, lekko wywinięte, gotowe zjeść, całować, wypowiadać uprzejmości, przemyślane mądre sentencje, które w chwili gniewu mogły zamienić się we wściekłe podwórzowe wyrażenie, obelżywą drwinę. Nozdrza, różowe od słońca, były wrażliwe, wdychały powietrze tak, jakby szukały w nim źródła rozkoszy - pachnącego bukietu, lub smacznej potrawy, lub zapachu perfum, lub oddalonego aromatu męskiego papierosa.

Bielosielcew w myślach rysował jej portret - nie ten, wystawowy, carski, w niebieskim aksamicie, który musi okłamywać i pochlebiać, tylko ten, ważny dla agenta, obnażający słabe miejsca w psychice, przez które można było przedostać się i zawładnąć osobowością. Grieczysznikow, który już dawno stworzył taki portret, teraz tylko porównywał go z oryginałem.

Córka ścisła słuchawkę w wyrażającej silną wolę ręce i z rozdrażnieniem gniewnie upominała niewidocznego rozmówcę, który prawdopodobnie był redaktorem prowadzącym jednego z kanałów telewizji.

- Pan znowu, nie stosując się do moich wskazówek, pokazał Prezydenta tak, jak mogą go tylko pokazywać zażarci wrogowie... A ja panu mówię, że takie pokazy tylko nasilają plotki o niezdolności Prezydenta do działania, o jego nieuleczalnej chorobie... Chcę wiedzieć, z czyjej kasy pan otrzymuje pieniądze za pracę? Może panu przyniosą tajną kopertę od Ziuganowa?... Niech pan słucha, co ja mówię... Jeśli pan nie posiada dostatecznego profesjonalizmu, łatwo znajdziemy innego kierownika, któremu nie byłaby obca profesjonalna etyka i uczucie osobistej wdzięczności. Ostatni raz wybaczam panu to niedopatrzenie, graniczące z przestępstwem służbowym... - Przerwała rozmowę, zostawiając po tamtej stronie telefonicznego przewodu zmiażdżonego, upokorzonego dyrektora.

Następna rozmowa była prowadzona w poufnym, nalegającym tonie, z którego przebijała ledwie skrywana ironia, jaka pobrzmiewa w głosie dobrodusznego człowieka, rozmawiającego z dzieckiem lub szanowanym, bliskim upośledzenia umysłowego, staruszkciem.

- Wydaje mi się, że na komendanta Uralskiego okręgu wojskowego ani pan, ani ja, ani my oboje nie znajdziemy lepszej kandydatury... To okręg na tyłach, niech bojowy generał odpocznie po wojennych trudach na Kaukazie... Przy tym jest on doświadczonym gospodarzem i budowniczym... Trzeba wziąć pod uwagę, że to okręg, który jest szczególnie drogi Prezydentowi i sylwetka komendanta, rozumie się, była z nim

omówiona... Kiedy wczoraj generał przyjechał do nas na daczę, bardzo dobrze się o panu wyrażał... W waszym sporze z Szefem Sztabu Generalnego bezwzględnie jest po pana stronie... Zatwierdźmy jego kandydaturę, a ja, ze swojej strony, obiecuję porozmawiać z wicepremierem o zwiększeniu zamówienia na wojskowe helikoptery... Więc dziękuję... Nisko się panu kłaniam... - Uśmiechała się triumfująco, bawiąc się zamilkła słuchawką. A w obszernym gabinecie na placu Arbatkim ciężki, z różową łysiną minister obrony, zbity z tropu siadł w miękkim fotelu. Zażądał od adiutanta szklanki wody, żeby popić tabletki na nadciśnienie.

Trzecia rozmowa była prowadzona przez nią w żartobliwym tonie, biały kłapek huśtał się na końcach palców.

- Nie ma nic takiego, czego bym dla ciebie nie zrobiła, mój drogi, ale tu wyjdź mi naprzeciw, chociaż jedyny raz... Ja nie nalegam, tylko pięknie proszę... Niczym mi ta osoba nie jest droga, po prostu sympatyczna... Zachwyliłam się jego tekstami, pomagałam wydać jego książkę... Zapewniam cię, że on nie tylko zasługuje na duże honorarium, ale na prestiżową nagrodę... Na domiar jest jedynym Rosjaninem w tej kompanii... Powinniśmy przecież przyznać, że rosyjska literatura powstaje chociażby częściowo dzięki Rosjanom... Masz rację, ja działałam nie tyle logiką, ile urokiem... Zgadzałam się, przy okazji zjemy kolację, jeśli nie masz bardziej interesującego towarzystwa niż moje... Całuję, kochany... - Kłapek spadł, ale ona nie spieszyła się go zakładać.

Ton następnej rozmowy był chłodno-powściągliwy, z zachowaniem dystansu, jak gdyby jej rozmówcą był szef protokołu. . - Proszę się nie spieszyć z odpowiedzią na zaproszenie Mera... Niech się podenerwuje... Ja nie wierzę w szczerość jego oświadczeń... Raz zdradziwszy chowa tę zdradę głęboko w swoim wiarołomnym sercu... Proszę dać mu do zrozumienia, że moja obecność jest możliwa tylko w wypadku, jeśli cała uroczystość przejdzie pod znakiem szacunku dla Prezydenta... On lepiej wie, jakim sposobem... Niech nazwie swój nowy most Prezydenckim...

Albo niech nakaże swojemu zawołanemu śpiewakowi, którego, zdaje się, znowu nie puszczono do Ameryki, powołując się na to, że jest handlarzem narkotyków czy też karcianym oszustem - niech mu nakaże wykonać pieśń na cześć Prezydenta... Jeśli wszystkie te warunki będą spełnione, ja, być może, przybędę... Ale odpowiedź damy w ostatniej chwili...

Bielosielcew obserwował i słuchał, zdając sobie sprawę, że przez tę małą telefoniczną słuchawkę przelatuje mnóstwo osobistych i państwowych spraw, adresowanych do chorego Wszechmocnego Prezydenta, a każda z tych spraw jest skrupulatnie śledzona, oceniana i sortowana przez tę młodą mądrą kobietę, wpływającą na losy państwa, stojącą na straży rodzinnej władzy. I nagle na tej dacy malarskie skojarzenie - obraz Surikowa, na którym carewna Zofia, zamknięta w klasztorze, podejrzliwie i gniewnie patrzy przez kratę, a na tej kracie kołysze się powieszony strzelec.

- Tak więc, w końcu, chwała Bogu, seans łączności zakończony. Teraz jestem do usług panów - zwróciła się do nich Córka, kołysząc okrągłymi pełnymi piersiami w wycięciu sarafana. - Nie wątpię, że nadzwyczajne okoliczności przywiodły panów do mnie.

- Staliśmy się mimowolnymi świadkami pani rozmów i pomyślałem, że prawdopodobnie tak rozmawiała z dworzanami Katarzyna Wielka. Jest coś szczególnego w zachowaniu rosyjskiej kobiety na tronie. - Grecyzsznikow wygłosił to z leciutko ironicznym pokłonem i Bielosielcew ponownie zdumiał się, jak wiele twarzy posiada ten doświadczony człowiek. Córka uśmiechnęła się, okazując, że pojmuje ironię, ale widać było, jak jest jej miłe to delikatne zamaskowane pochlebstwo.

- Będę mówić szczerze, licząc na to, że całą moją służbą, bezgranicznym oddaniem Prezydentowi i pani, doskonale wcielającej i kontynuującej działania ojca, zasłużyłem sobie na prawo wypowiedziania się bez ogródek na temat, który nie dotyczy mnie osobiście, ale zahaczający o los państwa i pierwszej w nim osoby. - Tę tyradę w stylu klasycznej

retoryki Grieczysznikow wypowiedział z uległością, ale także chłodno i zdecydowanie. - W społeczeństwie narasta obawa. Prezydent jest niezdrowy, wiem, że dzisiaj znowu udaje się do szpitala klinicznego, gdzie ma się poddać uzdrawiającej terapii, podtrzymującej jego zmęczone serce. Liczne sprawy państwowe nie są rozstrzygane, czekają na jego wyzdrowienie. Inne, niecierpiące zwłoki, spadają na pani barki. Ale jakkolwiek nie trudziłaby się pani, mimo posiadanego talentu i gorliwości, nie może się pani uporać z narastającym potokiem problemów, które, pozostając nierozwiązane, gromadzą się, zatykają życiowe przewody i organy państwa, grożą kryzysem, możliwe, że tragicznym dla kraju i obecnej władzy. - Grieczysznikow subtelnie i mądrze dobierał słowa, jakby dotykał najczulszych miejsc w świadomości siedzącej naprzeciw kobiety. Znał ją dobrze, znał rozmieszczenie jej psychologicznych ośrodków, umiejętnie wzbudzając w niej uwagę, trwogę, głęboko ukrywane lęki.

Córka, zaciskając władcze wargi, marszcząc brwi, słuchała uważnie, nie przerywając.

- Wyczuwając okresową chwiejność władzy, znając pani osamotnienie, wokół pani skupiło się wielu cwaniaków, pochlebców, łajdaków. Pani, ufnej i szczerzej, trudno rozpoznać zdrajcę, trudno uniknąć wiaryłomcy. Tak było z każdą władzą, na wszystkich dworach i przy wszystkich rządzących. W naszej niedawnej historii widzieliśmy, jak współpracownicy Stalina, uśmierciwszy chorego Wodza, rozprawili się z jego spuścizną.

Grieczysznikow, jak doświadczony akupunkturnik, znajdował punkty nerwowe w różowych płatkach jej uszu, na gołej kostce, na białej z niebieskawymi żyłkami szyi, na pełnym ciepłym biodrze, na wciętej muskularnej talii - tam, gdzie kryła się czakra i zaczynały wypukłe półkola pośladków.

- Nieraz miała pani możliwość upewnić się, że moi przyjaciele działają skuteczniej niż oficjalny wywiad czy służba prezydenckiej ochrony. Wykorzystując nasze specyficzne środki, ustaliliśmy, że w bliskich Prezydentowi kręgach zawiązał się spisek, mający na celu przechwycenie

władzy. Prezydent będzie przedstawiony jako beznadziejnie chory, nie radzący sobie z funkcją głowy państwa. Przeciwwstawiony zostanie mu Mer, którego zdrowie, zdolność zanurzania się w lodowatym przerebłu, miłość do żony, populistyczne wypowiedzi oczarują naród, który w przedterminowych wyborach uczyni go głową kraju. Obecny Prezydent zostanie umieszczony w szpitalu na stacjonarnym leczeniu, gdzie przepici lekarze zrobią wszystko, aby jego dni były policzone. Pani matka, pani i najbliższy krąg przyjaciół będą poddani najpierw moralnemu prześladowaniu, a potem również karnej odpowiedzialności. Nie będę obciążać pani szczegółami spisku, wyliczaniem wiarołomnych gubernatorów, kupionych urzędników, składem sztabu spiskowców. Powiem tylko, że najego czele stoją ludzie, którym pani cały czas bezgranicznie ufała. Ci ludzie to Zariecki i Astros. Proszę panią o wyrażenie zgody na ich usunięcie z biznesu i polityki.

Grieczysznikow zamilkł. Świadomość Córki była pod kontrolą, gotowa była przyjąć przedstawiony obraz, nie sprzeciwiała się. Przewróciła wilgotnymi oczyma, prawie nie oddychała i, wydawało się, była bliska omdlenia.

- Nie wierzę - powiedziała ospale, przewyciężając narkozę. - To jest niemożliwe.

Grieczysznikow milczał, spuściwszy oczy, nie pomagał jej.

- Nie mam podstaw panu nie wierzyć - powiedziała, powoli dochodząc do siebie, rozcierając palcami skronie.

- Nasza rodzina nie zapomniała niczego, co pan zrobił dla ojca. I w dziewięćdziesiątym pierwszym, kiedy poinformowano ojca o przygotowanym puczu, wymieniając nazwiska spiskowców, po czym ojciec przekazał ich listę do amerykańskiej ambasady. I w dziewięćdziesiątym trzecim, kiedy władza wisiała na włosku, a w Kremlu stał helikopter z obracającymi się śmigłami, gdy ci wściekli czerwoni fanatycy podjudzali tłumy oberwańców do ataku na Kreml, a pan pomógł zawrócić ich do Ostankina, przedstawić ich światu jako buntowników i terrorystów. I w dziewięćdziesiątym szóstym, w niepewnym momencie między dwoma

turami wyborów prezydenckich, kiedy ojciec miał zawał i chciał to wykorzystać podstępny Ochroniarz. Wierzę panu bezwzględnie, ale mimo wszystko pana przypuszczenia są błędne. Astros jest z Zarieckim w nieprzejednanej wrogości. Zariecki jest przyjmowany u nas nie tylko w gościnnym salonie, ale i w głębi domu, on nie może źle nam życzyć.

Córka ostatecznie zapanowała nad sobą. Jej kobieca bezradność, samotna bezbronność ustąpiły miejsca poprzedniej kobiecej pewności, władczej wyniosłości.

- Nie żądam od pani ślepej wiary - skromnie powiedział Greczysznikow. - Przyniosłem dowody. - Z kieszeni na piersi wyjął kasetę. Rozejrzał się i znalazł wieżę stereo. - Proszę pozwolić mi włączyć - i nie czekając na zgodę, wstawił kasetę i włączył magnetofon.

Rozległ się szum, szelest, i znajomy, śpiewny, jakby jękający się głos Zarieckiego odnowił w pamięci Bielosielcewa tamto niedawne spotkanie w „Fundacji”, gdzie Premier, wstrząśnięty zabójstwem Szeptuna, zgadzał się z Zarieckim na przeprowadzenie operacji dagestańskiej.

„Ja prowadzę subtelną grę z Bałwanem - brzmiał beczący głos - namawiam go i straszę. Opowiadam o spiskach wśród wojskowych, o nieuniknionym powstaniu głodującego narodu. O tym, że regiony mają zamiar ogłosić wystąpienie z Rosji... Wspominam o możliwym zamachu na niego samego, a także na żonę i córki, maluję straszny los Ceaucescu, doprowadzając Bałwana do histerycznego płaczu. Niedołężny, nieuleczalnie chory marzy o odejściu na emeryturę, ale tak, by zapewnić sobie bezpieczne i ciche schronienie z dala od nieuniknionych katastrof. Wywieziemy go za granicę i pokażemy światu potulnego, modlącego się starca. A potem osadzimy w zamku w Alpach, który już jest dla niego wybudowany. W plecionym tyrolskim kapelusiku będzie rozmawiać z turystami, a oni nazwą go rosyjskim „Santa Claus”. Ludzie o nim zapomną, a ty jeden będziesz w centrum światowej uwagi...”

Bielosielcew widział, jak zbrzydła, pociemniała z gniewu twarz Córki, jak wyciągnął się ciężki podbródek i obwisła dolna warga. Raptem zrobiła się podobna do swojego ojca w chwili jego szaleństwa, od którego mdleli sekretarze prasowi i tracili dar mowy bojowi generałowie. Chciała wstać, wyłączyć magnetofon, ale zmusiła się do siedzenia. Wsłuchiwała się w nienawistny, zacinający się głos zdrajcy.

„Tobie dla twoich wielkich czynów, dla nowych wielkich reform potrzeba czasu. Powinieneś się oczyścić z żużlu i rdzy poprzedniej epoki. Powinieneś zmyć z siebie Bałwana. I wtedy oznajmisz o wielkim oczyszczeniu. Zwołasz nowy „Dwudziesty zjazd partii”, na którym wystąpisz ze zdemaskowaniem Bałwana. Osądzisz przestępczą Umowę Białowieską, likwidującą wielki Związek Radziecki. Napiętnujesz przestępcze rozstrzelanie Parlamentu i wybicie niewinnych ludzi. Nazwiesz przestępstwem zniszczenie kwitnącego Groznego przez artylerię i lotnictwo. Wyciągniesz na światło dzienne ciekawe fakty korupcji, handlu diamentami, ropą naftową, państwowymi tajemnicami. Podasz nazwiska głównych przestępców - samego Bałwana, jego drapieżnej, chciwej Córki, jego popleczników, pomagających rozczłonkować ZSRR, stworzyć zbrodniczą Ustawę o rozgromieniu Parlamentu, wskażesz agentów obcych wywiadów wśród liderów liberalnych ruchów i partii. Zażądasz sądu i zamknięcia w więzieniu samego Bałwana i członków jego rodziny. Osądzą ich, tłum zatriumfuje, a ty będziesz czysty jak łza, co ci pozwoli władać Rosją, przywrócić jej dawną potęgę...”

Taśma zamilkła, a twarz Córki stała się ziemista i szara, i ukazały się na niej ciemne kropeczki porów.

- Żyd przekłety!... Za uszy go wyciągnęłam z gówna! Od prokuratury go uratowałam!... - Głośno oddychała, wysunawszy dolną szczękę, ze świstem wciągała powietrze przez zęby. I już opanowała się, wstrząsając z zimna ramionami, otrząsając się z diabelskich spraw. - No tak, to podobne do Zarieckiego. W oczy chwali, a za plecami o każdym z nas po wie świństwo... Ale to po prostu nikczemne łgarstwo, a nie spisek... Nie

powód do rozprawienia się z najbardziej wpływowymi bankierami Rosji. Będą nam potrzebni z ich bogactwem, wpływami, z ich telewizyjnymi imperiami... Zapomnijmy o tym...

Zaczęła się podnosić, zdecydowanie dając do zrozumienia, że rozmowa zakończona. Ale Grieczysznikow, wyprzedzając ją, wyjął drugą kasetę, wymienił z pierwszą i włączył.

„Trzeba pozbyć się Bałwana” - kasetę odtwarzała poranną rozmowę w „Fundacji”. Beczący wibrujący głos Zarieckiego mówił: „Jego rozmięczonym mózgiem rządzą nasi wrogowie. Nie wiadomo, co przyjdzie do głowy paranoikowi. Powinniśmy zjednoczyć się wokół Mera i zrobić go Prezydentem. Przekaż Merowi, Astros, że ja proponuję mu przyjaźń i pełne poparcie. A tego zbutwiałego Bałwana obalimy. Naród, jak Perun, wrzuci go do rzeki. Niech i po śmierci, ale będą go sądzić. Już my się postaramy, żeby sąd był jawny i uczciwy...”

Twarz Córci była bezlitosna. Z okrągłych oczu sypały się rysie zielone iskry. Ostre paznokcie wbiły się w skórzanę obicie fotela.

- Kiedy ojciec był zdrow i silny, ten sukinsyn Mer biegał na tylnych łapkach jak piesek. Pamiętam, przyjechał do nas na dachę z życzeniami urodzinowymi dla ojca. Ojciec trochę wypił, zapytał Mera, czy można mu całkowicie ufać, ponieważ możliwe są polityczne komplikacje. Mer odpowiedział: „Proszę ufać, jak wiernemu psu”. Wtedy ojciec wziął kościaną łyżkę do obuwia na długiej rączce. Rzucił ją z werandy w krzaki. „Przynieś” - powiedział Merowi swoim zwykłym żartobliwym tonem. Mer na czworakach zbiegł z werandy, schował się w krzakach, poszczeakał tam kilka minut i również na czworakach, trzymając łyżkę w zębach, przyniósł ją ojcu. Ojciec, jak wiernego psa, podrapał go za uchem, karmił szynką z ręki. A teraz, kiedy ojciec jest słaby, Mer knuje intrygi. Znowu niedawno przychodził, przysięgał wieczną miłość, a oczy bezczelne, kłamliwe... Ale wszystko jedno, panowie, to nie powód, żeby odsuwać oligarchów. To może rozwalić kruchy system równowagi, ustanowionej przez ojca.

Córka znowu chciała wstać i ponownie Grieczysznikow ją uprzedził i zmienił kasetę.

- Nie chciałem puszczać tego kawałka, ponieważ jest wstrętny i charakteryzuje tych ludzi jako odrażające gadziny. Ale proszę wysłuchać, i to będzie mój ostatni argument.

Kaseta zaszumiała, słychać dźwięczenie talerzy, stukanie widelców, dzwonienie kryształowych kieliszków. Bielosielcew już się domyślał, jaki to będzie fragment nagrania, na ile jest znieważający i nie do zniesienia przez pewną siebie, dumną kobietę.

„No, a Córka, jaka suka zdradliwa!” - piskliwie oburzał się Zariecki, a Bielosielcew wyobrażał sobie, jak poruszał pod stołem nogami, a na długiej wiewiórczej twarzy szczyrzyły się żółte siekacze. „Przysięgała na Boga, że poprze Premiera, a sama za moimi plecami zwąchała się z Wybrańcem. Niewdzięczna suka! I to po tym wszystkim, co dla niej zrobiłem!”.

„Pokazano mi willę w austriackich Alpach, którą dla niej zbudowałeś” - chichot Astrosa, jego wesoła intonacja, były rozpoznawalne. „Mówią, że już tam byliście razem? I jak minął wasz miodowy miesiąc?”

- Znosiłem jej świńską żądzę, od której drżały Alpy.
- Kiedy jest jej szczególnie dobrze, chwyta cię za pośladki i stara się rozerwać na pół.
- Chutliwa suka, mało jej dwóch i trzech, potrzebny harem mężczyzn.
- W najbardziej namiętnych chwilach ona zaczyna kłąć jak szewc.
- W łóżku potrzebni jej sztangiści i atleci. A jeszcze lepiej czołgiści i buldożeryści z maszynami na gąsienicach.
- Ma na prawym biodrze znamię od urodzenia w kształcie dębowego liścia.
- No dobrze, skończ udawać jasnowidza. Twoje z nią stosunki są dobrze znane. Mam fotografię willi, którą dla niej zbudowałeś w Nicei.
- W porę oprzytomniałem. Być jej kochankiem - zbyt duża cena za akcje korporacji komunikacyjnych. Teraz, mam nadzieję, że i na ciebie przyszło opamiętanie.
- Sprzedajna suka!”.

Taśma zamilkła. Córka wstała z fotela blada, ale spokojna. Podniosła na Grieczysznikowa wyniosłe oczy i chłodno, wyraźnie wymawiając słowa, rzekła:

- Pan rzeczywiście nie powinien puszczać tej taśmy. Teraz jej treść będzie zawsze kojarzyć się z panem. Słyszeliśmy głosy dwóch podleców, ohydnie wyrażających się o kobiecie. Tak się dzieje wśród mężczyzn, i nie tylko w koszarach. Ale wszystko to nie daje mi powodu do kierowania się osobistymi uczuciami. Interesy władzy wymagają, żeby pan zostawił tych ludzi w spokoju. Będziemy brać ich takimi, jakimi są. Ale i takimi pozostają przydatni dla władzy. Odprowadzę panów!

Wyprowadzała ich, schodząc za nimi po schodach na słoneczną werandę. Zamierzała się pożegnać i pójść do słonecznego gościnnego, gdzie w promieniach wieczornego słońca świecił się kosztowny abażur z wzorzystego szkła. Ale z alei pod dom podjeżdżał orszak lakierowanych ciemnych samochodów. Z czarnej limuzyny, podtrzymywany przez ochroniarzy, wysiadł Prezydent, zwisając ciężko na ich silnych rękach.

Rozdział dwudziesty drugi

Wprowadzili Bałwana pod rękę na werandę, posadzili w plecionym fotelu. Noga w miękkim pantoflu, krzywo postawiona na podłodze, sprawiała mu ból. Długo, wyęzając wszystkie siły, podnosił ją, póki nie zajęła prawidłowego położenia. Upewniwszy się, że wygodnie usiadł i całe jego wielkie ciało rozplynęło się w fotelu, ochroniarze zeszli z werandy. Stanęli przy schodach, gdzie szkłem i metalem błyszcząca czarna prezydencka limuzyna, a tuż za nią stanął wielki furgon reanimacyjny.

Bałwan milcząc siedział w fotelu, ciężko oddychając. Jego wargi były w liliowych plamach, obwisłe policzki całkowicie pokrywała czerwono-fioletowa siatka popękanych naczynek. Widać było, że cierpi. Ból przeczącał się w nim, jak pęcherze gazu.

- Tak, córeczko, zajechałem do ciebie po drodze do szpitala... Pomyślałem, a nuż nie zobaczymy się... Każdy raz jak ostatni... Chciałem na ciebie popatrzeć... - wypowiedział z trudem, wypływając ze swego bólu, jak martwa ryba wypływa na powierzchnię.

- Męczy cię ból. Lekarze powiedzieli, że trzeba się położyć, a oni zlikwidują ból. - Córka podeszła do niego, objęła za opuszczone ramiona, poprawiła podwinięty kołnierz. A on złapał jej rękę i przycisnął do swoich rozpląszczonych plamistych warg.

- Boli wszędzie... W głowie, w sercu i w żołądku... Gryzie mnie od wewnątrz... Przetoczył w głębi norę, chodzi i gryzie w różnych miejscach... Nocą nie śpię z bólu, słyszę, jak on chrupie, zgryza kości, jelita... Jak jeżozwierz... Mówią, w piekle ból piekielny... Jaki musi być w piekle, skoro tu, na ziemi, wytrzymać go nie można...

Trzymali się za ręce, jakby czepiając się siebie, nie zauważając obecności postronnych ludzi, którzy znaczyli dla nich w tej minucie rozstania nie więcej niż otaczające ich przedmioty. Biełosielcew patrzył na chorego, bezkrwistego od cierpień człowieka, niczym nie przypominającego wściekłego, nieposkromionego lidera, który w swoim niepoahamowanym dążeniu zderzył się z niewidzialną, niepokonywalną zaporą, która rozpląszczyła mu twarz, rozbiła narządy wewnętrzne, zmiażdżyła kości. Starał się zrozumieć, z jaką nieprzewyciężoną ścianą nastąpiło zderzenie. Siad jakiej przeszkody widniał na tej rozbitej, fioletowo-sinej, jak krwiak, twarzy. Jakie przerażenie zamieszkało w tej wścieklej nieustraszonej duszy.

- Do ciebie spieszę, córko... Ty moja krew i ciało... Rozumiesz mnie duszą i sercem... Starsza, siostra twoja, głupstwami nabita, blichtr na niej, coś tam wykluwa się po trochu... Matka nasza całkiem się pogubiła, gdacze jak kwoka nad gniazdem... Żal jej... Ty jedna jesteś moją pomocnicą i doradcą... Wszyscy powtarzają: „Następca, następca”... Ty-mój następca, tobie bym oddał władzę... Ty jej nie zgubisz, dalej poniesiesz i wzniesiesz...

- Ty ją sam poniesiesz, tato... Podleczą cię doktorzy i znowu będziesz zuch...

- Sił nie ma... Cierpienie wyniszczyło... Trochę mnie napompują, a na drugi dzień, jak z dziurawej piłki, powietrze uchodzi... Lekarze do śmierci nie dopuszczają, trzymają na samym skraju... Może teraz odpuszczają... Zajechałem cię zobaczyć...

Przytknął policzek do jej ciepłej ręki z bezbronnością obrażonego dziecka. Biełosielcew dziwił się, widząc przed sobą człowieka, którego historia wybrała do swojej burzącej, okrutnej pracy. Nasadziła go na ostrze, wbiła drzewce w garbaty grzbiet zmęczonego wieloryba, a z niego wyciekła krew i zastygł jak nieruchoma góra na brzegu. Wielka epoka skończyła się, umarła. Razem z zabitą epoką umiera jej zabójca, utkwil w martwym cielsku jak zardzewiały zgięty harpun. A historia obojętnie odwróciła się od niego. Szuka gdzieś z boku, wśród innych narodów. Wybiera sobie bohatera, potrząsając w niebie błyszczącym ostrzem. Biełosielcew patrzył na tego, którego uważał za diabelskie nasienie, za głównego winowajcę nieszczęść, które spadły na kraj. Teraz odczuwał do tego człowieka coś jakby litość.

- Oni wszyscy mnie nienawidzą!... Zabrałem im władzę, a oni palcem nie kiwnęli, żeby ją utrzymać!... Nędzni, żałośni, podli, zgubili kraj!... Wczepili się w niego cherlawymi łapkami... Wysysali jak komary, przez cienkie rurki!... A ja ich odpędziłem!... Ja uratowałem w Związku Sowieckim wszystko, co można było uratować!... Całą zgniliznę i odpady odciąłem!... Oni chcą mnie sądzić za Białowieżę, chcą powiesić na białowiejskiej sośnie... Ale jeśli by nie ja, już dawno rozerwaliby nas Uzbegy, podbili Tadźcy, zajęli Kazachowie... Na Kremlu siedziałby wielkobrzuchy bej w krymce, w Państwowej Komisji Planowania rozłożyłby się bej w turbanie, w Politbiurze rządziłby szaszłyicznik w cyklistówce... Już mieliśmy się wykoleić, śpiewając pieśni o zwycięstwie komunizmu, a ja odczepiłem wagony, w których siedziały szumowiny... Ocaleliśmy, a oni koziółkują i nikt z nich się nie uratuje... Ja jeden, swoimi rękami, i dla tego ręce we krwi!... - Z trudem podniósł rękę. - Ja rozstrzelałem

Parlament, oblałem Moskwę krwią... Ale ta mała moskiewska krew powstrzymała większą, rosyjską... Chasbułatow z Ruckim chcieli wojny domowej... Żądni władzy zdrajcy chcieli rozłamu armii... Jeśliby oni zwyciężyli, nie byłoby już Rosji... Dałem rozkaz czołgom i one zabiły wielu ludzi... Oni mi się śnią, krzyczą po nocach, proszę ich o przebaczenie, a oni rzucają we mnie swoimi oderwanymi głowami... A przecież wszystko, co zrobiłem wtedy, zrobiłem nie dla siebie, dla Rosji... Wziąłem na siebie straszny grzech, ale wziąłem w imieniu Rosji!...

Rozgromiłem Czeczenię, posłałem na Grozny powietrzną armię, zrujnowałem cudowne miasto. Ale Dudajew był handlarzem narkotyków, odcinał głowy rosyjskim jeńcom, szykował się do wysadzenia Kaukazu, i jeśliby nie wojska, szturmujące krwawą noworoczną nocą stolicę bandyckiego państwa, to dzisiaj islamski żołnierz z Kaukazu mógłby wejść do każdego rosyjskiego domu, siłą wziąć córkę i żonę, gwałcić je na oczach rozpiętego na ścianie gospodarza.

Zdawało się, że choroba na chwilę opuściła Bałwana. Oczy się rozszerzyły, zapalił się w nich suchy namiętny blask. Wiotkie mięśnie napęłniły się siłą i on zdołał oderwać się od fotela. Stał rosły, ciężki, jakby pod nim nie było drewnianej podłogi werandy, a pancierz czołgu, a dookoła wiwatowały zachwycone tłumy. On wyzywał na pojedynek cały świat, nie wypuszczał z ręki otrzymanej niegdyś władzy. I jeśli było mu sądzone umrzeć, gotów był zabrać ze sobą pod ziemię cały boży świat - z Kremlem, Moskwą, z Wołgą, żeby nie dostały się innym.

- Gdzie są moi współpracownicy, pomocnicy, wierni doradcy?... Wszyscy okazali się draniami, idiotami, zdrajcami!... Ja ich przyciągałem, wynosiłem, pokazywałem światu jako wielkich reformatorów i twórców, jak „ptaszęta gniazda Piotrowego”, a oni jeden po drugim upijali się, przeistaczali w złodziei, przechodzili na stronę wrogów, ja ich wyrzucałem na wysypisko, gdzie do tej pory gniją. Niedouczony dziennikarz, chciałem go zrobić tubą wielkich idei, świadkiem historycznych wydarzeń - on był dobry tylko w łaźni z butelką piwa i suszoną płótką, za

co go naród przezwał „Półtorańka”. Kazuista, teoretyk, któremu powierzyłem stworzenie ideologii wielkiego państwa, obdzieliłem niebывały mi pełnomocnictwami - w jego rybiej ościstej głowie dojrzywały tylko drobne intrzygi i podłości, w narodzie wywoływał uczucie wstrętu, za co porównywano z chorobą weneryczną „Burbunis”. A ten rechoczący wesółkowany cham, któremu zleciłem reformę przemysłu i który ukradł połowę kraju, skłócił mnie z narodem, za co trafnie był nazwany „Chamiejko”. A mój wiceprezydent, co w łaźni mył mi plecy i przysięgał wieczną miłość, a potem mnie sprzedał. A wiarołomny Czeczeniec, którego zrobiłem drugim człowiekiem w Rosji i który uważał się za Stalina, naśladował go swoją nędzną fajką - rozpoczął w Moskwie krwawe rozruchy, chciał, żebym podzielił los Ceaucescu. A Główny Ochroniarz, robak, którego podniosłem z ziemi, odmyłem, nałożyłem lampasy, dałem taką władzę, jaka nie śniła się samemu Berii - jak pospolity łobuz sprzedał mnie, odsądził od czci w swoich miernych notatkach lokaja. Oni wszyscy nienawidzą mnie, czekają, kiedy odejdę. Wykopią mnie z grobu i mojego trupa rzucą na pożarcie psom. Boję się o ciebie! - Objął Córkę, przycisnął mocno do siebie, zasłaniając od zgrozy. - Cała ich nienawiść padnie na ciebie. Nie wierz nikomu. Zariecki i Astros pierwsi cię sprzedadzą, obwinia cię o wszystkie moje grzechy. Potrzebny jest zastępca, obrońca. Ten, któremu mógłbym przekazać nie tylko władzę, ale i opiekę nad tobą i matką. Ktoś, kto potrafiłby zmusić całą swolocz do siedzenia po kątach. Jest taki człowiek, ty wiesz. Ja mu wierzę, widzę go oczami duszy. Na nim możesz polegać...

Bielosielcew, usłyszawszy beznadziejnie smutną wypowiedź Bałwana, nie poczuł do niego nienawiści, a tylko dziwne męczące współczucie. Przed nim stał człowiek skazany na Piekło. Rozstawał się z ziemskim bytem, z trawą, z błękitnym niebem, z kwitnącym pachnącym klombem, z żoną i córką, z ziemską działalnością. Za chwilę ochrona poprowadzi go do czarnego samochodu, który jak katafalk pomknie z nim do kostnicy,

gdzie go położyć na zimny marmurowy stół, chirurdzy w milczeniu wbijają noże, wyrwą z zimnego trupa czarną pomarszczoną wątrobę, fioletowe serce w bliznach i dziurach, będą szperać i chlupać, grzebiąc rękoma w gumowych rękawiczkach we wszystkich zakątkach jego martwego ciała.

- Chodź, pocałuję cię... Wybacz mi, córeczko. - Objęli się, stojąc na słonecznej werandzie, a po policzkach Bałwana płynęły łzy.

Ochrońnicy troskliwie wzięli go pod ręce, sprowadzili po schodach, ostrożnie wsadzili do samochodu. Karetka reanimacyjna, błyskając ciemnymi szybami, okrążyła klomb i odjechała aleją, migając rubinowymi tylnymi światłami.

Córka wróciła na werandę.

- Zgadzam się z pana propozycjami. Daję zgodę na odsunięcie Astrosa i Zarickiego. Proszę mnie informować o wszystkim.

- Każdy krok będę z panią uzgadniał - skromnie odpowiedział Grieczysznikow, całując wyciągniętą na pożegnanie rękę.

Wyjechali z posesji. Ruszyli niebieską wieczorną szosą. Z naprzeciwka z szumem przemknęła limuzyna. Zatrzymała się pod ozdobną bramą. Powoli podjechała pod drzwi.

- Wybraniec - powiedział Grieczysznikow i jego oczy triumfująco błysnęły.

Bielosielcew czuł się zmęczony obfitością niezwykłych wrażeń. Chciałby pozostać sam, zamknąć oczy. Poprosił Grieczysznikowa, by odwiózł go do domu, ale ten powiedział:

- Rzeczy wielkie dzieją się błyskawicznie. Dzisiaj mogłeś zobaczyć, w jakim tempie rozwijają się wydarzenia. „Projekt Suahili” ma dodatkowe przyspieszenie. Teraz przesiądziesz się do samochodu Astrosa i odwiedzić Gramofończyka. On już na was czeka.

Przy Łuku Triumfalnym ich mercedes zatrzymał się, ale nie minęła minuta, jak podjechało do nich wysokie pudło dżipa. Drzwi ciężkiej maszyny otworzyły się i Bielosielcew zanurzył się w ciemne aksamitne

wnętrze. Na welurowym siedzeniu siedział Astros. Przyjaźnie uśmiechnął się, wyciągnął pulchną ciepłą rękę.

- Gramofonczyk zaprosił nas do siebie. Zaproponowałem restaurację, ale żona przyszyła go do spódnicy i, jak pieska, wyprowadza dwa razy dziennie na spacer. Cóż, obejrzymy jego nową siedzibę. Mówią, że zebrał w magazynach Ermitażu i Muzeum Rosyjskiego wspaniałą kolekcję malarstwa.

Kupili po drodze bukiet białych róż - „dla madame”, jak się Astros wyraził, skręcili w stare uliczki, gdzie w otoczeniu domów, przytulnych świątyń, przyjemnych moskiewskich podwórek, władczo odrzuciwszy je na bok, otaczając oczyszczoną przestrzeń wysokim żelaznym płotem, wznosił się wspaniały dom, z wieloma kopułami i wieżami, kosztownie oszklony, podobny do kryształu lodu, zwycięsko wbijający w niebo zaostrzony szczyt. W tym domu, lekceważącym skromną architekturę starej Moskwy, potwierdzając zwycięstwo agresywnego stylu osiadła nowa zwycięska arystokracja.

Cały parter zajmował lider przestępczego ugrupowania, kontrolujący moskiewskie bazyry. Kilka połączonych razem mieszkań wychodziło na wszystkie cztery strony, i stąd władczy gospodarz mógł widzieć Kreml, Akademię Nauk, wieżę Ostankino i Dom Rządowy. Piętro zajmował arcybiskup, którego przeznaczono na Patriarchę i który, przyjeżdżając do domu czarnym cadillakiem, wyciągał do szofera pulchną, obsypaną pierścieniami dłoń do pocałunku. Ogromne mieszkanie podarował swojej kochance znany bankier, urządziwszy jej sypialnię z bursztynu, łazienkę z marmuru z Rodos i zimowy ogród tropikalny, w którym latały żywe motyle. Kobieta żyła w odosobnieniu, ale czasami ją widziano nocą - bez ubrania stojącą na balkonie, jakby szykowała się do lotu ku rubinowym gwiazdom Kremla. Tu również zamieszkał bogaty Azerbejdżanin, o którym powiadano, że jest handlarzem narkotyków. Do wejścia odprowadzał go pluton specnazu, krótkimi skokami pokonując trasę, po której szybko przechodził czarny człowieczek na krzywych nogach, z ogromnymi, jak psie ogony, brwiami. Obok mieszkał minister pracy,

którego rodzina przesiedliła się do Ameryki, a on żył samotnie, od czasu do czasu organizując uroczystości, na które zjeżdżały się piękne długonogie kobiety, podobne do modelek Judaszkina. Między tymi wielmożnymi osobami mieszkał Gramofończyk, zajmując nie całe piętro, a tę jego część, która wystawała powyżej blaszanych dachów i cerkiewnych kopuł, z widokiem na zamgloną moskiewską dal z iglicą wieży telewizyjnej Ostankino, która, napełniając się nocą niebieskawym roztworem, wbijała się w chorą nabrzmiałą żyłę Moskwy.

- Czy można odwiedzić wielkiego odludka i mędrca? - zapytał przez skórzano-stalowe drzwi Astros, kiedy dzwonek, melodyjny jak klawesyn, odegrał melodię Scarlattiego i w otwartych drzwiach pokazała się twarz gospodyni, odmładzająca się, jędrna od ziołowych maseczek, mleczno-rumiana dzięki doskonałemu makijażowi, z seksownym pieprzykiem nad skórą do śmiechu wargą.

- Czy tu jest pałac samotnych marzeń i rozmyślań? - przestąpił próg Astros, wręczając gospodyni wspaniałą bukiet róż, dostępując zaszczytu czarującego uśmiechu, po którym należało sądzić, że był tu lubiany i oczekiwany.

- On jest trochę niezdrów i przygnębiony - szeptem, wskazując oczami długi korytarz z odległym rozświetlonym gościnnym pokojem, powiedziała gospodyni, lekko odsłaniając słabo zapiętą bluzkę, w której ledwie się mieściły swobodne piersi bez stanika. - Postaramy się go nie męczyć, dobrze?

- Nie słuchajcie jej! - rozległ się z daleka głośny, znajomo trzeszczący głos Gramofończyka, niecierpliwie przyzywającego gości do siebie. - Ona zamęcza mnie swoimi tabletkami, ochrania jak owczarek!

Te ostatnie słowa wyrzekł, kiedy goście przekraczali próg pokoju. Wyciągał do nich długie ręce o trzęsących się palcach.

- Przyszliśmy odwiedzić pana, zaświadczyć o naszym szacunku. Odejście pana z życia towarzyskiego odczuwamy jak stratę.

Brakuje nam pana, brakuje pańskiej kipiącej energii, pańskiego

niestrudzonego intelektu. Bez pańskiego romantyzmu życie towarzyskie stało się twardsze, bardziej egoistyczne, uboższe. Przyszliśmy pokropić się „żywą wodą” pańskich myśli i uczuć. - Wszystko to Astros powiedział nie wypuszczając z rąk drżących palców Gramofończyka, a ten, z pół-przymkniętymi oczami, życzliwie słuchał i było widać, że odczuwa przyjemność.

- Wszystko ma swój czas, swoją porę - smutnie uśmiechnął się. - Nowe czasy, nowi bohaterowie, nowe hymny. Etyka mędrca i starzejącego się polityka, etyka zmęczonego życiem patrycjusza polega na tym, żeby w odpowiednim momencie ustąpić, wyjechać z szumnego Rzymu, odosobnić się w willi, spędzić ostatnie lata w błogosławionej samotności, na rozmyślaniach, wśród ukochanych rzeźb i zwójów, oglądając trofea galijskich wypraw. Odchodzić trzeba majestatycznie i spokojnie, jak odchodzi wieczorne słońce, zostawiając za sobą długi zachód. - Zamknął oczy i cicho opuścił głowę.

- Pan jest wspaniałym trybunem i retorem. Bez pana przemówień obecny senat jest niewyraźny i głuchy. Bez pańskiej działalności polityka przypomina zaśniedziały świecznik z brązu, z którego zabrano świecę. - Astros doskonale wyczuł styl rozmowy, podtrzymując obraz odsuniętego od łask wygnańca, którego grał gospodarz. - Ale, proszę wierzyć, nie zapomniano pana. Pańskie miejsce czeka na pana. Nikt nie może pana zastąpić. My, pańscy przyjaciele, przywrócimy pana do senatu, przywrócimy pana Rosji.

Siedzieli przy okrągłym mahoniowym stole, na którym gospodyni postawiła złożone filiżanki z muzealnego serwisu, częstowała ich pachnącą herbatą i lekkimi ciastkami.

Bielosielcew wpatrywał się w znaną, tysiącrotnie pojawiającą się w telewizji i na okładkach czasopism twarz Gramofończyka. Jego bystre, rozbiegane oczy, w których błyszczał rozum, podejrzliwość, przebiegłość. Jego krzywe ruchliwe usta, gotowe do nieustającego mówienia, burzliwej erupcji gromkich, efekciarskich słów. Jego wystający ruchliwy podbródek, który nauczył się dumnie uwydatniać. Bielosielcewowi

dziwnie było widzieć tę twarz z bliska, wyjętą z atmosfery mityngów, zjazdów, triumfalnych przemówień, wspaniałego wspinania się po drabinie władzy. Postarzała, bezbarwna, pokryta drobnutkim niebieskawym pudrem wydawała się pośmiertną maską, którą zdjęto z przeszłego, martwego czasu, przeniesiono jak muzealny eksponat do tego eleganckiego moskiewskiego mieszkania.

- To wszystko moje fetysze, świadkowie mojego triumfu i mojego wygnania - smutnie uśmiechnął się Gramofończyk, zauważywszy wzrok Bielosielcewa, błędzący po wiszących obrazach i rozstawionych na stoliku fotografiach. - Moi rozmówcy, moi milczący przyjaciele, którym powierzam najszybsze myśli. Moja kolekcja obrazów nie jest duża, ale wszystkie one przypominają mi Paryż, miasto wiecznej urody, wiecznej muzy. Miasto mojego wygnania, gdzie ukryłem się przed nieprawymi pościgami. Matisse, Renoir, Degas, niezrównany Chagall, niewyobrażalny Picasso, upajający Monet, jak różowe powietrze mojego dzieciństwa! - znużonym i smutnym gestem wskazał na obrazy. To były oryginały, warte bająskie sumy. Paryskie wygnanie, na które udał się Gramofończyk po tym, jak oskarżono go o roztrwonienie państwowej kasy, zrobiło z niego doskonałego kolekcjonera.

- A to są najwięksi ludzie dwudziestego wieku, z którymi miałem szczęście się przyjaźnić, przekształcać świat, tworzyć historię. - Powiódł bladą zmęczoną dłonią po empirowym stoliku, na którym w prostych ramkach stały fotografie, uwieczniające Gramofończyka w towarzystwie sławnych osób. Akademię Sacharow i Gramofończyk. Gorbaczow i Gramofończyk. Margaret Thatcher i Gramofończyk. Prezydent Bush i niezmienny Gramofończyk. Następca rosyjskiego tronu i znowu tenże czarujący, wyniośle przyjazny Gramofończyk.

- A to, pan może się uśmiechnie, małe muzeum rosyjskiej rewolucji demokratycznej, w której mi przyszło uczestniczyć w miarę moich sił - wskazał na półkę za szkłem, gdzie były rozłożone dziwne przedmioty. - Mój pilśniowy kapelus, w którym spotkał mnie deszcz w Tbilisi,

kiedy badałem bestialstwa wojskowych, którzy łopatkami saperskimi porąbali gruzińskie dzieci i kobiety... Moje rozbite okulary, które upuściłem ze zdenerwowania, gdy na Zjeździe Narodowych Deputatów żądałem aresztowania przewodniczącego GKČP... Pióro „Parker”, którym podpisałem ustawę o przywróceniu mojemu ukochanemu miastu nazwy Sankt-Petersburg... Zamszowa rękawiczka Galiny Starowojtowej, która do tej pory delikatnie pachnie jej perfumami... Katolicki krzyżyk Gleba Jakunina, który podarował mi nasz demokratyczny Awwakum... Zaszona róża z tamtego bukietu, który mi przynieśli zachwyceni studenci Uniwersytetu Kolumbijskiego.

Bielosielcew widział przez szybę zebrane rzeczy, zachowane dla potomnych przez żadnego sławy gospodarza, a każda z nich była pamiętnym znakiem jego, Bielosielcewa, nieszczęść.

- To bezcenna kolekcja - pochlebił Astros. - Na aukcji „Sotheby's” dostanie pan za nią wielkie pieniądze.

- Po mojej śmierci - z nietajonym smutkiem powiedział Gramofonczyk. - Ona przecież musi za coś żyć - zniżywszy głos, wskazał na sąsiedni pokój, gdzie migał cień gospodyni.

- Melancholia pana rozrywa mi serce - z zapalem sprzeciwił się Astros. - Przyszliśmy, żeby powiedzieć, jak pan jest potrzebny, jak czekamy na pana powrót.

- Ach, niestety, nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki, jak mawiali starożytni - odpowiedział Grafomańczyk z wyższością, z wysokości swojego gorzkiego doświadczenia, patrząc na podnieconego Astrosa. - Ludzie z natury są niewdzięczni. Cechuje ich zapominanie o pionierach. My, demokraci pierwszej fali, bezgranicznie i ofiarnie rzuciliśmy się na bagnety KGB, na bomby atomowe i rakiety czerwonego imperium, na okrutny aparat partyjnego ucisku. I zwyciężyliśmy. My, rycerze wolności, romantycy demokracji przegnaliśmy czerwonego bazyliuszka. Ryzykowaliśmy życiem, gotowi iść do więzienia, nie przestraszyliśmy się trucizny ani kul. Pamiętam, jak z Sacharowem przyszliśmy do Gorbaczowa i powiedzieliśmy mu: „Proszę się zdecydować! Albo pan

wejdzie do historii jako wielki humanista i reformator, albo pana w niesławie pogrzebią pod ruinami obalonego komunizmu”. Upredziliśmy go o możliwości puczu. On rozmyślał, męczył się, zdecydował. Gdzie oni są teraz, żarliwi bohaterowie demokratycznej rewolucji? Apostołowie wolności? Sacharow nie wytrzymał ogromnego napięcia i został uśmiercony przez tę agresywno-posłuszną, pragnącą jego śmierci większość. Gałę Starowojtowa zabito przy wejściu, ją, bezinteresowną, świętą, która przepowiedziała swoją śmierć. Mnie wyklęto, zdeptano, moje dobre imię na ustach niewdzięcznego tłumu, który ja wyzwoliłem z niewoli najokrutniejszej na świecie dyktatury, wyprowadziłem z ciemności na światło. Nasze miejsca zajęli cyniczni ludzie pod płaszczykiem demokracji. Geszefciarze, kombinatorzy, przebrani komuniści, tajni faszyci. Oni robią wszystko, żeby nas zapomniano, wykreślono z podręczników, starto nasze imiona z tablic demokracji. Żeby nikt nie położył na naszej mogile róży wdzięczności... - Gramofonczyk pobladł, przyłożył rękę do serca. W jego oczach błysnęły łzy i na chwilę zamilkł, nie mając siły zapanować nad gorzkim wzburzeniem.

- Ma pan rację - Astros dotknął jego bladej ręki - faszyci i komuniści, solidarni w nienawiści do nas, demokratów, chcą wziąć rewanż. Przenikają do władzy, na urzędy gubernatorów i ministrów, wydeptują ścieżki na Kreml. Szykuje się przewrót, organizowany przez tajnych agentów KGB, którzy wniknęli we wszystkie sfery życia. Właśnie ono, tajne podziemie Dzierżyńskiego, prowadzi do szczytów władzy niedawno nominowanego premiera. Pan go doskonale zna, on razem z panem pracował. Pan mu dał schronienie, umożliwił start do jego nowej kariery. Kim on jest, ten, którego niektórzy nazywają Wybrańcem?

Grafomańczyk zapanował nad zdenerwowaniem. Zostawił bez odpowiedzi pytanie Astrosa, ciągnąc swoją smutną spowiedź:

- W Paryżu, gdzie ukryłem się przed pogonią, mieszkałem w cudownym zabytkowym domu na Bulwarze Kapucynów. Lubiłem wychodzić na balkon w niebieskim wiosennym zmierzchu, patrzeć, jak płyną

pode mną światła samochodów, mrugają reklamy, i w deszczyku kwitną kasztany jak białe świece, zupełnie jak na obrazach Pissarra. Trzymałem w ręku kieliszek mojego ulubionego koniaku „Camus”, popijałem małymi łykami i myślałem o Royi. Ojej namiętnym dążeniu do Europy. Ona jest podobna do białego łabędzia, wyrrywającego się z kamiennego monolitu. Mój Petersburg, tak podobny do Paryża, wzywał mnie. Pisałem wiersze o Paryżu i Petersburgu. Naszkicowałem pomnik pierwszych demokratów Rosji, który kiedyś postawią na Polu Marsowym. Postanowiłem wrócić do ojczyzny, gdzie mnie, być może, czekało więzienie i zhańbienie. Moim oszczercom w myślach recytowałem wiersze Balmonta: „Ciszej, ciszej ściągajcie z dawniejszych idoli pokrowce. Zbyt długo się modliliście, nie zginie dawniejszy świat...” - Gramofonczyk marzy cielsko zamknął oczy, kiwając głową, jakby znowu stał na paryskim balkonie, patrzył na wieczorny Bulwar Kapucynów i widział jaśniejący Newski Prospekt i złotą szpilę Admiralicji. W niebieskich wypukłych oczach Astrosa migało delikatne złoto, podobne do błyszczki.

- Wiem, że kiedy pan wrócił do Rosji, poszedł pan do niego. Zaproponował mu pan swoje usługi. Prosił pan o urząd ministra sprawiedliwości, na którym mógłby pan dalej służyć ojczyźnie. Wykorzystując swoje ogromne doświadczenie, swój autorytet w demokratycznych kręgach, budować państwo prawa. A otrzymał pan suchą, upokarzającą odmowę. Oto jest wdzięczność za wszystko dobre, co pan dla niego zrobił.

Bielosielcew widział, jak Gramofonczyk ginie. Samolubny, zaślepiony swoją wielkością, niezdolny do usłyszenia cichych głosów zbliżającego się nieszczęścia, do wyłowienia delikatnego cienia śmiertelnego niebezpieczeństwa. Był beznadziejny. Bielosielcewowi nie było go żal, jako że ten egzaltowany pieścuch, przypominający strzelający, ale niegrzejący ogień bengalski, był przyczyną niezliczonych nieszczęść, jakie dosięgły Rosję.

- Wybraniec, jak go pan nazywa, jest zwykłym drobnym karierowiczem i cwaniakiem! - Gospodyni stała w drzwiach, zawzięta, oburzona. -

Przyjęliśmy go do pracy, wzięliśmy z ulicy, kiedy po niej biegały wściekle tłumy i wyławiały agentów KGB. Daliśmy mu stół i dach, przyjęliśmy do naszego kręgu, wybacaliśmy błędy, zamykaliśmy oczy na jego wątpliwe sprawy. Mieliśmy prawo liczyć na wdzięczność. Teraz, kiedy go los wyniosł, a my poślizgnęliśmy się i boleśnie upadli, on nas nie podniósł, nie pospieszył na pomoc, nie rzucił się na ratunek swojemu dobroczyńcy. Kiedy zwróciliśmy się do niego o poparcie, on odmówił z wyniosłą obojętnością! To mu się odpłaci strasznym nieszczęściem. Nie można sprzedawać dobroczyńców. Mój mąż to wielki człowiek. On należy do rosyjskiej historii jak Ermitaż, Jeździec Miedziany, jak sama nazwa Sankt-Petersburg. Wielu uważa za zaszczyt ucisnąć mu rękę. Kiedyś mu postawią monument i wdzięczni rodacy będą przynosić kwiaty. A ten nędzny faworyt zginie jak pyłek z marynarki mojego wielkiego męża! - Gwałtownie wzruszyła ramionami, od czego bluzka na piersi rozpięła się jeszcze szerzej, a ciemne znamię stało się jeszcze bardziej widoczne nad poczerwieniałą, rozgniewaną wargą.

- No już ty, kochana, sądzisz go zbyt srogo. - Gramofończyk był wdzięczny żonie za ten monolog.

- Czy to prawda, że on uczestniczył w nielegalnym przemyśle waluty przez fińską granicę? - ostrożnie przedłużał dopytywanie się Astros.

- Nie chciałbym tego dementować. - Gramofończyk uważał, że powiedział to wymijającym językiem dyplomaty, za jakiego zawsze w swoim mniemaniu uchodził.

- A czy to prawda, że on jest winien rozkradzenia magazynów Ermitażu, skąd wiele cennych eksponatów dostało się do prywatnych kolekcji w Niemczech?

- Nie będę tego dementować.

- W kręgach petersburskiej inteligencji chodzą słuchy o możliwym jego udziale w usunięciu Galiny Starowojtowej, która wiedziała o jego nieładnych czynach. To jest możliwe?

- Nie będę dementować - Grafomańczyk coraz bardziej się zacietrzewiał w nienawiści do niewdzięcznego krzywdziciela.

- Pan powinien nam pomóc. - Astros wyraził najwyższy zachwyt i wiarę w uczciwość siedzącego przed nim rycerza demokracji. - Musimy zatrzymać Wybrańca. On niesie zagrożenie dla naszych zwycięstw i wolności. W ślad za nim do władzy rwą się niedobitki czekistów, przepełnieni żądzą rewanżu komuniści, rozwścieczeni rosyjscy faszyci, przy których nazistowscy szturmowcy są obrońcami praw człowieka. Musimy pomóc Merowi, by został Prezydentem. Musimy usunąć tego Wybrańca. Czy mógłby pan publicznie powtórzyć to, co usłyszałem teraz od pana? Czy mógłby pan dokonać jeszcze jednego moralnego wysiłku, dopełniając to, czego już pan dokonał? - Astros z uwielbieniem patrzył w oczy Grafomańczyka.

- Zrobię to. Tylko niech pan nie mówi mojej żonie. Ona mi nie pozwoli. Muszę to zrobić dla dobra wolności i demokracji. Tak by postąpił Sacharow. Działam zgodnie z tym, czego on uczył.

- Jest pan wielkim człowiekiem. Większym od Sołżenicyna. Jest pan duchowym przywódcą Rosji. Rozmawiałem o panu z Merem. Powiedział, że nikt prócz pana nie jest godzien urzędu ministra sprawiedliwości. Nie mamy dzisiaj ani Sacharowa, ani Lichaczowa, ale, dzięki Bogu, mamy pana!

- O czym pan mówi? - Ładniutka Gospodyni znowu pojawiła się w progu, podejrzliwie przyglądała się wzburzonemu mężowi. - Tobie nie wolno się denerwować, przecież twoje serce!

- Moje serce jest przepełnione miłością. Kochana, przynieś nam drogocenną butelkę „Camus”, którą przywieźliśmy z Paryża. Chcę wypić z przyjaciółmi.

Osądzająco kiwając głową, ale podporządkowując się kaprynowi męża, wyszła i po chwili wróciła, niosąc srebrną tackę z czarno-złotą butelką, kryształowymi kieliszkami i talerzykiem, na którym żółciły się plasterki cytryny.

- Tylko łyczek. Nie zapominaj, że masz słabe serce.

Gramofonczyk rozlał koniak, podniósł kieliszek.

- Za nasz związek!... Za nasze duchowe bractwo!... Niech żyje wolność!... Wiwat Rosja! - Stuknęli się, wypili pachnący koniak.

Kiedy Bielosielcew z Astrosem opuścili przytulne mieszkanie, wyszli na podest schodów, zobaczyli, że pod sufitem bezszelestnie lata ciemnobrązowy motyl „monarcha”, z czarnymi żyłkami i perłowo-białymi kropeczkami. Pewnie wyleciał z mieszkania, które zajmowała kochanka bankiera i gdzie w zimowym ogrodzie latały żywe motyle.

Rozdział dwudziesty trzeci

Następny etap „Suahili” był dla niego przejrzyste jasny. W tej amfildzie spisków, dzięki którym „Projekt” realizował się i posuwał do przodu, przysłała kolej na likwidację oligarchów. Naiwny i bezsilny Gramofonczyk był ofiarą towarzyszącą spiskowi. Moment likwidacji, wyznaczony na uroczystość Mera, był dla niego groźnym ostrzeżeniem, znakiem tego, że on będzie następny.

Agent Bielosielcew, zdobywszy cenną informację, nie mógł jej wykorzystać. Nie miał komu jej przekazać. Nie było Centrum, które mu zleciło zadanie. Czuł się osamotniony, zapomniany na tyłach zwycięskiego wroga. Dalej było dla niego zagadką, jaki jest cel jego walki. W czym tkwi sens jego samotnej, niewidocznej dla świata, bitwy. W jakich przestrzeniach rozgromionej Ojczyzny, pośród martwych idei i znaczeń, znajdowały się obszary życia? Gdzie są relikwie proroków, które można dotknąć i nabrać sił i nadziei?

Najbliższe i najbardziej dostępne były „czerwone relikwie”, ukryte w granitowej piramidzie Mauzoleum. Leżały w kamiennej trumnie, zapomniane przez kapłanów i strażę, promieniowały tajemniczo przez kamień. Tam, do Mauzoleum, podążył Bielosielcew, pragnąc zobaczyć Lenina.

Dawniejszy znajomy, biochemik, który zajmował się balsamowaniem, nieraz zapraszał go do odwiedzenia Mauzoleum. „Doktor Martwych” - tak nazywał biochemika Bielosielcew- zapraszał go do swego

sekretne laboratorium, gdzie mumia wodza przechodziła regularny przegląd, nasączana roztworami, maściami, oczyszczana z bakterii, z oznak rozkładu i gnicia. Do niego, niezmiennego strażnika Lenina, którego pozbawiono warty honorowej, odcięto od kolejek pielgrzymów, otoczono wrogim tłumem, żądającym egzekucji nieboszczyka, profanując i szydząc organizowano przy ścianach grobowca widowiska i imprezy, koncerty rockowe i cyrkowe przedstawienia, właśnie do niego, Doktora Martwych, zadzwonił Biełosielcew, przypominając o obiecaniej wycieczce. I usłyszał:

- Niech pan zaraz przyjeżdża. Obiekt znajduje się w laboratorium na planowej profilaktyce. Będę rad pana widzieć, pokażę panu moje rzemiosło.

Denerwując się, z dręczącą nadzieją na cud, Biełosielcew udał się pod wskazany adres.

Laboratorium mieściło się w mało widocznym budynku, w głębi gęstego parku, podobnym do niedużego szpitalnego bloku, z zakratowanymi oknami pomalowanymi olejną farbą i żelaznymi drzwiami, przez które długo przyglądał mu się uważnie ochroniarz.

Doktor Martwych przyjął go w gabinecie, ciasno zastawionym wysokimi regałami, na których, jak w muzeum, były umieszczone dziwne eksponaty. W zamkniętych słojach z zielonkawym płynem, jak konserwy, stały w spirytusie ludzkie narządy. Półkule mózgowie, podobne do głabów kapusty. Ludzkie serca, wbite do słoja, jak marynowane purchawki. Wielokrotnie zwinięte w pętle jelita, przypominające korzenie chrzanu, pietruszki, czosnku niedźwiedziego. Żółtozielone, jak patisony, męskie narządy płciowe. Jakby zapobiegliwy gospodarz przygotował zapasy na długą zimę, wyhodowawszy je w przydomowym ogrodzie.

Tutaj też leżały skamieliny. Starożytne, pokryte masą perłową muszle, podobne do czarnych spiralnych pucharów. Kawałki kalafonii z zachowanym starożytnym słońcem, z zatopionymi w żywicy muszkami,

komarami, motylkami, z pęcherzykami powietrza, schwytanymi z młodej atmosfery ziemi. Kości i kły mamuta, białe czaszki ogromnych ptaków, które wyginęły. Długi szkielet gada, podobnego do jaszczurki z ptasim dziobem.

Na kilku półkach stały ludzkie czaszki - duże, małe, brudno-żółte, niebieskawo-białe, ziemisto-czarne, z pustymi bezzębnymi otworami albo ze śmiejącymi się biało-zębnymi szczękami.

Na pustej ścianie wisiała powiększona fotografia Lenina, rozrysowana kolistymi liniami, promieniami, podzielona na kwadraty, trójkąty, romby. Ten portret był główną treścią pokoju, jemu były podporządkowane wszystkie pozostałe przedmioty, a gospodarz przypominał geometrę, który całe życie udowadnia zagadkowe twierdzenie o Leninie.

- Oni polują na mnie. Chcą mnie złapać, chcą zawładnąć tym wszystkim - półszepem powiedział podniecony Doktor, pokazując ręką półki z eksponatami, portret, słoneczne okna strzeżone kratą. - Moja ochrona ma broń. Powiem w sekrecie: mamy granaty. W wypadku napadu będziemy się bronić do ostatniego naboju. Dwa zamachy były na mnie, ze stołu zginęły papiery. Przedostali się do mojego gabinetu, zrobili fotokopię portretu - zwrócił atramentowo błyszczące oczy i cienkie brwi w stronę portretu Lenina. - Ale nie uda im się. Naniósłem umyślnie błąd. „Deltę” proporcji. Zaszifrowałem antropologiczny kod i oni kolejny raz nie trafili. „Delta” - tu! - Dotknął czoła długim szpiczastym palcem. - Ja go nie wydam nawet na torturach! - Był wzburzony, raz po raz spoglądał na słoneczne okno, za którym zieleniał i żółkł jesienny lipowy park, jakby czekał, że spomiędzy liści, dziurawiąc szybę promienistym otworkiem, wleci kula.

- Kim są ci „oni”? - nie rozumiejąc, spytał Bielosielcew. - Czego chcą od pana?

- Agencja. Silniejsza niż FSB. Potężniejsza niż GRU. Z „Centrum strategicznego kierowania historią”. Oni uważają, że zwyciężyli komunizm, zlikwidowali Związek Radziecki, opanowali wszystkie źródła naszego rozwoju. Ale gen komunizmu jest tu! - Znowu dotknął czoła długim,

jak gwóźdź, palcem.- W tym laboratorium jest zachowana retorta „czerwonej idei”. Wszystko poddaje się wskrzeszeniu, wszystko jest nieśmiertelne! Mam jeszcze rok pracy i odkryję tajemnicę nieśmiertelności, tajemnicę wskrzeszania z martwych. Oni polują na mnie, chcąc zawładnąć retortą „czerwonej idei”. Zawładnąć genem komunizmu. Żeby go zniszczyć. Ale ja wymykam się im, zmieniam mieszkania, nie nocuję w domu. Moja ochrona ma granaty, będziemy się bronić.

Bielosielcew wnikał w na pół obłąkane słowa Doktora. Rozumiał, że tamten owładnięty jest nerwowym wzburzeniem, okrążony niewidzialnymi wrogami, ściśnięty pierścieniem niebezpieczeństw. Skrywa wielką tajemnicę, zamkniętą w geometrii portretu Lenina, pomiędzy elipsami, rombami, okręgami, gdzie chytrze naniesiono błąd, przesunięto środki i promienie. Tak wojskowi topografowie nanoszą usterki na mapę miejscowości, przesuując koordynaty miast, zmieniając odległości między zaludnionymi punktami, zniekształcając przestrzeń. Wróg, korzystając z takiej mapy do ataków i przemieszczania wojsk, chybia, nie znajduje rzecznych brodów i górskich przejść, ślepo błądzi w nieistniejącej przestrzeni.

- Oni się dowiedzieli, że zbliżam się do odkrycia tajemnicy wiecznego życia, do największego sekretu wskrzeszania. Boją się, że Lenin będzie wskrzeszony i razem z nim wróci „czerwona idea”, wielki „czerwony projekt”, i odrodzi się Związek Radziecki. Polują na Lenina, chcą wykraść ciało. Kilkakrotnie ich agenci zakradali się do Mauzoleum z kanistrami benzyny, chcąc podpalić sarkofag, ale ochrona ich unieszkodliwiła. „Wyniesienie ciała Lenina z Mauzoleum” - to podły plan „Centrum strategicznego kierowania historią”, usiłujący ostatecznie zlikwidować „czerwoną ideę”.

Doktor Martwych znajdował się w burzliwej, zwichrzonej przestrzeni, wykrzywiającej jego obraz. Jedne rysy jego twarzy były niewyraźne i rozmyte, inne - wypukłe i jasno świecące. Symetria twarzy była naruszona, odległości między żrenicami raz po raz się zmieniały. Wydawało

się, że jego twarz też była umieszczona w trójkątach, rombach i elipsach. Rozpadała się na barwne figury. Dwoiła się, troiła, jak odbicie. Ulatniała się, jak przezroczysta para z kolby z ciekłym azotem. Doktor Martwych, jak i on sam, Bielosielcew, był samotnikiem, wciągniętym w tajemniczy spiszek, obciążony wielkim projektem, troszczący się o zachowanie Wszechświata. Samotny kapłan, ochraniający bezludny Wszechświat, odpierający atak okrutnych zaborców.

- „Czerwona idea”, o której piszą w podręcznikach, o którą spierają się teoretycy, walczą scholastycy i doktrynerzy, polega na jednym jedynym - na pokonaniu śmierci. Starożytni Egipcjanie, którzy wierzyli we wskrzeszenie Ozyrysa, byli „czerwoni”. Panteiści Indii, wierzący w reinkarnację dusz, w niezniszczalność życia, byli „czerwoni”. Jezus „śmiercią swoją śmierć odkupiwszy i umarłym życie wieczne darowawszy”, był „czerwony”. Nikołaj Fiodorów, głoszący powstanie z martwych, wzywający ludzkość, by wspólnymi siłami wskrzesić zmarłych przodków i rozmieścić ich na planetach galaktyki za pomocą raket Ciołkowskiego, był „czerwony”. Związek Radziecki był olbrzymim laboratorium, gdzie trzysta milionów ludzi, umiejących pisać i uczących się, opanowawszy energię atomową i zbudowawszy flotę raketową, przygotowywało się do wyjścia w Kosmos. Powinni byli ożywić Księżyc i wyschniętego Marsa, uratować od zagłady Pluton i Jowisza, powstrzymać rozszerzanie się we Wszechświecie czarnej dziury, wyrwać z Antyświata połknięte przez niego planety i słońca. Po zapewnieniu nieśmiertelności Wszechświatowi, wypełnić przeznaczenie Boga. Ci, którzy na mnie polują, chcą wykraść ciało Lenina, zniszczyć „czerwony gen” - są posłańcami „czarnej dziury, wychodźcami z Antyświata. Znamię na głowie Gorbaczowa odtworza kontury „czarnej dziury”, do której z kolosalnym przyspieszeniem leci nasz Wszechświat. Kazimir Malewicz, który namalował czerwony i czarny kwadrat, przedstawił genetyczny kod Wszechświata, w którym czerwona idea zмага się z czarną...

Bielosielcew słuchał, oglądając półki ze zbiorem przedmiotów, utrwalających żądzę życia - raz powstałe, zachowuje się na wieki. Płaski

brązowy kamień zachował odbicie starożytnej paproci. Cieniutkie piórka i grona odbiły się w kamieniu, zachowując swoje ząbki, żyłki, lekkie zagięcia i linie, niegdyś wypełnione sokami, zieloną wilgocią, słonecznym światłem, powiewami pachnącego wiatru. Cień życia, który przypadkowo padł na martwy minerał, był jak bezdźwięczny krzyk bólu rośliny, która nie ocalała.

- Plac Czerwony - najcenniejsze miejsce na świecie. Dla ludzkości jest ważniejszy niż Piramida Cheopsa, Partenon, Wielki Mur Chiński. Ten plac szykowała Rosja na wskrzeszenie ludzi Ziemi. W soborach kremlowskich leżą biali kniaziowie i carowie, oczekując zmartwychwstania. W murze kremlowskim czekają na zmartwychwstanie czerwoni wodzowie i bohaterowie. Wiktor Anpiłow ze swoimi stronnikami, odważnymi robotnikami, bronią nie tylko Mauzoleum i ciała zmarłego Lenina. Oni bronią wielkiego rosyjskiego projektu przewycięzania śmierci. Bolszewicy nieśli w sobie mistykę „czerwonej idei”, która potem wyszła i wywietrzała z narodu, nie zachowała się w kamiennym pałacu Mauzoleum, w kryształowej trumnie, gdzie śpi wielki prorok, czekając na sygnał archanielskiej trąby, ogłaszający koniec starego świata i powstanie z martwych. Agenci Antyświata, posłańcy „czarnej dziury”, chcą przeszkodzić wskrzeszeniu. Wprowadzają anomalie do historii, wykrzywiają linię przyszłego nieskończonego życia. Podrzucają nam nieprawdziwe początkowe dane, oszukane geny, zamienione kości, z których mogą powstać nie bohaterowie i sprawiedliwi, a monstra i chimery. Oni pochowali w Twierdzy Pietropawłowskiej nie carskie szczątki, a kości znanego syberyjskiego katorżnika Makieja Żłoby, ludojada, który spalił w Tomskiej Guberni sześć wsi, zgubił dziewiętnaście dusz. To jego teraz rozślawia Cerkiew jako Cara-Męczennika. Jeśli wykorzystamy jego gen do wskrzeszenia, posłużymy się jego kodem antropologicznym, to wskrzesimy nie monarchę, a katorżnika. Byłem z moim przyjacielem kapłanem na grobach Zoi Kosmodemjańskiej, Aleksandra Matrosowa,

dwudziestu ośmiu gwardzistów-panfilowców. Oni są świętymi męczennikami, którzy oddali życie za nieśmiertelność...

Za szkłem, w szklanym pojemniku na aksamitnej poduszce, jakby to był naszyjnik lub cenny kindżał, leżała zasuszona dłoń starożytnego pokutnika z Kijowsko-Peczorskiej Ławry. Przetrwawszy rozkład, pergaminowo-żółta, z kruchym wypełnieniem świecących się kości, wydzielala ledwie widoczne światło, jakby z niej uleciało wszystko, co cielesne i przemijające, a zostały tylko cząstki światła.

- Lenin nie umarł. On tylko na pewien czas opuścił materialne ciało, a jego duchowa istota czeka na powrót do ciała. Hindusi uważają go za Mahatmę, który w ciągu ludzkiej historii miał kilka ziemskich wcieleń. W decydujących momentach pojawiał się na świecie i ratował ludzkość od zagłady. Według hinduskich wyobrażeń, Lenin nauczył ludzkość posługiwania się kołem i ogniem. Podarował ludziom pierwszy alfabet i cyfry. Hindusi twierdzą, że w jednym ze swoich wcieleń Lenin był Chrystusem i przedłużył życie ginącej ludzkości jeszcze na dwa tysiące lat. Teraz Lenin oczekuje momentu, żeby powrócić do swojego poprzedniego ciała i objawić się światu w Drugim Przybyciu. Mnie jest dane rozmawiać z Leninem, słuchać jego opinii. On mnie wzywa i rozmawiamy sobie. Odkrywa przede mną zadziwiające wiadomości, dzieli się porażającymi myślami. On mi wskazał, gdzie znajduje się Atlantyda i gdzie są ukryte resztki spalonej biblioteki Aleksandryjskiej z bezcennymi antycznymi rękopisami. On mi powiedział, jak jest urządzony Raj i jaka będzie architektura przyszłości, odtwarzająca rajski dom. On zna tajemnicę perpetuum mobile, zbudowanego na zasadach opanowania grawitacji. Opowiada, gdzie we Wszechświecie znajdują się zamieszkane planety, przysyła mi odbicie ich krajobrazów, widoki świata roślinnego i zwierzęcego, obrazy istot rozumnych. Uprzedza mnie o grożącym niebezpieczeństwie, o zbliżaniu się agentów Antyświata. On też kieruje moimi pracami nad wskrzeszeniem z martwych, wskazuje błędy w badaniach. Zwykle zjawia się nocą, przed świtem, a ja wyczuwam jego

nadejście po ciepłe, jakie rozlewa się w moim ciele. Być może, tak się odbywało niepokalane poczęcie...

Coś znajomego, niedawnego, słyszał Biełosielcew w słowach Doktora Martwych. Prorok Nikołaj Nikołajewicz, siedząc na brzegu rzeki o bystrym nurcie, wieszczył mu o Raju, o nieśmiertelności, o dokonaniu Świętego Wskrzeszenia, o ofierze w pojedynku z posłańcami Piekła i Ciemności.

On sam, Biełosielcew, żywił nadzieję powstania z martwych. Całe życie spędziwszy pośród śmierci, pośród zniszczonych i spalonych ogrodów, marzył o rajskim ogrodzie, o wiecznym kwitnieniu, o cudzie nieśmiertelności.

- Nad problemem nieśmiertelności pracuje na świecie wielu. W Indiach, w Chinach, w krajach arabskiego Wschodu. Wiemy o swoich pracach. Zmartwychwstanie Lenina odbędzie się wiosną, w Rosji, na prawosławną Paschę lub na Pierwszego Maja, lub w Dzień Zwycięstwa. Będzie cudowna pogoda, błękitne niebo, kwitnące kwiaty i drzewa. Uderzą dzwony, tłumy będą się modlić na placu Czerwonym przy świętych ścianach Kremla. Słońce na niebie zaigra i zalsni, dookoła niego spłyną cudowne tęcze, a z drzwi Mauzoleum wyjdzie Lenin, żywy, rozświetlony, „śmiercią swoją śmierć odkupiwszy”. Wstaną z białokamiennych grobowców carowie i kniaziowie. Wyjdą z kremlowskich ścian wskrzeszeni lotnicy, kosmonauci, bohaterowie. Na całej ziemi z trumien podniosą się miliardy ożywionych ludzi. Dokona się wszechświatowy cud zmartwychwstania. Do naszego życia wróci „czerwona idea” i będzie odbudowany Związek Radziecki!

Chudy czarnooki człowiek w uniesieniu wstał. Wzniósł chude spracowane ręce, całe życie trudzące się nad stworzeniem cudu. Jakby witał narodziny nowego świata, nowej ziemi i nieba, po którym mknęły srebrzyste rakiety i gwiazdoloty, rozwożące miliardy wskrzeszonych ludzi po planetach Wszechświata.

- Proszę iść za mną - powiedział Doktor Martwych - pokażę panu Lenina.

Opuścili gabinet, minęli posterunek uzbrojonej ochrony. Po mrocznych, oświetlonych nikłym elektrycznym światłem schodach zeszli do piwnicy. Długim wybetonowanym korytarzem, jakie bywają w podziemnych bunkrach i wyrzutniach raketowych, doszli do stalowych drzwi. Doktor przekręcił regulujący uchwyt i znaleźli się w wyłożonym kafelkami śnieżnobiałym pomieszczeniu, podobnym zarówno do sali operacyjnej jak i do salonu fryzjerskiego, z chromowanymi lampami chirurgicznymi, lustrami, długim stołem, z mnóstwem rozłożonych skalpeli, pincet, szczypców, pędzelków, pojemniczków z farbą, słoiczków z pudrem, zestawem pomadek i szminek. Z boku były rozstawione kolby, retorty, różnej wielkości flakony z kolorowymi roztworami. Tu też znajdował się stół z przedpotopowym telefonem, składającym się z pudełka, rogatej korbki i słuchawki, przypominającej czasy Sownarkomu. Mogło się wydawać, że ktoś znajomy, w kamizelce, chytrze zmrużywszy oczy, tylko co wypowiedział kilka grasejących słów i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

- Tutaj, proszę - Doktor wskazał drzwi do przyległego pomieszczenia, przepuszczając przodem Bielosielcewa.

Wszedł i zobaczył.

Na białych kaflach, pod gołymi jaskrawymi lampami stała długa emaliowana wanna, napełniona zielonożółtym płynem. W dwóch miejscach wanna była przewiązana zwiniętymi w powróśla prześcieradłami i na nich, zwisając, nie dotykając płynnej zieleni, leżało ciało. Brązowe, zwiotczałe, ze sflaczalymi ścięgnami, wystającymi przez skórę gnatami, kościstymi wypukłościami kolan, z kroplami żółtego sadła na pomarszczonej skórze. Pierś była rozcięta, rozwarta, a w ciemnej jamie, gdzie sięgało światło, były widoczne żółtawe żebra i wgięty kręgosłup. Pachwina była wykrojona, a w dziurę, okoloną siwymi zlepionymi włoskami, wepchnięta była mokra szmatka. Ręce ze szpiczastymi łokciami bezsilnie leżały na zapadniętym pomarszczonym brzuchu, związane tasiemką z gazy. Głowa opierała się o brzeg emaliowanej wanny. W otwarte usta był wciśnięty knebel z materiału, jakby ciało nie pozwalano

krzyczeć. Spod bezbarwnych warg widać było obnażone żółtawe zęby, wbite w szmatkę. Wąsy i bródka były posklejane lepłą substancją. Na łysej czaszce, na wpadniętych skroniach, na pomarszczonych skórzastych uszach było jakieś przezroczyste smarowidło.

Z ciała bez dźwięku stoczyła się kropla, wpadła do zielonego roztworu, zamigotała odbiciem światła, i Bielosielcew naraz pojął, że przed nim leży Lenin.

W sąsiednim pokoju głośno zadzwonił telefon.

- Przepraszam, zaraz wróć. - Doktor pospieszył na sygnał, zamknął za sobą drzwi, zostawiając Bielosielcewa samego nad emaliowaną wanną, w której, nie dotykając roztworu, na skręconych prześcieradłach leżał Lenin.

Widok był oszałamiający, nie do zniesienia, nieprawdopodobny. Paznokcie były koloru musztardy, skurczone, popękane i pomarszczone. Duże palce u nóg wykrzywiły się, zachodziły na drugie palce, a paznokcie na nich zaginały się, jakby jeszcze w dalszym ciągu rosły. Pięty były ostre, kościste, obciążone brązową skórą, jakby szkielet nałożył skarpetki. Rozcięta jama piersi wydawała się pusta w środku. Krawędzie jamy były zapieczone, ze skamieniałą surowicą, wyglądającą jak krople stwardniałej smoły. Mętnie białeły żebra i kręgi.

W pierwszej chwili Bielosielcew chciał uciec, zamknąć oczy, rzucić się pędem precz, żeby to, co zobaczył, okazało się koszmarnym snem, który nie mógł się zdarzyć na jawie.

Zdławił w sobie panikę i został, słysząc za drzwiami nierozpoznawalne słowa rozmawiającego przez telefon Doktora.

Przed tą emaliowaną wanną z zielonym trującym płynem rozpadał się majestat mitu. Pośród białych kafli, odbijających nielitościwe elektryczne światło, rozlupywała się ikona nieskazitelnego świętego. Widok pomarszczonego, skręconego ciała, wypatroszonego i wyskrobanego, naruszał tabu. Od widoku skręconych, nieświeżych prześcieradeł, podtrzymujących wyschniętą talię i kościste plecy nieboszczyka, ulatywała święta wiara. Kropla, która spadła do roztworu chemicznego, poruszając

zieloną powierzchnię, zniszczyła boski obraz, uwielbiany i pielęgnowany, rodzący mistyczną cześć, uosabiający marzenie o idealnym bycie, wszechświatowym porywie, wszech-narodowym czynie.

Porażało i boleśnie raniło obnażenie kłamstwa, którego dopuścili się wyrafinowani kapłani, stwarzając magiczny teatr pogrzebu, kryształowego sarkofagu, tajemniczego rubinowego światła, przesączającego się od kremłowskich gwiazd do marmurowego wnętrza Mauzoleum. Ten wyschnięty oszpecony kawał organicznej substancji, ucharakteryzowany na śpiącego bohatera, wystawiany był na pokaz milionom pielgrzymów, wchodzących do grobowca ze świętym drzeniem, wynoszących na zewnątrz, na światło słoneczne mistyczną wiarę w nieśmiertelność bohaterskiego ustroju. Młodzi, srodzy wojacy z opuszczonymi bagnetami ochraniaли wejście do grobowca. Groźne czołgi, maszerujące pułki, przelatujące w niebiosach samoloty wstrząsały szklaną trumną. Radosne tłumy niosły obok purpurowe flagi i hasła - ołtarze „czerwonych apostołów”. Wodzowie niezłomną zwartą kohortą stali na nagrobnej płycie, demonstrując niezachwianą więź z twórcą „czerwonej religii”. Ale zamiast śpiącego boga, promieniującego tajemniczym światłem, przez te wszystkie lata w Mauzoleum leżała martwa powłoka, której nie dawano się rozpaść, rozłożyć na atomy, zespolić z oceanem świata. Trzymano w smrodzie i ohydzie, dokonując gwałtu na martwej materii, niepotrafiącej się wyrwać z rąk dręczycieli.

I ta bezbronność, bezradność martwego ciała, niegdyś będącego wszechmocnym, przyczyniały Biełosielcewowi szczególnego cierpienia. Wszystko, co zobaczył, trzymało go w przykrym niedowierzaniu, w niezrozumieniu świata, pozbawionego swojej nieskończonej złożoności, zmienionego w uproszczone oszustwo.

W pokoju pachniało formaliną, słodkawymi gazami, oparami octu i czymś jeszcze medycznym, szpitalnym - zapachem kostnicy, w którym

unosił się ledwie wyczuwalny, przygłuszony zapach śmierci. Od tego zapachu Bielosielcewowi kręciło się w głowie, był bliski omdlenia na myśl, że jego płuca wdychają cząsteczki brązowej skóry, łuski żółtych paznokci, pyłki rozpadających się siwawo-rudych włosów.

Doktor Martwych, pochłonięty rozmową telefoniczną, grzmiał za ścianą. Wspominając jego niedawne płomienne mowy o bliskim zmarłychwstaniu, Bielosielcew starał się zrozumieć: którądy, przez jaką pępowinę, przez jakie życiodajne naczynie w to martwe ciało wleją się cudowne siły życia, napelnia żyły żywą gorącą krwią, ubarwią policzki i wargi rumieńcem, podniosą pierś głębokim oddechem, wtrysną w mięśnie świeżą siłę, podniosą powieki i zalśnią jasnym blaskiem wesołych oczu, i całe skręcone, zapiekłe ciało ożyje, wzbudzi się, zaokrągli białymi oddychającymi kształtami. Gdzie w tej zdrewniałej materii kryje się magiczny punkt, w którym tai się „czerwona idea”, czekająca swojego wskrzeszenia?

Być może, pod gładką czaszką z błyszczącą smólką balsamu? Ale mózg, kiedyś potężny i groźny, świecący jak reflektor, przez wieki, stworzywszy wielką naukę, która podbiła cały świat - ten mózg jest wyjęty z rozpiłowanej czaszki, umieszczony w słoju z formaliną, zastygł w nim, jak ogromny tłusty ślimak. Albo pod powiekami, podobnymi do wypukłych skorupki orzecha, przykrywającymi senne oczy? Ale oczy wyjęto z oczodołów, skrobaczkami oczyszczono martwy śluz i pod powieki wcisnięto szklane kule, nakryto je kawałkami przywędłej skóry. Albo w sercu, które za życia rozszerzało się od niebywałego marzenia, ścisnęło od srogiej nienawiści, drgało od wielkiej żądy? Ale serce w liliowych krwawych naciekach, lepkie, błyszczące, wyłamano z piersi, jak purchawkę rzucono na śliski marmur, a patologoanatom wsunął w środek osłonięty rękawiczką palec, obmacał komorę serca.

A może w jądrach, gdzie płonąła poskromiona męska energia, stłumiona miłość, która realizowała się w rewolucjach, terrorze, wojnie domowej, w rozszalałym naporze idei? Ale skalpel chirurga wyciął

dzieciorodny organ, rzucił do emaliowanego wiadra, gdzie leżał jak zabite zwierzątko. Biełosielcew patrzył na skórzany ciasny futerał, gdzie obłąkany marzyciel Doktor Martwych chciał przywrócić ogromny i szalony wiek, który przeminął, przegrzmiał, odpłynął, przepadł, zostawiając na wstrząśniętej ziemi swój wytopiony ślad.

Rozprute ciało, bezsilnie wiszące na skręconych prześcieradłach, wyglądało jak rozdarty kokon, skąd się wyrwał żywy stubarwny motyl i odleciał, zostawiwszy do zeschnięcia martwą niepotrzebną skorupę. Rozkrojona pierś, czarna, stopiona na brzegach dziura świadczyła o ukierunkowanym wybuchu, którego wektor był wycelowany do wewnątrz, ogień zaś i cios skierowały się na zewnątrz, przełamały powłokę pocisku, zgięły i zrzuciły ziemską oś. Biełosielcew wpatrywał się w pustę, przesiąkniętą olejami i balsamami ciało.

W jego martwej pozie, w resztkę napięcia wyschniętych ścięgien, wykręconych paznokci, złączonych stawów, w wyrazie oszpeconych kneblem ust była obecna, prawie żywa, modlitwa, treść bezdźwięcznej mowy, z którą zwracał się do niego martwy wódz. To posłanie, fragmentaryczne, nie do końca rozszyfrowane, z niedomówieniami i przerwami, przedłużało w świadomości Biełosielcewa obrazy i wizerunki, jakby odczytywał informację zachowaną w wyschniętych komórkach.

Tam była Wołga z wielkim rozlewiskiem, na którym zastygł kołowy parostatek, walcząc z prądem, Symbirsk z drewnianymi przystaniami, mieszczańskimi domkami, bielonymi dzwonicami z cegły Tam był Kazań z meczetami i tatarskimi bazarami, z białym empirowym uniwersytetem, gdzie w szafach biblioteki mętnym złotem świeciły grzbiety niemieckich i francuskich foliałów, a na studenckiej biesiadzie ktoś, podpiwszy, grał na gitarze i panna z ciemną kokardą położyła lekką rękę na czyjejs blond głowie. Tam była Newa z czarnym smogiem fabrycznych kominów, jaskrawoczerwony materiał robotniczych majówek, spotniałe żelazo lokomotyw i purpurowe płonące paleniska, oświetlające chude zawzięte twarze. Tam była Genewa ze spowitym mgłą

turkusowym jeziorem, a w otwartej kawiarni, przy ozdobnych stolikach trwały zażarte spory i krzyki, a ktoś brodaty, czarniawy, ze złotym grubym pierścieniem walił się w opasłą spoconą pierś. Tam był długi pociąg, zestawiony z niebieskich i zielonych wagonów, jadący przez jesienne dąbrowy Niemiec, a w przedziale szary dym papierosów, nieprzerwany rozgorączkowany spór, w otwarte drzwi zagłada oficer, podobny do wąsatego cesarza, a w zadeszczonym oknie z hukiem przelatują eszelony z wojskiem, gdzie na otwartych platformach stoją armaty na kołach. I Dworzec Fiński, metaliczny przebłysk deszczu, rzęciowa siność reflektora, a ktoś silną ręką podsadza go na pancierz, przytrzymuje na śliskim żelazie. Donośny huk z Newy, dźwięk szkła w nocnym gabinecie i przez rozwartą rzeźbioną bramę wyjeżdża przepelniona ciężarówka - na skrzyni czapki z daszkiem, płaszcze, błyskające stalą bagnety, na kabinie szofera karabin bez pokrowca. Moskiewski Kreml w blasku kopuł i krzyży, drewniana trybuna na placu, obok przechodzi pułk, płócienne hełmy i gwiazdy, kołysanie strzelb, tętniący taniec kawalerii i komendant eskadry z czerwoną kokardą napuszył pszeniczne wąsy, bawi się oślepiającym zajączkiem słońca na toczonym ostrzu. Stalowe przemarsze cechów, żelazne koła i łańcuchy, zapach metalu i smaru, mnóstwo ciemnych, wysmarowanych grafitem twarzy, i jakaś kobieta w wąskim palcie uśmiechnęła się do niego, błysnęła soczewkami grubych okularów, skierowała pochodnię wystrzału, i kłujący ból pod sercem, i przed samymi oczami krawędź samochodowej obręczy. Zimowe niebieskie śniegi, czerwone jodłowe szyszki, zasypana śniegiem ławka, i piękna kobieta w kożuszku, w sobolowym boa, jej świeżość, zapach perfum, cudowny pocałunek na mrozie, a po słonecznej puszystej polanie, rudym łukiem przebiegła lisica, obejrzała się na nich triumfującymi złotymi oczami. Kremłowski gabinet z resztkami carskiej heraldyki, długi dębowy stół, twarze współpracowników z cieniami zmęczenia, zmarszczkami uporu i złości, z płomiennym blaskiem w oczach, i wśród binokli, ciemnych bródek, kędzierzawo-siwych czupryn, spokojne kaukaskie oblicze, kasztanowe gęste wąsy, żółtawe suche oczy, wystygła

fajka z wypalonym środkiem, leżąca na stercie papierów.

Bielosielcew odbierał bezdźwięczne przesłanie, wychodzące z na pół zbutwiałego ciała, starając się domyślić jego sensu. Ciało, wbrew woli utrzymywane w innej epoce, tęskniło do czasu, w którym rozpadły się ciała jego przyjaciół i wrogów, kochanych kobiet, straconego cara, żołnierzy armii konnej, którzy przemknęli na rozgrzanych koniach od Kaukazu do Wisły, robotników lejących beton na fundamenty wołchowskiej elektrowni, lisicy, przebiegającej po śnieżnej polanie, ryby, co błysnęła w fali Wołgi, gołębia, krążącego nad dzwonnica Iwana Wielkiego. Ciało, przesycone środkami konserwującymi, nie mogło znieść pozostawania pośród innego bytu, innego wieku. Ono prosiło na wolność, chciało, żeby je wypuścić.

Bielosielcew zrozumiał, że nieodwracalnie zakończyła się ogromna epoka, która wydzieliła się z pozostałej historii jak protuberancja słońca. I w tej zakończonej epoce kończył się on sam, Bielosielcew, w najsilniejszych, najlepszych swoich przejawach. I jego miłość, i służba, i wyższy sens bytu spaliły się w tej tajemniczej protuberancji, która wybuchła z tajemnych głębin Wszechświata, wcielonego w człowieka, którego martwe wstrętne ciało wisiało nad emaliowaną wanną, przygniatając skrzycone, niezbyt czyste prześcieradła.

Bielosielcew wyszedł z pomieszczenia do sąsiedniego pokoju, gdzie Doktor Martwych, zapomniawszy o nim, namiętnie rozmawiał przez telefon, odrzucając jakąś teorię przeniesienia błędzących dusz. Opuściwszy laboratorium, szedł przez park pod drzewami, w których rozsiała się puszysta złota jesień.

Rozdział dwudziesty czwarty

Jego pielgrzymka do „czerwonych relikwii” zakończyła się przygnębiającym smutkiem i bolesnym rozczarowaniem, jakby przebywał w

ogromnym pałacu z kolumnami, posągami, marmurowymi basenami, w których osiadły mokre mchy i liszaje, schroniły się powolne ślepe ślimaki, snuły zwinne, unikające światła stonogi - chowały się pod kamienie zrujnowanych monumentów, wiły gniazda w fałdach zapomnianych granitowych bohaterów. Pałac, w którym był, nie miał wyjścia. Przez dziurawą kopułę przebiegały deszczowe chmury i pałac zarastał drzewami, chował się przed wzrokiem, pogrążał w drzemiących zaroślach historii.

Pozostawały „białe relikwie”, ocalałe w ukryciu w czerwonej epoce. Imperium carów, kraj klasztorów i cmentarzyków wiejskich, Rosja świętych i pokutników, jakby stary fresk przebijał przez późniejsze malowidło, na którym czerwone samoloty i czołgi szturmowały światowe stolice, olbrzymie nieśmiertelne posągi o olśniewającej urodzie, trzymając się za ręce, wznosiły do gwiazd młot i sierp - wykaszwały chwasty historii, wykuwały nowe niebo i ziemię.

Bielosielcewowi obiecano spotkanie z ojcem zakonnym, dożywającym ziemskiego żywota w klasztorze św. Trójcy i św. Siergieja . Jechał teraz do niego, żeby usłyszeć z ust starca słowa pouczenia i nadziei: czy Rosja będzie wielka, czy osierocony naród znajdzie swego wodza i arcy-pasterza, czy będzie w stanie on, Bielosielcew, pod koniec życia uspokoić swój wzburzony umysł w centrum pojednawczej wielkiej idei.

Ledwie wsiadł do zielonego elektrycznego pociągu z żółtymi drewnianymi ławkami, ledwie oderwał się od gdaczącego gwarnego peronu, oderwał się od placu Trzech Dworców z Kazańskimi białokamiennymi salami, Jarosławskim kaflowym tieremem, Petersburskim empirowym pałacem, ledwie mignęły za oknem podmoskiewskie osiedla i dacje, przejrzyste laski i dąbrowy, poczuł, że jego ciałem i duchem owładnęła niewidzialna siła, która razem z otaczającymi go innymi pasażerami niesie go w jedną ze stron świata, tę, co sam dobrowolnie wybrał, jedną

z trzech możliwych, rozchodzących się od przydrożnego kamienia z przydworcowego placu w trzy różne dale jesiennej Rosji.

Naprzeciw niego na ławce siedział łagodny współpasażer w wytartej marynarce, w długiej wyblakłej sutannie, spod której wystawały duże, jak kowalskie mioty, nieczyszczone trzewiki. Włosy towarzysza podróży były splecione w warkoczyk, schowane z tyłu za kołnierz. Niebieskie oczka pod płowymi brwiami nie patrzyły na boki, tylko badawczo i radośnie przyglądały się przylepce żytniego chleba, od której odłamywał zgrabne kawałki, wkładał trzema palcami do ust, starannie przeżuwał, ruszając rudawymi wąsikami. Batuszka z odległej parafii, oszołomiony Moskwą, ogłuszony odgłosami dworca, dochodził do siebie. Podtrzymywał chlebem zmęczone ciało, spieszył przez pól Rosji do świętej cerkwi, by klęknąć przy srebrnym relikwiarzu Wielebnego Siergija, nakarmić podupadłego ducha światłem i błogosławieństwem, by dalej nieść brzemię, umocnić się w pasterskiej służbie.

Obok niego ulokował się młody inwalida w panterce, bez nogi, ze starannie podwiniętą nogawką. Na jego piersi żółciły się dwie naszywki za rany, wisiał na orderowej wstążeczce krzyż. Oczy inwalidy zastygły, błyszczały czarnym łzawym oczekiwaniem. Nad brwiami powstały dwie zmarszczki tworzące krzyż. Żołnierz wojny czeczeńskiej, który zostawił mocną młodą nogę w lazarecie pod Szatojem, jechał pokłonić się Świętemu Siergijowi. Wymodlić znowu u niego narzeczoną, pracę kierowcy, siłę stopy, kiedy naciskał na pedały ciężkiej ciężarówki, rwącej sine powietrze na betonowej szosie. Żeby przestała go boleć nieistniejąca noga, z której, jak mu się wydawało, wyrastały krzaki ognistej, parzącej pokrzywy.

Bielosielcew nieśmiało przyglądał się ludziom wokół. Wszyscy oni zebrali się w zielonym pociągu, rozsiedli na żółtych ławkach, spieszą z wielkiego bulgoczącego miasta do północnych obszarów, gdzie w lasach i mgłach złoci się stara Ławra i święty Siergij oczekuje ich wszystkich, patrzy spod choinki, jak zbliża się pociąg. I wszyscy oni - pielgrzymi,

wszyscy w żalach i wątpliwościach, z chorą duszą i ciałem spieszą do uzdrowiciela. I on, Bielosielcew, w pokorze, przewyciężając dumę, nie rozumiejąc świata, niesie świętemu starcowi swoją modlitwę i nadzieję.

Na sąsiedniej ławce, wygodnie rozsiadłszy się wielkimi opasłymi ciałami, swobodnie rozłożywszy grube ręce, siedziało dwóch osobników o ogolonych głowach, niskich czołach i mięsistych policzkach. Rozpięli na pokaz kołnierze, błyszczeli złotymi kółkami łańcuchów, ciężkimi jak psie obroże. Cienkimi paciorkami opasując potężne karki, przelewały się delikatne łańcuszki z krzyżykami. Obaj grali w karty, plaskali o ławkę kolorowymi kartonikami, cmokali językami. Bandyci z Mytiszcza, zostawiwszy swoje dżipy, udawali się na pielgrzymkę do Wielebnego po odpuszczenie grzechów: morderstw, występnego, rozwiązłego życia, które w każdej chwili mogło zostać przerwane w kolejnej strzelaninie. Dojdą do świątyni, upadną przed relikwiami, pomrugają mokrymi płowymi rzęsami, prosząc o uchronienie ich od kuli, od uduszenia, odwiezienia, obiecując bogate datki na klasztor, wzniesienie kaplicy ku pamięci zabitych kumpli, niewinnie straconych dusz.

Tam także, w pobliżu, siedziała młoda kobieta w czarnej chustce, o dużych błagalnych oczach. Trzymała za rękę chudego chłopczyka, który zwiesił z ławki chude krzywe nóżki. Jego głowa ledwie się trzymała na cienkiej szyi. Z otwartych bladoróżowych ust sączyła się przezroczysta ślina. Wodniste oczy bezmyślnie patrzyły. Małe wypukłe czołko pokryły krople potu. Matka wyjęła chusteczkę, delikatnie wytarła synkowi spoczone czołko, przyglądała płowy kosmyk. Dostanie się do świętych relikwii, upadnie twarzą na srebrny płaszcz, bezgłośnie zapłacze, błagając Wielebnego o wyzdrowienie syna, a on będzie apatycznie stał pod niegaśnącą lampką.

Bielosielcew lubił ich wszystkich, był wdzięczny, że go przyjęli. Całe życie spędził na tułaczce, wśród innych języków i narodów. Rzykował dla nich życiem, szukał wśród nich słów prawdy, a teraz, na koniec dni, wrócił do swoich, a oni, ścieśniony się, wpuścili go na żółtą drewnianą

ławkę, i nie ma nic lepszego, niż być razem z nimi, szukać jednej dla wszystkich prawdy. Iść razem z nimi w błękitne jodłowe dale, gdzie pod drzewami z czerwonymi szyszkami, opierając się na pastorałe, stoi starzec w bieli i patrzy kochającymi oczyma.

Dwie ślicznotki, psotne, strzelały na boki wielkimi oczami, kręciły okrągłymi ramionkami, łuskały pestki, ruszały czerwonymi wargami, do których przylepiały się słonecznikowe łupiny. Chichocząc, patrzyły na ogolonych młodzieńców ze złotymi naszyjnikami. Wierciły pantofelkami na szpilkach. Dwie jawnogrzesznice, sprzedające miłość za pieniądze, dwie skore do śmiechu tanecznicze, dające komu popadnie gorące miłosne nocki, wybrały się do przybytku. Już z daleka, w dużej odległości od Ławry, zaczną bić pokłony, obwiniać się, gorliwie żegnać się zamasztytymi krzyżami. Przycisną czoło do srebrnej relikwii, wymamroczą pospiesznie wyuczoną modlitwę, i obie naraz wybuchną płaczem, usłyszawszy ciche słowo przebaczenia. Z rozmazaną po twarzy szminką i tuszem wyjdą ze świątyni, pochlipując, szciodrze sypiąc monety żebrakom.

Tutaj też drzemiała niemłoda krzepka kobieta, oparłszy się na wielkim nabitym worze, związanym szpagatem, z nalepką z samolotu. Wraciała zmęczona z rejsu promem, z tureckim towarem, który jutro rano poniesie do handlowych kramów, proponując wioskowym modnisiom skórzane kurtki, wytłaczane torebki, koronkową bieliznę. Zręcznie pochwyty pieniądze, żartując i porozumiewawczo mrugając. Nad rynkiem, wśród drzew, wznosi się biało-zielona dzwonnica z zegarem. Przez głowę handlarki przelatuje szybka dziękczynna myśl o Arcypasterzu, od którego otrzymała błogosławieństwo na drogę, który strzegł ją w dalekiej podróży, chronił w cudzej ziemi, wskazał drogę do rodzinnego miasteczka.

Bielosielcew przyciskał się do szyby, za którą przelatywały osady, wsie, pasiaste pola, żółknące jesienne lasy, i myślał, ile ludzi przed nim pokonało tę drogę, konno i pieszo, z taborem lub gromadą ślepców, z carskim orszakiem czy karetą patriarchy. Wszysey nieśli do Wielebnego

swoje pragnienia i skargi, prosili o radę, wstawiennictwo, natchnienie do bojowych czynów, błogosławieństwo do pracy i starań. Teraz i on, spóźniony o całe życie, dąży do świętego starca w nadziei na wielką naukę.

Przy oknie, oparty plecami o ścianę, z zamkniętymi oczami siedział szczupły, wycieńczony do granic, mężczyzna o skórze obsypanej opilkami żelaza, z dużymi bezwładnie leżącymi rękami, na których siniały stłuczenia. Zwolniony z więzienia, wracał do domu, zjedzony przez gruźlicę, z wypaloną duszą, opuszczony przez wszystkich, nie wiedząc, jak żyć. Wyprawił się do Wielebnego, by się pokajać za grzechy, prosić o schronienie w klasztorze, ostatniej przed śmiercią przystani, żeby, tracąc oddech z bólu, ociekając zimnym potem, przy ostatnim tchnieniu zobaczyć, jak zabłyśły krzyże i z nich opuściło się do niego śnieżnobiałe cudo, przytuliło do piersi, pocałowało w martwiejące usta.

Pociąg był arką, w której ratował się ocalały z potopu naród, szukał obiecane go łądu. Był statkiem kosmicznym, który odbił od zniszczonej planety, w którym tułacze i pielgrzymi szukali Boskiego Raju.

Jedni pasażerowie siedzieli cierpliwie, czekając na końcową stację. Inni wchodzili do wagonu, przesuwali się między ławkami, a ich twarze wydawały się znajome.

Przeszedł żebrak w okularach ślepeca, wysuwając szczupły nos. Szturchając kosturem, wypraszał jałmużnę śpiewnym skarżącym głosem, wsuwał do kieszeni monety i zmięte banknoty. Przewalał się, czepiając się ściany, pijak. Głupkowato się uśmiechał, wyśpiewywał dziką piosenkę, zatrzymywał się, przytupywał, popisując się, i znowu szedł, uderzając o ławki, aż zniknął w szklanych drzwiach. Handlarz o kobiecych rysach twarzy, kastrat z siwymi warkoczami, poniósł koszyk z towarami - butelki, precle, cukierki w kolorowych papierkach. Wypatrzył chorego chłopczyka, podarował lizaka w przezroczystym papierku. Dumnie przemaszerał milicjant, nieprzystępny i groźny, zaglądał w oczy pasażerom, jakby kogoś szukał. Pojawili się konduktorzy z blaszanymi

znaczkami. Biełosielcew podał im bilet i popatrzył, jak mkną za oknem jesienne dale.

Pociąg stukał na złączach, szeleścił w górze iskrzącymi przewodami. I nie wiadomo było, kto jest maszynistą. Kto siedzi w czołowej kabinie, ściskając kierownicę. Wąsaty wódz w wojskowym galowym płaszczu. Car w złożonych szatach. Zły bandyta o wąskich oczach i mongolskiej żółtej twarzy. Pijany wesoły blazen wydzierający się w szalonej piosence. Czy może kabina jest pusta, nikt nie stoi przy kierownicy. Drgają cyferblaty przyrządów, strzałka przy czerwonym znaku. A na styku, na ostrym wirażu, elektrowóz wypadnie z toru, oderwie się od popękanych szyn i długim łukiem, sypiąc żółtymi iskrami, pojedzie w niebiosy.

Ocknął się. Pociąg zatrzymał się w Siergijewym Posadzie. Ludzie skierowali się do wyjścia.

Miasteczko było przyjemne, bezładne, strojne, z absurdalnymi wądołami, garbami wzgórz, z malowanymi szyldami, krzykiem puszystych jak peonie handlarek, kłótnią malinowych od wina chłopów, z fioletowymi jak ich bakłażany Kaukazami, z ospowatą staruchą o szpiczastym nosie, wczepionej w kostur, z kawkami na żółtych drzewach, siedzącymi waznie, jakby były wypchane, z betonową drogą, po której z górki na górkę toczyły się zabawne pojazdy. Biełosielcew szedł uliczkami, między małymi jak dla szpaków domkami, mijając warsztaty, pełne starych zamków i motocykli, bary, pachnące smażoną cebulą, między pieszymi, psami, dziuplastymi drzewami, podobnymi jedno do drugiego. Cieszył się tą podmoskiewską prowincją, jakby narysowaną na ceratowej matce przez wesołego, podpitego czeladnika.

Jesienne, oświetlone słońcem drzewa rozstąpiły się i na górze, otoczona kamiennym murem, kolorowa, niebieska, kwiatowo-purpurowa, jak koszyczek z wielkanocnymi pisankami, pojawiła się Ławra. Bajkowo niezemska, jak rajska niebiańska wyspa, opuszczona na promieniach, w oprawie złotego blasku krzewiastych krzyży. Biełosielcew już z daleka

zachwyił się, wchłonał ją w swoją otwartą na oścież, napelnioną jasnym oddechem pierś. Tam, w głębi klasztoru żył Wielebny Siergij, jak ptak, co uwił gniazdo pośrodku leśnej jesiennej Rosji. Do tego niewidocznego cichego ptaka skierował swoje kroki Biełosielcew, powoli wchodząc na wzgórze.

Zbliżył się do muru, przy którym mrowili się handlarze, czatujący na pielgrzymów, turystów, zagranicznych gapiów, napływających pod klasztorne mury w przeszklonych autobusach, dyplomatycznych limuzynach i dżipach. Na straganach leżały pociemniałe ikony z wiejskich szafek, współcześnie malowane obrazy w mosiężnych sukienkach, krzyżyki, łańcuszki, amulety w woreczkach, różańce, wielkanocne drewniane jajka, malowane matryoski, kwieciste chusty. Obrotni handlarze przywoływali przechodniów.

Podchodząc do bramy, Biełosielcew czuł, jak drgało przy wejściu do klasztoru przezroczyste powietrze i światło. Nad bramą świeciła się biała, niebieska i różowa Trójca. Niebieskie anioły milcząco pełniły straż, żądając od wchodzącego im jednym znanego znaku. Wchodzący okrywał się znakiem krzyża, trzykrotnie, po każdym skłaniając głowę, na którą aniołowie narzucali niewidzialne nakrycie. Człowiek przeistaczał się, robił się lżejszy, jaśniejszy.

Biełosielcew, powtarzając ruchy za chudą kobietą w długiej spódnicy, przeżegnał się. Poczul, jak osypała się, opadła z niego powierzchowna warstwa przeżyć, rozsypanych myśli, migotliwych wrażeń, i dusza nagle urosła i uwypukliła się jak pączek, w którym były ciasno zwinięte płatki jeszcze niewidocznego kwiatka.

„Boże, ratuj i chroń!” - powtórzył miłe słowa, które tysiące razy powtarzał w szczęśliwych i złych chwilach, w momentach śmiertelnego niebezpieczeństwa, w oczekiwaniu wybuchu i wystrzału, w dolegliwym uczuciu dokonanego grzechu i przestępstwa, w ostatnich sekundach między jawą i snem, oddalając od siebie przeżyty dzień. „Ratuj i przebacz!” - powtórzył, czując, jak dobrze i miło wymawiać ustom te słowa.

Miejszem, gdzie powinien czekać Bielosielcew, wskazanym przez brata posługującego hierarchy, było podnóże dzwonnicy, wysoko ulatującej w górę, piętro za piętre, jak ogromne jasnozielone drzewo ze złotą koroną. Na dzwonnicy, pod samym słońcem, był zegar. Do spotkania był jeszcze czas. Korzystając z tego, Bielosielcew poszedł do soboru Troickiego, w którym przechowywane były relikwie Świętego.

Sobór z białego kamienia miał kolor płótna domowej roboty, z delikatnym wzorzystym paskiem, okrągłymi, jak pieczone chleby, niszami, samotną złotą głową, upodabniającą go do człowieka w hełmie, w białych, swobodnie spływających szatach. To człowiekopodobne dziwo patrzyło na niego spokojnymi złotymi oczami. Pokłonił się soborowi i razem z nim złotogłowej biało odzianej istocie, i niewidocznemu grobowcowi Wielebnego, i przechowywanej w soborze „Trójcy Świętej” Rublowa, i Andriejowi Rublowowi, i Dymitrowi Dońskiemu, i niezliczonym jak duchy pielgrzymom, którzy jak ptaki przezroczyście i nieważko unosili się ponad soborem. Uczynił znak krzyża i wszedł do środka.

W soborze panował aksamitny brązowy półmrok, w którym oczy nie od razu rozróżniały matowe freski na filarach i ścianach, ledwie zabarwione pociemniałe ikony, wyciszonych pielgrzymów wzdłuż ścian. Ta ciemność i brązowy mrok były tajemniczo czarodziejskie i czarowne, jak zmierzch świątecznej noworocznej nocy, z migotaniem, blaskiem ognia, przyjemnymi przecuciami, dziecięcym naiwnym oczekiwaniem cudu. Coś srebrnego, uroczystego i rozgałęzionego w otoczeniu płonących świec przypominało wystrój noworocznej choinki. Rozpościerało się w rogu przy ołtarzu, wytwarzając prawie wyczuwalne fale ciepła i przejrzystego światła. To były srebrne relikwie Świętego, rzeźbiona szkatułka, w której spoczywały wieczne szczątki. Kręcone filary były obwieszane purpurowymi, zielonymi i żółtymi lampkami, które jak kwiaty odbijały się w srebrze. Pokorny mnich przed relikwią czytał litanię do Świętego Siergija. Żeński chór, niewidoczny, jakby podniesiony do wysokich

kopuł, cienkimi czystymi głosami towarzyszył mszy. Przez całą świątynię do relikwii, jak po krętej ścieżce, ciągnął się szereg ludzi. Podchodzili do lampek, przypadali ustami do stóp i twarzy Wielebnego, odchodzili, znikając w brązowej ciemności.

Bielosielcew stanął w oddaleniu i oddał się cały cierpliwemu oczekiwaniu, nie mając śmiałości przyspieszać nadchodzącego cudu. Czas się dłużył, zwijał w powój, w srebrne kędziory, w nici żeńskich głosów, w szemrzące dźwięki mniszego czytania. I było błogo, i trwożnie, i cudownie, i uspokojona dusza nie przyzywała, nie dopraszała się, a cierpliwie czekała, kiedy ją wezwą i zapytają, a ona odpowie, że kocha.

Zachciało mu się raptem uklęknąć. Po cichutku, żeby nie zauważono jego wzburzenia, kryjąc się w ciemności, uklęknął na kamiennej podłodze. I nagle poczuł, jak wszystko wokół się zmieniło. Stał się mniejszy od stojącej obok zgarbionej staruszki, mniejszy od koślawego brodatego staruszka w zniszczonej marynarce, stał się równy malutkiej czarnookiej dziewczuszcze ze smutnie opuszczoną twarzyczką. I to zmniejszenie było przyjemne, zdejmowało z niego brzemię dumy, wywyższania, nieustannego dążenia. Stał się słabszy, bezbronny. Freski na filarach, ikony w sukniach uniosły się w górę, a w wysokiej kopule, gdzie delikatnie przeświecało okienko, ukazało się piękne i surowe oblicze, patrzące na niego, który ugiął kolana.

Uczucie przybliżającej się radości, powoli napływającej błogości, przepęniało go. Bojąc się spłoszyć to uczucie, był otwarty na ciepłe ciche tchnienia, które zaraz dotkną jego czoła i piersi. Otwierając na oścież swoje serce, oczekując błogosławionego ciepła, zaczął się modlić. Bez słów, o nic nie prosząc, a tylko wspominając tych, co odeszli, kochanych i bliskich, samym wspomnieniem życząc im dobra. Tak wywołując z przeszłości ich wizerunki, ujrzał mamę i babcię, swojego ojca, który zginął, wujków i ciotce, całą dalszą rodzinę, starannie wyciągając z serca, umieszczając w mroku świątyni, między namalowanymi aniołami, świętymi i prorokami. Wspominał swoich bojowych towarzyszy,

tych, których stracił na wojnie i tych, co zniknęli w wirach burzliwych czasów. Wspomniał Afgańczyka Saida Ismaïla, z którym lecieli do okrążonego Kandaharu. Wspomniał Kampuczańczyka Som Kyta, z którym siedzieli pod niebieskim zamglonym księżycem. Sandinistę Cesara Cortesa, z którym przedzierali się przez błota w Puerto-Cabezas. Mozambijskiego agenta Solomao, z którym płynęli po żółtej rzece Limpopo. Namibijskiego nauczyciela Pitera, z którym mknęli po transafrykańskiej szosie. Wspominanie ich powinno było przyspieszyć nadejście błogostanu, jako oddźwięk na jego pełną czci do nich miłość. Ale błogość nie pojawiała się. Tak dojrzały pąk nie ma sił na otwarcie się w kwiatek, chociaż napięra płatkami na trzymającą je osłonkę.

To smuciło i dziwiło. Wzorzysta relikwia, gdzie spoczywały szczątki, nie wydawała pożądanego odzewu, nie wysyłała naprzeciw niewidzialnej cudotwórczej siły. Chcąc ją złowić, schwytać w samym srebrnym grobowcu, Bielosiłcew podniósł się z kolan, stanął w powolnym, kołyszącym się szeregu, krok za krokiem przybliżającym się do relikwii. Mnich monotonna czytał litanie. Chór niegłośno i ckliwie śpiewał. Tłoczone szaty starca odbłaskiwały mglistą bielą. Bielosiłcew zanosił do relikwii swoje pogodne oczekiwanie, jak niosą napelnioną po brzegi czarę. Ale w czarze było niewidoczne pęknięcie i jego błogie jasne uczucie wyciekało. Ścisnął czarę palcami, ale jasne krople jedna za drugą wyciekały przez palce, i czara była coraz płytsza. Był nieszczęśliwy, wzywał najskrytsze głębie serca, gdzie ukrył się klucz miłości. Jednak klucz pozostawał w ukryciu. Pąk, gotów do rozkwitu, zmniejszał się, kurczył, gubił w swoim środku kwiatek. I to zanikanie błogości odczuwał jak ból.

Podszedł do relikwii. Stojąca przed nim kobieta skierowała na zaszkłone srebro duże, pełne łez oczy i namiętnie, gorliwie przypadła bezbarwnymi ustami najpierw do stóp, potem do piersi, a następnie do niewidocznego oblicza Świętego. Odeszła, zginając się w pokłonach. Bielosiłcew, powtarzając jej pocałunki, dotknął zaparowanej szyby, która była zimna, bezduszna, nie odpowiedziała na jego pocałunki.

Zasmucony, odrzucony, odszedł w głąb świątyni, z daleka obserwując, jak nieruchomo, jak zamrożone w ciemnym lodzie owoce, płoną różnokolorowe lampki. Błogość nie emanowała z relikwii, jakby grobowiec był pusty. Starzec wyszedł z niego. Wstał, niewidzialny, i wsparłszy się na kosturze rozpląnął się w okolicznych borach.

Brat posługujący ojca Paisija czekał na niego u podnóża dzwonnicy.

- Batuszka rano źle się czuł. Myśleliśmy, że odda Bogu duszę, ale przed obiadem poprawiło mu się. Kazał wezwać pana - brat posługujący o bladej, jakby nieznającej słońca twarzy, nie patrzył na Biełosielcewa wyblakłymi jasnoniebieskimi oczami, spuszczał je na ziemię. Lekkim ruchem ręki prosił, żeby iść za nim, zafalował krajem wyszarzałej su-tanny.

Odeszli od klasztornych soborów w głąb przejść i murów, gdzie mieściły się różowe, zniszczone cele braci. Po galerii z desek, po wyszczerbionych podłogach, obok pozamykanych jednakowych drzwi przeszli w głąb korytarza. Brat posługacz bez pukania otworzył drewniane drzwi, zza których zapachniało szpitalem, starością, ciepłym woskiem i czymś jeszcze, podobnym do zapachu starego kufra, z którego po śmierci gospodarza wyciągną leżącą starzyznę.

Starzec leżał na poduszkach, utonął w nich, jak w miękkim gnieździe. Wystawała tylko wysuszona twarz o szpiczastym nosie. Jego biała broda poruszała się przy oddechu. Na brzuchu były złożone kościste dłonie. Oczka, schowane w cienistych wklęsłościach, wilgotnie mrugały, skierowały się na wchodzącego Biełosielcewa. Ten pokłonił się, usiadł na podstawionym przez brata krześle. Mimochodem rozejrzał się po celi. Wąska, z jednym oknem, ze sklepieniem w kształcie krzyża, cała była obwieszona i obstawiona obrazami, świecznikami, wypełniona płomykami płonących świec. Pod lampkami, podobnymi do różnokolorowych gwiazd, leżał arcymnich i milczał. Z uwagą patrzył, wydymając białą brodę. Biełosielcew nie zaczynał rozmowy, też milczał w otoczeniu kolorowych ikon. Tak siedzieli minutę, dwie. Biełosielcewowi wydawało się,

że mnich przenika go na wskroś, zgaduje jego myśli. Czyta linijka za linijką, przybliżając do twarzy z ostrym nosem otwartą księgę jego, Biełosielcewa, życia.

- Przyszedłeś pytać, jak dalej żyć? Co się stanie z Rosją? Jak się masz w niej znaleźć i jak pokonać nierosyjskość i niechrześcijan? - Głos mnicha był nadpęknięty, drżały w nim smutne dźwięki rozszczepianej długiej szczapy. - Dużo wędrowałeś, dużo szukałeś, ale nie znalazłeś. Teraz do mnie przyszedłeś, myślisz, że ja ci wskażę. A ja ci powiem nie na pociechę, a na strapienie. Nie ty jeden się martwisz. Spójrz, dokoła ciebie obrazy płaczą. - Powoli powiódł oczami, patrząc z ciemnych wklęśłości, i widać było, że ruch oczu sprawia mu cierpienie.

Biełosielcew spojrział za jego wzrokiem, zatrzymał się na wypukłym brązowym Zbawicielu, którego włosy uczesane były z prostym przedziałkiem, małe usta okolone rudymi włosami podobne były do liliowych płatków, i ze zdziwieniem zauważył - pod okiem, w brązowych obręczach, z których patrzyło duże srogo-smutne oko, sączyła się żywica. Lśniła lepką strużką, jakby z łowego gruczołka. Zawisła złocistą kroplą.

- Ostatni prawosławni uciekają z Rusi, od tego ikony płaczą. Mała garstka została. Niewielu w klasztorach się zatrzymało, tu i ówdzie w pustelniach. Na świecie zupełnie nie ma. Błogosławieństwo opuszcza Rosję, stąd nieszczęścia...

Biełosielcew oglądał ikony. Wizerunek Bogurodzicy przypominał dzieło rosyjskich kubistów, gdzie Święta Dziewica zasiadała na tronie wśród trójkątów, rombów, przecinających się wzajemnie przestrzeni. Na niej, utkanej z niebieskich spektralnych promieni, purpurowych i zielonych skrawków, wytopiona z deski nieznanym żarem, toczyła się ła.

- Mówią, że Żydzi cara zabili. A przecież Rosjanie dopuścili. Wszyscy od cara odwrócili się. Generałowie, ministrowie, żołnierze. Wszyscy go na stracenie prowadzili. Wtedy w Rosji równo połowa prawosławnych przepadła. Bóg za cara odebrał wiarę...

Pod czerwoną lampką stał obraz Cara-Nowomęczennika, w uroczystych szatach, w czapce Monomacha, otoczony aureolą, ściskający w

rękach jabłko i berło. Na jego brodzie, jak kawałek różowej miki, błyszczała łezka. Wyglądała jak kropelka krwi, która przesączyła się przez małą ranę.

- Kiedy komisarze wysadzali dzwonnice i Żydów rozstrzeliwali, gdzie wtedy był naród rosyjski? Jako mały chłopiec widziałem, jak żołnierze kopali rów, zgonili aresztowanych popów, ustawili na brzegu: „Wyprzyjcie się Chrystusa, żyć będziecie!” Ani jeden się nie wyparł. Żołnierze w nich kule sadzili i bagnetem kłuli. Arcybiskup z bagnetem w piersi błogosławił zabójcę, a ten mu bagnet głębiej wsadzał. Wtedy Bóg połowie wiarę odebrał, dwakroć liczbę prawosławnych umniejszył...

Ikony oblegały starca i Biełosielcewowi wydawało się, że w każdej z malutkiego źródelka przebija tajemnicza wilgoć. U Nikołaja Ugodnika, który podniósł podobne do łądyg palce nad otwartą księgą. U Serafima Sarowskiego, klęczącego pod choinką. U Archanioła Michała z mieczem. Ikony ze łzami żegnały się z prawosławną Rosją, gdzie w cerkwiach gaszono lampki, wieszano na wrotach ciężkie kłódki, rozchodzono się, żeby się więcej nie zejść na Paschę, Zwiastowanie, Trójcę Świętą, żyć w ciągłych trudach i troskach, w niepoznaniu prawdy, nie widząc nad sobą niebiańskiego błękitu.

- Szatan nastał na Rosję Hitlera, dlatego że w niej wiara wysychała i osłabła. Hitler pół Rosji zajął, póki obrońcy i kapłani, w więzieniach i obozach, nie zaczęli się modlić. Wtedy jakoś porozumieli się, wzniesli wspólne modły o uratowanie Rosji i kazali Stalinowi otworzyć Uspienski sobór i pomodlić się o pokonanie Niemców. Walczyłem wtedy pod Istrą. Pułki już nie istniały, po jednym naboju zostało na żołnierza. A Niemiec już obok nas łązikami jeździł, do Moskwy się zbliżał. Do naszego pułku przyjechał kapłan, obniósł ikonę wśród szeregów i dał do pocałowania komendantowi. Wtem taka zamieć nastąpiła, takie słońce, że wszystkich oślepiło. I ujrzelśmy idącą po śniegu Bogurodzicę. Komendant wierzący, syn popa, dał komendę: „Naprzód!”. I poszliśmy po polu na Niemca. Bogurodzica nas osłania, wróg nas nie widzi, a nam wygodnie strzelać.

Tak do Istry weszliśmy z Bogurodzicą. Wtedy Bóg piątą cześć prawosławnych na Ruś przywrócił. I dlatego wojnę wygramyśmy...

Bielosielcew słuchał mnicha, wyjaśniającego mu na liczbach prostą arytmetykę, łączącą niebo i ziemię. Ikony go obstępowały, oplakiwały, żałowały za to, że nie potrafił zrozumieć tych prostych wyliczeń.

- Chruszczow działał z podjudzenia diabła, kiedy cerkwie zamykał i ikony palił. Siedziałem w KGB, na mrozie mnie boso do lodowatej chrzcielnicy wstawili: „Chrzczimy cię nie ogniem, a lodem. Gdzie jest twój Chrystus - Zbawiciel?”. Szedłem do baraku, na nogach niosłem kawałki lodu, a one, nawet po mojej modlitwie, nie stajały. Po Chruszczowie zostało znacznie mniej prawosławnych. Wszystkiego stu ludzi na Syberii, a dalej ani jednego...

Mnich podobny do starego ptaka leżał w łodzi, która odpływała, opuszczając Rosję, żeby nigdy nie powrócić. A on, Bielosielcew, zostawał na osieroconym brzegu, skąd, jak jesienne ptaki, odlatywali święci i anioły.

- W dziewięćdziesiątym pierwszym, kiedy komuniści rozpierzchli się, jak pył na wietrze, na Rosję napadły niezliczone szatańskie zastępy. Słońca nie było widać, taką chmurą leciały. Wyszliśmy z braćmi i liczyliśmy, ile ich do Moskwy poleciało. Na dworze sierpień, a u nas woda święcona zamarzała. Z kopuł po złota opadła. Na niebie dwa księżycy i dwa słońca świeciły. One Moskwę zaatakowały, w każdy dom, w każdą cerkiew wnिकnęły. Od tej pory Moskwa jest ich. Trzy doby modlitwą walczyliśmy, i z nami Wielebny Siergij. Ławrę im odebraliśmy...

Bielosielcew słuchał z bolesnym uczuciem, że odżegnują się od niego, nic biorąc ze sobą w rejs, nie wpuszczając do odpływającej łodzi. I nie było kogo prosić, nie było do kogo się zwrócić. Jako że leżący przed nim pustelnik był tylko pasażerem, a nie sternikiem. Wszedł na łódź bez dobytku, wypowiadając zaklęte słowo. A on, Bielosielcew, obciążony ziemskimi żądzami, z dobytkiem miłości, ze wspomnieniami o kochanych i bliskich, z nieopuszczającymi go nadziejami, zostanie na przystani wśród

cierpiącego, opuszczonego przez przewodnika narodu.

- W dziewięćdziesiątym trzecim, kiedy Jelcyn-Szatan strzelał z armat w Moskwie i mrowie prawosławnych zginęło, u nas nocą w świątyni lampki same się zapaliły, a w chrzcielnicy woda była jak krew. Patriarcha chciał z Kremla z ikoną Włodimirską wyjść, zabronić masakry, ale mu szatan nie pozwolił. Od tej pory Patriarcha czarną wysypką się pokrył i, jak brzemiennej, brzuch mu rośnie. A ten, kogo urodzi, ten będzie miał ogon i kopytka. Naród patrzył, jak się pali dom nad rzeką-Moskwą, i nikt nie przyszedł na pomoc. Od tamtego roku Bóg ostatnich prawosławnych z Rusi zabrał. Gdzieniedzie ostatni zostali, żeby świeczki zgasić...

Głowa starca wygodnie zagłębiła się w poduszkach. Nos wystawał z gniazda, jak srogi dziób. Płaczące ikony były niewątpliwym cudem, ale cud nie dotknął jego, Bielosielcewa, nie opromienił duszy miłością, nie odkrył mu sensu bytu, a tylko napenił nowym smutkiem. „Białe relikwie”, do których spieszył po odwiedzeniu „czerwonych”, nie obdarzyły go błogostanem. Były dla niego garstką prochu. Wielebny, do którego dążył w zielonym pociągu razem z wierzącym prawosławnym narodem, nie przyjął go. Kiedy dowiedział się o jego przybyciu, wstał i opuścił relikwiarz. Wystawił zamiast siebie umierającego mnicha, który surowo objaśniał, czemu on, Bielosielcew, pozostanie na ziemi zagubiony, będzie dożywać swoich dni w zamroczeniu, bez wiary, sensu i czynu.

- Teraz w Moskwie siedzi Szatan. Wszystkich ludzi znakuje swoją liczbą. Kapłani rękę do Szatana wyciągnęli, a on stawia „liczbę zwierzęcia”. Pochowano podmienionego cara, zamiast niego do grobu kości sodomity podłożyli, i wszyscy ludzie modlą się za Cara-Sodomitę. Patriarcha z Żydami jedną mszę odprawia, nie modli się w intencji Chrystusa Ukrzyżowanego. Prawosławnych nie ma na Rusi, a to znaczy, że nie ma narodu. Ci, którzy Rosjanami się nazywali, teraz po prostu lud, od słowa „lutyj” - okrutny. Cała prawosławna Ruś w niebiosach się

zebrała, i mnie pora się zbierać. Drugi dzień gołąb do okna przylatuje. Bogurodzica gońca po mnie wysyła. Jutro nad ranem umrę...

Starzec zamilkł, zamknął oczy. One zgasły, utonęły w ciemnych dołkach, jakby narzucono na nie grobową ziemię. W ciszy słyhać było, jak na okiennym parapecie grucha gołąb, stukając pazurkami.

- Pójdziemy - powiedział brat posługujący, spuszcżając oczy. Wyprowadził Biełosielcewa na klasztorne podwórze, gdzie na dzwonnicy pod złotą koroną cienko zadzwonił zegar, ogłaszając przemijanie czasu.

Biełosielcew wrócił na stację, wszedł do odchodzącego do Moskwy pociągu. Pociąg był pusty, ani jednego pasażera.

Rozdział dwudziesty piąty

Pielgrzymka do „czerwonych” i „białych” relikwii nie napelniła go światłem i siłą. Jeszcze bardziej odczuwał swoje osamotnienie, jak zagubiony w kosmosie astronauta, którego uszkodzony statek zszedł z trajektorii, przyrządy straciły kontakt z Ziemią, i bez paliwa, bez nawigacji mknął w lodowatej pustce z milczącymi przekaźnikami, wśród kolorowych ciał niebieskich, martwych jak polarne lody. Jednak to go nie rozstroiło, nie przytłoczyło, ale dziwnym trafem wzmocniło w samotnym i, beznadziejnym stoicyzmie. Pełen mesjanizmu, samotny, ale uparcie i, zda się, beznadziejnie kontynuował walkę, której sens leżał nie w zwycięstwie, nie w pokonaniu potężnego wroga, a w jego własnej wytrwałości pośród nienawistnych wrogów, przed obliczem ginącego narodu.

„Projekt Suahili” wchodził w nowe stadium, w którym usuwano potężnych magnatów. Całe ich bogactwo, niezniszczalna siła ich informacyjnych imperiów, ich jawne i ukryte związki przechodziły do dyspozycji

spiskowców, niezmiernie ich wzmacniając. Na drodze do ich celu stał ostrożny, bezlitosny, podstępny moskiewski Mer. Jego celem był Kreml, tworzył opozycję, mamił chorego władcę, schlebiał Córce, rozpuszczał za jej plecami oczerniające plotki, potajemnie wchodził w układy z komendantami okręgów. Na zbliżającej się uroczystości z okazji otwarcia nowego mostu, w dniu triumfu Mera, planowano dokonać pogromu oligarchów, zniszczyć gadatliwego Gramofonczyka, który utracił poczucie rzeczywistości. Zbeczścić rytualną uroczystość Mera znakiem więzienia i śmierci.

Święto organizowane przez Mera na wydrukowanych karbowanym złotem zaproszeniach nazywało się „Most-Prezydent”. Mer, nieustający w upiększaniu stolicy, wytrawny budowniczy wspaniałych świątyń, pomników, konstruktor obwodnic i prospektów, wznosił przez rzekę Moskwę betonowy most, a stary, wyłożony kamieniem, ze zmęczonej przez czas ozdoby stali, przesunął na nowe miejsce, do Nieskuczno Sadu. Przykrył kryształowym dachem, z wycuciem połączył w nim szlachetny archaizm i wspaniałą modernę. Podarował go moskwianom jak szklaną przerzuconą przez rzekę galerię, z której otwierał się wspaniały widok na wodę i gdzie przewidywano urządzać wystawy, imprezy rozrywkowe i uroczystości. „Most-Prezydent” był wiernopoddańczym znakiem Mera dla nieufnego, niezbyt go lubiącego Bałwana, a także ukrytą aluzją do własnych strategicznych, daleko idących zamierzeń.

Wybierając się na uroczystość, Biełosielcew był rześki, skoncentrowany, wesoły. Szedł piechotą od metra „Park Kultury” po nabrzeżu, gdzie ruch uliczny był zamknięty i przepuszczano tylko wybrane limuzyny z fioletowym błyskającym kogutem, które przemykały wzdłuż wieczornej oświetlonej rzeki do pompatycznego budynku sztabu. Stamtąd, z ciemności, przerzucony przez rzekę na zalesiony wzgórek Nieskuczno Sadu - most świecił się kryształowo. W wieczornym moskiewskim niebie promieniował złotem. Wydawał się czarodziejską drogą, powstałą w niebiosach, po której przejdzie szereg szczęśliwych mieszkańców nieba, którzy zeszli na ziemię. Na przedpolach mostu, jeden przy drugim

stali ochroniarze. Jedni jawnie, w milicyjnych mundurach, z automata-
mi, inni niezauważalni, w cywilnych ubraniach, skrywali się w cieniu
drzew. Biełosielcewa kilkakrotnie proszono o okazanie przepustki, a on
chętnie wyjmował z kieszeni imienną złożoną kartę z wydrukowanym
promienistym „Mostem-Prezydentem”.

Przy podejściu na most, na nabrzeżu, był rześcicie oświetlony placyk.
W ametystowych promieniach grał fortepian, połyskiwały wiolonczele i
skrzypce. W donicach stały wspaniałe drzewa z pomarańczami, malino-
wymi jabłkami, śliwami, jak zwiastuny rajskiego ogrodu. Na stopniach
mostu drzewa tworzyły zwartą aromatyczną aleję, wiodącą do nieba. Tą
aleją powoli ciągnął sznur gości. Damy, świecąc gołymi ramionami,
ozdobione kosztownościami, zatrzymywały się co chwila, pokazywały
swoim towarzyszom piękno rzeki, kopułę świątyni Chrystusa Zbawicie-
la, podświetlony monogram mostu Krymskiego, brązowy kolos Piotra
Wielkiego. Mężczyźni, niektórzy w czarnych frakach, pomagając kobie-
tom przy wchodzeniu, nadążali schylić się do pachnących drzew w doni-
cach, wdychali z rozkoszą tropikalne aromaty. Szklana galeria wyglądała
jak ogród botaniczny dzięki obfitości palm, araukarii, magnolii, drzew
laurowych. Tworzyły przytulną zaciszę lub też gęste zarośla
rozstępowały się, tworząc rozległe polany, z których przez przezroczyste
szyby otwierał się wspaniały widok na Moskwę. Na oświetlone cerkwie,
na prażące się w promieniach wille i pałace, na ognisty łuk ulicy Sado-
woje Kolco, na kolorową rzekę, po której płynęły ozdobione światełkami
małutkie tramwaje. Przechodząca obok Biełosielcewa znana aktorka
głośno, żeby przyciągnąć uwagę, powiedziała:

- Wiszące ogrody Se-MER-amidy! - A w odpowiedzi zaśmiał się,
dymiąc papierosem, znany parlamentarzysta.

Galeria zappełniała się gośćmi. Kelnerzy w malinowych surdutach i
muszkach roznosili na tacach napoje. Przy stolikach wśród tropikalnych
drzew, jakby to była Fidżi czy Seszele, barmani w białych kamizelkach

nalewali z pękatych butelek whisky, koniak lub zamrożoną, ze złotą iskrą wódkę. Uprzejmie uśmiechając się, wrzucali kryształowe kawałki lodu, nalewali syczący tonik, różowy sok pomidorowy. Bielosielcew z przyjemnością łyknął cierpkiego napoju, patrząc, jak na rzece, ozdobionej diamentową girlandą, w rozmytym odbiciu stoi statek strażniczy z małą armatką, a admirał w galowym mundurze coś objaśnia pretensjonalnej piękności, znanej ze swoich programów telewizyjnych „W gościach bez krawata”. Ona poruszała pełnymi, rozkosznie lubieżnymi wargami, jakby ssła duży karmelek, jednocześnie całując stojący na wodzie i statek, i admirała od siwych szlachetnych włosów do niebieskich lampasów, i mandarynkowe drzewo w donicy, obsypane pomarańczowymi owocami, a także wszystkich przechodzących obok jej perłowych, nieprzerwanie ssących ust.

Mer już był na galerii. Jego obecność można było odgadnąć po ścisku zgromadzonych gości, z których każdy chciał przybliżyć się do Gospodarka. Czekano na przybycie Patriarchy, który powinien poświęcić odnowiony most. Bałwan znajdował się w szpitalu klinicznym, ale zamiast niego czekano na Córkę, co byłoby znakiem pojednania Prezydenta i Mera. Spodziewano się przyjazdu Wybrańca, który wracał z rządowej delegacji do Niemiec. Jego samolot dopiero zbliżał się do Moskwy.

Bielosielcew z kieliszkiem chodził po galerii od jednego brzegu do drugiego, jakby był w przezroczystym żołądku ogromnego szklanego robaka, napełnionego pożywnym jedzeniem. Tutaj zebrała się cała moskiewska arystokracja, należąca do partii Mera. Także ta zmiennochwijna publika, przechodząca od jednego władcy do drugiego, jeśli tylko jeden z nich zdobył przewagę nad przeciwnikiem. Byli tutaj znani artyści, śpiewacy, reżyserzy teatralni, którym Mer udzielał protekcji i którzy chętnie na znak wdzięczności występowali na dobroczynnych koncertach z jego udziałem. Byli tu politycy zapewniający Merowi poparcie w parlamencie i w oddalonych od Moskwy guberniach, gdzie on, demonstrując moskiewski rozmach i bogactwo, budował to szkołę, to

cerkiew, podobną do głównej moskiewskiej świątyni. Oddzielnie trzymali się bankierzy i przemysłowcy, posiadający w moskiewskich bankach ogromne kapitały, którzy, jak złota woda, omywali moskiewskie ulice, zapalając na nich wspaniałe wystawy, diamentowe lampy, ogniste reklamy, które zmieniały Moskwę w olśniewający, nie zasypiający nocami Babilon. Deputaci Dumy, którzy w sali obrad ciskali na siebie gromy, wymieniali się złośliwymi replikami, bezlitosnymi kpinami, wydawali się nieprzejednanymi wrogami, tu - pod tropikalnymi palmami, po przyjacielsku stukali się kieliszkami, wesoło i beztrudnie żartowali, poklepywali się wzajemnie po plecach, wspominając, jak zręcznie w przeddzień rozegrali parlamentarny spór, dając żer reporterom i zawziętym partyjnym stronnikom.

Reporterzy telewizyjni i redaktorzy programów byli szeroko reprezentowani nie tylko przez tych, którzy stale informowali o działalności Mera w samych superlatywach, tworząc jego wizerunek jako troszczącego się o stolicę, obrońcę Rosji, protektora nauki i sztuki. Byli tu także i przeciwnicy Mera, których starał się przeciągnąć na swoją stronę, a między nimi wspaniała redaktor arystokrata, odważny polemista, ulubieniec dam, przekorny pieszczoł, którego kpiarskich żartów bali się silni świata tego.

Wśród na poły obnażonych dam Bielosielcew dostrzegł błyskotliwego Astrosa, który zerwał z drzewa mandarynkę i obierał ją dla blond piękności. Zarięcki z żywą chryzantemą w butonierce, podobny do dekadentckiego poety, szedł pod rękę z kobietą politologiem, a ona, zmrużywszy pociągnięte turkusem oczy, żartobliwie słuchała jego gadaniny. Zobaczywszy tych dwóch skazanych, nie wiedzących o swoim bliskim końcu, Bielosielcew zaczął się rozglądać i natychmiast znalazł ich oprawców. W różnych miejscach galerii mignęli Grieczyszcznikow, Burawkow i Kopiejko, wszyscy trzej w czarnych frakach, surowi, milczący, wyglądali jak grabarze. Przekazali Bielosielcewowi porozumiewawcze znaki samymi oczami, wykonując nimi ni to maltański krzyż, ni to grecką literę „omega”.

Wzdłuż kwitnących drzew, co rusz się zatrzymując i odkłaniając, upajając się swoją popularnością, upokorzony wspaniałym światem, które zorganizował jego dawny i mający szczęście przeciwnik, moskiewski Mer, szedł Gramofończyk. Towarzyszyła mu żona, dumnie, po królewsku niosła piękną głowę z wysoko upiętymi włosami. Zaszczycą chłodnym uśmiechem spotkane damy, łaskawie podawała rękę do pocałunku szarmanckim mężczyznom. Zobaczywszy Gramofończyka, Bielosielcew zaczął szukać pośród palm, stolików, wygodnych kanap i foteli miejsca przyszej kaźni. I zaraz je znalazł - samotna kamera stała trochę z boku i niemłody operator, ten sam, co filmował kiedyś Premiera, siedział znużony i pił sok pomarańczowy w oczekiwaniu chwili, kiedy będzie potrzebny.

Wieczorem zjawił się występujący w Rosji amerykański mag i jasnowidz rosyjskiego pochodzenia, czarniawy, z czerwonymi ustami, z płonącymi atramentowo-fioletowymi oczami, w długim niesamowitym różowym fraku z rozchodzącymi się estradowymi połami, z pierścieniami w różnych kolorach, pokrywającymi długie i bardzo blade ręce.

Była tu nowa arystokracja, w niczym niepodobna do poprzedniej, która zbierała się na sowieckich uroczystościach z okazji jubileuszy i zjazdów. Tamtą, nadętą, urzędniczo ważną, naiwnie powściągliwą, składającą się z partyjnych przywódców, kosmonautów, laureatów nagród literackich, uczonych dopuszczonych do tajnych spraw i wslawionych bohaterów pracy, zmyła bez śladu powódź przemian. Tylko jeden z poprzednich, wydający się nieśmiertelnym, przeżywszy wiele geologicznych epok, pochowałszy mamutów, faraonów, władców absolutnych czerwonych wozów, był obecny wśród stojącego, rozbawionego tłumu. Znawca Wschodu, dyplomata, agent, ciężki i mały, w gorsecie leczniczym, z obrzmiałą twarzą, wyrzucając na boki chore nogi, szedł, biejąc wstawionymi zębami, cały w liliowych plamach jak niespalająca się w ogniu salamandra. Jak Diabła prowadzili go pod ręce prosto do Mera, z którym zakładał nową partię sobie dla zabawy, Merowi na pohybel.

Naraz wszystkie głowy, jak tarcze słoneczników, zwróciły się jednocześnie w jedną stronę, skąd wschodziła niewidoczna gwiazda. Córka w wieczorowej toalecie, olśniewając urodą, władczą, silną, uwodzicielską, szła po galerii, wstępowała w otwierające się przed nią przejście. Nie patrząc na nikogo, uśmiechając się do wszystkich, wywołując u dam przypochlebne uśmiechy i zły zawistny błysk w oczach, wzbudzając pożądanie u mężczyzn, przymilne pokłony kombinatorów, uniżone powitania wysokich urzędników. Towarzyszył jej Szelma, który przemienił surowy, szary i niepozorny Kreml sowieckich czasów w pompatyczne imperatorskie komnaty.

Mer spieszył naprzeciw, rozciągając w wiernopoddańczej radości usta z rzadkimi zębami, lśniąc oddaniem, wyrażając jednocześnie dwa przeciwstawne uczucia. Uniżoną uległość i chłopską pokorę wobec dumnej i hardej władczyni. I uroczysty majestat, triumfującą wyniosłość wobec otoczenia. Nie decydując się na pocałowanie wyciągniętej ręki Córki, uściśnął ją obiema dłońmi.

Znowu po galerii przebiegło drżenie, zwracając w jedną stronę czujne wypatrujące twarze. Przybył Patriarcha, przystając, powoli pokonywał schody mostu, wszedł na szczyt jak na Jcleońską górę. Utrudzony, odprawivszy nabożeństwo, gotów karmić, głosić kazania, odpuszczać grzechy. Był w złotych szatach, lśniących jak zbroja. W rękach trzymał pastorał, którym gotów był paść niewierne, rozpuszczone, nierozumne stado, zaszczepiając w nim kielki łaski. Broda majestatycznie rozsypała się po promieniejszej szacie. Roztaczał łaskę, pokorę, rozumiał, jak ważne jest dla ludzi ujrzenie go, nacieszenie wzroku blaskiem słonecznej szaty. Towarzyszył mu kapłan, psalmiści, którzy nieśli za nim kufierki, w których były schowane kielich, kropidło, Ewangelia - przybory do poświęcenia mostu.

Goście hurmem skierowali się do Patriarchy, spieszyli po błogosławieństwo, niektórzy nie wiedzieli jak stanąć, pokłonić się, którą rękę pocałować. Patriarcha odpuszczał grzechy wszystkim, także neofitom,

którzy zrzucili jarzmo bezbożnej niewoli, uczyli się na nowo wierzyć i kochać. Wyciągał do pocałowania rękę dużą jak francuska bułka, pozwalał całować. I wszyscy obecni - modne artystki, wyniośli bankierzy, powściągliwi urzędnicy, rozwiązli redaktorzy telewizyjni - wszyscy chcieli błogosławieństwa. Najważniejsi w Moskwie na oczach wszystkich, dumni z tego, że zostali wybrani, przeciskając się jeden przez drugiego, przypadali do pulchnej patriarchalnej ręki, ciesząc się tą nową dla nich rolą.

Wydawało się, że Mer gotów był paść na kolana, ale Patriarcha go powstrzymał. Nakrył jego łysą głowę swoją wyperfumowaną, pachnącą brodą. Córka z pokorą przyjęła błogosławieństwo, posłusznie się pokłoniła, ale nie całkiem według zwyczaju. Biełosielcewowi wydało się, że tylko dygnęła. Zmęczony Patriarcha odpoczywał, stojąc obok Mera. Ornat wydymał się na jego wystającym brzuchu. A Biełosielcew nagle przypomniał sobie słowa mnicha Paisija o tym, że Patriarcha nosi w sobie tajemnicze niemowle.

Wszyscy czekali jeszcze na Wybrańca, ale już z mniejszym zainteresowaniem. Zdawało się, że się spóźnia na swoje święto. Przepuścił moment swojego triumfu. Jego miejsce zajął szczęściarz Mer, który uzyskał przychyłność Córki i błogosławieństwo Patriarchy.

- Może jego samolot zatrzymano w Niemczech?
- Może go zestrzeliła Luftwaffe?
- Jego zestrzelił Mer, i wszystko, co tu się będzie działo, to będą polityczne odłamki.
- Czyżby on mógł się mierzyć z Merem? Mer - to gigant, tytan!
- A tamten - parweniusz, chwilowy władca!
- Polityczny zapaśnik wagi lekkiej!

Mer wszedł na podwyższenie obstawione żywymi kwiatami. Przysunął do siebie mały metalowy mikrofon i w zaległej ciszy po całej galerii rozległ się jego znany, pewny siebie, trochę żartobliwy, w miarę patetyczny głos.

- Ten most, który przekazujemy dziś moskwanom, symbolizuje jedność, dziedziczość władzy, wygodne i bezbolesne przejście z jednego

brzegu, z jednego politycznego okresu, na drugi brzeg, w nowy polityczny okres. Nazwaliśmy ten most „Prezydentem” dlatego, że Rosja ma wspaniałego, wielkiego Prezydenta, który doprowadził nasz kraj do wolności, a naszą Moskwę do piękności i szczęścia jak nigdy. Jestem przekonany, że na cześć naszego Prezydenta będą nazywane nie tylko mosty, ale i lotniska, jak w Nowym Jorku, i kosmodromy, i nowo odkryte planety. Zdrowia i pomyślności naszemu Prezydentowi! - podniósł ręce i głośno zaklaskał, i wszyscy zaczęli bić brawo, rozglądając się na wszystkie strony w oczekiwaniu, kiedy sąsiad przerwie burzliwe oklaski, nie chcąc być pierwszym.

Zaczął się świecenie mostu. Psalmiści sprawnie otworzyli kufarki. Wyjęli kielich, świeczniki, Ewangelię. Umiejętnie zapalili wysokie kręcone świece. Rozdmuchali kadzidło z palącą się wonną smużką. Przygotowali kropidło - puszystą włosianą miotełkę. Głos Patriarchy drżał po starczemu. Mówił z zaśpiewem, przeciągał słowa jakby w żalostnej i smutnej pieśni cerkiewnej. Machał kadzidłem, rozwiewając dokoła wonne smużki, do których wyciągały się wdychające nosy. Krzyżował długie jak szpady świece, umiejętnie utrzymując na ich końcach małe płomyczki. Jego pokłony i wzdychania były skierowane na szklaną oranżerię z drzewami, na ciemną rzekę z wojennym statkiem, na most Krymski, po którym mknęły światła, zlewały się z migocącym sierpem Sadowoje Kolco.

Nie rozróżniając słów, a łowiąc tylko drgający, jakby umyślny zaśpiew, Bielosielcew widział, jak dorodny, obleczony w złoty brokat Patriarcha błogosławi władzę, tę, której nienawidził on, Bielosielcew. Czuł ostrą niechęć do Patriarchy, a kiedy tamten zaczął kropić i pryskać, zanurzając miękkie kropidło w srebrnym kielichu z wodą i chłodna kropła spadła na twarz Bielosielcewa, szybko się cofnął, chusteczką wytarł policzek, jakby to nie była woda, a ocet.

Z krótkim przywitaniem wystąpiła Córka, zwracając się do Mera:

- Odwiedziłam dziś w szpitalu Prezydenta. Czuje się dobrze, niedługo wróci na Kreml. Powiedział, że podejdzie do okna i będzie się cieszył salutem na cześć otwarcia mostu.

Mer jaśniał, bił brawo. Odwracał się w tę stronę, gdzie, według jego przypuszczeń, znajdował się szpital kliniczny. Adresował oklaski do powracającego do zdrowia Prezydenta.

Przyniesiono butelkę szampana i Mer dziarsko, z wprawą rąbnął nią o żebrowane przeszło. Butelka roztrzaskała się, bryznęła pianą, a zręczni służący z szufelkami i miotełkami posprzątała odłamki.

- Niech żyje Prezydent! - krzyknął ktoś, przekrzykując gromką muzykę.

- Niech żyje Mer! - uroczyście wtórowano z tłumy.

- Niech żyje Tatiana Borysowna! - to powiedział Szelma, podchodząc do mikrofonu, aksamitnym barytonem zagłuszając fortepian.

Bielosielcew widział, jak umiejętnie pod względem artystycznym, według sprawnego scenariusza, rozgrywa się akcja. Wiedział, że w tym napuszonym, wieloznacznym scenariuszu jest drugi, ukryty jak ściśnięta sprężyna.

Na galerii powoli gasło światło, dzięki czemu lepiej było widać rozlewisko rzeki, granatowy mrok wieczoru, zarysy miasta. Zadźwięczała żywiolowa, zmysłowa muzyka. W jej ognistych rytmach zbliżał się helikopter. Macał niebo niebieskim reflektorem, zapalał na rzece rtęciową pluszczącą plamę, ślizgał się po galerii rażąca siekierą. Helikopter zawisł nad mostem, otworzywszy nad sobą srebrzysty parasol śmigła, opierając się na niebieskim słupie światła. I w to światło jak w przezroczystą studnię, po ledwie migającej strunie zaczęła się opuszczać goła kobieta. Opuszczając się, tańczyła. Odchylała się do tyłu, rozkładała ręce, rozpuszczała włosy i wydawało się, że zaraz się urwie i błyszczącą kroplą wpadnie do rzeki. Przyciskając pierś do ledwie widocznej liny, wyciągnęła do tyłu wyprostowaną nogę, zaczęła się szybko obracać i wtedy wydawała się motylem, nanizanym na niebieską igłę, który drga, próbuje

się uwolnić i uciec. Zwisiała głową w dół, bezwładnie zwieszając ręce, nieruchoma, z rozsypanymi włosami. Helikopter przybliżył się do galerii tak, że dokładnie było widać młodą prężną pierś, ciemne sutki, czarną wstążeczkę łona. Zwróciła się do widzów roześmianą twarzą i zaczęła wykonywać w powietrzu taniec erotyczny. Odginała się od stalowej linki naprężonym torsem, krągłymi lśniącoymi biodrami, gwałtownie poruszała lśniącoymi brzuchem i wypukłymi plaskającymi piersiami. Obracała się wokół migocącego pionu, zrobiła długi plastyczny szpagat, skręcała się w żywe koło. Zmieniała się w giętką zmijkę, składała na krzyż, zwijała w supeł przy ognistej muzyce. Posławszy powietrzny pocałunek rozentuzjzmowanemu tłumowi, zaczęła się oddalać w promieniach reflektora, jak niebiański anioł, przelatujący nad nocnym miastem.

Jeszcze błyskała w oddali niebieska iskra, w którą zmieniła się niebiańska tancerka, kiedy na rzece padł armatni wystrzał. Z wojennego okrętu poleciały w górę bukiety petard. Na mgielnych wysokich łodygach rozkwitały promieniste chryzantemy, złote kule, purpurowe i fioletowe tulipany. Całe niebo nad rzeką stało się kwiecistym klombem, który osypywał się, gubił płatki, odbijał się w wodzie kolorowymi wstęgami, węzami, błyskami. Okręt salutował, udekorowany girlandami, pluskał na tężowej wodzie. Widzowie klaskali, głośno pozdrawiali siwego admirała, który był dumny ze swojego dziecka i odpowiadał lekkimi powściągliwymi ukłonami.

Jeszcze drgało po salucie ciemnogranatowe niebo, podobne do gasnącego ekranu, a już pojawiły się na nim laserowe promienie. Przecinały się pod różnymi kątami, w miejscach spotkań stawały się oślepiającymi punktami, błędziły w mroku, oblały niebo srebrzystą pulsującą siecią, napełniały lecącym deszczem. Z tej chybotliwej sieci poprzez niebieskie srebrzyste strumienie wyleciały ptaki. Setki gołębi wypuszczono z rzeki. Wzbiły się do mostu, wlatywały w laserowe błyski.

Goście byli zachwyceni. Patriarcha, z początku zażenowany pokazem nagiej tancerki, teraz był zadowolony. Bo gołębie jako posłańcy nieba

były znakiem uduchowionej Moskwy, rzucały na Mera odbłask niebiańskich sił.

Nie zdążyli się goście wymienić wrażeniami po oszałamiającym widowisku, jak rozległ się wspaniały amerykański blues, przypominający płynne szybowanie, powolne wzloty, czarujące unoszenia nad skrytą we mgłę ziemią. Przy tej upajającej muzyce spod mostu zaczęło wypływać wielobarwne чудо, jak ogromny pływający po falach dywan, oświetlony jaskrawymi reflektorami. Samobieżna barka z umieszczoną na pokładzie szeroką platformą wynosiła w przestworza olbrzymi portret Prezydenta, ułożony z żywych kwiatów. Nie tego otyłego, fioletowego jak sparzony bakłazan, a młodego, krzepkiego, pełnego nieposkromionej woli, zacieklej niezwyyczężoności, jakim go świat zapamiętał na czołgu, w dni triumfu. Kwiaty z najlepszych oranżerii, wyhodowane przez najlepszych ogrodników, umiejętnie ułożone przez portrecistę, lśniły rosą, przelewały się wszystkimi odcieniami świeżości. Wydawało się, że na wodzie pojawiła się żywa ikona, zesłana z niebios.

Mer triumfował. Córka z zachwytem oczami prowadziła po rzece wizerunek ojca. Nie wytrzymała, w podzięcie wzięła Mera za rękę. Wszyscy przyjęli to jak ostateczny i nieodwracalny znak zgody. Skończyło się przeciwstawianie wszechwładnego, ale chorego, tracącego siły władcy i nieposkromionego żadnego władzy moskiewskiego Mera, który poczuł szybki koniec władzy i przed czasem napadł na osłabionego przeciwnika. To był błąd, stwarzający groźbę dla świata i pokoju państwa. Teraz ten błąd był naprawiony w interesie dziedziczości władzy, w interesie rodzimego klanu osłabionego władzy, któremu Mer obiecał opiekę i zachowanie przywilejów.

- Odebrawszy władzę nieudolnym i bezsilnym komunistom udowodniliśmy światu, do czego jesteśmy zdolni. - Mer znowu wszedł na podwyższenie, przysunął do ust mikrofon, a w trakcie jego przemowy na szklanej galerii znowu gasło światło i rzeka z mglistymi zarysami miasta robiła się widniejsza i bliższa. - Pokazaliśmy, że umiemy pracować,

umiemy doskonalić życie, umiemy zmieniać dane nam od Boga dobro, czy to będzie Moskwa, czy sama Rosja, umiemy zmieniać je w cud świata! - Ostatnie słowa wyrzucił ze scenicznym patosem i dał komuś znak.

Uderzyły dźwięczne donośne akordy dzwonów Pierwszego Koncertu fortepianowego na orkiestrę Czajkowskiego. Na zewnątrz, nad rzeką, rozbłysło. Most Krymski zajaśniał, jakby od brzegu do brzegu przebiegł szybki napis zrobiony złotym piórem. Półokręgi, odwrócone arki, naciągnięte struny paliły się jak światłowód, którym pulsowała plazma. W górę, w nocny mrok unosił się blask, jak gdyby nad rzeką rozpostarło skrzydła dziwo, które przyleciało z nieba. A dołem niezliczonymi strumieniami biegło złociste odbicie.

Most zgasł, pozostawiając w źrenicach czarny autograf. I zaraz za mostem, przy dźwiękach fortepianu, rozświetlił się chram Chrystusa. Nie białym blaskiem, a niebiańsko błękitnym, jakby za rzeką rozwinął się czarodziejski kwiat z ogromnym złotym środkiem. Z korony kwiatu wychodziły przezroczyste złote pióra. Wydawało się, że kwiat rośnie w oczach, chwieje się nad miastem. Widok chramu znikł i przez kilka sekund oczarowana publiczność w ciemności słuchała dźwięków fortepianu.

Nad Parkiem Kultury z gęstych drzew wytoczyło się oślepiające nocne światło. „Diabelski młyn”, obsypany diamentami, błyszczący szprychami, rozpryskując promienie toczył się nad Moskwą jak rydwan antycznego boga. Wszyscy oczarowani patrzyli, jak za Nieskucznyj Sad unosi się podobny słońcu Faetón. Kolo rozpadło się, rozsypało leciutkim popiołem, wzbudziwszy w gościach westchnienia żalu. Ale natychmiast z wody, w malinowej poświacie, w świecącej szmaragdowej kamizelce, ze złotą wypolerowaną do blasku twarzą - wstał olbrzym. Przekraczając dachy domów szklano świecącymi botfortami, Piotr szedł pod prąd, rzeka bulgotała wokół butów, a rzeczne tramwaje i holowniki w strachu oddalały się od idącego cara.

Obraz zniknął. Ale w dali za wieżowcem rozjarzyły się błyski. W różnych krańcach Moskwy, jakby padał na nie niebiański promień, zapalały się cerkwie, klasztory, kolumny, rozświetlały pałace i pomniki,

ślizgały się barwne błyskawice światła, przepływało przezroczyste pawie pióro. Zachwycone oczy łowiły ametystową Szuchowską Basztę, różowy obraz Kremla, wyrzeźbiony z niebieskiego lodu empirowy pałac, okrągłą jak księżyc arenę Łużnik.

Mocna, rytmiczna muzyka dźwięczała. Raptem cud światło-muzyki zgasł. Zapaliło się światło elektryczne i w jego błogosławionych promieniach ze wszystkich stron galerii wnoszono poczęstunek. Stawiano na stoły ogromne misy z gorącymi płonącymi daniami. Tace z niezliczonymi zakąskami. Na srebrnych półmiskach jesiotry i jesiotry gwiazdziste. Owoce, świeże poziomki z lodami. Dania na każdy gust, rosyjskiej, europejskiej, wschodniej kuchni, i jeden stolik z koszernym jedzeniem, do którego od razu podeszli dwaj chasydzi z rozwiniętymi do ziemi pejsami, którzy zjawili się w Moskwie w sprawie rękopisów Schneersohna.

Nadszedł czas swobodnych kontaktów, odruchowych toastów, poufnych rozmów. Plotki i intrygi z łatwością powstawały wśród tropikalnych palm, mięsnych zapachów, różowych homarów, przynoszonych na srebrnych talerzach. Bielosielcew wsłuchiwał się w rozmowy, wybuchy śmiechu, w dźwięki kieliszków. Odróżniał w tłumie Gramofonczyka, podnieconego, otoczonego przez wielbicieli, krasomówczego. Wydawało się, że recytuje wiersze z efektownie odstawioną nogą i podniesioną ręką. Jego piękna żona, roztkliwiając się i zarazem bojąc się o jego zdrowie, pogładziła go po ramieniu, temperując jego zapach. Czasami wśród jaskrawych strojów, kolorowych marynarek, gołych damskich ramion pojawiał się czarny frak Grieczysznikowa.

Bielosielcew zszedł z otwartej przestrzeni galerii, gdzie ludzie odnajdywali się wzrokiem, podnosili z daleka kieliszki, przesyłali w powietrzu pocałunki. Wszedł w zarośla, w ukrytą niszę, zasłoniętą drzewami jak altanka. Stąd było widać czarną połyskliwą rzekę, stalowe przesła Krymskiego mostu z rozbiegającymi się czerwonymi i białymi punktami.

W sąsiedniej niszy, za błyszczącym listowiem drzew rozległy się głosy. Bielosielcew poznał głos Córki, zmiękczoney, podniecony, ze wzruszającą intonacją wdzięczności.

- Jest pan niedościgłym mistrzem w urządzaniu uroczystości, na których zapomina się o wszystkich nieszczęściach i nieprzyjemnościach. Szkoda, że ojciec nie mógł tego zobaczyć. On potrzebuje pozytywnych wzruszeń. Opowiem mu, jaki pan był życzliwy dla niego, jak go pan uczcił. Będzie wdzięczny.

Drugi głos, nie ukrywający swojej radości, z ledwie wyczuwalnymi nutkami triumfu, należał do Mera.

- Tak się cieszymy, że przychodzi do zdrowia i wraca na Kreml. Jego nieobecność daje się mocno odczuć. A z jego powrotem znowu wszystko zaczyna chodzić, żyć. Kraj zyskuje gospodarza.

- Powiem panu w tajemnicy jak przyjacielowi. Coraz częściej go nawiedzają myśli o przedterminowej emeryturze. Bardzo osłabł. Zbyt ciężkie jest brzemień władzy.

- Proszę wybaczyć, Tatiano Borysowna, ale o tym nie chcę słuchać. Wszyscy mamy nadzieję, że stanie do wyborów na trzecią kadencję. On nie może wątpić. Moskwa poprze go, jak popierała w pierwszych i drugich wyborach. A po zwycięstwie może na nas liczyć jak na wiernych i pracowitych pomocników.

- Ma chore serce, płuca. Częstsze stały się skurcze mózgu. Wątpliwe, czy zdecyduje się na trzecią kadencję.

- Musimy go razem namówić. Jestem pewien, że prócz niego nikt nie jest zdolny być Prezydentem. Jest niezastąpiony.

- Dziękuję panu za oddanie ojcu. Przekażę mu na pewno. W ostatnim czasie pojawiło się tylu wrogów, tylu zdrajców. Tylko czekają, żeby odszedł.

- Z wrogami wspólnie sobie poradzimy. A dla zdrajców przykładem będzie Prokurator.

- Dziękuję. Przekażę pana słowa.

- Powinien wiedzieć, że jestem jego wiernym przyjacielem i towarzyszem broni.

Rozległ się cichy dźwięk szkła. Rozmówcy trącili się kieliszkami, umacniając poufny związek łykami szampana.

Bielosielcew nie wychodził ze swego ukrycia, oddzielony od rozmawiających ścianą liści. Usłyszał, że jeszcze ktoś przyłączył się do nich. Znowu zadźwięczały kieliszki.

- Pańskie święto - to niesamowity sukces! Na coś takiego mogli pozwolić sobie tylko władcy Babilonu i imperatorzy Rzymu! - W tym gorącym zwierzeniu Bielosielcew poznał Astrosa. - Moje kamery filmują cały wieczór. Będziemy transmitować uroczystość na całą Rosję.

- To nie tylko wspaniała atrakcja, nie tylko świetny show. To potężna polityczna manifestacja. - Drugą osobą, która doszła, był Zariecki. - To święto symbolizuje nową polityczną erę. Erę konsolidacji wszystkich ważniejszych sił politycznych po czasowych, całkiem zrozumiałych w polityce, rozbieżnościach. Dziś z tego wspaniałego mostu wszyscy widzą - krajem rządzi Prezydent przy wsparciu Mera stolicy, elity biznesu, towarzystw bankowych i inteligencji twórczej. W przededniu wyborów jest potężna siła, której nic się nie przeciwstawi. Nawet komuniści przysłali tu swojego lidera, jak posyłano niegdyś kniaziów do Ordy.

- On ma rację - powiedział Astros. - Jesteśmy skonsolidowani jak nigdy. Wszyscy widzą - Astros i Zariecki chodzą objęci, znaczy - dwa informacyjne imperia podpisały pakt o nieagresji, o nowym podziale świata, o przyjaźni po wieczne czasy.

- No cóż, wszystko to jest prawdą. Ludzie, którzy przeszli taką drogę, tyle razem doświadczyli, tyle ryzykowali, nie mogą się bez siebie obejść. - To mówił Mer, zadowolony z takiej interpretacji uroczystości. - Musimy publicznie demonstrować nasz związek. I nie dopuszczać do niego przypadkowych ludzi. Parweniuszy i gwiazd jednego sezonu. Ci niesprawdzeni ludzie są dobrzy do wypełnienia chwilowych jednorazowych zadań. A potem powinni niezauważalnie odejść.

- Niech sobie jeżdżą do swoich Niemiec, żeby nie zapomnieć języka. Zachowamy dla takich tę rolę. - Astros śmiał się lekko pijany, rozochocony widokiem pięknych kobiet. - On nam się przyda - kontynuował,

mając na myśli Wybrańca - jako tłumacz przy przepisywaniu naszego nowego „Paktu Ribbentrop - Mołotow”. Tłumacz może być obecny na koktajlu, na rozmowach, ale jego podpisu pod dokumentami nie ma.

- Bardzo dobre porównanie wymyśliłeś dla naszego związku. Ty byś tu jeszcze Kaltenbrunnera dołączył. Co powiedzą biedni Żydzi? - zachichotał Zariecki.

- Biedni Żydzi niczego nie powiedzą, dlatego, że najbiedniejsi z nich - to my - zaśmiał się Astros. - Proponuję wypić za najpiękniejszą kobietę na tym moście. Za „Miss Moskwy”! Za „Miss Rosji”! Za ciebie, moja Tatiano! - poufale powiedział Astros, a Biełosielcew wyobraził sobie, jak jego brylantowo-niebieskie oczy, zwrócone na Córkę, przebiegły po jej gołych rękach i piersiach.

- I śmiało zamiast „belle Nina” postawił „belle Tatiana”! - przedrzeźnił go Zariecki i wszyscy czworo się roześmieli, stuknęli kieliszkami, a wzruszony głos Córki powiedział:

- Dziękuję, przyjaciele!

Biełosielcew ostrożnie porzucił swoją kryjówkę i włączył się w tłum.

Rozdział dwudziesty szósty

W centrum uwagi publiczności znajdował się amerykański magik i jasnowidz, ze wspnianiałym rosyjskim językiem, w którym, jak zapaszek w serze, ledwie wyczuwało się odeski akcent. Jego blade upierścienione ręce posyłały w tłumnie zgromadzonych gości promyczki rubinów i szmaragdów, jakby wkłuwały igielki we wrażliwe miejsca, rysowały magiczny tatuaż, podporządkowując wolę łatwowiernych i ciekawskich widzów.

- Czy pan rzeczywiście przepowiedział światowy kryzys finansowy? - zapytała go podniecona szampanem piękna aktorka, już znajdując się pod wpływem hipnozy i czaru tajemniczego cudzoziemca.

- Napisałem skromny list do waszego Prezydenta, w którym uprzedzałem, że wielką Rosję czeka małe niepowodzenie. Lubię Rosję, moją drugą Ojczyznę i chciałbym, żeby nie miała nieprzyjemności. Ale odpowiedzi, niestety, nie było. - Magik uśmiechał się czerwonymi, jakby uszmkowanymi ustami, kierował na aktorkę czarne oczy bez źrenic, wpijając w jej odkrytą szyję barwne promyczki kamieni szlachetnych.

- A czy mógłby mi pan powiedzieć, co mnie czeka? - Aktorka była całkowicie zahipnotyzowana, czuła, jak po jej ciele rozlewają się przyjemne, kolorowe strumyczki bólu. - Chcę znać moją przyszłość.

- A nie boi się pani? Przyszłość może być straszna. Lepiej nie zaglądać w lustro przyszłości, a żyć teraźniejszością, szczególnie taka piękna kobieta jak pani.

Z kręgu zaciekawionej publiki, jak niedźwiedz, ale życzliwie ją rozpychając, wyszedł Szelma. Trochę podpity, beztroski, kiwając swoim nabitym pełnym ciałem, rozgrzanym, jakby wyszedł z bani.

- Ja, jak widać, nie jestem piękną kobietą i dlatego nie boję się przyszłości. Powróź mi. Zorganizowałem ci występ w pałacu Kremłowskim, a teraz pokaż, co potrafisz.

Wróżbita lekko się uśmiechnął, wybacząc spoufalenie. Ujął dużą dłoń Szelmy z grubymi palcami. Zamknął brązowe powieki i jakby zasnął. Jego pierścienie promieniały na dłoni Szelmy, który uśmiechając się lekceważąco spoglądał na zebranych.

Jasnowidz otworzył oczy, wypukłe, okrągłe, ze spizowym odbłaskiem jak owoce czarnej porzeczki.

- Jest pan wielkim organizatorem domu. Przywrócił pan Kremłowi jego wspaniałość. Gdzie się pan pojawia, tam są dobrze urządzone domy. W Nowym Jorku, w rejonie Brooklynu, jest więzienie, które potrzebuje dobrego wyposażenia. Panu sądzony jest pobyt w brooklińskim więzieniu i przeksztalcenie go w kremłowskie komnaty.

- Ty tak żartujesz? - Szelma słyszał wokół siebie śmiechy, oglądał swoją dłoń z odciskami pierścieni. Sam też się uśmiechał, odchodząc w

tłum. Ale w miarę oddalania, jego twarz robiła się coraz bardziej zamyślona.

Miejsce Szelmy zajął admirał, którego udekorowany statek jarzył się na rzece światłkami. Admirala przeznaczono na wysokie stanowisko do Sztabu Floty i już przyjmował gratulacje. Wróżbita wziął jego suchą twardą dłoń. Ścisnął palcami nadgarstek, jakby badał puls. Zamknął oczy, zagłębił się w odczytywanie niewiadomej przyszłości. Admirał z ciepłym uśmiechem, cierpliwie, zachęcany przez damy, pozwalał magowi eksperymentować.

Wieszcz podniósł powieki, a jego atramentowe oczy błysnęły pełnym grozy pozaziemskim światłem.

- Rosyjskie miasto Kiteż poszło na dno razem ze wszystkimi mieszkańcami, i do tej pory słychać z wody bicie dzwonów. Kursk, który pan, admirale, tak lubi, też pójdzie na dno i nikt z jego załogi nie wypłynie na powierzchnię.

- Ale ja nie lubię Kurska, nigdy w życiu w nim nie byłem - wzruszył ramionami admirał.

- Ja mówię o arce. O podwodnej arce, panie admirale - cicho powiedział wróżbita.

Admirał nie był zadowolony z odpowiedzi, wzruszył ramionami i odszedł w towarzystwie dam.

Zaraz po admirale do magika w różowym fraku podszedł redaktor programu telewizyjnego, którego popularność zaćmiła popularność polityków, gwiazd estrady i strzelców hokejowych. Ulubieniec, złośliwy kpiarz, mądry cynik, piękny lekkoduch, intelektualista i wesoły żartowniś, rozbijał czaszki ograniczonych partyjnych liderów, czarnymi powidłami mazał śnieżnobiałe kamizelki hipokrytom, dodawał wielkości karłom, ucinał głowy olbrzymom, przedstawiał zło jako piękne i pociągające, ubierał dobro w błazeńskie stroje.

- W dzieciństwie cyganka wywróżyła mi, że podpalę swój dom. I moi rodzice chowali przede mną zapalki - wyciągnął rękę do wróżbity, z lekceważeniem pozwalając tamtemu rozśmieszyć świąteczne towarzystwo - ale mój dom jak dawniej stoi cały i nieuszkodzony.

Czarodziej wziął wyciągniętą rękę, zamknął oczy. Bielosielcew widział, jaką pracę ponad siły wykonuje. Jak wdziera się w zakazane światy, powodując w nich zamęt. Jak burzy prawidłowość czasów, wyprzedzając na świszczącej strzale powoli rodzącą się kolejność wydarzeń.

- Cyganki nie zawsze kłamią. Pański dom zapłonie tak, że pożar będzie widziała cała Rosja. A gasić go będzie cały świat.

- Pan to mówi poważnie? - spytał redaktor. I chociaż na twarzy uśmiech pozostawał, to on raptem pobladł i odszedł w głąb galerii, podając rękę ładniutkiej panience.

Poddać się próbie przyszłości, nie widząc w tym żadnego dla siebie niebezpieczeństwa, zdecydował się kierownik programów kosmicznych. Otyły, z grubymi ramionami, zwisającym nosem, w workowatym garniturze, był znany jako zwolennik amerykańskich rozwiązań w Kosmosie. Uważał dublowanie amerykańskich i rosyjskich programów za nieopłacalne dla ludzkości. Domagał się jak najszybszej budowy wspólnego rosyjsko-amerykańskiego miasta kosmicznego, w porównaniu z którym rodzima stacja „Mir” wydawała się staromodną wioską.

Kosmita, uśmiechając się starczymi ustami, wyciągnął do jasnowidza spoconą tłustą dłoń, na której, jak wydrapane gwoździem, widniały nieco zabrudzone linie życia.

- To gdzie moja przyszłość? Na niebie czy na ziemi? - wymamrotał wilgotnymi ustami, podnosząc łzawiące wołe oczy do góry, gdzie, niewidoczne w gwiezdny mrok, latały kosmiczne sputniki, sondy zwiadowcze, stacje marsjańskie, a wśród nich unosiła się jak srebrny motyl stacja rosyjska. - Gdzie pan każe szukać mojej przyszłości?

- Na dnie - nie dotykając jego dłoni, odpowiedział dziwny człowiek w różowym fraku, któremu z kieszeni sterczała treflowa karta do gry.

Wszyscy zaczęli szeptać, dziwiąc się paradoksalnej odpowiedzi.

Bielosielcewowi nagle zachciało się wyciągnąć do niego rękę, poczuć na nadgarstku dotyk czarodziejskich pierścieni, poczuć przyjemny ból przenikających toksycznych igiełek. I dowiedzieć się, co go czeka dalej.

Szpitalna pryca z kroplówkami czy nagle trafienie kuli, wypuszczonej ze strychu przez nieznanego snajpera, przerywającej niebezpieczną grę z „Suahili”. Czy też smutna vegetacja starości, bez przyjaciół, bez bliskich, przy mroczniejącym oknie ze zmierzchającymi bezładnymi myślami. Już zrobił krok, już podniósł rękę. Ale drogę mu przeszedł zuchwały wesóły Astros. Wydawało się, jakby na jego drapieżnych wargach osiadła tęczowa bańka mydlana.

- Zapraszam pana do mojej telewizji, maestro. Honorarium - pół miliona dolarów. Ale przedtem niech pan udowodni, że pan widzi moją przyszłość.

- Pan posiada dolary, diamenty, kosztowności - powoli odpowiedział wróżbita. - Pan lubi drogie ozdoby. Dziś pan otrzyma wspianały prezent.

- Jaki? - zaciekawiał się Astros, uwierzywszy słowom jasnowidza.

- Bransoletkę - odpowiedział znużony wróżbita i odwrócił się od niego, chcąc wyjść z kręgu ciekawskiej publiczności. Astros zadarł rękaw marynarki i mankiet koszuli, pokazując wszystkim swój mocny nadgarstek, na którym już dziś powinna pojawić się obsypana diamentami bransoletka. A Biełosielcew wystraszył się zdemaskowania. Patrzył na szeroki nadgarstek Astrosa, na którym za kilka minut powinny zamknąć się kajdanki.

- Niech mi pan powie, czarodzieju, ulubieńcu bogów, co stanie się w życiu ze mną i czy prędko ku radości sąsiadów wrogów pokryje się ziemią mogiły? - Gramofończyk porządnie podchmielony, przewracając oczami identycznie jak dziesięć lat temu, kiedy wchodził na trybunę Zjazdu, zagroził drogę odchodzącemu wieszczowi, wymagając zwrócenia na siebie uwagi. - Jakiż, miłościwy panie, jest mój przyszły los?

- Ależ przyjmiesz ty śmierć od swojego „Camus” - ledwie słyszalnie rzekł wróżbita i z zapadniętymi oczami i straszliwie zmęczoną twarzą odszedł w tłum, niosąc na wypalonym zgarbionym szkielecie różowy frak. A Biełosielcewowi znowu zrobiło się strasznie od tej złowieszczej

pospolitości, którą przybierały nienormalne zjawiska, a których tłumaczem i władcą był jasnowidz.

Gramofończyk odchodził w głąb galerii, gdzie kłębił się naród. Oddalał się, a obok niego, nie wiadomo skąd, pojawił się Zariecki. Obchodził, obskakiwał go ze wszystkich stron, kierując do oddalonej niszy, gdzie stał trójnóg z kamerą i operator w kamizelce z mnóstwem kieszeni, wyglądający jak torbaczk, czekał na rozpoczęcie pracy. Gramofończyk i Zariecki szli, rozwodząc się nad czymś. Dołączył do nich Astros, opowiadając jakiś głupi żart, z którego Gramofończyk zanosił się młodzieńczym śmiechem. Niedaleko od nich pojawił się i zniknął Grieczysznikow w czarnym ubraniu. Czas, zatrzymany w szklanej galerii jak w kryształowym jeziorze, po którym pływały udekorowane łódki z damami i kawalerami, raptem przerwał wąski przesmyk i runął w niego gwałtowną czarną strugą.

Bielosielcew słyszał zapalczywy, nietrzeźwy głos Gramofończyka.

- Tak, powiem wobec wszystkich... Kraj powinien znać swoich bohaterów... Wyciągnę na jaw wszystkie jego machinacje... W swoim czasie, kiedy byłem merem Sankt Petersburga, kazałem sprawdzić jego działalność, która mogłaby rzucić cień na mnie... Tak, i dolary przez fińską granicę w szczególnie dużych ilościach... Handel kolorowymi metalami... I handel dziećmi, który miał prawdziwie przemysłowy rozmach...

Zbliżyli się do niszy, otoczonej drzewami, z których jak lufa strzelby sterczała kamera. Gramofończyk ożywił się jeszcze bardziej, kiedy ją zobaczył. Lubił kamery, ich drażniące źrenice, miganie wskaźników, białe światło lampy oświetlającej. Lubił wywiady telewizyjne, które zrobiły z niego znakomitość. Lubił te nieskończone potoki kierowanej na niego uwagi, przyływy sławy, w których kąpał się i pływał, i które szlifowały go jak fale przyływu, czyniąc go gładkim jak otoczek. Teraz był znowu w centrum uwagi publiczności, był potrzebny. Powracały do niego popularność i sława, które chcieli mu odebrać wrogowie i zawistnicy.

- To co, zaczynamy? - niecierpliwie i wymagająco zwrócił się do operatora tak, żeby go słyszeli zebrani dokoła ciekawi goście. Odkasznął, poprawił marynarkę, przyglądził skronie. Astros poprawił mu krawat. Zariecki troskliwie strząsnął z ramienia nieistniejący pyłek.

- Ruszamy? - zapytał operatora.

W tej chwili pojawił się kelner, poważny, z antycznym profilem. Trzymał w ręce okrągłą srebrną tacę, błyszczącą jak słońce. Na niej stał kieliszek - jak samotny kwiatek na polanie. Tego kwiatka nie można było nie zerwać. Niemożliwością było nie wypić kieliszka wspaniałego „Camus”.

- Pan taki uprzejmy! - Gramofończyk wziął kieliszek teatralnym gestem, skłonił się zebrany i zaczynającej szumie kamerze. Wypił do dna. Kieliszek jeszcze drgał w jego ręce, gdy twarz zaczęła nalewać się mocną malinową czerwienią, jakby cała krew uderzyła do głowy. Mózg pękał od nadmiaru krwi.

Oczy wyszły na wierzch jak u ryby głębinowej. Pękały w nich naczynka krwionośne. Upuszczając kieliszek przy szumie pracującej kamery, rąbnął na podłogę pod nogi tłumu. A w tej ciszy, w całej galerii rozległ się przeraźliwy skowyt, przechodzący w przesywające zwierzęce wycie. To żona Gramofończyka, już nie żona a wdowa, pochyliła się nad nim. Rozpinała mu krawat i koszulę, spod której ukazała się zapadła starcza pierś, siwe włosy i maltański medalik z krzyżykiem.

Po galerii przetaczały się fale prerażenia. Ludzie zbierali się tam, gdzie leżał nieoddychający Gramofończyk, oplakiwany przez żonę, a wokół błyszczały szkiełka rozbitego kryształu. Mer, dowiedziawszy się o tym, co się stało, gnał na miejsce śmierci. Triumf zmienił się z tragedią. Jaskrawe, po królewsku obmyślane święto obróciło się w straszną śmierć. Ta śmierć napełniała jego przedsięwzięcie mrocznym sensem, rzucała na niego czarny cień. Wyobrażał sobie, jak jutro we wszystkich kanałach będą pokazywać martwego Gramofończyka i jego, Mera, dyrygującego muzyką światła, podnoszącego puchar szampana. Złośliwi komentatorzy zaczną robić aluzje, dla kogo ta śmierć była wygodna.

Z rozmysłem będą przytaczać przypadki, kiedy to kniaziów zapraszano do Ordy i tam zabijano. Będą opowiadać o dawniejszej rywalizacji moskiewskiego i petersburskiego mera. To była klęska, druzgocąca porażka, po której nie ma co marzyć o spotkaniu z Prezydentem.

Przerwał krąg wokół zmarłego. Schylił się, nie dowierzając, że szlachetna dusza opuściła śmiertelne ciało. Przez półotwarte usta Gramofonczyka sączyła się malinowa pianka.

- Gdzie lekarze?... Pogotowie!... Reanimacja!... - bezradnie wykrzykiwał Mer, nie rozumiejąc, że leżącemu na podłodze Gramofonczykowi potrzebna nie kropiółka, a łopata grabarza. - Mojego osobistego lekarza Szapiro!...

- Jakie nieszczęście! - wzdychał znajdujący się tu również Astros. - Minutę temu był całkiem zdrow, czuł się wspaniale!

- Gdzie są lekarze, do diabła! - wściekle syczał Zariecki.

- Wszystko przewidzieli - homary z Borneo, drzewo mango z Afryki, dziwki z paryskich burdeli, a lekarza nie!... Idioci!...

Z zewnątrz, wzdłuż nabrzeża błysnęło fioletowym światłem i do podejścia na most podjechały samochody.

- Nareszcie!... Lekarze!... - Tłum cofnął się, robiąc przejście, w którym powinna pojawić się brygada lekarzy w białych fartuchach, z torbami lekarskimi i noszami, w biegu wyciągając strzykawki i przyrządy ratownicze. Ale w pustym przejściu między drzewami i wystrojonymi damami, zamiast śnieżnobiałych lekarzy pojawili się ludzie w czerni - w maskach z otworami, w których płonęły oczy. Stukając butami, z ciężkimi automatami w rękach przemknęli przez galerię, przewracając donicę z tropikalnym drzewem tam, gdzie leżał nieboszczyk.

Czterej nadbiegający, wydając ochryple, paraliżujące wołę okrzyki, rzucili się na Astrosa i Zarieckiego, bezceremonialnie i zręcznie wykręcili im ręce, założyli błyszczące kajdanki. Podciągnęli do góry tak, że Astrosowi oderwał się rękaw, a Zariecki wydał cienki ptasi okrzyk bólu. Szorstko popędzając, powlekli ich do wyjścia. Inni, w czarnych naciągniętych na głowę pończochach, rzucając okrutne spojrzenia, trzymali w

pogotowiu automaty, odpędzając ludzi kolbami. Cofali się, ciężko dysząc przebijającymi przez czarną tkaninę czerwonymi ustami. Łamali butami gałęzie przewróconego drzewa.

Wszystko trwało kilka minut. Mer, porażony, nie zamykając ust z fioletowym, obrzmiałym ze zgrozy językiem, bełkotał:

- Co się stało?... Kto winien?... Byłem daleko, nie widziałem!...

Wystraszeni przez ludzi z automatami goście odsuwali się, uderzali o szklane ściany jak ptaki, które wpadły do pokoju. Jakaś kobieta histerycznie piszczała, waliła pięściami o przezroczystą przegrodę, chcąc rzucić się do nocnej rzeki.

Kiedy wszystko trochę przycichło, kobiety bojaźliwie przytulały się do swoich mężczyzn, mężczyźni przez telefony komórkowe wzywali ochronę, a martwego Gramofonczyka przeniesiono dokądś za donice z drzewami, Mer, starając się przywrócić sobie rzeźki i władczy głos, wołał głośno do komórki: „Dyrektora FSB, natychmiast!”, kiedy na galerii zaległa chwilowa cisza - na zewnątrz, na nabrzeżu znowu zapłonęły migające światła.

Wszyscy w popłochu cofnęli się, oczekując wtargnięcia czarnych, jak diabły, figur. Ale zamiast nich lekkim, rażnym krokiem, prawie tanecznym, niemalże nie dotykając ziemi, pojawił się Wybraniec. Szedł po oświetlonej galerii, zgrabny, sympatyczny, uśmiechając się, wnosząc spokój i nadzieję. Córką pospieszyła naprzeciw temu uśmiechowi, kwitnąca, emanująca siłą i urodą. W czasie gdy zbliżali się do siebie - z czyjegoś polecenia uderzyła radośnie dźwięczna, głośna muzyka. Za szkłem, w granatowej pustce moskiewskiej nocy, na moście Krymskim zapalił się oślepiający napis „Prezydent” - lyskał brylantami, związał się w strugi ognia, trzepotał uroczyście i radośnie, odbijając się w rzece drogocennym srebrem. Wybraniec i Córka zbliżyli się, on podał jej rękę, ona ujęła jego mały toczony łokieć. Szli tak, jakby tańczyli menueta, a wszyscy z zachwytem klaskali, podziwiając palący się za oknem napis. I tylko Mer, zgnębiony, zgarbił się, zwiesił bezsilne ręce, podobny do oprawionej tuszki zwierzęcia, którą podwieszają na haczyku i puszczają w dół transportera.

Następnego dnia Bielosielcewa wezwano do „Fundacji”, gdzie oczekiwał go Grieczysznikow. Wydawało mu się, że linie gabinetu, kontury mebli, osie symetrii, proporcje ram okiennych były przesunięte, wygięte jak na zdjęciu, wykonanym długoogniskowym obiektywem. Przestrzeń gabinetu była wypaczona, podłoga i sufit nie były równoległe względem siebie. Grieczysznikow siedział z rozplaszczonym czołem i nienaturalnie rozciągniętymi ustami. Czy to w głowie Bielosielcewa od przeżytych przeciążeń pękła jakaś żyłka i deformowała ośrodek wzroku, czy to w „Fundacji” z powodu niejasnych geofizycznych anomalii przeszła odkształcająca fala i zmarszczyła przestrzeń.

- Co sądzisz o wczorajszym teatrze? Jeden spektakl w drugim. To się nazywa reżyserka! Lepiej niż Stanisławski! Lepiej niż Meyerhold! Teatr „Suahili” z elementami antycznego chóru i włoskiej komedii masek!... - Grieczysznikow śmiał się, a jego twarz wydawała się rozgnieciona, jakby obracał się w szalonej wirówce.

Bielosielcew czuł na sobie ciśnienie, jakie bywa na pokładzie helikoptera, wykonującego gwałtowny skręt.

- Astros w „Lefortowie” zachowywał się jak Napoleon w niewoli. Dumny, nieprzystępny, skrzyżował ręce na piersi, odmawiał rozmowy ze śledczym. Nawet opluł Burakowa. Za to Zariecki, pojmując, co się stało, słał się na nogach, płakał i błagał. Proponował na odstępnego trzecią część majątku. Na co Kopiejko zauważył: „Z pańskiego majątku zostało panu tylko tyle, żeby można było zamówić u strażnika papier toaletowy”...

Plac Czerwony za oknem dziwacznie się wyginał, jak okrągła powierzchnia łuszczonej metalicznej planety, a wieże Kremla, rozmieszczone na tej krzywiznie, przekrzywiały się w różne strony. Wydawało się, że obroty, wywołane przez siły odśrodkowe, zmiotły z placu znajdujących się tam gapiów, bo kostka brukowa srogo świeciła pustką.

- Cały olbrzymi majątek oligarchów - nieruchomości, akcje, pola ropy naftowej, imperia telewizyjne, gazety, firmy pośredniczące, banki - wszystko to przeszło na naszą własność. Niewidoczna robota Kopiejki i

Burakowa była skierowana na to, żebyśmy my, uczestnicy „Suahili”, byli realnymi właścicielami ich korporacji. Jesteś jednym z członków. Masz w tym swoją część...

Bielosielcew zauważył, że jakoś po nowemu, dziwnie zaglądają do okien kopuły Wasyla Błogosławionego. Kręcone, żebrowane, ząbkowane, jakby pozamieniały się miejscami. Jedne się powiększyły, podobne do turbana radży. Drugie zmalały, podobne do buławy Zaporozca. Jeszcze inne, wyglądające jak fantastyczny korzeń, prawie znikły, pokazując zaledwie jeden czerwono-złoty kawałek. I stamtąd, z tych przesuniętych kopuł, wydzielala się deformująca przestrzeń siła, gięła linie pokoju, rozciągała i płaszczyła wargi Grieczysznikowa, przyciągała do siebie znajdujące się w pokoju przedmioty. Butelka koniaku, kieliszki, talerzyk z cytryną gotowe były oderwać się od stołu, unieść do okna i, jak do magnesu, przykleić się do kopuł.

- Jeśli chcesz, weź akcje syberyjskiej ropy... Bardzo dochodowe są akcje fabryk aluminium... Dużą płynność mają dystrybutory benzyny, których sieć jest rozrzucona po całej Europie i Ameryce... Reklamowy biznes u Astrosa jest większy niż u Zarieckiego, ale ten zaczął wykupywać regionalną telewizję, a tam rynek reklam jest większy... Prócz tego proponujemy ci stanowisko Prezesa Rady Dyrektorów bardzo dobrego mocnego banku, przez który przechodzą pieniądze z handlu bronią i technologiami jądrowymi... Wspaniale zapracowałeś na „Suahili”. I masz swoją część...

Chram Wasyla Błogosławionego był systemem planet, które w swoim orbitalnym wirowaniu ustawiły się w linii, przedstawiały „paradę planet”. Siła ich przyciągania była skupiona i wielokrotnie się nasiliła, powodując niesamowitą grawitację. Łamała statyczność świata, powodowała w ziemskiej skorupie skrzywienia i pęknięcia, przesuwala kontynenty, wywoływała ogromne tsunami i słychać było, jak trzeszczy plac, jak ociera się kostka jedna o drugą, gniotą się podstawy wież.

- Kiedy wyrażałem zgodę na pracę z wami, nie myślałem o akcjach - powiedział Bielosielcew, czując, jak pole przyciągania kopuł przeszkadza

poruszać wargami, a język jakby poruszał się w betonowym roztworze. - Myślałem o wielkim odrodzeniu, o wielkim przekształceniu, które głosiłicie. Gdzie jest scalenie terytoriów, odrodzenie ZSRR? Chociażby aluzje, pierwsze zwroty polityki?

- Imperia przestrzeni skończyły się. Świat walczy o komunikację i trasy naftociągów. Wszystkie drogi Eurazji przechodzą przez Rosję - Północna droga morska, magistrała Transsyberyjska. Inne narody będą wygrzebywać się ze swoich polnych dróg, żeby wyjść na transkontynentalne linie Rosji. Co się tyczy naftociągów, kupimy wąskie działki ziemi i położymy rury. Rosja zrzuciła z siebie zbędne terytoria i zbędne rozmnażające się narody. Nie będziemy więcej karmić wielodzietnych uzbekich rodzin, a zatroszczymy się o wielodzietność rosyjskich kobiet. Odrodzenie ZSRR jest nieaktualne...

Biełosielcew czuł, jak przepadają jego ostatnie złudzenia i nadzieje. Świat, w którym istniały te iluzje, był przeorywany ogromnym pługiem. Łądy przewracały się, kładły dnem do góry. Bieguny zamieniały się miejscami. Rzeki żłobiły nowe koryta. Szczyty spadały. Równiny podnosiły się i garbiły. Brzegi oceanów zmieniały rysunek, i w tym nowym krajobrazie świata, wśród nowych państw i stolic dla niego, Biełosielcewa, nie było miejsca.

- Mówiłeś o zwróceniu władzy narodowi. O powrocie do kraju rad, rozgromionego przez Bałwana w dziewięćdziesiątym trzecim roku, w dniach rozstrzelania Parlamentu. Gdzie są tego oznaki?

- Nie będzie ich. Władza ludu - to fikcja, wymyślona przez mądrych dyktatorów z otoczenia Lenina. Naród był strasznie oddalony od władzy i obojętny w stosunku do niej, co stało się oczywiście najpierw w dziewięćdziesiątym pierwszym, a potem w dziewięćdziesiątym trzecim. Naród nie poparł puczu i odwrócił się od płonącego Domu Rad. Problem nie we władzy ludu, a w tym, żeby grupa liderów była narodowościowo ukierunkowana i rządziła narodowościowym projektem rozwoju...

Brzezi kopuł, zasłaniając jedna drugą, patrzyły w okno jak mnóstwo różnokolorowych świecących na niebie księżyców.

- Obiecaliście, że odbierzecie bankierom własność, wydalicie za granicę oligarchów i zwrócicie bogactwa narodowi. Gdzie jest obiecane upaństwowienie? Kiedy naród otrzyma z powrotem ropę naftową, kolej, diamenty?

- Narodowi obojętna jest forma własności. On chce, żeby mu płacono za pracę. Będzie wdzięczny oligarsze, jeśli ten podwyższy zapłatę, a przeklnie państwo, jeśli ono ją na trochę wstrzyma. Naród pogodzi się ze zwrotem Królewca Niemcom, a Kuryli i Sachalinu Japonii, jeśli to będzie związane z podwyższeniem poziomu życia. Własność, o której mówisz, będzie skupiona w rękach narodowościowo myślących przemysłowców i bankierów, gotowych zatrzymać ekspansję do Rosji żydowskiego kapitału i zapewnić suwerenność narodowej ekonomiki...

Bielosielcew zrozumiał, że jego sprawa jest przegrana. Przechytrzyli go. Uwiedli zapewnieniami, odgadli marzenia, wykorzystali jego doświadczenie i umysł, a teraz odkrywają mu bezlitosną prawdę, proponując jej przyjęcie. I jeśli on ją odrzuci, spróbuje się zbuntować, rozstrzelają go z karabinów z tłumikiem, których ciemne pyski prawie nie odróżniają się od kolorowych cebulek cerkwi.

- Wspaniale pracowałeś i jesteś straszliwie zmęczony. - Grieczyszynik patrzył na niego z wdzięcznością i przyjacielskim współczuciem. - Wyjedź gdzieś, odpocznij. Może chcesz - do Kenii - łowić tropikalne motyle. A może na Seszele - popływać, nacieszyć się urodą smagłych kobiet. Jesteś teraz bogatym człowiekiem, możesz sobie na wiele pozwolić. A jeśli chcesz, jedź do swego ukochanego Pskowa i niech ci tam dusza odpocznie.

Bielosielcew czuł, że go odsyłają. Odgadują jego zamęt i panikę, możliwość niepodporządkowania się i wybuchu. Przygotowywał się nowy etap „Suahili”, w którym dla niego nie było miejsca. I odsuwali go, żeby nie stanowił przeszkody.

Biełosielcew podszedł do okna przyglądając się kremlowskim więzom. Koło okna, na bruk, hałasując silnikiem wyrwał się dziwny aparat. Poruszał się jak samochód, na czterech kołach, wyrzucał smugę spalin, wyposażony jak samolot w statecznik z narysowaną czerwoną gwiazdą. Wzdłuż kadłuba wystawały nieduże skrzydła, wzmagające podobieństwo do myśliwca. Przez cały kadłub szła czerwona linia z mnóstwem gwiazdeczek, oznaczających zestrzelone w walce maszyny. Kiedy aparat przemieszczał się koło okien wzdłuż Miejsca Straceń, z jego burty patrzyła doskonale widoczna ikona Bogurodzicy w złotych purpurowych barwach. Minąwszy miejsce Straceń maszyna ostro zakreśliła, skierowała się do Spasskiej Bramy, a na drugiej burcie pojawił się purpurowy i złocisty portret Stalina. Za przednią szybą siedział pilot w hełmie i okularach przeciwsłonecznych. W tej fantastycznej maszynie, która wylądowała na placu, Biełosielcew poznał moskwicza Nikołaja Nikołajewicza, przerobionego na samolot, którego statecznik trząsał się na bruku, skrzydła odbijały światło jak lustro, chłodnicę ozdabiała brylantowa „Gwiazda Zwycięstwa”, a za sterem, ubrany w strój niebiańskiego rycerza, siedział Prorok. Samochody patrolowe z różnych stron placu skierowały się na przełaj, ale powietrzny rycerz prowadził oręż do celu, nieosiągalny dla pozostawionych daleko z tyłu prześladowców.

Niebo nad placem kłębiło się barwnymi chmurami. Kostka brukowa migotała jak skrzydełko motyla. Samolot kierował się tam, gdzie wypuścił się, błyskał kolorową łuską ogromny tułów Smoka. Napęczniały pierścień bestii ścisnął wieże, objął ściany, stłoczył dzwonnice i cerkwie, zagroził bramy. A w serce Smoka, w jego dyszącą paszczę, w jego kolczasty malowany grzbiet, zadając śmiertelny cios, ratując Moskwę i Ojczyznę, skierował Prorok zaminowaną maszynę, podśpiewując czy to modlitwę, czy pieśń Wielkiej Wojny.

Biełosielcew widział, że maszyna osiągnęła niewidzialny znak na placu, zatrzymała się i gruchnął wybuch. Ostre bryzgi ognia przerwały powłokę maszyny, oderwały statecznik, rozerwały drzwi. W kłębach trującego dymu z maszyny wypadł pilot, ruszał się chwilę i zamarł. Z dwóch

stron podskoczyły do niego patrolowe wołgi, ochrona wyskakiwała i, przedzierając się przez dym, rzuciła się na Nikołaja Nikołajewicza.

Bielosielcew z krzykiem odskoczył od okna, wybiegł z budynku do Miejsca Straceń. Biegł do Spasskiej Bramy, gdzie palił się kadłub i gdzie między rozrzuconymi kawałkami blachy leżało małe, ogłuszone ciało pilota. Krzepcy ochroniarze coś z nim robili - czy to bili, czy gasili ogień.

- Stać!... Do tyłu!... Dokumenty!... - ochroniarze zagrodzili mu drogę. Trzymali za łokcie silnymi rękoma, przeglądali wyciągnięte z kieszeni dokumenty. Z daleka widział miejsce wybuchu, dokąd nadbiegał oddział w czerni i stanęli w szeregu ludzie z automatami. Kruche, zgniecione wybuchem ciało, z którego unosił się wiotki dym, podnosili i pakowali do osobowego furgonu.

- Niech go diabli porwą! Jeszcze jeden psychol nienormalny.

Ochroniarz, kiwając odjeżdżającemu furgonowi, zwrócił dokumenty Bielosiłcewowi. A ten, nie wracając do „Fundacji” brnął po kolorowej kostce, pod kolorowymi lampami, palącymi się na niebie Moskwy.

W domu włączył telewizor. W nowościach informowano, że psychicznie chory terrorysta wysadził samochód na placu Czerwonym, kierując go na Kreml. Kamikadze w stanie ciężkim został przewieziony do „Lefortowa”, gdzie zapewniono mu opiekę medyczną, a śledczy poddadzą go przesłuchaniom, kiedy tylko odzyska przytomność.

W drugim programie pokazywano pogrzeb Gramofonczyka na Cmentarzu Nowodziewicznym. Świeży grób, przykryty kwiatami. Przerzedzony szereg „demokratów pierwszej fali”. Wdowa w czerni, piękna, z marmurowo białą szyją i białymi półkulami odkrytych piersi. Przy niej Wybraniec. Ona położyła mu głowę na ramię, bezbrinnie przytuliła się do niego, a on miał łzy w oczach.

Wszystko było zakończone. Żeby nie zostać świadkiem albo, nie daj Bóg, uczestnikiem nowego etapu „Suahili”, zaczął się szykować do Pskowa.

CZEŚĆ CZWARTA

OPERACJA «HEKSOGEN»

Rozdział dwudziesty siódmy

Wyjazd do Pskowa nie był zwykłą podróżą starszego człowieka do miejsc młodości i pierwszej miłości. Jechał nie dlatego, żeby znaleźć się wśród cerkwi, jezior, lasów sosnowych, gdzie było mu cudownie i gdzie przeżył miłość. Wybierał się tam w magicznym celu, by zawrócić czas. Jechał do Pskowa, by jak nurek pograć się w ogromnym oceanie minionego czasu i tam, między zatopionymi statkami, zakazanymi lądami, pokoleniami, które odeszły na dno, odnaleźć wąską szczelinę, w którą zanurkuje, przemknie wstecz, wynurzy się w chwili, która zniknęła. Szykował się do wyjazdu jak do wielkiej duchowej pracy. Wyjeżdżał, żeby nie wrócić.

Przy tych podniosłych rozmyślaniach dopadł go poranny telefon. Głos był znajomy, z ledwie wyczuwalną dwoistą wadą, jak gdyby na jednej stronie monety nałożone były dwa różne wizerunki. Głos był uprzejmy, pełen przeprosin, ale była w nim, jak w przegrzanym przewodzie elektrycznym, utajona histeryczna trwoga.

- Wiktorze Andriejewiczu, proszę wierzyć, nie niepokoiłbym pana w domu, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Tylko niecierpiące zwłoki okoliczności zmusiły mnie do tego. Muszę się z panem spotkać, krótko, ale natychmiast. Proszę nie odmawiać mojej prośbie.

- Z kim mam przyjemność? - Bielosielcew ścierpł na myśl o tym, że nad jego podniosłymi filozoficznymi konstrukcjami zawisło niebezpieczeństwo, jak wisi nad głową zerwany przewód elektryczny.

- To ja, Wachid Zairbekow. Proszę uwierzyć, okoliczności są bardzo poważne.

Bielosielcew momentalnie przypomniał sobie młodego Czeczeńca o szczupłej twarzy, zrosniętych, jakby jednym pociągnięciem naszkicowanych brwiach, którego melodyjna rosyjska mowa dziwnie kojarzyła się z muzyką Kaukazu i Oxfordu. To wspomnienie i odczyt Premiera na zebraniu służb specjalnych, i efektownie podniesiony nad głowę futerał, opasany lśniąca wstęgą, z którego, jak w okrutnej sztuczce, wypadła odcięta głowa Szeptuna z wywróconymi białkami - wszystko to przejmowało zgrozą i Bielosielcew spróbował odrzucić zagrożenie, oddalić się od zwisającego, śmiertelnie niebezpiecznego przewodu.

- Przykro mi, Wachidzie, zastał mnie pan tuż przed wyjazdem. Wątpię, czy przydam się panu.

- Potrzebne mi jest krótkie spotkanie, Wiktorze Andriejewiczu. Nie dłużej niż minutę. Chodzi o nas wszystkich, patriotów Rosji. To nie jest moja i nie pana osobista sprawa. Proszę wybaczyć to patetyczne wyrażenie, ale to ogólnonarodowa, ogólnonarodowościowa sprawa. A pan, kiedy będzie za późno, nie wybaczy sobie, że nie spotkał się ze mną. Prawdopodobnie jest pan jedynym człowiekiem w Rosji, który może mnie wysłuchać i zapobiec nieszczęściu.

Bielosielcew czuł, jak Psków, jego białe cerkwie, jego niebieskie wysokie obłoki nad gorącymi zakurzonymi drogami, jego różowe sośniaki i jeziora - wszystko to odpływa, oddala się.

- Wrócę za miesiąc i wtedy się spotkamy - próbował wykręcić się, wiedząc jednocześnie, że próba jest daremna i nowe niebezpieczeństwo stoi u progu jak długi cień.

- Sprawa niecierpiąca zwłoki, Wiktorze Andriejewiczu. Od nas zależy życie setek ludzi. Jako wierzący ludzie, jako obywatele naszej wspólnej

Ojczyzny, nie mamy prawa nie zareagować. Potrzebuję pięciu minut rozmowy z panem.

Biełosielcew czuł, jak rośnie, wydłuża się cień na progu.

- Za pół godziny wyjdę na Twerski Bulwar. Proszę przyjść. Dam panu pięć minut.

- Więcej nie potrzeba, Wiktorze Andriejewiczu. Wierzę w pana, rosyjskiego patriotę i obywatela...

Spotkali się na ciężkiej drewnianej ławce pod żółknącymi lipami ze złotymi stertami opadłych liści. Bulwar był pełen fioletowego powietrza, mdlącego zapachu gnicia, nielicznych przechodniów. Wachid był blady, delikatnej urody i przewrotny, kiedy skierował na Biełosielcewa pałacę, zachłanne, wymagające spojrzenie.

- Mam nadzwyczaj pilną informację z Czeczenii od Szamila Basajewa. Ta informacja jest dla mnie ciężarem. Z Basajewem nic mnie nie łączy. Ale on posługuje się mną jak przekaźnikiem, a ja nie mogę pozbyć się tej niebezpiecznej i przykrej roli...

- Nie myślę, żebym mógł wykorzystać informację od Szamila Basajewa. Nasza z panem znajomość była przypadkowa. To był epizod, nic więcej. Jestem zbyt daleko od ludzi, dla których jest przeznaczona wspomniana informacja.

- Panie generale, jest pan agentem. Był pan w Dagestanie i prowadził rozmowy z Ismailem Chodżajewem. Jest pan włączony w tragiczne wydarzenia - w te, które już miały miejsce, i w te, których należy się spodziewać. Jest pan jedynym człowiekiem w Moskwie, który może nadać bieg informacji...

Planeta „Suahili” jak „czarny karzełek”, choć niewidoczna, posiadała straszliwą grawitację, wciągała w siebie zjawiska świata, załamywała drogę promienia świetlnego, deformowała czas, zwijała w spiralę.

- Basajew prosił, żebym przekazał: Rosjanie go oszukali. Obiecali neutralność w Dagestanie, niewykorzystywanie lotnictwa, wolny odwrót do Czeczenii. Zamiast tego wykorzystano zmasowane naloty szturmowców, drogi odwrotu poddano atakom lotniczym i artyleryjskim, co spowodowało wielkie straty. Do tego na granicach z Czeczenią powiększa

się zgrupowanie wojsk federalnych, co może spowodować wtargnięcie do Iczkerii. Rosjanie wykorzystali dagestańską pułapkę do wywołania nowej wojny czeczeńskiej. Wszystko świadczy o tym, że do jej rozpoczęcia zostały tygodnie.

Czeczeniec był posłańcem, parlamentarzystą. Jego mądrymi, wyposażonymi w rosyjskie słownictwo ustami przemawiał nieudolny komendant polowy w płamistej panamie, z czarną skośną brodą. W słowach, które wypowiadał na bulwarze oksfordzki Czeczeniec Wachid, była maksymalna wiarygodność. Nie należało ich sprawdzać, a wykorzystać je jako strategiczną informację bojową, wpływającą na losy państwa. I on, Bielosielcew, odrzucony przez państwo wywiadowca, który przygotował ucieczkę, został zawrócony.

- Szamil Basajew kazał przekazać: jeśli nie zostanie wstrzymane zwiększanie zgrupowania armii rosyjskiej, jeśli w dalszym ciągu do Mozdoka będą przrzucane eskadry szturmowców i helikopterów, jeśli w Dagestanie będzie trwało rozprawianie się z przyjaciółmi Czeczeńców, Moskwę czekają wybuchy. Nie takie, jak w trolejbusach, co przstraszyły emerytów i gapowiczów, i nie w straganach handlowych na rynkach i przejściach podziemnych, ale wybuchy wieżowców ze wszystkimi mieszkańcami - o takiej sile i mocy, że na miejscu wybuchu pozostaną ogniste leje, bo domy z ludźmi zamienią się w parę...

Przed Bielosielcewem popisywał się młody, bezwzględny wróg. W jego płonących, jak czarna rtęć, oczach błyskała nienawiść, a jej natura była dla Bielosielcewa niejasna. Młody Czeczeniec, który przysiadł na brzeżku moskiewskiej ławki, niósł do Moskwy śmierć.

- Basajew powiedział: tydzień na rozwiązanie problemu. Inaczej Rosja zadrży od eksplozji. Jest zaminowana. Materiał dostarczony do każdego dużego miasta, zapalniki zainstalowane przy elektrowniach atomowych, tamach, zakładach chemicznych. Czeczeńska diaspora jest w każdym regionie, w każdej stolicy guberni, a poszukiwania dywersantów są bezsensowne.

Basajew mówi, że rzucił na kolana Rosję zwykłym wypadem do Budionowska. Teraz rzuci ją na kolana eksplozjami w Moskwie. Jeśli ultimatum nie zostanie przyjęte, moskwianie pożałują, że osiedlili się w Pieczatnikach, pożałują, że osiedlili się w Moskwie. Pan musi przekazać kierownictwu ultimatum Basajewa... Biełosielcewa poraziło słowo „Pieczatniki”...

- Nie mogę wpłynąć na koncentrację wojsk, na przemieszczanie eskadry - powiedział, próbując zrozumieć, dlaczego padło słowo „Pieczatniki”. - Jestem emerytowanym generałem. Moje związki z FSB dawno zostały zerwane. Nasza znajomość była przypadkowa, jak przypadkowy był mój wyjazd do Ismaïła Chodźajewa. Ultimatum Basajewa, o którym mnie pan informuje, nie będzie przekazane władzy. Pan może przekazać je bezpośrednio politycznemu kierownictwu kraju. Albo przekazać przez prasę. Chyba nie przydam się panu.

- Wiktorze Andriejewiczu, ultimatum przekaże pan i nikt inny. Pan jest związany z wpływowymi siłami rosyjskiego społeczeństwa, które kierują realną polityką. Z pana udziałem w krótkim czasie dokonano kilku akcji, które potwierdzają stopień pańskich wpływów. Mam przykazane przekazać treść ultimatum panu, ponieważ jest to najskuteczniejszy sposób na zmianę biegu wydarzeń, na uniknięcie przelewu krwi z obu stron, na wstrzymanie wojny. Pan jest patriotą Rosji i nie przepuści pan okazji, żeby pomóc jej w nieszczęściu.

Czczeniec patrzył na niego władczo i radośnie, jakby władał jego wolą. Moskwa wokół była zaminowana.

- Dlaczego pan powiedział „Pieczatniki”? - zapytał Biełosielcew, starając się przezwyciężyć hipnozę żywych radosnych oczu Czczeńca.

- Pieczatniki?... Nie, przesłyszał się pan... Mówiłem o Moskwie... Niech pan uwierzy, jestem poddanym, wypełniam polecenie. - Oczy Czczeńca zgąsły pod wypukłymi brązowymi powiekami, głos z żądającego, groźnego stał się pełen skruchy, wibrujący, silniej w nim zadźwięczała angielska wymowa. - Jestem mieszkańcem Moskwy, jak pan. Kocham

Moskwę. Tu jest moja praca, moja rodzina, mój dom. Ja, jak i pan, nie chcę tych wybuchów, boję się ich. Jeśli możemy pomóc moskwia-nom, pomóc rodakom, zrobmy to, Wiktorze Andriejewiczu... Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas... Pozwolę sobie za kilka dni do pana zadzwonić... Życzę zdrowia...

Czczeniec podniósł się, zgrabny, giętki, wąski w pasie jak jeździec. Szedł aleją, zmniejszając się, jakby tajał w liliowym powietrzu, znikając wśród pstrych cieni bulwaru.

Należało działać, nie tracąc chwili. Należało pójść do FSB, odszukać kilku byłych towarzyszy i, nie pytając, komu obecnie służą, opowiedzieć o groźbach Czczeńca. Ale wtedy mądry śledczy z dużym doświadczeniem operacyjnym, nitka za nitką rozмотa cały kłębek „Suahili”. Pójście do FSB nie było możliwe.

Zadzwonił do „Fundacji” do Grieczysznikowa, który, na szczęście, był na miejscu.

- Oczywiście, przyjeżdżaj!... Wybierasz się w podróż?... Koperta z pieniędzmi czeka na ciebie!... Przyjeżdżaj, wypijemy przed drogą!...

W „Fundacji” czekał na niego wesoły przyjaciel - emanował powodem, z którego była radość życia i życzliwość.

Bielosielcew, płacząc się, gubiąc i znajdując wątek, opowiedział o spotkaniu z Czczeńcem, przekazując treść ultimatum.

- Powiedział, że Moskwa jest zaminowana... Grupy dywersantów są wszędzie - w elektrowniach atomowych i w zakładach chemicznych... Diaspora w każdej guberni... Jeśli nie przerwie się koncentracji wojsk i przemieszczania lotnictwa szturmowego... Jestem pewien, że to nie pusta groźba...

Pomarańczowe oczy Grieczysznikowa drgnęły i lekko pociemniały, jakby w nich zmieniono filtr świetlny, ale przy tym w dalszym ciągu błyszczały wesoło.

- Przekłęci czarnodupcy!... Dosięgli!... Dokąd nie pójdziesz, do kiosku, do prefektury, do przychodni dentystycznej czy do banku- wszędzie siedzi czarnodupy, liczy rosyjskie pieniądze!... Dobierzemy się do nich, wyczyścimy Rosję z Kaukazców!... Azerów z powrotem do Baku, w wagonach do przewozu trucizn... Czczeńców - w zaplombowanych

wagonach do Magadanu, do zapolarnej Iczkerii... Nie bierz sobie do głowy!... Ten Wachid Zairbekow to drobny spekulant i krętacz... Przyciśniemy go, żeby nie dzwonił do porządnym ludzi o świecie!...

- On nie straszył, nie szantażował... Uwierz mojej intuicji... Miał oczy człowieka gotowego na wszystko... Powiedział, że mają wszystko przygotowane... Wybrane domy mieszkalne, rozwieszony materiał wybuchowy, gotowe zapalniki... Powiedział, że Moskwa zaminowana... Wybrał mnie, żebym skontaktował się z tobą, przekazał na Kreml żądanie przerwania koncentracji... Jest dobrze zorientowany we wszystkich naszych sprawach, orientuje się w wyjeździe do Dagestanu... Wierz mi, to jest bardzo poważne...

Pomarańczowe oczy Greczysznikowa znowu drgnęły, stały się ciemniejsze, ale dalej roześmiane:

- Ale jeśli się tak przejmujesz... Poinformujemy przyjaciół z FSB, damy sygnał do Moskiewskiego Wydziału Kryminalnego... Niech przefiltrują czeczeńskie autorytety, przeczeszą piwnice i magazyny... Niech uruchomią agentów w kaukaskich ziomkostwach... Jeśli pojawi się choćby wzmianka, materiał wybuchowy odnajdą... Ale nie masz co się tak denerwować... Takie blefy rozpuszczane są po Moskwie codziennie...

- Nie widziałeś jego oczu, nie słyszałeś jego głosu... Były takie same, jak w przypadku z generałem Szeptunem... Uwierz, wiem, kiedy człowiek po prostu straszy, a kiedy gotów zabić... Oni wysadzą domy w Moskwie... Przejęczył się i powiedział „Pieczatniki”... Właśnie tam trzeba zorganizować masowe poszukiwania...

Greczysznikow zakrył oczy powiekami, a one, osadzone w oczodołach, niewidoczne, drgały, burzyły się, kipiały.

- Nie wierzę, że oni mogą wysadzić. Ale jeśli to się stanie, jeśli oni pójdą na tę zbrodnię, to przyniesie im ona straszne szkody, a nam, o dziwo, będzie na rękę.

- O czym ty mówisz?!

- Potrzebny nam poważny powód do rozpoczęcia wojny. Potrzebna jest nam zgoda narodu na wejście armii do Czeczenii, gdzie tym razem

zgnieciemy ich w gnieździe żmij, w Groznych, Wiedieno, Aczchoj-Martanie, w wąwozach Wiedieńskim i Argunskim. Musimy pokazać światu dymiące jamy w Moskwie, pogrzeby zabitych przez wybuchy mieszkańców, żeby Europa nie podniosła wrzawy, kiedy zmienimy Groznyj w toksyczny dół, wypełniony mączką kostną. I, co najważniejsze, potrzebny jest nam powód, żeby Wybraniec osobiście poprowadził marsz na Czechenię, raz na zawsze zgniółł czecheńską gadzinę, mszcząc się za wysadzone domy, za zabite dzieci, za zhańbiony rosyjski honor. I wtedy naród na rękach wniesie go na Kreml jako swojego wybawcę.

- Dopuszczasz wybuchy w Moskwie? Jesteś gotów wykorzystać eksplozję w Moskwie w interesie „Projekt Suahili”? Przecież to cynizm! To gorsze niż przestępstwo!

- Tak uważasz? - Grieczysznikow podniósł powieki, a jego pomarańczowe okrągłe oczy kipiały wściekłością, gniewem, pogardą. - Ja bym ich nie zatrzymywał. Niech wysadzają. Jeśli historii ze wszystkich niezliczonych wariantów podoba się wybrać ten wariant rozwoju, jeśli ona pozwala wyłamać drzwi do przyszłości za pomocą tych wybuchów, jeśli Bóg pozwala wypowiedzieć to, a nie inne słowo, to czy ja i ty możemy przeszkadzać? Kim my jesteśmy, żeby przeszkadzać opatrności Bożej?

- Mówisz straszne rzeczy. Ty czekasz na te wybuchy. Możliwe, że sam je przygotowujesz? Może Czecheńcy i ty działacie razem? Czy ty ich prowokujesz do tych straszliwych wybuchów?

- Możliwe - pomarańczowo-czerwone oczy chichotały. - Mała historia pisze się małą krwią. Historia ma czerwony kolor. Wszystkie czyny, jakie ludzkość zapamiętała, mają kolor wypuszczonej na zewnątrz hemoglobiny. My tworzymy wielką historię, przebijamy się ze ślepego zaułka, dokąd nas zapędzili zdrajcy i tępacy. A do tego potrzebny jest wybuch. „Projekt Suahili” - to projekt kierowania historią, w tym także za pomocą sterowanych eksplozji. Jeśli tworzeniu historii potrzebna ciężarówka heksogenu z rosyjskim kierowcą, czecheński terrorysta, który naciśnie guzik, azerbejdżański handlarz, który schowa na pewien

czas materiał wybuchowy, my to wszystko wykorzystamy. Kim jesteśmy, żeby nie zauważać palca Bożego? Jesteśmy narzędziem Bożym, a nasze ręce pachną nie kadzidłem, a heksogenem!

Bielosielcewowi wydawało się, że ma przed sobą wariata, który uroił sobie, że jest demiurgiem.

- Powinieneś być wdzięczny, że zostałeś dopuszczony do udziału w historii, że wydostano cię z zakurzonej komórki, gdzie się schowałeś przed zgiełkiem świata. Jesteś okryty chwałą tworzenia historii, chwałą prawicy Boga. Dokonałeś wiele i dokonasz jeszcze więcej. Zajmiesz się budowaniem nowej partii, na której oprze się Wybraniec. Zajmiesz się doborem ludzi, stworzeniem sztabu. Otwieraniem oddziałów regionalnych. Będziesz miał pieniądze, w twoich rękach będzie prasa. W krótkim czasie stworzymy ruch, nazwiemy go imieniem rosyjskiego totemicznego zwierzęcia i wyrzucimy z areny politycznej przekupionych demokratów i przedpotopowych bezradnych komunistów. Stworzymy potężną dźwignię, z pomocą której Wybraniec zacznie swoją rewolucję. Ale do tego musimy wybuchami rozhuścić półsenny naród, doprowadzić go do hysterii. Mamy obowiązek wyjaśnić wojsku, dlaczego muszą wejść do Groznego, a przedtem zrównać go z ziemią. Musimy pokazać narodowi Wybrańca, który przyleci do Czeczenii odebrać paradę Zwycięstwa. Musimy wymusić na Bałwanie, żeby zrzekł się władzy, a wdzięczny naród na wyborach wręczy tę władzę Wybrańcowi. I nic nie poradzisz, jeśli do tego celu wymagane jest przelanie krwi. I przelejemy ją...

- Jesteś szalony!... Potrzebny ci psychiatra!... Będę musiał opowiedzieć o naszej rozmowie!... Pójdę do gazety i złożę oświadczenie w prasie!...

Dwoje pomarańczowych oczu zgasło, jak przepalone żarówki, i widać było, jak w nich stygną i gasną spirale. Grieczysznikow cicho i radośnie roześmiał się.

- Ale cię nabrałem... Jakiś ty naiwny... Jakie tam wybuchy, jacy tam Czeczeńcy... Mały szantażysta i spryciarz, specjalista od fałszywych

informacji... Chcesz, to go aresztujemy i wydobędziemy z niego zeznania? Uspokój się, przyjacielu... Jesteś zmęczony, nerwy masz rozstrojone... Doprawdy, wyjedź, odpocznij... Choćby do Kenii, choćby na Lazurowe Wybrzeże albo do swojego mistycznego Pskowa... Masz pieniądze, wystarczy tego na urlop - wyjął z szuflady grubą kopertę, w której zieleńił się gruby plik dolarów. - Dziękuję, że wpadłeś... Teraz muszę jechać do Wybrańca... Będziemy omawiać narodziny nowej partii... - Objął Biełosielcewa i odprowadził do drzwi.

Biełosielcew szedł nabrzeżem między słonecznym rozlewiskiem rzeki a blaskiem jadących limuzyn, za którymi wznosiła się różowa kremłowska ściana, a nad nią, poprzez drzewa widniały śnieżnobiałe sobory. Był zaszokowany diabelską sprawą, którą niedawno przeżył. Z początku uległ szantażowi młodego nachalnego Czeceńca, a potem przyjacielskiej, choć okrutnej, rozgrywce Grieczysznikowa, który wyśmiał jego podejrzliwość i skłonność do paniki. Chwała Bogu, głupia historia skończona i on uspokojony idzie po wielkiej Moskwie z niezliczonymi istnieniami, z których każde, jak małeńka muszelka, przylepiło się do kamiennych twierdz. Miasto szumiało, mieniało się, wypuszczało do nieba szkliste, rzędzące powietrze, nie zauważało Biełosielcewa, a on cieszył się, że jest bezimienną cząsteczką kochanego, wiecznego miasta.

Raptem nawrót paniki. Wspomnił szatańskie, ognistożółte jak reflektory, oczy Grieczysznikowa i zrozumiał, że tamten wie o wybuchach, przygotowuje je, że między nim i Czeceńcem istnieje bezwzględny związek, a miasto, które beztrósco migoce odbiciem szyb, złotem soborów, migającymi w autobusach twarzami, jest zaminowane i dożywa swoich ostatnich godzin i minut.

Biegł po nabrzeżu, a most nad rzeką wybuchał, rozłamywał się pośrodku szkaradnym wybuchem, waliły się do rzeki żelazne kratownice, sypały się rozerwane samochody, przechodnie, a rzeka kipiała od rozgrzanego żelaza i kamieni, gdy w nią jak grad, tworząc pęcherzyki i rozchodzące się kręgi, padały z nieba wywrócone limuzyny, waliły się

połamane latarnie, osiadały kłaczki spalonych flag.

Kierował się do chramu Chrystusa Zbawiciela, a biały sobór nagle osiadał od tępego wybuchu, łamały się szczytowe kopuły, otwierała się w ścianie ziejąca wyrwa, z której, jak na starej taśmie filmowej, unosił się mętny obłok dymu, sadzy i resztki pozłoty.

Przecinał plac Maneżowy, a on, łuskowaty, z lśniącymi samochodami i białym pałacem, łamał się, unosił do góry i padał w czarny lej, do którego, jak z pudełka, sypały się samochody, a dom Paszkowa, jeszcze niedawno bielejący na zielonej górze, wydawał się spróchniałym zębem z dymiącą dziurą.

Bielosielcew zadyszał się. Oczy wychodziły z orbit, serce tłukło się w piersi, a on modlił się: „Boże, uratuj Moskwę!”, miasto zaś drgało w szklanej mgłę, jakby zaczynało się kołysać od eksplozji.

Jego podejrzliwość przybierała formy obłędu. Patrzył na staruszkę trzymającą za rękę małą śmieszoną dziewczynkę w pasiastych pończochach i wzruszającym kapelusiku, a myślał, że za chwilę one zginą w wybuchu. Zaglądał w twarz młodej pięknej dziewczynie, której zlociste włosy rozwiewał wiatr od rzeki, i wyobrażał ją sobie w trumnie, na cmentarzu, między ofiarami wybuchu. Ustępował z drogi zadowolone-
mu z siebie grubasowi z niedbale zawiązanym krawatem i małą modną walizką, i myślał, jak tamten będzie leżał na gruzowisku, a z jego rozerwanych spodni będą sterczały biało-czerwone odłamki kości.

Podejrzewał wszystkich, których napotykał. Czarnowłosego młodzieńca z czarnym zarostem, który w istocie mógł być czecheńskim terrorystą i podłożyć ładunek pod próg, odczekując minutę, żeby nacisnąć zapalnik. Łysego szofera o spoconej różowej twarzy za kierownicą zwa-
wej furgonetki, który przeleciał na żółtym świetle, żeby zdążyć przewieźć materiał wybuchowy, schowany w workach pod ziemniakami. Wynio-
słego kierowcę w długiej zagranicznej limuzynie z fioletową lampą sygnalową, który mógł być współnikiem dywersantów i śpieszył przekazać tajny rozkaz, po którym za godzinę Moskwa zacznie wylaływać w powie-
trze.

Bielosielcew miotał się po mieście, gubił się na bulwarach, nabrzeżach, zatłoczonych prospektach i cichych zakątkach, oczekiwał katastrofy, bezgłośnie się modląc: „Boże, uratuj Moskwę!”.

- Wiktorze Andriejewiczu, skąd ty tutaj, druhu serdeczny! - To zawołanie zatrzymało go na środku zaułka, z którego widać było żółtą, jak jajeczny proszek, Kropotkinską i który był ozdobiony szyldem restauracji, wesołym i błazeńskim, z jakimś pirackim kołem i drewnianą rufą starej fregaty. - Idę za tobą i myślę: ty czy nie ty!

Kadaczkin stał przed nim, spocony, w drogiej, luźno leżącej marynarce, z okrągłą głową i niebieskimi oczami. Jego popielate włosy były przystrzyżone po sportowemu, najeża. Pojawił się niespodziewanie, jak ratownik, tak samo, jak pojawiał się dwukrotnie w Afryce - na drodze z Lubango do portu Alexandre, gdzie Bielosielcewowi groziła niewola, i w korycie suchego strumienia, gdzie chował się przed konwojem „Buffalo”, słuchając jęków umierającego słonia, a korytem, na BTR-ze jechał Kadaczkin, zwiesiwszy długie nogi w ubłoconych butach, klęcząc kierowcę. Teraz stał przed Bielosielcewem w centrum Moskwy, a jemu wydawało się, że nie było bardziej upragnionego spotkania, nie było bardziej zbawczego głosu.

- Wtedy, Wiktorze Andriejewiczu, zetknęliśmy się na krótko i znowu się zgubiliśmy. Jak ty żyjesz, zdrowy? - Kadaczkin wpatrywał się we wzburzoną twarz Bielosielcewa, próbując dociec przyczyny jego zdenerwowania.

- Tak sobie, jakoś tak wszystko do góry nogami - bezradnie odpowiedział Bielosielcew.

- Słuchaj - Kadaczkin, natknąwszy się niebieskimi oczami na szyld restauracji, wskazał ją okrągłą głową o wydatnym nosie - wejdźmy, zjemy obiad. Ile to czasu minęło. Posiedzimy, powspominamy dawne czasy.

Bielosielcew nie sprzeciwiał się, z radością przystał, bojąc się puścić od siebie zaufanego silnego przyjaciela, który znowu mógł mu pomóc.

Weszli do restauracji i znaleźli się na przytulnym moskiewskim podwórku ze ślełą ścianą z cegieł. Z góry spadała srebrna kaskada, napęlniając ciemną zatoczkę, na której kołysały się grzybienie i trzciny. Pod słoneczną siecią żółknących drzew stały drewniane stoliki i jeden z nich, obok wodospadu z kwiatami i refleksami słońca, zajęli przyjaciele, radośnie przyglądając się sobie.

Kelner o wschodniej urodzie, nie wywołując u Biełosielcewa niedawnej chorobliwej podejrzliwości, subtelny, nadzwyczaj uprzejmy, przyjął zamówienie wybrane przez Kadaczkinę ze skórzanego ciężkiego menu. Na stole, kwieciście ozdabiając powierzchnię, szybko pojawiła się spoutniała butelka wódki, kieliszki, wspaniała aromatyczna sałatka, owczy ser, czerwona i czarna fasola, żółte, parujące, podobne do małych planet hinkale, podłużny półmisek nasadzonych na miniaturowe dzidy lula-kebabów, dzbanek zsiadłego mleka z posiekanym koperkiem i żółty, jak księżyc w pełni, ciepły placek chleba. Biełosielcew, poczuwszy głód, cieszył się z tej wschodniej obfitości i pomysłowości właścicieli restauracji, którzy ubogie podwórko zamienili w tajemniczą grootę z uroczą strugą wodospadu.

- No to za spotkanie, za Afrykę, za przyjaźń! - Kadaczkin podniósł napęlniony po brzegi kieliszek i kiedy się stuknęli, kilka kropel się przeleło na stół. Jedzenie było wyborne. Lula-kebabsy rozpływały się w ustach. Z hinkali wydostawał się na język ostry sos, który natychmiast trzeba było zapić zimnym zsiadłym mlekiem.

- Powiedz, co ci się przydarzyło? - spytał Kadaczkin, obgryzając żelazny szpikulec z nasadzonym kawałkiem słodkiego mięsa. - Lecisz po Moskwie jakby cię gonił cały batalion „Buffalo” albo jakbyś ty prześladował MacWillena, próbującego ci uciec? Jakież to niepowodzenie?

- Tyle czasu się nie widzieliśmy. Tyle wody upłynęło - Biełosielcew nie odpowiedział wprost na pytanie, czuł przyjemny rausz, od którego w wodospadzie przelewały się srebrne strumyki, przenikające do ciemnej głębi basenu. - Od tamtej pory, gdy rozstaliśmy się w Lubango i ja

jeszcze czułem zapach rozparzonej eukaliptusowej miotłki, od tamtej pory minęła cała epoka. Nie ma kraju, nie ma armii, nie ma państwa. Jesteśmy ja i ty, a każdy ma swoje zmartwienia. A ty jak żyłeś przez te lata?

- W attachacie, jeszcze w dwóch afrykańskich krajach. Potem centralny aparat GRU. Kiedy wszystko zaczęło się walić

- Karabach, Armenia - Siódma gwardyjska, Litwa, Łotwa, Estonia. Widziałem, jak mały dobijają wielką armię, a główna mała urzęduje na Kremlu. Kiedy wypadło GKCP, odetchnąłem z ulgą. Chociaż na koniec dobijemy drani. Podniosłem alarm w batalionie, wziąłem pod kontrolę kilka wojskowych obiektów. A potem - załamanie, blef, rygowiny. Kiedy narkomani zaczęli zrywać czerwoną flagę, postrzelałem po nich z SWD, a potem napisałem prośbę o zwolnienie. Od tamtej pory kręcę się w jakichś drobiazgach. Handluję pastą do zębów i szuwaksem, żarówkami i baterijkami. Jak biali oficerowie w Stambule. Tylko w wyścigu szczurów nie biorę udziału.

A reszta tak samo!

- Czyżby wszystko było takie beznadziejne? Wróg, którego ganialiśmy po świecie, gania nas teraz po Moskwie. To zrozumiałe, politycy, swołocze, pierwsi wszystko sprzedali. Naród-obywatel nie zechciał powstać. Ale struktury militarne? KGB, który, zdawałoby się, cały składał się z rycerzy? Albo twoje GRU? Dlaczego nie stawia oporu? - Biełosielcew chciał opowiedzieć towarzyszowi bojowemu o „Projekcie Suahili”, do którego został wciągnięty, ale ponura trwoga i ciężar zamknęły mu usta.

Kadaczkin napelniał kieliszki, wypili w milczeniu, nie trącając się, jak na stypie kraju.

- Ja, oczywiście, odszedłem od spraw, stałem się drobnym handlarzem, ale jeszcze jakieś kontakty zostały. Czasami spotykam się ze swoimi, dzwoniemy do siebie. - Kadaczkin mówił ostrożnie, jakby się namyślał, czy proponować Biełosielcewowi swoje niesprawdzone, nie mające wielkiej wartości myśli.

- Chodzą jakieś słuchy, jakieś aluzje, że podobno w twoim byłym

resorcie istnieje trzon ludzi. Jakiś zakonspirowany związek. Jakiś, za pozwoleniem, tajny zakon, który zachował się po katastrofie. Przechował kontakty, finanse, możliwości. Założył sieci w strukturach nowej władzy, w bankach, w telewizji. I że ten „Zakon KGB” jest nieformalnie związany ze wszystkimi wpływowymi siłami kraju, kieruje procesem na tyle, że wiele z niedawnych wydarzeń, takich jak odsunięcie Prokuratora, dymisja Premiera, wypłynięcie nowej, nieoczekiwanej plejady polityków - wszystko to tłumaczone jest działalnością twoich byłych partnerów, którzy powoli wychodzą na powierzchnię...

Jakby na potwierdzenie jego słów z ciemnej głębi basenu, po której rozbiegały się pluski padających błyszczących strumieni, wypłynęła czerwona ryba o wylupiastych oczach. Obejrzała ich wypukłymi, teleskopowymi oczami, lyknęła srebrzysty pęcherzyk i znikła w głębi. Powróciła podejrzliwość. Biełosielcewowi wydało się, że ryba ich śledzi, słucha ich rozmowy, a oni na pustym podwórzu znajdują się pod wnikliwą obserwacją bezgłosy ryb, migających słonecznych zajączków, spokojnie stojącego w oddali kelnera. W słowach Kadaczkina ułowił leciutkie drżenie, jak w pękniętym dzwoneczku, w którym szczelina fałszuje czysty dźwięk.

- I coś podobnego, jak mi dano do zrozumienia, istnieje w GRU. Zamknięta, doskonale zorganizowana kohorta, składająca się ze zdymisjonowanych generałów i oficerów wprowadzonych w komercyjne struktury, wojskowych attaché ambasad, komendantów okręgów, generałów sztabu. Podobno grupa ta zakłada swój zakon, strzeże swojej konspiracji. Wiele z niewyjaśnionych procesów obecnego życia politycznego - upadek ruchów i partii, wyniesienie do góry korporacji i banków, niepowodzenia nienagannyh operacji władzy - objaśniane są istnieniem tych dwóch zakonów, ich walką i rywalizacją, różnicą ich wyobrażeń na temat przyszłości Państwa Rosyjskiego. Wkrótce ma się odbyć decydujące starcie dwóch tajnych towarzystw, które będzie decydujące dla losu Rosji. Czy my będziemy, czy też nie. Nic o tym nie słyszałeś?

Szczelinka fałszowała i głuszyła dźwięk, jak w buddyjskim dzwoneczku z brązu ze skrzydlatą tancerką z Angkoru, stojącym u niego na stole. Bielosielcew łowił to lekkie fałszywe drganie, głęboko ukryte w poufnych intonacjach starego przyjaciela. I już ich spotkania nie wydawały się przypadkowe. Tamto, w dniu ścięcia głowy Szeptuna, i to, w dniach rozstrzygających oczekiwań. Wydarzenia, które przetoczyły się nad ich głowami od momentu rozstania na lotnisku Lubango, kiedy warczące silniki przeniosły Bielosielcewa nad piaszczystą górą z ogromną rzeźbą Chrystusa, te wydarzenia mogły zmienić ich obu. Przekształcić we wrogów, postawić po różnych stronach wrogiemu, podzielonego społeczeństwa. I nie powinni wyjawiać swoich obecnych poglądów, a tylko wspominać ten dawniejszy, pełen piękna i niebezpieczeństw czas, świadomy i wielki, kiedy obaj, afrykańscy-agenci, w różnych strukturach służyli jednemu celowi - swojemu państwu.

- Nic o tym nie słyszałem - z roztargnieniem powiedział Bielosielcew, starym sposobem tworząc ekran obronny wokół myśli, które należało ukryć. Tym ekranem były wspomnienia o Afryce, ojej tajemniczej urodzie i przyrodzie, wśród której wypełniał swoje zadanie bojowe. Ojej czerwonej ziemi z zapachem gnicia, z resztkami trującego pyłu, łuskami chityny zdechłych skrzydlatych stworzeń, grudkami gliny jakby przesiąkniętej krwawymi ciałami, i on na kamieniu na brzegu oceanu, rysujący czerwoną gliną profil afrykańskiej piękności. - Nic o tym nie słyszałem. A o co chodzi w tych dwóch zakonach?

- Mnie, naturalnie, trudno sądzić. Niewiele wiem. Możliwe, że to wymysł fantastów, pragnących na pogorzeliści, wśród pełnej bezradności i rozgardiaszu, zobaczyć iluzję sprzeciwu.

Bielosielcew czuł, jak Kadaczkin tworzy dystans między sobą a tym, o czym chciał poinformować. Wielkość tego dystansu zawierała w sobie stopień zaufania, poziom kłamstwa, głębię ukrycia, za którą starał się schować przed Bielosielcewem jego wcześniejszy towarzysz walki.

- Podobno wewnątrz państwowej bezpieki, po rozgromieniu Berii i represjach Chruszczowa wobec elity agentów, powstało tajne, głęboko zakonspirowane jądro, które zachowało nienawiść do partyjnych dyletantów, do komsomolskich ludzi z awansu społecznego, którzy przejęli kontrolę nad KGB. To tajne kółko odbudowało wpływ organów i doprowadziło do usunięcia Chruszczowa, ale ten cel okazał się pośrednim, i konspiratorzy państwowej bezpieki postawili sobie za cel przejęcie władzy w państwie, likwidację przestarzałej ideologii, przeprowadzenie radykalnych reform w zacofanym państwie i społeczeństwie. Kółko, na którego czele stał Andropow, stało się podstawą „Tajnego Zakonu KGB”...

Bielosielcew słuchał Kadaczkina, jakby rozkładał jego myśli na cienkich arkusikach papierosowych bibulek. Z konturów pustki, z brakujących fragmentów opowiadania będzie mógł odgadnąć ukryte pobudki rozmówcy. Słuchał automatycznie, starał się zapamiętać, a nie zrozumieć, zasłaniając się przed przenikliwym wzrokiem Kadaczkina obrazami afrykańskiej przyrody.

Dżip z angolskim kierowcą podskakuje w leśnej koleinie. Ciężarówka z dwulufową zenitką zahacza o niskie gałęzie. A przez otwarte okno wlatuje gorący wilgotny wiatr Afryki, oleisty i pachnący, jak kobiece pachy.

- Do kółka, kierowanego przez Andropowa należeli modni dziennikarze, polityczni referenci, partyjni naczelnicy, wybitni pisarze i aktorzy o liberalnych poglądach i, oczywiście, agenci, dyplomaci, ekonomiści - wszyscy, którzy wyjeżdżali za granicę, otrzymywali dodatkowe stopnie wolności, posiadali informacje i wpływy. W tym kółku, gdzie królowały biesiady, zabawne anegdoty, piękne kobiety, przechodzące od jednego członka klubu do drugiego, tworzyły się ważne rzeczy. Umieszczano postacie pełniące widoczne role na pierwszych stronach gazet i czasopism. Zabezpieczano ważne nominacje na ambasadorów i kierowników aparatu partyjnego. Wysyłano delegacje za granicę.

Przyznawano prestiżowe nagrody. Stopniowo tworzyła się liberalna warstwa społeczna, związana zbiorową odpowiedzialnością, nieformalnymi

węzłami przyjaźni, gdzie dojrzewały idee reform - odprężenie, konwergencja, przebudowa. Kiedy Andropow stanął na czele partii, „Zakon KGB”, w dalszym ciągu zakonspirowany, posiadał na zapleczu ogromne sfery wpływów w partii, w kulturze, w organach władzy i informacji. Tam skrycie ujawniono ideę zmiany ustroju politycznego...

Motyl trzepocze się w siatce, przeświecając przez jedwab czerwonymi i zielonymi plamami. Okrągłe chatki o ostrych szczytach, przy których pasie się chude stado, i czarnoskóry buszmen, w strupach, z łzawiącymi oczami, z brudną szmatą na biodrach, trzyma na ramieniu suchy wygięty łuk, a w drewnianym kołczanie sterczą ciężkie strzały z orlimi piórami.

- Konwergencja, określona przez Sacharowa, ujawniła się w podobieństwie wywiadu sowieckiego i amerykańskiego. Wyżsi agenci CIA i KGB podpisali tajny pakt o stworzeniu wspólnego centrum, dowodzącego rozbrojeniem, łagodzeniem konfrontacji, wygaszaniem lokalnych konfliktów. To centrum było pomyślane jako zarodek przyszłego „światowego rządu”, w którego interesach miały ulec przekształceniu ZSRR i Ameryka. Na spotkaniu z Reaganem w Reykjavíku Gorbaczow, otrzymawszy rekomendacje „Zakonu”, obiecał zdemontować komunizm i Związek Radziecki, czego dokonano w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Krach komunizmu, upadek państwa sowieckiego, chaos przy powstawaniu nowego ustroju, pogrom KGB na pewien czas przerwały kierowany proces przebudowy. Działając z podziemia, wykorzystując amerykańskie kontakty, ten „Zakon” szykuje usunięcie przegniłego liberalnego reżimu, wysunięcie na proscenium „człowieka wywiadu”, który zdolny byłby kontynuować budowę nowego światowego ustroju, gdzie Ameryka otrzymuje miejsce na szczycie, a Rosja wchodzi w koncepcję „nowego porządku świata”. Mówią, że ten „Zakon” składa się z generałów wywiadu zagranicznego i ideologicznego kontrwywiadu, i nosi jakąś dziwną lingwistyczną nazwę - czy to „hindi”, czy to „farsi”, czy to „suahili”. Nic o tym nie słyszałeś?

Pluskał się w słonecznej zielonej solance oceanu, nurkował pod mokrą lśniącą gałąź, pod jej długie pachnące liście. Promienie słońca przenikały przez wodę jak wachlarz.

Nic nie słyszałeś o „Zakonie KGB”? Przecież się obracałeś w generalskiej elicie?

Niebieskie, przenikliwe oczy Kadaczkina badały jego ukrytą wiedzę. Przesączały się przez ochronny ekran, a Bielosielcew wynurzał się z oceanu, otoczony wonnymi lśniącymi liśćmi, całował zerwaną z dalekiego brzegu gałąź, przyciskał ją do brzucha i piersi, nie puszczając Kadaczkina w głąb swej podświadomości, wyciskał go w bryzgach soli i słońca.

- Nie, niczego nie słyszałem - odpowiedział roztargniony Bielosielcew. - A co to za „Zakon GRU”? Co to za mitologia, godna powieści drugiego obiegu?

- Powtarzam, jestem daleko od tego. - Kadaczkin długim zamglonym spojrzeniem wyrażał, jak jest daleko, i po tym spojrzeniu Bielosielcew zrozumiał, jak on jest blisko, jak prawdziwe będą słowa przeznaczone dla niego. - Mówią, że „Zakon GRU” albo „Rosyjski zakon” zaczął się od Stalina, że był jego bronią w walce z trockistami. Obawiając się rewanzu ze strony sił wewnętrznych, niemieckiej agresji i okupacji kraju, położył fundamenty „Rosyjskiego zakonu”, który tworzył ideologię „Rosyjskiego Zwycięstwa”, zatrzymał pogrom prawosławia, przywrócił carskie epolety, nazwiska Puszkina, Dymitra Dońskiego, Kutuzowa i Lwa Tołstoja. Właśnie ten „Zakon” zebrał się na uroczystym przyjęciu w Georgijewskiej sali Kremla, gdzie Stalin wzniósł toast za naród rosyjski. Właśnie ten „Zakon”, rękami Żukowa, przyniósł klęskę Berii, wyrzucił KGB na krańce społecznego życia, po czym te dwie służby specjalne stały się zaciekłymi wrogami...

Kuter płynął po żółtej wodzie Limpopo, w której kręciły się oleiste czekoladowe wiry, ciągnęły się frędzle rdzawego oderwanego wodorostu, a na horyzoncie łagodnie falowały wzgórza, przesłonięte mgiełką bliskiego oceanu. Czarnoskóry rybak przebierał żyłki, stojąc w łodzi, i patrzył na kuter.

- Drugim człowiekiem, który ożywił działalność „Rosyjskiego zakonu” w chwili, gdy tajne kółko Andropowa przejmowało główne pozycje i zaczęły się przemiany, był Romanow, który opiekował się przemysłem zbrojeniowym. Niewidzialne dla świata starcie KGB i GRU zakończyło się usunięciem Romanowa i przyjściem Gorbaczowa, co oznaczało koniec państwa.

Ale nie koniec „Rosyjskiego zakonu”, który tylko wszedł głębiej w podziemie, przepuszczając nad sobą burzące tsunami przebudowy...

Pokój hotelowy w „Polanie”, aksamitny szum przypląwu, krople deszczu nocą na szybie. Czarnoskóra królowa leży w szerokim łóżku z rękami założonymi pod głowę. A on bierze z patery duże błyszczące jabłka, ozdabia jej piersi. Układa na ciemnych biodrach kiście winogron. Soczystą truskawkę kładzie na jej łono. Na wypukłym czarnym brzuchu układa purpurowy kawałek arbuza. Cała ona, jak bogini płodności, w rajskich kwiatach i owocach, a on, jej wielbiciel i ukochany, czuje aromat jej ciepłej skóry, jabłkową słodycz sutek, miodowy zapach bioder, a zielone światło lampy drży na kryształowej paterze.

- W ciągu tych ostatnich dziesięciu lat, kiedy kraj ginął w chaosie, bandyci zagnieździli się we władzach, a krajem rządziły służby specjalne wroga, „Rosyjski zakon” zbierał siły. Przyjmował do swojego kręgu wojskowych intelektualistów, rosyjskich pisarzy i filozofów, uczonych, którzy nie oddali wrogowi unikalnej wiedzy, patriotycznych polityków i kapłanów. Zadaniem „Zakonu” było niedopuszczenie do rozłamu między komunistami i monarchistami, „czerwonymi” i „białymi”, do czego dążyli liberałowie po przejściu władzy. I jeśli nie doszło do rujnującej potyczki „lewych” i „prawych”, to jest to zasługa „Zakonu GRU”, który zachował potencjał rozwoju...

Siedział na ziemi w drewnianej pułapce, oczekując jutrzejszej kaźni, a wszystkie jego bolące stawy, niezagojone rany i zadrapania, wszystkie cierpiące wymęczone komórki i krwinki modliły się o ratunek. Nagle noc wypełniła się spadającymi gwiazdami, zielonymi bengalskimi

iskrami, lecącymi meteorami. Nocne niebo porysowały niezliczone złociste nici. Gwiazdy padały na trawę i drzewa, bezszelestnie dogasały w liściach niebieskimi zimnymi wybuchami. A on, siedząc na zimnej ziemi, oglądał afrykański cud, zesłany mu na ratunek.

- Obecnie władza Bałwana kończy się. Na jego miejsce idzie drugi człowiek. Dwie tajne struktury - „Zakon GRU” i „Zakon KGB” - walczą o Wybrańca. Walczą dwie idee rosyjskiej przyszłości. „Zakon KGB” wpasowuje Rosję w światowy rozwój jako źródło światowej energetyki, wody pitnej, kopalin, międzykontynentalnych dróg łączności, co nie gwarantuje suwerenności kraju, suwerennej cywilizacji i kultury. Nadwyżki ludności będą likwidowane miękkimi środkami. Centrum światowego rozwoju jest Ameryka, a wszystko, co stoi na przeszkodzie globalnej jedności i rządzeniu, będzie zmiecione i zgładzone. „Zakon GRU” myśli kategoriami suwerennej wielkiej Rosji, licząc na rosyjską alternatywę dla ginącego świata, na wielką ideę Rosji, ratującą świat od zagłady. Te dwa modele wchodzi w decydujące starcie, w ostatnią globalną i kosmiczną walkę...

Afrykański taniec w gorącej sawannie. Półnaczy chłopcy z włóczniami, dziewczęta w przepaskach na biodrach z długiej trawy i kwiatów. Ognisty rytm tam-tamów, tupanie bosych stóp. Lśniaca czarna skóra, otwarte czerwone usta. I nagle ulewa, która zmieszała ziemię i niebo, zmieniła drzewa w ogromne zielone cebrzyki wody.

- W ciągu najbliższych tygodni nastąpi zmiana władzy. Wygra ten, kto zawładnie Wybrańcem. Szanse są równe dla obu struktur. Szykują się wielce złożone kombinacje wywiadów, od których zależy przyszłość.

Kadaczkin zamilkł, dając Bielosielcewowi możliwość uzmysłowienia sobie tego, co zostało powiedziane, skonfrontowania informacji z człowiekiem, który je przekazał. Przekazał je Kadaczkin, członek tajnego „Rosyjskiego zakonu”. Ta identyfikacja trwała sekundę, a następnie Kadaczkin oddalił się na odległość promienia słonecznego.

- W to wszystko nie chce się wierzyć. Faktycznie, przypomina naiwną fantazję powieściopisarza. Jestem daleki od tego. Opowiedziałeś, co słyszałeś w czasie leniwego siedzenia w bani, przy kuflu zimnego piwa...

Bielosielcew był spokojny. Właśnie przekazano mu list. Ale on nie otworzył koperty, wrzucił list do skrzynki. Jego stary towarzysz, przyjaciel z afrykańskiej wędrowni, werbował go. Wypytywał o spis „Suahili”. Był przedstawicielem równoległego spisku. Moskwa była zaminowana, a nie było jasne, w czyich rękach znajduje się przycisk zapalnika. On, otoczony niebezpieczeństwami, między przewrotami i spiskami, on jeden mógł uratować Moskwę.

- Doskonały obiad - powiedział Bielosielcew. - Takie spotkania warte są wszystkiego. Nie powinniśmy tracić się z oczu. Starzy przyjaciele nie powinni rozstawać się na długo.

Podnieśli się, zostawili pieniądze, z daleka podziękowali kelnerowi. Wodospad, płynąc wzdłuż ceglanej ściany, prysnął chłodną świeżością. Objęli się, rozstali. Oddalali się w różne końce zaułka, nie oglądając się.

Rozdział dwudziesty ósmy

Bielosielcew bezwiednie powtarzał: „Pieczatniki... Świnczatniki... Pieczętowany schowek... Pióropusz eksplozji schowa się...”. Jechał swoją podniszczoną wołgą przez całą Moskwę do garażu, gdzie niedawno spotykał się z prorokiem Nikołajem Nikołajewiczem, a teraz, domyślając się niewytłumaczalnego związku między wybuchem na placu Czerwonym a zbliżającą się katastrofą, miał nadzieję, że zbierze okruchy wiedzy o mających nastąpić wybuchach w Moskwie. Podjechał pod garaż.

Garaż był otwarty z obu stron, pusty i przestrzenny, na wskroś widać było dalekie wysokościowce. W kanale, gdzie jeszcze niedawno stał zasłonięty płachtami płótna lakierowany samochód-myśliwiec, teraz

powoli samotnie chodził Sierioğa, w tej samej zielonej chustce, z brudnymi od smaru rękoma, w których trzymał niepotrzebny kawałek żelaza. Zmrużywszy od słońca oczy, z niepokojem wpatrywał się w Biełosielcewa, ale powoli, w miarę jak go rozpoznawał, jego usta rozciągały się w gagarinowskim śnieżnobiałym uśmiechu i zgrabnie jak małpa wyskoczył z przesiąkniętej smarem jamy.

- Wiktorze Andriejewiczu, przecież pan wie, co się stało... Nikołaj Nikołajewicz... Ja z początku nie wierzyłem, myślałem, że samochód na wyścigi przygotowuje... Dostosowuje do naszej „Formuły-1”... Przez plac Czerwony... Pomagałem mu zamontować sterownik, skrzydła klepałem, czerwoną gwiazdę malowałem... A on ot, co wymyślił!... - Sierioğa wytierał ręce szmatą, nie chcąc podawać brudnej dłoni Biełosielcowi.

- To on się z Czeceńcem Achmedką dogadał i u niego materiał wybuchowy kupił... Achmedka ma schowany materiał wybuchowy, Nikołaj Nikołajewicz maszynę wyładował i poszedł jak taran, jak Gastello... Co teraz będzie, nie wiem...

Wyglądał na nieszczęśliwego, roztrzęsionego, straciwszy opiekuna i nauczyciela. A Biełosielcew zanotował sobie Czeceńca Achmedkę i schowany u niego materiał wybuchowy.

- Przychodzili tutaj z organów, cały garaż wykrywaczem przeryli... Pewnie materiału wybuchowego szukali... Ja im o Achmedce nie powiedziałem... Nie lubię tych glin, oni na rynku od Azerów pieniądze biorą i Achmedce handlować dzieciakami nie przeszkadzają... Weronika, córka Nikołaja Nikołajewicza, przychodziła tutaj... Jak nie upadnie na ziemię, jak nie zapłacze: „To ja , mówi, tatuśku, zgubiłam ciebie!... Ja ci serce rozdierałam!... A teraz ty przeze mnie zginiesz!”. Powiedziała, że on w więziennym szpitalu leży, umiera, a jej do niego nie puszczają... Może by tak pan, Wiktorze Andriejewiczu, dopomógł... Pan ma znajomości, kontakty... Żebyśmy do Nikołaja Nikołajewicza do szpitala dostać się mogli... Ja bym dla niego oddał...

- Posłuchaj, Sierioğa - Biełosielcew złapał chłopaka za umazaną rękę i pociągnął dalej od garażu - powiem ci jedną rzecz... Ja sam do końca nie

jestem pewien... Musisz milczeć... Dla mnie samego to jeszcze nie jest jasne... - Wyciągnął Sierioę na brzeg rzeki. - Jesteś dorosłym chłopcem, zrozumiesz, jak wielkie jest niebezpieczeństwo... Czeceńcy szykują wybuchy... Nie tylko Czeceńcy, ale i inni okrutni ludzie... Im jest potrzebne wysadzenie Moskwy, zasianie paniki, żeby potem dojść do władzy... Ale o tym potem, nie teraz. - Prowadził Sierioę coraz dalej od garażu, nadstawiającego na nich swoje czułe żelazne ucho. Popychał go do brzegu, gdzie wiatr porywał słowa i niósł na środek rzeki. - Możliwe, że jeden z wybuchów zagrzmie tu, w Pieczatnikach... Sam powiedziałeś, że Achmedka ma schowany materiał, który wykorzystał Nikołaj Nikołajewicz... Musimy odzyskać ten materiał... Nie ma sensu zwracać się do milicji, nie ma sensu zwracać się do władz... Wszyscy jednakowi. Musimy sami odnaleźć materiał wybuchowy i go zniszczyć...

Bystry, myślący wzrok Sierioi zapłonął hazardem. Jeszcze nie rozumiał sensu zadania, ale jego młodzieńcza niecierpliwość, jego żal po stracie nauczyciela znajdowały ujście.

- Co trzeba zrobić?

- Wywiad... Zbierz dzieciaki... Zorganizuj śledzenie, zewnętrzną obserwację Achmedki... Wszystkie jego trasy i kontakty... Wszystkie garaże i piwnice... Depcz po piętach... Niezauważalnie, bo to śmiertelnie niebezpieczne... Jesteś komendantem dzieciaków... Od nich informacja przychodzi do ciebie... Od ciebie do mnie... Tu masz moją wizytówkę, telefon... Dzwon w dzień i w nocy... Ja sam co wieczór będę tu przyjeżdżać... Musimy unieszkodliwić materiał wybuchowy... To nakaz Nikołaja Nikołajewicza... On tam, w więzieniu, na szpitalnej pryczy, połamany, poparzony, nam zleca...

- Pójdę i zabiję Achmedkę, mam bagnet - twardo powiedział Sierio-ga.

- Nawet o tym nie myśl. Jest silniejszy i sprytniejszy od ciebie. Twoje zadanie - znaleźć miejsce, gdzie znajduje się materiał wybuchowy... Zaraz teraz idź i zbierz dzieciaki...

- Dobrze - odpowiedział Sierioğa - są teraz na skwerze.

Podwiezie mnie pan.

Zamknął garaż, siadł koło Bielosielcewa w wóldze. Pojechali między białymi wysokimi blokami, a każdy z nich mógł być zaminowany. Z balkonami, na których suszyła się bielizna, z loggiami, gdzie pstrzyły się jesienne kwiaty, z placami zabaw, pełnymi dzieciarni.

Na skwerze, gdzie sprzedawano lody, zebrały się dzieciaki, których twarze były Bielosielcewowi znajome.

- Przed nocną zmianą się bawią - powiedział Sierioğa, wyłączając z samochodu. - W październiku idę do wojska. Na komisji byłem, jestem zdrów. Poprosiłem o skierowanie do Dagestanu, gdzie zaleźli Czeceńcy. Ja ich, gadów, będę i tu, w Pieczatnikach dusić, i tam, w Dagestanie... Do widzenia, Wiktorze Andriejewiczu, zadzwonię. A do Nikołaja Nikołajewicza niech pan spróbuje się dostać, pozdrowienia ode mnie pan przekaże... - I szybko poszedł na skwer, zgrabny, szczupły, z zawiązaną bojową chustką, gwizdząc na dwóch palcach, wzywał do siebie dzieciaki.

Bielosielcew ruszył, powtarzając: „Pieczatniki, wysadzałniki... Pierwostoleczniki, trotylniki...”.

Postanowił wybrać się do Burawkowa, który ulokował się w telewizyjnej rezydencji Astrosa, gdyż tam, z pośrednich oznak można było odczytać zbliżanie się wybuchów. Ponadto Burawkow odwiedzał siedzącego w więzieniu Astrosa, wyciągając z niego ostatnie zeznania o kontaktach finansowych, „raju podatkowym”, podstawionych firmach, przelewając pieniądze i majątek na siebie. W tym samym więzieniu, w szpitalu, znajdował się Nikołaj Nikołajewicz i Bielosielcew miał nadzieję, że przy pomocy Burawkowa załatwi widzenie.

Wieża telewizyjna „Ostankino” znowu poraziła go podobieństwem do ogromnej, uchodzącej w niebo rury, nad którą kłębił się dym, wylatujący z piekieł. Wszedł do szklanej klatki Telecentrum, przypominającego przewróconą szklanę, pod którą roily się złowione i opite muchomorem owady.

W windzie, w przestronnej kabinie razem z nim wjeżdżali mężczyzna i kobieta, których twarze były znane. Ona mała i wytworna, o smutnych biblijnych oczach, znana telewizyjna spikerka, uwieńczona przez Astrosa brylantową koroną. On, nazbyt ruchliwy i bezczelny złośliwiec, znany ze swoich audycji o historii Rosji, w których suchej nitki nie zostawiał na imperatorach, dowódcach pułków, pisarzach, przydając im śmieszne i nieprzyjemne cechy samolubnych głupców. Oboje poprawiali fryzury i stroje przed lustrami, prowadzili rozmowę, nie zwracając najmniejszej uwagi na Bielosielcewa, jakby był elementem windy.

- Astros to pechowiec. Jest zbyt krewki, płytki, nieoględny. On się podstawił - rozważała podobna do Calineczki spikerka. - Jestem mu wdzięczna za mieszkanie, za sukces, za laureatkę, ale to wszystko nie było za darmo. Odetchnęłam z ulgą, kiedy go odsunięto.

- No tak, wszyscy widzieliśmy, że ciebie pożądał. Byłaś faworytą, Pompadour, a pierwsze dwa dni nosiłaś żałobę, póki cię nie wezwał do gabinetu Burawkow. Nie wiem, co ci powiedział, ale od tego momentu twoje toalety stały się jeszcze wytworniejsze i rozkoszniejsze. - Kpiarz poruszał nogami w błyszczących sztybletach, czyniąc do czegoś aluzję, dając Calineczce zadowolenie z aluzji z podtekstem.

- Burawkow zdrowy chłop, prawdziwy czekista. Jest w nim coś z wielmożów carycy Katarzyny. Obiecał, że podniesie pensję i polepszy warunki w mieszkaniu. On może być surowy, ale może być również bezgranicznie szczodry. Czyżbyś miał inne zdanie?

- Masz rację. Kiedy mi dali do podpisania pismo popierające aresztowanego Astrosa, odmówiłem, chociaż on darzył mnie względami. Nie powinien się podstawiać. A Burawkow, wyobraź sobie, wezwał mnie i poprosił, żebym zrobił audycję o rosyjskich świętych - Siergiju z Radoniaża i Serafimie Sarowskim, żeby troszeczkę uwolnić ich od ckiego uwielbienia, pokazać ich siermiężność i niedoskonałość w porównaniu

z katolickimi świętymi, takimi jak Franciszek z Asyżu czy święty Augustyn. Nawet zaproponował mi wyjazd do Asyżu, czego, rozumie się, nie odmówilem.

Winda zatrzymała się i oni wyszli, rzucając ostatnie spojrzenia w lustro, dalej nie zauważając stojącego przy nich Biełosielcewa.

Znalazł się w ogromnej sali przyjęć Burawkowa, jeszcze niedawno należącej do Astrosa. Pod przezroczystą kopułą miotał się zielonkawy hieroglif, stale zmieniający kształt, jakby bezgłośnie powstawał starożytny chaldejski napis, wieszczący w zapomnianym języku tajemnice, zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych.

Petenci, oczekujący na przyjęcie, byli podobni do tych, którzy kilka tygodni temu chcieli dostać się do Astrosa. Jacyś rabini w czarnych kapeluszach, z kręconymi sopolkami do ziemi. Wystrojony, podobny do bażanta negocjator z biegającymi szachrajскими oczkami. Pokorny generał z niebieskimi lampasami, pragnący dla siebie kawałka rakiety lub kawałka bomby atomowej. Właściciel gabinetu za podwójnymi dębowymi drzwiami był inny, ale interesanci oczekiwali od niego obiecanych przez poprzednika dobrodziejstw, prawie nie zauważając zmiany gospodarza.

Drzwi gabinetu bezdźwięcznie się otworzyły i pojawiła się sekretarka, która zadziwiła Biełosielcewa podobieństwem do aktorki Minelli, jakby Burawkow zamówił w Ameryce jej duży wrażliwy nos, granatowo-czarne loki, pełne malinowe usta, przez które jak lampion przeświecał purpurowy język. Jej piersi jak bulwy, silnie rozciągały ciasną bluzkę. Silne łydki nieoczekiwanie cienko kończyły się suchymi kostkami i małeńkimi pantofelkami, jak zaostrzonymi kopytkami. Sekretarka powiodła srogimi krowimi oczami po interesantach, a oni aż się wzdrygnęli. Zobaczyła Biełosielcewa i rozplynęła się w długim słodkim uśmiechu.

- Jest pan oczekiwany, proszę wejść! - powiedziała czarująco, zatrzymując srogimi czarnymi oczami pozostałych petentów. Biełosielcew w ślad z jej perfumami, szeleszczącym materiałem, zmysłowym stukiem obcasików wszedł do gabinetu.

Było to znajome pomieszczenie, przypominające salę dyspozytora, z eliptycznym zakrzywieniem ścian, dokładnie wypełnionych ekranami telewizyjnymi. Ekranami znajdowały się nawet na suficie, odbijały się w lakierowanej podłodze, ale wszystkie były pogaszone, koloru mleczonej mgły, jak bielma. Gospodarz gabinetu prowadził rozmowę z interesantem. Kiwnął głową Bielosielcewowi, ruchem ręki wskazał mu miejsce nieopodal, dając do zrozumienia, że zaraz zakończy rozmowę i całą uwagę poświęci pożądanemu przyjacielowi. Bielosielcew usiadł, mając możliwość obserwować Burawkowa.

Od czasu kiedy usunął Astrosa, wsadzając go do więzienia, zaszła w nim szybka, zadziwiająca przemiana. Powściągliwy, milkliwy, stroniący od świata i towarzystwa ochroniarz, będący cieniem olśniewającego głośnego szefa, raptem rozkwitł, rozprostował się, napełnił się świeżością, niespożytą energią, miał zdecydowane gesty, wyrazistą mimikę, władczy donośny głos.

- Powiedz mi, niech nie udaje głupka i nie wystawia na próbę mojej cierpliwości. - Burawkow zwracał się do człowieka o wyglądzie adwokata, nerwowego i ruchliwego, przypominającego płomyk ognia w lampie naftowej, kołysany wiatrem. - Dam mu dobrą rekompensatę i może pojechać choćby do Grecji czy Hiszpanii. Przekaze mi tylko zakłady i o nim zapomną. Inaczej - prycza, prokuratura, opis majątku. Aluminium lgnie do aluminium, ropa - do ropy, pieniądze do pieniędzy.

- A dobrzy ludzie - do dobrych ludzi - uszczypliwie i jednocześnie służalczo wtrącił człowieczek.

- Otóż właśnie - lekceważąco uśmiechnął się Burawkow. - My o tobie nie zapomnimy, odwzajemnimy się z całego serca - wzrokiem tresera podniósł petenta z krzesła, i tamten wstał, podreptał do drzwi, pokornie się kłaniając.

- No, chwała Bogu - powiedział Burawkow, kiedy petent zniknął i zostali sami. - Rad jestem gościć cię w mojej rezydencji. - Ścisnął mu rękę dużą gorącą dłońią, w której płynął żar niesamowitej energii i długiej oczekiwanej, zasłużonego sukcesu. - Mów, przyjacielu, w czym mogę być przydatny.

- Dla ciebie to będzie głupstwo. W „Lefortowie”, dokąd jeździsz, w szpitalnym pawilonie leży człowiek, Nikołaj Nikołajewicz, nazwiska poznać nie zdążyłem. Wysadził się na placu Czerwonym nie ze względów politycznych, a mistycznych. Nie jest terrorystą, jest staroobrzędowcem, samopodpalacz. Złożył z siebie ofiarę. Muszę go zobaczyć. Zorganizuj spotkanie.

- Tak, tak, słyszałem, jakiś głupek, nawiedzony. Uważał się za lotnika Gastello. Ileż to dziś psychopatów, Boże ty mój! Konieczna jest selekcja, czystka, uwolnienie od niepełnowartościowych... Oczywiście, zorganizuję spotkanie! - Wyciągnął z kieszeni małe telefon komórkowy, podobny do konika morskiego, jeszcze niedawno należący do Astrosa. Zręcznie, jak na malutkim flecie, naciskał guziczki. - Jewgrafa Jewstafijewicza będzie pan uprzejmy - władczo poprosił kogoś niewidzialnego. - Kiedy będzie?... Proszę powiedzieć, że dzwonił Burawkow, niech przedzwoni na komórkowy! - schował krusze, świecące guzyczkami morskie żyjątko do wewnętrznej kieszeni marynarki. - To starszy śledczy. Jest na przesłuchaniu. Za jakieś pół godziny przedzwoni... A teraz chodź, popatrzmy, co się u nas gotuje w naszej telewizyjnej kuchni. - Nacisnął jakiś klawisz i wszystkie ekrany na ścianach, na suficie jednocześnie zaświeciły, zamrugały i barwnie zamigotały, jakby do gabinetu wleciał ogromny mityczny stwór, całkowicie, od głowy do pięt, usiany mrugającymi oczami.

Ten stwór był aniołem zniszczenia i śmierci, skrzydlatym serafinem wybuchów i pogrzebów. Na wszystkich ekranach równocześnie pulsowały widoki zburzonych budynków, spalonych doszczętnie miast. Ben Laden wydaje rozkaz mudżahedinom - i wylatują w powietrze ambasady amerykańskie w Afryce. Prowadzą na krzesło elektryczne skutego kajdankami terrorystę, a obok widok supermarketu, którego betonowy dach zwałił się na tłumy klientów. Dymiące zgliszcza Ulsteru, śmierzące ruiny Kabulu, rozwalony do fundamentów Vukovar, kamienne klatki i martwe katakumby wysadzonego Groznego. Wszędzie płaczące twarze,

oderwane ręce i nogi, zmiążdżone kamieniami głowy, wypadające z brzucha wnętrzności. I jeszcze - praca strażaków, wysiłek ratowników, strumienie wody, kaski, buldożery... Te powtarzane bez końca, zebrane z całego świata obrazy śmierci i kalectwa wywoływały przerażające wrażenie. Z łomoczącym sercem, rozbieganymi dzikimi oczami Biełosielcew własnymi oczami oglądał apokalipsę.

Burawkow mówił do kogoś przez selektor:

- Dobrze, ale niewystarczająco!... Przygotujcie do pokazania coś takiego, żeby ludzie pełzli do nas na kolanach i błagali o ratunek!... Szykujcie brygady kamerzystów, jakby na Moskwę spadła nawała międzykontynentalnych rakiet!... Jedne brygady na miejsce wybuchów!... Drugie do szpitali i kostnic!... Trzecie na cmentarze!... Czwarte na place moskiewskie do ankietowania ludności!... Przesadzam, oczywiście, ale atak emocjonalny musi być totalny!... - Burawkow wszedł w rolę reżysera. - Będę prosił was o powtórzenie tego wszystkiego, ale w większej koncentracji!...

Biełosielcew wstrząśnięty i złamany, tym niemniej, jak nawigator w samolocie, szybko i dokładnie ustalał: coś się tutaj szykuje, jakiś propagandowy atak o porażającej sile, informacyjny wybuch, zdolny przebić każde, nawet obojętne serce, wstrząsnąć każdą skamieniałą świadomością. Ten informacyjny atak powinien być tysiącrotnie silniejszy niż mające nastąpić wybuchy na Pieczatnikach.

- Ja ci obowiązkowo pomogę. - Burawkow wyłączył ekrany i podniósł się. - Ten śledczy Jewgraf Jewstafijewicz - nasz chłop. Zrobi, co mu każemy... Mamy jeszcze czas. Chodź, pójdziemy do sali lalek, obejrzymy jeden wątek wymyślony przeze mnie, który dziś puścimy w eter.

Ruszyli szklanymi przejściami. W przeszlonych boksach, jak w terrarium, wśród jaskrawych mchów i porostów, pod światłem grzewczych lamp ruszały się łuskowate, plamiste stwory ze zmieniającym się ubarwieniem nerwów, tylko po uważnym przyjrzeniu się będące ludźmi w egzotycznych strojach z półprzezroczystych materiałów. Tutaj nic się nie

zmieniło od tamtego dnia, kiedy Biełosielcew pojawił się w szklanym królestwie w towarzystwie wesołego Astrosa. To było zadziwiające, gdyż wydawało się, że nowy gospodarz z nową ideą, estetyką i polityką powinien być od podstaw przebudować fabrykę rozrywki, odzegnać się od apoteozy żądy lub „antropologicznej korekty”, jak Astros nazywał jedno ze swoich laboratoriów.

- Postanowiłem niczego na razie nie ruszać. - Burawkow zauważył zdziwienie Biełosielcewa. - Ważny jest nie kaliber broni, nie burząca siła pocisku, a ostrzeliwany cel. A cel mamy, jak rozumiesz, inny - powiedział do nic nie pojmującego Biełosielcewa, który pomyślał, że celem pozostaje cały czas ten sam spojony naród, bezmyślnymi oczami patrzący na elektroniczne miganie ekranów.

Doszli do pomieszczenia, chronionego przez ludzi z automatami, elektronowymi kołowrotami i kodowanymi zamkami. Burawkow zrobił kilka magicznych gestów, przyłożył dłoń do stalowej świecącej płytki, przytknął oko do obiektywu, zapisującego budowę źrenicy. Drzwi bezszelestnie się otworzyły i znaleźli się w znajomym pokoju, przypominającym gabinet lekarski, laboratorium alchemika, gdzie wśród zapachów formaliny i gnicia wypychano zwierzęta, patroszono ptasie i zwierzęce tuszki. Z lekkim stukiem spadł na podłogę łyżki ze stołu - naprzeciw wejścia zeskoczył znajomy karzełek o wiśniowych oczach spaniela, czerwonych ustach i z wąską hiszpańską bródką, narysowaną od ucha do ucha.

- Dzień dobry, Maestro. Przyprowadziłem do pana gościa. Wydaje się, że już się poznaliście. - Karzełek nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął, stuknął krzywymi nóżkami, odzianymi w średniowieczne baloniaste pantalone. Biełosielcew ze zdziwieniem dostrzegł u niego za pasem maleńką szpadę. - Dobry, dobry! - chichotał Burawkow. - Prawdziwy Romeo!

Karzełek nie obraził się za ironię, pochylił się w uprzejmym ukłonie.

- Widzisz, ja zawsze marzyłem, by być reżyserem, teatralnym albo filmowym, wszystko jedno. Ale nasza czekistowska praca wykluczała

taką możliwość. Dopiero po wielu latach próbuję zrealizować swoją skrytą pasję. Pokażę ci teraz moją pierwszą próbę. Naturalnie, w dużej mierze pomógł mi Maestro, ale jest i mój wkład. Dzisiaj tę fabułę pokażemy ludziom. Nosi ona tytuł „Sodoma i Gomora”.

Bielosielcew zaniepokoił się, gdyż pamiętał wyjaśnienie Astrosa, który nazywał lalkowe filmy sposobem magicznego rządzenia światem. Każdy film alegorycznie przedstawiał przyszłość, wabiąc jeszcze nie zaistniałe wydarzenia w magiczną pułapkę, z której one, skonstruowane przez malutkiego czarnobrodęgo czarodzieja, wyrwały się do życia.

Na warsztacie, w otoczeniu kukielek podobnych do wypchanych ludzi, wśród krystalicznych piramid i kryształowych pryzmatów stał panasonic z dużym ekranem i magnetowidową przystawką. Burawkow włożył kasety, usadowił się wygodnie przed ekranem, włączył pilotem obraz.

Pojawiło się miasto, w którym budowle przypominały pagody, antyczne świątynie, mużułmańskie minarety, a między bajkowymi miejskimi skupiskami majaczyły zmienione do niepoznania Kreml, chram Wasyla Błogosławionego, wysoki budynek Uniwersytetu. W miejskich pałacach, podobnych do rzymskich term albo stacji moskiewskiego metra, odbywała się orgia. Znani politycy, członkowie gabinetu, liderzy Dumy wszystkich ugrupowań, liberalni pisarze i artyści, odziani już to w nocne koszule, już to w tuniki, zajmowali się grupowym grzechem. Skandaliczne sceny kopulacji, masturbacje, lesbijskie pieszczoty kobiet, pederastyczne namiętności mężczyzn, przyprowadzone dla miłosnych uciech osły, psy, cielaki - wszystko to kłębiło się, wydawało jęki, krzyki, namiętne szloch.

Nieoczekiwanie pojawił się Pan Bóg. Bałwan w długiej białej chlami-dzie z kartonową aureolą. Oglądał straszną orgię, załamywał ręce, uprzedzał grzeszników, że kielich jego cierpliwości jest przepelniony i jeśli nie znajdzie się wśród mieszkańców ostatni i jedyny cnotliwy, to gniew boski spadnie na miasto w postaci gorącej smoły i spadającej gwiazdy, która wszystko spopieli.

Na ekranie pojawił się świętoszek, bardzo podobny do moskiewskiego Mera. W mniszym habicie, przepasanym łańcuchem, smagał się żelazną dyscypliną, kładł się na gwoździe. Stał do całonocnej modlitwy przy trumnie, w której przy świecach, w stroju rzymskiego rycerza, leżał martwy Gramofonczyk. Świętoszek przypadł do niego, całował zimne czoło pod hełmem legionisty, zrzucił z siebie habit i nagle legł w trumnie Gramofonczyka, demonstrując straszny upadek moralny, odkrywając swoje nekrofilskie zбочzenie.

Znowu pojawił się Pan Bóg, przypominający Bałwana w kaftanie bezpieczeństwa. Był straszny w gniewie, przeklinał grzeszne, pogrążone w rozpuście miasto, nasyłał na nie karzącego Anioła Zemsty.

Nad miastem pojawił się Anioł, czarny, brodaty, z wielkim nosem, w plamistej wojskowej panamie, podobny do Szamila Basajewa. Miał błoniaste skrzydła jak nietoperz. Trzymał przy piersi czarę, czerpał z niej ognistą maź, rzucał w dół na miasto, wybuchały i płonęły budynki, grzebały pod sobą kobiety i mężczyźni, którzy nagrzeszyli. W purpurowym niebie ciemnymi zarysami wznosiły się meczety, pagody, wieże kremłowskie.

Ponownie pojawił się Pan Bóg, a przed nim na kolanach, błagając o przebaczenie dla grzeszników - Anioł Orędownik z twarzą Wybrańca, z białymi skrzydłami, złożonymi na plecach. Anioł zapewniał, że w mieście jeszcze pozostała jedna cnotliwa dusza i Sodoma nie zasługuje na zniszczenie. Pan Bóg zdziwił się zapewnieniu Anioła, ale zmiłował się, nakazał mu lecieć i wstrzymać zagładę miasta.

Dalej następowała scena walki, w której czarny, z błoniastymi skrzydłami i czeczeńskim nosem Anioł Zemsty toczył bój z białoskrzydłym Aniołem Orędownikiem. Ten bój z uderzeniami skrzydeł, z zasadami dzudo, z kopniakami i koziołkami, skończył się zwycięstwem jasnego Anioła. Wyrwał z rąk Basajewa czarę gniewu i odrzucił ją daleko za horyzont.

Rzucił się w dół, pięknie, jak gołąb, złożony srebrzyste skrzydła, spadając na dymiące miasto. Spod gruzów wywiódł na świat cnotliwą

duszę - dziewczynkę w króciutkiej sukience, z grzywką, z wąskimi japońskimi oczami, podobną do znanej liberalnej deputowanej. Szczęśliwi, wzięwszy się za ręce, szli po ulicach. Kajający się za grzechy ułaskawieni mieszkańcy, podobni do działaczy partyjnych, parlamentarzystów i ministrów, odprowadzali ich radosnym śpiewem pieśni cerkiewnych.

Ekran zgasł. Burawkow z zadowoleniem pocierał swoje duże gorące dłonie, oglądał się na Bielosielcewa.

- No i jak? Co powiesz? Kto jest prawdziwym reżyserem, ja czy Astros?

- Jesteś wielkim reżyserem - Bielosielcew gorąco chwalił, starając się ukryć przerażenie, ponieważ metaforę zrozumiał, wybuchy w Pieczatnikach mogą zagrzemieć jeszcze tej nocy - znakomity, dowcipny film. Przewyższa wszystko, co widziałem w tym programie wcześniej. Astroswi do ciebie daleko.

- Będzie jeszcze dalej!... - z nieoczekiwaną złością wychrypiał Burawkow, a jego nos nabrzmiął przyływem krwi i stał się fioletowy. - Słyszysz, Maestro?... Pokaż przekłębemu oligarsze, że umiemy wydobywać zeznania!... Niech powie, gdzie ma nieruchomość na Cyprze!... Niech poda pośredników do „Bank of New York”!... Niech przeliczy podstawione firmy na przepompowywanie ropy naftowej i gazu!...

Czarnobrody karzełek z nieoczekiwaną żwawością wskoczył na sąsiedni stół, gdzie leżała kukła Astrosa, zdumiewająco dokładnie oddająca jego cieszące się życiem oblicze, twarz barwy mlecznego kisielu, puszyste pełne ciało. Zaczął tupać, tarmosić, rwać na kawałki nieszczęsną kukłę, wydając ciche warczenie tchórza, szarpiącego kureę, u której na przegryzionym gardle wystąpiły krople krwi. Bił ją maleńkim złym kułaczkiem po wypielegnowanej twarzy. Wciskał zaostrzony obcasik. Wyrywał mieczyk i przebił płócienne truchło tak, że posypały się z niego trociny. Zmęczony się torturami, ciężko dysząc, wściekle błyskając fioletowymi wypukłymi oczami, narzucił kukle na szyję pętlę, zawiesił na gwoździu wbitym w ścianę, umiejętnie szarpnął. Astros zahuszał się

na pętli, powoli się odwrócił, zwiesiwszy wzdłuż ciała bezsilne ręce, na których błyszcząły brylantowe pierścienie.

Burawkow, ciężko dysząc otwartymi ustami, patrzył na powieszoną kukłę. Wewnątrz jego marynarki delikatnie zadzwonił telefon komórkowy. Wyjął małego ślimaczka z fluorescencyjnymi kropelkami światła:

- Słucham!... Jewgraf Jewstafijewicz?... Dziękuję, że dzwonisz!... Co powiedziałaś?!... Kiedy?... Kilka minut temu?... Dobrze, zadzwoń, kiedy będziesz mógł... - trzymał w ręku milczący telefon. Z roztargnieniem patrzył na Bielosielcewa. - Śledczy dzwonił... Powiedział, że kilka minut temu Astros powiesił się w celi...

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Wizyta u Burawkowa nie umożliwiła Bielosielcewowi dostępu do szpitala, gdzie męczył się Nikołaj Nikołajewicz, ale ostatecznie z przerażającą wiarygodnością upewniła, że następny etap „Suahili” zakłada wybuchy w Moskwie. Wszechmocny „Zakon KGB”, o którym opowiadał Kadaczkin, pomijając służby państwowe, pomijając federalny kontrwywiad, pomijając samego Wybrańca, szykował Moskwie apokalipsę. Żeby przez dym i krwawą miazgę, wśród jęków tracącego zmysły narodu, zagarnąć Kreml.

Bielosielcewowi wydawało się, że prorok Nikołaj Nikołajewicz przez więzienną kratę wzywa go, chce przed śmiercią pobłogosławić go na świętą wojnę. Chcąc uzyskać wizytę w więzieniu, Bielosielcew wybrał się do Kopiejki, który odwiedzał Zarickiego w Lefortowie, wydobywając z uwięzionego oligarchy jakieś ostatnie sekretne zeznania.

Kopiejki nie było ani w centrum analitycznym, ani w „Fundacji” Greczynnikowa. Znajdował się w byłej rezydencji Zarickiego, w zamorskiej „Domu przyjąć”, znanym z tajnych zebrań, szumnych

uroczystości, elitarnych obiadów, występów sławnych śpiewaków i poetów, będących na utrzymaniu magnata. Bielosielcew pospieszył do chronionego rejonu Moskwy, gdzie, w otoczeniu starych parków, zniszczonych cerkwi, zakonów z czasów Aleksego Michajłowicza, willi w stylu empire, znajdowała się rezydencja - pastelowo-turkusowe komnaty z białą sztukaterią, zabezpieczone żelaznymi kratami.

Ochrona, pozostała po poprzednim właścicielu, z niedowierzaniem i zmieszaniem wpuściła Bielosielcewa. Poprowadziła do apartamentów, które zachowały ślady niedawnego przepychu, ale już były poddane pogromowi. Wyglądało, jakby na dom przypuścił szturm oddział specnazu. Wszędzie na lakierowanych inkrustowanych podłogach wały się porcelanowe skorupki, strzępy drogich materiałów, kawałki złoczonych ram. Rzeźbiona rama lustra ziała pustką z samotnie sterczącym zębem jasnego szkła. Na atlasowych obiciach ścian pozostały wyblakłe kwadraty po zdartych obrazach. Robotnicy w roboczych ubraniach taszczyli na dwór biały koncertowy fortepian, który tęsknie pojękiwał, uderzając o framugi drzwi. Bielosielcew zapytał, gdzie przebywa zwierzchnictwo. Zmieszany ochroniarz wskazał mu otwarte drzwi, wiodące na wewnętrzne podwórze, gdzie w dymie coś się łamało, trzeszczało.

Zamknięte wewnętrzne podwórze, oddzielone od zewnętrznego świata wysokim murem z gęstymi szpikulcami na szczycie, było miejscem kaźni. Paliły się ogniska, w których dymiły, obciekały toksycznymi kolorowymi dymami obrazy znanych moskiewskich modernistów. Obok lśniła sterta porcelanowych i kryształowych skorup, pozostałych po saksońskich i sewrskich serwisach, po dzbanach na wino i pucharach, jeszcze niedawno zdobiących bankietowe stoły, biesiady elitarnych przyjęć. Rozerwane na części wały się garnitury od Zajcewa i Diora, modne palta i płaszcze, jedwabne krawaty, atlasowe i aksamitne firany i zasłony. Przy otwartym garażu stał wyjazdowy mercedes Zarieckiego. Nie było w nim szyb, zmienionych w błyszczącą rozsypaną po ziemi kaszę.

W lakierowanych bokach ziały wielkie szczeliny i dziury. Obok walało się narzędzie zniszczenia - zgięty łom. A pośrodku tego pogromu, okrutnego zniszczenia, rytualnego sponiewierania świątyni oligarchicznego układu stał, prawie nie do poznania, Kopiejko.

Ubrany był w kozacki generalski mundur ze złotymi epoletami, z kompletem Georgijewskich krzyży, carskich orderów i medali. Ogniście czerwone lampasy spływały po jego mocnych udach, wlewały się w wyczyszczone do połysku oficerki, za cholewami sterzczały aż dwie nahajki. Na okrągłej głowie z wydatnym czołem prezentowała się kozacka czapka. Ogromna nabrzmiała pięść ścisnęła rękonożecę wiszącą u pasa szabli. Twarz była purpurowa z wściekłości, oczy dziko i triumfująco oglądały panoramę pogromu. Pod podeszwą delikatnie różowiały skorupki rozgniecionej filiżanki.

- Podejdz, poczęstuję „Nescafe” - ochryple zachichotał Kopiejko, poznając Bielosielcewa i depcząc butem chrzęszczące różowe skorupki. - Może szampana? - Zrobił krok i uderzył piętą w kryształowy puchar, który prysnął spod obcasu jaskrawym blaskiem. - Chcesz przejechać się? Podwiozę! - Długie spluniecie w okaleczony mercedes trafiło w ziejące okno. Ty, zdaje się, jesteś wielbicielem modnych malarzy? To pochodzimy po wystawie! - Schylił się, złapał niespalone jeszcze płótno z jakimś niebieskim gryfonem i rzucił je na węgle. - Pal się, pal jasno, żeby nie zagasło! - Jego usta rozciągnęły się w natchnionym uśmiechu, a w oczach zapaliły się dwie rubinowe kropki odbijającego się ognia.

- Szczęściarzowi Zarieckiemu udało się, że się znalazł w więzieniu - próbował zażartować Bielosielcew. - Wyobrażam sobie, jakbyś go posadził na węglach i kazał żuć kryształowy puchar. Wiedziałem, że go ścierpieć nie możesz, ale nie przypuszczałem, że do tego stopnia!

- Nienawidzę Żyda!... Ja, Kozak, nie zapomnę, jak oni Don rozkożaczali!... To dla nich, trockistów przeklętych, za Cichy Don, za Cara Imperatora, za Świętą Ruś!... Mój dziadek, którego zastrzelili, patrzy na mnie z nieba: „Tak z nimi, wnuczku!... Bij żydowskie nasienie!... A my

za ciebie całą stanicą się pomodlimy!”...

Robotnicy w ubraniach roboczych przycisnęli w końcu przez drzwi koncertowy fortepian, wytaszczyli go na podwórze, a on, śnieżnobiały ze złotymi tłoczeniami, przypominający żywą istotę, jakby łabędzicę o białej piersi, czy też białego, wyrzuconego na płyciznę wieloryba, lśnił samotnie w słońcu.

- Do nas do stancyi zwalili się komisarze, otoczyli kurenie, wszystkich Kozaków na plac pognali i zaczęli strzelać. Mój dziadek pod kulami, z dziurą w głowie, krzyknął przed śmiercią: „Zaleje was, Żydy, kozacka krew. Jeśli nie syny, to wnuki zemszczą się, żywych was zakopią, a całe wasze złoto, coście prawosławnym zagrabili, w ogniu spalą!”. Ze strzelby mu serce przestrzelili, a komisarz, żydziak w bufiastych spodniach, z bródką, przez binokle popatrywał i papieroska kurzył. To mi tatko opowiadał przed tym, jak sam umarł. Ja jego naukę pamiętam!...

Kopiejko bokiem, małymi kroczkami skradał się do fortepianu, przymierzając się do jego wypukłych opływowych boków. Przymrużył oczy, wysłał rozszerzonymi nozdrzami powietrze. Przysiadł, uniósł spadziste ramię ze złotym pagonem, wyszarpnął szablę, błysnął na słońcu stalową strugą i z całej siły rąbnął w fortepian. Jęk wzleciałw niebo, posypały się twarde drzazgi, otworzyła się ziejąca szczerba. Odstąpił krok do tyłu, głęboko odetchnął, opisał szablą słoneczny węzeł, wbił ją w białe ciało fortepianu, z którego, wydawało się, jakby w ślad za szlochem siknęła purpurowa krew. W posiekanych żyłach zawrzało, zaklekotało, każda rozrąbana struna, zwijając się, wydawała naderwany pożegnalny dźwięk, jakby niewidzialny pianista grał muzykę Schnittkego, która rozwścieczała Kopiejkę. Nalatywał na fortepian, ciężko dysząc siekł go szablą, wypuszczał z niego nienawistną duszę, mszcząc się za płonące kurenie, rozstrzelanych Kozaków, szlochające Kozaczki. Za Kozaczka nadzianego na bagnet. Za białą krowę, przebiegającą przez stanice w płomieniach ognia.

Dwóch robotników ostrożnie, bojąc się uszkodzić, wynosiło wielki porcelanowy wazon z wzorem w kwiaty i owiniętym wokół chińskim smokiem. Biełosielcew przypomniał sobie, że widział ten wazon wielkości człowieka na zdjęciu w modnym czasopiśmie. Wtedy stał w nim olbrzymi bukiet róż, wokół pozowali zebrani znani bankierzy i ich odkarmione, na pół obnażone żony. Wszystko emanowało zadowoleniem, sukcesem, niezachwianą władzą. Teraz ten wazon robotnicy wystawili na świat, a on stał niedorzecznie pośród zadymionego podwórka, z okrągłymi biodrami i szeroką szyją wyglądał jak statuetka.

- Żydy Cara Imperatora zamęczyli rytualnym zabójstwem. Strzelali z bliska do dziewczyn, do cesarzowej. Pan wziął dziecko-następcę na ręce i powiedział: „Strzelajcie do nas obu!”.

A Żydy nie drgnęli, wystrzelili prosto w chłopczyka i w Prawosławnego Cara. A potem z naganów padły kontrolne wystrzały do jasnowłosych księżnych, do martwej carycy, do rannego Imperatora, do przestrelonego carewicza. I znowu żydziak-komisarz kurzył papieroska, strząsał popiół w gorącą carską krew... Nienawidzę!...

Pochwycił z ziemi łom i uderzył wazon, widząc w nim Zarieckiego i jego bogatych europejskich przyjaciół: i Jurowskiego, i Blumkina, i Ziemiaczkę o rozłożystych biodrach, i Różę Luksemburg, i Lilę Brik, i bezlitosne żydowskie komsomołki w eleganckich bucikach z ciężkimi mauzcrami, i żydowskie żony z dziada pradziada rosyjskich generałów i ministrów, i Kaganowicza, i Mechusa, i Ilię Erenburga. Od tego porażającego ataku nienawiści wazon rozsypał się od razu na drobne kawałki.

Sześciu czy ośmiu robotników chwyciło ogromną skórzaną kanapę, postawili na sztorc, stękając z wysiłku wleki po marmurowych schodach, taszczyli na zewnątrz.

- Sołowieckich męczenników, arcypasterzy, znanych w Rosji kapłanów, mnichów i ojców zakonnych, prostych wiejskich proboszczów Żydy na barkę ładowali, wywozili na lodowate morze. Mnisi i batuszko wie, przeczuwając śmierć, śpiewali psalmy, sławili Pana, błogosławili Ruś. Do barki strzelano z armat, aż zatonała, pogrążając się w lodowatej

głębi. Jeden Pomoriec mi mówił, że w cichą pogodę z morza słyhać śpiew psalmistów...

Robotnicy w końcu wywlekli kanapę, postawili ją krzywo na ziemi.

- Do ognia z nią!... Benzyną!... Żeby mi ni pluskwy nie zostało!... - krzyczała rozszalała Kopiejko, sam pobiegł po stojący w pobliżu kanister. Obficie polał benzyną luksusową skórę kanapy, mahoniowe poręcze, safianowe marszczone poduszki.

Wyrwał z ogniska palącą się żagiew, rzucił na kanapę, a ona wybuchnęła płomieniem z hukiem i rykiem, jakby obudził się niedźwiedź śpiący w barłogu.

Bielosielcew nie mógł nadziwić się, jak w tym niemłodym czekaście, który przeszedł musztrę KGB, wygładzonym partyjną ideologią jak rzeczny kamień, zrównoważonym i zewnątrznie bezbarwnym, mógł skrywać się wściekły, obrażony Kozak, przez dziesięciolecia żyjący dla chwili, kiedy będzie można wyleźć z ukrytego schowka, nałożyć kozacki mundur, zawiesić Georgijewskie krzyże, chwycić dziadkową szablę i ze świstem i krzykiem pomknąć po rodzimym stepie, ścinając garbatonose głowy w binoklach, z czarnymi kozimi bródkami.

- Wcisnęli się we wszystkie pory, we wszystkie szczeliny. Dla rosyjskiego człowieka miejsca nie ma. Gdzie nie spojrzysz, wszędzie Żyd siedzi. W rządzie - Żyd, w telewizji - Żyd, w banku - Żyd, w wywiadzie - Żyd. Niedawno do cerkwi na Ordynce zaszedłem, świeczkę chciałem postawić, a na mnie diakon, czarny jak Karol Marks, z grzywą, garbatonosy, patrzy i czerwony żydowski język pokazuje... Nienawidzę!... Miotaczem ognia ich, jak pluskwy, żeby znali miejsce w Rosji, siedzieli po swoich synagogach!...

Robotnicy wywlekli z willi ogromny telewizor Panasonic z mlecznym ekranem i szafkę z kasetami wideo, na których były nagrane telewizyjne filmy, wykonane na zamówienie Zarieckiego. Kopiejko podskoczył do telewizora, pchnął ekran, a ten gruchnął na ziemię i z rozbitego kineoskopu ulatywały toksyczne smużki jak duchy zła. Kopiejko kopnięciami

kozackiego buta pchał w ogień kasety, rozsypując tańczące czerwone iskry.

Zaspokoił swoją wściekłość. Obejrzał podwórze ze śladami okrutnego pogromu. Zamruczał z zadowolenia.

- Idziemy do domu - zwrócił się do Bielosielcewa - batiuszka przyjechał wyświęcić pomieszczenie, żydowskiego ducha wygnać...

Bielosielcew stał pomiędzy zgnębionymi ochroniarzami, wystraszoną służbą, patrzącą na niespotykane dotychczas zachowanie. Tam, gdzie jeszcze niedawno zbierał się kwiat żydowskich bankierów, przemysłowców, liderów ruchów demokratycznych i partii, gdzie rozlegały się arie operowe, wykonywane po włosku przez przyjeżdżające gwiazdy La Scali, gdzie grali najlepsi jazzmani Ameryki, gdzie wznoszono toasty za premiera Izraela, czytano przy muzyce Schnittkego wiersze Brodskiego i Mandelsztama, gdzie rozochocona pięknotka z czarnym loczkiem na skroni, z gołymi piersiami, zadzierała jedwabną spódnicę, tańczyła na stole kankana, pokazując pełne uda - zamiast tego wszystkiego pośrodku sali gościnnej stał prawosławny batiuszka w fioletowej szacie, zanurzał kropidło w miedzianej misie i kropił ściany, żyrandole, jeszcze nie zdarte gobeliny, wzdrygających się ochroniarzy, pokorną służbę, a kozacki generał w złotych epoletach, nowy gospodarz domu, gorliwie okrywał się znakiem krzyża. Bielosielcew, czując na twarzy krople wody, rozmyślał. Znaczący, że Kadaczkin nie ma racji, mówiąc o jakimś „Rosyjskim zakonie GRU” i podobno prozachodnim „Zakonie KGB”. Kopiejko, weteran bezpieczeństwa, demonstrował zawziętą rosyjskość, srogą nienawiść do kosmopolitycznej kohorty. Czyli nie ma żadnych „zakonów”, a wszystko poplątało się i wymieszało w tym pokręconym życiu, gdzie w chaosie i rozpadzie rozumni złoczyńcy tworzą nieskończone zło.

Poprzez modlitewne śpiewy gdzieś obok zadzwonił telefon komórkowy. Kopiejko, wystawiwszy nogę z lampasami, wy dostał ze spodni komórkę. Odwrócił się tyłem do kropiącego kapłana.

- Tak, mister Symon... Potwierdzam, jesteśmy gotowi sprzedać Amerykanom i Izraelitom część akcji ropy naftowej... I, oczywiście, aluminiowych... Rozumie się, czekamy na przelewy finansowe do naszego biznesu medialnego... Niech pan nie słucha tych bają o „rosyjskim faszyzmie”, mister Symon... Rozpowszechniają je nasi konkurenci... Jeśli panu potrzebne potwierdzenia, ja i moi przyjaciele, wśród których są religijni Żydzi, przyjdziemy na rozmowy w jarmułkach... Dziękuję za telefon, mister Symon... - Kopiejko z pietyzmem zamknął wieczko delikatnej szkatułki, w której zgasła garść zielonkawych perełek. - Chciałeś pojechać ze mną do Lefortowa? - zapytał Bielosielcewa. - Przebiorę się i od razu jedziemy...

Bielosielcew patrzył za oddalającymi się kozackimi lampasami i złotymi epoletami, i wszystko płatało mu się w głowie.

Pomknęli po rozgrzanej, jak dymiący rów, Sadowoje Koko. Zanurzyli się w cień wysokościowca na Kotelniczieskiej. Wcisnęli się na nabrzeże Jauzy i łagodnymi zakolami polecili wzdłuż granitowego koryta ze stojącą zieloną wodą, obok zakonów, laboratoriów lotniczych, wilgotnych parków i ciężkich stalinowskich budynków do Lefortowa. W więzieniu powitał ich starszy śledczy, podobny do nastroszonego wróbla, do którego Kopiejko odnosił się poufale, na „ty”, niedbale poklepując po plecach. Zaraz na wstępie, w przejściu, śledczy poinformował, że Zariecki rano miał atak serca i z rozpoznaniem patologii krwi leży w więziennym szpitalu.

- Jest słabiutki, wątłutki - zachichotał Kopiejko - ordynarnego słowa nie znosi. Do Paryża chciał od nas uciec, a my go do klatki... Wiesz - znowu klepnął śledczego w plecy - powiedz swoim, niech zaprowadzą mojego przyjaciela Wiktora Andriejewicza do lazaretu, do tego schizofrenika, który nazywa siebie Gastello. Niech sami posiedzą. A my tymczasem pogadamy, jak idzie śledztwo. Wyjaśnimy, jaki stosunek ma pan Zariecki do Szamila Basajewa i do państwowego przewrotu, do którego nam, chwalić Boga, udało się nie dopuścić. Potem podejdziemy do szpitala do naszego więźnia.

Śledczy zadzwonił do oficera ochrony, a tamten - skonstruowany z żelaznych stawów, twardych chrząstki i skrzypiących ścięgien - poprowadził Bielosielcewa przez niezliczone stalowe drzwi i kraty, elektroniczne zamki i puste korytarze, w których echem odbijały się ich kroki, pod czujnym nadzorem telewizyjnych oczu. Ochroniarze otworzyli przed Bielosielcewem drzwi szpitala, podprowadzili do sali. Bielosielcew wszedł do szklanego, okratowanego boksu i zobaczył na pryczy Nikołaja Nikołajewicza.

Leżał z rękami i nogami w bandażach, w gipsowym pancerzu, w który zamurowano jego drobne ciało, żeby nigdy nie wypuścić na wolność. Twarz skurczyła się, wystawały ostre kości policzkowe, wyschnięty nos i siwe krzaczkowate rzadkie brwi. Rurki i przewody, wśród których leżał, nieprzerwanie, kropla po kropli wysysały jego życiowe soki i on był w połowie pusty. Wydawało się, że zaraz wyschnie, zostawiając w gipsowym kokonie lekką bezbarwną lupinę. Bielosielcew widział, że on umiera, możliwe, że dożywa ostatnich godzin i minut. Stał milcząc, nie mogąc zdecydować się na podejście, patrząc na zamknięte powieki, podobne do ciemnych bulwek. Ale powieki drgnęły i otworzyły się spokojne jasne oczy.

- Czekałem, aż przyjdiesz... Ja do ciebie dawno przyszedłem, a ty dopiero dziś się wybrałaś... Ja ciebie widziałem, a ty mnie nie... Teraz spokojnie sobie leżę, urlop od was wziąłem... Pójdę, odpocznę, a wy tu jeszcze popracujcie...

Bielosielcewowi zrobiło się go tak bardzo żal, że oczy zaszkliły mgłą i kolorowe przewody i rurki rozplynęły się, tworząc wokół głowy Nikołaja Nikołajewicza pstre wianuszki. Jeszcze jeden człowiek opuszczał ziemię, niezrozumiany, niewypowiedziany, starający się nieudolnie przekazać zdobytą wiedzę, w której zawierał się cały wszechświat i, nie znajdując w ludzkim języku odpowiednich słów, płacząc i kalecząc mowę, wrywał się na zewnątrz, próbując się ujawnić. Zamknięta w więzieniu, w zakratowanej szpitalnej sali, zamurowana w gipsowym kokonie dusza próbowała wyrwać się na wolność, zwracała się do Bielosielcewa o pomoc.

- Nie mogę na zawsze odejść... Mnie na ziemi postawili i skrzydła dali... Do nieba polecę, odwiedzę żonę i syna, bukietik im dam i wrócę... Muszę córkę chronić... Książeczkę jej czytałem: „Wychodzę samotnie na drogę...”, a ona mi łzy chusteczką wycierała... Ona jest dobra, zobaczysz... Lżej jej będzie, kiedy ja odejdę... Ona na wojnę pójdzie... Jak Zoja Kosmodemiańska... Boli mnie w piersi... Dlatego człowiek...

Bielosielcew słuchał z zażawionymi oczami. Łowił rzadkie krople światła, wpadające z niewidocznego nieba do ciemnej więziennej celi, palące się po kątach jak małe lampki oliwne. Przed nim, zamurowany w kamień, umiera najlepszy na ziemi człowiek, i nie było siły, nie było modlitwy ni czarów, za pomocą których można by go zatrzymać.

- Mówię ci, niszczy śmierć nie śmiercią, a wiecznym życiem... Ja śmierć podeptałem, od tego umarłem, a wieczne życie - Rosja... Wszyscy powinniśmy umrzeć, żeby Rosja powstała, a w niej - nasze życie wieczne, jak mówił Czkałow... Ty umiłuj, oplacz, wszystkich nas wezwij, my powstaniemy... Carowie z mogił, wodzowie z murów, a ja i ty z pokrzywy. Dlaczego u mnie Bogurodzica Dziewica cieszy się z jednej strony, a towarzysz Stalin z drugiej?... Tak samolot zbudowany, na obraz i podobieństwo... Ja wszystkich kocham, dlatego boli...

Bielosielcew czuł do niego tkliwość i bolesną bliskość, jakby leżący przed nim człowiek był jego synem albo bratem, albo ojcem.

- Najbardziej niewierzący, a jest w wierze... Który zabił, ten doszedł... Który rozbił się, ten wleciał... Ty rosyjski rycerz, ty bez wiary nie wytrzymasz... Lenin jest żywy, jego nie należy grzebać, nie ma takiego grobu... Wielebny Siergiej wstał i poszedł po ziemi, jemu w mogile ciasno... On na barykadzie się pojawił, z boku stanął, słuchał, jak Majakowskiego żonie i synowi czytałem... Ty wierz - i dzieło swoje zakończysz, a ja ci pomogę... Tylko córkę przyprowadź, żeby się pożegnać...

Bielosielcew czuł, że Nikołaj Nikołajewicz umiera. Chciałoby się zatrzymać go obok, przedłużyć jego minuty, oddać mu część swojego życia, napić swoimi sokami, swoją gorącą krwią. Żeby nie zostawać

sierotą na ziemi. Żeby nie przepadła bez śladu objawiona przez niego jasna wiedza.

- Jedna jest Ziemia-Rosja...Jeden naród - rosyjski... Finowie, Niemcy, Bułgarzy - oni też rosyjscy... Rosyjski naród wszystkich kocha, dlatego go karzą śmiercią... My i trawę kochamy, i gwiazdę, i syna, i przechodnia, i przelotnego, i przejezdnego, każde koło, każdą strzałę i kulę, które w nas lecą, dlatego właśnie żyjemy... Od nas inny świat się zacznie, który nigdy nie umrze... Od naszych smutków wszystkim ludziom radość... Ty wierz w Zwycięstwo, ono i słońce, i gwiazda, i księżyc, i Rosja, i rumianek, i mateczka, i córeczka, i ja, i ty w Zwycięstwie nigdy nie umrzemy... Pożegnajmy się... Daj rękę...

Bielosielcew pochylił się, wziął w rękę końce białych palców, sterzających z gipsu. Nikołaj Nikołajewicz patrzył na niego spokojnym, oddalającym się wzrokiem.

Drzwi otworzyły się i do sali weszła Weronika, trzymając pełną plastikową reklamówkę. Trwożnie popatrzyła na Bielosielcewa, gdyż jego twarz wydała się jej znajoma. Ale nie przypomniała sobie okoliczności, w jakich się spotkali. Następnie jej wzrok zatrzymał się na ojcu i, zaglądnąwszy do swojej torby, mówiła, śpiewnie przeciągając słowa, jak rozmawia matka z chorym dzieckiem:

- A co to ja ci przyniosłam?... Co ty lubisz?... Rosołek z kury ci przyniosłam, jeszcze ciepłutki... Sok pomarańczowy, jak prosiłeś... Potrzebne ci witaminy, żebyś się poprawił...

Póki mówiła i zbliżała się do ojca, Bielosielcew, zdruzgotany śmiercią proroka, zdążył zauważyć zmiany, jakie w niej zaszły. Na głowie miała zawiązaną zwykłą chustkę, pod którą były schowane cudowne złociste włosy. Zamiast krótkiej, nie sięgającej kolan spódniczki, miała na sobie niezgrabnie leżącą długą sukienkę. Na twarzy nie miała makijażu, przydającego celuloidowego lalkowego koloru, nie miała szminki, od której kusicielsko i wilgotnie różowiały wargi. Była pospolitsza, nie tak interesująca. Nie szedł od niej odurzający, wodzący na pokuszenie zapach perfum, przypominający tropikalne rozkosze.

- Jaką mamy dziś gorączkę?... Co nam lekarze mówią?...

Dotknęła jego palców wystających spod gipsu. Potem szybko, ze strachem położyła rękę na czole. Zajrzała w nieruchome oczy, które już kamieniały. Obejrzała się na Biełosielcewa, oczekując od niego pomocy, wyjaśnienia, zapewnienia o tym, że ojciec jest żywy i tylko zasnął na chwilę. Ale twarz Biełosielcewa, jak lustro, odbijała w sobie obraz zaistniałej śmierci i Weronika, zatrzymawszy się, przyłożyła ręce do piersi, zamarła nad nieoddychającym ciałem. Zawodziła przenikliwie, po babSKU, zachłystywała się w strasznej ślepej hysterii, przez którą burzliwie przebijały starożytnie kwilenia, pobrzmiwały przesywające historyczne zawodzenia.

- Tato, tatku mój kochany, dlaczego na mnie nie poczekałeś?... Spieszyłam się do ciebie, taksówki złapać nie mogłam!... Lekarze mi powiedzieli, że ci się polepszyło, a ty sobie leżysz i rączki twoje zimne!... Dlaczego ci nie powiedziałam, że Kocham cię, żyć bez ciebie nie mogę!... Wczoraj mi się mama i Andriusza przyśnili, że siedzimy przy stole, a ty wchodzisz i jabłka nam rozdajesz!... Gorzkie ty moje jabłuszko, tatuśku mój najdroższy!... Jakże ja jestem winna wobec ciebie, a ty mi wszystko przebaczyłeś!... Ty mnie chroniłeś, broniłeś, a teraz jestem sama i każdy może mnie obrazić!... Tatku, otwórz swoje oczka, popatrz na swoją córeczkę, jak ona cię Kocha!... Lalkę mi kupiłeś, a ja ją zgubiłam, nie wiem, gdzie się podziała!... Co też oni z tobą nawyprawiali, wszystkie twoje rączki połamane, wszystkie nóżki twoje zabandażowane!... Dlaczego mnie nie wzięłeś ze sobą, swoją córeczkę, byśmy razem z mamą i Andriuszą żalowali siebie!... Dlaczego odszedłeś, nie czekając na mnie, nie powiedziałeś słowa na pożegnanie!... Jak ja teraz będę żyć, nie mam sił!...

Na chwilę straciła przytomność na piersi ojca. Weszli sanitariusze, podtknęli jej do twarzy amoniak, wiali w poblądle usta walerianę. Pod ręce, ostrożnie wyprowadzili ją z sali.

Biełosielcew wyszedł na szpitalny korytarz i zobaczył Kopiejkę w narzuconym na ramiona białym fartuchu, który rażno szedł razem ze śledczym, spoglądając na numery sal.

- Zdaje się, ta elitarna? - zatrzymał się przed drzwiami, przywołując Bielosielcewa. - Trzeba odwiedzić cierpiącego... Mimo wszystko dawniej zwierchnictwo... - Ty - zwrócił się władczo do śledczego - pospaceruj sobie z pół godzinki. A my z Wiktorem Andriejewiczem odwiedzimy podsądnego - i pchnąwszy drzwi, ciągnąc za sobą Bielosielcewa, wszedł do sali.

Na obszernej pryczy, podniósłszy pod przykryciem kolana, tonąc wąską głową w poduszkach, leżał Zariiecki. Żółty, jakby pomalowany białym roztworem jodiny, wyłożył na kołdrę chude czepliwe rączki. Nad nim wznosił się rozgałęziony jak drzewo stojak do kroplówek, obwieszony szklanymi owocami, przezroczystymi butlami, owinięty lianami rurek. Przez nie w szczupłe ciało magnata przesączały się podbarwione i bezbarwne roztwory, które mieszając się z jego limfą i krwią, wywoływały musztardowo żółty odcień.

Nad głową stał monitor z pulsującym elektronowym grafikiem i wydawało się, że życie Zariieckiego było zatopione w szklanej kolbie z wyciekającym zielonym robaczkiem.

Kiedy weszli i Zariiecki poznał Kopiejkę, jego ciemne oczy z żółtymi białkami drgnęły nienawistnie i ze strachem. Spróbował schować się pod kołdrą, zarył się głębiej w poduszki, a elektronowa linia na moment przerwała się, a potem pobiegła szybciej, strzelając szpiczastymi zębami, podobna do żwawego zielonego smoka.

- Dzień dobry, drogi towarzyszu - głucho powiedział Kopiejko, zatrzymując się przy chorym, zapierając się rozstawionymi nogami w podłogę, skrzyżowawszy na piersi silne, twarde ręce. Głuchy głos, biały fartuch na ramionach, okrągła ostrzyżona głowa wzbudziły w Zariieckim przerażenie, jakby zjawił się oprawca i czekają go piekielne męki.

- Za wszystko odpowiesz, przestępco!... Mój adwokat przygotował protesty!... Do Sądu Najwyższego!... Do Sądu w Hadze!... Do komisji praw człowieka!... Będzie skandal, światowy!... W mojej obronie wystąpi cała inteligencja, całe światowe towarzystwo!... Przygotowałem pisma od razu do dwóch Prezydentów - Rosji i Ameryki!... Zetrą cię na proch

jako faszystę i antysemitę, a ja małym palcem nie ruszę, żeby cię ratować!... - Zariecki szarpał się, wierzgał pod przykryciem nogami, dokąś się wdrapywał, wciskał się w poduszki.

- Do Hagi, mówisz?... Ciekawe!... - w zamyśleniu, żelaznym głosem powiedział Kopiejko, patrząc na monitor, po którym skakała rozerwana ząbkowana linia.

Ten pełen zadumy żelazny głos, podobny do kuli, którą ładowano w armatę, wyrwał z chudej piersi Zarieckiego pełen skargi pisk, jakby w dziupli duszono piskłę.

- No dobrze, zrozumiałem moją niezręczność... przegrałem, nie umiałem cię rozgryźć... Trzeba umieć przegrywać... Bierz mój majątek, jesteś przecież zorientowany we wszystkich moich sprawach... Cenne papiery, nieruchomości... Wiesz, w jakich bankach trzymam pieniądze, gdzie chowam brylanty... Zabieraj wszystko... Ważne, żeby mieć głowę, zdolną do odkryć... Mój biznes - to łańcuch genialnych odkryć, które przyniosły mi pieniądze...

Dumnie, z wyrazem wyższości popatrzył na Kopiejkę i natychmiast wystraszył się swojego śmiałego, pogardliwego wzroku. Poruszył ostrymi kolankami, uchwycił się koldry chudymi, ostro zakończonymi palcami.

- Dobrze, dobrze, ja umiem przegrywać...

- Umiesz, mówisz? - ponuro zainteresował się Kopiejko, przyglądając się koldrze, jakby się przymierzał zgrabnieją złapać i zerwać, żeby obnażyć mizerne, cherlawe ciało o zwiótczałych mięśniach, wąskiej piersi, pokrytej rzadkim włosem.

Od tego wzroku, jakim trumniarz zdejmuje miarę z jeszcze żywego klienta, linia życia Zarieckiego stała się linią przerywaną, nad którą wzlatywały fontanny przedśmiertnego strachu.

- Dogadamy się, ty pozwolisz mi odejść, a ja ci wysmaruję kompromitujące całą górę pisma... Na Bałwana, gdzie jakie konta, pałace w Meksyku i Hiszpanii, roponośne pola w Wenezueli, akcje diamentowych rurek w Namibii... Na Córkę dwa kilometry taśmy - w łóżku ze wszystkimi,

kto chciał, i z Astrosem, i z szoferem, i z trenerem tenisa, z ogrodnikiem, z głównym ochroniarzem... Dla „Playboya” za sto tysięcy dolarów... Powiem, kto zastrzelił Listjewa, kto wysadził Chołodowa, kto zarażał Miennia... Dam kompromitkę na Grieczysznikowa, jak on chłopczyków do siebie wozi i razem jednego cukierka liżą... Kompromitka - to władza... Będziesz najsilniejszy... Pozwól mi odjechać!...

- Jak powiedziałeś? Odjechać? - Wargi Kopiejki rozciągnęły się w gumowym martwym uśmiechu.

- Daj mi pieniędzy na drogę!... Pięćset dolarów!... Wyjadę i o mnie nie usłyszysz!... Przecież masz dzieci, matkę!... Błagam!... - mamrotał Zariecki, ujrawszy w okrągłych oczach Kopiejki coś nieodwracalnie straszego.

- Pięćset, mówisz? - Kopiejko powoli zakołysał się jak granitowy pomnik padający z postumentu. Pochylał się, walił, ruszając rozgałęziony, obwieszony butlami stojak z kroplówkami i cieniutkie przewody, łączące elektroniczny stymulator z sercem Zarieckiego. Stojak z hukiem upadł, rozlewając po podłodze różnego koloru płyny. Linia życia na ekranie zgasła. Zariecki otworzył usta w kształcie rombu, w których od duszności pęczniał fioletowy długi język. Szarpnął się, wstrząsnął jak z zimna. Zmniejszył się, jakby uciekał w niewidzialny lej, odchodził pod ziemię w otwór odpływu. Po minucie nie było go.

Rozdział trzydziesty

Miasto widoczne z okna, z bogatymi jesienią złotymi frędzlami bulwaru, nieprzerwanie mknącym potokiem samochodów, kryjącymi się we mgle wieżami Kremla, dalekim złotem Chramu, cieniutką jak szaroniebieskie piórko Szuchowską Wieżą, kryształowymi wystawami drogich sklepów, płonącymi w biały dzień reklamami zamorskich towarów, niestrudzenie biegnącym po trotuarach bezimiennym niemym

tłumem - to miasto było skazane. Skazane na spalenie, ponieważ nie ostał się w nim ani jeden sprawiedliwy. Wszędzie, jak tłuste robaki, kłębiły się przywary, zwijały się w lepkie smrodliwe kłębki w każdym domu, pod każdym dachem, w każdym ludzkim sercu. Ostatni sprawiedliwy Nikołaj Nikołajewicz leżał pod prześcieradłem w więziennej kostnicy, a jego oszalala z rozpaczyny córka biegła po Twerskiej, wpadając na słupy latarni i malowane tablice reklam.

On, Bielosielcew, sprzeciwiając się woli Boga, powstając w swoje szalonej pysze przeciw Stwórcy, powinien uratować to miasto.

„Boże... Królowo Niebieska... Nikołaju Nikołajewiczu... Dobra, kochana babciu... Mamu kochana... Kwiatuzku-bławatku... Rumianku...” - szeptał modlitwę i cud wydawał się możliwy.

W mroku, w którym jak czerwona rana płonęła nad dachami reklama „Samsung”, zadzwonił telefon. To był Sierioga, jego zadyszany, zdławiony głos:

- Wiktorze Andriejewiczu, Achmedkę namierzyliśmy... Ma materiał wybuchowy... Aloszka, chłopaczek, no, pamięta go pan, jego matka i ojciec złodzieje, on z domu dziecka uciekł... Aloszka namierzył Achmedkę, jak cukier na rynek wiozł, z garażu worki do „Gazeli” ładował... Z worka piasek się posypał, Aloszka na język wziął, a to gorzkie i śmierdzące... Achmedka zobaczył, Aloszkę stłukł o mało co nie na śmierć... Powiedział, że zarżnie, jeśli słówko piśnie... Aloszka do mnie na czworakach przypełził, opowiedział o piasku...

- Dokąd Achmedka powiózł worki?... Gdzie „Gazela”?... - Bielosielcew poczuł, jak szybko mknie czas i zaczynają się zawody między tymi, którzy, udając ludzi, dążą do wysadzenia miasta, do wypełnienia nakazu rozgniewanego Boga, a nim, Bielosielcewem, próbującym ich powstrzymać, ubłagać zagniewane Bóstwo o oszczędzenie miasta, w którym się urodził i wychował, i które nieskończenie kochał.

- Nie mogli wysledzić Achmedki... Urwał się... Potem znowu namierzyli, ale już bez samochodu... Teraz w restauracji „Złota małpa” siedzi

z jakimś facetem... Jedzą, ale wódki nie piją... Nie wiem, o czym gadają...

- Sierioğa, czekaj na mnie na rogu, obok restauracji, już wyjeżdżam... Nie rzucaj się w oczy... Trzymaj się w cieniu... Mogą zabić... Za Achmedką i za facetem, jeśli wyjdą, pošlij obserwatorów... Za około czterdzieści minut będę...

Gnał, ile mocy w starej wołdze, nurkując pod migające zielone światła, przelatując na żółtych, lecąc przebojem na czerwonych, uskakując przed prostopadłym potokiem maszyn. Minął plac Tagański z ognistą karuzelą, wpasował się w ryczący strumień prospektu. Obok, zostając z tyłu i doganiając, zasuwwały ciężarówka, ryczały wywrotki, płynęły inne samochody. Ajemu wydawało się, że wszystkie jadą tam, dokąd i on. Spieszą się wziąć udział w ostatniej walce o miasto lub w tłumie gapiów nacieszyć się fantastycznym widowiskiem końca świata, wylatującej do nieba Moskwy. Przemykające twarze kierowców i pasażerów wydawały się wrogię, były po stronie spiskowców. Dusił pedał, wyciskając ze zmęczonego żelaza żaloszny jęk. Starał się wyprzedzić rywala, jako pierwszy przybyć na miejsce. W fioletowoczarnym niebie nad ulicą, nad ryczącym strumieniem maszyn płynął anioł, przyciskając do biodra miedzianą trąbę. Biełosielcew usiłował wyprzedzić samego anioła, uprzedzić jego gest, którym on przycisnie do ust miedziany kornet, wydmuchując z niego złowieszczy dźwięk apokalipsy.

Przyjechał do Pieczatnik i w płataninie jednokierunkowych ulic nie od razu znalazł restaurację. Budynki w zimnej mżawce żółciły się mętными oknami, jakby w mieszkaniach palono kaganki, napełnione trąnem. Jaskiniowe światło ledwie tliło się w ogniskach, przy których zebrali się półnadzy, zarośnięci ludzie, sennie przeżuwali niesmaczną żywność, bezmyślnie patrzyli w wyblakłe telewizory, siedząc w nieposłanych, nieświeżych łózkach. Nie modlili się, nie prosili Boga o przebaczenie. Nie wiedzieli, że dożywają ostatnich godzin przed spłonięciem w osłepiającym ogniu. Naszła go myśl: zatrzymać samochód, wpaść do

domów, stukać do mieszkań, budząc mieszkańców straszną wieścią, przerwać ich senną vegetację. Wywoływać na ulicę, żeby tłumnie paść na kolana, wzniesć do niebios błagające ręce, prosić Boga o odroczenie.

Restaurację zobaczył, kiedy już ją mijał, ale nie zaczął hamować. Nie zmniejszając szybkości pojechał dalej, ale zdążył odczuć odrazę do jakskrawożółtego szyldu „Złota małpa”, na którym gazowe świecące rurki wyobrażały wyszczerzonego zgarbionego szympansa. Lepka pozłota odblasku kładła się na asfalt przed restauracją. Na nim jak ciemne cienie stały sprzedajne kobiety. Wesoło rozmawiał z nimi odzwierny w jakimś dziwnym stroju, prawdopodobnie przedstawiającym angielskiego kolonialnego żołnierza w korkowym kasku. Tuż obok parkowało kilka samochodów, jeden z nich zatrzepotał żółtym migaczem i wolno odjeżdżał.

Bielosielcew odjechał od restauracji, błyskawicznie obejrzawszy okolicę, zauważył niedaleko zarośla, w których mógł się ukrywać Sierioğa. Zrobił długie zagmatwane koło, przedzierając się przez dzielnice oświetlone mętnymi fioletowymi latarniami, wyglądającymi jak świecące trujące grzyby. W jednym miejscu napatoczyła mu się nietrzeźwa para i pijana kobieta pogroziła pięścią, w której trzymała butelkę. W drugim, koło oświetlonego straganiku w kolorowych plamkach puszek piwa, celofanowych torebek, etykietek na butelkach, zamachał na niego jakiś wąsaty nieogolony Kaukaziec, prosząc o podwiezienie. Bielosielcew powoli go ominął, wpatrując się w podejrzaną twarz. Zbliżył się do restauracji, zatrzymał się w miejscu, skąd nie było widać wstrętnego szyldu, a tylko jego rudy ostry blask. Postawił samochód dalej od latarni. Siedział, wpatrując się w ulicę, starając się rozpoznać pilnujących obserwatorów, ukryte strażę, asekurowujące Achmeda i jego kompana, siedzących w restauracji. Było pusto, mżył deszcz, pokrywając szyby samochodu rozmytymi zmarszczkami. Bielosielcew wyszedł na deszcz, zapiął płaszcz, postawił kołnierz, nasunął na czoło kapelus z rondem.

Ruszył powoli chodnikiem w stronę rudej małpy, do odległego węgła domu, gdzie zaczynały się krzaki, w których mógł chować się Sierioğa.

Prostytutki w krótkich spódniczkach o wymalowanych nienaturalnie twarzach stały przed wejściem na złotym odbłasku, a odzwierny w getrach, w korkowym kasku, w niedbale skrojonym frenczu angielskiego kolonizatora szczyrzył się, oglądał długonogie dziwki, usiłował uszczyplnąć w pierś. One nie uchylały się, chichotały, czujnie zagłądały do wnętrza restauracji, gdzie w rudym świetle widniały namalowane palmy, grała muzyka, migwały niewyraźne cienie. Tam, za rekwizytowymi palmami przytała się owłosiona zła małpa, czekając na decydującą chwilę, kiedy zagrzmia wybuchy, i wtedy nad dachami płonącego miasta, przewracając wysokie iglice, zrzucając żelazne dachy, podniesie się olbrzymi owłosiony King Kong z nadpaloną sierścią.

Dwa samochody, bmw i audi, zaparkowane były przy chodniku. Miejsca kierowców były puste, i Bielosielcew, opuściwszy głowę, przeszedł obok restauracji, słysząc wabiący śmiech prostytutek.

Kiedy zbliżył się do zarośli, spomiędzy mokrych liści wynurzył się Sierioğa, gibki, zgrabny, podniecony, nie w swojej zwykłej chustce, a w sportowej czapce z daszkiem. Zachowując zasady konspiracji, ruszył śladem, wymawiając głośnym szeptem:

- Siedzą, żrą, do środka nijak nie wejdiesz... Ja na minutkę wszedłem, powiedziałem, że papierosy kupię... Zobaczyłem ich przy stoliku, a potem mnie wyrzucili... Tędy idziemy, Wiktorze Andriejewiczu, za róg, z krzaków doskonale widać... - Zanurzyli się w zarośla, gdzie było mokro, ciasno, ale była widoczna ściana domu mieszkalnego z jednakowymi kwadratami okien, ulica z nielicznymi szumiącymi samochodami i szyld restauracji z małpą nad wejściem.

- Miejsce jak należy... Choćby snajpera posadzić - zaśmiał się radośnie Sierioğa, zaczepiając czapkę o gałęzie. Podobała mu się wojenna gra. Szykując się do wojska, on już znajdował się w górach Kaukazu,

śledził bojowników, zwierzęcym słuchem łowił chrzęst gałęzi, padający kamień. - Pobitego Aloszkę w garażu zostawiłem, niech się odleży, a dziewczęta po Pieczatnikach biegają, szukają „Gazeli”.

Przyczaili się w krzakach, wśród gałęzi, jak dwa ostrożne czujne ptaki. Czas, który jeszcze niedawno mijał szybko, teraz spowolniał, prawie stanął, skapując po kropli. Bielosielcew znalazł tę osobliwość czasu - nagle zwalniał szalony upływ, zamierał w nieruchomym odmęcie, przed tamą, zwiększając swoją głębię i masę, żeby potem przerwać tamę, spieszenie pomknąć, wciągając świat w lawinę zmieniających się wydarzeń.

Uwaga, początkowo skoncentrowana na restauracji, zaczęła się stopniowo rozpraszać. Bielosielcewowi nagle wydało się dziwaczne to siedzenie w krzakach, w moskiewskiej dzielnicy, śledzenie i oczekiwanie wroga, na którego kiedyś polował na innych kontynentach, przylegając młodym silnym ciałem do ostrych kamieni Salanga, patrząc, jak po ścieżce prawie nie dotykając ziemi, idą mudzahedini w szarawarach i długich pelerynach, a sąsiedni kaemista, bojąc się zdradzić, przyciskał do ziemi oksydowaną lufę „Diegtiariowa”. Jak w Angoli na granicy z Namibią, patrzył na czerwona wstęgę dróg, gdzie lada chwila powinna pojawić się pancerna kolumna „Buffalo”, i czarnolicy strzelec, spocorny, jak natarty rtęcią, trzymał przy ramieniu strzelbę. Jak leżał w wydrążonym kanoie, znoszonym przez brązową wodę Rio-Coco wzdłuż szpaleru szeleszczących trzciny, uderzających o burty gałęzi, a młodzieńki sandinista, ciężko dysząc ze zdenerwowania, przyciskał do piersi „M-16”. Teraz zaś wróg z innych kontynentów przeniósł się do Moskwy, a on się zestarzał, bez broni, mając za osłonę chudego chłopaka w sportowej czapce, oczekiwał na moskiewskiej ulicy pojawienia się wroga.

Zastanawiał się, jak zacznie działać, kiedy uda się wysledzić przemieszczanie się Achmeda i znaleźć skrytkę z materiałem wybuchowym, do której wejdzie Czeczeniec, przyświecając sobie latarką. Biec na milicję? Czy dzwonić do FSB? Czy rzucić się na plecy Achmedowi, uderzyć

w bok śrubokrętem, który przypadkiem znalazł się w kieszeni, czy ogłuszyć kamieniem? Nagle to siedzenie w mokrych krzakach wydało mu się bezsensowne. Nie ma żadnych wrogów, on stał się ofiarą swoich zwykłych manii, podwyższonej chorobliwej podejrzliwości, doprowadzającej go do marazmu. Trzeba oprzytomnieć, wyjść z krzaków, strząsnąć z marynarki deszczowe krople, nałożyć normalnie kapelusz i otwarcie pójść do samochodu pod idiotycznym szyldem bez gustu, obok podobnego do błazna odźwiernego i wymalowanych rusalek.

- Długo ich nie ma - powiedział zmarznięty Sierioğa. - Może wyszli drugim wyjściem? Pójść zerknąć, czy co?

- Czekaj - zatrzymał go Biełosielcew. - Ja pójdę... Oni mnie nie znają... Wejdę, zainteresuję się restauracyjną kuchnią... Czy podają pieczonego szympansa z rusztu...

Przedarł się przez gałęzie, wyszedł na chodnik. Przybrał lekkomyślnie-roztargniony wyraz twarzy. Zaczął zbliżać się do restauracyjnego wejścia. Naprzeciw powoli, oślepiając reflektorami nadjeżdżał dżip, ostrożnie parkując przy chodniku. Uchylając się przed oślepiającymi światłami, Biełosielcew zrównał się z odźwiernym w kasku, obok którego już nie było prostytutek, zamierzał wejść na schody, naprzeciw muzyce, ciepłemu, przesyconemu gastronomicznymi zapachami powietrzu. Na progu, z korytarza z palmami, pojawił się mężczyzna wysoki, młody, z mocnymi ramionami, wąską twarzą z wąsami, w którym Biełosielcew poznał Achmeda. Biełosielcew zamarł z podniesioną, gotową stanąć na stopniu nogą, skrzył ją na bok, robiąc niezgrabny krok, poszedł dalej chodnikiem. Kątem oka dostrzegł drugiego mężczyznę, który pojawił się na progu, i po krzepkiej, z lekka otyłej figurze, po okrągłych oczach, które zalśniły pod beretem, poznał Grieczysznikowa. Ten coś wesoło mówił do Achmeda. Biełosielcew przestraszony skurczył się, żywiąc nadzieję, że Grieczysznikow, rozleniwiony jędrzeniem, nie poznał go. Nie przyspieszając kroku, trochę kiwając się, żeby z boku uchodzić za podpiętego przechodnia, poszedł wzdłuż ulicy, w ciemniejszą część, gdzie stał

jego samochód. Obejrzał się - Achmed i Grieczysznikow wsiedli do dżipa, a ten płynnie ruszył, zapalając przezroczyste reflektory, i zaczął oddalać się.

Czas przerwał tamę i skierował się w otwór, omywając jego wystraszone serce, zamienione w ogromny kamień.

Wsiadł do samochodu, zapuścił silnik. Tylne światła dżipa oddalały się. Ruszył wołgą, bojąc się stracić z oczu oddalające się pudło z rubinowymi tylnymi światłami, podjechał pod krzaki, gdzie krył się Sierioğa. Ten jak kula wyskoczył, padł na siedzenie jak zmoknięty nastroszony wróbel.

- Oni wszyscy są w zмовie - rzucił Biełosielcew Sieriodze. - Razem nacisną zapalnik...

Tamten, nie rozumiejąc, kiwnął głową, odwrócił czapkę daszkiem do tyłu.

Dżip jechał niespiesznie, jakby nie życzył sobie, by go stracono z oczu. To zaniepokoiło Biełosielcewa, ale szybko zrozumiał, że kierowca, nie znając dzielnicy, uważnie ogląda domy. Kiedy znalazł właściwy, przy którym była rozkopana ziemia i stał słabo oświetlony znak „roboty drogowe”, kierowca skręcił na wewnętrzne podwórze, obok białego wysokościowca, zatrzymał się przy wejściu, gdzie stały inne, zostawione na noc maszyny. Biełosielcew wyłączył światła, schował samochód w cieniu drzew, które wypełniały podwórze ciemnymi skłębionymi koronami. Pod tymi koronami był ledwo widoczny placyk zabaw - drewniany domek, drabinki, piaskownica. Achmed wyszedł z dżipa, coś powiedział do pozostałych w samochodzie. Wszedł do klatki, a dżip, włączony wsteczne światło powoli cofnął się, wydostając się z wąskiej przestrzeni, szykując się do wyjazdu na drogę.

- Obserwuj klatkę, zrozumiałeś?! - przykazał Biełosielcew Sieriodze. - Kiedy wyjdzie, idź za nim. A ja śledzę dżipa... Miejsce spotkania - mała restauracja, w tamtych krzakach... Weź pieniądze, łap samochód, żeby było szybciej. - Biełosielcew wsunął Sieriodze plik banknotów.

Zaczekał, kiedy tamten wysiadł z samochodu. Jego lekki cień mignął pod drzewami, skrył się w drewnianym domku z czterospadowym dachem, skąd przez okienka można było obserwować wejście do klatki.

Dżip rozpedził się, wyjechał pod latarnie na ulicę i Bielosielcew w oddaleniu ruszył za nim. Dżip jechał szybko główną drogą, która otaczała dzielnicę. Nie ginął z widoku, kierując się z Pieczatników naprzeciw rzadkim, błyskającym światłami samochodom. Trafił się wśród nich milicyjny radiowóz, na który Bielosielcew spojrzął z przygnębieniem i rozdrażnieniem. Milicjanci położyli przy tylnej szybie zielone kaski, niedbale trzymali na kolanach automaty o krótkich lufach; jechali przez dzielnicę, oczekując zwykłego wezwania do jakiejś bójki pijanych lub drobnego chuligaństwa podpitych wyrostków. Nie mieli pojęcia, że naprzeciw nich jedzie dżip z dynamitem, i patrol razem z innymi mieszkańcami Pieczatnik skazany był na spalenie.

Na rogatkach Pieczatnik, gdzie droga prowadziła do centrum, obok zakładów, stacji kolejowych i nasypów, Bielosielcew gotów był już skierować samochód do Moskwy, wrócić pod blok, gdzie w dziecięcym domku krył się Sierioga. Ale raptem przed czerwonym światłem dżip ostro zakręcił i pomknął z powrotem na Pieczatniki, naprzeciw Bielosielcewa. Nie chcąc być rozpoznany, zasłaniając twarz, odchylił się i zdążył dojrzeć siedzącego za kierownicą szofera, jego wąską twarz, czarną cienką linię zrośniętych brwi, jakby namalowanych pędzlem od skroni do skroni. To był Wachid, razem z Achmedem i Greczysznikowem. Ich partner i współtowarzysz. Wszyscy oni zamyślali eksplozję. Byli w zмовie. Krążyli, jak sępy, po zaminowanej dzielnicy, przeznaczonej do zniszczenia.

Powtarzając niebezpieczny zwrot, Bielosielcew pognał za dżipem, ale tamten zwiększył szybkość i stara wołga skarżąc jęczała, wysilając żelazne stawy i ścięgna, gotowe pęknąć i zerwać się.

Dżip mknął w deszczu, przekształcając się w mglisty obłok z czerwonym środkiem. Bielosielcew bał się stracić panowanie, bał się ostrego

zakrętu, nieostrożnego przechodnia, nocnego zielonookiego kota. Wydostali się na pustkowie i poprzez strugi deszczu Bielosielcew poznał garaż Nikołaja Nikołajewicza i czarne mętne rozlewisko rzeki, bez świateł, bez odbłasków, w wietrznej złej pustce, skąd nagle spojrziała na niego zmęczona twarz Proroka, który bezgłośnie o coś prosił, za kogoś się modlił. Ale nie było czasu na zrozumienie, co miało znaczyć jego pojawienie się, gdyż uciekający dżip wyleciał na czarne pustkowie.

Wrócili na zamieszkałe tereny. Minęli restaurację z żółtą ohydną małą. Dżip ostro zwiększył szybkość, jakby włączył turbiny. Oderwał się od Bielosielcewa, zlewając się z mokrą drogą, latarniami, światłami na przejściach. Raptem przepadł, jakby uniósł się w mętne niebo i skrył za zasłoną deszczu. Zakłopotany Bielosielcew prowadził samochód pustą drogą, wracał, skręcał w zaułki, usiłując między jasnymi domami, czarnymi ogrodzeniami i podwórzami dojrzeć nieszczęsnego dżipa. Zatrzymał się, wstrzymując oddech, słyszał, jak cicho i żałośnie pojękuje maszyna, jakby brzęczał w niej metalowy owad.

Wtem straszna parząca myśl - oszukali go, bawili się z nim, prowadzili, zwodzili, od czegoś odciągali, wzięli na przynętę, ciągnęli w niepotrzebną stronę, a potem obcięli żyłkę i uciekli, a pozostawiony haczyk dźwięczy w samochodzie.

Czekali na jego przybycie do Pieczatnik, śledzili go. Prawdopodobnie od chwili, gdy jechał propektem, a nad nim leciał anioł z trąbą, przekazując Grieczysznikowi informacje o zbliżaniu się „obiektu”. Albo na rogatekach Pieczatnik, kiedy rzuciła mu się pod samochód pijana parka i kobieta z butelką była agentką Grieczysznikowa, natychmiast doniosła mu o przemieszczeniu „obiektu”. Albo zatrzymujący samochody Kaukaziec, machający ręką, doczekał się, kiedy wołga przejedzie i przez komórkę przedzwonił do Grieczysznikowa, informując o trasie „obiektu”.

I druga straszna myśl, zaraz za pierwszą - o wyrostku, pozostawionym w drewnianej zapadni pośród zarośniętego pustego podwórza. O

Sieriołę modliła się znużona twarz Nikołaja Nikołajewicza. „Sieriozeńka, jadę do ciebie!... Boże!... Królowo Niebieska!...”.

Gnał przez dzielnicę, bojąc się, że pobłądzi, że może nie odnaleźć wśród jednakowych, smutnie monottonnych budowli wapienno-białego domu. Ale pokazały się rozkopy drogowe, otoczone płótkiem, przechylony znak robót drogowych. Biełosielcew skręcił w stronę domu. Poznał wąskie, zastawione samochodami przejście. Dwa czy trzy mętnie żółte okna świeciły się od frontu. Czarne czubki drzew gięły się i stukwały o siebie od wiatru i deszczu. Niewyraźnie majaczyły placyk zabaw z domkiem, piaskownicą, drabinkami. Biełosielcew zostawił samochód. Przebiegł podwórze z ławkami. Przeskoczył drewnianą piaskownicę, gdzie jego przywykłe do ciemności oczy dojrzały zbudowane z piasku miasteczko, rozmyte deszczem babki i figurki.

- Sierioła!... - cicho zawołał Biełosielcew, podchodząc do domku. - No jak sprawy?... Jaka sytuacja?...

Nikt się nie odezwał. Skoczył do środka drewnianej, pachnącej wilgocią budowli, oczekując, modląc się, by naprzeciw niego stanęło gibkie szczupłe ciało wyrostka, by błysnęły jego oczy.

- Sierioża!...

Chłopak leżał na plecach, rozrzuciwszy ręce, a w ciemności bystrym zwierzęcym wzrokiem Biełosielcew ze zgrozą zobaczył cienką gołą szyję, a na niej głębokie czarne rozcięcie, prawie oddzielające głowę, z lepką smugą krwi.

- Sierioża!... - Złapał odrzuconą na bok rękę. Była jeszcze ciepła, ale już stygła, wydawała się chłodniejsza od mokrej ręki Biełosielcewa. Odchylona głowa leżała z półotwartymi bezbronnymi ustami, z rozpuszczonymi włosami. Czapka leżała opodal. Biełosielcewowi zrobiło się niedobrze. To on był winien tej śmierci. On w swojej lekkomyślności, w swoim zaćmieniu zostawił dzieciaka na rzeź. Przez całe życie, które przeżył, siał wokół siebie śmierć.

Trzeba było wstać, iść do najbliższego posterunku milicji. Opowiedzieć ponuremu, niedowierzającemu dyżurnemu o śmierci chłopaka,

o pogoni, o spisku, o Achmedzie, u którego prawdopodobnie schowany jest materiał wybuchowy. Wysłuchiwać niedowierzających, gburowatych pytań operacyjnego. Wsiąść do radiowozu, żeby znów tu wrócić.

Puścił stygnącą rękę Sieriogi. Wyszedł z drewnianego domku. Skierował się do samochodu na wprost, przez piaskownicę. A w mokrą deskę, odłupując białą drzazgę wbiła się kula bezdźwięcznego wystrzału. Bielosielcew przekezoiołkował, uskakując od niewidocznego snajpera, który z gęstwiny drzew umieszczał w noktowizorze zielonkawę zarysy jego ciała. Tratując babki z piasku, wsunął się pod drewnianą burkę, zasłaniając się zimną deską, która gasiła podczerwone promieniowanie. Drugi wystrzał nie nastąpił, ale w ciemności, między pniami drzew mignął cień. Wyskoczył w przejście pod mętne światło latarni. Człowiek uciekał, oglądając się, bojąc się pościgu.

Bielosielcew skoczył i popędził, nierozważny i rozwścieczony. Człowiek nie miał snajperskiej strzelby - albo ją rzucił na ziemię, albo strzelał z pistoletu z tłumikiem. Uciekający mógł się ostrzeliwać. Zaślepiiony wściekłością, Bielosielcew pobiegł za nim, nie bojąc się strzałów, widząc w uciekinierze zabójcę Sieriogi.

Tamten wyskoczył na jezdnię, biegł pod latarniami. Jego cień to malał, to wydłużał się. Nogami rozpryskiwał kałuże. Był szybki, młody, w rozpiętej czarnej kurtce, silnie pracował rękami. Bielosielcew zaczął tracić oddech. Serce stało się ogromne i rozpulchnione. Zabrakło śliny. Zostawał z tyłu. Astmatycznie dysząc prowadził dalej pościg.

Człowiek skręcił w przejście, rzucił się obok niekończącego się, jak wapienne wyrobisko, domu. Obok śmietników, kwietników, zaparkowanych limuzyn. Bielosielcew zdawał sobie sprawę, że lada moment go zgubi. Wtem uciekający ostro skręcił do klatki, trzasnął drzwiami. Spodziewając się za tymi drzwiami wystrzału z bliska lub ciosu nożem, osłaniając rękami brzuch i serce, Bielosielcew wbiegł na zaśmiecony podest oświetlony mętną żarówką, z rzędami skrzynek na listy, pod

którymi były śmieci, butelki, nieczystości. Winda była nieczynna. Plastikowy guzik był przepalony i stopiony. W górze po schodach oddalały się kroki biegnącego. Biełosielcew, obawiając się ataku serca, czepiając się poręczy, wolnymi krokami pokonywał piętra, szedł do góry obok niechlujnych mieszkań, obdartych drzwi, porysowanych i podrapanych ścian.

Dobrnął do najwyższego piętra. Właz na strych był otwarty. Trzymając się żelaznych szczebli, wlaź na strych. W ciemności zobaczył dymnik z granatowym kwadratem nocnego nieba. Z trudem wydostał się na dach, na wiatr i deszcz, rozglądając się po płaskim dachu z kominami wentylacyjnymi i antenami. Starł się dojrzeć człowieka, ale widział sąsiednie dachy, bliskie czubki drzew i migającą na dalekim nasypie kropkę pociągu elektrycznego. Straszny cios z tyłu ogłuszył go, a padając, zdążył pomyśleć: „Sieriożeńka, wybacz mi...”.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Odzyskał przytomność i pojął, że stoi na nogach, na dachu, ręce ma związane w nadgarstkach, przywiązany do jakiejś metalowej chwiejącej się rury, idącej wzdłuż pleców i karku. Wiał zimny porywisty wiatr, pyskający drobnym deszczem. Moskwa z oddali poprzez deszcz zachodziła mleczną poświatą, a w tej poświacie, daleko, zapalała się i gasła purpurowa reklama. Blisko, przy dachu, falowały jak rośliny wodne, zmięte wiatrem czubki drzew. Poprzez nie niewyraźnie białe domy. W sąsiednim domu żółciło się kilka bezładnie rozrzuconych okien. W wilgotnej ciemności po nasypie jechał pociąg elektryczny, składający się ze złotych nanizanych koralików. Siedząc te biegnące krople światła, prowadził spojrzenie wzdłuż skraju dachu, obserwując, jak pociąg przesącza się przez anteny telewizyjne i kominy wentylacyjne. Znikł, zaczął wsiąkać w nieprzezroczystą ciemność, jakby ktoś gasił światła przednich wagonów.

Kiedy znowu się ukazały po drugiej stronie nieprzezroczystej przegrody, Bielosielcew zrozumiał, że tą przegrodą jest człowiek w berecie, z podniesionym kołnierzem, stojący tyłem do niego.

- No to dograłeś się... Mówiłem ci, wyjedź, choćby na Kanary, choćby do swojego idiotycznego Pskowa. Tu jesteś niepotrzebny. Powinieneś być odpocząć, poprawić nastrój, zażyć rozkoszy, a potem wrócić do nowych zadań. A ty uparłeś się, wbiłeś się w dumę. Zapragnąłeś uratować świat, ustrzec go przed końcem. A przecież koniec świata jest w zamyśle Boga. Ty się Bogu sprzeciwiasz. Z Bogiem wymyślił się mierzyć... - Grieczysznikow ze śmiechem odwrócił się do Bielosielcewa, zrobił krok w jego stronę, spod beretu błyskały jego pomarańczowe okrągłe oczy, które stały się częścią migotania wielkiego zamglonego miasta.

- Dlaczego zabiliście chłopca? - ochryple, wyrzucając z płuc kłęb gorzkiego twardego powietrza, zapytał Bielosielcew. - Rzeźnicy...

- Przecież znasz prawo wywiadu. Jeśli cię odkryli w czasie wykonywania zadania, to świadek, niechby nawet przypadkowy, musi być zlikwidowany. Stara zasada wywiadu. Ty jesteś żywy, bo ja znalazłem się obok. Do głowy miałeś już przystawioną lufę z tłumikiem, ale zdążyłem. Znalaziono by ciebie tu, na dachu, za kilka dni z powodu niezwyklego skupiska wron. Oczywiście, jeśli miałby cię kto szukać... - Grieczysznikow przyglądał mu się z sympatią, jak żywej osobliwości.

- Szykujecie wybuchy? Dzisiejszej nocy?...

- Utraciłeś nawyki operacyjnej roboty, nie potrafiłeś rozpoznać obserwatora na rogu. Prowadziliśmy cię od samego domu, od placu Puszkina, kiedy po telefonie chłopaka spieszyłeś się i nie od razu zapaliłeś silnik. Śledziliśmy cię i widzieliśmy, jak na Tagance stanąłeś nie na swoim pasie i o mało co nie pomyliłeś się i nie trafiłeś na Prospekt Wołgogradzki. Śmiesznie było obserwować, jak stawiasz samochód pod drzewami, niedaleko restauracji. Dama z pieskiem, która przeszła obok,

przekazała numer twojego auta i wiedzieliśmy, że jesteś na miejscu. Z tym sprytnym chłopaczkiem - młodogwardzistą - schowaliście się w krzakach, jakbyście się bawili w grę wojenną „Błyskawica”, i pomyślałem, że zbyt długo pracowałeś w centrum analitycznym i zapomniałeś o elementarnych zasadach konspiracji. Kiedy dwa razy przeparadowałeś jak detektyw w filmie obok odźwiernego, którego wystroiliśmy w kolonialny kostium Livingstone'a, już mieliśmy cię na haczyku. Pognałeś za dżipem z dziecięcym zapalem. Zrobiło mi się ciębie szkoda i spróbowałem dać ci znak, przekazać, że odgadłem twój zamiar. Wyprowadziłem cię na pustkowie, nad rzekę, gdzie stoi garaż twojego obłąkanego znajomka-kamikadze, ale nie zrozumiałeś przyjacielskiego sygnału. Przegrałeś i powinieneś zginąć jako zdrajca, który przysiągł na świętość „Suahili”. Uratowałem cię, ponieważ czuję do ciebie sympatię, i jeszcze dlatego, że prowadziliśmy cię nie od placu Puszkina, a od wojny afgańskiej, od Angoli i Mozambiku, od zadania kumpuczańskiego i od delegacji do Nikaragui. Zaznaczony byłeś w naszych kartotekach jako najbardziej obiecujący, twórczy pracownik i nie pomyliliśmy się co do ciebie.

Bielosielcew pojął, że jego sprawa jest przegrana, wróg go zwyciężył. Swoją przewagą uderzył na odlew, ale się spóźnił, nie zadał „ciosu miłosierdzia”. Wyniósł na ten mokry dach, postawił nad skazaną Moskwą, żeby uczynić świadkiem zagłady nieszczęsnego miasta. I co on jeszcze może zrobić, z rozbitą głową, przywiązany do rdzawego komina, wyczerpawszy zapas swoich sił, męstwa i sprytu?

- Wcześniej czy później wykryją was. Rozstrzelają jak przestępców. Ale do tego czasu zginie przez was tylu ludzi, tylu niewinnych ludzi... - Wypowiedział to żalosne, nieprzekonujące zdanie, patrząc w pomarańczowe oczy, podobne do indykatorów elektronicznego urządzenia, dziwnym trafem połączone z mglistym odbłaskiem miasta, dalekim błędzeniem światła, niewyraźnymi rozbłyskami reflektorów, miganiem dalekiej reklamy. Teraz te oczy mrugną, on zaciśnie powieki, i elektroniczny impuls wprowadzi w ruch

zapalnik i w różnych miejscach miasta uniosą się podniebne fontanny wybuchów.

- Przecież ci mówiłem, wielka historia dokonuje się wielkimi wstrząsami. Przesuwa się wybuchami, społecznymi lub dynamitowymi. Świat za każdym razem przechodzi w swoją nową jakość poprzez wybuch. Jeden „wielki wybuch” zrodził wszechświat. Drugi „wielki wybuch” go zmiecie. Popatrz, jak trywialnie dożywa swoich ostatnich godzin zmurszały świat przed tym, jak wybuchnie i przejdzie w swoją nową jakość, z nową ziemią i niebem, z nową pogodną ludzkością. - Grieczysznikow wykonał teatralny gest ponad dachami. - Moskwa przestaje być „trzecim Rzymem” i staje się w końcu „Nowym Jeruzalem”...

- Ty bluźnisz. Urządzasz teatr, ubierając w niego zwyczajne bestialstwo. Zamierzasz za pomocą krwi stworzyć nowy świat, ale właśnie krew zrobi go beznadziejnie starym, staroświeckim i zmurszałym. Bez względu na to, jakimi to oryginalnymi technologiami byłby naszpikowany „Projekt Suahili”, te technologie doprowadzą w przyszłości do zbrodniczego przelania krwi, a krew zniszczy projekt...

- To są słowa świętoszka, słowa przegranego. „Projekt Suahili”, o którym masz bardzo powierzchowne wyobrażenie, jest ogromny jak labirynt, który stoczył całe spróchniałe, zgniłe wewnątrz społeczeństwo. Zbudowany jest tak, że jeśli zniszczona jest jego jedna gałąź, niepomierzenie wzmacniane są inne. Jeśli zapala się jedna jego część, to inne na tym tylko wygrywają. „Projektu” nie można zniszczyć, bo od tego tylko staje się mocniejszy. Urządzony tak, że wciągnięta w niego jest cała ludzkość i nie ma ani oprawców, ani ofiar, ani winnych, ani sędziów. Wszystkich obejmuje apokaliptyczna zgroza i ludzie będą błagać, by ich uratować. A wtedy przyjdzie Zbawiciel. Przyjdzie Wybraniec. Wskaże winnych. I nawet jeśli oni nie będą winni, ludzie rzucają się na nich i rozszarpią...

- Czego wy chcecie? Władzy nad światem? Przecież nie jesteście młody, niedługo umrzecie...

- A może nie umrę. A ty, jak zwykle, zgadłeś - właśnie władzy i właśnie nad światem. Władza nad osadą czy chutorem, czy nad gubernią, czy nad Moskwą, czy Nowym Jorkiem, czy, jak dziś mówią, nad Eurazją, czy nad Europą i krajami NATO, nad całą półkulą, zachodnią czy wschodnią - to jeszcze nie władza. Władza w całej pełni powinna być światowa, i tylko wtedy może być realnym instrumentem historii. Drobni tyrani, tępi dzielnicowi, żałośni faworyci sądzą, że władza potrzebna jest po to, by dzięki niej zdobyć dużo pieniędzy i kobiet albo założyć imperatorskie teatry, lub utworzyć kosmiczną armię. Prawdziwi władcy, od Czyngis-chana do Aleksandra Macedońskiego, od Cezara do Karola Wielkiego, od Napoleona do Stalina, dążyli do władzy, żeby ją zrobić narzędziem historii. Objąć z pomocą władzy całą ludzkość, wszystkie przestrzenie, wszystkie zasoby ziemi i na koniec otrzymać upragnioną możliwość rządzenia czasem. Skończyć z podzielonym człowieczeństwem, z bezmyślnym handlowaniem zasobami, umysłami, zaprzestać wojen, rozstać się z herezjami, niedorzeczną różnorodnością języków, przez które narody nie rozumieją się wzajemnie. Oto dlaczego wielkie imperia przeszłości stoją wyżej od wielkich republik. One miały w sobie ideę zjednoczonej ludzkości, zdolnej usłyszeć i wcielić ideę Boga. Oto dlaczego dzisiejsza liberalna obmierzła Rosja jest gorsza, bardziej zdegenerowana od wielkiego Związku Sowieckiego, który był imperium i który bezmyślnie straciliśmy. To, co ci przyjdzie dzisiaj zobaczyć z tego dachu - nie wybuchy heksogenu, nie pretekst do rozpoczęcia drugiej wojny czeczeńskiej, i nawet nie środek na przywiezienie Wybrańca na Kreml, to realizacja globalnej idei „Suahili”. Początek nowej budowy świata. Zakończenie „tragedii babilońskiej” i początek wszechświatowego imperium...

Bielosielcew czuł tępy ból głowy, boleśnie związane ręce, zimną rurę, do której przytyka jego grzbiet. Wydawało mu się, że to wszystko - to jest zły teatr okrutnego reżysera bez gustu, zmieniającego egzekucję w

obrzęd, nakładającego na skazańców pomalowane maski, zarzucającego pętlę przy dźwiękach bębnów, tamburyn, tamtamów. Stojący przed nim człowiek - maniak i przestępca, i jeśli jeszcze na krok się przybliży, pochłonięty swoimi chorobliwymi majaczeniami, to można będzie kopnięciem odrzucić go na skraj dachu i tamten z wyciem polecą w dół, zniknie w otchłani w rozłożystych czarnych koronach.

- Wszyscy zgadują, w czym jest idea i życzenie Boga. Żeby każdego dnia bić po sto pokłonów? Żeby na każdej górze pobudować chrám? Żeby zrobić papieża wyższym od cesarza, a patriarchę Nikona wyższym od cara Aleksieja Michajłowicza? Żeby nie ruszać cudzych żon, kochać wroga swojego, lewy policzek nadstawiać, gdy w prawy już cię uderzyli? A przecież zamiar Boga jest całkiem inny. Chodzi o to, żeby zakończyć rozdział Kościołów, rozdział narodów, skończyć z wielobóstwem, wielojęzycznością, z nieprzerwanym sporem i wrogością o przestrzeń, o państwa, o trasy karawany, o złoża uranu i diamentowe rurki. Tkwi w tym, żeby stworzyć zjednoczoną ludzkość i w niej, jedynej, odbić się jak obraz jedyne go, powszechnego Boga. A po co jednoczyć ludzkość? Po co tyle niewdzięcznych trudów? Dlaczego nie zostawić Murzynowi jego Afryki, żółtoskóremu - jego pustyni Gobi, białej twarzy - jego Dniepru i Renu? Dlaczego przez całą swoją historię ludzkość koczuje, miesza się jak kolorowe kawałki plasteliny w gorącej ręce Boga? A dlatego, że Bóg wymyślił coś takiego, co jest w mocy tylko zjednoczonej ludzkości. Do tego mało jednego kraju czy narodu. Mało jednej rasy. Mało połowy czy dwóch trzecich ludzkości. Do wypełnienia Bożego zamiaru nie starczyło rozdzielonego na dwoje świata, gdzie Ameryka i Związek Sowiecki traciły niezmierzone siły na wrogość i pokonanie siebie. Osobno nie mogły dokończyć nawet budowy „Tokomaka” z syntezą termojądrową. Nie potrafiły stworzyć szczepionki przeciw rakowi i HIV. Systemu kierowania klimatem całej kuli ziemskiej. A przecież to wszystko są wstępne, pomocnicze cele, co służą głównemu, boskiemu, do którego przez

wszystkie katastrofy i rozrywki, grzechy Sodomy i religijne fobie, Bóg prowadzi ludzkość, żeby podarować jej Nieśmiertelność. Zwyciężyć śmierć, podeptać ją poprzez śmierć rozczłonkowanego „babilońskiego świata”. Oczyszczającym wybuchem apokalipsy stopić rozdzieloną ludzkość, żeby w tyglu Sądu Ostatecznego z sypkiego popiołu powstał diament. „Projekt Suahili” w swojej najskrytszej istocie - to projekt religijny, związany z eschatologią, z realizacją zamiaru Bożego...

Bielosielcew słuchał Grecyzsznikowa, który mówił śpiewnie, trochę się kiwając, jakby głosił kazanie, jakby czytał niewidzialną teologiczną księgę. Jego głos w połączeniu z wiatrem, z falami deszczu, uderzającymi w dźwięczne żelazo, wydawał się oderwany, pełen męczącej namiętności, nieprzepartej wiary, apostołskiej gorliwości. Bielosielcewowi kręciło się w głowie, wzrok przesłaniała mgła, jakby zapadał w sen.

- Dwubiegunowy świat jest lepszy od wielobiegunowego. Jednobiegunowy lepszy od dwubiegunowego. Liberałowie, te hieny, zjadające trupy wielkich imperiów, grobowe szczury, które zżarły dwubiegunowy świat, sądzą, że mogiła, z której wyszli, połknie całą ludzkość. Ameryka, na którą oni liczą, jak na ostoję liberalnego świata, tak jak i Związek Sowiecki, przetopi się w tyglu jednoczącej się ludności. „Suahili” jest właśnie jednoczącą się ludzkością, zorganizowany dla wszechświatowego zadania - dla osiągnięcia przez człowieka nieśmiertelności. Potęga technologii, majestat biokonstruktorów, analiza matematyków, odkrycia antropologów, przewidywania myślicieli religijnych będą skierowane na wskrzeszenie. Wskrzesimy wszystkich, którzy zmarli cichą śmiercią ze starości lub byli zabici w łonie matki. Kto padł od kamiennego topora lub wybuchu bomby atomowej. Kto zmarł z choroby lub był zakatowany w lochu. Wskrzesimy całą przeszłą ludzkość, w całej pełni. Nerona i zamęczonych przez niego pierwszych chrześcijan. Inkwizytorów i spalonych heretyków. Hitlera i wszystkie ofiary holokaustu. Wskrzesimy Blumkina, Jagodę, Jeżowa i rozstrzelanych przez nich arcybiskupów,

kozackich atamanów, rosyjskich arystokratów. Wskresimy niemieckich żołnierzy Drugiej Światowej i czerwonooarmistów Stalina, zabijających się nawzajem pod Moskwą, Stalingradem, Berlinem. Ich wrogość, nie do przewyciężenia w podzielonym wrogim społeczeństwie, będzie zażegnana we wszechświatowym imperium. Wskresimy tych z barykady Domu Rad i pułkownika „Alfy”, zabitego przez snajpera. Męczennika Jewgenija Rodionowa, któremu czecheński oprawca odciął nożem głowę, i czecheńskiego komendanta, który zginął podczas rosyjskiego „rozciągania”. Wskresimy nieszczęsno niepoważnego Gramofończyka, który wypił nie z tego kieliszka, i dziewczynkę zgwałconą na śmierć na petersburskim podwórku w tych dniach, kiedy Gramofończyk był me-rem. Wskresimy afgańskich poganiaczy karawany z bronią, rozstrzelanych na twoich oczach w Kandaharze. I tę Włoszkę-agentkę, z którą spędziłeś noc w kampuzańskim hotelu, w Siem Reapie, a którą rozszarpał wietnamski fugas. Wskresimy namibijskiego nauczyciela Piotra, którego posłałeś pod bomby mirage'a, i czarną piękność Marię, za którą tęsknisz nocami. Na pewno wskresimy miłe pachole Siergieja, który nieopatrznie popadł pod ostrze czecheńskiego noża przez twoje niedopatrzenie. Żeby ich wskrzesić, musieliśmy ich najpierw zabić. Możliwe, że wszyscy zabici na ziemi byli uśmierceni dla ich przyszłego wskrzeszenia. „Projekt Suahili” - to najcenniejsza istota historii. On był zawsze, jeszcze przed stworzeniem ziemi. Był w plazmie Wielkiego Wybuchu. Był w zamiarze Boga...

Bielosielcewowi wydawało się, że mu podano puchar odurzającego narkotyku. Wszystko, co jeszcze niedawno wywoływało w nim zgrozę, teraz zdało się mądre, nieodwracalne, ubarwione wiedzą o całej ludzkości, było w zgodzie z Boską opatrnością.

- W każdym pokoleniu ludzkości była kapłańska elita „Suahili”, chroniąca testament wskrzeszenia. Testament był przekazywany z epoki w epokę, z narodu w naród, z religii w religię. Wszędzie byliśmy my, ludzie „Projektu”. Czasami część „Projektu” była odkryta i wtedy nas

likwidowano pod różnymi nazwami, w ogniskach lub na szafotach, przy ceglanym murze pod lufami konwojentów albo w pustym polu, pod obręczami bojowych rydwanów. My i dzisiaj jesteśmy wszędzie. W Japonii, Chinach, Niemczech, Rosji. Obecna elita „Suahili”, która za Andropowa i Reagana zaczęła się zmieniać, formowała się wewnątrz wywiadów. Zajmując się rozbrojeniem i odprężeniem, utworzyły zamkniętą wspólnotę wywiadów, do której należał także nasz nauczyciel generał Awdiejew, i twój rywal w Afganistanie Amerykanin Lee, i twój angielski przeciwnik Richard MacWillen, których oszczędzaliśmy, wyprowadzaliśmy spod kul, i którzy oszczędzali ciebie. Wokół nas, często o tym nie wiedząc, koncentrują się najlepsze umysły ludzkości. Znani politycy, przewidujący globalizm. Genialni uczeni, którzy odkryli gen człowieka. Znani gerontolodzy, przedłużający życie człowieka. Wirtuozzi - chirurdzy i biochemicy, tworzący sztuczne narządy. Mistycy, magowie i media, stróże starożytnych kultów. Filozofowie czwartego wymiaru i fiodorowski „wspólnego dzieła”, łączący przyrodę i człowieka w zorganizowaną jednolitą całość. Tamten Doktor Martwych, opiekun mumii Lenina, do którego chodziłeś w poszukiwaniu „czerwonego sensu”, pracuje w naszym stowarzyszeniu. Mamy przeciwników, nie życzących sobie zjednoczenia. Anarchiści Europy, skandalicznie i bezmyślnie wojujący z globalizacją. „Czerwoni konfucjusze” Chin, przeciwstawiający się reszcie świata, tworzący wewnątrz chińskiego miliarda drugi biegun. Islamscy fundamentaliści, widzący w jednolitości świata intrygi szatana. Rosyjscy nacjoniści, dyskutujący o szczególnym przeznaczeniu Rosji. Naszymi przyjaciółmi są Żydzi, którzy wzięli na siebie straszne, nie do udźwignięcia brzemie połączenia rozpraszającej się galaktyki, doprowadzenia pogańskiego wielobóstwa pod dłoń jedyne Boga, połączenia marnotrawno-niejednolitego człowieczeństwa w jeden pracujący zespół. Oni stale ponoszą ofiary. Są prześladowani, mordowani, nienawidzeni. Spaleni w piecach gazowych, przeganiani z miejsc zamieszkania. Ale,

posłuszni przykazaniom, świadomi swego mesjanizmu - łączą, zszywają porwaną ludzkość za pomocą ogólnoswiatowej religii, za pomocą ogólnoswiatowych pieniędzy, za pomocą ogólnoswiatowej kultury, nauki, informacji. Astros i Zariecki byli zlikwidowani nie dlatego, że byli Żydami, ale dlatego, że byli zbłąkanymi liberałami, których zasoby materialne i informacyjne przydały się „Suahili”. To mówię ci ja, potomek rosyjskich chrześcijan, urodzony w kostromskiej wsi, kadrowy pracownik państwowego urzędu bezpieczeństwa. Bardzo wielu nawet nie domyśla się, że pracuję dla „Suahili”. Nie wie o tym Wybraniec. I nie powinien wiedzieć. Stworzyliśmy go w naszym laboratorium. On jest syntetyczny. Możliwe, że on jest całkowitym urojeniem, grą wyobraźni, pęczkiem promieni świetlnych. Na uroczystościach zaprzysiężenia na Prezydenta zobaczysz nie człowieka, a tylko jaskrawą plamkę światła, która upadła na kremlowski parkiet...

Poprzez barwną mgłę, podobną do przezroczystego skrzydełka afrykańskiego motyla, które przyłożono do źrenic, coś zaczynało Biełosielcewa niepokoić. Wspomnienie. Dawna męka. Jakby to już kiedyś było. Niedawno albo w głębokiej starożytności. Z nim albo z tym, kto żył przed nim. Ktoś stał na dachu, a w dali świeciły się złote pagody Angkoru, zielone minarety Heratu, rzeźbiony biało-różowy sobór w Toledo, pskowska śnieżnobiała Cerkiew Nikoły-na-Górcze, budynek na Kocielnickim Nabrzeżu. Tak samo padał deszcz i wiał wiatr, bolała rozbita głowa, rdzawa rura ziębiła plecy. I ktoś drugi pokazywał ręką, proponując pierwszemu kuszące życie bez cierpień i śmierci, wieczny raj i szczęśliwość, żądając w zamian małej ofiary - zaparcia się wcześniejszych świętości.

- My w Rosji mamy szczególną misję. My, rosyjska gałąź „Suahili”, jesteśmy wyznaczeni do skończenia z niedorzecznościami rosyjskiej historii, z fanaberią „rosyjskiej idei”. Mit o niepowtarzalnej Rosji, o wybraniu jej przez Boga, o szczególnym suwerennym losie - mit drogo kosztuje świat. Jeszcze drożej - samą Rosję. Wielcy reformatorzy próbowali

przywrócić Rosję światu, z którego wypadła jak z gniazda. Próbowali wyprowadzić ją z religijnego mroku, z niedorzecznych teorii, uchronić przed rosyjskim mesjanizmem, które przepowiadają objedzeni mucho-morami filozofowie i zaczadziali na rosyjskich piecach literaci. Próba wyrwania Rosji ze świata, jak wyrwano Księżyc z Ziemi i wypchnięto na orbitę, doprowadzi do tego, że bogatsza strona stanie się martwym satelitą z kraterami i bezdennymi morzami, a na ziemi, na miejscu Rosji powstanie ogromna dziura, zalana słoną wodą. Atlantyda, której szukają na dnie oceanu, to w rzeczy samej Księżyc, który oddzieliwszy się od macierzystej planety, odpłynął w martwy Kosmos. „Rosyjskie Zwycięstwo”, „Rosyjski Wiek”, „Rosyjski Raj” - to żalosne utopie, które musimy pokonać, czego próbowała przed nami dokonać opryszczyna Iwana Groznego, przybrańcy Piotra Wielkiego, masoni Aleksandra Pierwszego, komisarze Lenina. Twój nienormalny przyjaciel Nikołaj Nikołajewicz, obłąkaniec, starowier, kamikadze - to wcielenie upartego rosyjskiego ograniczenia umysłu, gotowego prędzej wysadzić siebie lub spalić, obłożywszy się chrustem, niż połączyć się z resztą ludzkości. My uratujemy Moskwę, nie damy jej przekształcić w kraj-kamikadze. Wybuchy, które zobaczysz, to wybuchy uzdrawiające, oddzielające Rosję od „rosyjskiej idei”. Wysadzamy, żeby nie dać się wysadzić. I swoje osiągniemy. Naszym przeciwnikiem są ludzie GRU, zgrupowani, jak i my, w zamkniętym zakonie. Z wojskową ograniczonością i koszarową prostotą przepowiadają rosyjskie odrodzenie. Planują Wielką Rosję. Walczymy z nimi i zwyciężymy. Spóźnili się. Wyprzedziliśmy ich. Wybuchy, które obejrzysz, zniszczą ich. Przyprowadzimy na Kreml naszego Wybrańca wcześniej niż oni swojego. Ale jeśli przypuszczasz, że Wybrańca jest uwięzieniem „Suahili”, to się mylisz. Nie on znajduje się na szczycie naszej magicznej piramidy świata. Nie on ukrywa się w środku naszego kryształowego kręgu. Ten, o którym mówię, wyjdzie w odpowiedniej porze. Możliwe, że go zobaczysz...

Wiatr dmuchnął w twarz. Prysnęła w oczy garść deszczu. Obraz Nikołaja Nikołajewicza jak bezcielesny duch pojawił się przed nim, kołysał się wśród świateł zamglonego miasta. I jego odurzenie skończyło się. Znowu był przytomny, przywiązany do żelaznej rury na dachu domu w Pieczatnikach.

- Lepiej mnie teraz zabij - powiedział do Grecyzysznikowa - inaczej ja zabiję cię później. I nie ma takiej siły, która mogłaby cię wskrzesić.

Tamten w odpowiedzi roześmiał się.

- Zostawię cię tu i pójdę. Będziesz żył, dlatego, że bardzo cię cenimy. Uwodzenie Prokuratora czy wyjazd do Ismaila Chodżajewa, czy walizka z fałszywymi dolarami - to wszystko, jak pojmujesz, głupstwa niegodne ciebie. To po prostu było przetarcie, sprawdzian. Jesteś posiadaczem unikalnego duchowego doświadczenia, które przyda się nam w następnych, głównych etapach „Projektu”. To, co, stąd zobaczysz, niezmiernie wzbogaci twój duch. Kiedy się spotkamy, postawię cię przed głównym zadaniem. Tylko nieliczni mają zaszczyt obserwować koniec świata z takiego wygodnego bezpiecznego miejsca. Wielu by dało za taką możliwość miliony. A ja za darmo przyprowadziłem cię na taras widokowy i postawiłem w najwygodniejszej pozycji. Od tego momentu nie jesteś Wiktoorem Andriejewiczem Biełosielcewem w Pieczatnikach, a Janem Ewangelistą na wyspie Patmos. Do widzenia. Amen. - Śmiejąc się cicho, odwrócił się i znikł w dymniku. A Biełosielcew dalej stał na deszczu wśród czarnych szumiących wierzchołków drzew.

Stał przywiązany do słupa, oczekując śmierci, nie tylko swojej, ale całego świata. Świat też był przykuty do ogromnego czarnego słupa, sięgającego pod samo niebo, ale o tym nie wiedział.

W swoich ostatnich minutach widział świat powszednio i zwyczajnie. Nie drżał ze strachu. Nie prosił Boga o przebaczenie. Nie rzucał się w rozszalałe orgie, żeby nacieszyć się ostatnimi chwilami życia. Od czasu do czasu na dalekim nasypie, rozmywane przez deszcz, przelatowały

nocne pociągi. Na pobliskiej rzece, za zasłoną deszczu, zamigotał światłami północny holownik, po czym rzeka znikła, dawała o sobie znać jedynie wzmożonymi porywami czarnego wiatru. W sąsiednim domu zgasło jedno okno, ale zaraz zapaliło się drugie, na przeciwległym krańcu - ktoś obudził się z atakiem serca albo od poetyckiego natchnienia, albo nie przemógł męczącej bezsenności.

Bielosielcew nie miał pojęcia, jak się powinien zachować w tych końcowych chwilach wszechświata. Spróbował się uwolnić. Poruszał palcami, napinał związane nadgarstki, ale sznurek mocno ścisnął jego ręce z drugiej strony rury. Pociągnął rurę, pochylił się do przodu, zawisł na rękach. Rura drgnęła, ruszyła się w miejscu złączenia z dachem. Szarpnął silniej, uderzył piętami. Zadrzała, metalowy dreszcz przeszedł po jego naprężonym grzbiecie. W nadziei skruszenia żelaza zaczął uderzać i szarpać. Zaniemógł. Stał, chrypiąc z wysiłku, z bólem w nadgarstkach i plecach.

Krzykiem spróbował wezwać pomoc. Krzyk od razu zniósł ponad dachy. Dźwięk, nie dolatując do ziemi, roztopił się w mżącym niebie. Krzyknął głośniejsz, otwierając szeroko usta, ale twardy zimny wiatr zawrócił jego krzyk z powrotem do krtani, zatkał usta mokrym kneblem. Ludzie nie usłyszeli go, zresztą co za sens byłby w ich pomocy, skoro wszyscy - ratujący i ratowani - byli skazani.

Spróbował zwrócić na siebie uwagę Boga. Zanim zaczął modlić się o ratunek, chciał, żeby Bóg zobaczył go przywiązanego do rdzawej rury, zwrócił swoje surowe oblicze, wpatrzył się w niego. Z nadzieją, że Bóg może być ciekaw jego dobrych uczynków, dobrych, miłosiernych postępów, zaczął je wspominać, przedkładać Zbawicielowi. Wykrzykiwał je bez słów, wznosząc oczy ku przelatującym chmurom. Czuł, jak rdzawa rura przechodzi przez jego ciało i wszystkie tkanki i mięśnie nadziane są na żelazny pał, przebijający go na wylot. Głuche niebo milczało, Bóg nie odpowiadał, odwrócił się od niego. Zaczął krzyczeć:

- No zabij mnie, Boże!... Zabierz moje życie, ale daruj życie światu!... Uczyń mnie głównym winowajcą wszelkiego zła, ale oszczędź to miasto i świat!...

Bóg nie słuchał jego krzyków. Nie przyjmował skruchy. Przychodziła zbyt późno. Koniec świata był nieodwracalny, minął „punkt zwrotny”, po którym już nie można było zatrzymać posępnego dążenia świata do swojego końca.

Wiatr wiał w jedną stronę, a był to wiatr niosący nie chmury i deszcz, ale Koniec Świata. Biełosielcew, owiewany tym silnym ciemnym strumieniem, poczuł odwieczne przerażenie, wiedząc, że tym samym przerażeniem wypełnione są góry, łądy, morskie dno, pływające w oceanie wieloryby, miasta z przebudzonymi mieszkańcami, niezliczone groby, w których wzdrygnęły się kości. Cała żywa i nieżywa materia, w oczekiwaniu swojej zguby, ze zgrozą słuchała ciemnego nadlatującego wichru.

Zobaczył, że sąsiedni dom zakołysał się i odchylił od pionu. Część ściany z oknami i klatką oderwała się od fundamentów, wyleciała w górę jak kamień, rozsypała się na mnóstwo nierównych części i odłamków. Straszliwy huk wstrząsnął powietrzem. Rozpalony kłujący orkan poniósł się nad dachami. Biełosielcew straciwszy oddech w bezpowietrznej przestrzeni, sparzony żarem, wyleciał na wyrwanej rurze. Utrzymywał się przez chwilę w niebie, przewracając dziko oczami, widział przeraźliwą dziurę, powstałą na miejscu domu, a potem rąbnął z powrotem na dach i stracił przytomność.

Przeleżał z godzinę, może dwie, nieprzytomny. Z trudem otworzył sklezione czymś powieki. Jego głowa zwieszała się nad skrajem dachu, a ręce, związane z tyłu, wyczuwały szczątek rury. W dole między połamanymi drzewami, oświetlony purpurowym blaskiem, liliowymi wybuchami, pióropuszcami błędnych ogni, widniał dom z ziejącą wyrwą pośrodku. W wyrwie kłębił się kurz, unosila się sadza, płynął musztardowy dym, jak nad eksplodującym reaktorem. Część domu była wyjęta, jakby

ktoś wyciął nożem porcję tortu. W przekroju, w pudełkach pięter strasznie i nago wyglądały pozbawione ścian pokoje, wisiały dywany, nad stołami huśtały się abażury, w toaletach białe jednakowe sedesy. Ze wszystkich pięter, pod różnymi kątami błyszczała lejąca się woda. Podwórze było zavalone gruzami, po których uwijali się strażacy, były łuki wodne, niknąc w ogniu i zamieniając się w parę. Błyskały wszędzie fioletowe sygnalizatory, wyły syreny, przez megafon rozlegały się krzyki, a przez dym powoli wznosiło się ruchome ramię dźwigu. Poprzez trzask ognia, krzyki ratowników, wycie syren, w całym domu, i w sąsiednich domach, i pod nocnymi drzewami, i zewsząd rozlegał się nierówny, napływający falami lament i jęki, jakby tysiące płaczków zebrało się i zawodziło niekończącym się chórem.

Mimo bólu w szyi spróbował odwrócić głowę. Obok, przed oczami zobaczył oderwaną rękę, która pobielalymi palcami ścisnęła stołową łyżkę. I znowu stracił przytomność.

CZEŚĆ PIĄTA

OPERACJA «ROSJA»

Rozdział trzydziesty drugi

Dwa tygodnie leczono go w szpitalu wojskowym, odnawiając rozbite ciało i uszkodzony mózg. Sala była sterylna i cicha. Siostry w wykrochmalonych fartuchach i czepkach sympatyczne. Wojskowi lekarze, życzliwi, uprzejmi, reagowali na każdą jego skargę czy prośbę.

Pokornie oddał się w ręce lekarzy, poddawał się zabiegom, łykał tabletki i mikstury, czuł, jak igła lekkim pchnięciem zagłębia się w jego ciało, jednak przy tym bez ustanku czujnie obserwował personel w białych ubraniach. Wydawały mu się podejrzone pytania lekarzy, ich przymilna natarczywość, z jaką wypytywali się o jego przeżycia, uprzejmość, z jaką wysłuchiwali jego próśb. Robili wrażenie, że szukają w nim choroby, ale szukali czegoś innego. Tajemniczej kapsułki, wszytej od urodzenia, gdzie był zapisany kod jego życia. Robiono mu elektroniczną diagnostykę, przepuszczając prądy przez wrażliwe strefy, wyrysowując na komputerze obraz jego niedomagali, osłabionych funkcji, zmęczonych narządów. Wiedział jednak, że, jak saperzy wykrywaczem min, tak lekarze szukają ukrytej kapsułki, która nie wyświetlała się na ekranie, nie odpowiadała na dotyk przyssawek i zacisków, wymykała się spod obserwacji.

Badali go ultradźwiękami, które przenikały ciało, odbijały się od nerek i wątroby, zostawiały na ekranie niebieskawe odbicia z wgnieceniami, zmarszczkami, ciemnymi osadami i kamieniami. Prześwietlali go aparatem rentgenowskim, poddając klatkę piersiową strumykom nieważkich promieni. Otrzymywali na ogromnym ekranie obraz jego żeber, obojczyków, kręgow, dziurawych kości miednicy. Kładli go na ceratowym łóżku, i do przewodu pokarmowego zapuszczali giętki, jak błyszcząca czarna żmijka, wężyk, który prześlizgiwał się w głąb, w głucho ciemne katakumby, wypatrywał, oglądał, jakby szukał na ściankach jaskini tajemniczego starożytnego rysunku. Wysyłał na zewnątrz telewizyjny obraz z podziemia, gdzie dyszały i chlupały jego wnętrzości. Kładli go na plecach i umieszczali głowę w ogromnym białym pierścieniu, prześwietlając mózg pod różnymi kątami, na różnych głębokościach. Na ekranie pojawiały się barwne obrazy półkul, mózdzku, przysadki mózgowej. Kolorowa mapa jego myśli, męczących poszukiwań, pytań bez odpowiedzi. Lekarze oglądali obraz, milcząc kiwali głowami, a on z założonym na głowę białym pierścieniem, podobnym do ogromnego turbanu, wiedział, że nie udaje im się odkryć jego tajemnicy.

W czasie pobytu w szpitalu dowiedział się, że wojsko przekroczyło granicę Czeczenii i powoli przemieszczają się po równinie, spychając czeczeńskie formacje w stronę Groznego.

W Pskowie poznał staromodny budynek dworca, ale nie poznał przydworcowego placu, który stał się obszerny, obstawiony straganami, pstrymi kioskami, z głośnie muzyką, topornymi reklamami, prowincjonalnie i bez gustu naśladowującymi styl stolicy. Wsiadł do trolejbusu i pojechał do hotelu, przyglądając się prawie zapomnianym budynkom w alei, które kiedyś wydawały się wyższe, ładniejsze, droższe, a teraz obcowały na niego surowymi fasadami. Nie poznając w obcym młodego zakochanego podróżnika. Hotel, chociaż nie zmienił się od tamtej pory, był tak samo niewesoły, niewygodny z ciasnymi i ubogimi pokojami, ale

i w nim zagościł duch energicznego dorobkiewiczostwa, taniej rozpusty i bezkarności.

W hotelu usiadł na łóżku, postawił neseser przy nogach. Nie spieszył się do wspomnień, nie spieszył do przeżyć, oszczędzając siły do trudnego i, być może, niewykonalnego czynu, którym powinien zawrócić czas.

Pierwszym miejscem, które zamierzał odwiedzić, była Wieża Pokrowska na brzegu Wielikiej, gdzie niegdyś przedzierał się nocą przez mokre pokrzywy po grząskim żwirze. Wieża zadziwiła go skromnością swoich rozmiarów, jakby uschła i nie wydzielala już heroiczných mocy. Dotykał kamieni, pragnąc znaleźć ukrytą szczelinę, ale były na amen zamurowane i nie odpowiadały na dotyk. Wielika posępnie toczyła leniwe szare fale, niczym nie przypominając żywej, ulatującej do gwiazd rzeki.

Rozczarowany i smutny brnął, odnajdując wśród domków i wąziutkich uliczek dom Pogankinów, gdzie kiedyś, w dniach jego młodości mieszkali archeologowie. Przyjęty był przez ich hałaśliwe bractwo, kiedy zmęczeni, opaleni w wykopie, pili wieczorami wino, zastawiając butelkami i szklankami drewniane skrzynki, do których wkładano różne kości, na pół zbutwiałe sprzęty, skorupki, ozdoby z brązu, a szef ekspedycji ostrożnie wyciągał ze skrzyneczki gramotę na brzoźowej korze z wydrapanymi znakami, pokazywał mu drogocenne znalezisko. Dom Pogankinów był tak samo piękny, biały, przypominał duży rosyjski piec z szymbami, paleniskami i przypieckami. Ale tu na niego nie czekano. Nikt nie zbiegał po stopniach, wyciągając ręce do objęć. Nikt nie patrzył na niego ponad płomieniem świecy, podnosząc do ust szklankę czerwonego wina.

Przeciął zaludniony plac, wypełniony innym tłumem, innymi samochodami, znakami innego czasu, nie znajdując między nimi znajomych wieśniaczych twarzy, wypłowiałych wiejskich ubrań, plecionych koszy i kobiałek. Przeklęte miasto, otoczone wypukłym murem, wpuściło go do siebie, i tam, gdzie kiedyś otwierał się czarny torfowy wykop z wyziewami, kałużami zgnięj wody, szczątkami starych jezdní i fundamentami

zaginionych cerkwi, nad którymi pracowali zgarbieni archeolodzy w panamach i słomianych kapeluszach, to miejsce, gdzie natknął się na cud, pozbawiający go na chwilę oddechu, teraz było puste, po muzealnym zimne i surowe.

Zasmucony, w mżącym deszczu stąpając po opadłych liściach, ruszył do Zapskowiego brzegiem cichej leniwej Pskowi, gdzie niegdyś prowadził za rękę swą lubą. Minął Grzmiącą Wieżę, szedł po stromiznach przez mokre pokrzywy tam, gdzie na czarnym nocnym pagórku, wśród gwiazd i mgieł, patrzył na złote wrzeciono, odbite w płynącej wodzie i całował ją. Teraz wszystko było nieme i zimne. Z wysokiego brzegu wiał nieprzyjemny wiatr, a tam, gdzie wcześniej stały ściśnięte różnobarwne mieszczkańskie domki, teraz widniał nowy, szary, ordynarnie pompatyczny dom.

Pomyślał, że jego eksperyment nie udał się. Miasto było obce i niepotrzebne. Głos przeszłości nie zadźwięczał. Cerkwie wcześniej żywe, podobne do ludzi, z ciemnymi dużymi głowami, białymi jak z pszenicznego ciasta kopułami, z cukrowymi dzwonicami, teraz były eksponatami. Nie poruszały, nie wzruszały. Nie miało się chęci przytulić się do nich policzkiem, pocałować ich białych szat. Zdecydował, że trzeba pojechać na dworzec, kupić bilet powrotny do Moskwy, dzień przesiedzieć w hotelu, a wieczorem wsiąść do pociągu i odjechać, nie całkiem wyrzucać sobie sentymentalne brednie, niespełnione nadzieje.

Stał na wysokim brzegu Pskowi wśród ciemnego burzanu w porwach zimnego wiatru. Na wietrzną pomarszczoną rzekę nie chciało się patrzeć. Pochylony płot cmentarza wywoływał bolesne uczucie. W nagich czubkach drzew niosły się niskie mokre chmury. Pod nogami w mokrej ziemi leżała skorupka porcelanowej filiżanki, dawno rozbitej, wyrzuconej pod zbocze, zagubionej w korzeniach lebiody i pokrzyw, która teraz, po ulewnych deszczach wyszła na powierzchnię. Spozstrzegł ją kątem oka, wzrok sięgnął dalej, do ponurych krzyży, na których wisiały splowiałe blaszane wianuszki. Naraz zapragnął dokładniej obejrzeć

skorupkę, dostrzegł na niej namalowany zielony listek i czerwony płatek kwiatka. Znowu wzrok pobiegł za rzekę, gdzie kobieta prała w wodzie bieliznę. Skorupka wabiła go, niepokoiła. Patrzył na kawałek porcelany i serce słodko zamierało. Z obawą i jednocześnie nieprzepartą potrzebą schylił się. Sięgnął po skorupkę. Zebrał wszystkie istniejące w duszy jasne siły, skierował je na kawałek porcelany z czerwonym płatkim. Dotknął palcami ziemi. Odłupał skorupkę. I pod odłamkiem porcelany raptem otworzył się ulatujący w głębinę bezkres, w który gwałtownie wskoczył, jak jerzyk, przelatując nad szumiącym potokiem, prznosił swoje zaostrome wygięte skrzydła przez wąski przesmyk. Zapadał się w dół, w niebieską pustkę, jakby spadał bez spadochronu, czując, jak nim kręci, przewraca, ciągnie w dół nieprzeparta siła. A kiedy wylądował, miękko uderzył ramieniem o ziemię, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, był już w swojej przeszłości. Schodził po schodkach wagonu na pskowski peron, patrząc na jaśniejącą niebieską zorzę.

Przyjechał do Pskowa nocą i, wynajawszy pokój w hotelu, od razu poszedł nad Wieliką, pod czarne topole, wdychając ich gorzką nocną świeżość. Żwir chrząścił pod nogami, Pokrowska Wieża czerniała jak rzucona na ziemię czapka w rosistej trawie. Wielika toczyła się szeroko, gładko, z płynącym pojedynczym światłem. Po cichu się rozebrał, rzucił odzież na trawę i z rozkoszą, jak zwierzę, miękko przeszedł po zimnym żwirze do wody, czując, jak rzeczny ogórkowy zapach delikatnie drażni nozdrza, a dalekie niebieskie światła przy moście patrzają, zupełnie jak oczy zdziwionych zwierząt. Powoli nabrał pełną, do bólu, pierś powietrza, podniósł ręce i rzucił się z pluskiem w spokojną czarną toń. Lodowaty denny strumień uderzył go w żołądek, trzepnął po nogach i, wyrwawszy się z ognistej strugi, stękając, tracąc dech, popłynął po miękkiej ciepłej wodzie.

Płynął prosto na światła, które nurkowały przed nim przy samych brwiach. Fale szkłście podnosiły się, pękały, a z każdej wylatywało niebieskie światło. Popłynął szybciej, zanurzwszy głowę w szumiącej wodzie, czuł, jak twardeją strugi, a potem zanurkował w ciemność, wchodząc w nią głębiej. Ciało stawało się cieńsze, dłuższe, lżejsze, i, dotknąwszy dłonią dna, wyleciał na powierzchnię z lekką fontanną bryzgów.

Wyszedł z wody mokry, zimny i silny. Ubrał się i wracał do miasta, do hotelu. Topole czerniały nad jego głową, pod jedną jakąś para całowała się, a zorza już zaczynała świecić nad dachami.

Obudził się i wyszedł do obmytego porannego miasta. Nie spiesząc się, szedł po zaludnionych ulicach, kłaniając się napotkanym cerkwiom. Nikola-na-Górcie z mocną pacholęcą głową, zdziwiony i radosny patrzył poprzez zieleń. Michał Anioł w śnieżnobiałej obszernej koszuli z ognistym paskiem wokół szyi i rumianym spokojnym uśmiechem.

Przez plac na rynek ciągnęli ludzie. Wieśniaczki z jagodami zebranymi wczoraj w okolicznych borach, sok z koszyków sączył się niebieskimi zaciekami. Płowy chłopak - wędkarz z wiązką leszczy na plecach, tłustych, gładkich, z krwawymi pasemkami skrzeli. Przeturkotał wóz, w skrzyni kręciły się żywe kogucie głowy, grzebienie trzęsły się za plecami staruszka w czapce.

Przeciął ulicę, orientując się po zapachu mokrej rozkopanej ziemi, i zanurzył się w kamienną arkę Zakazanego Miasta, gdzie wśród siwych pomarszczonych ścian przy szpiczastej wieży zobaczył czarny rozkop, drobne kałuże wody między nadpalonymi bierwionami. Archeolodzy w zawiązanych na głowach chustach, ratując się przed słońcem panamami, lekkimi kapeluszami, siedzieli na skrzyniach lub kłęczeli i dużymi nożami ryli ziemię.

Stał nad wypaloną jamą i poprzez pałace słońce, poprzez ślady niewiadomego pożaru widział nie czarne bierwiona spalonych zrębów, a chrzęszczące świeże liście, wyrazistą zieleń trawy przy bramie, czerwony kwiatek na oknie. Widział mocne piece z żywym ogniem, gorące chleby i szybkie ręce, skrzypiące łóżka za zasłonką, wielkookie dzieciaki z drewnianymi

lalkami. Ktoś ze stukiem wchodzi do domu, dźwięczy na łańcuchu miedziany czerpak, kubek dzwoni o ceber i lekkim cieniem przemknął ptak nad dachem, a teraz została tylko ciemna jama i zgniła ziemia na jego bucie.

Ruszył dalej tam, gdzie marszczyły się mury twierdzy i widniały kopuły soboru. Oto i droga, bruk błyszczący jak łuska, ogromny sobór, jakby na niebie powieszono białe prześcieradła, a one wydeły się na wietrze i cicho szeleszczą. Wydawało się, że wydrażone kopuły stukają się srebrnymi łbami. Między krzyżami latały ledwie widoczne stadka jerzyków. Sucha ziemia, trzmiel rusza się w kwiatku, dziewczyna patrzy na niego zdziwiona, a stadko jeżyków hałaśliwą kulą zerwało się z krzaków, ze świstem runęło w dół, wybuchło granatowymi bryzgami i znowu zebrało się i uleciało do góry.

Stał onieśmielony i blady. Dziewczyna uśmiechała się. Miała w rękach nóż, ryła nim ziemię, czarna ziemia przyłgnęła do białego ostrza. Jej zielonkawe, mrugające od słońca oczy odbijały łopiany, kolorowe szkło i srebrzysto-dymne kopuły.

Zobaczył ją znowu wieczorem na parkiecie tarasu. Stała przy wilgotnej balustradzie w gładkim złocistym uczesaniu, z dużą uczniowską kokardą upiętą z tyłu głowy, taka sama jasna jak rano, tylko cicha i poważna. Tłum tańczących raz po raz ją zasłaniał, to znów widać było jej kokardę, sukienkę w czarno-białe koła. Obserwował ją, niepokoił się, bojąc się, że ją teraz zmyje i ona zniknie na zawsze. Przebijał się do niej coraz bliżej i nagle prawie bezwiednie, prawie wbrew woli, podszedł, z duszą na ramieniu uklonił się, milcząc wyciągnął rękę zapraszając do tańca. Podniosła twarz, trochę nachmurzyła się i zobaczył, że oczy jej są szare, miękkie od puszystych brwi, rzęs i wijących się włosów, a nie tamte, ostrosłoneczne i zielone, jak rano. Przemknęło w nich coś żywego, wesołego, poznała go i wyciągnęła naprzeciw wąską rękę, opaloną, z niebieskawymi żyłkami. Cofnął się o krok, tłum ich wchłonął i zakręcił na wilgotnych deskach tarasu.

Dawno nie tańczył i teraz z rozkoszą i nieśmiałością prowadził ją w tańcu. Zmierzchało już i czarna lipa nad werandą przekwitwała. W niej miękko paliła się latarnia, wypadały z niej ćmy i znowu leciały do światła. Daleko nad tłumem błyszczała instrumentami orkiestra. Raptem wydało mu się, że wszystko - i orkiestra, i lipa, i ta, z którą tańczył - jest dziwnie obce, dalekie, z jakiegoś dawniejszego, ale nie przez niego przeżytego życia. A zwłaszcza ona, jej kokarda, jej dysząca pierś i twarz - obce, nieznanne, na zawsze nieodgadnione, i nie wiadomo dlaczego podszedł do niej, ośmielił się dotknąć i teraz trzyma jej ciepłą, ale obcą rękę. Orkiestra grała i oni w milczeniu krążyli w tłumie.

„Jak to możliwe? - myślał, prawie nie słuchając muzyki. - Czyżby wszystko było takie proste? Uklonić się teraz i odejść, kroczyć ciepłymi ulicami jeszcze słysząc muzykę, a ona jeszcze będzie stać tu, pod tą lipą, i wszyscy jeszcze będą tańczyć - ten fagas z czarną muszką, i tamta grubaska z perłowym guzikiem, a mnie tu już nie będzie. Wszystko rozpadnie się, i zostaną nasze dwa całkowicie obce życia. I będą potem miliony spotkań, i inne miasta, i, być może, wojny i rany, wszystkie moje radości i upadki, wszystkie łzy, pocałunki, choroby, wszystkie pokoje, stoły, picie herbat, i wszystko bez niej. A u niej - te same pocałunki, łzy, choroby i dzieci, a potem zmarszczki na tej cudnej twarzy. I wszystko beze mnie, jakby niczego nie było, jakbyśmy nie tańczyli teraz i jej ręka nie leżała w mojej!”

Taka możliwość wydała mu się tak przerażająca, nie do wiary, że pomyślał: „A przecież tak niewiele potrzeba, tak bardzo niewiele, żeby nie zniszczyć teraz tego tańca, żeby miał on ciąg dalszy, żeby u nas wszystko było razem. Tak niewiele - tylko jedno słowo, jakiegokolwiek!”

Z ogromnego kwitnącego drzewa spływało na nich lekkie odurzenie. Patrzył, jak poprzez jej włosy prześwieca w lipie latarnia, denerwując się, spytał:

- Jak pani na imię?
- Ania - odpowiedziała.
- Ania? A ja Witia!

Uśmiechnęła się z lekka, a on poczuł, jak mu spadł ciężar z serca. Poczuli się lekko i swobodnie.

- Co pani robiła rano tam, wśród łopianów z tym ogromnym straszonym nożem? - zapytał, ciesząc się z tej lekkości i swobody. Na kogoś pani czatowała? A ja nadbiegłem. Niewiele brakowało, a mogłaby się krew połać.

- Rzeczywiście, wystraszył się pan okropnie. Tak pan wyglądał, jakby miał pan zemdleć. Chciałam pana podtrzymać. Noża się pan wystraszył? - zaśmiała się.

- Wydało mi się, że sobór na mnie padnie.

- Jak na bluźniercę?... A ja siedzę w moim rozkopie całe dnie, a kopty do mnie z góry zaglądną, takie ciekawskie głowy.

- Co pani odkopała dzisiaj?

- A tę fajkę. Wzięłam ją z sobą, żeby ponosić - otworzyła dłoń, wyciągnęła do niego kawałek glinianej fajki, okopconej wewnątrz. - Już znalazłam w tym dole kilka fajek i wszystkie okopcone.

- Prawdopodobnie w starożytności tam znajdowała się palarnia i tam zbierali się palacze. Popalali sobie fajeczki, spokojnie rozmawiali. A pewnego razu posprzeczali się, zaczęli wymyślać sobie, połamali swoje fajki i rozbiegli się. Przecież mogło tak być?

- Naturalnie. Zapamiętam tę pańską wersję.

- Koniecznie proszę zapamiętać. Kiedy zacznie pani pisać monografię „Palenie w Dawnej Rusi” albo „Gatunki staroruskiej tabaki” lub „Kółka tabacznego dymu jako prawzór staroruskich form architektury” - wtedy proszę o mnie nie zapomnieć.

Popatrzyła na niego badawczo i poważnie, i nagle roześmiała się, drgając podbródkiem, kołyszając kokardą, trochę odchylając głowę. A on poczuł nagle szczęście, czułość do jej białej szyi, do głębokiego miękkiego śmiechu i do tej kokardy, która na pewno pachnie słońcem, jej włosami, jej pokojem, książkami, zeszytami.

- Skąd pan jest? - zapytała, przestając się śmiać. - Z Pskowa? Widzę, że nie. Dlaczego pan łązi po łopuchach? Dlaczego sobór ma na pana runąć?

- Ciągnie mnie do tych roślin. Pewnie kiedyś byłem łopuchem. A sobór runie dlatego, że moi przodkowie byli heretykami. Przyjechałem z Moskwy właściwie bez celu. Chciałem pieśni pskowskich posłuchać. Tu jest taka wioseczka Mały, a obok niej Brody, a jeszcze obok Chory. Tam cudownie śpiewają.

- Pan zbiera pieśni?

- Nie, ale lubię. Wie pani, czasami trafi się na jakieś święto, na świętego Piotra albo wesele. I słuchasz. A jeśli śpiewacy są dobrzy, jeśli chór jest zgrany, to człowiek przeżywa ogromną rozkosz. Sam czasami podśpiewujesz, a potem długo, długo żyjesz tym uczuciem.

- To prawda, moja babcia śpiewała. Czasami jej siostry przyjeżdżały z Kostromy. Siedziałam w jej ciepłej chustce i słuchałam. I teraz czasem zakładam jej chustkę, żeby przywołać tamte cudowne wrażenia. Słyszałam dużo pieśni i co nieco pamiętam.

- Pani śpiewa? Może pośpiewamy?

- Tutaj?

- Dlaczego tu? Pójdziemy dokądkolwiek. Choćby do Pskowa. I pośpiewamy.

Trzymał ją za rękę, patrzył na uśmiechniętą twarz, ciągle czując tę lekkość i swobodę, z jaką prowadził ją za sobą przez tłum, obok orkiestry. „No więc zaczęło się... Wszystko samo, samo...”.

Szli brukowaną uliczką, a muzyka cichła za drzewami.

Siedzieli nad Pskowa, na zwałonym drzewie w czerni krzewów. Dołem bulgotało, huczało na kamieniach, a twarz Ani bliska, ciepła, bieląła wśród wilgotnej mgły, zapachu kamieni i pokrzyw.

- Jaką będziemy śpiewać? - zapytał, przysłuchując się szumowi rzeki.

- Nie wiem. Ja przecież mało ich pamiętam. I to nie do końca. Jakieś kostromskie. Zna pan?

- „Słowik kukuleczkę namawiał”. Taką pani słyszała? Znad Wołgi, z czasów ujarznienia Kazania.

- Nie, nigdy nie słyszałam.

- A „Huzarka”? Dwunasty rok.
 - I tej nie znam. Babcia nie śpiewała.
 - A jaką śpiewała?
 - Na przykład tę: „Jak po Pokrowie w pierwszym tygodniu...”
 - „Wypadł pierwszy śnieg...”?
 - Tak, tę!
 - To niech pani zacznie.
 - Boję się, nigdy nie śpiewałam we dwójkę. I tak od razu... Dziwnie!
- To już pan, skoro pan wymyślił, niech zacznie. A ja będę wtórować.

Pskowia pluskała w dole, zupełnie jakby ktoś niewidoczny płukał bieliznę i biało-srebrne prześcieradła płas kały o wodę.

- „A po Pokrowie...” - zaczął, czując, jak drgnęło, zadźwięczało powietrze przy pierwszych tonach.

„W pierwszym tygodniu...” - ciągnął, podwyższając głos i załamując go na najwyższym, przepięknym trelu tak, jak śpiewali jego przodkowie w całym rozległym leśnym kraju, dziko i słodko.

- „Spadł pierwszy śnieg...” - zaśpiewali razem, a on wiedział, że i ona czuje to samo.

- „Na odtajałą ziemię...” - dośpiewali, milknąc, wsłuchując się w zamierający pod skłonem dźwięk.

„Jaki pierwszy śnieg? Na jaką ziemię? - myślał. - Na jej, kostromską? Gdzie jej babka szła, czepiała się płotów, omijając czarne kałuże? Skąd ona zna to wszystko - pole, tęsknotę, nadzieję? Czyżby stąd, że kołysała ich jedna i ta sama ziemia i pozwoliła chodzić po sobie w tym samym czasie?”

Jak po tym śniegu
 Jechało wesele,
 Siedmioro sań,
 Po siedmioro w saniach...

Śpiewali, przelewając się w siebie wzajemnie. Jej młode serce biło w jego piersi, a jego rosnące szczęście obejmowało i napełniało ją. Byli teraz i niczym i jednocześnie wszystkim razem.

Odprowadzał ją przez miasto do Domu Pogankinów, gdzie mieszkali archeolodzy. Mało mówili po drodze, a żegnając się, umówili się na spotkanie na jutro, na Śniatej Górze, żeby obejrzeć stare freski.

Obudził się o świcie i patrzył, jak w popielatym niebie delikatnie rumieni się obłoczek. Wyszedł na ulicę. Było szaro i zimno. Obudzony gołab, trzęsąc się z zimna, gruchał na dachu hotelu. Kuląc się z zimna ruszył do twierdzy, pragnąc odszukać tamten wykop wśród łopianów, gdzie zobaczył Anię.

Szedł po obwalonej ścianie między twardymi mokrymi łądęgami. Ciężkie mętne słońce leniwie kołysało się nad dachami. Całe miasto kołysało się w czerwonej mgle.

W dole na placu, na który spędzano bydło, coś gruchnęło, zadzwieczało. Ze skrzypem otworzyły się wrota, a z nich z milczeniem i rykiem runęło stado.

Stado kłębiło się w dole, wypełniając ulicę, a on, w nagłej, dręczącej ciekawości zbiegł po zboczach i, przyłgnąwszy do płotu, patrzył, jak z hałasem toczy się na niego lawina drżących grzbietów, chlastających ogonów, krwią nalanych oczu.

Straszny, przygnębiający był widok ryczącego stada. Ale on nie odchodził, gdyż w tym przygnębieniu i ciężkości była przyciągająca, chorobliwa, brutalna siła. Ona pociągnęła go za stadem i dalej, w niewidzialną, jeszcze nieistniejącą dal, w czas, który jeszcze nie nadszedł, gdzie mógł znaleźć się wśród okrutnych żywiołów świata.

- Dokąd? - krzyknął do przebiegającego obok poganiacza.
- Do rzeźni! - ochryple odpowiedział tamten.

Jakaś ślepa siła zerwała go z miejsca i pociągnął za stadem, wdychając jego smród i kurz. W ciasnocie i z bólu w bykach budziła się żądza. Wskakiwały jeden na drugiego, biegly na tylnych nogach, wysuwając mokre języki, polewając ulicę mętną cieczą. Poganiacze o nabrzmiałych od krzyków żylach osadzali je pałkami w stadzie.

Stado przeszło centralnymi ulicami miasta, wyrwało się na szosę i potoczyło, kurząc, po asfalcie.

„Dokąd ja zmierzam? Ubojnia, wojna, okrutne żądze świata?... Nie dla mnie!... Nie moja droga!...” - Ocknął się i stanął. Serce kołatało, w oczach miotały się byki. Stado już daleko kurzyło czerwonym pyłem.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony i sflaczały, jakby część jego życia wyciekła w ślad za skazanym stadem. Powoli brnął z powrotem po pustej szosie.

Kiedy słońce było już wysoko i grzało silnie, wsiadł do autobusu i pojechał na Śniatną Górę. Droga wiła się nad samą Wieliką, poprzez biały kurz spokojnie niebiesciła się rzeka, płynęły po niej stateczki i łódki, zieleniły się łąki na przeciwległym brzegu, a nieruchome stado pstroka-ciło się przy płyciźnie. Autobus zatrzymał się wśród gorących sosen. Ścieżką doszedł do cerkwi.

Stróż w zniszczonej oficerskiej furazerce otworzył mu drzwi do cerkwi. Wszedł pod chłodne sklepienie, odpowiadające echem i spływającym z kopuły powietrzem, z zielono-różowymi na wpół zatartymi freskami. Na ołtarzu delikatnie świecił się rąbek szaty Gleba. Anioł ze szpiczastym sokolim skrzydłem patrzył ze ściany zdumiony i radosny.

Stał w odrętwieniu. Freski nad nim oddychały aromatami ziół i ziemi.

Wyszedł na piekące słońce. Stróż stuknął kluczem i na koniec, powiesiwszy kłódkę, podszedł do niego:

- A ty chyba w Boga nie wierzysz? No no. Bóg jak sen - tobie się przyśni, mnie nie. Tak chodzimy, chodzimy, biedni - i poszedł cicho, wymachując rdzawą wiązką.

Zszedł do Wielikiej i kąpał się w rzece, patrząc na jasne smugi wiatru.

- To tu pan jest! - usłyszał nad sobą. - Z góry pana zobaczyłam.

Ania stała przed nim w biało-niebieskiej spódnicy w paski, w słomkowym kapelusiku, jej kolana złożyły się przy samych jego oczach.

- Pan już i freski beze mnie obejrzał, i wykąpał się? - Patrzył radośnie na nią, nie odpowiadając. Speszyla się i cofnęła o krok. - Co, znowu sobór na pana spadnie?

- Spadnie, spadnie! - zaśmiał się. - Niech się pani wykąpie, woda taka ciepłutka, wspaniała!

- Pan już wszystko beze mnie zdążył.

- Niech się pani kąpie, ja jeszcze będę.

Okrągłym płynnym ruchem zrzuciła kapelusik, rozpuściła na ramionach złociste, rozsypujące się pukle. Odwróciła się i jednym zręcznym ruchem uwolniła od spódnicy, została w czarnym atlasowym kostiumie. Marszcząc brwi, czując jego wzrok na sobie, odeszła od niego do rzeki.

Patrzył chciwie, jak wchodzi do wody, a woda podchodzi pod jej okrągłe kolana. W milczeniu, bez plusku położyła się na wodzie i popłynęła cicho i szybko, jak zwierzątko, unosząc nad wodę białe ramiona, a jej włosy błyszczały jak ciężka sztabka złota. Wyszła z wody, gładka, jasna. Pochyliła się, wycisnęła wodę z pociemniałych włosów, podeszła i usiadła, opuściwszy mokrą rękę na gorący piasek. Ania uśmiechnęła się biało i jasno, trzymając w zębach rumianek.

- Płynęła pani jak wydra - powiedział, chłonąc świeży chłodny zapach całego jej ciała.

- Jak wydra? - powtórzyła, zerkając na niego.

- Jak bezszelestna wydra - powiedział i wziął ją za rękę.

Krople drżały na jej opalonym ramieniu z białym paskiem. Nie zabierała ręki. Zamknął oczy, pochylił się i pocałował ją. Usta jej były głębokie, miękkie, język szybki, trwożliwy, a on całował ją, nie otwierając oczu, to wchodząc w słodką do bólu głębie, to wracając w gorące, rażące przez powieki, światło.

Siedzieli milcząc, bojąc się odezwać. Ona patrzyła na rzekę, a w spojrzeniu miała i radość, i ból, i odbłask rzeki, i niebieskie przezroczyste łzy.

- Nie płacz, nie płacz - powiedział cicho - jesteś moją ukochaną. Nie płacz, nie płacz. Moja ukochana, cudowna.

Wrócili do miasta. Chodzili po rynku, mazali usta, jedząc słodkie jagody z trafiającymi się sosnowymi igłami i listkami. Weszli na sobór, pod srebrzystą kopułę, skąd ziemia wydawała się napelnioną świeżością czaszą, a kule świstały pod nimi, unosząc ich w wietrzną niebieską

przestrzeń. Pojechali autobusem nad rzekę Mirożę i patrzyli, jak dojrzewają w sadach wiśnie. A wieczorem spacerowali po mrocznych uliczkach i słuchali, jak człapie po bruku koń, jak w czymś półokrągłym oknie gra fortepian.

Następnego dnia pojechał do Małów, a Ania obiecała przyjechać do niego w sobotę, kiedy archeolodzy mają wolne. Silnik autobusu warczał. A on zapadał w szczęśliwe odrętwienie. Szosa była prosta i niebieska.

Rozdział trzydziesty trzeci

Ulokował się u kowala Wasyla Jegorowicza, okopconego, z metalowymi zębami, jakby zrobionymi w tej właśnie kuźni, gdzie robi się i podkowy, lemiesz, i ciężkie obręcze. Mała oszklona weranda wychodziła na sad. Kowal przyniósł mu wazon z odłamaną szyjką, bukiet polnych kwiatów, które wędły na stole.

Pracował w kuźni, pomagając Wasylowi Jegorowiczowi. Rozdmuchiwał miechem ogień, podrzucał miałki węgiel, ostro strzelający, stapiający się w malinową bryłę. Szumiały miechy, ze świstem leciały białe cienkie iskry, pachniało siarką. Razem z kowalem wykuwali sworznie do kombajnu. Kombajnista Iwaszka Jakunin, przezwiskiem „Dragonek” - dziad jego za cara służył w dragonach - łagodny, o wąskiej piersi, siedział na progu, zalany od pleców słońcem, i nieśmiało patrzył na Biełosielcewa, a ten, chwyciwszy kleszczami rozżarzony pręt, rzucał go z dzwonieniem na kowadło, a kowal klepał młotem, wybijając z żelaza płomień, a ono płaszczyło się pod jego uderzeniami.

Pod górą rozlewało się leniwie piękne jezioro, stała pięciogłowa cerkiew, i druga, w ruinie, z dachem porośniętym darnią i polnymi kwiatami. W cerkwi było ciepło, słonecznie, pstrzyły się kwiatki w wazonach.

Kapłan, suchy jak pęczek trawy, poprawiał świeczki. Stojąc w bladej plamie słońca przed obrazami, słodko marzył, jak wejdą z Anią do tej cerkwi, a kapłan podniesie nad ich głowami blaszaną ząbkowaną koronę.

Obudził się z wrażeniem ulatującego wieszczego snu. Z chmur padał równy zimny deszcz. Krzak, opleciony powojem, szeleścił i lzałwił. Wyskoczył z domu, zamierzając dobiec do jeziora, ale w połowie drogi rozmyślił się i powoli poczłapał w deszczu z powrotem, przemakając do nitki.

Na ganku stał Wasyl Jegorowicz, w zamyśleniu patrzył na huczącą strugę, lejącą się z rynny do beczki.

- Ma pan gości - powiedział. - Nie zgadnie pan, kto.

- Gości? - wykrzyknął Biełosielcew i, strząsnąwszy wodę z włosów, rzucił się na ganek.

Ania siedziała na brzeżku krzesła, cała mokra, między ciemnymi zakrętami wody na podłodze. Obejrzała się na niego wilgotną, zaróżowioną od deszczu twarzą. On, tak jak stał w mokrych butach i ubraniu, rzucił się do niej i objął, dotykając policzkiem jej mokrej sukienki, drżącego ciała i chłodnej twarzy o gorącym oddechu.

- Przyjechałaś! Zmokłaś cała! Tak na ciebie czekałem!

- A ja szłam do ciebie po błocie. Idę, a deszcz przybiera na sile. Idę, a on przybiera na sile.

- Czemuż ja siedzę! Ty cała drżysz. Rozbierz się i pod kołdrę. Szybciej! Mam trochę wódki i miód. Zacznę cię rozgrzewać. Szła po błocie jak czapla. Zmarzła, biedulka!

Wyskoczył do Wasyla Jegorowicza, wziął z szafki słoik miodu, zaczęta butelkę wódki, szklanke. Nabrał łyżką grudkowego miodu, zalał wódką w szklance, rozmieszał, łyknął mętną żółtą pachnącą nalewkę. Napój był palący, mocny, aromatyczny.

Kiedy wrócił, niosąc szklanke, Ania już leżała, otulona pod brode kołdrą, tylko jej żywe oczy jasno błyszczały. Nachylił się nad nią, czując idącą od niej zimną świeżość.

- Masz, wypij! Na wszystkie choroby.

- Och, jaki palący. Ale już słodki, aromatyczny. Upiję się od tego.

- Upijaj się na zdrowie. Nic strasznego, jesteś już w domu.
- I ty wypij. Nie ma na tobie suchej nitki. A ja już jestem pijana.
- Cały czas myślałem o tobie przez te dni. Myślałem i bałem się: a jeśli nie przyjedziesz? Może wszystko wyda ci się śmieszne i niepotrzebne. Było mi tak strasznie.

- A ja szłam do ciebie po błocie.
- Ach ty, czapło moja! No jak? Ciepłej trochę? Prawda, że ciepłej?
- Znacznie cieplej. I ty jeszcze wypij trochę.

Pochylił się nad nią, całował raz po raz jej miodowe wargi i deszczowe mokre włosy, a ona wyjęła spod kołdry gołą rękę, objęła jego głowę, przyciągnęła do siebie i odchyliwszy się długo patrzyła, strżásając z jego brwi krople.

- Tak dziwnie, prawda? - powiedziała, wodząc palcem po jego brwiach, czole, ustach. - Dziwnie przecież, tak?

- Co dziwnie? - Chwytał wargami jej palce.

- Te brwi twoje, usta, policzki. Mogę ich teraz dotykać, głaskać, i niczego nie ma w tym dziwnego. Albo mimo wszystko trochę dziwne? Niedawno byłeś mi obcy, niedostępny. Zjawiłeś się wtedy na wykopie, zniknąłeś. Potem tańczyłeś. Potem śpiewałeś w ciemności. I dalej obcy, niedostępny. Wcześniej nie było ciebie i być nie mogło. I ja byłam sama sobie. Nikt mnie palcem nie śmie dotknąć, targnąć się na myśli, uczucia. A teraz właśnie całujesz mnie, jak gdyby tak właśnie powinno być. I nie jesteś obcy, to brwi twoje gęste, mogę je dotykać i gładzić. I ja sama dziś przyszedłam do ciebie. Deszcz z góry pada, a ja idę i myślę o tobie, jak mnie przyjmiesz. Mam wątpliwości i męczę się.

- Jakie wątpliwości?

- A różne. A jeśli jednak jesteś obcy? Przecież ty też się dręczyłeś tym, że ja obca?

- Widzisz, nie jestem obcy.

Otulił ją mocniej, sam położył się na wierzchu kołdry, czując jej długie żywe ciało, patrząc, jak po szybach za jej głową leje strugami deszcz i coś się wśród nich złoci - czy to tarcice, czy też jabłka na drzewach. Bał

się poruszyć. Chciał, żeby deszcz lał bez końca, żeby jabłka złościły się, żeby można było leżeć bez ruchu całą wieczność przy bulgocie starej beczki i patrzeć, jak jej usta oddychają wilgotnie i czysto, a wazon ma ułamaną szyjkę, a w nim dzwoneczki i rumianki.

Deszcz padał i padał, a oni nie wyszli na kolację. Zmierzchało się, ona zasypiała. Pocałował ją ostrożnie w senne usta i wyszedł do Wasyla Jegorowicza.

Nocą budził się z trwogą i przyjemną myślą: „Ona tu jest, u mnie, moja kochana, kochana!”. Wychodził na mokry i zimny ganek. Na niebie rozpalala się żółta zorza, gwiazdy w niej gasły.

Rankiem wybrali się łowić szczupaki „na dorozkę”. Słońce krzywo świeciło zza góry, oświetlało przeciwny brzeg z rozsianymi po zboczu krzakami.

Otworzył kłódkę przy łódce, przerzucił przez burtę zardzewiały łańcuch, pomógł Ani wsiąść, włożył wiosła w dulki i zepchnął łódkę na wodę.

Ania siedziała na rufie, rozłożyła sukienkę jak wachlarz, a on, wyprzedzając z trzciny łódkę za dziób, czuł jej sprężysty ciężar.

- Umiesz wiosłować? - zapytał.
- Umiem.
- To wiosłuj pomaleńku. A ja przygotuję przynętę.

Usiadła wygodniej, szukając oparcia dla nóg. Podstawił jej swoje bose mokre stopy. Chwyliła wiosła i zrobił kilka pociągnięć. Łódka posłusznie poszła, zabulgotała woda pod dnem, zawirowały pod wiosłami wodne lejki.

- Gdzie się nauczyłaś wiosłować?
- Byłam w ubiegłym roku nad Seligerem, z Uniwersytetem. Rozkopywaliśmy kurhan na wyspie. Co rano wiosłowałam.
- Wspaniale wiosłujesz. Myślałam, że będziesz ozdobą na dziobie okrętu, a ty jesteś bosmanem, prawdziwym bosmanem. Wiosłuj równo, bosmanie, rzucam „dorozkę”.

Przymocował do ławki ułamaną gałąź olchy z przywiązaną kapronową żyłką, ostrożnie umocował błyszczkę z kotwiczką i rzucił ją daleko za

rufę. Błyszczka chlupnęła, popłynęła, ciągnąc „dorożkę”. Ania wiosłowała, a on szybko, obiema rękoma spuszczał do wody linę, dopóki nie naciągnęła się jak struna.

- Nie zmęczyłaś się? - zapytał.

- Coś ty!

Łódka płynęła teraz w ciszy w srebrnej smudze. Jej nogi opierały się o niego, czuł ich ciepło i płynne ruchy silnego ciała.

Olchowa witka pod jego ręką szarpnęła się, mocno wygięła i znowu ją silnie przygięło.

- Jest! - krzyknął. - Mocniej wiosłuj!

Szarpnął żyłkę, puścił, czując, jak na dalekim jej końcu coś sprężynuje i rzuca się, żywe, silne, a żyłka dźwięczy w jego pięści. Wybierał szybko żyłkę, a daleko za rufą wyskoczył z wody szczupak i popłynął, rozcinając gładziznę, kręcąc się jak wrzeciono i bielejąc brzuchem. Doganiał łódkę, pluskał płetwami, wbił się za rufą i, przeleciawszy nad głową Ani, zerwał się z haczyka i głośno płasnął na dno łódki. Miotał się, wił jak śliska zielona żmija, otwierając bladą paszczę. Skrzela jego płomieinały, śluz pryskał na wszystkie strony. Ania, podkurczywszy nogi, patrzyła ze strachem na jego srebrno-czarne łuski, na złe w słońcu oczy, a potem, milcząc, nagle narzuciła na niego serdak, a szczupak rzucał się, wydymając materiał.

Bielosielcew siedział w chyboczącej się, pluskającej łódce i myślał: „Kocham, na całe życie kocham!”.

Odrzucił serdak, ryba leżała, wstrząsając płetwami.

Złapali jeszcze jednego szczupaka i po powrocie do domu zaczęli gotować uchę. Bielosielcew w sadzie patroszył ryby, wyrrywając z nich pęcherze i krwawe wnętrzości, kroił na dzwonek soczyste mięso, rzucał do garnka z wrzątkiem. Wasyl Jegorowicz i kombajnista Dragonek kupili w sklepie wódkę i we czwórce na świeżym powietrzu jedli gorącą uchę. A Bielosielcew, zapominając o jedzeniu, patrzył z lubością, jak ona czerpie z kotła i niesie parującą chochlę, ostrożnie dmucha, jak zwierzątko próbuje ognistego wywaru.

W Muzeum Pskowskim zlecono Ani rozkopać jedno z cmentarzysk, ciągnących się długą miękką grzędą za Małami.

- Ten mam kopać? - zapytał Biełosielcew, patrząc na dzwoneczki.

- Kop. Tutaj niegłęboko. Z półtora metra, nie więcej. Kop, a ja obrysuję cmentarzysko.

Usiadła w cieniu krzaka, otworzyła album, zaczęła rysować, a on rzucił koszulę w żyto i wziął łopatę. Podciął z wierzchu darń, podniósł ją na łopacie razem z kwiatami i odłożył ostrożnie na bok. Szybko zdjął warstwę ciemnej żywej ziemi z korzeniami trawy, z poczwarkami, larwami żuków, mrówkami. Kilka płaskich kamieni wypadło na trawę, a dalej była ruda pusta ziemia. Kopał, wystawiając plecy na gorące słońce, a pierś - na wydostający się z jamy chłód.

- Nie zmęczyłeś się? - spytała Ania, kończąc rysować, przysiadając na skraju dołu.

- Powiedz, kto tu może leżeć?

- To słowiański kurhan. Z ósmego lub dziewiątego wieku. Tędy z południa szli Krzywicze i osiedlali się między Finami. Idziesz po tej ziemi, a wszędzie kurhany.

- Pewnie i to pole ma tysiąc lat. I te ziarna zbożowe z tych pierwszych ziaren. I krzaki te wyżej nie wyrastały. A już następnego roku po pochówku kurhany były takie same okrągłe, zielone, miękkie.

- Kop teraz ostrożniej, i szerzej, szerzej.

Wykopał obszerny głęboki dół i Ania go zmieniała. Szerokim nożem zaczęła ostrożnie ryc ziemię. A on leżał na brzegu, obserwując kłębiące się w niebie obłoki.

W ciągu kilku godzin odkopali szkielet, mączysty i biały, jakby ktoś na czarną ziemię nasypał garścią soli, narysował kręgi, żebra, nogi. Tylko czaszka była ciężka i twarda, pełna zimnej ziemi, z jasnym, prawie perłowym uśmiechem zachowanych całych zębów.

Ania pędzelkiem zmiatała pył ze szkieletu i między czarnymi, jak zgnięta kora, szczątkami odzieży odnalazła kilka szklanych połączanych

koraliaków, a przy czaszce - delikatną, zieloną, splecioną z cieniutkich brązowych drucików opaskę skroniową.

Ania obrysowała odkryty grób, obmierzyła go, robiła notatki. On trzymał na dłoni koraliaki, wpatrując się uważnie w sałatową zieleń opaski, która po tysiącu lat znowu ujrzała słońce.

- Kobieta. I najpewniej młoda. Wszystkie zęby całe. Dlaczego umarła? Z choroby?

- Nie wiem - odpowiedziała Ania, rysując w skupieniu, a kończąc zawinęła znaleziska do torebki, zapisała datę i miejsce wykopu.

Leżeli, dotykając się rękoma, tuż przy życiu. Z rozkopanego grobu unosiła się ledwie widoczna para. Oświetlona ziemia niebieściła się. Wiatr kładł przez żyto siwą drogę. Konie pasły się na dalekim zielonym wzgórzu. A on wierzył i wiedział, że nic się nie kończy, że ich życie na ziemi to wieczne odrodzenie, a w tym drobnym srebrzystym deszczu zawsze brodzi panna o białej twarzy i pełnych słońca oczach. Jej różowy łokieć był tuż przy jego twarzy, upstrzony śladami trawek. Ostrożnie go dotknął.

Zaczęli zbierać się do domu. Włożył czaszkę do mogiły, przysypał ziemią, nałożył kamieni, przyniósł płaską darń z dzwoneczkami. Wracali do Małów. Ania szła cicha i zamyślona. A on, niosąc na ramieniu łopatę, szedł za nią, bojąc się przeszkodzić jej słowem.

Nocą wybrali się nad jezioro, rozpalili ognisko. Ania siedziała przy ogniu na suchym piasku, cała zwiewna, gotowa zająć się od chybotliwych płomieni. Nad nią rozświeblała się kosmata gałąź z szyszkami i znowu gasła. Bielosielcew wychwytywał z ognia rozpalone główne i rzucał je do jeziora. Czerwono- złota sycząca żmija leciała w mrok. Spotykała się ze swoim odbiciem i gasła z sykiem.

Przyciągnął z lasu stertę suchych gałęzi z nie opadłymi liśćmi, rzucał do ogniska. Płomienie przygasały, robiło się ciemno, a potem nagle

wzbijała się ogromna kula światła, oświetlała las w głębi ze stojącymi cienkimi trawami, sosnami, lustrzaną wodą i z szumem unosiła się pod korony, zostawiając po sobie gasnący czerwony popiół.

Od ogniska poszli wzdłuż brzegu. Z ciemności napłynął na nich silny aromat. Po gęstym, stojącym tu zapachu Bięlosielcew domyślił się, że to szopa pełna siana. Otworzył skrzydło wrót, zadrappawszy rękę o oset i, osypując śliskie siano, wgramolił się na górę.

Jego serce wolno waliło, na ręce piekło zadrapanie. Czuł w sobie siłę i lekkość, i jeszcze trwożną wiedzę o tym, co zaraz nastąpi.

- Gdzie jesteś? - zapytała z ciemności.
- Tu jestem. Chodź tutaj.
- Po co?
- Chodź, mówię. Pełno tu siana.
- Nie chcę.
- Wchodź na górę!
- Kłuje mnie. Ojej, spadam!
- Daj mi rękę.

Namacał w ciemnościach jej dłoń, uchwycił je i podrzucił z siłą do góry, zdążwszy dojrzeć przez dziurawy dach garść jaskrawych gwiazd.

Całował ją, tracąc oddech od dzwonienia i szelestu siana, od jej przerywanych westchnień, od głośnych i ciężkich uderzeń swojego serca, które stało się ogromne. Nie było już ciemności, wszystko wokół zapalało się powolnym bladym światłem.

Chłodne strugi powietrza, przepływając przez szczeliny, padały mu na pierś. Otworzył oczy: niebo przez dziury w dachu było mętnoszare. Ania spała na jego ręce, zwinawszy się w sianie jak ptak, równo oddychała, zaprószona gęsto sianem.

Powolutku wyswobodził rękę, przetoczył się po sianie i ześlizgnął na dół. Łąka mgliście świeciła, pokryta kwiatami, rozwiniętymi o świcie. Nad sosnami bezszelestnie i bezkreśnie różowiła się jutrzienka i już zaczynały śpiewać ptaki.

Słońce wstawało na gorących wzgórzach, nad wodą unosila się mgła, a tam, w dole, jak maleńkie czarne trąbki, przeleciały kaczki...

Usłyszał gwałtownie narastający dźwięk, jaki wydaje nabierający prędkości pociąg elektryczny, wrzynając się w wąskie gardło tunelu. Głowa odchyliła się z powodu nieznośnych przeciążeń, jakby siedział w fotelu spadającego statku kosmicznego, otoczonego strefą ognia. Ocknął się od uderzenia o ziemię. W rękach trzymał porcelanową skorupkę z czerwonym płatkami kwiatka, a to miejsce w burzanie, skąd była wzięta, odsłaniało wąską, uchodzącą w głąb szczelinę. Ona gwałtownie się zwięźala, zasklepiała jak rana, z której wyrwano kindżał. W tę szczelinę wsączała się niebiesko-biała błyskawica minionego spalonego czasu.

Bielosielcew obejrzał się. Za jego plecami stał Grieczysznikow w lśniącym od deszczu płaszczu, a trochę dalej, w burzanych, przy pochylonym płocie cmentarza stali Burawkow i Kopiejko w takich samych błyszczących glansowanych płaszczach.

- No, nareszcie, Wiktorze Andriejewiczu, znaleźliśmy cię. Kogo nie zapytasz: „Widzieliśmy, był tu niedawno, a dokąd poszedł, nie wiemy”. Dobrze Kopiejko kozaczym zmysłem odgadł.

Bielosielcew z zamroczoną świadomością, jakby dopiero co przeżył kontuzję, podniósł się, trzymając w rękach skorupkę.

- Wybacz, Wiktorze Andriejewiczu, że nie dajemy ci odpocząć. Bardzo pilne. Zaczynają się wielkie sprawy. Bez ciebie w żaden sposób nie można. Teraz na lotnisko, samolot już czeka, a stamtąd do Moskwy, na Wnukowo. Tam na drugi samolot. Lecimy za Wybrańcem do Soczi. Nad ciepłym morzem omówimy istotne zadania. Tak mało jest ludzi z głową, z intuicją, z analitycznym talentem, z bojowym i mistycznym doświadczeniem. Bardzo na ciebie liczymy.

Można by było rzucić się w dół po zboczu do szarej zimnej Pskowi, wpaść z rozbiegu w wodę, żeby głową uderzyć w kamień na dnie, i całe jego życie wycieknie czerwoną wilgocią, zmiesza się z lodowatą wodą. Można przeskoczyć przez tych trzech w błyszczących płaszczach, przeskoczyć przez ogrodzenie cmentarza i, klucząc między mogiłami, blaszanymi wieńcami, uciec od prześladowań. Ale tam, dokąd dążył, poprzez rzadkie drzewa lśniły czarne samochody i rozglądające się figury ochroniarzy. Można rąbnąć pierśią na ziemię, wbić się w warstwę czasu, uskoczyć od nienawistnych prześladowców, zmieniając się w cienki język ognia, wślizgnąć się w niewidoczną, uchodzącą w nieskończoność szczelinę. Ale ona się zrosła, ścisnęły ją szelnie kontynenty i ziemia nie puszczała w siebie. Powoli schylił się, opuścił na ziemię skorupkę z czerwonym płatkami, ułożył ją starannie w pozostawionym odcisku.

- Jestem gotów - powiedział głosem skazańca, robiąc krok w ich stronę.

Rozdział trzydziesty czwarty

Trzema samochodami przyjechali na wojskowe lotnisko wśród płowej równiny zaniezionej mżawką, gdzie w drobnym metalicznym deszczu mokły desantowe transporty i stał gotowy do odlotu dwusilnikowy samolot Aeroflotu. Ochroniarze z trzeciego samochodu obstawili wokół samolotu. Bielosielce wyszedł i patrzył, jak Grieczysznikow żegna się z nieznajomymi milczącymi towarzyszami, obejmuje ich, i do jego uszu doleciały słowa:

- Dziękuję, chłopaki, za wsparcie... Jeszcze się zobaczymy... Celników weźcie pod naszą kontrolę, wkrótce będą potrzebne duże pieniądze... A to pałace sobie pobudowali, myślą, że ich z samolotu nie widać. A my im zdjęcie lotnicze, zasrańcom...

Kapitan statku w mundurze cywilnego pilota raportował Grieczysznikowi:

- Towarzyszu generale, maszyna gotowa do lotu. Proszę o pozwolenie na start.

- Pozwalam - i, szeleszcząc swoim lśniącem, srebrno-czarnym płaszczem, ciężko wlaźł do samolotu. Kopiejko przepuścił przodem Biełosielcewa, odgradzając go plecami od pustego mglistego pola, zostawiając dla ruchu wąską linię do góry po trapie, do owalnej dziury samolotu.

Samolot był pusty. Wszyscy rozmieścili się w przedniej części ze stolikiem, ściągali mokre płaszcze, rozciągali mięśnie, kręcili szyjami, spoglądali przyjaźnie na Biełosielcewa, dla którego dokonali męczącego rajdu.

- Za jakieś półtorej godzinki - w Czkałowskim. Tam po Szczełkowskiej do obwodowej i do Wnukowa, no - jeszcze z godzinka. Będziemy mieli jeszcze zapas - z zadowoleniem, spoglądając na złoty zegarek, powiedział Grieczysznikow. - Zgadza się, Wiktorze Andriejewiczu?

Emanowała z niego łagodność dobrego lekarza, rozmawiającego z wracającym do zdrowia pacjentem, i nic nie przypominało okrutnego egzekutora w ciemnym berecie, stojącego na szczycie wzniesionego nad Pieczatnikami szafotu.

Samolot zadrżał wszystkimi swoimi błonami, aluminiowymi płytami i nitami, rozwiął na skrzydłach dwa przezroczyste stalowe dmuchawce i wystartował. W przerwach między chmurami, ukośnie, jak oderwana od ziemi mętna blaszana wstęga, mignęła Wielika, biała dzwonnica Wniebowstąpienia, otoczona żółtymi drzewami, Kreml z Zakazanym Miastem, gdzie niegdyś znajdował się wykop, i wszystko utopiło się w mglistych obłokach, teraz już na zawsze.

- No co, koledzy, po kłopotach i przeżyciach dobrze byłoby rozluźnić się. Prawda, Wiktorze Andriejewiczu? - Grieczysznikow pocierał zmarznięte ręce. Zaraz też zjawił się młody sympatyczny steward, rozstawiając na stoliku talerze, kieliszki, różne rybne i mięsne potrawy, stawiając w specjalnym uchwycie, na wypadek powietrznych wstrząsów, butelkę mołdawskiego koniaku.

- Woda potrzebna? - zapytał z manierą uprzejmego kelnera.
- Borżomczyka, jeśli można - poprosił Biełosielcew i niecierpliwie sięgnął po butelkę.

- Cóż, drodzy bracia, otóż jesteście znowu razem. - Grieczysznikow podniósł okrągły kieliszek, w którym kołysał się brązowozłoty koniak. - Nie możemy się rozłączać, nie możemy czuć do siebie urazy. Tylko razem, jedną wolą, jednym duchem i rozumem osiągniemy postawione cele. Za naszego przyjaciela Wiktora Andriejewicza, za jego pomyślność i zdrowie!

Wszyscy stukali się z Biełosielcewem, ciesząc się z jego powrotu. Pili, chciwie zakąszali. Biełosielcew pił i jadł ze wszystkimi, posłusznie naśladując panujący nastrój, obojętnie spoglądał na okrągły iluminator, oświetlający posiłek błękitem wysokiego nieba.

Po chwili jego trzech towarzysze jakby o nim zapomnieli. Mówili teraz o wojnie, która zaczęła się, kiedy Biełosielcew ulatywał z ziemi w inne galaktyki.

- Mimo wszystko nie wierzę, że plan Sztabu Generalnego rozdzielenia na dwie części zgrupowania - i jedną ruszyć do Groznego, a drugą w góry, do Arguńska - to idealne rozwiązanie. To jest jawne rozproszenie sił. - Burawkow kiwał ciężkim nosem nad kieliszkiem koniaku. - Trzeba było jedną pięścią walić w Grozny. Grozny wzięli - zwycięstwo!

- Zwycięstwo będzie. Dzwoniłem do sztabu zgrupowania, ofensywa rozwija się normalnie, w terminach się mieszczą. - Kopiejko zuchowato podniósł ramię, jakby na nim w dalszym ciągu widniał kozacki złoty pagon. - Ważne jest co innego - naród jest zadowolony. Zbieraliśmy opinie we wszystkich guberniach. Jedno powtarzają: „Dobić Czezeńców w ich legowisku. Zemścić się za wybuchy w Moskwie. Żeby kamień na kamieniu nie pozostał z Groznego”. Możemy sobie pogratulować, zwycięzca będzie królem. Naród go na rękach do Kremla wniesie.

- Z końcem stycznia, przed rozpoczęciem wyborów parlamentarnych, Grozny powinien być wzięty. - Grieczysznikow nacisnął dłońią

stolik. - Z końcem stycznia Wybraniec powinien przyjąć w Groznych „Paradę Zwycięstwa”. A Basajew z Chattabem powinni być odprawieni w klatkach do Moskwy i umieszczeni w zoo obok hien. Żeby pokazywać dzieciaczkom, jak oni tam będą gryźć śmierdzącą padlinę. Chcę pochwalić pracę waszych telewizji. Teraz, kiedy zabraliśmy je Astrosowi i Zariickiemu, pracują na Zwycięstwo.

- Posłałeś ludzi do wojska, żeby, w miarę przemieszczania, przejmowali kontrolę nad górnictwem naftowym? - zwrócił się Kopiejko do Burakowa. - Żeby się tam „lewacy” nie urządzili. Przejmujemy odwierty, bierzemy pod ochronę i zbiornikowcami, cysternami wieziemy ją od razu do Stawropola. Bo, jak widzę, zaczęły się ruszać żuczki z Łukojlu i Sybnafty. Nie dopuszczać ich do wojska!

- Kto wlezie, sam się ropą stanie - ponuro uśmiechnął się Burakow.

- No cóż, koledzy, za zwycięstwo! - Grieczysznikow podniósł kieliszek, w którym koniak napełnił się złotym promieniem słońca, który wpadł przez iluminator. - Za nasze, jak to się mówi, zwycięstwo!

Wszyscy trącili się, Bielosielcew posłusznie przytknął ciepły koniak do ust.

Miał dziwne uczucie, że jeszcze niedawno był martwy, ale go wskrzeszono. Przepuścił cały fragment rozmowy przy stole i teraz z wysiłkiem starał się ją zrozumieć.

- Jeszcze przed wzięciem Groznego - idealnie na Nowy Rok, Bałwan powinien zrzec się władzy - rozwodził się Grieczysznikow. - Grozny będzie wzięty zaraz po zrzeczeniu się i laury zwycięstwa dostaną się Wybrańcowi. Samo zrzeczenie się, jak mówiliśmy, powinno odbyć się w końcu starego odchodzącego roku, starego zmurszałego wieku. Nowy Rok, Nowy Wiek powinien otworzyć Wybraniec swoim wystąpieniem do narodu. To jest bardzo ważne psychologicznie i symbolicznie. Naród odwraca się od starego, chorego, jak i cały poprzedni zużyty wiek, Bałwana, z nadzieją patrzy na młodego świeżego Wybrańca. W tym jest coś

egipskiego, nieprawdaż? Coś związanego z kultem Nilu, ze wskrzeszeniem Ozyrysa?

- Teraz wrócimy do Moskwy i trzeba ostro przyspieszyć tworzenie partii - zatroszczył się Burawkow, nie dzieląc metafizycznych marzeń Grieczysznikowa. - „Partia Wybrańca” po cichu, z grubsza powinna być przygotowana na moment abdykacji. A przed wyborami powinna wystąpić jako nowa energiczna siła polityczna, żeby odsunąć komunistów i liberałów. Wojna wojną, jest konieczna jako psychologiczne zabezpieczenie, ale konieczna jest także efektywna partia, nieposzlakowana polityczna machina. O tym będziemy mówić w Soczi, niech Wybrańiec się włącza. Ja zabezpieczam pieniądze, środki przekazu, poparcie gubernatorów. Szykuję zdławienie politycznych przeciwników, ale to wszystko należy przyspieszyć. Złożę w Soczi sprawozdanie na ten temat.

- Przeczytałem mowę, którą szykują Wybrańcowi twoi spece od przemówień - zwrócił się do Burawkowa niezadowolony Kopiejko. - Zbyt akademicka, miejscami ckliwa, obliczona na prowincjonalne aktorczki. Nie można tam wstawić słów zrozumiałych dla armii, oficerów? No coś w rodzaju: „My tych Chattabów Chattabyczów na bazarach dostaniemy!”. Niech naród go rozumie, a nie tylko niezaspokojone damulki.

- Naród go zrozumie, bądź spokojny! - zaśmiał się Grieczysznikow.
- Naród mamy złoty, nie ma takiego drugiego na ziemi. Dasz mu cokolwiek do gęby - wszystko zje. Tylko powiedz na początku, że to smaczne. Będzie jeść, dławić się, pianę toczyć, ale będzie powtarzać: „Smaczne, och, jakie smaczne!”.

Chwycili kieliszki z koniakiem, włali złocisty napój w mokre tłuste usta, wpychając w nie wędzonki, bałyk, ozór na zimno, jesiotra w galarecie z cienkimi plasterkami cytryny.

Bielosielcew nie rozumiał sensu wypowiedzanych słów, jakby jego towarzysze porozumiewali się w pozaziemskim języku.

- Mimo wszystko nie możemy spuszczać z oczu „czynnika Wybrańca” - wieloznacznie powiedział Burawkow, wysysając plasterzek cytryny.
- Znane są przypadki, kiedy protegowany, absolutnie zależny od tych,

którzy go wynieśli, stopniowo, wykorzystując aparat władzy, kierując polityczną machiną, uwalnia się od swego otoczenia. Usuwa je albo po prostu likwiduje. Tak postępował Adolf Hitler. Tak działał Stalin. Tak myśleli wszyscy wyniesieni przez partię - Chruszczow, Breżniew i Gorbaczow. Czy możemy być pewni, że za rok też będziemy kontrolować Wybrańca? Że on dotrzyma swoich obietnic i będzie wypełniał naszą wolę?

- Nie warto się przejmować - niedbale odpowiedział Grieczysznikow. - On pozostanie w probówce, w której go wyhodowaliśmy. Jest bezradny, wątły, pozbawiony politycznej woli. Jest połowiczny, drobny, ułożony z kawałków mozaiki. Będzie łowił każde nasze słowo, wypełniał każdą radę i kaprys. Partia będzie w naszych rękach. Wpływy finansowe będą całkowicie pod naszym nadzorem. Stworzyliśmy wspólne imperium telewizyjne, a on będzie w nim nie imperatorem, a poddanym. Rozmieściliśmy naszych ludzi we wszystkich znaczących strukturach. Zajmą miejsca w rządzie, w administracji. Jego lekarze, ogrodnicy, kucharze, jego kochanki i partnerzy pokerowi będą naszymi ludźmi. Sprzedajna liberalna elita, przegniła od korupcji, będzie się nam podporządkowywała w pół słowa. Nasi przyjaciele w Ameryce i Izraelu zabezpieczą pełną kontrolę jego zagranicznej polityki. Gdzie on może się szarpnąć? Tylko na grób Gramofonczyka, żeby wylać na jesienne chryzantemy smutną łzę? Ja go tu mam! - Grieczysznikow ścisnął żylastą, umazaną tłuszczem pięść. - On i tak cieszy się ze swojego położenia. Żadnej odpowiedzialności, tylko same zaszczyty. On będzie angielską królową, która panuje, ale nie rządzi.

- Ja bym mu mimo wszystko przygotował ostrzegawczą aluzję - nastawał Burawkow - pokazałbym, jak brzemienne w skutki jest nieposłuszeństwo. Moglibyśmy wydać Amerykanom Szelmę, przeciwko któremu za czasów kochliwego Prokuratora wszczęto sprawę karną? Wybraniec uważa go za zajednego ze swoich dobroczyńców. Wysłać do Ameryki z jakąkolwiek idiotyczną misją i poprosić Amerykanów, żeby go Interpol zatrzymał.

Bielosielcew czuł życie wokół siebie, jak podróżnik do innych galaktyk, który przeleciał z prędkością dźwięku przez inne światy i powrócił na rodzimą planetę. On był wciąż taki sam, ale życie na Ziemi zmieniło się.

- Pierwszą rzeczą po inauguracji, którą Wybraniec powinien od podstaw zmienić, to cała polityka zagraniczna, tak jak przedstawialiśmy mu na ostatnim spotkaniu w Zawidowie.

- Grieczysznikow mówił twardo. - Żadnych zagrywek z Chinami i Iranem! Orientacja tylko na Amerykę. Chiny - potencjalny przeciwnik, rwą się na Syberię i Daleki Wschód. Ich agencja wywiadowcza założyła sieć w Jakucji i w Uriengoju. Tylko Ameryka może powstrzymać ekspansję Chin na Rosję. Wpuścić Amerykanów na Syberię, oddać im złoża niklu, miedzi, ropy naftowej. Jeśli zechcą, niech kontrolują obiekty jądrowe - my nie potrzebujemy dwóch jądrowych parasoli, wystarczy amerykański. Niech budują transsyberyjską autostradę. Niech kopią tunel pod Cieśniną Beringa. Niech rozmieszczają wzdłuż granic Chin „pershingi”. My, jeśli będzie trzeba, pójdziemy na eksterytorialność Syberii, włączymy ją do wielkiej wspólnej przestrzeni: „Ameryka - Rosja - Europa”, i w ten sposób zatrzymamy „żółte niebezpieczeństwo”.

- On jakoś dziwnie odniósł się do twojej idei wstąpienia Rosji do NATO. Coś niewyraźnie bąkał o integracji z Białorusią i Ukrainą - zauważył Kopiejko.

- Dojrzeje. Jeszcze raz omówimy w Soczi cały kompleks problemów. Integracja z Białorusią i Ukrainą, ale wewnątrz NATO - uspokoił go Grieczysznikow.

- Musimy pomyśleć, jak najlepiej postąpić z Bałwanem i jego drapieżną córką. Oni dużo wiedzą, wielu rzeczy się boją i ze strachu, jeśli się ich przyciśnie, mogą zacząć mówić. - Zafrasowany Kopiejko nakładał sobie na talerz mięsisty płatek łososia. - Może ich dokądś wysłać, do Nicei, byle dalej z widoku, żeby nie pętali się pod nogami?

- Tu nie będzie wielkiego problemu - uspokoił Grieczysznikow. - Bałwan trzyma się wyłącznie dzięki silnym wschodnim preparatom, a te

można w każdej chwili zastąpić zwykłymi tabletkami sody. Raz - i nie ma Bałwana! Córka jest dobrze zabezpieczona akcjami i nieruchomościami, a co się tyczy sypialni, to po Zarieckim Kopiejko wyda się jej prawdziwym playboyem! - Zgodnie zarechotali, a Kopiejko, wzięwszy się pod boki, podkręcił nieistniejące kozackie wąsy.

Bielosielcew czuł się pusty i bezduszny. Jego towarzysze byli pijani. Ich twarze poczerwieniały. Smaczne jedzenie i pachnący koniak zrobiły z nich wesołych prostych chłopów, którym chciało się opowiadać dowcipy, mówić sprośności, śpiewać biesiadne piosenki. Kopiejko, wciąż jeszcze podśmiewając się i myśląc o obfitych piersiach i mocnych biodrach Córki, rozpiął koszulę pod szyją i, wzdymając malinowe żyły, krzywiąc ryczącą gębę, zaśpiewał, przekrzykując warkot silników:

- „I za bu-urte ją wyrzu-uca w nadbie-egającą fale...”

Samolot zniżył lot. Uprzejmy steward z uśmiechem zbierał resztki jedzenia. Spoza chmur ukazały się żółknące lasy, autostrada pełna samochodów. Samolot lądował na wojskowym lotnisku Czkałowskoje.

Przy skraju pasa startowego czekał już na nich dżip. Szofer wziął z rąk Grieczysznikowa teczkę, usłużnie niósł, coś tam cicho raportował po drodze. Zatrzymali się przy lustrzano-czarnym samochodzie, niegłośno naradzali się. Bielosielcew, odszedłszy na bok, patrzył na niski znajomy budynek wojskowego dworca lotniczego, na tłok w terminalu, skąd zbici w grupki żołnierze, jedni bardzo skacowani, inni wściekli i źli, ale w większości skoncentrowani, milczący, spieszenie szli po betonowym pasie do samolotu, odlatującego do Mozdoku. Obok przeszli żołnierze specnazu w szaroczarnych panterkach, z futerałami, w których wisiały automaty o długich lufach. Przeszli wojskowi topografowie, taszcząc do terminalu drewniane teodolity. Zbite stadko chwackich, podchmielonych sierżantów, zgodnie popijało i dziarsko spluwało.

Między szarozielonymi, plamisto-brązowymi, piaskowo-żółtymi ubraniami Bielosielcew zauważył niedużą grupę młodych kobiet w

mundurach: w obcisłych spódnicach i frenczach, w jednakowych beretach, z torbami, torebkami, plecakami. Jedna twarz pod ciemnym, na ukos nałożonym beretem wydała mu się znajoma. Zbliżył się, uważnie wpatrując się, i w młodej kobiecie o skrępowanych ruchach w surowym stroju, nieprzyzwyczajonej do wojskowego munduru, poznał Weronikę, córkę Nikołaja Nikołajewicza. Zdumiony ruszył w jej kierunku:

- Pani? Jakim sposobem? Dokąd? Nie poznaje mnie pani?

Przez chwilę Weronika patrzyła na niego obco, ale potem, poznawszy, pojaśniała, radośnie się uśmiechnęła:

- Jakże nie? Poznaję! Pan - Wiktor Andriejewicz. Z moim ojcem pan się przyjaźnił.

- Gdzież to spotykamy się! - Biełosielcew przypatrywał się jej twarzy, wyszczupłej, bez makijażu, bez perłowej poświaty. Małe zmarszczki pojawiły się przy ustach i brwiach. Włosy były krótko przystryżone, schowane pod beretem.

- Odlatuję. Do Czeczenii. Kiedy ojca pochowałam, nie mogłam sobie miejsca znaleźć. Winiłam siebie za jego śmierć. Zamiast być razem z nim, leczyć, troszczyć się, pan wie, czym się zajmowałam. Chciałam popełnić samobójstwo. A tu wojna się zaczęła. Poszłam do znajomego lekarza wojskowego, poprosiłam o wstawiennictwo w komendzie wojskowej. Wzięli mnie jako sanitariuszkę. Teraz będę naszych chłopców na wojnie ratować, rany przewiązywać. Grzech swój odkupuję.

Nagle Biełosielcewa zaczęły dusić łzy. Jeszcze niedawno był w półśnie, uśpiony złymi czarami, z wyjętym sercem, z wyciągniętą duszą, z pękniętym zniszczonym pęcherzykiem cudownego światła. I raptem z jakichś głębin, spod czarnego asfaltu i popiołu przebił się żywy pęd życia, wypłynął nikły ognisty pęcherzyk. Weronika przywróciła mu żywe łzawe uczucie, gorącą przenikliwość życia, gdzie wszyscy oni, razem wzięci - śmiertelni, kochający, błędzący, szukający ratunku - poruszali się po odwiecznych rosyjskich drogach - z Moskwy do Groznego, ze Smoleńska do Warszawy, z Termezu do Kabulu, po niekończących się traktach niekończącej się wojny.

Głos w megafonie, metaliczny, uklepany z kawałków blachy dachowej, ogłosił drżąco: „Pasażerowie odlatujący do Mozdoka proszeni są o przejście na start do terminalu numer cztery!... Powtarzam!...”.

- Pora na mnie - zaniepokoiła się Weronika, oglądając się na odchodzące koleżanki.

- Jakże tak? Nie zdążyłem o nic pani zapytać... - Jeszcze zobaczymy się, jak Bóg da.

- Pocałuję panią na pożegnanie. - Biełosielcew objął ją, pocałował w odkryte chłodne czoło i, czując, że może się tutaj rozplakać, szybko poszedł w stronę samochodu.

Grieczysznikow przyglądał mu się zdziwiony.

- Co z tobą, Wiktorze Andriejewiczu? Pyłek w oko wleciał?

- Tak, pyłek. Z Mozdoka wiatr przyniósł.

Wsiedli do dżipa i maszyna pomknęła po Szosie Szczełkowskiej, a potem wpadła w wielki wąwóz obwodnicy. Mknęli wśród wyjącego potoku, obok stacji benzynowych, ognistych tarcz reklamowych, pulsujących tablic. Słupy wysokiego napięcia podskakiwały w polu, jak metalowe żurawie; w przesiekach pozółkłych lasów pojawiała się, biała jak miraż, Moskwa.

Grieczysznikow objaśniał Biełosielcewowi:

- Będziesz uczestniczył w strategicznym zebraniu, na którym poznasz kwiat „Suahili”. Ciebie znają wszyscy, niektórych znasz ty, ale nie domyślałeś się, że oni, tak jak i ty, są twórcami wspólnego Projektu. Tutaj będą nasi dawniejsi towarzysze z „biura” i nowi intelektualiści wywiadu. Tutaj będą matematycy, antropolodzy, specjaliści psychoanalizy i „organizowanej broni”. Tu będą dziennikarze, których uważałeś za wrogów. Będą politycy, których uważałeś za zdrajców. Wszystko pozorne, wszystko względne, wszystko to owoc konspiracji „Suahili”. W Soczi, z daleka od postronnych oczu i moskiewskich zimnych deszczów, w zamkniętej dachy będziemy przepłatać burzę mózgow z kąpielą w ciepłym morzu, intelektualne dyskusje z muzyką lekkiego jazzu. Omówimy nową fazę projektu. W tej nowej fazie do ciebie, mądrzejszego o próby i

błędy, posiadającego ogromną przeszłość i prawdziwe doświadczenie, należeć będzie kierowanie analitycznym centrum „Suahili”, które znacznie zajmować się analizą sytuacji. Wojna i społeczna świadomość. Usunięcie Bałwana i wizerunek nowego lidera. Korupcja na szczycie i metody kierowania elitami. To ogromne zadanie, niezmierna odpowiedzialność, twój dług wobec „Suahili”.

Bielosielcew chciwie słuchał. Znowu żył, znowu myślał, znowu działał. Był jak dawniej sam, umiejscowiony na tyłach wroga, bez łączności z Centrum. Ale jego wojna trwała.

Nie mógł przewidzieć, kiedy i przy spełnieniu jakich warunków „Projekt Suahili” zawali się. Ale krach był przesądzony. Projekt posiadał kolosalną moc. Dla niego pracowały wywiady światowe, syciły go światowe bogactwa, służyły mu najsilniejsze i najśmielsze ludzkie umysły. Jednak Bielosielcew, samotny i słaby, zamurowany w masie projektu, otoczony opieką bystrych strażników, pod nieustanną kontrolą wrogów, przeczuwał klęskę „Suahili”. On, Bielosielcew, był właśnie tą granicą, której nie przekroczy „Suahili”. Zatrzyma się bezradnie pod pęcherzykiem światła, które na podobieństwo świetlika, unosi się w duszy. W nim zawierała się nieśmiertelność, boskie piękno, możliwość niebываłego cudu. Odwrócenie czasu. Ratunek dla kochanych i bliskich.

Przyjechali na Wnukowo, na lotnisko rządowe, gdzie przy budynku portu na wilgotnym, niebieskawym betonie stały dwa samoloty, gotowe do lotu. Ogromny prezydencki „Il”, śnieżnobiały, z niebieskim napisem „Rosja”, i biały dwururbinowy „Tu”. Na parkingu samochodowym było ciasno od limuzyn, szerokotyłych mercedesów, wąskonosych volvo, wysokich mordziastych dżipów. Tutaj też spacerowali ich właściciele, oczekując na zaproszenie do samolotu. Bielosielcew widział, jak okrążyli Greczysznikowa, jak ten rażno i twardo, na prawach życzliwego kierownika, ściska im ręce, do każdego zwraca się z miłym i ważnym słowem, od czego rozproszony i leniwie szwendający się tłum napęlnia się energią, ożywieniem, gotowością do przemyślanych i składnych działań.

Zobaczył tu kilku młodych generałów FSB, zajmujących się walką z terroryzmem, opozycją polityczną i analityką. Był tu znany kierownik telewizji, wyróżniający się ostrą i oryginalną manierą - zawsze służył, jako podopieczny magnata Zarickiego, ale po śmierci tamtego lekko, jak strojna skrzydlata muszka, przeskoczył z podłamanego kwiatka na drugi, tak samo miodonośny i słodki. Byli tutaj politolodzy konkurujących ze sobą kierunków, namiętnie i bezlitośnie niszczący się wzajemnie podczas telewizyjnych batalii, ale tu, przy samolocie, zebrani w zgodne stadko. Wśród spacerujących, nieco na uboczu, z wyrazem pewnej wyższości, przechadzał się „technolog polityczny”, słynny jako „szara eminenca”, twórca pałacowych intryg. Niektórzy z daleka kłaniali się Bielosielcewowi, niektórzy podchodzili i ściskali rękę. Jednych poznawał, innych ledwie pamiętał, jeszcze innych nie znał. To była elita „Suahili”, jego kolektywny mózg, jego „róża wiatrów”, roznosząca we wszystkich kierunkach ziarna spisku.

Przez otwartą bramę na płytę lotniska wpadały samochody z cichnym dźwiękiem syreny, gasnącym fioletowym światłem lampy sygnałowej. Z pierwszego dzipa, otwierając i nie zamykając drzwi wysypała się ochrona w rozdętych marynarkach, z radiostacjami, z cienkimi przewodami przechodzącymi przez uszy w głąb czaszek. Z drugiej lśniącej czarnej limuzyny wysiadł Wybrańiec, mały i lekki.

Wszyscy zebrani, zobaczywszy Wybrańca, pociągnęli do niego jak do magnesu. Wybrańiec uśmiechał się do wszystkich i do nikogo. Witął się ze wszystkimi jednocześnie, przyciskając ręce do piersi, patrząc przez nich w dal, gdzie błąkały się promienie i niebieskie cienie. Tylko jeden Greczysznikow zbliżył się do Wybrańca, uściśnił sobie dłonie. Greczysznikow nachylając się, coś mu tam cicho mówił. Tamten w milczeniu słuchał, uśmiechał się, posłuszny, zgadzający się ze wszystkim, ale Bielosielcewowi z daleka przywidziała się dziwna obojętność Wybrańca, brak zainteresowania tym, o czym mówił Greczysznikow. Jakby dla

niego te słowa nie miały sensu, a miały sens błędzące w chmurach promienie jesiennego słońca, zapalające na dalekich lasach czerwone i żółte plamy.

- Nasz Wybrańczyk nabiera smaku. Jeszcze nie Prezydent, a już lata prezydenckim samolotem. Również i ochronę sobie zmienił. Sam, powiadają, dobierał. - Kopiejko uśmiechał się, jakby wybaczając pieszczołchowi jego dziecięce szaleństwo.

- Trzeba zaprosić do nas naczelnika ochrony i zaproponować mu drugie wynagrodzenie z naszych rąk. Tak będzie łatwiej ochraniać - mruknął Burawkow i obaj ruszyli przez tłum, rozstawiony według ważności w różnych odległościach od Wybrańca. Biełosielcew został sam, obserwując pilota, schodzącego z pokładu potężnego samolotu specjalnego z napisem „Rosja”.

- Wiktorze Andriejewiczu - usłyszał Biełosielcew za plecami. Obejrzał się - przed nim stał Kadaczkin, okrągłolicy, niebieskooki, z płowymi oficerskimi wąsikami, wyhodowanymi od ostatniego ich spotkania. W jego uchu na przezroczystym plastikowym klipsie umocowany był miniaturowy mikrofon z ledwie widocznym, biegnącym za kołnierz przewodem. - Słuchaj uważnie i rób wszystko, co ci powiem. - Uśmiechnął się tak, jakby nie rozkazywał Biełosielcewowi, a uprzejmie pytał go o zdrowie. - Wsiądziemy teraz do samochodu, odjedziemy stąd, a ty nie będziesz mnie o nic pytał. Będziesz mi wierzył jako swojemu przyjacielowi, który już dwa razy ratował ci życie. Uważaj, że jest to trzeci raz.

Cały czas uśmiechając się, skierował się na postój. Wsadził w lustrzane czarne audi Biełosielcewa, sam usiadł przy kierownicy. Zręcznie wymanewrował z postoju, oddalając się od tłumnej świty, w dalszym ciągu otaczającej Wybrańca. Kiwnął wartownikowi przy bramie jak znajomemu, wyjechał na szosę. Szybko osiągnął główną, zapchaną samochodami trasę, ale pomknął nie do Moskwy, a w przeciwną stronę. Bardzo szybko stanął na poboczu.

- Teraz wysiądziesz i pójdziesz piechotą na przystanek autobusowy. Idź niezbyt szybko i trochę kulej. I przyklej sobie, proszę, to - wyjął z kieszeni przezroczysty plastikowy pakiecik ze sztucznymi wąsami. Wyjął

pęczek włosów, pomógł Bielosielcewowi przykleić nad górną wargą. - Za kilka dni cię odnajdę.

Wysadził Bielosielcewa na pobocze i pomknął naprzód, zlewając się z odbłyсками szyb, chromowanych zderzaków, znikając w dymnych spaliniach szosy.

Bielosielcew podporządkował się rozkazowi, sam się dziwiąc posłuszeństwu, z jakim poddał się naleganiom Kadaczkina, niespiesznie brnął wzdłuż szosy, obok letniego pola, sięgającego horyzontu, ogrodzonego betonowym murem, wyprzedzany przez wyjące TIR-y, szumiące limuzyny, czując podmuchy gorącego zadymionego powietrza. Wydawało się, że podporządkował się staremu przyjacielowi Kadaczkinowi, który dwukrotnie uratował go od śmierci, ale w rzeczy samej podporządkował się delikatnej świetlistej cząsteczce, migającej gdzieś pod sercem. Znalazł na poboczu złamaną gałąź, podniósł i opierając się na niej, jak na tułaczym kosturze, szedł powoli, lekko chromając.

Usłyszał chrypliwy drżący warkot, jakby czyjeś ogromne ręce z siłą rwały utkane w domu grube płótna. Warkot nasilał się, przemieszczał za betonowym płotem, oddalał się w stronę żółtych plamistych lasów i nagle cała przestrzeń wypełniła się rykiem, zadrżała, jakby siłaczowi udało się rozedrzeć mocne płótno, i nad szarym betonowym ogrodzeniem wleciał ogromny biały liniowiec z napisem „Rosja”. Wyrzucając przezroczyste spaliny powoli unosił się, rozdzielając na pasemka blade sklepienie niebios.

Bielosielcew patrzył na odlatujący samolot, w którym znajdował się Wybraniec, udający się w swoją zagadkową przyszłość, w tajemnicze przemieszczenie promieni, obłoków, plam światła i cienia. Siedział przy iluminatorze, patrząc, jak pod lodową płaszczyzną przepływa kraj, który mu się dostał, jak zachodzi mgłą biało-różowa Moskwa, otaczając tajemniczą poświatą kolejnego władcę.

Ale możliwe, że odlatujący samolot był pusty, że nie było w nim władcy, a w salonie, w wygodnym fotelu z zapiętymi pasami, przed szklanką

bąbelkującej wody mineralnej siedziała plastikowa kukła o nieruchomej celuloidowej twarzy, po której przebiegało świetliste migotanie nieba.

Biełosielcew szedł, opierając się na kij. Powietrze, rozedrgane startem, uspokoiło się. Pustka połknęła liniowiec, rozpuściła go w strumieniach światła wśród niebieskich płynących chmur. Znów rozległ się chrząszczący dźwięk. Z metalicznych zgrzytów i warkotów nad betonowym ogrodzeniem pola, wzdłuż żółto-czerwonych chorągiewek startował drugi samolot, długonosy, z odchylonymi prężnymi skrzydłami i ostrym sterem. Biełosielcew przestraszony zamarł. Chciał upaść na ziemię, zaryć się w poboczu, skryć w zwiedłych burzanach, żeby wszystkie, szperające oczy Greczysznikowa nie dojrzały go z nieba, nie nasłały na niego rażącej śmierci. Samolot szedł groźnie, ciężko, przepelziony złem, załadowany wszystkimi przywarami świata. W białym kadłubie, jak w kapsule, był zamknięty „Projekt Suahili”, zebrane okrutne, rządzące światem siły. Biełosielcew poczuł słabe ukłucie pod sercem, jakby wydostawał się na wierzch pęcherzyk czarodziejskiego światła. Zauważył słaby błysk pod skrzydłem samolotu, jakby cząsteczka światła, jak laserowy celownik połączył się z powietrznym celem. Spod skrzydła wypadł mały obłoczek dymu. Rozrastał się jak kolorowa kapusta, wypychał z siebie długi czerny płomień. Samolot leciał, pozostawiając za sobą ogromny falujący szal płomieni. Ciągnął go wzdłuż lasu, zadzierając nos w górę. Rozdzielał się na dwoje, wyrzucał w powietrze wielkie pękate kłęby dymu. Spływał na ziemię ciekący ogień. Głośne klaśnięcie odkorkowywanej butelki doleciało do szosy, a póki dźwięczał ten tępy odgłos, odłamki samolotu, jak płonące śmieci, waliły się na ziemię, padały na lasy i stamtąd, z jesiennej żółci podniósł się czarny kłęb kopcia, doleciał ryk wybuchu.

Samochody zatrzymywały się na szosie. Kierowcy i pasażerowie wychodzili na zewnątrz. Przyglądali się, jak po niebie rozpełzają się trzy wielkie obłoki dymu. Biełosielcew stał, oparłszy się na kij.

EPILOG

Samolot Wybrańca leciał na południe prawie bez pasażerów. W białym sterylnym salonie stały puste rzędy jednakowych foteli, zwykle zajętych liczną świtą. Teraz w ogonie rozmieściła się tylko ochrona, dziesiątka chłopów na schwał, krótko przystrzyżonych; niektórzy z nich zdjęli marynarki, zostając w białych koszulach z rzemiennymi szelkami.

Wybrańiec, oddzielony od nich, znajdował się w przedniej części. Odchylił się na wygodnej skórzanej kanapie przy lakierowanym stoliku, spoglądając w okrągły iluminator. W dole, nieco przymglony, perłowy, przepływał kraj - jego rozległe wzgórza i rzeki, nieogarnione pastwiska i różnobarwne, pomalowane przez jesień lasy, ledwie widoczne wsie i zadymione miasta. Za niebieskawą warstwą przezroczystego powietrza, pośród garnizonów i zakładów, kolei i osad, świątyń i więzień żyli umęczeni ludzie. Wybrańiec myślał, że teraz jemu przyjdzie rządzić tymi ludźmi. Odgadywać ich niewypowiedziane pragnienia, narzucać im swoją wolę, przy jednoczesnym wypełnianiu woli narodu, która w nim, rządzącym, znajdzie swój sensowny przejaw.

Jego myśli przerwał steward w białej koszuli i krawacie, w czarnej atlasowej kamizelce.

- Czy życzy pan sobie czegoś? - uprzejmie zapytał steward, lekko pochylając się w ukłonie, zbliżając do Wybrańca świeżą ładną twarz. - Koniak? Whisky?

- Proszę wodę mineralną.

Steward znikł i znów pojawił się, niosąc kryształową szklankę i butelkę. Postawił szklankę na stole, napełnił do połowy wodą. Nieco dalej postawił butelkę. Wybraniec skinął głową w podzięcie. Nie dotknął szklanki, patrzył, jak w kryształach pieni się zimny napój, wyrzucając na powierzchnię srebrne pęcherzyki.

Z kabiny wyszedł kapitan w niebieskim letnim mundurze, z siwymi skrońmi, odważną przystojną twarzą. Zdał relację z przebiegu lotu, podał wysokość, prędkość, temperaturę powietrza na zewnątrz.

- Czy ma pan jakieś życzenia? - zapytał kapitan, czujnie i z oddaniem wpatrując się w Wybrańca.

- Być może... - Wybraniec zamyślił się. - Jeśli można, chciałbym pójść razem z panem do kabiny pilotów.

- Bardzo proszę. - Kapitan cofnął się, pozwalając Wybrańcowi wstać i przejść do półokrągłych drzwi.

Drugi pilot i szturman siedzieli między krystalicznymi szybami, wypełnionymi błękitem, w otoczeniu cyferblatów, ekranów, displayów, błyszczących przełączników, podświetlonych wskaźników. Kabina przypominała oszkloną czaszkę z mnogością czułych elektrod i wskaźników, dających wyobrażenie o życiu olbrzymiej istoty, unoszącej się w powietrznych przestrzeniach.

Samolot leciał na autopilocie, komputer pokładowy trzymał maszynę na niewidocznej, naszkicowanej w niebiosach trajektorii.

- Czy mogę usiąść? - Wybraniec nieśmiało wskazał pusty fotel kapitana przy sterującym drążku sterowniczym.

- Naturalnie. - Kapitan pomógł Wybrańcowi zająć miejsce, nawet zaczął mu objaśniać przeznaczenie przyrządów.

- Dziękuję, wiem - miękko powstrzymał go Wybraniec. - Uczylem się prowadzić samolot. - Przebiegł cienkimi, prawie dziecięcymi palcami

po przełącznikach, po delikatnie świecących się czerwonych i zielonych wskaźnikach. Uśmiechając się ze skruchą, powiedział: - Czy pozwoli mi pan na trochę samemu zostać w kabinie? Niczego nie będę dotykać. Wszak lecimy na autopilocie? Po prostu chcę побыć sam w tej wspaniałej kabinie.

Rozumiejąc jego zachciankę, przepaszając go, szturman i drugi pilot podnieśli się i w ślad za kapitanem opuściliabinę, zamykając za sobą drzwi. Przeszli do salonu, swobodnie rozsiedli się na wygodnej miękkiej kanapie, zagłębiając się w zamszowych fałdach. Siedzieli, gadali, żartowali, rozkoszując się przedsmakiem lądowania w południowym mieście, gdzie, zostawiwszy maszynę na letnim polu pod ochroną czujnych straży, kilka dni spędzą w wygodnym hotelu nad morzem, będą się kąpać w chłodnym szumiącym morzu, wycierać się do czerwoności włochatymi ręcznikami, siedzieć pod płóciennymi parasolami, patrząc na błękit, na biały statek, na dokazujące lśniące delfiny, powoli sącząc z pucharów czerwone wytrawne wino. Siedzieli tak z pół godziny. Kapitan wstał, skierował się do kabiny:

- Popatrzę, może zdrzemnął się za wolantem.... - zniknął w drzwiach. Po sekundzie pojawił się z wyrazem zdumienia i zakłopotania na twarzy: - Chodźcie tu! Szybko!...

Pozostali dwaj weszli do kabiny. Była pusta. Fotele pilotów były puste. Turbiny szumiały równomiernie. Świeciły kolorowe wskaźniki. Wybrańca nie było. Tylko w krystalicznym szklanym rombie szyby słabo świeciła przezroczysta tęcza. Rozsypywała się nawiązki lecących promieni. W końcu stała się błękitem, pustką.

30 lipca 2001 roku Torgowcewo

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA Operacja «Prokurator»	5
CZEŚĆ DRUGA Operacja «Premier»	148
CZEŚĆ TRZECIA Operacja «Camus»	277
CZEŚĆ CZWARTA Operacja «Heksogen»	387
CZEŚĆ PIĄTA Operacja «Rosja»	462
EPILOG	500